

KATHLEEN ANN GOONAN

**RAPSODIA
MIASTA
PÓŁKSIĘŻYCA**

Crescent City Rhapsody

przekład

Małgorzata Koczańska

SOLARIS

Stawiguda 2006



Podziękowania

Za nieustanne wsparcie i uczucia, podczas pisania tej książki, wdzięczna jestem, jak zawsze, mojemu mężowi Josephowi. Również za zajęcie się moją stroną internetową www.goonan.com.

Serdecznie dziękuję Jennifer Brehl, mojemu cierpliwemu i inteligentnemu wydawcy.

Seanowi Stewartsowi, za gruntowną krytykę, która okazała się bardzo pomocna, jak również całemu zespołowi Edge.

Dziękuję Josephowi Kirschvinkowi z Cal Tech za pozwolenie cytowania materiałów z „Break in Four Sections” z: Nature, vol. 370 i z Internetu. Grupie badawczej z Auckland - Michaelowi M. Walkerowi, Carol E. Diebel, Colinowi R. Greenowi - zajmującej się pracami nad magnetoreceptorami biogenicznymi dziękuję za zgodę na zacytowanie prac z zagadnień opublikowanych w Nature vol. 370. Wdzięczna jestem także dr Jonowi Dobsonowi z University of Florida za wyrażenie zgody na cytowanie artykułów dotyczących tych samych zagadnień.

Dr Adamowi Eisenbergowi z Nortwest University składam wyrazy wdzięczności za definicje impulsu elektromagnetycznego, sygnału i telekomunikacji, zamieszczonych w Internecie, a dr Johnowi Broderickowi z Virginia Tech za jego pomysł tuneli przestrzennych.

Do kreacji zasad działania biomiast zawartych w mojej powieści bardzo przydały się książki, w tym przede wszystkim: „The Biology of the Honeybee” Winstona, „The Honeybee” Goulda i Goulda, a także „Chemical Communication” Agosty.

Wszystkie prace o nanotechnologii K. Erica Drexlera, włączając „Engines of Creation, Unbounding the Future” i „Nanosystems” oraz kilka książek, które rozszerzają te idee, jak „Nanotechnology” wydane przez B. C. Crandall i „Becoming Immortal” W. M. DuCharme, Ph. D., okazały się kluczowe dla mojej wizji przyszłości.

Dla powieści ważne też stały się prace Marshalla Savage'a z The Millennial Project.

Dwie klasyczne pozycje o kulturze *voudoun*, „Divine Horseman: The Voodoo Gods of Haiti” Mayi Deren i „Dancing Spirits: Rythm and Rituals of Vodun, Rada Rite” Gerdes Fleurant stały się dla mnie przewodnikami po zagadnieniach z tej dziedziny.

I na koniec biografia Hasse'a, „Beyond Category: The Life and Genius of Duke Ellington's" oraz fascynująca rzecz samego Duke'a Ellingtona „Music is my Mistress", służące za podstawę do zagadnień muzycznych poruszanych w mojej książce, jak również biografie jazzowe Mingusa („Benath the Underdog, Mingus"), Coltrane'a („Ascension", Nisensona), Sun Ra („Space is the Place", Johna Szweda) i książki takie, jak „Thinking on Jazz" Burlinera i „Bebop and Nothngness", Francis Davies, wraz z innymi, które trudno zliczyć, dały mi krytyczny wgląd w te unikalne zagadnienia sztuki amerykańskiej.

Na koniec dziękuję mojemu ojcu, Thomasowi Goonanowi, za zainteresowanie mnie już w dzieciństwie jazzem, a także mojej matce, Irmie Knott Goonan, za to, że wspierała mnie we wszystkich przedsięwzięciach.

Rapsodia:

Utwór literacki składający się z niepołączonych ze sobą części
Utwór instrumentalny, kompozycja o nieregularnej formie jak
improwizacja lub swobodna fantazja

Wg Webster's Third New International Dictionary

Rapsodie Duke'a Ellingtona:

New Orleans Rhapsody

Creole Rhapsody

Rhapsody, Jr.

Swanee River Rhapsody

Rock'n'Roll Rhapsody

Dla Skylara, Jazza i Seana:

To, co najlepsze, zawsze nadejdzie.

Taniec to wzięcie udziału w kosmicznej kontroli nad światem.

- Maya Deren

„Divine Horseman: The Voodoo Gods of Haiti.”

(„Boscy jeźdźcy: Haitańscy Bogowie Voodoo”)

Nota wstępna:

Obiekty wielkości piłek bejsbolowych eksplodowały przy uderzeniu w ziemską atmosferę. Wszystkie spłonęły do szczytu, oprócz jednej.

PRELUDIUM

Szybko, z powagą

Marie, Nowy Orlean, 2012

Marie zawsze wiedziała, że zostanie zamordowana. Tylko nieznamość szczegółów trzymała ją w napięciu przez wiele lat. W pewnym sensie poczuła ulgę, kiedy to się stało.

Zajęta raportami rynkowymi, raczej czuła niż widziała ciemniejące powoli niebo. W oddali zagrzmiało. Z zadowoleniem witała lekką bryzę na skórze lśniącej od potu. Pierwsza przyjemność późnego lata, jaką odczuwała, gdy nad Nowy Orlean nadchodziły sztormy.

O tej porze dnia na brukowanej uliczce ruch był niewielki. Jak zwykle, do jej biura na czwartym piętrze kamienicy, własności jej rodziny od pokoleń, dochodziły rytmy bluesa granego przez ulicznych muzyków. Po tych popołudniowych występach apetyczne zapachy ostrych przypraw i czosnku zdominowały słodkawy, mdlący odór lanego piwa, który niczym para unosił się z bruku od około dziewiątej rano. Ta mieszanina zapachów z restauracji stojącej na rogu od ponad wieku oraz piwa, które wsiąkło w ziemię zapewne jeszcze wcześniej, stanowiła dla Marie niezmienny element codzienności. Lubiła myśleć, że tak samo było z długą linią Marii w przeszłości.

Takie otoczenie było skarbem. Marie nie rozumiała, dlaczego wraz z nadejściem wieku nanotechnologii ludzie nadal tego nie rozumieli.

Niektórzy sprzeciwiali się, gdy nadeszła nowa epoka. Nie pojmowali, że to nie zależy od nich. Publicznie mówiło się, że molekularne manipulacje to pieśń odległej przyszłości. Owa ignorancja, według Marie, była celowo podtrzymywana, aby ułatwić kontrolę tym, którzy chcieli kształtować przyszłość na własną modłę. Badania i postęp w nanotechnologii były własnością armii i jej quasi-prywatnych filii. Kradzież tajnych informacji z takich placówek uznawano za szpiegostwo.

Babka Marie wpoila wnuczce wiarę, że wykształcenie i informacja są podstawową potrzebą człowieka - po jedzeniu i potrzebie schronienia. To właśnie babka stale jej powtarzała, że musi stać się lepsza od matki, dzikiej nastolatki, która wyrosła na piękną, lecz nieodpowiedzialną kobietę i umarła z przedawkowania, gdy Marie miała dziesięć lat. Podobnie jak babka, która dorobiła się fortuny na przemyśle rumu, Marie szybko zrozumiała, że musi wypłynąć na niebezpieczne wody, jeśli chce spełniać własne marzenia, które odziedziczyła wraz z pieniędzmi. Jeżeli miało się to wiązać z obsługą amatorskiej siatki

szpiegowskiej, niech tak będzie.

Ale Marie nie chciała być zależna od obcych rządów i przysparzać sobie wrogów. Miała więcej okazji na miejscu. Ostatnia próba morderstwa, która wyeliminowała z gry jednego ze starych, wpływowych członków siatki, znacząco oczyściła jej pole działania. „Times-Pikayune” pomyszkował i odkrył, że osobiście zapłaciła za reprezentowanie ofiary małą fortunę Sharbellowi Dightonowi III, prawnikowi, który podjął się tego bohaterskiego wyczynu.

Pieniądze nie miały znaczenia, przynajmniej tak długo, dopóki Marie mądrze je inwestowała. Miała do tego smykałkę i uważała, że to konieczne. Czuła się odpowiedzialna za swoich ludzi. I za wszystkich uciskanych, podobnie jak jej babka, która zmarła jakieś dziesięć lat temu.

Nie zawsze łatwo było udźwignąć tę odpowiedzialność.

Nawet w szortach i ażurowym topie Marie pociła się w dusznym powietrzu popołudnia, gdy siedziała na niskim brezentowym krześle, ulubionym miejscu do pracy. Sącząc słodką kawę z kostkami lodu, machinalnie zauważyła, że nierównych cegieł na ścianie za jej miejscem pracy nie oświetlają już promienie słońca.

Goście byliby zaskoczeni elegancką prostotą i nowoczesnym wyposażeniem strychu, gdzie pracowała, ale przychodzili tu nieliczni. Rzadkie, tropikalne rośliny kołysały się w doniczkach z chińskiej porcelany. Francuskie drzwi na balkon pozostały uchylone. Gorący wiatr, odbijający się od murów po drugiej stronie ulicy, trzasnął zielonymi okiennicami i zmaćił aromat ziół unoszący się w pomieszczeniu. Choć Hugo, ochroniarz i wieloletni przyjaciel, nienawidził jej nawyku zostawiania otwartych drzwi i okien, nie umiała separować się od pogody. Dwadzieścia lat temu w college'u w Chicago otwierała okno w zimne noce, co teraz było koronnym argumentem w ich codziennych przekomarzaniach. Ale dzisiaj Hugo nie było przy niej, więc nie podejmie gry.

Ekran komputera Marie był sześćdziesięciostopniowym łukiem ze srebrzystego, gładkiego i elastycznego materiału, przypominał wsparty na podłodze półksiężyc informacji. Wierzchołek znajdował się na wysokości czterech stóp. Marie lubiła mieć dużo informacji na widoku. Czasami, jak dziś, wyglądało to jak zagracone biurko, dadaistyczny kolaż jasnych kolorów i osobliwych kształtów. Klawiaturę trzymała na kolanach. Przy górnej krawędzi ekranu widniały symbole *voudoun*: wąż, bębenek i duch miłości, przedstawiany jako dwa współśrodkowe serca, jedno w drugim. Nie, żeby cokolwiek wiedziała o *voudoun*, choć jej imię i dziedzictwo były z nim mocno związane. Marie nie była przesądna, przyczyniały się do tego jej rozliczne zainteresowania naukami ścisłymi i matematyką. Nie poszła w ślady

rodziny, znającej *voudoun*, choć jej babka szczerze wierzyła w tę hybrydę religii afrykańskiej i katolicyzmu, i z całą surowością próbowała skierować wnuczkę na właściwą drogę nawet w chwili śmierci. Znaki, na pulpicie Marie, często spotykane w Nowym Orleanie, były podarunkiem od bliskiego przyjaciela, używała ich, bo były po prostu piękne.

Pod wężem kryła się ścieżka dostępu rozgałęziająca się w pliki z danymi osób, którzy w jakikolwiek sposób byli ważni w Nowym Orleanie - i wielu innych, pozornie niczym się nie wyróżniających. Te informacje trafiły do komputera zaledwie parę dekad temu. Wcześniej przechowywały je w pamięci wszystkie poprzedniczki z długiej linii Marie Laveau.

Nowy Orlean nigdy nie stał się takim miastem przyszłości, jak wyobrażała sobie Marie. Co prawda, opowieści babki podkreślały, że nie ma powrotu do złotego wieku, choć idealizowały jego kontynentalne początki. Marie dostrzegła coś lepszego - coś zupełnie innego - możliwości migoczące jak światełko w tunelu. Przeciwnicy opisywali Marie, jako zimną i bezwzględną. I może była to prawda. Nie przejmowała się jednak. Umiejętność wzbudzania strachu była nieodłącznym aspektem władzy.

Program giełdowy oparty na najnowszych kompleksowych algorytmach automatycznie ruszył w prawym górnym rogu ekranu. Chociaż Marie posiadała haka na każdego polityka, nie zamierzała z pewnością nikogo szantażować. Pod tym względem wyłamywała się z rodzinnych tradycji. Jej bogactwem były ciche inwestycje w najbardziej obiecujących małych spółkach, które specjalizowały się w istotnych aspektach nanotechnologii, choć oficjalnie nie używano tego terminu, lecz bardziej naukowych określeń. Aktywa Marie stanowiły międzynarodowy patchwork, ponieważ jeden kraj mógł zakazać tego, co w innym było dozwolone. Od około 2005 roku możliwości i zagrożenia nanotechnologii były traktowane ze znacznie większą powagą i każda z możliwych ścieżek rozwoju była dokładnie analizowana, a potem często zamykana lub utajniana. Ale ponieważ proces ten był zazwyczaj prowadzony przez komisje rządowe, a producenci mieli silne lobby, naturalnie niejako pojawiało się sporo luk. Od kilku lat Marie obserwowała, jak rozwija się pewien wzorzec - kilku ludzi mając czas lub chęci i bazując nie tylko na dążeniu do naukowego odkrycia, lecz również na komercyjnych powiązaniach, dokonać mogło przełomu. Wierzyła, że nie potrwa długo, nim nanotechnologia, tak pociągająca i kontrowersyjna zarazem, stanie się rzeczywistością. W końcu się to zdarzy, wszystkie transakcje zostaną zakończone. Ostatni krok zostanie uczyniony. Bezpośrednia kontrola w mikroskali stanie się możliwa. I to, co zdawało się tylko prawdopodobne, stanie się rzeczywistością. Istniały też obawy, że cząsteczki zdolne do tworzenia innych na swoje podobieństwo, wejdą w reakcję łańcuchową, trwającą tak długo, aż wyczerpie się materia w

ich zasięgu, a wtedy proces zredukuje życie na Ziemi do prostych form nieożywionych. Straszna wizja.

Jednak w przeciwieństwie do większości ludzi - a przynajmniej tych, którzy podburzali opinię publiczną - Marie nie obawiała się rozwoju nanotechnologii. Była nim czynnie zainteresowana. Wierzyła, że ludzkość przejść musi poza pewną granicę, za którą już nie było powrotu i za którą wszystko niewyobrażalnie się zmieni. Nanotechnologia mogła wyznaczyć tę granicę.

A Marie zamierzała do niej dotrzeć. I zamierzała zabrać tam swoje miasto.

Oderwała uwagę od informacji giełdowych, różnych transakcji sprzedaży i zgłoszeń. Powiększyła kilka ujęć córki i uruchomiła odtwarzanie. Oto Malutka Marie tańczy, wystawia język, bawi się spokojnie w kącie pokoju, nieświadoma, że jest filmowana.

Uroda była błogosławieństwem - lub przekleństwem - kobiet z rodziny Marie, żon i kochanek, a nawet kobiet interesu, których majątki stały się podstawą obecnej rodowej fortuny. Jedną z nich była siostrą sławnej Marie Laveau II, królowej *voudoun* w Nowym Orleanie, której imię zatoczyło krąg przechodząc z kuzynki na kuzynkę, aż przypadło Marie.

Do chwili, gdy na świat przyszła jej córka, Malutka Marie.

Marie zawsze uważała, że jej twarz jest zbyt pociągła, by uznać ją za piękną, że ma za długi i odstający nos, zbyt zdecydowaną linię podbródka i oczy pozbawione romantycznych iskier, które zrujnowały życie jej matce. Za to Malutka Marie odziedziczyła urodę po przodkach. Widać to było od razu, choć miała dopiero pięć lat. Duże, ciemne oczy, skóra barwy mahoni muśniętego złotem z głębokim odcieniem różu na policzkach. Bujne ciemne włosy spływające na plecy, stawiały opór grzebieniom, a ich czesanie każdego dnia było przyczyną krzyków i awantur. Malutka Marie była dzika, radosna i zachwycająca...

I powinna już być w Paryżu. Marie wyłączyła wideo i potarła zeszywniały kark. Może łatwo sprawdzić, gdzie znajduje się jej córka. Wystarczy wywołać Malutką Marie, albo Hugo, albo Ala. Namierzyć jej prywatny odrzutowiec. Powstrzymywała się. Al, jej mąż, przywita córkę. Da jej prezenty. Mnóstwo prezentów. Wstrętny pies Ala, mały, biały, z nadmiarem skóry, będzie skakał wokół jak ping-pong i hałasował. Wkrótce sobie przypomną o Mamie, która została w pracy. Sama. Za parę minut - na pewno za parę minut - zadzwonią.

Poza tym, Malutkiej Marie towarzyszył Hugo i pozostanie z nią podczas długiej wizyty u ojca. To, że Hugo był karłem, w niczym mu nie przeszkadzało, również w pracy na stanowisku ochroniarza.

Marie szorstkim gestem odrzuciła na plecy warkocze i wróciła do studiowania czerwonych, żółtych i zielonych linii pulsujących w splątanych wykresie na ekranie. Na

moment linie zamarły, zaraz jednak wróciły do urywanego rytmu. Obserwowanie ich to jak przyglądanie się morzu - pamiętało się o rybach nurkujących pod powierzchnią, lecz przede wszystkim miało się świadomość bezmiaru, głębi. Rodziło pragnienie podążenia w nieznanne. Ale owo szarpnięcie oznaczało coś innego. I dlatego - ważnego.

Wywołała szczegóły. Ktoś gdzieś zgarnął spory pakiet akcji małej, ale interesującej firmy, zajmującej się pracami nad sztuczną inteligencją. Firma nazywała się „Consciousnet”. Zerknęła do rocznego raportu, potem poprosiła o rachunki firmy za ostatnie półrocze, szybko przeanalizowała materiały i uruchomiła dwa programy analityczne, by sprawdzić, kto stoi za zakupem.

Pochyliła się z nagle rozbudzoną uwagą i ustawiła procedurę nabywania udziałów „Consciousnetu” stąd i stamtąd, stopniowo, co mogło trwać godziny lub dni. Kupowała przez pośredników, używając anonimowego połączenia z Siecią.

Firanki zafalowały i powiew wiatru przywrócił Marie poczucie rzeczywistości. Dlaczego jeszcze nie zadzwonili? Cholerny AI! Zacięta twarz męża, którą i teraz, jak przed laty, uważała za atrakcyjną, pojawiła się w rogu ekranu, gdy wymówiła jego imię. Już prawie rozkazała: „Połącz”, ale powstrzymała się. Nie, da im jeszcze parę minut, zanim zaczną się niepokoić.

AI nie mieszkał w Nowym Orleanie, twierdził, że to zbyt niebezpieczne. Marie sądziła, że to po prostu wymówka, że tęskni za domem. Odkąd wrócił do Paryża, wszystkie ich rozmowy przebiegały podobnie. Prawie słyszała jego uwodzicielski akcent i widziała jego uśmiechniętą, ciemną twarz:

- Mieszkałem w twoim kraju, teraz ty zamieszkaż w moim. Przyjedź do Paryża, do mojego starego, przytulnego mieszkania, wypełnionego po sufit książkami. Porzuć dziedzictwo, uszanuj nasze małżeństwo i ucywilizuj się. I zapomnij o swojej obsesji przyszłości. Pospacerujmy wśród kwitnących wiosną drzew, popatrzmy na Sekwanę i spróbujmy mojej wyśmienitej kuchni!

Jego kuchnia! Ten leń porzucił modną restaurację na Royal Street, gdy tylko się pobrali! Miał tyle zapалу, co słomiana lalka. Zawsze chciał ją zwabić do Paryża, teraz już to rozumiała. W Nowym Orleanie zmarniał i popadł w przygnębienie, więc wysyłała go na wakacje, na miesiąc, który rozciągnął się w półroczny pobyt. W końcu zarazi chandrą Malutką Marie. Cóż, ojciec i córka spędzą przyjemnie czas bez Marie. Marie ma obowiązki. I, niestety, nie myliła się, co do zagrożenia. Czaiło się wszędzie. Podążało za nią krok w krok. Rodzina była względnie bezpieczna - tak długo, jak Marie nie było w pobliżu.

Pod oknem zabrzmiał krótki sygnał syreny i urwał się nagle. Marie drgnęła

przestraszona. To tylko dzieci. Podniosła się opornie, przeszła po lśniącej posadzce z ciemnego drewna, między rozrzuconymi przez Malutką Marie zabawkami i częściami puzzli, i wyrzwała na balkon. Minęła zdobione żelazne krzesła i stolik, gdzie piła codziennie poranną kawę, i chwyciła balustradę, aż pobiełały jej kłykcie. Powinna była polecieć z córką. Nawet nie wyobrażała sobie, że będzie tak tęsknić. Wysokie palmy w masywnych donicach zakolysały się na wietrze z szelestem liści. Wybijałe czerwone pelargonie i żółte hibiskusy osłaniał pokryty bluszczem mur. Przez chwilę szukała wzrokiem kuloodpornej limuzyny, która przywiezie Malutką Marie ze szkoły, zanim się przyłapała, że to absurdalne. Mała zaczynała już narzekać, że Hugo każdego dnia siedzi z tyłu klasy. W elitarnej szkole, do której uczęszczała, administracja nie sprzeciwiała się, choć mieli świetną ochronę - wszystko dla zamożnych rodziców posyłających tu swoje pociechy. Pieniądze, jak zwykle, załatwiały każdy kaprys. Niektórzy rodzice sprzeciwiali się obecności ochroniarza w klasie, obawiając się, że będzie stale przypominał ich dzieciom o niebezpieczeństwie, inni byli zadowoleni.

No, dobrze, Marie wytrzyma miesiąc lub trochę dłużej bez córki. Niebezpieczeństwo jednak mogło grozić im obu przez całe życie, zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego przez wiele lat nie miała dzieci. I ostatnio poczyniła przygotowania, aby się zabezpieczyć. Niewielu ludzi na świecie mogło sobie pozwolić na podobną zapobiegliwość. Jeszcze mniej zdawało sobie sprawę z istnienia tych różnorodnych zabezpieczeń...

Marie wzięła głęboki wdech. Da im jeszcze pięć minut, zanim zadzwoni. Popatrzyła na ulicę w dole, jak to czyniła całe życie, dziś jednak nie dostrzegła nic interesującego. Dwóch żonglerów, w migotliwych, purpurowo-żółtych kostiumach klaunów i maskach iskrzących przestarzałymi układami scalonymi, posyłało w powietrze pałki w skomplikowanym rytmie. Ich wielkie buty lśniły w ostatnich promieniach słońca, przebijających przez kłębiące się na niebie ciemne obłoki. Francuska Dzielnica stanowiła swoisty anachronizm, jaki stworzyli ci, którzy zapragnęli tu mieszkać. Pojazdy na energię słoneczną, na ulicach, gdzie ruch był ograniczony, akceptowano, gdyż nie robiły hałasu. Inne zewnętrzne przejawy techniki, jak anteny satelitarne, były zakazane. Inna sprawa, że Marie mogła o każdej porze dnia i nocy skorzystać z małego helikoptera, który miał lądowisko na dachu. Mogła robić to, co chciała. Miała władzę i mnóstwo pieniędzy do wydania oraz... równie wiele do ukrycia. Tajemnice cenniejsze od pieniędzy.

Zimny podmuch uderzył ją w plecy. Wiszące masywne donice z paprociami zakręciły się unisono jak rząd tancerek pod kierunkiem dzikiego, lecz pełnego wdzięku wiatru-choreografa. Pierwsze krople deszczu rozproszyły tłum na ulicy, tylko klauni nieustraszenie żonglowali nadal.

Może powinna pojechać do Paryża. Al był na swój sposób sprytny. Marie uśmiechnęła się mimo niepokoju, jaki odczuwała. Czy oddalona o pół świata, mogłaby utrzymać niewidzialne nici władzy nad miastem? Al widział w tym staroświecki despotyzm.

- Nie - powiedziała mu jasno i szczerze. - To są moi ludzie. Mój dom. Mam wielkie plany wobec mojego miasta.

- Twoje miasto! - parsknął wtedy.

Ostra krawędź deszczu z sykiem przecięła wąską uliczkę i ochłodziła powietrze. Wiatr przywiódł orzeźwienie i zapach ozonu. Deszcz przetoczył się z łomotem po blaszanym dachu kamienicy i wyparował na bruku. Dwaj czarni muzycy schronili się, zostawiając krzesła na łaskę ulewy. Turyści ścisnęli się pod markizą jednego ze sklepów.

Dzwonek telefonu był cichy, ale Marie obróciła się rozpromieniona. To oni. Malutka Marie była bezpieczna w paryskim mieszkaniu Ala.

Nagle kątem oka uchwyciła błysk z ulicy i dziwaczny ruch jednego z klaunów. Zamarła, ponieważ wycelował w nią jedną z pałek... i ryk fałszywej syreny wypełnił powietrze.

Sparaliżowana Marie w ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że jej serce łomocze w przerażeniu, a krzyk, zagłuszony rykiem burzy, nie dotrze do nikogo. Poczowała nierówne kamienie na twarzy i ramionach, gdy pocisk rzucił ją na podłogę. Nad nią eksplodowała jedna z paproci w powodzi ziemi i skorup.

Marie usłyszała delikatny sygnał, który oznaczał przerwanie funkcji życiowych i wezwanie dla *nich*... Być może nawet byli już w drodze. Minuta, nie więcej.

Wśród poszarpanych myśli przebiła na krótko wdzięczność - Malutka Marie była bezpieczna. Dobrze to urządziła, znakomite wyczucie chwili.

I wtedy umarła.

PIERWSZY RUCH

Impuls elektromagnetyczny (electromagnetic pulse - EMP) - szerokopasmowy, wysokiej intensywności, krótkotrwały wybuch energii elektromagnetycznej. Jego źródłem są nie tylko nuklearne wybuchy.

Sygnal: wykrywalna transmisja energii, która może zostać użyta do przenoszenia informacji.

Telekomunikacja: jakakolwiek transmisja, emisja lub odbiór informacji w formie znaków, sygnałów, napisów, obrazów lub dźwięków za pomocą przewodów, fal radiowych, sygnałów optycznych lub innych emisji elektromagnetycznych.

- wg *Federal Standard 1037C*

Półprzewodniki zawodzą, kiedy napotkają EMP, z powodu miejscowego przegrzania, jakie wówczas następuje. Kiedy urządzenia półprzewodnikowe absorbują energię EMP, w rezultacie przekazywane jest ciepło, które w takich urządzeniach wytwarzane jest stosunkowo powoli, jeżeli porównać ten czas do okresu, w jakim ciepło emituje EMP. Ponieważ ciepło nie jest szybko rozpraszane, półprzewodnik może szybko osiągnąć temperaturę bliską temperaturze topnienia materiału. Wtedy następuje spięcie i półprzewodnik ulega awarii... Należy pamiętać, że w testach EMP nie wszystkie urządzenia elektroniczne i zagrożone systemy zostały zniszczone na początku. Niektóre nie wykazały awarii podczas pierwszego testu, ani nawet podczas kolejnego.

- *Adam Eisenberg, Ph. D.*,

<http://www.geocities.com/CapeCanaveral/5971/emp.html>

PIERWSZE SOLO

Radioastronom, Południowo-Wschodnia Wirginia, 2012

Zeb zwolnił na zakręcie asfaltowej dwupasmówki; drogę zalał strumień z roztopów na poboczu. Czarne opony Forda pickupa trzymały się mocno nawierzchni, więc za oblodzeniem odzyskał wcześniejszą prędkość. Jechał do miasta na przyjęcie z okazji Dnia Dziękczynienia i nie powinien się spóźnić.

Nigdy nie był specjalnie towarzyski, ale - jak na złość - zawsze był zapraszany. Na szczęście nie był już na dnie, dzięki leczeniu i ciężkiej pracy Sally, starszej siostry Zeba i od zawsze jego mistrzyni. Napady maniakalne Zeba pozostawały pod kontrolą wystarczająco długo, by mógł prowadzić życie profesora astronomii na uniwersytecie stanowym w niedużym miasteczku. Nie była to błyskotliwa kariera akademicka, jaką wymarzyli dla niego zmarli wiele lat temu rodzice i do jakiej go zachęcali. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że mu się powiedzie - już w wieku dojrzewania wszystkie drzwi stały przed Zebem otworem i ubiegała się o niego każda znacząca uczelnia. Kursy, które prowadził teraz, ledwie dotykały zakresu jego wiedzy - był przecież astrofizykiem. Ale było to ustabilizowane życie, a nawet ogólnie zadowalające, zdobyte za cenę zamknięcia drogi do wieczności. Miał dość. Gdyby się zastanowił, był to dobry powód wyboru anonimowej egzystencji. Żył z poczuciem satysfakcji, że po prostu jest w stanie działać przewidywalnie. Większość ludzi uważa ten stan umysłu za naturalny. Dla Zeba był to przywilej, o który musiał walczyć.

Na drodze nie było nikogo. W środę wieczór wszyscy pewnie poszli nad rzekę, do lasu albo siedzieli teraz w knajpach. Sally oczekiwała go jutro na obiedzie w Roanoke, odległym o sześćdziesiąt mil. Zeb miał nadzieję, że spotka swoją siostrzenicę, Annie. Na drugim roku college'u zaczęła zadawać inteligentne pytania. Specjalizowała się w nanotechnologii. Po załamaniu nerwowym Zeba, kiedy zaczął się pogrążyć w chaosie, oraz po tym, co się stało później, Annie znikła mu z oczu. Zdolna dziewczynka. Zeb liczył tylko, że nie będzie musiała przechodzić przez to, co on, że siostrzenica nie odziedziczyła dziwnego kodu genetycznego, jaki miał jej wuj.

Na zaśnieżone, lśniące pole okna starej farmy rzucały łąty kolorowego światła z choinki, choć było jeszcze wcześniej na bożonarodzeniowe drzewko. Za polami wyrastały

ciemne góry, poszarpana linia drzew odcinała się od jaśniejszego nieba. Zeb otworzył okno i zapalił camela. W podmuchu zimnego powietrza poczuł orzeźwienie.

Przyjęcie było nudne. Zeb rzucał się w oczy i, jak zwykle, poczuł się duży i niezdarny, w ciężkich butach i flanelowej koszuli. Po przyjeździe wyjaśnił gospodyni, że ubrał się tak, by później wejść na Angel's Rest i sprawdzić antenę, ale i tak czuł się nie na miejscu. Usiadł ostrożnie na jednym z delikatnych krzeseł doktor England i zapytał, czy może zapalić, gdy gospodyni i jej mąż szli po grzańca. Nie zauważył jednak, aby ktoś palił. Judy England nalegała, by wpadł, gdy spotkali się rano w supermarkecie. Teraz zastanawiał się, czy żałowała tej propozycji. Zeb po prostu nie umiał odmówić. Nie chciał jej obrazić. Przyjęcia matematyków i fizyków bywały znośne, ponieważ wystarczyło kilka minut, by zaczynały się zażarte akademickie dyskusje, jednak tutaj wszyscy goście zajmowali się sztuką. Byli mili, ale strzępy rozmów, jakie usłyszał, toczyły się wokół rzeczy, których - jak wiedział - nigdy nie będzie umiał zgłębić. Pociągnął łyk grzańca i rozejrzał się. Zastanawiał się, czy nie wślizgnąć się do kuchni i nie wylać napitku. I rozważał, jak długo powinien zostać, aby nie wyjść na nieuprzejmego gbura. Zdecydował, że to bez znaczenia. Po prostu wyjdzie. Tak postanowił.

I wtedy w drzwiach pojawiła się Terri.

Jak zwykle ubrana była nienagannie, co zauważył, gdy zdjęła płaszcz. Czarna suknia. Perły.

- Zeb - powiedziała na jego widok.

- Trzymaj się z daleka od grzańca.

Minęła dłuższa chwila, nim dodał:

- Co u ciebie?

W jej oczach błysnęła wesołość, odniosła małe zwycięstwo wyciągając z niego aż dwa pełne zdania.

- Dobrze - odpowiedziała. - Cudownie.

Miała włosy w odcieniu platynowego blondu, ale Zeb wiedział, że to nie jest naturalny kolor. Przefarbowała je miesiąc temu, ponieważ wiele z nich posiwiało, gdy skończyła trzydziestkę. W roku, gdy wyszła za mąż. Za niego.

- Wyglądasz świetnie.

- Dziękuję.

Ich rozmowa była krótka, jak zawsze. Po trzech latach małżeństwa Terri uznała, że potrzebuje więcej słów. Teraz była żoną socjologa. Jim pochodził z Nowego Jorku. Dużo mówił.

- Cóż, pójdę już - Zeb przełknął grzańca i skrzywił się. Napój smakował naprawdę kiepsko.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Trzymaj się. Ciągłe mieszkasz w tym samym starym domu?

Wiedział, że z ledwością powstrzymała się od nazwania jego lokum zrujnowaną chałupą. Kiwnął głową.

- I wciąż tracisz czas na studiowanie tych radioastronomicznych danych?

Nienawidziła tego. Widocznie uważała to za rodzaj kawalerskich ciągot, z których nie wyrósł, choć miał czterdziestkę, gdy się pobrali. Wcale nie spędzał tak wiele czasu na obserwacji gwiazd przez teleskopy, jak sobie wyobrażała. Kiedyś uważała, że to romantyczne. Jednak kosmos i gwiazdy kryły o wiele więcej niż można dostrzec w widzialnym spektrum. Zeb spędzał czas w sieci, a także podróżując i ucząc. Nie miał hobby ani żadnych pasji; nie oglądał telewizji, nie chodził do kina, nie czytał beletrystyki. Nadal zastanawiało go, w jaki sposób dwoje tak różnych ludzi, jak on i Terri, zdecydowało się na małżeństwo. Wtedy się uśmiechnęła - tylko troszkę - i przypomniał sobie wszystko.

- Cały czas - odrzekł i spojrzął na zegarek. - Pozdrów Jima.

Z zadowoleniem wyszedł pośpiesznie na zimne powietrze. Wyjął z kieszeni czapkę i rękawiczki, założył, sprawdził łańcuchy na oponach półciężarówki i wsiadł. Drogi wysypywano piaskiem, ale wyszedł zbyt wcześnie i tylne koła zabuksowały na nieobsypanej części podjazdu. „Świetnie” - pomyślał. „Zwiąć jak najdalej od ostatnich niepowodzeń”.

Teraz, bezpieczny w słabo zaludnionej okolicy, skończył papierosa i wyrzucił niedopałek, a potem zatrzęsął okno. Jeszcze prawie godzina ostrożnej jazdy, nim dotrze do niższego zbrocza Angel's Rest. Ojciec jednego z jego studentów był właścicielem pola, gdzie zbudowano antenę. Wiele poświęcił, żeby się udało. Zeb zgodził się sprawdzić, czy dane są przesyłane bez przestojów. Oczywiście, wspinał się tutaj, gdy tylko miał czas. Kochał to. Radioteleskop był, co prawda, duży, nieco prymitywny, a na dodatek ustawiany po amatorsku, ale Zebowi to nie przeszkadzało. Dzięki podobnemu urządzeniu odkryto istnienie pulsarów.

*

Zmienił bieg i samochód zakołysał się pomiędzy opłotkami na zamrzniętym błocie pod niespękaną skorupą zlodowaciałego śniegu. Włączył napęd na cztery koła i usiadł wygodniej. W nowych ciężarówkach wszystko to działało na głosowe komendy, ale Zeb wolał swój niezawodny, stary model, prawdziwy antyk z 1971 roku, bez komputerowych gadżetów. Kupił tego Forda za pięćdziesiąt zielonych od wdowy, której mąż zadbał o

nieskazitelny stan wozu. Zeb naprawił auto częściami wyszukanymi na złomowiskach i trzymał w szopie za domem. Zainstalował tylko GPS z mapą na małym ekranie obok radia i to były wszystkie modernizacje, na jakie się zdecydował.

Gdy ciężarówka wspinała się w góry, dostrzegł w snopie górnych świateł łańcuch - jakby czekała na oświetlenie, by znaleźć dogodne przejście. Bryła śniegu spadła z gałęzi jodły i wycieraczki zafurkotały. Gdyby Terri tu była, puściłaby muzykę klasyczną, ale Zeb wolał dźwięk kół zagarniających śnieg i płynny warkot napędu. Surowe dane... To miało własną poetykę. A jeżeli nawet nie poetykę, to jakiś ulotny wdzięk.

W oddali zabłyśły światła Pearisburga. Półciężarówka ślizgała się nieco, gdy wjeżdżała na bezdrzewną, rozległą połąć grzbietu. Wyłączył górne światła i wysiadł w głęboką, cichą noc.

Na firmamencie jasno świeciły iskry gwiazd. Buty Zeba zachrzęściły w dziewiczym śniegu. Anteny i przewody w blasku Księżyca rzucały długie cienie. Poczł lekką dumę. Jego studenci odwalili kawał dobrej roboty - włącznie z pracą fizyczną, aby otrzymać fundusze na ten projekt.

Wyjął z tyłu Forda szufłę i ustawił światła. Zaczł usuwać śnieg z pięciu dużych ogniw słonecznych. Co prawda, były nachylone i śnieg najpewniej do jutra zsunąłby się sam, ale Zeb wolał mieć pewność. Brodzenie w białym puchu zajęło mu prawie godzinę. I kiedy skończył, był zlany potem.

Zrobione. Podeszedł do małego baraku z prefabrykatów, otworzył drzwi wybierając kombinację w elektronicznym zamku. Zapalił światło.

Pisaki zasilane bateriami słonecznymi, poruszyły się leniwie na rolce papieru. Jedna z wielu rzeczy w projekcie, które dawały zapewne studentom poczucie godności - nieobrobione dane, nietłumaczone przez żaden program, nie sortowane przez żadne skomputeryzowane urządzenia. Były tu nawet stare lampy radiowe, podprowadzone z antycznego wyposażenia. Zeb miał nadzieję, że to pomaga studentom lepiej zrozumieć elektronikę i postęp w tej dziedzinie. Sam cenił ponad wszystko doświadczenia z pierwszej ręki i miał ogromny szacunek dla nauki od podstaw. Tyle było teraz wymyślnych programów, że wielu studentów nie miało pojęcia, skąd właściwie biorą się dane. Dlatego Zeb był przekonany, że ta antyczna instalacja okaże się przydatną pomocą naukową jeszcze przez wiele lat, na długo po odejściu obecnego rocznika.

Podniósł się wiatr i na zewnątrz coś zawibrowało wysokim jękiem. Papier powoli zsuwał się do pudełka pod samopisem. Zeb ostrożnie oderwał wstęgę. Zabierze zapisy dla studentów do analizy. Zerknął przez wąskie okienko, zauważył, że dolina pogrążyła się w

mroku. Zapewne jakaś awaria mocy. Poczuł iskierkę zadowolenia. Zawsze był zwolennikiem samowystarczalności. Własny dom ogrzewał drewnem, a podgrzewacz wody i generator zasilala energia słoneczna. Gospodarstwo Zeba sprawiało wrażenie imperium telekomunikacyjnego: wieże radiowe i więcej niż parę anten satelitarnych ustawionych po łuku, by obejmowały jak największy zasięg.

Zerknął za siebie, na pisaki, które teraz poruszały się w dzikich paroksyzmach. To było dziwne. Obserwował zapis, zastanawiając się, co jest przyczyną błędu. Zdawał sobie sprawę, że urok tutejszej aparatury krył się w bardzo ograniczonym interfejsie. Zatem coś bezpośrednio z przestrzeni kosmicznej, jakieś śmieci - jak zwykli to określać.

Nagle pisaki zatrzymały się. Przeszedł drugi arkusz, a linie nadal pozostawały zupełnie płaskie. A potem samopis ożył znowu. I znów się zatrzymał. Przerwa między zapisem trwała dłużej. Te dane występowały w konfiguracji, jakiej nigdy dotąd nie widział. Może to zakłócenia radiowe z miast, jednak interferencje były naprawdę nieduże, choć mogły się zdarzyć. Zeb przysunął sobie stołek, usiadł i obserwował.

Siedział tak przez dwie godziny, oparty o ścianę. Zdrzemnął się na chwilę, lecz obudziły go dreszcze. Uznał, że powinien się ogrzać w samochodzie, nie wiedział przecież, jak długo tu zostanie.

Gdy szedł, zapadając się w śniegu do połowy łydek, postanowił zamontować jakieś ogrzewanie w budce, jak nazywano obserwatorium. Ktoś mniej samowystarczalny niż Zeb mógłby tu utknąć na całą noc. Co prawda, istniały komórki, ale Zeb wolał się zabezpieczać „na czas”. Czuł się odpowiedzialny za studentów.

Wspiął się do samochodu. Ford nie zapalił. Zaklął, wysiadł i podniósł maskę. Powiesił latarkę pod klapą i sprawdził połączenia. Niedawno regulowane. Woda w akumulatorze. Napięcie pasków klinowych. Bak pełny, zatankował rano. Żadnych nieprawidłowości, na ile mógł stwierdzić.

Zabrał latarkę, zatrzasnął maskę, wyciągnął spod siedzenia torbę i wrócił do budki. Zapowiadała się długa, zimna noc.

Gdy wszedł, zauważył, że radio chyba wróciło do normy. Markery samopisu poruszały się w zwykłym, leniwym rytmie. W dolinie błyszczały światła. Na plastikowej podłodze nie było dość miejsca, aby się wyciągnąć i Zeb pomyślał, że może jednak w ciężarówce będzie wygodniej. Wzdychając powłókł się z powrotem. Po raz ostatni przekręcił kluczyk w stacyjce. Bez powodzenia.

W końcu przypomniał sobie, że tydzień temu wymienił przełącznik na nowoczesny elektroniczny - nie znalazł na szrocie stacyjek starego typu.

Ciężarówka stała na szczycie stoku nad miskowatym obniżeniem terenu. Może zapali na popych. Byle tylko samochód nie utknął na dnie kotliny, to by chyba było najgorsze.

Zwolnił hamulec. Ford rozpędzał się powoli. Po minucie rozległ się trzask i silnik zaskoczył. A zatem przełącznik nawalił! Zeb po prostu nie lubił tych skomputeryzowanych gadżetów. Zbyt zawodne, na dłuższą metę.

Ostrożnie wrzucił bieg i zaczął zjeżdżać. Miał nadzieję, że Ford osiągnie wystarczającą prędkość, by pokonać wzniesienie i wydostać się z kotliny. Zjechał kilka stóp, zanim skierował się w górę. Zatoczył półokrąg wokół budki i zawrócił na drogę, którą przyjechał.

Zostawił Forda na jałowym biegu, zaciągnął hamulec i włączył maksymalne ogrzewanie. Potem wszedł do obserwatorium i zebrał zapisy z minionych godzin.

Po spakowaniu arkuszy papieru wyłączył światło i zamknął drzwi. Zamierzał wrócić w piątek, ale teraz uznał, że lepiej przyjść jutro.

Wrzucił pudło z papierami na podłogę z tyłu kabiny i wszedł do samochodu.

*

Dom Zeba stał na stoku w połowie drogi między Angel's Rest i miastem. Była druga w nocy, gdy dotarł do siebie. Dwa owczarki collie, Plejada i Zefir, skoczyły mu na powitanie.

Wyczerpany niepewnym krokiem przeszedł przez podwórze, zerkając jednak na gwiazdy. Intrygujące. Dziwne. Co u diabła się dzieje? Jeszcze przed paroma sekundami błyskały i mrugały, jak reprodukcja Van Gogha, którą Terri powiesiła w sypialni. Czuł radosny zawrót głowy. To zły znak. Potrzebował lekarstw. Sally nakłaniała go, żeby wszczepił sobie jeden z tych nowych implantów dozujących leki automatycznie, ale Zeb się bał, że będzie miał w głowie pocisk, który nie wiadomo kiedy eksploduje.

Przetrwał powitanie psów, a potem przeciął werandę i otworzył drzwi. Owczarki ruszyły za nim, kręcąc się i szczekając. Zapalił światło i położył zapisy z obserwatorium na masywnym stole na środku salonu, odsuwając stertę książek, by zrobić miejsce. Ozdobny piecyk, który kupił w rupieciarni w Newcastle, całkiem wystygł. Na żarzące się jeszcze popioły włożył kilka zwiniętych gazet, parę szczap i dwa spore kloce, zamknął drzwiczki i otworzył wyciąg. Przez kilka minut ogień huczał i potrzaskiwał, zanim się uspokoił.

Dom miał prawie sto lat. Po latach ciężkiej pracy i remontów nadawał się do zamieszkania. Zeb zadbał o informatyzację, doprowadził przewody telekomunikacyjne. Salon, gdzie spędzał najwięcej czasu, przerobił z trzech pomieszczeń. Wyburzył ściany i zainstalował gniazdka w strategicznych punktach. Dwie wygodne kanapy i wielkie fotele w starym stylu porozstawiał przypadkowo naprzeciw płaskich ekranów wmontowanych w

ściany lub wolnostojących. Zwoje kabli plątały się na widoku lub pod dywanikami, jak wielkie węże. Elektronika piętrzyła się wszędzie, przypadkowo mrugały diody. Obrazu dopełniały książki i CD na ścianach oraz porysowane ciemne deski podłogi.

Zeb wszedł do kuchni, włączył palnik i zrobił kawę. Pił czarną. Podniósł fiolkę z tabletkami, odłożył. Najlepiej zażyć rano, o zwykłej porze, tak przynajmniej mu doradzano, gdyby zapomniał wziąć lekarstwo. Wprawnie przyrządził jajecznicę i zaniósł posiłek do salonu. Na ekranie poczty jarzyła się wiadomość od starego przyjaciela w Waszyngtonu! WOW!

Nie miał wiadomości od Craiga chyba z miesiąc. Razem napisali kilka prac, ale Craig miał ambitniejsze plany niż Zeb, był znany poza krajem i właśnie w tym roku zaczął wykładać na Harvardzie. Spotkali się na popijawie na Stanford, tuż przed załamaniem nerwowym Zeba.

Załamanie, określenie, równie dobre, jak inne. Prawdę mówiąc, Zeb chodził z głową w chmurach, przez wiele dni zapominał o jedzeniu, pochłaniał tylko książki, monografie, dane. Był na stypendium dla studentów fizyki, choć miał dopiero osiemnaście lat. Stał się ulubieńcem, maskotką wydziału. Większość czasu spędzał na zgłębianiu wybranych samodzielnie problemów i zagadnień, dyskutował o nich na salonach ze swadą i przenikliwością. W tydzień doprowadzał się do krańcowego wyczerpania, potem przesypiał dzień lub dwa i wywlekał z łóżka całkiem bez sił. Świat wyglądał wtedy szaro i głupio, całkowicie poza zasięgiem. Nie pojmował, jak mógł się nim podniecać tak bardzo. A potem Zeb zbierał się do kupy, ponownie wkraczał w królestwo wertowanych kart, dysków i soczewek, z umysłem czystym i jasnym. Wtedy błyszczał. Płonął.

I spłonął.

Nie umiał sobie przypomnieć, kiedy zaczęła się depresja - gdy dźwignięcie się do stanu używalności zabierało dużo czasu, a ciemność trwała coraz dłużej i dłużej. Wtedy podciął sobie nadgarstki. Dlaczego? Teraz było to dla niego niepojęte. Ale wtedy...

Wtedy Sally była w ciąży z Annie. Stale latała do Kalifornii. Ich rodzice nie żyli, była jedyną nadzieją Zeba. Uczelnia zapłaciła tylko za podstawowe leczenie, stracił też stypendium. Wszystko się rozpadło - nie tylko jego umysł, lecz całe życie. Był jak dwaj różni ludzie. Trzej. Więcej. Nie opisano tego dokładnie, ale był, bez wątpienia, chory psychicznie.

To Sally przywróciła go do formy. Zabrała do domu, potem wysłała na północ do drogiej kliniki, rozmawiała z ludźmi, którzy mogli mieć jakieś pojęcie o tym, co dolegało bratu. To nie była zwykła schizofrenia, lecz coś w rodzaju nerwowego wypalenia, prawdopodobnie w skutek stresu. Przeszedł wiele kuracji. Teraz był na lekach nowej

generacji, pochodnej tych, które zażywał na początku leczenia.

Zeb czuł zadowolenie z drogi, jaką obrał. Terri zwykła porównywać go do Rimbauda, jakiegoś francuskiego poety, który wypalił się jak gwiazda i potem już nie napisał ani jednego wiersza. Uważał, że to porównanie jest niesprawiedliwe. Nadal przecież umiał myśleć. Nadal publikował od czasu do czasu artykuły. Na początku kuracji wściekał się na trzymanie w zamknięciu, na izolację od dziedziny, która go pasjonowała. Ale na ścieżce spokoju mógł poczuć smak życia. Czuł się szczęśliwy. Wcześniej nigdy nie był szczęśliwy. Bywał jedynie krańcowo podniecony.

Usadowił się w fotelu, a psy przysiadły obok dysząc. W pokoju było już ciepło, zjadł jajka.

- Wow - powiedział na głos i plik „WOW” otworzył się. Przeczytał: „CO SIĘ DZIEJE, U LICHA? SKĄD PRZERWA W DOSTAWACH PRĄDU? WIESZ COŚ? CRAIG”.

Przerwa w dostawach prądu?

Próbował wejść do Internetu, ale, jak na złość, telefony nie działały. Wiadomość od Craiga musiała przyjść godzinę temu, prawdopodobnie, gdy Zeb zjeżdżał z Angel's Rest Oczywiście, coś będzie w wiadomościach.

- SNN - mruknął z rezygnacją.

Na ekranie pojawił się tylko śnieg zakłóceń. Satelity też pewnie wysiadły. Zeb wyszukał stację lokalną. Prezenterka o zmartwionym spojrzeniu mówiła właśnie z drżeniem w głosie:

- ...informacje radiowe z Waszyngtonu nadano przed trzydziestoma minutami. Silny, wysokiej częstotliwości impuls elektromagnetyczny z nieznanego źródła spowodował awarię łączności. Urwał się kontakt z wieloma satelitami. Z powodu mgły jeden z samolotów rozbił się na Lotnisku Narodowym, wszyscy pasażerowie i załoga zginęli. Ekipy ratownicze pracują cały czas nad przywróceniem łączności telefonicznej. Należy zachować spokój i nie ulegać Panice. Hrabstwa Floyd i Montgomery pozbawione są elektryczności. - Spikerka przerwała na moment, ktoś podał jej kartkę. - Powtarzamy: to nie jest żaden wrogi atak na nasz kraj. Nie zarejestrowano żadnych eksplozji nuklearnych. Właśnie otrzymaliśmy...

Zakłócenia na ekranie po raz kolejny. Zeb mocniej wbił się w siedzenie. Myślał.

Najbardziej prawdopodobną przyczyną impulsu elektromagnetycznego jest eksplozja nuklearna w atmosferze. W zależności od mocy i miejsca wybuchu, może wywołać mniejsze lub większe uszkodzenia urządzeń komunikacyjnych i systemów energetycznych. W 1962 wybuch bomby atomowej nad Pacyfikiem na pół godziny pozbawił prądu Honolulu i zniszczył alarmy przeciwwłamaniowe. Ale gdyby eksplozja nuklearna nastąpiła wyżej w

atmosferze, Zeb przypuszczał, że jej skutki wywołałyby o wiele większą histerię i strach przed wojną.

Zeb stale monitorował i łapał przekazy radiowe teleskopu w Zachodniej Wirginii, używając jako wzmacniacza lampy elektronowej, którą skonstruował jeszcze w szkole średniej.

Cieszył się, że system komputerowy nadal działa, choć, oczywiście, była to zasługa najlepszych zabezpieczeń, na jakie mógł sobie pozwolić. Wywołał opis transmisji radiowych z ostatnich paru godzin. Lampy miały tę przewagę, że nie psuły się pod wpływem radiacji.

Skonwertował otrzymane informacje w prosty wykres czasowy i wydrukował. Zdjął książki z długiego stołu i położył je na podłodze, by zrobić miejsce na wydruk obok zapisu z anteny. Porównał. Ten sam wzór.

Tyle, że wykres był odwrotny niż zapis z anteny. W punktach, gdzie pojawiały się braki elektryczności, samopis zarejestrował aktywność, a zatrzymywał się na krótkich przerwach, gdy działała łączność.

Coś się działo. Miał przed sobą potwierdzenie wzorca, jaki ewentualnie mógłby zostać wywołany rozbłyskiem słonecznym.

Nie było jednak żadnych rozbłysków na Słońcu. To bardziej niż pewne. I najprawdopodobniej nie nastąpiła żadna eksplozja jądrowa.

Taki wzór mogła stworzyć inteligencja. Na pewno nie był przypadkowy. Za żadne skarby, to nie przypadek. Zeb rozważał dwie możliwości: ludzkość - łatwiejsza do zaakceptowania opcja, albo jakieś międzygwiazdne źródło.

Może ktoś lub coś w końcu próbuje nawiązać kontakt? Albo przynajmniej namierzono Ziemię. Idea obcych nigdy specjalnie nie zajmowała Zeba, choć niekiedy miewał sny podobne do starych filmów SF. Zeb bardziej interesował się mechanizmami czasu, przestrzeni, gwiazd i planet. Informacje, jakie teraz miał przed sobą, na pewno stałyby się świetną pożywką dla poszukiwaczy obcej inteligencji. Ale, oczywiście, musiało istnieć inne wyjaśnienie zdarzeń z minionej nocy. I na pewno istniało.

Dzwonek telefonu wyrwał go ze snu. Zeb zeszytniał i zmarzł, zasnął w fotelu, a ogień zgasł.

- Telefon - powiedział i dodał: - Cześć.

Z ekranu popłynął głos Sally, ale jej obraz się nie pojawił, choć powinien. Słowa siostry brzmiały piskliwie, mówiła szybko:

- Dzięki Bogu, z tobą wszystko dobrze, Zeb! Właśnie naprawili telefony! Mamy tu

sporo zniszczeń. Tak się martwiłam!

- Uspokój się - odpowiedział. - U ciebie w porządku?

Słyszał jej głęboki, drżący oddech.

- Tak, tak, wszystko dobrze. Nie było prądu prawie przez sześć godzin, ale od rana już jest, więc upiekę indyka. Mam nadzieję, że nie odetną znowu elektryczności - przerwała na chwilę. - Przyjedziesz?

- Która godzina? - wybełkotał.

Sally westchnęła.

- Przypuszczam, że byłeś na nogach całą noc. To ci zaszkodzi. Powinieneś dbać o siebie. Już południe. Mam stargane nerwy. Może powinniśmy zebrać się wszyscy razem. Co prawda, sklepy splądrowano, ale mam dużo konserw.

- Czemu ty, John i dzieci nie przyjdziecie tutaj?

- Tutaj?

- To najlepsze miejsce, gdyby pojawiły się kłopoty, Sally. Mam ciepło, lasy są pełne jeleni i dzikich indyków...

- Myślałam raczej, że powinieneś być u nas - odpowiedziała z lekką złośliwością. Na chwilę zapadła cisza.

Zeb wstał i wyprostował napięte plecy.

- Będę tu przez jakieś dwie godziny. Potem możemy zdecydować, co dalej. OK? Zabiorę psy, jeżeli mam przyjechać.

- Psy? Wszędzie brudzą...

- Brad będzie szczęśliwy - Brad miał dziesięć lat i marzył o posiadaniu owczarków collie na własność, co bardzo niepokoiło jego matkę. - Do zobaczenia później, dobrze?

Spakował się szybko. Zerknął jeszcze na wydruki i po chwili też je zapakował. Przecież zawierały wartościowe informacje. W rzeczy samej, prawdopodobnie były to bardzo rzadkie dane. Większość radioteleskopów, uzależnionych od elektronicznej aparatury, została uszkodzona przez impuls. Podobnie, jak wiele satelitów. Za wyjątkiem tylko tych, które znalazły się w cieniu Ziemi, osłonięte przez planetę od źródła emisji. Ale to znaczy, że one także nie mają tych danych. Podnosząc pudło, zadrżał. Tak naprawdę nie wiedział, jaką mają wartość te informacje, ale wydawało się, że dużą.

Najlepsze, co mógł zrobić, to zabrać zapisy. Rozejrzał się jeszcze i chwycił teczkę - reklamówkę z logo Virginia Tech. Wsunął do niej wydruki.

Już miał wyjść, ale przypomniał sobie o Craigu. Wrócił i napisał odpowiedź, która zostanie automatycznie wysłana, gdy tylko będzie to możliwe. ZŁAPAŁEM COŚ PRZEZ

NASZ RADIOTELESKOP. DIABELNIE INTERESUJĄCY MATERIAŁ. DZIWNE
WNIOSKI. POWIEM CI WIECZOREM. Ucieszył się, gdy wiadomość przeszła.

Oba psy wcisnęły się za nim do kabiny. Plejada przepchnął się do okna tak blisko, jak się dało i rozparty z przodu, zerkał brązowym okiem na Zeba, a błękitnym na drogę. Zefir przycupnęła na podłodze, wolała udawać, że nie widzi drogi umykającej tak szybko, jak sama nie zdołałaby nigdy biec. Zeb schował dane pod siedzeniem.

Skierował się na drogę międzystanową i dopiero wtedy zorientował się, że nie zabrał lekarstw.

- Szlag! - zaklął wałąc dłońmi w kierownicę. Psy spojrzały na niego.

Zdecydował się jechać dalej, był już w połowie drogi. Jakies stare pigułki znajdzie na pewno w gabinecie Sala, powinny się nadać.

Droga była zatłoczona, zważywszy, że tak wiele pojazdów, których funkcjonowanie zależało do elektroniki, na pewno zostało unieruchomionych. Skutki impulsu musiały być bardzo zróżnicowane. Na obu pasach ruchu, północnym i południowym, zdarzały się stłuczki, ale ciąg pojazdów poruszał się powoli, lecz nieustannie. Uszkodzone wehikuły spychano na pobocze za linię świateł odblaskowych znaczących co kilka mil drogę.

Drzewa i wzgórza zbliżały się do Zeba w dziwnym, lecz wdzięcznym rytmie, jak w muzycznej kadencji.

Granica między światem zewnętrznym i wewnętrznym znikła. Zeb stał się drzewami, ruchem drogowym, Górą Irono, zielonymi znakami odblaskowymi. Był informacją. Nawet nie musiał pamiętać, choć jego fotograficzna pamięć przechowywała niedawno odebrane informacje, że okresy ciszy i aktywności pojawiają się według określonego wzoru. Jak wiadomość, celowy sygnał. Pewnie, to się powtórzy. A rytm: sygnał - wyciszenie utrzyma się. Ale nie wkrótce. Może za miesiąc. Gdyby to przemyślał, mógłby wyprowadzić dokładne dane. Był na fazie.

Szlag! Szlag! Nikt więcej nie wie! No, może kilku ludzi zdaje sobie sprawę, ale naprawdę niewielu. Na dodatek Zeb wiedział tak mało! Żałował, że nie został w domu, gdzie mógłby wymienić myśli z Craigiem. Podniecenie rosło.

Drzewa, samochody, szare niebo. Płynęły. Przeplływały przez Zeba. Lśniły miękką poświatą. Westchnął. Jeszcze tylko dwadzieścia mil. Potem będzie musiał porzucić tę piękną, przenikającą go, skończoną harmonię. Weźmie pigułkę. Drzwi do wieczności, gdy się otwierały, wpuszczały jasne światło. Byłoby cudownie, gdyby to trwało wiecznie. Ale Zeb wiedział doskonale, że po długim, bezkresnym czasie doskonałości, trwającym zazwyczaj mniej niż siedemdziesiąt dwie godziny, nadejdzie odskok i wszystko obróci się w gówno.

Na niebie gromadziły się gnane wiatrem kłęбки obłoków. Pojazdy toczyły się powoli na drodze. Odsunął Plejadę i otworzył schowek w desce rozdzielczej nie odrywając wzroku od szyby. Grzebał chwilę, aż wymacał niewielki dyktafon. Dobrze. Wyjął urządzenie, włączył i zaczął mówić. Gdy wpadał w stan maniakałny, musiał pisać, choćby zwykłe równania. Albo mówić. Mówienie też było dobre.

*

Z domu Sal unosił się zapach obiadu na Dzień Dziękczynienia. Psy wepchnęły się do środka. Brad wrzasnął na ich widok z radości i przytulił się, nie zwracając uwagi na Zeba. John, Sally i Annie objęli go serdecznie. W kominku płonął ogień. Wszystko w jednym, doskonale zespolenie. To, czego zapewne pragnęła Terri, gdy byli razem. Zeb spojrzął w oczy Sal i uśmiechnął się. Szeroko.

Przyjrzała mu się podejrzliwie. Długie jasne włosy spięte w koński ogon wymykały się spod spinki, fartuch furkotał.

- Potrzebujesz tabletki, Zeb.

Przytaknął z uśmiechem.

- Tak myślę. - Zabawne, jak wszystko lśni, jak brzęczy naładowane dźwiękiem i energią.

- Hej, Zeb! - John, szwagier, z wigorem uściśnął mu dłoń. - Sądny dzień dla telewizji. Czekałem na mój ulubiony show, a tu nic... - żałośnie potarł dużą, łysą głowę, a na jego twarzy wykwitł nieco zmartwiony uśmiech.

Pojawiła się Sally z pigułką i szklanką.

- Szkoocka? - zapytał Zeb radośnie.

- Woda - odrzekła twardo.

Łyknął tabletkę tylko dlatego, że wiedział, jakiego doła będzie miał za kilka godzin. Za kilka godzin ekstazy. Zauważył, że Annie przygląda mu się z namysłem.

- Co jest? - zagaił. Umysł miał przepełniony obrazami, które mógłby przetłumaczyć na równania wyrażające częstotliwość i okresowość sygnału, gdyby tylko miał ołówek. Może powinien o jakiś poprosić - przemknęła mu niejasna myśl.

- Zastanawiam się - Annie z niepokojem popatrzyła na Zeba tymi jasnymi jak u matki, niebieskimi oczyma. - Właśnie teraz planowane są badania leków w oparciu o DNA.

- Nanolekarstwa, tak? - upewnił się Zeb. U Annie wszystko kręciło się wokół „nano”. Zazwyczaj próbował nie żartować z głębokiej wiary siostrzenicy w nadejście ery nanotechnologii, ale bywało to trudne.

- Czas na obiad - Sally zabrała ich do jadalni.

- Mamy do omówienia parę ważnych spraw - oznajmił John, gdy tylko zasiedli przy stole - Co myślisz o tych przerwach w dostawach prądu?

Zeb nie wykazał się ostrożnością.

- Myślę, że to jest celowa manipulacja polem elektromagnetycznym Ziemi przez jakieś inteligentne istoty.

Brad spojrział na niego bystro.

- Masz na myśli obcych? - Wszystkie dzieciaki mówią to samo.

- Nie wtrącaj się, Brad. I nie karm psów przy stole - upomniała go Sally.

- Nie karmię. Upadło mi.

- Jestem pewien, że wujek Zeb miał na myśli coś innego - powiedział John podając tłuczone ziemniaki.

- Zapomniał wziąć tabletkę - dodała żona.

- Chwileczkę - obruszył się Zeb z lekką irytacją. Zwrócił się do Annie. - A co ty sądzisz?

- Myślę, że to doskonała okazja, żeby położyć nacisk na rozwój komunikacji opartej o nanotechnologię tworzyw organicznych, tak na wszelki wypadek. Moi przyjaciele też tak myślą... Gdyby Internet działał lepiej. Właśnie się logowałam, gdy przyjechałeś, ale mnie wyrzuciło z sieci.

John potrząsnął głową i uśmiechnął się przelotnie.

- Ona i jej znajomi widzą świat przez pryzmat nanotechnologii.

- I co w tym złego? - zachnęła się Annie. - Prawie darmowa produkcja. Wszystko, czego potrzeba, to surowce do składania tego, co potrzebne. Żadnych fabryk. Zero nędzy. To tylko początek.

- Stajesz się marksistką - zripostował jej ojciec.

Zeb zaczynał się irytować. Gdy jadł, liczby i proporcje w głowie szybko blakły. Przekonywał siebie, że to bez znaczenia. Ma dane. Może nad nimi pracować, jak długo zechce, choć bardziej żmudnym sposobem. I może wszystko sobie przypomnieć, choć będzie to trudniejsze pod wpływem lekarstw. Neurony po prostu nie iskrzyły w ten sam sposób, jak w olśnieniu, które przeżywał Zeb. To stanowiło różnicę. Bardzo ważną różnicę, uświadomił sobie nagle.

- Wszyscy twierdzą, że to rozbłysk słoneczny - powiedział.

- To skąd masz inny pomysł? - zapytała Annie.

- Mam zarejestrowane dane z anteny zbudowanej przez studentów na Angel's Rest. Pamiętasz, widziałaś, jak ją stawiali, gdy byłaś tam latem.

Siostrzenica przytaknęła kiwnięciem.

- Więc jak lub czym było to wywołane?

- Naprawdę nie wiem. Pewien jednak jestem, że dane nie pasują do aktywności Słońca.

Nikt z nich nie ma pojęcia, jak szybko wszystko może się zmienić, pomyślał Zeb. Trochę się przestraszyli, ale sądzą, że to już koniec. Można zapomnieć. Szczególnie, jeżeli było to zwykłe, choć niedogodne, zjawisko naturalne. Rozbłyski słoneczne mogą się zdarzyć, więc nie powinni się tym martwić dłużej niż przez chwilę, i już. Wkrótce wszystko wróci do normy i przeminie, zwłaszcza tam, gdzie szkody były nieduże. Niektóre obszary zapewne będą potrzebowały miesięcy na odbudowę szkód, ale to naturalny porządek rzeczy, jak się zdaje. Aż nadejdzie kolejny impuls.

Rozmowa zeszła na inne tematy. Przyjemny stukot srebrnej zastawy i kryształów uspokajał, choć nie rozpraszał. Sally pozwoliła Zebowi na lampkę wina i oboje się uśmiechnęli.

- Toast! - oznajmił Zeb i powiódł spojrzeniem po siedzących przy stole. - Za nas wszystkich.

- Za nas! - odpowiedzieli. Annie uniosła szklanekę wody, a psy, zwęszywszy coś, wspięły się na łapy i zaczęły obserwować czujnie otoczenie. Zeba ogarnął spokój. „Zamknij się” - nakazał sobie w duchu sarkastycznie.

I wtedy ponownie wysiadł prąd. John wyszedł, by przynieść więcej drewna do kominka, a Sally zapaliła świece.

- Czas się zbierać - zdecydował Zeb, a psy natychmiast podbiegły do drzwi.

- Nie zostaniesz na noc? - siostra była zaskoczona. - Ale pada śnieg i...

- Nie szkodzi - zapewnił, obejmując ją na chwilę. Zawsze się zadreczęła. - Słuchaj, to nic nowego, ten impuls, albo jeszcze coś, jakkolwiek zechcesz to nazwać. Po prostu trochę potrwa, zanim wszystko się naprawi i wróci do normy. Rok temu w Kanadzie zdarzyło się coś takiego - rozbłysk słoneczny - i przez miesiąc naprawiano szkody. Ale chcę ci obiecać, że jeżeli cokolwiek się stanie, możesz przyjechać do mnie, zgoda? Nie żartuję. Dom jest samowystarczalny.

Nagle się zaniepokoił. Żegnając rodzinę, dłużej spoglądał na Annie i Brada - ci dwoje, bardziej niż ktokolwiek mogliby odczuć skutki tego, co się działo.

Ale - może się całkowicie mylił.

Miał gorącą nadzieję, że tak właśnie jest.

Międzystanowa opustoszała. Góry wydawały się pierwotnie dzikie bez błyszczących na zboczach światła ludzkich siedzib. Radio jedynie szumiało, ale w połowie drogi zaczęło

działać i Zeb znalazł stację WKBW na falach długich, nadającą informację o schronach w Buffalo i w stanie Nowy Jork.

Zaniepokoił się, gdy po długiej jeździe skręcił na drogę i ujrzał ślady opon na wpół przysypane śniegiem. Nie jego. Kto mógł go odwiedzić, u licha? Pewnie jakiś student.

Ktokolwiek tu był, już odszedł. Ale drzwi pozostawił otwarte.

Zeb po dłuższej chwili wysiadł z samochodu. Psy minęły go, biegnąc do domu. Zaraz jednak Plejada wrócił i stanął w drzwiach, jakby pytał: *A ty nie wejdiesz?* Najprawdopodobniej psy, choć sprawiały czasem wrażenie groźnych, po prostu przywitałyby intruza.

Zeb wszedł, zamknął drzwi, zapalił światło.

Zamarł zaskoczony. Na podłodze leżały książki, krzesło, a szafki opróżniono. Poczł złość. I zmieszanie. Kto mógł to zrobić?

Później zauważył, że arkuszy z obserwatorium z danymi dotyczącymi fenomenu nie ma na stole. A przecież był pewien, że tam je zostawił.

Kto mógł wiedzieć, że Zeb miał te dane?

Może goście z przyjęcia pamiętali, że Zeb wybierał się do radioteleskopu tego wieczoru, choć wątpił. A już na pewno nikt nie zdawał sobie sprawy, że mogło to być ważne. Albo któryś z dziesięciorga studentów pracujących przy projekcie mógł coś powiedzieć, ale znowu, niepodobna, aby kogokolwiek to zainteresowało.

Podszedł powoli do komputera. Baterie były naładowane, a Internet działał, ale Zeb nie miał pojęcia, co robić. W końcu, po prostu napisał: JAKIEŚ WIEŚCI, CRAIG?

Po dziesięciu minutach wiadomość wróciła. Adres nieznany.

Zeb zaczął szukać. Nie zajęło to dużo czasu. Wynik nie był całkowicie rozstrzygający, biorąc wszystko pod uwagę, ale Zeb był pewien, że informacje są pewne i prawdziwe.

Craig już nie istniał w Sieci.

*

Tuż za Manassas Zeb minął kolejny kościół, gdzie na ołtarzu całą noc płonęły świece. Widział takich wiele na drodze z Doliny Shenandoah do Fairfax w stanie Wirginia.

Przez cały dzień słuchał radia. Wiele mówiono o końcu świata, o grzechu, o tym, że to najlepszy czas, by się nawrócić i błagać Boga o przebaczenie. Od czasu do czasu trafiały się wzmianki o Sztacie Kryzysowym, który miał obradować od jutra. Ku zdumieniu Zeba, zmieniło się również oficjalne stanowisko - elektromagnetycznego impulsu nie próbowano już wyjaśnić aktywnością słoneczną, mówiono o „nieodkrytym wcześniej kwazarze”. Toczono sensacyjne dyskusje, nieco kuriozalne dla kogoś, kto miał jakiegokolwiek pojęcie o

temacie. Przywódcy cedzili wykalkulowane, uspokajające zdania, aby utrzymać za wszelką cenę spokój.

Do północy ruch na ulicach był duży. A Zeb uświadomił sobie, że minęły już trzy lata, odkąd był w Waszyngtonie. Miasto musiało być przepelnione z powodu kryzysu, a ludzie bali się latać. Zeb nie martwił się lataniem. Wierzył, że nic się nie wydarzy, dopóki ma dane. Zostawił Sally z przykazaniem, aby nikt, kogo zna, nie podróżował samolotem. Od tamtego dnia minęły trzy tygodnie, ale Zeb nadal nie wiedział, czy powinien się bać.

Po dziesięciu milach kolejny znak „Brak miejsc” skłonił Zeba, by wrócić do motelu „Bocianie gniazdo”, z podświetloną, zieloną kotwicą - zabytkiem z dawnych czasów, gdy Droga nr 50 była główną trasą dojazdową na plażę w Delaware. Zeb wyskoczył z samochodu wprost na mróz, z bliska słychać było świst samochodów przejeżdżających po mokrej szosie.

- Ostatni pokój - powiedział starszy portier przesuwając mosiężny, ciężki klucz po zniszczonym kontuarze.

Zeb otworzył „dziesiątkę” i ukrył pod poduszką kopię taśmy, którą nagrał w drodze do Roanoke na Święto Dziękczynienia, wtedy, gdy zrozumiał wszystko. Nie miał na razie okazji, by odtworzyć tamte przemyślenia. Miał jeszcze drugą kopię w kieszeni, i kolejną, zakopaną w metalowej kasetce na zboczu przy domu. Zapisy danych nadal znajdowały się pod fotelem w samochodzie.

Następne piętnaście minut Zeb jechał boczną, cichą drogą. W większości domów pogaszono już świąteczne dekoracje.

Co roku dostawał od żony Craiga kartkę z życzeniami. Zeb poznał ją jeszcze w college'u, gdy zaczęła się umawiać z Craigiem. Spokojna, w okularach z grubymi szklami i z brązowymi, długimi włosami, dobrze pasowała do męża. Teraz mieli dwoje dzieci, jedno już w liceum. Zeb nigdy nie spotkał tych dzieci. Widywał Craiga dość często na różnych zjazdach, ale nie odwiedzał go w domu.

Skręcił w prawo, w Swan Lake Drive. Sprawdził wcześniej, czy dom Craiga to ten trzeci po prawej za rogiem. Rozejrzał się w obawie, że nie znajdzie miejsca do parkowania, ale samochodów nie było zbyt wiele. Pomyślał, że lepiej jednak zatrzymać się dalej i podejść - uznał, że to dobry pomysł. Przyszło mu też do głowy, że powinien wypożyczyć samochód. Na pewno ten, kto odwiedził jego dom, wie również, jakim samochodem jeździ Zeb. I mógłby go śledzić nawet w tej chwili przez satelitę.

Na szczęście Zeb zażył lekarstwa.

Zaparkował przy ulicy. Siedział w półciężarówce jeszcze z minutę po wyłączeniu silnika. Było zimno, termometr w samochodzie, zbyt często zawodny, wskazywał

dwadzieścia jeden stopni poniżej zera. Zeb nigdy tu nie był. Uświadomił sobie, że ma ledwie mgliste pojęcie, czego oczekuje przyjeżdżając do domu Craiga. Konfrontacji? A może tylko chce się przekonać, że jego stary przyjaciel przeżył podobne wypadki, co Zeb?

Nie przypuszczał...

Dobrzy gospodarze odśnieżyli na czas podjazdy, ale Zeb musiał iść ostrożnie, bo na ścieżce był lód. Nikogo nie zauważył. Stał na niedużej werandzie i zadzwonił.

Wewnątrz zaszczekał pies. Przelotnie pomyślał o owczarkach, które zostawił u Sally i ponownie nacisnął dzwonek, tym razem przytrzymując go dłużej.

- Odejdź - wyszeptał głos gdzieś koło jego łokcia. Interkom, zorientował się.
- Nie mogę - odpowiedział - To ja, Zeb. Chciałbym porozmawiać z Craigem.
- Craiga nie ma - zabrzmiał głos Clary.
- Gdzie jest? Wszystko z nim w porządku?

Na chwilę znowu zapadła cisza. Zadzwonił ponownie. Pies zaszczekał.

- Craiga naprawdę tu nie ma - powiedziała Clara z wyraźną irytacją.

- Słuchaj, przepraszam, że cię zbudziłem. Zajrzałem tu przy okazji odwiedzin u rodziny...

- Jasne.

Był pewien, że kobieta coś wie.

- Proszę! Na dworze jest naprawdę zimno...

Usłyszał prychnięcie. Zachrobetał łańcuch, pies został odpędzony od drzwi. Clara otworzyła i wciągnęła go za ramię do środka, a potem szybko zatrzęsnęła wejście i ponownie założyła łańcuch.

Odwróciła się z niezadowoloną miną.

- Myślałam, że jesteś bardziej uprzejmy.

Jej włosy były teraz krótsze i ufarbowane na blond. Nie nosiła już okularów i niebieskie oczy patrzyły o wiele bystrzej niż Zeb pamiętał. Miała na sobie luźny golf i grube skarpetki.

- Wyglądasz dość elegancko, jak na człowieka z gór.
- Dzięki. - odrzekł Zeb. - Ty za to wyglądasz świetnie. Zbudziłem cię?

Pies zawarczał.

- Cicho, Zeit.

- Zeit? - popatrzył na zwierzę marszcząc brwi. Zeit był dobermanem. Zeba nigdy nie obchodziły rasy.

- To taki żart - wyjaśniła Clara. - Pomysł mojego syna. Uczył się wtedy niemieckiego.

Wejdz i rozgość się.

Zeb zszedł za kobietą po dwóch stopniach do salonu, gdzie w kamiennym kominku dopalał się ogień, a okna wychodziły na podwórze. Zeit prześlizgnął mu się pod nogami. Clara gestem zaprosiła, by skorzystał z barku przy antycznym stole:

- Obsłuż się. Dalwhinnie jest znakomita. Sama ją piję.

Zeb nalał dużo wody i trochę whisky. Usiedli naprzeciw siebie na głębokich, obitych skórą krzesłach. Oczy Zeita czujnie spoczęły na twarzy przybysza.

- Więc gdzie jest Craig? - zapytał Zeb.

- Nie wiem - padła odpowiedź. Odchyliła głowę na oparcie i spojrzała przed siebie. - Naprawdę nie wiem...

- Może się chociaż domyślasz?

- Nie. Craig zniknął dwa dni temu. Wiem, że jest bezpieczny, ale to wszystko. Ma bardzo dobrą ochronę. - W jej głosie przebijał ton urazy. - Wszystko, co wiem, to że zabrali go do jakiejś dziury w górach. No, wiesz, do jednego z tych miejsc, gdzie nie można zabrać rodziny. Czasem, Zeb, zastanawiam się... ale co to ma za znaczenie? - tym razem wyraźnie usłyszał gorycz. - Nie wiem, czy wzięłam ślub z Craigiem, czy z rządem? Wychodzi na to samo, jak mi się zdaje.

Wstała i dołała sobie whisky. Zeb zorientował się, że choć mówiła wyraźnie, jednak zachwiała się lekko, gdy odchodziła od stołu. Zaraz jednak się wyprostowała i ostrożnie wróciła na miejsce.

- Nie jesteś zaskoczona, że przyjechałem.

Westchnęła.

- Posłuchaj, Zeb. Prawdopodobnie jesteś w niebezpieczeństwie. Craig spodziewał się, że możesz przyjechać i chciał, żebym ci to powiedziała, jeżeli będziesz natrętny. Zdaje się, że jesteś natrętny. Wierz mi, i tak masz szczęście, że dowiedziałeś się aż tyle. Mój mąż nic więcej mi nie przekazał.

- Nawet tego, że włamano mi się do domu i skradziono dane, o których istnieniu wiedział tylko Craig?

- To jeszcze nie znaczy, że to on się włamał - powiedziała Clara z nutką gniewu, patrząc mu prosto w oczy. - Wynika jasno, że ktoś jeszcze wiedział. Kiedy to się stało?

- W Święto Dziękczynienia.

- Och! Czego dotyczyły te dane?

- Zgadnij - mruknął Zeb sarkastycznym tonem.

Clara odwróciła wzrok, zaciskając usta. Zeit zawarczał, unosząc wargi i obnażając

ostre kły.

- Tylko żartowałem - Zeb uśmiechnął się nieznacznie. - Mam owczarki collie. Są bardziej przyjazne... Posłuchaj..

Jednak grymas na twarzy kobiety nie złagodniał, zrozumiał więc, że powinien się zbierać.

- Nie jestem pewien, ile wiesz o tym wszystkim, co się dzieje, więc może lepiej będzie, żebym ci nie mówił więcej. Nie chcę cię narażać.

Roześmiała się krótko, a pies opuścił głowę na łapy.

- O to się nie martw. Próbuję sobie wszystko poskładać. Jestem pewna, że w jakiś sposób jest to związane z ostatnimi wydarzeniami. Z „incydentem”, jak to określił „Washington Post”. Craig tylko chodził w kółko mamrocząc, że nie mają zielonego pojęcia, o czym mówią, a potem spakował rzeczy. I niedługo potem przyjechał po niego samochód. Tyle wiem. Oprócz tego, że kazał przekazać ci, żebyś się nie wychylał. Dokładnie tymi słowami: nie wychylaj się. I cokolwiek wiesz, pamiętaj, Zeb. To niebezpieczne. Przede wszystkim dla ciebie.

- I dla ciebie, skoro tu jestem - odpowiedział, zerkając na psa i wstając tak powoli, jak na ćwiczeniach tai chi. Zeit skoczył mu do stóp i Zeb był wdzięczny, że pies nie próbuje rzucić mu się do gardła.

- Masz gdzie się zatrzymać?

- Tak, w porządku. Może lepiej wyjdę tylnymi drzwiami?

Clara ukłękła przy szklanych przesuwanych drzwiach, pociągnęła zasłonę i wyjrzała. Potem odsunęła skrzydło.

- A z tobą już lepiej? - zapytała z wahaniem. Oczywiście, pamiętała jego dramatyczne załamanie. Zeb uśmiechnął się.

- Mniej więcej.

Wkroczył między zaśnieżone podwórka czterech domów i odszukał samochód. Idąc zastanawiał się, czy po prostu nie zostawić ciężarówki i nie wrócić po nią za kilka dni. „To głupie” - uznał.

Mógłby nie włączać świateł, choć byłoby to rozwiązanie połowiczne. Przecież może go oświetlić jakiś samochód jadący z naprzeciwka. Ale do głównej drogi dałby radę dojechać bez świateł. To nerwy, zdecydował. Ostatecznie i tak nic nie mógł zrobić.

Do automatu w motelu już dostarczono gazety i Zeb kupił „Washington Post”. W pokoju terkotał grzejnik. Zeb zrzucił buty i wyciągnął nogi na łóżku, plecy podparł poduszką. W dzienniku przeczytał, że zebranie Sztabu Kryzysowego zacznie się jutro w jednym z hoteli

w śródmieściu. Potem wyjął komputer i zalogował się. Pomyślał, że właściwie powinien tego unikać, przynajmniej do czasu, aż stworzy jakąś fałszywą tożsamość, ale nie wydawało mu się ważne, że jacyś „oni” dowiedzą się, gdzie Zeb przebywa.

Zasnął z tą myślą, na siedząco, przy zapalonym świetle, w ubraniu, ściskając gazetę.

*

Kiedy następnego ranka o dziesiątej otworzył drzwi, przekonał się, że spadło kolejne sześć cali śniegu. Świetnie. Nie będzie dużego ruchu na drogach. Metro też nie powinno być przeciążone. Ale zbudził się później niż oczekiwał, bo zapomniał włączyć budzik.

Dzień był ponury. Zeb nie miał czasu na śniadanie, choć opuszczanie posiłków mu nie służyło. Zastanowił się nad założeniem łańcuchów na opony, ale potem zdecydował, że zaryzykuje jazdę bez nich. Mógł je założyć później, gdyby były potrzebne. Ogolił się, rozpakował bagaż, wyjął garnitur, który wcześniej dał do czyszczenia. Nie wkładał go od ślubu. Miał nadzieję, że nadal będzie pasował. Wcisnął do kieszeni osiem lub dziewięć znaczków z konferencji, które zabrał z szuflady, gdy opuszczał dom. Prasa pisała o incydencie, ale nikt prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że sygnał z kosmosu jest kodem, i to kodem nieprzypadkowym. Albo może zestawem kodów. Zeb miał dane, które mogą okazać się przydatne do analizy.

Wrzucił bagaż do kabiny półciężarówki nie sprawdzając, czy zabrał wszystko. Zostawił radio wyłączone, gdy wjeżdżał na czteropasmówkę. Histeria trwała tylko przez chwilę. Zatrzymał się na Drodze nr 50, prowadzącej prosto do miasta. Nie trafił na żaden korek aż do mostu. Nie mógł jednak dojechać dalej niż do szpitala Vietnam Memorial, ale przypadkowo znalazł miejsce do parkowania, które właśnie się zwolniło. Sprawdził mapę. Hotel, gdzie odbywały się obrady Sztabu Kryzysowego, znajdował się o dziesięć przecznic dalej. Zostawił płaszcz w samochodzie, gdyż nie pasował do obecnego wizerunku. Wsunął jedną z taśm do kieszeni i ruszył przed siebie z przekonaniem, że prawdopodobnie jest śledzony.

Cieszyłby się spacerem, gdyby nie ciążyło mu tak mocno poczucie odpowiedzialności, jaka na nim spoczywała. Przez szare niebo przetaczały się podmuchy wiatru ze śniegiem, który topniał na twarzy Zeba. Śnieg tłumił też hałas, tylko od czasu do czasu dobiegający wyraźnie od strony ulicy. Wszędzie widać było dekoracje, panował świąteczny nastrój i zdawać by się mogło, że nie ma powodów do zmartwień.

W tak małym światku dane Zeba powiedzą każdemu astronomowi więcej niż komukolwiek innemu. Na pewno wszyscy mogliby podjąć wysiłek, by wymienić poglądy i przypuszczenia przez Internet lub w inny sposób. To byłby pierwszy krok.

W miarę, jak szedł, był coraz bardziej poruszony całą sytuacją. Może powinien wezwać jakiegoś prawnika, choć w życiu nie zatrudnił ani jednego, nawet podczas rozwodu.

Znajdował się o kilka bloków przed hotelem, gdy napotkał tłumy ludzi. Jak w Nowy Rok na Times Square. Z trudem utorował sobie przejście. Wielu ludzi nosiło słuchawki, wkrótce jakaś kobieta pojawiła się przed Zebem, oferując mu zestaw odsłuchowy za pięćdziesiąt dolarów.

- To o obradach sztabu! - zachęciła.

Nieduże słuchawki znalazły się na uszach Zeba. Przycisnął je dokładniej. Usłyszał, że posiedzenie zacznie się zaraz w Sali Magnolii na drugim piętrze.

W końcu przecisnął się do ceglanej ściany budynku. Obok były szare, metalowe drzwi. Spróbował je otworzyć, ale nie ustąpiły. Wreszcie uchyliły się na parę cali, jakiś mężczyzna wysunął na zewnątrz głowę i wrzasnął:

- Hej, cofnąć się!

Nikt nie zwrócił na to uwagi, ale mężczyzna zostawił drzwi otwarte na tyle szeroko, że Zeb i jeszcze trzy osoby przecisnęły się do środka. Zaraz potem ponownie zatrzaśnięto przejście.

Wewnątrz znajdował się korytarz wyłożony ceramicznymi płytkami. Zeb pośpiesznie przeszedł tamtędy na schody i wspiał na drugie piętro. Znalazł się wśród orientalnych ozdób, na czerwonym dywanie pod kryształowymi żyrandolami. Kręciło się tu sporo ludzi, ale było dość miejsca, by przejść. SNN przeprowadzało wywiad z kobietą oddaloną od Zeba o jakieś dziesięć stóp; zdawało się, że nikt go nie zauważył. Wyciągnął jedną z plaketek, jakie miał w kieszeni, z napisem: DR ZEB ABERLY, RADIOASTRONOM, POLITECHNIKA, WIRGINIA. Przypiął do marynarki i skierował się do jedynych otwartych drzwi prowadzących do sali balowej. Były tam tylko miejsca stojące. Gdy przechodził, strażnik odezwał się cicho:

- Sir...

Zlekceważył ochroniarza, który postąpił za nim, chwytając za ramię i spoglądając na identyfikator Zeba.

- Dr Aberly, muszę zobaczyć pańską przepustkę.

Zeb pomacał się po kieszeniach.

- Musiałem zostawić w pokoju. Przyniosę ją po sesji.

- Muszę prosić, żeby pan wyszedł, sir.

- Przykro mi - w głosie Zeba zabrzmiała uraza. - Ale jest bardzo ważne, abym wziął udział w tym posiedzeniu.

Ruszył przed siebie, ale strażnik nadal trzymał go za ramię.

Zeb wyrwał się i wmieszał między stojących, mając nadzieję, że zgubi ochroniarza, lecz do pierwszego przyłączył się drugi. Znowu złapano go za ramiona. Próbował się wyrwać.

- Puście mnie! - warknął. Gdy pomimo to powlekli go do wyjścia, zaczął krzyżeć:

- Oni kłamią! Wszyscy kłamią! Mam prawdziwe dane!

Parę twarzy zwróciło się w jego stronę, ale w oczach najbliższych stojących Zeb dostrzegł tylko irytację. W niecałą minutę został wyrzucony z sali. Jeden ze strażników zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

- A teraz - zapytał jeszcze - czy mam wezwać policję, żeby pana aresztowano?

Zeb wiedział, że ochroniarz traci cierpliwość, ale nie wyglądało, że spełni groźbę, więc krzyknął raz jeszcze:

- To NIE BYŁ ŻADEN KWAZAR, nie ROZUMIESZ?! - a wtedy przed jego twarzą znalazł się mikrofon SNN.

Reporter zaanonsował szybko:

- A przed państwem... Doktor Zeb Aberly z Politechniki w Wirginii. Zdaje się, że doszło do kontrowersji. Doktorze Aberly, czy powiedział pan, że nie było żadnego kwazara?

- Nie wolno... - próbował się wtrącić strażnik, ale drugi posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Natychmiast puścili Zeba i wycofali się. Spiker spojrzał wyczekująco.

- Tak właśnie powiedziałem - Zeb przeczesał palcami włosy, nagle uświadomiwszy sobie, że pewnie wygląda nienajlepiej po przepychance w sali.

- Jest pan radioastronomem?

- Tak. Jestem profesorem astronomii. Jak już wspomniałem, mam dane, które...

Światła zgasły.

W ciemności Zeb poczuł, że ktoś go chwyta, tym razem mocniej. Zapaliły się światła nad wyjściem ewakuacyjnym i zabrzmiały powtórzone dźwięki syren alarmowych. Zeb został zaciągnięty na schody, a kiedy drzwi sali się zatrzasnęły, znów zapaliły się światła i zamilkły syreny. Wtedy pożałował, że nie ma przy sobie broni.

- Radziłbym, aby przez kilka chwil był pan cicho, sir.

- Kim jesteś? - zapytał Zeb, ale poczuł tylko szturchnięcie. Został pośpiesznie sprowadzony na dół po schodach i przez korytarz, inny niż ten, którym przyszedł.

Zniszczony, potłuczony szary samochód stojący w alei, ruszył, gdy mężczyźni wywlekli go na zewnątrz, drzwi pojazdu od strony pasażera uchyliły się. Siedzący przy kierownicy Craig, powiedział tylko:

- Wsiadaj, Zeb.

Zaskoczony wykonał polecenie. Przyjaciel pochylił się, by zatrzasać drzwi. Ruszyli w dół alei, zostawiając za sobą obstawę.

- Próbowałem trzymać cię od tego z daleka - oznajmił Craig. W ciemnych okularach z ciężkimi oprawkami, kupionych dawno temu, wyglądał elegancko, wymuskanie i miejsko, ale Zeb nie umiał myśleć o przyjacielu inaczej niż jak o współlokatorze, inteligentnym i utalentowanym, udzielającym się politycznie i społecznie - jednak o kimś, kim Zeb nigdy nie potrafił i nigdy nie chciał być. Na trochę dziecinnej twarzy Craiga odbijał się już prawdziwy wiek. Ubrany był w drogi, czarny płaszcz, skórzane rękawiczki i kaszmirowy szal. Tylko dlaczego - pomyślał Zeb - przyjechał tym starym gruchotem?

- Dlaczego chciałeś ukraść mi informacje? - zapytał. Craig wybrał uliczkę prostopadłą do hotelu i teraz oddalali się od tłumu.

- Nadal lubisz chińszczyznę? - zagadnął.

- Jasne. Powinienem coś zjeść. - Zeb pogmerał w kieszeniach, szukając pigulek, ale zorientował się, że musiał je zostawić w innych spodniach. Drugi raz w tym tygodniu zaniedbał rutynowe czynności.

- Co się dzieje?

- Zgadnij.

Craig przeciął trzy przecznice, gdzie zaczynał się już ruch uliczny. Minęli jakieś obskurne budynki i zatrzymali się na parkingu, gdzie zostały jeszcze wolne miejsca.

- Co za szczęście, restauracja jest tuż obok. Nie wzięłeś płaszcza? Stałeś się aż takim człowiekiem gór?

Wysiedli. Zeb ruszył szybkim krokiem, żeby się rozgrzać i utrzymać ciepło.

- Mamy wojnę? - zaryzykował.

- Dobre pytanie - odrzekł Craig. - To kluczowa kwestia. I rodzi kolejne problemy. Wojnę z kim? Z jakimiś bytami, od których otrzymaliśmy tylko krótki, podejrzany przekaz radiowy? Z kimś, kto próbował niewątpliwie rozwalić nasz system telekomunikacji i satelitów obronnych, a na dodatek cholernie dobrze mu się to udało? Kłopot w tym, że się nie przedstawili. I nie wiemy, kto jeszcze, oprócz ciebie, dysponuje aparaturą do nasłuchu radiowego. To tutaj - Craig skierował go na schody prowadzące do drzwi z szybą w kształcie półksiężyca.

W Zeba uderzyło ciepło i mnóstwo zmieszanych zapachów chińskiej kuchni - pięć smaków, prażone kluski, pieczona kaczka. Początkowo był zaskoczony, że w zatłoczonym pomieszczeniu udało się znaleźć wolne miejsca. Wolny boks czekał na nich, rozświetlony tylko nieznacznie wschodnimi lampionami, zawieszonymi na ścianie. Craig nie zamówił

niczego, lecz kelner chyba go znał, bo od razu przyniósł herbatę, potem gorącą kwaśną zupę i zestaw warzyw, a na koniec lo mein, czyli makaron z warzywami, grzybami i mięsem oraz kaczkę, o której Zeb i Craig wcześniej wspomnieli. Wszyscy wokół mówili po chińsku. Mandaryński, jak sądził, choć nie był wcale pewien.

- Miałem nadzieję, że nie wyściubisz nosa z gór - oznajmił Craig przebijając pałeczkami w kluskach. - Naprawdę nic nie mogłem poradzić, że twój dom został przeszukany. Informacja, że coś złapałeś na radioteleskopie, jest jak sygnał alarmowy, szczególnie gdy wszystkie oczy zwrócone są na znanych astronomów.

- Ale wiedziałeś o tym.

Craig nie odezwał się.

- Dlaczego karmisz opinię publiczną tymi bzdurami o kwazarze? - Zeb odłożył porcelanową łyżkę. Nigdy nie mógł jeść, kiedy się denerwował. - Rozbłysk na słońcu. Takie tam. Obaj wiemy, że to nieprawda.

- Ja i ty, i brak dostępu do Sieci - zareplikował Craig. - Może ze stu ludzi w Pentagonie oraz parę setek na całym świecie wiedzą, że kwazar czy plamy słoneczne, to bzdury. Ludzie w podobnej jak ty sytuacji. Nie tak wielu, jak można by sądzić.

- Na pewno jest jakiś plan, by wszyscy się dowiedzieli...

Craig potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie. Rusz głową. Te kluseczki są znakomite w sosie. Jedz, człowieku. I zastanów się, co właściwie zrobią ludzie z tymi dowodami, jakimi dysponujemy... No, zastanów się tylko. Masowa panika wśród cywilów. Zupełny chaos. To już będzie wystarczająco paskudne. A wyobraź sobie, co się stanie, gdy na ulice miast na całym świecie wyjadą czołgi... No, cóż... Kwazar... eliminuje to zamieszanie. Mam na myśli, że nikt nie wie, jak się to wszystko potoczy - Craig wzruszył ramionami. - Najważniejsze, to utrzymać łączność.

- Więc łatwiej jest rozpowszechnić masowo kłamstwa? Zdaje się, że to, czego chcesz, daje przeciwny efekt. Masz dzieci, Craig. Nie sądzisz, że powinny znać prawdę?

- Po co? - mężczyzna zerknął na Zeba ponuro. - To sprawa bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego.

Zeb był zszokowany.

- Nie uda ci się utrzymać czegoś takiego w tajemnicy.

- Znaczy, czego? - słowa wypowiedziane zostały z przesadną uprzejmością. - To wydarzenie przypomina wybuch na słońcu lub impuls magnetyczny wywołany eksplozją nuklearną.

Zeb pokiwał głową.

- Ale to, co się stało podczas impulsu, jest ważne. Informacje, jakie zarejestrowałem... Pomyśl. Impuls elektromagnetyczny - EMP - działa na jony. Myślę, że zmienił niektóre cząsteczki, wyczyścił z nich atmosferę Ziemi, by przygotować ją dla czegoś, co dopiero nadejdzie.

- A co dokładnie według ciebie miałyby nadejść?

- Nie mam pojęcia. Wszystko, co wiem, wynika z moich danych...

- Które należy oddać rządowi. Taki układ.

Craig pochylił się, oparł łokcie na stole; splótł palce.

- Przyłącz się do naszego zespołu. Jak powiedziałeś, to jest wojna. Przynajmniej na tę chwilę. Wojna bez wypowiedzenia, co czyni ją tym bardziej dziwną. Nadal istnieje szansa, że to coś pochodzi od ludzi, albo ma zupełnie naturalne przyczyny. Nie chodzimy z głową w chmurach i nie twierdzimy, że to pozaziemska inteligencja wywołała impuls elektromagnetyczny. A to nie jest wcale cała historia - były inne informacje nadchodzące w tym czasie, które według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostały odebrane przez żaden rodzaj odbiornika z komponentami komputerowymi. Jakby tamci chcieli, żeby tylko pewni... agenci... dostali je.

Zeb poczuł irytację.

- Sugerujesz, że jestem jakimś agentem obcych?!

- To nie ja, stary. To logiczne. Wydaje mi się, że nie odmawiasz pomocy. Dlaczego? I czemu mielibyśmy mówić opinii publicznej coś więcej o tym zajściu? Nieważne, jak wyjaśnisz informacje, które odebrałeś, to był przypadek. Analizą i deszyfracją przekazu powinny się jak najszybciej zająć sztuczne inteligencje. Zresztą, odłóżmy to na chwilę. Mamy kłopoty i bez tych, co myślą, że obcy mogą wylądować. Problemem są międzynarodowe koncerny. Infrastruktura techniczna jest rozbita. Jak na Bałkanach. Słuchaj, Zeb. Jesteś już naznaczony, z powodu tego, co powiedziałeś na konferencji. Masz zatem alternatywę: albo zatrudnić naprawdę dobrego prawnika - i to szybko, bo plan B oznacza zamknąć cię i wyrzucić klucz. Bo jesteś frajerem. Gdy nie znaleziono u ciebie zarejestrowanych danych, było spotkanie, gdzie zdecydowano, jak cię powstrzymać. Histeria wisi w powietrzu, Zeb. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, ale nie wiem tego na pewno. Fanatyków jest wielu, jak się okazuje. Postarałem się pociągnąć za wszystkie możliwe sznurki, żeby ci pomóc. Mogę za ciebie poręczyć, bo wiem, jaki jesteś zdolny. To szansa. Ale musisz szybko zmienić nastawienie. Naprawdę szybko. W ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund. Przekonam moich zwierzchników, że się przydasz. Zgódź się, Zeb. - Craig spojrział na niego błagalnie. -

W przeciwnym razie...

Z przerzuconego niedbale przez oparcie płaszcza zabrzmiał przytłumiony sygnał komórki.

- Twój telefon... - mruknął Zeb.

Nie spuszczać wzroku, Craig sięgnął po komórkę, włączył ją i wyłączył.

- Teraz to wszystko. Nie jestem wszechmocny, Zeb. Nie w tym przypadku. Powiedz, że się zgadzasz, dobrze? Mam dla ciebie nową tożsamość. Zniknie całe to zamieszanie, którego narobiłeś na konferencji, nikt cię nie znajdzie. Albo - albo, Zeb. Rozumiesz? Nie możesz się z nikim kontaktować.

Zeba ogarnęły obawy. Instynkt samozachowawczy mówił mu, że najmądrzej będzie zgodzić się na propozycję Craiga. Jednak nie potrafił. Wiedział, że nie potrwa długo, gdy wyjdzie na jaw prawda. Gdyby tylko umiał udawać, pewnie dalby sobie radę. Ale znał siebie zbyt dobrze. Wkrótce zaczęłyby stawiać opór. A to było coś, czego środowisko naukowe nie tolerowało, ważne było wspólne działanie. Zeb był krańcowo przeciwny utrzymywaniu tajemnicy, która według Craiga była niezbędna. I jeżeli przyjaciel próbowałby go chronić, mógłby popaść w tarapaty.

- Jest tu tylne wyjście? - wyszeptał, bo nieoczekiwanie coś ścisnęło go w gardle.

W oczach Craiga błysnęły łzy.

- Tak mi przykro - odezwał się. - Jednak odmawiasz, prawda? Będę miał kłopoty.

- Idę tylko do łazienki - zapewnił. Przyjaciel wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął spory plik pieniędzy i położył na stole, a potem rzucił okrycie Zebowi.

- Weź to.

Niegrabnie złapał płaszcza. Kiedy wychodził, Craig wcisnął mu do ręki zwitek banknotów. Zeb zdusił nagłą chęć, by się roześmiać.

Przecisnął się przez zaporowaną restaurację i skręcił w wąski korytarz między ścianami boksów ozdobionych chińskimi ideogramami.

Wyszedł na mróz, szarość i wiatr, podmuchy śnieżycy przesłaniały budynki w pobliżu. Ciężkie drzwi od zaplecza zatrzasnęły się za jego plecami. Owinął się płaszczem Craiga, wsunął pieniądze do kieszeni. W alei nie było nikogo.

Naprzeciw stał kościół. Druciana siatka chroniła remontowane witraże, ale tylne wejście było otwarte.

Zeb wszedł, jego kroki rozbrzmiały echem w pustym wnętrzu. Nikogo nie zauważył, ale poczuł głęboki spokój, którego nigdy nie potrafił i nie chciał wyjaśniać, a który zawsze odczuwał w kościele. Może to tylko z powodu wspomnień o matce zabierającej rodzinę na

mszę, zanim Zeb się nie zbuntował. W powietrzu unosił się nikły zapach kadzidła. Zeb skierował się do niszy pełnej migotliwych świec. Światło świata. Prawda. Wiedza. Transcendencja. Jakże daleko zaszła ludzkość, odkąd świece i wiara były jedynym światłem w ciemnościach...

Ale jeżeli Craig miał rację, było kilka osób, które mogły przeciwstawić się fali ignorancji. Szczególnie, jeżeli rząd stał na stanowisku, by tę ignorancję utrzymać. I jeżeli nie działał Internet. Zeb bał się, że sam nie posiada temperamentu, że jest psychicznie niezdolny, by zejść do podziemia. Może, gdyby udało mu się skontaktować z tymi ludźmi, mógłby jakoś pracować razem z nimi.

Ale wszystko już się dla niego zmieniło. Nieoczekiwana, dziwna radość wyostrzyła myśli Zeba, choć zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja nie nastraja do optymizmu. Nie powinien się kontaktować z Sally. Później może wróci do samochodu - o ile nie został zabrany - po pigułki. Albo może pójdzie do szpitala i spróbuje zdobyć lekarstwa nie zdradzając swojej tożsamości. Na pewno musi się pospieszyć. Przekroczył już pewną granicę i przestał się przejmować.

Stojąc przed szeregami świec rzucających migotliwe cienie, poczuł, jak architektura kościoła wpływa na jego myśli, kierując je w górę, na zewnątrz... Abstrakcyjne witraże, przyciemnione teraz z braku słońca, choć wyobraził sobie światło w architekturze własnego umysłu, zdefiniowały dla Zeba rzeczywistość.

Jego umysł ogarnęło nowe poczucie przestrzeni. Rozważania o nieskończoności. Jaki ogromnie długi czas zajęło fali zakłóceń dotarcie do Ziemi? Albo, jeżeli źródło było blisko, jak dużo czasu pochłonęło stworzenie owych zakłóceń tak, by przetrwały podróż? Skupił się na tych paru szczegółach. Miał taśmę z własnymi przemyśleniami, jednak i ona mogłaby zostać zniszczona, jeśliby impuls zdarzył się ponownie. Miał również zapis okresowości w Sieci, nietrudny do odzyskania, w każdym razie. Chyba, że zapis, jaki Zeb przypadkowo zrobił, zostałby wymazany w jakiś nieprawdopodobny sposób przez kogoś z zewnątrz.

Świat raczej nie zmieni się tak szybko. Miał trochę czasu. Psy były bezpieczne z Sally, ale choć bardzo będzie za nimi tęsknił, w swoim nowym życiu nie będzie miał możliwości, by się o nie zatroszczyć.

Zeb zdał sobie sprawę, że oto przekroczył granicę, zza której nie ma już powrotu. Nie dlatego, że znalazł się po drugiej stronie, a wręcz przeciwnie. Nadal jeszcze mógł podjąć decyzję. Nie wróci. Nie do dawnego życia. Nie do dawnego sposobu myślenia, którego parametry starannie wyznaczał przez wiele lat, by płomień nie wypalił się w nim od razu. Niech płonie. Świat, w którym znalazł sobie miejsce, przeminął. Z dnia na dzień, w eksplozji

światła, z dala od ludzkich oczu.

Wrzucił monetę do skrzynki i zapalił woskową świeczkę, patrząc, jak płomyk budzi się do życia. Obserwował go przez chwilę: błękitny rdzeń, otoczony rozproszoną koroną żółci. W niebiosach kryły się tajemnice. Zawsze tam były. Zawsze będą.

Gdyby się tak nie bał, czułby podniecenie.

Przemierzył nawę kościoła, odnalazł drzwi za chórem i wyszedł w posrebrzony świat.

Motyw w tonacji lekkości

Nocny program telewizyjny. Key Bridge - jak naszyjnik światła spinający brzegi mrocznej rzeki Potomac, w której falach odbija się lśnieniem Georgetown.

S. Wayne Tell (S - od Sun, imienia, którego nigdy nie używa) ma trzydzieści dwa lata. Wyższe wykształcenie. Tworzy tajne raporty na temat badań i odkryć w dziedzinie nanobiotechnologii, które wędrują prosto do Narodowego Instytutu Zdrowia.

Na wpół opróżniona butelka ciepłego taniego Chardonnay; opakowanie z resztkami pizzy z ananasem na szklanym stoliku do kawy. Mężczyzna rozparty na kanapie, zmienia kanały. David Letterman. Jak zawsze zabawny. Choć teraz już mocno podstarzały. Z nagrania, nie na żywo. Program na żywo mógłby być za bardzo niezależny. Wayne zwiększa głośność. Już prawie Nowy Rok.

- Cóż, nie potrwa długo, aż oni przybędą. - śmiech. Wszyscy wiedzą, kim są „oni”. Obcy. Dawid robi poważną minę przed kamerą. - To coś, z czego tylko jacyś wieśniacy nie zdają sobie sprawy: oni już tu są. Mam przy sobie niepodważalne dowody, że ci, których zaraz wskażę, są obcymi. Przyjrzyjcie się zdjęciom, kochani, można to dojrzeć w ich oczach, co nie? Prezydent Rolnikov - spójrzcie, w jaki sposób układają mu się włosy nad czołem - w loczek. Drugie dziecko z logo firmy Gerber, nasienie szatana albo obcy. A teraz popatrzcie na... Ups! Przepraszam! - zdjęcie Lettermana pojawia się na pięć sekund - To informacja zastrzeżona, tajna! - fala śmiechu.

Wayne wyłącza telewizor. Ma dość. Ludzie nic nie rozumieją. Wmawia się im, że to żart. Nawet teraz, tydzień po wyjaśnieniu pewnego zdarzenia z historii Ziemi. Ale Wayne bywał w Roswell. Do diabła, zdobył nawet wizę, by móc podróżować do utajnionych miejsc lądowania obcych w Rosji! Wiedział, z czym się tam zetknął. Wystarczy spojrzeć na tę ścianę. Metry półek wypełnionych książkami o obcych, spiskach i tajemnicach. W podwójnych rzędach. Jak można mieć wątpliwości? Jego ojciec został porwany przez obcych. Już nie żył, a rodzeństwo i nawet żona, która się z nim rozwiodła, uważali go za pomyłonego. Tylko syn pozostał jego przyjacielem do końca. Wayne pisał niezliczone listy do wydawców. Nawet list do prezydenta. Każdy w Sieci poznał prawdę, każdy, z kim Wayne miał kontakt, zanim Internet padł.

Na szczęście, wielu z tych ludzi miało dostęp do Pentagonu i innych ważnych organizacji, jak NSA - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i tych jeszcze bardziej tajnych.

Mężczyzna pochylił się do przodu, ściskając pilota obiema dłońmi. Zrobił, co należało. Czasami nachodziły go wątpliwości, ale takie chwile jak ta, przywracały mu poczucie pewności. Trzeba było to zrobić. I rozpowszechnić coraz dalej. Dlatego ojciec nie cierpiał na próżno. Dlatego nikt więcej nie będzie znowu cierpiał.

Dlatego wszyscy dowiedzą się, kim naprawdę jest wróg.

Duet nostalgiczny

Marie, Tortola, Brytyjskie Wyspy Dziewicze, 2014

Gdy tylko Marie przeszła przez ciężkie drzwi Pink House, które zamknęły się za nią jak zwykle z cichym sapnięciem, oblała się potem. Ale musiała wyjść. Musiała. Sama.

Upał uderzył w nią solidnie, gdy tylko opuściła chłodne, mroczne wnętrze starego domu. W czerwcowe południe Road Town - stolica Brytyjskich Wysp Dziewiczych - sprawiało wrażenie wymarłego. Budynki w pastelowych barwach - nieregularne kształty, jakby uformowane w białym tynku ręką dziecka i pacnięte podstawowymi kolorami - ciągnęły się wzdłuż czarnej, jednopasmowej jezdni. Marie dowiedziała się od Missy, młodej kucharki, że dziesięć lat temu budowle zastąpiły las i chaty, które zniszczył huragan.

Marie zdawało się, że w czasie pomiędzy jej śmiercią i nanobiotechnologicznym zmartwychwstaniem, wiele się zmieniło. Mała Marie, AI, i cały ten cholerny świat. Czasami czuła się tak, jakby leżała pod palmami, a wszystko, co miało jakiś sens, porywał przechodzący obok niej sztorm, tak potężny, że aż trudny do pojęcia.

Marie nadal nie była zupełnie zdrowa.

Przyglądając się przepływającym w pobliżu z buczeniem syren promom z St. Thomas, wypełnionymi turystami pijącymi darmowy rum, kobieta uświadomiła sobie, że czuje się urażona faktem, że są żywi.

Jednak na wyspie byli i tacy, którzy czuli się szczęśliwi. Jak się okazało, kataklizm systemu łączności wzbudził potężną falę - wielu ludzi, przekonanych, że „życie-jakie-znamy-już-się-skończyło”, chętnie wydawało oszczędności i żeglowało na słoneczne Karaiby. A parowce i klipry o żaglach słonecznych po drodze zatrzymywały się właśnie na Wyspach Dziewiczych.

Ponad rzędem budynków w kierunku morza biegł do kamiennego nabrzeża mur upstrzony puszkami i butelkami. Wyblakłe samochody, bez okien i klamek, poznaczone wykwitami rdzy, spoczywały w zmęczonych pozach blisko domów.

Marie przeszła prawie dwadzieścia jardów wzdłuż ulicy. W oddali lśniła ułudnie Second Street, dalsze części dzielnicy Road Town złożone zostały w ofierze słońcu i teraz, w blasku jasnego światła, budynki zdawały się nierzeczywiste. Kobieta zatrzymała się zupełnie pozbawiona sił tuż przy na wpół skończonym barwnym fresku na ścianie jednego z domów.

Stała tak kilka minut. Z początku poczuła się potężnie zagrożona, gdy uświadomiła sobie, gdzie się znajduje, zaraz jednak wzruszyła ramionami i minęła opustoszałą ulicę.

Muchy krążyły wokół przejrzałych mango spoczywających w czterech drewnianych skrzynkach przy stoisku Joego Alinqua. Sprzedawca podniósł się z wiklinowego krzesła.

- Witam, pani Zeno.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Tutaj była panią Zeną. Jak w opowieści płaszcza i szpady. Jakby to miało znaczenie. Chociaż na pewno nie dla Marie.

Zapewne dlatego Hugo nie pozwalał jej wychodzić samej.

- Może mango? - skręt w ustach sprzedawcy sypał iskrami, gdy Joe się zaciągał. Zdawał się nie dbać, że wpatrywała się w owoce przez parę minut z miną ogłuszonej krowy. Sposób, w jaki pomarańczowe plamy przechodziły w pikselowe kropki zieleni, zafascynował Marie.

- Bo ja wiem, Joe? Wyglądają na przejrzałe - trąciła jeden palcem. Ach, znów nabierała wprawy w podtrzymywaniu konwersacji i odmowie. Duży postęp. To był rodzaj syndromu, który zapamiętała. Niezdolność do mówienia, zanim ktoś nie odezwie się do niej. Jedno z rzeczy znamionujących awarię mózgu. - Masz więcej tych bananów?

Poszedł na zaplecze sprawdzić. Marie otworzyła plastikową butelkę z wodą, upiła łyk i zamknęła. Upał nie służył nano znajdującym się w wodzie. Nie wyrządzą szkody, jeżeli zaczną wykonywać zaprogramowane zadania, zanim jeszcze znajdą się w jej organizmie, ale staną się wtedy po prostu bezużyteczne. Jednak pogratulowała sobie, że pamiętała, aby je zabrać. Nadal nie była pewna, na czym właściwie polegało jej przerażająco kosztowne wskrzeszenie. Może wiedziała, kiedy podpisywała zlecenie. Znała tylko rezultaty, a te były dziwne, nierówne i nieprzewidywalne. Inaczej niż reklamowano.

Oczekiwała, że będzie to podobne doświadczenie do wylewu lub zawału serca, jak ten proces określano w reklamach. Przecież nawet trauma była do naprawienia. Prawdziwa mieszanka kuracji opartych na najnowszych osiągnięciach genetyki w dziedzinie naprawy i regeneracji komórek. I tak oto obietnica przedłużenia życia stała się kosztowną ochroną przed śmiercią.

Marie zmrużyła oczy przed słońcem i opuściła niżej rondo szerokiego, słomkowego kapelusza, miłe zaskoczona, że przezornie zabrała go ze sobą, gdy otwierała drzwi.

- O, tak, to dzień pełen niespodzianek - powiedziała głośno. Włosy zaczynały jej odrastać, a jeszcze kilka tygodni temu nabawiła się paskudnych oparzeń na łysej czaszce. Missy była wściekła.

- Słońce tutaj grzeje naprawdę mocno. Tyle razy mówiłam! - gderwała z nieznacznym

angielskim akcentem, smarując głowę Marie maścią domowej receptury. Specyfik okazał się skuteczny, łagodził ból. Aloes. Sukulent o wiecznie zielonych, ostrych, języczkowatych liściach...

Zabawę słowną przerwało pojawienie się Joego dźwigającego kiść bananów. Gra w słówka, to było coś, w czym celowały maluchy. Powinna nad tym ciężiej popracować, aby wszystko w końcu wróciło na swoje miejsce. Powiedziano jej, że część mózgu musi się rozwinąć, dojrzeć. Nie mogła sobie przypomnieć, jak dokładnie to nazwano.

- Dwa dolary - zażądał Joe.

Gdy się skrzywiła, sprzedawca poruszył się niepewnie. Marie zrobiło się go żal, więc wygrzebała z kieszeni kilka wymiętych banknotów, nie pamiętając, kiedy się tam znalazły, i zapłaciła wymienioną sumę.

- Dziękuję - dodała.

Na tę chwilę był to kres jej możliwości konwersacyjnych.

Odwróciła się i spojrzała na ulicę. Poczowała zawrót głowy. Budynki - sklepy i domy - wychylały się wzdłuż drogi zabawnymi wielokątnymi bryłami, nigdy prostymi czworścianami. I wtedy pojęcia „ulica”, „Karaiby”, „zmartwychwstanie”, „śmierć”, czy „zdrowienie” rozmyły się, pozostawiając w umyśle Marie tylko kolorowe plamy zielono-niebieskich łat rozpełzających się w górze, zmieszanych z plamami bieli, czerwieni, żółci i purpury. Wszystko to rozplynęło się w ciemności...

- Marie! - poczuła uderzenie na policzku. Odetchnęła, czując przelotną dumę, że potrafi rozróżnić doznania w takiej chwili. Ciemność ustąpiła, wróciły barwy tym razem pozbawione intensywności przywidzenia.

Mglisty kształt przemienił się w Hugo. Marie rozpoznała go od razu. Nadal stała. Jeden z tych irytujących, krótkich ataków... Jednak była zdolna się z nich śmiać.

- Co cię bawi?

- Czy właśnie nas nie zdemaskowałeś?

Ale Joe już na dobre zaszył się na zapleczu i najprawdopodobniej nie był zainteresowany zajściem.

Hugo pochylił się i podniósł banany upuszczone przez Marie na zakurzony chodnik. Westchnął. Odchylił głowę i popatrzył na nią uważnie.

- Co ty sobie, do diabła, myślisz?

Miał twarz o zdumiewająco orlich rysach, raczej prostokątną, przystojną. Ciemne włosy, grube i proste, pogłębiały jego smagły odcień skóry. Dziedzictwo hiszpańskich przodków, jak twierdził. Miał trochę mniej niż pięć stóp wzrostu. Niziołkowatość, jak

żartował, odziedziczona po cyrkowcach. Masywnej budowy, o szerokich ramionach. Krótkie nogi, nieproporcjonalne do reszty. Był tylko o kilka lat starszy od Marie. Ledwie pamiętała czasy, gdy nie znała Hugo. Byli jak rodzeństwo, odkąd skończyła dziesięć lat. Teraz był ubrany w elegancki, szyty na miarę garnitur, tak biały, że musiała zmrużyć oczy, a do tego nosił równie jaskrawe, czerwone sandały.

Hugo spędził lata, próbując stłumić świdrujące spojrzenie swoich niepokojąco zielonych oczu. Chciał, aby były beznamętne i skryte, jak u Roberta Mitchuma lub bohaterów książek szpiegowskich, bo tylko wtedy, jak twierdził, ludzie będą okazywać mu szacunek. Gdy byli nastolatkami, Marie obserwowała, jak ćwiczył owo spojrzenie przed lustrem. W tamtych razach jej wybuchy śmiechu nie były przyjmowane z aprobatą.

Lecz teraz jego oczy nie były puste i beznamętne. Hugo odrzucił lata treningu ze względu na nią, spojrzenie miał przepełnione wyrzutem, złością i rozdrażnieniem.

- Tylko idioci wychodzą w taki upał. Nie zastanowiłaś się, dlaczego jest tak pusto na ulicy?

Marie wzruszyła ramionami.

- Musiałam odpocząć.

- Trzeba było mi powiedzieć. Wybralibyśmy się na żagle albo coś.

Jej kecz, strzeżony przez dwóch francuskojęzycznych marynarzy świetnie posługujących się również bronią automatyczną, kotwiczył w porcie. Nie miała ochoty na wycieczkę jachtem.

- Nie o to chodzi - burknęła, zwracając się szybko w kierunku Pink House.

Pink House nie był luksusowy. Niełatwo by było przelicytować domy w Road Town, których wiele wybudowano po przejściu huraganu z pieniędzy z ubezpieczeń, a które zaspokoić miały dziwaczne, sybaryckie gusta, o jakie ani przyjaciele, ani sąsiedzi nie podejrzewali wcześniej właściciele posesji. Z naturalnej wielkości posągami Marii Dziewicy i świętych współzawodniczyły złocone kolumny, stanowiące dziwaczny kontrast dla domów w międzynarodowym stylu „szkło-i-chrom”, na parcelach kilka stóp dalej.

Pink House był nieduży, skromny i solidny jak skała, kilkukondygnacyjny, o ścianach z mocnego betonu. Łatwy do obrony, jak mówił Hugo. Okratowane okna. Nieduży basen z fontanną na wewnętrznym dziedzińcu nie był zbyt udany, ale spokojne, długie strugi terapeutycznie nawilżały wysuszone, rozpalone słońcem powietrze. To wszystko było celowe.

Właśnie o to chodziło. Basen, grube ściany, prywatność, brak roślinności. Wszystko w jednym celu. Od przyjazdu tutaj miesiąc temu, gdy dobiegła kresu najtrudniejsza część procedury wskrzeszenia - regeneracja komórek - Marie stopniowo przypominała sobie to

miejsce opuszczone sześć, może siedem lat temu. Wspomnienia pojawiały się nagle. Teraz wiedziała, że nigdy naprawdę nie miała pojęcia, co znaczy żyć tutaj. Kiedyś wydawało się jej, że będzie to romantyczne miejsce. Wakacje w tropikach. Nie przypuszczała, że będzie to interludium koszmarów i poczucia żalu. Nie liczyła się nawet z tym, jak to jest, gdy nie można wyjechać.

Nie przewidziała, że Malutka Marie i Al będą martwi.

Hugo otworzył jasnoszkarłatne drzwi i wkroczyli do mrocznego foyer. Zrzuciła sandały, a listwy posadzki ochłodziły jej stopy. Hugo strząsnął marynarkę, odsłaniając broń pod pachą. Wzór z palmowych drzew na jego koszuli miejscami pociemniał od potu.

Marie ruszyła do urządzonego z przepychem salonu. Dwa wysokie stołki z rattanu nachylone niepewnie do baru, którego pomalowany na czarno kontuar nieco wyblakł. Wielka zielona sofa od Naugahyde'a przycupnęła na posadzce z różowawej mozaiki, w której brakowało wielu kamieni, co Marie zawsze kojarzyło się ze szczerbatą paszczą. Naprzeciw kanapy, w niezbyt udanej próbie stworzenia kącika do rozmów, postawiono dwa masywne, obite czerwonym aksamitem krzesła w stylu art deco, których nowość przeminęła chyba w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Obicie na podłokietnikach wytarło się, ale na siedziskach i oparciach nie było mocno zniszczone, każdy miał zatem wybór - trzymać się Naugahyde'a albo męczyć się w upale na szorstkim aksamicie siedzisk. Całości obrazu dopełniały stoliki z lampami i popielniczkami oraz niedbałe ułożone w stopy książki Hugo. Brakowało, oczywiście, klimatyzacji. Zaskakujące, ale Hugo to doceniał. Twierdził, że musi słyszeć, co dzieje się na zewnątrz.

Missy hałasowała garnkami w kuchni, a zapach skwierczącego czosnku docierał do salonu. Marie chciałyby móc docenić przysmaki przygotowane przez kucharkę, ale jedzenie jej nie obchodziło.

Opadła na sofę. We wnętrzu domu czuła się lepiej. W końcu było tu o dwadzieścia stopni chłodniej. Wszystko zdawało się poruszać w normalnym tempie, a nie jak z długimi przeskokami, niczym na zniszczonej taśmie wideo.

- Chcę wrócić do domu.

Hugo wszedł za bar. Dostrzegła tylko czubek jego głowy, a i ten znikł, gdy schylił się w poszukiwaniu piwa, które pijał około południa.

- Nie możesz wrócić do domu. Jeszcze nie. I nie zauważyłem, abyś choć trochę zmieniła wygląd. Czy to nie miała być część planu? Zmylić przeciwników, zmusić do zgadywania...

Z sykiem otworzył „Greeny Man”, lokalny odpowiednik Heinekena. Marie już nie

umiała przewidzieć dokładnie wszelkich możliwości. Ta dawna kobieta, którą kiedyś była, jawiła się teraz jako biała plama w pamięci. Nikt nie był bowiem w stanie przewidzieć przerwania łączności, impulsu, ciszy. A ci, którzy sprzedali Marie zmartwychwstanie, nie powiedzieli, jak bardzo będzie to bolesny i trudny proces. Jej zespół ludzi był w stałej gotowości, ale Marie nigdy nie była unieruchomiona tak, jak wtedy. Jeszcze w stanie śmierci klinicznej podłączono ją do płuco-serca, które zapewniało krążenie i dotlenienie krwi. Potem zanurzono ciało Marie w kokonie organicznego żelu, aby wsączył się w uszkodzone organy - wątrobę, płuca. Eksperymentalna terapia, niedostępna publicznie, nawet nierozpowszechniana, polegała na transportowaniu do DNA informacji niezbędnych w procesie regeneracji oraz na podawaniu precyzyjnie odmierzonych dawek enzymów i hormonów pobudzających wzrost komórek. Marie pamiętała tylko continuum obrazów, jak we śnie, przerywanych długimi okresami ciemności.

Śmierć nie była bolesna. Za to życie, tak. A najbardziej bolesna była świadomość nieuchronnego faktu, że najbliżsi stracili życie z jej powodu.

- Myślę, że potrzebny jest nowy plan - oznajmiła, bardziej do siebie. Hugo nie odpowiedział, był zajęty czymś za barem.

Marie przesunęła palcami po krzywiźnie wielkiej popielniczki z lat sześćdziesiątych z wyciśniętym znakiem liścia herbacianego, przypominającego kształtem kartonową łzę. Starła się dotknąć lub poruszyć tak wiele przedmiotów, jak tylko mogła, traktując to jak rozszerzenie ćwiczeń z dziecięcymi klockami. Takie przestrzenno-dotykowe zbieranie danych. Gładkość. Chłód. Popielniczka jakby czekała na jakiegoś dawnego palacza, teraz bez wątpienia już martwego. Tak jak Marie, martwa w każdym aspekcie, z wyjątkiem jednego.

Nowy plan. Nie miała pojęcia, co to mogłoby być. Ale znaczący gest robił wrażenie właściwego.

- Gin z tonikiem pomoże mi myśleć - oznajmiła najbardziej autorytatywnym tonem, na jaki udało jej się zdobyć.

- Marie, nie możesz... - zaczął Hugo, stając obok telewizora, włączanego jedynie przez Missy, w jednej ręce trzymając książkę, w drugiej piwo. Spojrzała w jego oczy spod pomarszczonych brwi, groźnie, przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało. Tylko westchnął, odłożył książkę i piwo na telewizor, wrócił za bar.

- Może Lite'a? - zaproponował.

- HUGO! - to był krzyk. Ale raczej przyjemny krzyk. Niesamowite, ale może w jej nowym mózgu rozwijała się nowa osobowość. Przez osiem miesięcy Marie nie miała w ustach alkoholu. Nie chodziło o to, żeby się upić. Ale w tej chwili czuła nieodparcie chęć na

drinka. Czy nie tak właśnie czynią ludzie w tropikach, ludzie wyczerpani gorączką lub cierpiący z powodu straty, albo tacy, którzy uparcie trzymają się życia i próbują je poskładać, choć wszyscy, których kochali, nie żyją, rozerwani bombą wrzuconą do pokoju? I odnalezieni zbyt późno, by można im pomóc, bo Marie w tamtej chwili sama była martwa? Sprawy w Paryżu potoczyły się nie tak, jak planowano, a Hugo przeleżał nieprzytomny pod gruzami ponad dzień... Usta Marie zadrżały, zamrugła gwałtownie.

Nie, już z tym skończyła. Nie można tylko płakać i płakać. Świadomość tej straty pozostanie na zawsze, niezmiennie bolesna. Popatrzyła na zewnątrz przez otwarte francuskie drzwi z polerowanego mahoni. Pomiędzy ścianami przesłoniętymi kurtyną kropel strzelała hipnotycznie w górę fontanna zielonej wody, jakby wbrew prawu ciężenia.

Marie była żywa, uparcie żywa, musiała sobie to tylko uświadomić. I pozostanie żywa prawdopodobnie jeszcze długi, długi czas. Inni, również ci, którzy zabili Malutką Marie i Ala, nie będą mieli tego szczęścia.

Przeżyła, aby o to zadbać. To jedyna rzecz, która nadawała sens jej obecnemu życiu. Jakaś część mówiła Marie, że to idiotyczne, ograniczone i skrajnie głupie myśleć o zemście, która sprawi tylko dziką radość. Powinnaś poszerzyć horyzonty, Marie, powiedziała sobie, idąc powoli w kierunku basenu, po drodze zrzucając ubranie. Sukienka, bielizna i to wszystko. Odśloniły ciało chude jak szkielet. Marie mogła teraz nosić ubrania w rozmiarze trzy. Ma sylwetkę, o jakiej wcześniej nawet nie marzyła. A teraz wcale jej to nie obchodziło.

Gorące promienie słońca uderzyły w nią, gdy tylko porzuciła schronienie w cieniu okapu. Betonowe płyty oparzyły stopy. Weszła do basenu, gdzie woda nie była ani zimna, ani ciepła, za to kojąca. Woda, w której dzięki specjalnym filtrom, egzystowały uzdrawiające nano, otuliła Marie. Nano były tak małe, że mogły wnikać przez jej skórę do organizmu. To najistotniejsza cecha tego miejsca. Basen przygotowywano wiele lat wcześniej, by czekał na nowe odkrycia i by mógł stać się w porę częścią systemu. By czekał na nią.

I na Malutką Marie.

Hugo przyłożył jej do karku chłodne szkło. Zerknęła, wyciągnęła rękę. Kucnął i podał jej gin z tonikiem. W szklance pływał też plasterek limonki.

- Przepraszam - powiedziała.

Wzruszył ramionami, ale mimo krzywego uśmiechu, jego oczy nadal błyszczały złością. Z chrząknięciem wrócił pod osłonę cienia, usiadł z rękami na kolanach, pozornie odzyskując spokój. Jego oczy znowu przybrały beznamiętny wyraz. Mógłby tak siedzieć godzinami. Marie zapytała go kiedyś, o czym myśli, gdy tak siedzi.

- O akrostychach - odpowiedział.

Gin był dobry. Uwalniał umysł. Nigdy nie przepadała za alkoholem, oprócz okazjnie wypijanej butelki dobrego wina. Mówi się, że picie pozwala zapomnieć. To było wygodne. Tak jej się zdawało. Mogło wypełnić czas. Lata... Pomyślała, jakie to ironiczne, że posiadała tak wyraźne wspomnienia dotyczące straty, a jednocześnie z takim trudem musiała uczyć się prostych słów. Pociągnęła kolejny łyk ginu. Opisałaby go, jako „gorzki”, „słodki” i „cierpki”.

Na fresku z przeciwległej ściany czarne kobiety niosły banany przymocowane do pasków opartych na czołach, a czarni mężczyźni ścinali trzcinę cukrową. Dalej ciemnoskórzy mężczyźni i kobiety wywijali wielkimi krzywymi mieczami nad kulącymi się ze strachu białymi najeźdźcami, na tle ujętych w dziwacznym skrócie perspektywicznym drzew i domów. „Haiti” - dumiała jak zwykle o tej porze, zastanawiając się równocześnie, czy upije się ginem. Poprzedni właściciel domu był Haitańczykiem.

- Znasz się na *voudoun*? - zwróciła się do Hugo.

- Loas. Legba. Baka. Gad - miał w głowie pełno słów.

- A ten ostatni?

- Strażnik - odrzekł bez śladu ironii - w postaci brązowego karła.

- Zombie - dodała w zamyśleniu. - Może jestem teraz zombie.

- Myślałem, że pochodzisz od królowych *voudoun* - zripostował.

- Racja. A odziedziczona po nich wiedza wypełnia mi mózg, tylko o tym nie wiem. Hugo, wiem niewiele albo i nic o *voudoun*. Widziałeś choć raz, żeby robiła z kurą coś więcej niż gotowanie jej w winie? A martwa koza na progu nie wydawała mi się nigdy pomocna przy procesach sądowych, w jakich miałam wątpliwą przyjemność uczestniczyć. Byłam zbyt zajęta, żeby interesować się jeszcze *voudoun*. Wiem doskonale, że to prawdziwa religia, nie żadna bajeczka, jak myślą niektórzy. Mieszanka katolicyzmu i afrykańskiego spirytyzmu. Hybryda z Nowego Świata. Zdaje się, że mam teraz trochę czasu. I chyba nadchodzi mnie dziwne myśli. Zabawne. Można to było przewidzieć. Jednak zawsze myślałam, że to inna Marie Laveau kontrolowała Nowy Orlean, ponieważ to wszystko jest takie brudne. Sądziłam, że *voudoun* to kolejne słowo na określenie szantażu - odłożyła szklanke na krawędź basenu i zanurzyła głowę, a woda ochłodziła jej spieczoną, ogoloną czaszkę. Wynurzyła się i ponownie uniosła szklanke. - Może jednak *voudoun* jest czymś więcej.

- Spora część ludzkiego mózgu zdaje się pochłonięta irracjonalnymi wierzeniami - Hugo pociągnął długi łyk piwa.

Marie przyglądała się freskowi przez kilka długich minut. Wyciągnęła długie, chude ramię i porównała z barwą skóry ludzi na malowidle.

- Chcę być ciemniejsza - stwierdziła.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - Hugo wyjął z kieszeni koszuli komórkę i otworzył ją.

- Tak to działa?

- Mamy zielone światło. Jak ciemna chcesz być?

- Jak noc - oznajmiła. - Z przepięknym niebieskawym połyskiem.

- Jeden kolor skóry w barwie nocy poproszę - gdy mówił, powoli ruszył do wnętrza domu, zanim sama zdążyła się podnieść. Ten dowcip nieco ją dotknął, ale nie przejęła się. Zrobi się, nie zrobi się, jakie to ma znaczenie? Hugo wspominał coś o zmianie wyglądu całkiem niedawno. Może pomysł z ciemną skórą go uszczęśliwi?

Przyjaciel wrócił na słońce i usiadł w tej samej pozycji, co wcześniej.

- Załatwione - zakomunikował. - Przyciemnienie na zamówienie specjalne. Błyskawicznie, za tydzień.

- Ślamazary...

- Bo trzeba będzie to przetransportować parę razy dookoła świata. Nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Tylko kilka krajów pozwala, by odrzutowce przelatowały nad nimi, a do tego pojawiły się naciski, aby to zdelegalizować. Latanie bez instrumentów pokładowych jest naprawdę trudne dla pilotów przyzwyczajonych do techniki z czasów przed Ciszą. I nikt dokładnie nie wie, kiedy impuls ponownie się pojawi i jak wpłynie na samolot w trakcie lotu. Po tym, jak lot 101 linii WorldSpan rozbił się w centrum Rzymu, wiele rządów zdecydowało, że nie warto podejmować ryzyka.

- Tylko na moment znikłam, a już cały świat się rozwalił. Kto zajmie się moją skórą?

- Laboratorium w Kostaryce, jak sądzę.

- Czemu nie to z Pragi?

- Bo zostało wygryzione z interesu przez jakieś agencje rządowe.

- Cóż, dzięki. Co powiesz na Ellingtona?

- Ach, chcesz się pobawić? - Hugo odchrząknął, odchylając się. - Rozpieszczasz mnie.

- Pozostań czujny, aby dobrze wykonać zadanie - powiedziała i pożałowała, że nie ugryzła się w język. Rozpacz Hugo po stracie Malutkiej Marie była nawet większa niż jej smutek, choć mniej widoczna. Przyjaciel i ochroniarz czuł się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

Tymczasem Hugo zniknął we wnętrzu domu. W powietrzu rozległy się przytłumione dźwięki. Wrócił niosąc butelkę ginu, tonik, pociętą limonkę i kubeczek lodu. Ustawił to wszystko przy Marie.

- Zajmij się tym - poradził. - Teraz ja jestem twoim oficjalnym pełnomocnikiem.

Marie zmieszała kolejnego drinka.

- „Mood Indigo”? Ale to takie... smutne. Nie jak w wykonaniu Raya Nance'a i... - zmarszczyła brwi usiłując sobie przypomnieć.

- Nieźle - uśmiechnął się lekko Hugo. - Zawsze twierdziłem, że muzykoterapia dobrze ci robi. Wykonanie, o którym myślisz, pochodzi z lat pięćdziesiątych, a to jest oryginalne nagranie radiowe z 1935. Robi wrażenie, bo Ellington dodał partie na puzonie i klarncie - puzon dla wysokich, klarnet dla niskich tonacji. To było rewolucyjne użycie tych instrumentów. Zachwycające.

Hugo był ekspertem od jazzu. Jednym z tych, którzy mogą nie przespać nocy włączając się od klubu do klubu, słuchając bluesa, często do białego rana, czasem nawet odwiedzając filharmonię. „Starzy ludzie grający stare kawałki” - oznajmił kiedyś głośno o drugiej nad ranem stając u stóp łóżka Marie, wypiwszy za dużo. Potem padł. Obudził tym babkę, która zrobiła im straszną awanturę, ponieważ myślała, że wnuczka i podopieczny mogli uprawiać seks, co nie mieściło się jej w głowie. Na dodatek, przekonanie to nigdy nie uległo zmianie. Ale Hugo właśnie wtedy zaraził czymś Marie - miłością do jazzu i wiedzą o formach sztuki, która odbijała jak lustro zmiany dotyczące ludzkości, jakie przynosiły wojny i nauka dwudziestego stulecia.

Marie oddała się na chwilę wspomnieniom i fantazjom. Obracanie rzeczywistości. Może zrodziło się z muzyki, wzrosło wraz z arpeggio brzmiącym delikatnie w starym, skromnym nagraniu, które zachwycało jakby nadal było nowe i świeże. I współgrało z jej myślami.

Może powinna użyć własnej wiedzy w kompletnie nowy sposób. Może trzeba postawić ludzi - mistrzów swoich dziedzin, podobnych do tych mistrzów muzyki - w nowej sytuacji. Rzucić ich w nowe środowisko, jak muzycy zostali rzućeni w środowisko Ellingtona, cieplarnię, gdzie rozwijał się jazz. Do czego by to doprowadziło, trudno przewidzieć. Wykorzystać okres Ciszy, by potężną siłą pchnąć ludzkość na całkiem nowy poziom rozwoju. Albo znaleźć rozwiązania wszystkich zagadek.

Dlaczego miałyby to zależeć od rządów?

- To był pierwszy zespół Ellingtona?

Hugo potrząsnął głową.

- Jeden z najwcześniejszych, ale nie pierwszy.

- Było ich wiele.

- Zgadza się. Wiele orkiestr, wiele zespołów, także tria i współpraca z innymi

artystami. Ale geniuszu Ellingtona, jakim naznaczał tamte zespoły i grupy, nigdy nie udało się odtworzyć współczesnym wykonawcom. Umiał nie tylko użyć tych utalentowanych muzyków w unikalny sposób, ale też podkreślić ich zdolności. Nawet powiedział kiedyś, że ich ograniczenia są wyzwaniem dla jego wyobraźni. Czasami próbuję sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać. Wszystkie te głosy pod jego rozkazami, muzycy, którzy wzniesli się na wyżyny sztuki, ludzie pijani nie alkoholem, bo Ellington potrafił zadreńczyć pijaka, jeżeli picie przeszkadzało mu w pracy, ale pijani jazzem, czymś zupełnie nowym, czego jeszcze świat nie znał.

- Czymś, czego świat jeszcze nie znał - jak echo powtórzyła Marie, zamykając oczy. Muzyka porządkowała jej myśli z chwili na chwilę, a były one ze sobą powiązane i tak przyjemne, przyjemne, przyjemne... Odległe w czasie, ale nadal wyraźnie obecne w teraźniejszości.

- Jest tylko jedna rzecz, którą warto zrobić, Hugo. Stworzyć coś, czego jeszcze świat nie widział. Nie sądzisz?

- Myślisz za mnie - odpowiedział Hugo towarzyskim tonem, a „Mood Indigo” dobiegł końca. Wybrali „Take the A Train”, „Black and Tan Fantasy”, „Solitude” i „East St. Louis Toddle - OO”.

- Właściwie to miało być „Toddle-OO”, ale firma nagraniowa uznała, że to bez sensu. - Marie słuchała opinii Hugo, a tymczasem gorące popołudnie powoli przechodziło w wieczór. Dotarł do niej smakowity aromat kokosowo-drobiowej zupy i gdy to sobie uświadomiła, zrozumiała, że drink zadziałał i udało się jej Zapomnieć.

Na chwilę.

*

- Dlaczego pozwoliłeś mi wypić tak dużo? - narzekała następnego ranka, leżąc na kanapie.

- Aby dać ci nauczkę - Hugo zajął miejsce na jednym z obitych aksamitem krzeseł, z którego nogi zwisały mu nie sięgając podłogi. Dzisiaj ubrany był w koszulę w ogromne pomarańczowe kwiaty, które gryzły się z kolorem obić. Marie zamknęła oczy.

- Zupełnie zapomniałaś, czego nauczyłaś się w Chicago. Pamiętasz tamtą noc, gdy poszłaś z przyjaciółkami na State Street?

- Dwadzieścia lat temu? Wiesz, że nie pamiętam - odpowiedziała. - Sadysta.

- Nie pamiętałaś nawet kolejnego dnia - zauważył. - I zdawało się, że zadziałało znakomicie, bo potem już nie włóczyłaś się po ulicach.

- Ale było bardziej interesująco niż wczoraj - mruknęła wstając. Mokry ręcznik zsunął

się jej z czoła. - Gdzie system? - miała na myśli komputer - Wiem, że gdzieś tu jest...

- Powinnaś raczej trzymać się od tego z daleka.

- Bzdura - warknęła. - Jestem gotowa. Mam dziurę w sercu, nie w mózgu.

- Prawdę mówiąc, Marie - powiedział łagodnie Hugo - masz dziurę w mózgu. I to całkiem sporą, jeśli mam być szczery. Użyli pocisków dum-dum. To dlatego jest ci tak ciężko. Trzeba ci było odtworzyć embrionalne stadium w mózgu, potem zróżnicować tkanki, nadzorować ich wzrost i rozwój. I po tym wszystkim ponownie wypełnić informacją, ponownie uczyć. Prawdopodobnie nie pamiętasz nawet tych miesięcy. Nie kontrolowałaś własnego ciała. Przypuszczano, że możesz nigdy sobie nie przypomnieć, kim byłaś wcześniej. Ale widocznie ważne obszary w twoim mózgu zostały uszkodzone w niewielkim stopniu i pewnego dnia się ocknęłaś. Tylko na kilka minut, potem na kilka godzin dziennie. Gdy pojawił się impuls elektromagnetyczny i wysiadł prąd, myślałem, że cię stracimy. Ale się udało. A podczas regeneracji stosowano coraz więcej muzykoterapii. Prawie przez cały czas...

- Dużo Ellingtona?

Hugo wyszczerzył zęby.

- Sądzę, że mocno skupiono się na Ellingtonie i na jazzie w ogóle. Jazz rozwija umysł. Oczywiście, terapeuci chcieli dać więcej klasyki, ile tylko udało im się przemycić za moimi plecami. Byli po studiach, myśleli, że wiedzą lepiej. Ale ty potrzebowałaś jazzu. Nawet oni zauważyli, że jazz wzmacnia aktywność twojego mózgu, sprawia, że aktywność skacze z radości. Tak było... Przepraszam, kiepski żart... - „Skakać z radości”, to był kawałek Ellingtona.

Po długiej chwili Marie spytała:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Zalecenie lekarskie. Miałaś dość na głowie. Naprawdę ci się polepszało przez ostatnie trzy lub cztery tygodnie. Twój stan był na tyle stabilny, że mogłaś się obejść bez armii techników i pielęgniarek.

Marie opadła na kanapę. Poczowała, że jej żołądek skręca się w supeł. Nie było potrzeby, by zamykać ją w metalowym cylindrze i czekać na rozwój technik regeneracji tkanek. Wyobraziła sobie zamknięcie w metalowym sarkofagu. Podniosła się.

- Musimy pogrzebać Malutką Marie.

Wydało jej się, że słyszy bicie serca Hugo rozbrzmiewające w całym pomieszczeniu. W końcu zapytał:

- Dlaczego nie poczekaasz, Marie? Zdecydujesz, gdy poczujesz się lepiej.

- Ona jest martwa, Hugo. Nie mogę znieść myśli, że jest zamknięta w tym... cylindrze.

Cokolwiek z niej zostało.

Hugo po zamachu wracał do przytomności w szpitalu, tym samym, do którego paryski zespół Marie przyniósł jej córkę. Nie wiedziano, co zrobić, więc zamknięto ją w cylindrze wypełnionym cieczą podtrzymującą życie. Ale to mogło pomóc tylko wtedy, gdy śmierć nastąpiła nie później niż przed czterdziestoma pięcioma minutami, a ciało nie było nazbyt uszkodzone. To, co się stało, zakrawało na tragiczną parodię. Al nie pozostał w jednym kawałku. Zgodnie z życzeniem, pochowano go w Paryżu. Na pogrzeb przyszła matka, trzy siostry Ala, liczne grono przyjaciół i jeszcze więcej znajomych, którzy musieli się bardzo rozczarować, gdy przeczytano testament zmarłego.

- Możesz potrzebować materiału genetycznego - powiedział Hugo, a Marie doskonale zdawała sobie sprawę, że z trudem zmuszał się, by głos brzmiał spokojnie.

Starła łzy z policzków czując wilgoć na dłoniach.

- Dużo o tym myślałam, naprawdę. Pewnie, mogłabym kazać zapłodnić parę jajeczek materiałem genetycznym Malutkiej Marie. Stworzyć w ten sposób parę zygot. Pozwolić, by jedna zaczęła się rozwijać. I miałabym dziecko, które wyglądałoby jak ona. Ale to nie byłaby Malutka Marie. Nigdy. Moja córka umarła, Hugo. Jeżeli kiedyś będę jeszcze miała dziecko, nie chcę, aby to była ona... Moja najdroższa... To nie byłoby uczciwe wobec nowego dziecka, nie rozumiesz?

Podniosła oczy i ujrzała łzy spływające po policzkach Hugo. Wstała. Mokry ręcznik zsunął się z jej kolan na podłogę. Przysiadła na wąskim podłokietniku krzesła, objęła przyjaciela i opierając policzek o jego głowę, w końcu się rozplakała.

*

Pogrzeb Malutkiej Marie odbył się dwa miesiące później w Nowym Orleanie. W ten listopadowy wieczór obecna była tylko Marie, Hugo i ksiądz z małego kościółka. Z otwartych okien niedalekich bloków dobiegała stłumiona rockowa muzyka. Hugo zamówił ogromne wiązanki kwiatów, których zapach wypełniał powietrze. Głos księdza krążył, odbijając się od zimnych kamieni.

Śmierć Marie została odnotowana w sądzie. Śmierć Malutkiej Marie również została potwierdzona oficjalnie. Daty obu zdarzeń były prawidłowe, zdaniem Marie.

A Hugo miał rację. Nie mogła jeszcze wrócić. Z jednego ważnego powodu - jej zabójcy byli silni, ale nie wiedzieli jeszcze, że przeżyła. A poza tym, nie była pewna, czy chce wrócić. Nawet nie chciała zajrzeć do domu, w którym spędziła wcześniej tyle czasu, choć taka tajna wizyta nie była trudna do zaaranżowania. To był dom obcej osoby, innej Marie, i dbano o niego w imię zmarłej kobiety - odkurzano, czyszczono i podlewano rośliny.

Spodobał się jej przejazd na cmentarz w kuloodpornej czarnej limuzynie. Miała wrażenie, że podróżuje po obcym kraju, choć znała na pamięć każdy cal przebytej drogi. Albo raczej znała tą, którą była wcześniej. Hugo wyglądał przez okno. Marie rozsiadła się wygodnie i trzymała go za rękę. Westchnął, zerkając na nią.

- Nie wstydz się - upomniała go i ścisnęła jego suchą dłoń. Zdawała sobie sprawę, że wbrew jej życzeniom Hugo zabezpieczył próbki DNA Malutkiej Marie. Pobrano je i zamrożono, gdy tylko okazało się, że Marie nie zmieni zdania. Zdecydowała, że nic nie powie Hugo, nie zdradzi mu, że wie o wszystkim. To był jego sposób na radzenie sobie z rozpaczą. Malutka Marie była dla Hugo równie droga, jak dla Marie i Ala.

Podczas przygotowań i oczekiwania na pogrzeb, Marie próbowała wzbudzić w sobie powtórne zainteresowanie miastem i jego funkcjonowaniem. Hugo pilnował, aby wszystko wyszło jak najlepiej, jeszcze w czasie miesiąca, gdy przebywała w południowoamerykańskiej klinice. Każda sprawa, od śmieci po edukację w szkołach publicznych przez Sieć, została nagłośniona. Za namową ochroniarza, Marie pozostawała w kontakcie z prawnikiem, Dightonem, jedyną osobą w Nowym Orleanie, która wiedziała, że kobieta nadal żyje. Dighton i Hugo przygotowali razem kilka zestawów komend, które pozwoliłyby Marie zarządzać systemem i jednocześnie utrzymać wszelkie działania z dala od niej. Choć Dighton zwrócił uwagę, że gdyby Marie była obecna w mieście, pandemonium wywołane impulsem nie miałyby zapewne tak miazdząco dotkliwych skutków. I nie tylko, jej wrogowie gromadzili bowiem energię i niszczyli wszystko, co zrobiła dla dobra miasta, a przy tym wykorzystywali problemy, jakie wywołała Cisza - zaostżeli je, by czerpać z nich zyski.

Marie słuchała z niewielkim zainteresowaniem. Myślami błądziła gdzie indziej. Co za różnica, co dzieje się w - kiedyś jej - mieście? Z satysfakcją przeczytała własny nekrolog. Tylko jedna rzecz zaprzętała jej umysł. Zemsta.

Po tygodniu pełnym frustracji, wczorajsze popołudnie okazało się owocne. W cichej, bocznej uliczce, opustoszałej o tej porze, znaleźli drewniany szyld głoszący: MADAME NIGHTWING, KOSTIUMY. Gdy Hugo, nie pukając, otworzył drzwi, Marie weszła.

Wewnątrz panował półmrok, aby chronić jedwabie i satynę przed zblaknięciem. Pomiędzy belami materiałów ukryte były wąskie, trudne do pokonania schodki. Gdzie okiem sięgnąć, natrafiało się na wspaniałe wzory i lśniące barwy tkanin leżące na stosach do sufitu lub zwisające z półek. Hugo odnalazł Madame Clarissę Nightwing, starą, masywnie zbudowaną kobietę, zajętą rysowaniem przy desce kreślarskiej.

To on wziął na siebie ciężar rozmowy. Marie trzymała się z tyłu, blisko wyjścia. Twarz miała osłoniętą, włosy rozpuszczone, a skóra o barwie nocy kontrastowała z małą

jasną plamką na przedramieniu, jakby negatywem piega. Nightwing zerknęła na nią i przeszła obok. Marie, nie odzywając się ani słowem, skinęła jej głową z zadowoleniem. Wieść się rozniesie - od teraz.

Hugo wyjął portfel, otworzył i powoli odliczył sporą sumę. Położył na desce tuż przy rysunkach Clarissy. Niskim, ochrypłym głosem kobieta odpowiedziała im na pytania o ludzi, którzy zamówili stroje klaunów. Ile zapłacili za wypożyczenie. Nie, Clarissa nie знаła nazwisk, ale przyjrzała się im uważnie. Jeden miał bliznę na policzku, drugi nosił naszyjnik z wisiorkiem w kształcie skorpiona.

Och, grożono jej śmiercią, gdyby szczegóły tej transakcji wyszły na jaw, ale nie przejęła się - wyjaśniła potrząsając głową. Zakazali jej mówić. Co sobie myśleli, że Clarissa nigdy w życiu nie spotkała się ze śmiercią twarzą w twarz, w tym mieście przemocy? Legba ją ochroni. Mówiąc to, rzuciła Marie porozumiewawcze spojrzenie. Nie miała pojęcia, do czego zostaną użyte przebrania klaunów! *Mon Dieu!* Ale nie pisnęła słowa policji, przyznała się. Hugo powiedział coś tonem sympatii, pewnie coś w stylu, że każdy postąpiłby równie rozsądnie. Nightwing pokiwała głową stanowczo i zgarnęła pieniądze.

Hugo wyprowadził Marie na zewnątrz.

Zamachowcy najwidoczniej ukryli się na Karaibach. Nawet jeżeli działali na zlecenie, można ich znaleźć. Sieć Marie, oparta na delikatnych powiązaniach, rozwijała się przez stulecie. Subtelne, sprytne naciski zastosowane przez Hugo sprawia, że nazwiska zabójców wypłyną.

Ale to był jedyny trop.

Limuzyna dotarła do Cmentarza nr 1 w St. Luis i zakołysała się na wybojach w ciasnej alei. Dalej nie można było wjechać. Kierowca otworzył drzwi i Marie wysiadła. Tutaj, w narożnej części cmentarza, znajdowało się mauzoleum rodziny Laveau.

- Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem - powiedział ksiądz, gdy wsuwano niedużą trumnę między groby babki i matki Marie. „Zmartwychwstałam i żyję, ale jakie to ma znaczenie?” - pomyślała wtedy. Życie musi być związane z czymś interesującym albo ważnym, a to było coś, czego nie miała. Podaruj mi to, zawołała niemo do niewidocznych gwiazd, do niewidzialnego Boga. Podaruj mi cel!

Trumienka znalazła się wewnątrz grobowca. Marie odwróciła się i odeszła. U jej boku siedł Hugo.

PAUZA

Washington Post, 4 maja 2013

W ciągu miesiąca telefon zepsuł się pięć razy, gdy Willie Smith dzwonił na 911. Nie mógł, gdy potrzebował, wezwać policji lub karetki. W rezultacie zaskarżył firmę Southern Bell i pozwał o odszkodowanie za obrażenia, jakich doznał podczas zbrojnego napadu na sklep „Pawn-of-Roma”, którego jest właścicielem od dwudziestu lat,

„Zapłaciłem rachunki” - powiedział Smith - „Spodziewałem się, że za coś!”

To tylko jeden z wielu podobnych procesów toczących się w sądach na terenie całego kraju. Firmy telefoniczne coraz częściej na swoją obronę przywołują stwierdzenie, że wypadki były spowodowane „wola boską”.

Pan Smith założył również sprawę przeciw swojej firmie od ubezpieczenia zdrowotnego, która odmówiła zezwolenia na nanoterapię. Terapia ta mogłaby w naturalny i szybki sposób pomóc przy zrastaniu się połamanych kości rąk i twarzy - obrażeń, jakie Willie Smith odniósł podczas napadu. Ubezpieczyciel zdrowotny, firma MidSouth Services twierdzi, że nanotechnologia medyczna nie została jeszcze w pełni zaaprobowana przez Federalny Departament Zdrowia i jej efektywność pozostaje nadal pod znakiem zapytania.

Adwokat pana Smitha, Endine Singer z kancelarii „Sweat, Beans, Magnifico i Crumbed” twierdzi, że procesy z powództwa osób cywilnych wytoczone firmie ubezpieczeń zdrowotnych, stanowiąc będą jednocześnie naciski na Federalny Departament Zdrowia, który spowalnia procedurę zatwierdzenia nanotechnologii jako kuracji. Prawnik podkreśla również, że konkretne metody, które można by zastosować w przypadku jego klienta, zostały już oficjalnie zarejestrowane. „Te małe 'robaki' staną się kosztowne jak diabli! Pod wieloma stolikami przeszła kupa pieniędzy, by tak się stało. Można mnie zacytować”. Adwokat Singer twierdzi, że uzyska odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej za spowalnianie procesu rejestracji nanoterapii.

Diminuendo w Waszyngtonie Zeb, Waszyngton, 2014

Stopnie prowadzące na Poczcie Główną były wspaniałe. Zeb często przy nich przystawał od czasu, gdy - jak dzisiaj - pozwalał sobie na relaks w myśleniu. Lśniące białą balustrad, szerokie u dołu, zwężały się ku wierzchołkowi. Widok ten ułatwiał koncentrację energii, jak jakiś rodzaj soczewki. To było bardzo stymulujące, tak sunąć wzrokiem w górę, aż do malutkich sylwetek ludzkich przy wejściu.

Był piękny, orzeźwiający poranek, w chłodnym powietrzu nie czuć było zapachu smogu, na tle intensywnie błękitnego nieba odcinały się białą bryły budynków. Wczoraj padało i Zeb spędził dzień w bibliotece na czytaniu pism naukowych dotyczących astronomii i fizyki, zadziwiająco przemilczających informacje związane z Ciszą. Chociaż pojawiło się kilka opinii.

Stojąc przy schodach Poczty, wyjął niewielki notes z wewnętrznej kieszeni płaszcza, podarowanego mu przez Craiga, i usiłował wydobyć ołówek lub pióro z kieszeni koszuli, lecz trzymał tam także różne notatki i znaleziska oraz wypchany do granic możliwości portfel, więc kiedy w końcu mu się udało, świstki rozsypały się wokół. Pozwolił im leżeć i zajął się notowaniem.

Pisał może przez godzinę. Za jego plecami na przystanku zatrzymało się i odjechało wiele autobusów. Gdy skończył zapisywać przemyślenia, zamknął notes. Miał ochotę wspiać się po schodach i zajrzeć do stojących w rzędach skrytek pocztowych, jak to często czynił. Wszystkie wyglądały tak samo, ale różniły się zawartością. Zeb poczuł głód. Sięgnął do spodni i wygrzebał dolary, które dostał od jakiejś kobiety. Wystarczy na kawę i tłustą zapiekankę serową. Raz na miesiąc budził się i znajdował w portfelu gotówkę. W takich chwilach myślał, że musiał zapomnieć, skąd się wzięła. Albo tak było, albo ktoś podkładał mu pieniądze podczas snu, co zakrawało raczej na ironię i objaw paranoi, z którą Zeb starał się walczyć, gdy tylko zdawał sobie sprawę z symptomów choroby.

Leniwie zerknął za siebie na autobus, zatrzymujący się właśnie na przystanku, gdy poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Rusz się! - usłyszał i został popchnięty w kierunku otwartych drzwi pojazdu.

- Hej!?! - obrócił się, nie ukrywając złości.

- Wsiadaj, mówię! Ale już! - to był Craig. Jego twarz zdradzała napięcie.

- Nie jestem pewien, czy chcę.

Craig wepchnął go do środka i drzwi się zamknęły. Zapłacił za przejazd i rozkazał:

- Na tył.

W środku było tylko kilku pasażerów zajmujących miejsca za kierowcą. Craig i Zeb usiedli naprzeciw siebie przy końcu autobusu.

- A teraz...

- Jak mnie znalazłeś? - przerwał mu Zeb.

Craig wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i zanim Zeb się zorientował, o co chodzi, towarzysz sięgnął do płaszcza, jaki mu kiedyś dał. Potem złożył i schował nóż, otworzył okienko i wyrzucił odcięty guzik.

- Myślałeś, że pozwolę ci tak po prostu odejść? Podejrzywałem, że możesz nie skorzystać z mojej propozycji.

- Jest więcej tego świństwa? - Zeb wyciągnął ramiona i zerknął na rękawy płaszcza.

- Już nie.

- A powiedziałbyś mi, gdyby było?

- Oczywiście.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt. Działamy w bardzo ograniczony sposób. A nawet jeżeli ktokolwiek by się dowiedział, to i tak przekonałbym go, że jesteś nieszkodliwym idiotą.

- Dzięki. Tak mi się zdaje. To znaczy, że nie muszę się obawiać powrotu do pracy? Chociaż byłoby miło, gdybym miał lepszy dostęp do najświeższych informacji.

- Więc nie możesz nadal się zachowywać jak nieszkodliwy idiota, nieprawdaż? Na dodatek, bez sprawnego Internetu, telefonów i transportu, nie wspominając, że impuls elektromagnetyczny usmażył komputery wielkich teleskopów, trudno oczekiwać zbyt wielu aktualnych danych. Ile było już impulsów? Trzy? Nie ma za wiele czasu. Po prostu posłuchaj. Próbuje zorganizować ruch oporu. To się wymyka spod kontroli. Miałeś rację, a ja się myliłem. Histeria rośnie. Stało się coś strasznego.

- To znaczy?

- Hotel, w którym zebrali się na konferencji radioastronomowie z różnych stron świata, wyleciał w powietrze.

- Co?

- Właśnie. Podobno radioastronomowie przygotowali oświadczenie dla prasy dotyczące informacji, nadesłanej z impulsem. Tej informacji, którą prawdopodobnie złapałeś na swojej antenie. Te dane dowodzą znacznie więcej, nie tylko o źródle impulsu. Wskazują, że było to źródło inteligentne. Że impuls został dokładnie przygotowany, że to czysty kod.

- Ach, tak... Ale... Nie rozumiem jednego. Tego zakazu rozpowszechniania informacji.

- Kiedy zdarzy się następny impuls?

- We wtorek.

- Skąd wiesz?

Zeb otworzył notes i sięgnął po ołówek.

- Tylko żartowałem - zapewnił Craig. - Nie mamy czasu. Ale jak się dowiedziałeś?

- Ponieważ odbierane dane na to wskazują. Dane, które zarejestrowałem. To nie tajemnica, którą chcę ukryć, wiesz o tym. Chcesz, abym zadzwonił do Washington Post i powiedział im o terminie impulsu?

- Nie!

- Dlaczego nie?

- Utajnienie najwyższego stopnia, kolego, top secret. Wszyscy będą przeciw tobie. Kłopot w tym, że nikt nie wie, co zrobić z tą informacją.

- Gadasz bzdury.

- Nie, przysięgam.

Zeb wzruszył ramionami.

- Cóż, już zlikwidowali wszystkich, którzy mogliby rozpowszechnić informacje. Jesteś pewien, że ci ludzie, którzy chcą utrzymać tajemnicę, nie kupili po prostu akcji kolei, parowców i sterowców?

Craig spoglądał za okno przez kilka uderzeń serca.

- No, dobrze. Będę z tobą szczery. Sądzę, że w mojej sekcji stało się coś bardzo dziwnego. W końcu znamy się tam dobrze. Zostaliśmy rozproszeni po różnych agencjach rządowych, wielu z nas znalazło się za granicą. W roli szpiegów. Ale narasta jakiś rodzaj hysterii. Ksenofobia. Rozumiesz, „Teraz Ziemia” i takie akcje. Co powoduje, że ludzie stają się nacjonalistycznymi fanatykami? To dlatego ronią łzy nad etnicznym dziedzictwem? Jak mi się zdaje, to jest właśnie efekt. Myślenie najpierw o świętej ziemi naszych przodków. Zmiana akcentów.

Craig pochylił się, oparł łokcie na kolanach, splótł dłonie. Zacisnąwszy usta pokręcił głową na boki i w przód kilka razy. Na napiętej twarzy malowało się zmęczenie, w oczach ponury błysk.

- Ja... No, cóż, właściwie... Przykro mi, że to mówię, ale mam dowód, że niewielka grupa ludzi w naszym rządzie odpowiada za śmierć tych astronomów. To dlatego się boję.

Autobus stanął i drzwi otworzyły się z sykiem. Craig zeszywniał i zerknął na kobietę w średnim wieku, która zajęła miejsce z przodu. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy mówił dalej:

- Zacząłem coś podejrzewać kilka miesięcy temu. Stało się dla mnie jasne, że ktoś

działa za naszymi plecami. Ci, którzy w tym uczestniczą, posługują się nawet własnym slangiem. Znaczący, nie wydaje się, aby rząd musiał uciekać się do takich posunięć. Choć, oczywiście, to najłatwiejszy sposób. Tej grupie podlega sporo ważnych zespołów. Nie muszą nawet mieć niczego na piśmie, mają *carte blanche*, bo stawką jest bezpieczeństwo narodowe.

Zeb przyglądał się budowli z szarego kamienia, do którego przytuliły się małe sklepy i restauracje. Próbował zrozumieć, co Craig chce mu przekazać.

- No, wiesz, nigdy nie twierdziłem, że obcy przybędą, nieprawdaż? Wskazałem jedynie, że wiele wskazuje na inteligentne źródło impulsu elektromagnetycznego. Ale kto wie, jak bardzo jest ono odległe od Ziemi? Przemyśl to. Cokolwiek do nas dotarło, prawdopodobnie zostało wysłane przed wiekami.

- No tak, to jest słaby punkt teorii o obcej inteligencji. Obcy mogą być zabawni i interesujący. Może ujawnią nam jakieś prawdy o wszechświecie, może powiedzą coś o nas. Dla zwykłych ludzi, szczególnie teraz, wszystko to przypomina dylemat córki ortodoksyjnego Żyda, która decyduje się poślubić syna muzułmańskiego fundamentalisty. Za wszelką cenę trzeba stłamsić postawę otwartego umysłu, wolnomyślicielstwa. Niespodziewany atak musiał być idealnym prezentem dla grupy w rządzie. Zmobilizował cały świat - Pamiętasz Pearl Harbor? Plotka głosi, że Churchill wiedział wcześniej o ataku, ale nie powiedział słowa, ponieważ chciał, aby nasz kraj przyłączył się do wojny. Oczywiście, w tej zamordowanej grupie naukowców musiało się znaleźć sporo głupich, uczonych typów, którzy chcieliby tylko dowiedzieć się, czym jest owo inteligentne źródło impulsu. Jajogłowi marzący o kontakcie z obcą cywilizacją. Dodaj im jeszcze paskudnego kosmitę z uniesioną ręką albo coś. Tak naprawdę, to oficjele i agenci rządowi mają plan polegający na szybkiej ucieczce. I to pewnie zadziała, chyba, że coś ich przekona i upewni, że nie ma potrzeby uciekać. Coś namacalnego, przekonujący dowód.

Autobus zatrzymał się na przystanku. Kobieta wysiadła, a dwaj mężczyźni zajęli osobne miejsca w połowie pojazdu. Craig pochylił się bardziej i mówił już tak cicho, że Zeb nie mógł usłyszeć niektórych słów.

- Mam małą siatkę. Bardzo małą. Próbowałem się połączyć z innymi. Muszą być gdzieś tam. To niełatwe, gdy wszystko wysiadło. Teraz żałuję, że tyle czasu straciłem na golfa, zamiast poświęcić go fizyce - jego histeryczny śmiech zaskoczył Zeba. Towarzysz wysupłał grubą kopertę i wcisnął ją do kieszeni płaszcza, którym otulił się Zeb. - Tyle przynajmniej mogę zrobić. Krótka uwaga. Nie wracaj pod Poczta Główną. Bywasz tam ostatnio dwa razy w tygodniu. To niedobrze, musisz zmieniać czasami przyzwyczajenia. Przeprowadź się do innego miasta, jeżeli będzie trzeba. Jedną ze sztuczek polega na tym, że

być może ci, którzy posiadają informacje, jakie i ty znasz, będą przedstawieni jako obcy.

- Co?

- Naprawdę. Nadchodzi polowanie na czarownice. Zaczną się pytania. Dlaczego właśnie wtedy włączyłeś antenę? W jaki cholernie sprytny sposób udawałeś, że jesteś jednym z nas, co? Po prostu musiałeś się dostać do tej części świata i czekać w gotowości, aż nadejdzie stosowna pora. Planowałeś to przez długi, długi czas, Zeb. To znaczy, nie wiemy, jak długo żyją tacy, jak ty, jak długo tu są...

Zeb popatrzył na Craiga z niedowierzaniem.

- Oni są w większości wojskowymi, Zeb, nie naukowcami. Pieniądze płyną do ich portfeli. Wysysają mnóstwo forsy tak, by nikt nie zauważył. Albo się zainteresował. Też brałem w tym udział, jak myślę. Trzymaj się. I chroń dane. Są ważne. Chciałbym mieć więcej czasu, ale muszę już iść. Dbaj o siebie. - Wstał chwytając drążek nad głową, klepnął jeszcze Zeba po ramieniu. Autobus szarpnął przy hamowaniu, drzwi zasyczały otwierając się. Craig obrócił się.

- I, Zeb... - zawahał się, jakby chciał jeszcze coś ważnego dodać, ale nie odezwał się. Wsiadł i skierował się do drzwi biurowca.

Zeb oszołomiony wyprostował się na plastikowym siedzeniu. Autobus ruszył. Nie był tak zupełnie zaskoczony tym, co usłyszał. Choć to zabawne. Można by sądzić, że owi „oni”, kimkolwiek są, powinni raczej chcieć zebrać wszelkie informacje, jakie są tylko są dostępne. Tymczasem robią wszystko, aby dane do nich nie dotarły.

Zatrzęsło, gdy autobus dojechał do końca trasy. Kierowca wyłączył silnik i zanim wysiadł, poklepał Zeba po ramieniu.

- Piękny dzień, w sam raz na długą przejażdżkę, he?

Zeb załatwił sobie przejazd z nowym kierowcą, co zakrawało na mały cud, i przesiadł się do innego autobusu. Pojechał do nowej części miasta. Nowej dla niego, oczywiście, w jego nowym życiu. Wsiadł przy zoo. Zawsze lubił Rock Creek. Kręcił się wśród wyziewów spalin przy hotelu Sheraton. Zmierzchało. Pozostałości świateł po Bożym Narodzeniu zabłyśły w oknach restauracji i barów.

Wszystko wirowało. Nowe terytorium. Nowe plany. Większe niebezpieczeństwo. I czy fakt, że trzymał klucze do zdarzeń, jakie nadeszły, był dla niego śmiertelnym zagrożeniem? Świat wydawał się bardzo absurdalnym miejscem.

Był zmęczony, roztrzęsiony, brudny. Sięgnął do płaszcza, wymacał kopertę. Otworzył ją nie wyjmując z kieszeni, wyciągnął kilka banknotów. Zerknął. To były setki.

Wszedł do hotelowego holu i poprosił o pokój. Gdy recepcjonista powiedział mu, że

nie ma wolnych pokoi, Zeb położył trzy banknoty na kontuarze. Popatrzyli na siebie - starszy mężczyzna i młody człowiek z wypięlegnowaną fryzurą i eleganckich okularach. Zeb starał się sprawić, by z jego twarzy bił komunikat: „Jestem ważnym naukowcem. Może trochę ekscentrycznym”.

Recepcjonista nie wydawał się rozumieć, co znaczy wyraz twarzy Zeba. Może najlepiej będzie porozmawiać.

- Wiem, że wyglądam strasznie - wysilił się na uśmiech. - Zeszłej nocy w Marylandzie rozbiłem BMW i straciłem kupę czasu, żeby je doholować i dotrzeć tutaj.

Młody mężczyzna pokiwał głową i popchnął przez kontuar kartę otwierającą drzwi pokoju.

- Na ile nocy?

- Tylko na jedną.

- Tu jest reszta, proszę.

Zeb wziął prysznic w niewielkiej łazience. Potem długo się moczył w wannie. Zmięte ubranie leżało na podłodze. Nie mógł uwierzyć, że nosił coś takiego. Nie mógłby ponownie włożyć tych szmat. Zamówił coś w sklepie w holu i kazał sobie przysłać do pokoju. Nosił standardowy rozmiar, ale okazało się, że ubranie na nim wisi. Musiał wymienić spodnie na mniejsze. Zapytał chłopca hotelowego, który przyniósł zamówione zakupy, czy da się oczyścić płaszcz. Chłopak spojrzał z powątpiewaniem, zanim odpowiedział:

- Spróbujemy.

Zeb opróżnił kieszenie i oddał okrycie.

Zamówił do pokoju suty posiłek. Homara i stek. Co się stało z Craigiem? Czy przywrócił Zebowi poczucie rzeczywistości? I co to za dziwaczna rzeczywistość, gdzie odbywa się polowanie na kosmitów?

W końcu otworzył grubą kopertę, którą dostał od Craiga. Znalazł w niej 9 700 dolarów. Suma, za którą mógł żyć przez długi czas, jeżeli nie będzie szastał pieniędzmi jak dzisiaj. Mógłby kupić małą firmę. Używany samochód z przyczepą do spania. Podróż do Paryża.

Bilet na autobus do Doliny, by spotkać się z Sally i psami.

W kopercie była też mała paczka owinięta brązowym papierem. Zeb otworzył ją i trzy diamenty zsunęły się na kapę łóżka. Albo przynajmniej wyglądały na diamenty. Może były czymś innym. Jakimś rodzajem nowej technologii przechowywania informacji. To również wydawało się całkiem prawdopodobne. Zeb schował błyszczące kamyczki do koperty.

Zastanawiał się nad znalezieniem pracy. Czuł niezwykłą jasność umysłu. Może

niezbyt dobrze się odżywił. Ale czy nie potrzebuje nowego numeru ubezpieczenia zdrowotnego? Mógłby choćby zmywać naczynia, albo coś innego. Gdy się ma zajęcie i zarabia pieniądze, ludzie nie zadają pytań. Musiał się zastanowić. I chyba powinien pójść do kliniki po lekarstwa. Jutro zadzwoni do Sally i powie jej, że z nim wszystko dobrze. Dość już tego hokus-pokus. Craig musiał się pomylić, mówił nonsensy. Może stał się frajerem. Albo to, co powiedział, było tylko przywidzeniem Zeba. Otworzył swój notes, przekartkował zapiski. Jakie to miało znaczenie?

Płaszcz przyniesiono mu około północy, wyczyszczony, z przyszytym nowym guzikiem. Zeb był mile zaskoczony, ale boy wyjaśnił, że mają tu często zagranicznych gości, dlatego sklepy i firmy Usługowe pracują przez całą dobę.

- Nawet fryzjer - zaznaczył, patrząc na Zeba uważnie, na wychudzoną, nieogoloną twarz i włosy spadające na ramiona.

Zeb położył się do łóżka, ale tylko leżał bezsennie przez prawie godzinę. Potem wstał. Znał dobrze te emocje. Przemyślenia znowu zaczęły mu się składać w logiczną całość. Była prawie druga nad ranem, ale musiał pospacerować.

Ubrał nowe rzeczy. W sam raz na ulicę. Wydawały się trwałe, choć wełniane. Strasznie drogie. Odszukał oderwane metki i przeczytał, że w ubraniach znajdują się specjalnie wyhodowane mikroby pożerające zabrudzenia. Roześmiał się. Na pewno mikroorganizmy nie pozostaną długo głodne. Z poprzedniego stroju pozostały mu tylko buty. Zwinął dodatkową parę skarpet, którą także sobie zafundował, i schował do kieszeni płaszcza, obok notesu, koperty i portfela.

W końcu przysiadł na brzegu łóżka i włączył telewizor. Powtórka wiadomości nadawanych o północy. Z lektury gazet Zeb dowiedział się, że kiedy stacje nie nadają, ludzie mogą pójść do centrów handlowych, by obejrzeć nagrania lub zamówić subskrypcję zapisanych programów.

Obejrzał pożar w Northwest, morderstwo w Marylandzie, napad rabunkowy na Wisconsin Avenue, a potem usłyszał:

- Policja prowadzi śledztwo w sprawie martwego bezdomnego mężczyzny, znalezionej ostatniej nocy o 22:48 na skwerze przy Dupont Circle... - obraz zachybotał, ktoś z ekipy karetki krzyknął do operatora:

- Hej, paniusiu, trochę szacunku dla zmarłego!

Ale i tak udało się zrobić dalsze ujęcie, na którym pojawiło się ciało. Zmarły przypominał Craiga. Ciężko określić, ale wówczas komentator oznajmił:

- Wstępna identyfikacja ujawniła, że zmarły nazywał się Craig Sinclair. Pogoda na

jutro...

Zeb z trudem łapał oddech. Nie mógł się ruszyć. To koszmar, śni mu się. Ściany pokoju odjechały, skrzyżowały się i poczuł, że mu grożą. Barwy przybrały jasne odcienie, zupełnie oderwane od przedmiotów. Czarne pudło naprzeciw Zeba zamigotało zmiennymi obrazkami. Framugę rozświetlił blask padający z drugiej strony drzwi. Pod stopami mężczyzny wzory dywanu splątały się i wiły jak węże.

Czemu siedzi tutaj w ubraniu? Skąd się wzięło? Przesunął dłonią po dłoni - czy to jego ręce? Ale te buty są jego. Tak.

Wstał, odnalazł swój płaszcz i zdarł z siebie koszulę - oderwane guziki strzeliły w różne strony. Zdjął buty i spodnie, te ostatnie odrzucając w kąt. Na posadzce łazienki znalazł swoje prawdziwe ubranie, włożył je z poczuciem ogromnej ulgi. Kto je tu położył? Zeb był roztrzęsiony. W pokoju brakowało powietrza. Co on tu właściwie robi? Szybko skończył się ubierać, założył buty nie zawiązując ich nawet. Może w budynku wybuchł pożar, dlatego jest tak duszno. Chwycił płaszcz i wybiegł na korytarz. Trzeba zejść po schodach, bo może windy płoną. Tak właśnie należy postępować.

Pchnął drzwi ewakuacyjne i wybiegł na ulicę, słysząc ostry, urywany dźwięk alarmu za plecami. Zauważył policję, błękitne światła migają pod głównym wejściem do holu. Czy sprzedawca ze sklepu odzieżowego będzie przesłuchiwany?

Zeb uciekł z chodnika i potykając się ruszył w ryczącą ciemność na nabrzeżu Rock Creek. Oparł się o drzewo i zwymiotował. Może jedzenie było zatrute. Opłukał usta w rzeczce i wypluł. Jeżeli jeszcze nie był chory, to z pewnością teraz będzie.

Doczołgał się pod betonowe przesłone mostu. To był wysoki most, wsparty na betonowych filarach. Panował na nim ruch, samochody opuszczały go i wjeżdżały, by przedostać się przez rzekę do pokrytych śniegiem gór na drugim brzegu. Zeb rozłożył płaszcz, oparł głowę na kamieniu i zasnął.

Następnego ranka wszedł do sklepu o dziesięć przecznic dalej. Rozgrzał się bułeczkami z mikrofalówki i kawą. Sprzedawcy mogliby nabrać podejrzeń, gdyby zapłacił studolarówką, jaką znalazł w płaszczu, więc automatycznie sięgnął po portfel i wyjął dziesiątkę, resztę otrzymaną w hotelu.

Zatrzymał się, gdy dostrzegł nagłówek na pierwszej stronie „National Inquirer”:

**KOSMICI SĄ ODPOWIEDZIALNI ZA NADAWANIE
IMPULSU EMG DZIECI OBCYCH ŻYJĄ NA ZIEMI**

Ponizej było zdjęcie dziecka z dużą, łysą głową i podpis:

CZY TWOJE DZIECKO JEST KOSMITĄ?

Kobieta za Zebem trzymająca butelkę wina i paczkę żelków szturchnęła go porozumiewawczo.

- Ludzie nigdy się nie zmęczą wiarą w kosmitów, co nie? To trochę tak, jak ze Świętym Mikołajem, tylko dla dorosłych.

- Mmmm - Zeb poklepał notes upchnięty w wewnętrznej kieszeni płaszcza Craiga. Był tam wykres zmian w odebranej transmisji.

Czy był jedyny?

Czwartek rano nie był zbyt rozwijający, raczej leniwy, w tonacji czarno-białej. Zeb obserwował białe obłoczki pary przy wydechu, gdy zmierzał do mostu na Rock Creek, wyczuwając drgania i wstrząsy, gdy znalazł się w pobliżu przejeżdżających pojazdów. W chłodzie wyraźniej czuć było zapach spalin. Skały w oddali pokrywała biała pokrywa szronu.

Nie miał zegarka. Ale nie minęło dużo czasu. Lepiej było się poruszać niż siedzieć w schronisku. Z nieba spadły pierwsze płatki śniegu, kiedy zszedł z mostu na południe w kierunku centrum miasta.

Myślał o diamentach. Miał nadzieję, że jest na nich zapis danych o transmisji. Impulsy elektromagnetyczne i odebrane z nimi informacje mogły tworzyć zjonizowany układ w wyższych warstwach atmosfery, który dałby wiele wskazówek dotyczących natury sygnału. Rzecz jasna, diamenty są tylko do odczytu. Ale jak to zrobić?

Światła palące się w oknach apartamentowca z masywnych cegieł, który stał przy końcu Connecticut Street, nagle zgasły - wszystkie jednocześnie.

Około dwudziestu minut później, gdy Zeb dotarł do S Street, szeroka wstęga Connecticut zakorkowała się. Kakofonia klaksonów stała się miarą współczynnika frustracji. Piesi przeciskali się pomiędzy samochodami. Drzwi sklepu ze zdrową żywnością były otwarte, Zeb zauważył, że półki w środku świecą pustkami. Na stacji benzynowej kilka bloków za Pennsylvania Avenue, ujrzał, jak jakiś mężczyzna wyciąga broń i wymachuje nią, wymieniając krzykliwe uwagi z człowiekiem trzymającym łom jak kij do bejsbola. Zeb przeszedł przez jezdnię i ruszył dalej. Uznał, że to dobry dzień na wizytę w Bibliotece Kongresu, o ile nie została zamknięta.

Kiedy jednak mijał Bank Światowy, ulice zablokowały zwalniające samochody i

ludzie, a śnieg zaczął padać coraz mocniej. Zeb nie miał żadnego nakrycia głowy i włosy natychmiast mu przemokły. Nieopodal jakaś kobieta próbowała rozbić kamieniem publiczny telefon. Monety rozsypały się wokoło, ale zignorowała je.

- Kurwa! - wrzeszczała przy każdym uderzeniu.

Zeb westchnął. To nie był najlepszy dzień na spacer i rozmyślania.

PAUZA

Washington Evening Star, 15 stycznia 2015

Przegląd najważniejszych wiadomości

Z powodu ogromnego przestoju w dopływie prądu, Prezydent ogłosił po raz czwarty w tym roku Stan Wyjątkowy.

Urzednicy szacują, że w ciągu dwóch do czterech tygodni zacznie działać łączność telefoniczna, tak długo, dopóki nie zniszczy jej kolejny impuls elektromagnetyczny.

Chaos w finansach światowych. Osiemdziesięcioprocentowe spadki na Giełdzie odbiły się echem w Londynie, Tokio i Pekinie.

Wybuch zamieszek głodujących w Berlinie. 500 ofiar śmiertelnych.

Ostatnio powstała ENN (Emergency News Network) przeszła pierwsze testy w zeszły czwartek. Siatka złożona z małych samolotów i pojazdów z napędem parowym dostarcza najważniejsze informacje zrzeszonym w niej członkom.

Najnowszy Biuletyn Cyklisty.

Kryzys z propanem, żywnością i źródłami wody.

Lokalizacja schronów.

Nieprawdopodobnie wysoki wzrost czytelnictwa gazet spowodowany awarią Internetu i telewizji.

Sąd Najwyższy odrzucił sprawę o określenie zakresu prawa do swobodnego dostępu do informacji, w oparciu o szeroko pojęte przepisy dekretu o jurysdykcji w czasie wojny.

Glissando Boskich Jeźdźców

Marie, Haiti, rok 2016

Posłaniec przyszedł o świcie, ale Marie nie spała już od wielu godzin.

Kilka lat po śmierci córki kecz Marie zacumował w Port-au-Prince, gdzie mieszkali Jean i Jacques, jej francuscy ochroniarze, terroryści i marynarze.

Ona i załoga nie przebywali długo na kontynencie. Trop prowadzący do zabójców Malutkiej Marie już wystygł, ale ktoś tak uważny jak Hugo, wyczulony na najdrobniejsze objawy lekkomyślności tropionych, umiał go odnaleźć. A trop wiódł na Haiti.

Marie sypiała niewiele, a sen miała lekki i czujny. O czwartej nad ranem poderwał ją dźwięk alarmu informujący, że Internet jest dostępny, co było rzadkością w tym post-Impulsowym świecie. Otworzyła oczy, ale nie ruszyła się z postrzępionej kanapy, na której zasnęła. Deszcz bębnił w blaszany dach górskiej chaty, gdzie spędziła ostatni miesiąc, czekając na informacje od Hugo. Albo od jego informatorów.

Marie nie cieszyła się z pobytu na Haiti. Chciała wreszcie mieć za sobą sprawę morderstw, które podzieliły jej życie na „przed” i „po” w sposób bardziej skuteczny niż mogło to uczynić zmartwychwstanie albo Cisza. Nigdy nie powinna mieć dzieci - z racji charakteru, dziedzictwa i zajmowanej pozycji społecznej. To było nieodpowiedzialne. Co prawda Hugo przypominał, że jej matka i babka miały dzieci, ale Marie ripostowała, że to były inne czasy, na co przyjaciel tylko parsknął, obserwując falowanie rumu babki w szklance.

A teraz gniew i poczucie winy gryzły ją jeszcze bardziej. Komputer zapikał ponownie. Podmuch wiatru szarpnął drzewami tropikalnego lasu otaczającego chatę.

Westchnęła. Co za strata, gdyby nie wykorzystano okazji.

Obracając w górę lewy przegub, nacisnęła mocno coś, co wyglądało jak niewielki tatuaż w kształcie węża, choć w ciemności ciężko było go dostrzec. Pod węzem był system podawania hormonów, którego starała się nie używać. Ale jeżeli nie używała, była nie do życia. Albo popadała w skrajną złość, albo w depresję.

Kilka minut trwało, zanim się podniosła.

Usiadła i pomacała szukając zapalek, po czym zapaliła lampę naftową na stoliku obok kanapy. W łagodnym blasku rozwinęła monitor komputera i przyciągnęła sobie panel dotykowy. Wyodrębniła na ekranie przyjaznych rozmiarów kwadrat i uderzeniem palca

zaakceptowała ustawienie. Dotknęła ikony, która uruchamiała połączenie z dowolnym systemem satelitarnym i wróciła na posłanie.

Światowa sieć stała się teraz przywilejem bogatych. Marie była inwestorem SignalCycle, firmy, która nadal konstruowała sprawne satelity, mające zastąpić te, które zniszczył impuls przebiegający przez atmosferę. Wrażliwe na jego działanie komponenty trzymano w nadzwyczaj kosztownych, zabezpieczonych opakowaniach, aż będą potrzebne. Te starania zmierzały do wydłużenia czasu łączności w niezbyt szczelnej sieci telekomunikacyjnej, kosztownego i niestabilnego w porównaniu z poprzednim, zwartym systemem satelitarnym, który stał się dumą bieżącego milenium. Ale i tak było to więcej niż nic - o ile kogoś było stać.

Sprawne usługi telefoniczne były po prostu rzadkością. Zarządy miast podejmowały nieustanną walkę przeciw Ciszy - *el-Silencio* - ale ciągła wymiana uszkodzonych chipów i transformatorów kosztowała krocie.

Badania skoncentrowano zatem na poszukiwaniu organicznych zastępników. I na nanotechnologii. Albo raczej na kombinacji obu tych dziedzin: nanobiotechnologii. Zmienne losy podniosły nieco pozycję Haiti, która pozostawała wcześniej na niskim poziomie technicznym. Była wyspą - i przed, i po impulsie - z racjonowaną energią elektryczną oraz bieżącą wodą tylko dla zamożnych. Jedyne bogactwo stanowił nadmiar gniewu skierowanego przeciw każdemu, komu wiodło się lepiej.

Ale ani Marie, ani Hugo nie szukali tutaj stabilizacji.

Marie odchyliła się i odsłoniła drewniane żaluzje. Natychmiast usłyszała wyraźniej łoskot pobliskiego wodospadu. Chociaż zasadniczo nadal miała dostęp do sieci, tego ranka nie czuła się uprzywilejowana. Jasne, znała Ciszę lepiej niż większość ludzi. Przez lata, gdy łączność była aktywna, mogła wyszukać interesujące informacje za pomocą programów-szperaczy, wyspecjalizowanej sieci lub odtworzyć je ze skrawków nagranych rozmów z telefonów komórkowych. Zebrane dane przepuszczane były przez filtry, które sprawdzały częstotliwość, z jaką powtarzało się określone słowo. Ani wyraz „kosmita”, ani „obcy” nie zapchałyby wówczas wyszukiwarek. Jednak nadal używano nienumerycznych kodów słownych, choć wiele się zmieniło. Teraz „obcy”, „kosmita” i podobne frazy przepychały kulejący Internet. Jedna rzecz szczególnie przyciągnęła uwagę Marie, próba obławy na dzieci urodzone dziewięć miesięcy po impulsie. Akcję stanowczo oprotestowali rodzice i prawnicy podczas procesów sprzeciwiających się przedsięwzięciu, które, kuriozalnie, doczekało się nawet niewielkiej relacji w wiadomościach. Choć nie ma co ukrywać, tak naprawdę cały system przekazywania wiadomości był w strzępach. Marie nienawidziła cenzury.

Kilka reklam „Upojnego życia” Strayhorna pojawiło się na ekranie i Marie zamknęła okna.

Pojawił się wynik przeszukiwania, lista szukanych zagadnień uporządkowana procentowo oraz strona Dento Inc., japońskich laboratoriów badawczych powiązanych z rządem, które zajmowały się nanotechnologią. Lista pasujących trafień przewinęła się w dół po prawej stronie ekranu: nanotechnologia, biotechnologia... i Kita Narasake.

To zaskoczyło Marie.

Pamiętała Kitę. Koleżanka ze studiów w Chicago sprzed wielu lat, z którą Marie później korespondowała przez Internet. Nad czym pracowała Kita?

Odpowiedź pojawiła się w sekundę później.

Marie uniosła brwi.

Pszczoły? Dlaczego u licha Kita poświęciła swój czas pszczołom?!

Zerknęła przez żaluzje. Deszcz przestał padać i krople lśniącej jak klejnoty wody delikatnie pluskały na okapy. Nad nabrzeżem wznosił się blask wschodzącego słońca, barwiąc na różowo kwitnące drzewa na skraju ciemnego lasu. W sercu Marie rozlało się poczucie szczęścia; uczucie podniecenia i pełni życia tak, że każda myśl płonęła jasno w umyśle kobiety. Ledwie mogła sobie przypomnieć, że ten stan jest efektem działania hormonów. Lecz wiedza ta nie odbierała jej intensywności przeżycia. Życie było najwyższą doskonałością. Precyzyjnie dawkowane hormony z Advanced Endorfine Research Inc., przywoływały tylko wiarę, że oto Marie jest celem działania sił bogów wszechświata. Hormony stanowiły okno do zdumiewającego świata procesów chemicznych mózgu. Czy może nasycić się obezwładniającym pragnieniem, by malować, śpiewać, pisać? Lub torturować, kaleczyć albo zabić? Pożywka dla myśli.

I podstawa interesów. Coś, co warto włączyć do teczki Marie, wraz z pakietem udziałów w tworzeniu technologii wspieranej przez rząd - budowie dróg słonecznych i pojazdów mogących zastąpić tradycyjne samochody na benzynę. A także wraz z zakupioną ziemią wzdłuż tras projektowanego Północnoamerykańskiego Systemu Szybkiej Kolei - PSSK. Pewnie sposób, w jaki uzyskała tajne mapy PSSK, można by uznać za nielegalny. Zapewne, ale prawnik Marie, Dighton, powiedział, że tego rodzaju legalność podlega dyskusji i chętnie się takiej dyskusji podejmie za swoje, jak zwykle wygórowane honorarium, jeśli ktoś zapłaci. Nowe technologie były na fali. Marie nie miała nic do stracenia, więc była nieustraszona. Jedyna rzecz, jakiej jej brakowało, to zasady moralne - tak kiedyś powiedział Hugo.

- Postępujesz jak każda mafia na świecie, Marie. Cel uświęca środki.

- Jestem zraniona, Hugo - odpowiedziała z lekkim uśmiechem, spuszczać oczy.

- Jak cholera - parsknął.

Marie przypomniała sobie, nie bez wysiłku, że żaden palec boży nie uniósł pasm mgły z mrocznej doliny, o której wspominał biblijny psalm¹, a potem wróciła do ekranu z Dento Inc., gdzie widniało mnóstwo równań chemicznych. Marie poszukała czegoś więcej poza elegancką witryną firmy i wkrótce znalazła prywatną sieć Dento, najwyraźniej obejmującą cały świat. Weszła. Rozkazała:

- Chcę wiedzieć, co znaczą te równania - a okienko, które pojawiło się obok, wypełniło natychmiast jedno słowo: FEROMONY. „To dziwne, że wodospad zaczął być tak głośny” - pomyślała.

Zeskoczyła z kanapy, z bijącym sercem sięgnęła pod poduszkę. Zimny, ciężki Luger dodał jej otuchy. Skuliła się i wyjrzała zza listewek żaluzji.

Jaskrawo pomalowany stary Volkswagen garbus załomotał na krawędzi podjazdu przy ciasnym, brudnym podwórku i stanął. Wysiadł z niego wysoki, chudy nastolatek. Dredy wystawały spod czerwonej bejsbolówki i opadały na twarz. Rozejrzał się, podszedł do werandy, a potem na pierwszym stopniu położył kopertę, wskoczył do samochodu i odjechał w góry.

Zgodnie z instrukcjami Hugo.

Marie otarła pot, który nagle wystąpił jej na czoło. Z krzywym uśmiechem pomyślała, że jej hormony nie są wcale tak skuteczne. Wyobraziła sobie, że złocisty rydwan zatrzymał się przed jej domem albo że anioł zostawił jej pudełko pełne cudów.

Wyszła na wilgotny od rosy ganek. Delikatne żółte orchidee, zwieszające się z pobliskiego drzewa, kołysały się w podmuchach wiatru. Marie rozerwała kopertę i przeczytała notkę: „Specjalna dostawa paczki w mieście. Spotkajmy się po południu”.

W końcu Hugo znalazł morderców Malutkiej Marie. Albo trafił na bezpośrednią wskazówkę.

Marie ponownie skryła się w domu.

W małej kuchni, właściwie niewielkim aneksie kuchennym, włączyła palnik i nastawiła przefiltrowaną wodę na herbatę. Potrząsnęła puszką z herbatą, lecz nim udało się jej podnieść wieko, pojemnik upadł na podłogę. Zagrzechotał, kreśląc intrygujący wzór, a Marie wstrząsnęła się w paroksyzmie histerycznego śmiechu, który nawet dla niej zabrzmiał obco. Podniosła puszkę, nabrała yerba-mate i wrzuciła do wrzącej wody, a potem wyłączyła gaz.

¹ Odwołanie do cytatu z Biblii: Księga Psalmów 23, 4: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza.” Biblia Tysiąclecia, (przyp. tłum.)

Woda przestała bulgotać. Czysty aromat herbaty zmieszał się z zapachem deszczu. Kobieta zamknęła oczy - i Malutka Marie zaczęła tańczyć w ciemności...

Marie przelała napar do grubego kubka bez uchwytów i zaniósła herbatę do sypialni. Położyła naczynie na słomkowej macie przykrywającej nierówną, drewnianą podłogę. Spod żelaznego łóżka wyciągnęła stalowy nesesor. Wskazującym palcem dotknęła zamka i szepnęła:

- Sezamie, otwórz się.

I wieko odskoczyło natychmiast.

Deszcz znowu załomotał o dach. Marie spojrzała na równe rzędy niewielkich, metalowych fiolek wewnątrz walizki. Potem dotknęła płytki w środku i uruchomiła ekran z opisem.

W dzisiejszych czasach udało się osiągnąć sporo niesamowitych rzeczy w zakresie chemii mózgu. Niewiele z nich było legalnych. Marie pompowała pieniądze w nieduże laboratoria rozsiane na całym świecie w nadziei, że kiedyś jej się to zwróci. Ale laboratorium, które wydestylowało „Nr 19” nie zaliczało się do takich inwestycji. Marie weszła w posiadanie „Dziewiętnastki” w wyniku skomplikowanych transakcji. Laboratorium zajmowało się badaniami nad imprintingiem² i kaczkami. Bóg wie, jakie to były badania! „Dziewiętnastkę” testowano tylko na ssakach, szczurach i jednym dorosłym lwie. U tego ostatniego zaszła zdumiewająca zmiana. Czyż dla łagodnego jak kotek wielkiego drapieżnika, zdolnego do szczęśliwej koegzystencji z człowiekiem, nie znajdzie się nisza rynkowa? Na pewno udałoby się uzyskać gotówkę, która ocaliłaby ten zagrożony wymarciem gatunek. Oczywiście, gatunek nieco odmieniony, ale przecież nic nie jest doskonałe. Tym bardziej, że źródło, skąd Marie pozyskała informacje o „Nr 19” twierdziło, że skutki działania preparatu pozostały dla ludzi tajemnicą.

Nie na długo jednak. Marie uśmiechnęła się wyciągając fiolkę. Zamknęła wieko i wsunęła walizeczkę pod łóżko.

Z fiolką w ręku mocowała się z zamkniętą szufladą starego kredensu. Wyjęła stamtąd sukienkę, którą uważała za straszną - opiętą w górze, z frywolnym rozkloszowaniem na biodrach, nie krępującym nóg i pozwalającym w razie czego wyprowadzić kopnięcie. Ubrała ją i obejrzała się w lustrze. Hugo się mylił. Nabierała wagi. Właściwie muskułów. Ćwiczyła po kilka godzin dziennie z ciężarkami.

Włosy zaplecione w mnóstwo warkoczyków spięła w węzeł srebrnym grzebieniem z

² - biol. u wyższych kręgowców: specjalny typ nabywania trwałych reakcji (schematów zachowania się) we wczesnym, bardzo krótkim okresie życia, przyp. tłum.)

symbolem połączonych współśrodkowych serc, potem usiadła na łóżku i wsunęła stopy w buty na wysokim obcasie. Zaciśnęła palce i opuściła głowę.

Czy tak ma być? Żadnego procesu, ławy przysięgłych?

Czym się martwi? Małutka Marie nie miała nawet cienia szansy.

Wsunęła fioletową „Dziewiętnastką” do kieszeni i wyszła na stary, spróchniały ganek. Uruchomiła jeepa i skierowała się w góry. Ledwie udało się jej ominąć dwa koguty, zapamiętałe walczące w koleinie - niepomne niebezpieczeństw ptaki hałaśliwie tokowały na drodze, kilka zakrętów od chaty Marie. Minęła starego mężczyznę siedzącego na ganku, skinął mu głową. Odkłonił się leniwie. Promienie słońca rozprasały mgłę, rozświetlając dolinę. Marie przejechała przez niewielki most u podnóża góry i skierowała się na dwupasmówkę bez oznaczeń pasów ruchu, wiodącą do miasta. Jechała bardzo szybko.

Zaparkowała przy krawężniku obok rynku i ruszyła przed siebie. W szaleństwie otaczających ją barw wyróżniała się nieco, wyglądała poważnie i nieco staroświecko na tle przechodniów. Ciekawe, pomyślała, czy zdają sobie sprawę, jakie szaleństwo ukrywa w umyśle? Marie czuła, że to szaleństwo. Nawet nie śliskie zbocze, lecz brzeg przepaści, nad którą zawisała ze związanymi skrzydłami...

Ale nowa droga, to nowe możliwości. Semantyka okazała się jak zwykle przydatna.

Choć było dopiero przedpołudnie, wokół rynku narastał zgiełk - odgłosy dzikiej przyrody i przeplatające się wśród nich echa wystrzałów. Marie skręciła w brukowaną uliczkę. Jej dwaj francuscy terroryści i kucharze zarazem rozpięli się na wiklinowych krzesłach. Udawali, że nie widzą Marie, a ona udawała, że nie widzi ich. Skierowała się do otwartych obok drzwi i po wąskich schodkach weszła do apartamentu na trzecim piętrze. Wystukała głupi kod, jaki razem z Hugo wymyślili jeszcze w dzieciństwie. „Jak daleko zaszliśmy od tamtej pory” - pomyślała, gdy Hugo otworzył drzwi.

- Przynieś mi głowę klauna - oznajmiła.

Skrzywił się, usłyszawszy ten makabryczny żart i zerknął za siebie, zamykając za nią drzwi. Pokój wypełniały składane krzesła, sfatygowany tapczan, dwa fotele z rozprutą tapicerką i żelazny masywny stół. Do stołu przykuci byli mężczyźni.

Siedzieli na podłodze, przy ścianie, na której nie pozostało już wiele tynku. Wyższy z więźniów miał na twarzy świeżą bliznę. Ramię mniejszego było obwiązane. Obaj natomiast byli mocno posiniaczeni.

- Rozwiąż ich - rozkazała Marie.

Nie okazując żadnych uczuć, Hugo sięgnął do kieszeni i wyjął mały radio-klucz. Pęta opadły.

- Tylko bez sztuczek - ostrzegł jeszcze.

- Rozgoście się.

Spojrzeni po sobie, wstali i przysiedli na krzesłach. Pocili się bardzo. Ręka wyższego z więźniów wyraźnie zadrżała, musiał chwycić się za nadgarstek, by się opanować.

Marie stwierdziła raczej niż spytała:

- Wiecie, kim jestem.

Cisza. Kobieta uśmiechnęła się lekko, choć czuła się, jakby spadała w bezdenną przepaść.

- Nie?

Przeszła przez pokój, wrywając z warkoczyków srebrny grzebień i rzucając go na podłogę u stóp więźniów. Warkoczyki opadły jej na twarz, odrzuciła je w tył niecierpliwym gestem.

- Wyobraźcie mnie sobie... w innym kolorze skóry. Jaśniejszym... jak - och, te porównania są takie męczące! - jak kawa z dużą ilością śmietanki. I wyobraźcie sobie jeszcze... - Marie zatrzymała się, obróciła ponownie odrzucając niesforne warkoczyki w tył - wyobraźcie sobie, jak stoję... na balkonie...

Więzień drobniejszej postury wytrzeszczył oczy.

- Ale... Ty... - odchrząknął - nie żyjesz...

Wyższy z mężczyzn odezwał się ochryplym, głębokim głosem. W tonie brzmiała większa pewność siebie.

- To nie ona, nie Marie Laveau. Zabiliśmy Marie Laveau, na pewno. To jakaś pomyłka... - ale słowa cichły coraz bardziej, gdy kobieta intensywnie spoglądała mu w oczy.

- Co to znaczy „pomyłka”? - zachnęła się Marie.

- Myśleliśmy, że... - drobny więzień zerknął na drugiego.

- Głośniej! - głos kobiety był jak trzask bicia.

- Myśleliśmy, że zabiliśmy Marie Laveau. - odchrząknawszy, wyższy z mężczyzn, ten z blizną na twarzy, wyjaśnił: - Dlatego wpuściliśmy tu tego karła. Ale to wszystko, co mamy do powiedzenia.

- Oui - potaknął jego towarzysz skwapliwie.

- Jestem Marie Laveau - wysyczała. Więźniowie skurczyli się pod jej pełnym emocji spojrzeniem - Naprawdę mnie zabiliście. - wyprostowała się. - Ale dysponuję pewnymi... mocami - tupnęła.

Obaj więźniowie czujnie unieśli głowy.

- Zabiliście mnie. I wiecie, kto zabił mi męża i córkę.

Mężczyzna z blizną przełknął nerwowo.

- Więc?

- Tak, pszepani - więźniowie nabrali chęci do zwierzeń, zwłaszcza, gdy Hugo zaczął przestępować z nogi na nogę, zdradzając oznaki zniecierpliwienia, które, jak już wiedzieli - nie wróżyło nic dobrego.

Marie usiadła na jednym z krzeseł i obrzuciła więźniów uważnym spojrzeniem.

- Mam zamiar zabić was obu.

Nie odezwali się słowem. Ten mniejszy zdjął jakiś pyłek ze spodni i uważnie przyglądał się własnym palcom.

- Przyznacie, że mogę to zrobić, nawet bez powodu.

Rozglądali się tylko.

- Więc?

- Tak, pszepani - odpowiedział z wyraźnym, haitańskim akcentem ten mniejszy, posyłając towarzyszowi spojrzenie pełne złości. - Ale...

- Żadnych ale! - Marie wstała. Sukienka załopotowała przy gwałtownym ruchu, obcasy zastukały po podłodze. - Ośmielicie się błagać o wasze nędzne życie? - odwróciła się do nich plecami i dotknęła węża na przedramieniu, a przynajmniej miała nadzieję, że tak było - nigdy dokładnie nie pamiętała, gdzie znajduje się malutki symbol.

- Nie można mnie zabić.

Drobny mężczyzna unikał jej wzroku. Drugi odrzekł wyzywająco:

- Nie wierzę w *voudoun*.

- Nie zostało ci zbyt wiele czasu, by uwierzyć w cokolwiek - odcięła się Marie - Ciesz się wolnością słowa. A co z tobą? - zwróciła się do mniejszego.

Natychmiast uczynił znak krzyża. Marie skrzywiła się.

- Mądrze, ale obawiam się, że to nie zadziała.

Wyższy z mężczyzn skoczył, zrywając się z krzesła. Marie kopnęła go w twarz. Upadł uderzając plecami w podłogę. Nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy. Hugo wyciągnął broń.

- Wracaj na miejsce - rozkazał krótko. Mniejszy mężczyzna z trudem łapał powietrze. Wyższy usiadł, wycierając krew, która spływała do oka z nowej blizny i kapała na T-shirt. - Chcę wypróbować coś nowego - oznajmiła Marie - Macie prawo czuć się niewyobrażalnie wyróżnieni.

Z kieszeni wyjęła fiolkę. Tę fiolkę, w której przelewała się dawka „Nr 19”:
IMPRINTING.

Hugo wiedział, że nigdy nie powinno się ujawniać różnicy zdań przed obcymi, zwłaszcza przed zabójcami, ale Marie wyczuła zaskoczenie przyjaciela. Oczywiście, rozpoznał fiolkę z nesesera, gdzie kryły się wyniki eksperymentów nanobiotechnologicznych, ale nie wiedział, jaki to konkretnie preparat. W każdym razie było to coś, co mogło zaważyć na wynikach przesłuchania.

- Jak dotąd nie powiedzieliście mi nic o tym, kto was wynajął - oznajmiła Marie.

- Wpakujemy się w bagno, jeżeli cokolwiek powiemy - odpowiedział jej wyższy z więźniów wyzywająco.

- O wiele szybciej znajdziecie się w bagnie, jeżeli nie zaczniecie współpracować. To jest rodzaj serum prawdy - potrząsnęła fiolką.

Hugo westchnął głośno.

- Są tu jakieś naczynia? - spytała Marie.

- Jakieś styropianowe kubki po kawie w śmieciach - Hugo wzruszył ramionami - Obok zlewu w kuchni. - Jego głos mógł się wydawać beznamietny komuś obcemu, ale Marie usłyszała ton chłodnej dezaprobaty. *Nie daj się teraz. Dopóki nie poznamy nazwisk ich szefów. Czy nie taki był plan? Nie graj w ich grę.*

Zdecydowanym krokiem weszła do kuchni i wyjęła dwa kubki z kosza na śmieci. Stąpała po kwadratach zielonego linoleum zasłaniającego zniszczoną podłogę przykrytą poźółkłymi gazetami. Porcelanowy zlew zwisał krzywo przy ścianie. Z kranu popłynęła brązowawa woda, napełniając styropianowe naczynia. Marie dodała do nich po kilka kropel preparatu z fiolki i zerknęła z kuchennego okna na drewniane ogrodzenie po drugiej stronie uliczki, nie myśląc o niczym. Pustka, pomyślała. Radość odeszła. Potrzebna mi jest następna dawka hormonów.

Czy na pewno?

Marie skrzyżowała ramiona i opuściła głowę. Nie umiała sobie już wyobrazić ani miłości, ani żadnych radosnych uczuć nie wywołanych przy pomocy chemii.

Ale nadal żyła. Mogła wkroczyć w tę nową przyszłość. Mogła podjąć nowe wyzwania. Mogła być graczem. Mogła mieć kontrolę nad wszystkim, co tylko możliwe. Kiedy się zna możliwości, a jednak nie podejmuje wyboru, również jest to wybór - bierna akceptacja. Świat zmienia się tak bardzo szybko.

Podobnie, jak zmienią się ci dwaj zabójcy. Marie podniosła kubki i wyprostowała się, wracając do pokoju.

- Wypijcie do dna - oznajmiła im. - Ręczę, że to was nie zabije. - Kłamstwo. - Ale możecie pożegnać się z życiem, jeśli uronicie choć kroplę.

Wręczyła kubki mężczyznom. Wypili, przełykając nerwowo swoje porcje. Marie zajęła miejsce na składanym krześle. Nie wiedziała, ile potrwa, zanim specyfik zacznie działać. Z tego też powodu nie miała pewności, czy więźniowie zaraz nie upadną na ziemię, wijąc się w śmiertelnych konwulsjach. Nie dbała o to. Zwłaszcza, że Hugo byłby szczęśliwy, gdyby tak się stało.

- Spójrzcie na mnie - rozkazała. - Chcę usłyszeć historię życia każdego z was. Całą historię. Ty pierwszy, Mały.

Mniejszy z więźniów oblizwał wargi.

- No, już! - ponagliła. - I mów do mnie Szefowo.

Przypominało to trochę macanie na ośle, ale zwierzęta laboratoryjne, którym podano „Nr 19” lub, jak to określano: szkice zachowań warunkowane preparatem, przejawiały natychmiastową i całkowitą lojalność wobec eksperymentatorów, o ile towarzyszyli im w pierwszych chwilach po zaaplikowaniu „Dziewiętnastki”. Mechanizm ten działał genetycznie, np. u piskląt kaczek, u których w ten sposób tworzyła się więź z rodzicami i umiejętność ich rozpoznawania. Dzięki kombinacji różnych enzymów wpływających na procesy chemiczne mózgu, ten sam mechanizm można było wywołać u innych zwierząt, m. in. u morderców Malutkiej Marie, o ile ten czarnorynkowy specyfik zadziała, jak należy.

Mogą myśleć, co chcą - że to *voudoun*, albo że nauka, która pozwoliła Marie wskrzesić *voudoun*. Głos drobniejszego z więźniów drżał, kiedy zaczął mówić, ale uspokoił się w miarę opowiadania. Historia nędzy i przemocy nie była niczym zaskakującym, włącznie z kończącym ją wstąpieniem do gangu.

- Patrz na mnie - przypominała Małemu kilkakrotnie. - Ty również - dodawała, zwracając się do Pociętej Twarzy. Opowieść tego mężczyzny była bardzo podobna, choć pochodził z Jamajki, nie z Haiti.

Ale najdziwniejsze zdarzyło się, gdy kończył mówić. Wyjąkawszy nazwiska zleceńodawców i wszystko, co o nich wiedział, skrzywił się i zaczął płakać. Upadł na podłogę i podczołgał się do stóp Marie.

Cofnęła się. Hugo skoczył, kopnął mężczyznę w bok.

- Wstawaj! - rozkazał.

Zamiast tego Pocięta Twarz podpełzł zwinnie jak wąż i ucałował but Marie.

- Królowo - wyszeptał Mały, podczas gdy Hugo maltretował jego towarzysza zmuszając go do powrotu na krzesło.

- Szefowo - przypomniała mu Marie zakłopotana. Spoglądała na mokry ślad pocałunku, jaki pozostał na bucie.

- Szefowo - powtórzyli obaj posłusznie, a łzy płynęły im po policzkach. Mały wytarł nos rękawem.

- Szefowo Królowo - dodał ten z blizną, a puste oczy nadawały jego twarzy wyraz, jak u skrzywdzonego dziecka. - Ja i on, zasłużyliśmy na śmierć. Okaż litość. Będziem gadać. Będziem mówić Królowej - Szefowej całą prawdę.

- Tak jest - przytaknął Mały, gorliwie kiwając głową - Sprawdź to, przekonasz się. Wybacz nam. Przepraszamy za to, że cię zabiliśmy. Ale ta mała dziewczynka, to nie była nasza wina. Nie możemy być w dwóch miejscach jednocześnie. Nie tak, jak ty, Królowo-Szefowo. Pomożemy ich znaleźć. Znamy tylko nazwisko: Bensonberg. Z Kopenhagi. A ty - ty byłaś pomyłką...

- Tak - potwierdziła Marie cicho - Już to mówiliście. Co to znaczy?

Tym razem nie musiała czekać, Pocięta Twarz odpowiedział od razu:

- Ciebie, ciebie miałem tylko nastraszyć, ostrzec. Oni chcieli coś od ciebie. Nie wiemy, co chcieli. Ale oni zabić... Twoja córka, twój mąż - wtedy ty im posłuszna. Nie wiemy, jak ty się naraziła. Ale sygnał, syrena, zmylił nas. Pierwszy sygnał syreną - to być test. Potem oni mieli zadzwonić do ciebie i powiedzieć żądania. Jeżeli nie posłuchasz, syrena się odezwie po raz drugi. I sygnał był. Myślelim, że mamy cię zabić. Proszę, Królowo-Szefowo...

- Moja rodzina została zamordowana - teraz głos Marie zadrżał - jako ostrzeżenie dla *mnie?*

Malutka Marie - piękna, niewinna, całkowicie nieświadoma i dla nikogo niegroźna - umarła. Tak, jak Al, cudowny, inteligentny, kochający mężczyzna. Z powodu jakiejś organizacji. Ponieważ ktoś chciał *zastraszyć* Marie...

Nagły, niekontrolowany wybuch gniewu rozjaśnił jej pamięć, wstrząsnął jej ciałem, jakby uderzył w nie piorun. Zrozumiała, jak ludzie pod wpływem nagłej furii mogą pięścią przebić ścianę. Czowała furię na myśl o tym morderstwie bez premedytacji.

Odwróciła się i drżąc podeszła do niedbale rzuconej na podłogę przy tapczanie torby. Wyciągnęła ciekłokrystaliczny ekran.

- *Tutaj!* - oznajmiła niskim głosem. - Patrzcie! Moja dziewczynka. Marie. *Patrzcie!*

Trzęsącą się dłonią gwałtownie powiększyła okno na ekranie.

- Widzicie? To ona. Bawi się w ogrodzie. Jest tutaj. - Jej słowa uderzały staccato, gdy zmieniała obrazy jednym dotknięciem palca. - SPÓJRZCIE na nią! - wrzasnęła histerycznie - Tutaj. To jej Pierwsza Komunia. A tutaj - tutaj... - jej dłonie trzęsły się coraz mocniej i zdawała sobie sprawę, że widzą to również jej więźniowie. - Tu z ojcem na Jackson Square. Ojciec Marie też nie żyje. *Oboje* nie żyją, wy nędzne szumowiny! - szlochając opadła na

tapczan.

Hugo delikatnie odebrał jej ekran, zamknął okno i schował urządzenie do torby Marie.

- Przykro nam - odezwał się Pocięta Twarz.

Marie spojrzała na Hugo.

- Masz już potrzebne ci informacje?

Przytaknął.

- Bensonberg. To wystarczy. Wynajmowałem go już wcześniej.

- Myślę, że teraz ich zabiję.

- Dobrze. Ale, Marie...

- Daj mi twoją czterdziestkę czwórkę. I załóż tłumik.

- Marie, można to zlecić komuś...

- Chcę to zrobić własnoręcznie.

- Proszę, pani Laveau - odezwał się mniejszy z uwięzionych mężczyzn - Zrobimy dla ciebie wszystko. Ale jeżeli chcesz nas zabić...

- Chcę - ucięła.

Drugi, mężczyzna z blizną, opuścił głowę.

- Zrobisz, jak kcesz...

Marie wycelowała w jego głowę. W ostatniej chwili dłoń jej zadrżała.

Wrzask, jak u dzikiego zwierzęcia, przeciął powietrze. Krew rozprysła się na ścianie, na podłodze, obryzgała składane krzesło i spłynęła niżej. Marie zatoczyła się, przelożyła broń do lewej ręki, prawa zbyt mocno się trzęsła. Zapach prochu rozwiewał się powoli. Dzwoniło jej w uszach.

Hugo przyskoczył do niej.

- Trafiałaś go w łydkę. Chyba widać kość.

Ranny próbował się cofnąć, ale upadł. Krew rozlała się wokół jego nóg.

Mniejszy spojrzał na towarzysza z twarzą wykrzywioną przerażeniem. Zerknął na Marie. Oczy miał wytrzeszczone, błagalne.

- Uczyniłaś słusznie. Zasłużyliśmy na śmierć. - Łzy zrosiły okrągłą twarz. - Proszę. Zastrzel i mnie. To była taka piękna dziewczynka. Jeszcze dziecko. - Ukląkł i przytknął czoło do posadzki. - Zabij mnie.

Marie kopnęła go w głowę - mocno. Zwalił się na bok z jękiem bólu. Ale kopnęła go znowu, i jeszcze raz, jeszcze, jeszcze... aż Hugo chwycił ją do tyłu i odciągnął.

Dyszła chrapliwie, łapiąc powietrze. Odsunęła się od odrapanej ściany i wyjrzała na ulicę przez okno. Wydawało się, że nikt nie usłyszał strzału. Albo, co bardziej

prawdopodobne, nikt nie zwrócił na to uwagi. Albo wszyscy za bardzo się bali.

Marie zaszlochała rozdzierająco, skuliła się i objęła ramionami.

- Czemu ja żyję? Dlaczego? Czy jest jakiś *powód*?

Hugo ujął ją za rękę i podprowadził do tapczanu.

- Wszyscy mamy swoje powody, Marie - ścisnął ją lekko za ramiona. - Może... Może poznamy powód...

Po kilku minutach mogła już pójść do kuchni, przemyć twarz i wrócić opanowana. Jej umysł był pusty jak kościół we wtorki. Wszystko zdawało się odległe. Ciała poranionych mężczyzn, krew, powoli przybierająca odcień sepii, zniszczony stół, krzesła, odrapane ściany.

- Chodźmy stąd.

Kopnęła jeszcze srebrzysty grzebień ze znakiem serc, ciągle leżący na podłodze. A potem zamknęła za sobą drzwi.

*

Gdy wrócili w góry, było już ciemno. Hugo zachowywał się z wystudiowanym spokojem, nie uczynił żadnej wzmianki o tym, co się stało.

- Czemu po prostu mnie nie uprzedzisz, co planujesz, Marie, zanim zrobisz aferę? I zwolnij. Rozbijemy się w tym przeklętym wozie.

- Zapnij pasy - poradziła Marie. Jeep przeciął mały strumyk na drodze, rozchlapując wodę. Kolejna dawka hormonów sprawiła, że świat wydawał się lepszy. Dlatego właśnie Marie im nie ufała.

- Ty też powinienes mi powiedzieć o własnych planach, nieprawdaż?

- O czym ty mówisz?

- Malutka Marie. Nie powiedziałaś mi, że zabezpieczyłaś jej DNA. - Marie cieszyła się, że jest ciemno. Hugo nie dostrzeże łez, które tak nagle napłynęły jej do oczu.

- Zmieniasz temat - głos mężczyzny brzmiał szorstko. - Co zamierzasz zrobić z tymi... tymi *zombie*, których stworzyłaś? Nie jestem pewien, czy ten postrzelony przez ciebie umrze. Na dodatek nie mamy pojęcia, jak długo będzie się utrzymywał efekt działania specyfiku, którego użyłaś. A co, jeśli przestanie działać w najmniej odpowiednim momencie?

- Wtedy ich śmierć tylko się odwlecze, to wszystko. Będą mogli cieszyć się życiem troszkę dłużej.

- Czyżbym słyszał ironię?

- Możesz słyszeć, co chcesz - westchnęła i skierowała samochód na strome zbocze. Deszcz minął, po nocnym niebie płynęły obłoki nie przesłaniając jaśniejszego kręgu pełni Księżycy.

- Nie jestem pewna, czy mam plan. Bez tego preparatu hormonalnego nie mogłabym rzucić żadnej klątwy.

Wilgotna dżungla lśniła w księżycowej poświacie. Słodki zapach jaśminów przesycił powietrze. Wokół narastały odgłosy lasu - Odległy ryk ze wzgórza, szepty i piski, niekiedy okrzyki przypadkowych zwierząt, niewidzialnych i nieznanych, szum wiatru w koronach drzew.

- Żadnych budynków na mapie - powiedział Hugo - Jak dla mnie, wygląda, że zbrocze jest za strome, aby można tu coś zbudować. Ale są ślady. Coś w rodzaju... - zatrzymał się.

- Rytuał *voudoun* - domyśliła się Marie.

- Albo grupa dzieciaków na imprezie.

Spojrzeni na pomarańczowe światełko ognia, migające w oddali.

- Jak myślisz...?

- Cokolwiek to jest, bez wątplenia obcy nie są mile widziani. Marie zawróciła jeepa, by zjechać ze wzgórza. Tylne światła omiotły las.

- Do licha, Marie, zwolnij, albo wysiadam! - warknął Hugo. Deszcz kropel z mokrych gałęzi załśnił w światłach reflektorów, gdy samochód gwałtownie skręcił. Marie stopniowo zwalniała przy zjeździe i wkrótce znaleźli się u stóp zbrocza.

- Tutaj. Tu zaczyna się komplikować - oznajmiła.

- Och! - mruknął Hugo. - To znaczy, że wcześniej nie było komplikacji?

Droga skręcała w lewo, na zniszczony most i wiodła dalej do miasta. Marie skręciła w prawo, w wąską ścieżkę, niknącą w ścianie lasu. Wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła ostrożnie. Mokre gałęzie odginały się na przedniej szybie i uderzały w tył pojazdu.

Wkrótce dróżka powiodła ich w lewo, na niedużą błotnistą plażę. Odbicie światła w tafli wyglądało jak zanurzone pod powierzchnią dwie jasne miski. Marie przełączyła napęd na cztery koła i samochód przeorał strumień, wznosząc po bokach skrzydła wody, a potem wspinając się na stromy brzeg. Pozwoliła sobie na triumfalny okrzyk.

- Tak, żyjemy - odetchnął Hugo, gdy wjechali na szczyt wzgórza i skręcili w wąski szlak, prowadzący do doliny. - Ale, jak mi się zdaje, niewiele cię to obchodzi.

Marie uśmiechnęła się złośliwie.

- Nie zapominaj, mój drogi, że też jesteś w to zamieszany.

- Kiedy widzę, jak to wszystko na ciebie wpływa, zastanawiam się poważnie, czy nie usunąć mojego nazwiska z listy - odciął się Hugo.

Chwasty między koleinami rozrosły się wysoko, ale nie ulegało wątpliwości, że to droga. Dżungla ustępowała, gdy przejeżdżali, mijając miejsca, gdzie prawdopodobnie kiedyś

były pola.

Nie widzieli już ognia, ale szlak zaczął się pięć na drugą stronę wzgórza. Marie uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że jej serce bije mocno; czyżby ze strachu przed śmiercią? Roześmiała się.

- Zapamiętaj, że stąd nie ma ucieczki - zauważył Hugo. Spoglądał przez przednią szybę, ściskając uchwyt przed sobą. Posuwali się mozolnie jak czołg. Po mniej więcej pięciu minutach droga stała się szersza. Na zakręcie parkowało może z piętnaście samochodów.

- Nie sądziłem, że jest tu tak wielu ludzi.

- Może przyjechali przed deszczem. Marie zawróciła jeepa i wrzuciła hamulce.

- Gotów do akcji?

- To był dla mnie długi dzień... - mimo tonu narzekania, Hugo wysiadł z wozu i ruszył za towarzyszką.

Wiatr owiewał Marie, gdy śpieszyła dróżką w blasku Księżycy, przeskakując wypełnione wodą koleiny - wiatr podnosił ją na duchu. Z głębi lasu dobiegło bębnienie, głęboki, skomplikowany rytm. Pomyślała, że powinna się bać, ale wbrew wszystkiemu czuła ochotę, by zatańczyć, jakby znów była małym dzieckiem biegnącym wzdłuż rozświetlonej ulicy nad brzegiem spienionej Mississipi.

- Wiesz, Hugo - odezwała się z lekką zadyszka do przyjaciela, który właśnie ją dogonił. - To nawet ładnie z mojej strony, że dzisiaj oszczędziłam tych dwóch mężczyzn, nie sądzisz?

Przyjaciół chrząknął.

- Ty i ja mamy zupełnie inny system wartości, jak się zdaje. Albo masz zbyt ograniczone słownictwo.

Minęli zakręt i nagle przez płataninę gałęzi ujrzeli ogień, oddalony o jakieś pięćdziesiąt stóp. Postawny mężczyzna wyszedł na ścieżkę i powiedział coś po kreolsku. Marie znała francuski, ale i tak nie rozumiała ani słowa z powodu dziwnego akcentu i składni.

Hugo odpowiedział gestem wskazując na Marie. Postawny mężczyzna uniósł łysą głowę i obrzucił kobietę uważnym spojrzeniem głębokich oczu lśniących w kapryśnych błyskach ognia. Opuścił wzrok. A potem gestem nakazał im iść za sobą.

- Co mu powiedziałaś? - wyszeptła Marie.

- Że jesteś Marie Laveau - odrzekł Hugo. - No, wiesz, ta sławna Królowa Voodoo, o której tyle słyszeliśmy.

- Cholera! - mruknęła. - Pewnie będą czegoś ode mnie oczekiwali. I przestań się tak

uśmiechać.

- Jak?

- Złośliwie.

- To całkowicie niewinny uśmiech. Dobry Boże, widzisz to?

Przekroczyli niewidzialną granicę i znaleźli się na polanie. Marie - pomimo wrodzonego sceptycyzmu - pomyślała, że panuje tu podniosła atmosfera.

W centrum polany wznosiło się drzewo banyan o prawdziwie mitycznych rozmiarach. Otaczały je świece wbite w ziemię. Kobiety i mężczyźni odziani w biel, poruszali się rzucając długie cienie i sunąc w rytm bębnow, w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

Po jednej stronie, na składanych stołkach, siedziało trzech bębniistów, z instrumentów o różnych rozmiarach dobywali skomplikowany, odurzający rytm. Rytm wznosił się jak pieśń.

Stara kobieta w białej szacie, o długich siwych włosach przewiązanych białą chustą, stanęła przed bębniarzami, wspierając się na lasce. Skrzekliwie, ale z mocą, zaintonowała śpiewną frazę, kołysała się w transie mocno, utrzymując równowagę tylko dzięki wsparciu laski. Tancerze odpowiadali jej chórem. Obserwująca widowisko Marie obawiała się, że staruszka może się przewrócić. Tymczasem kobieta przyjęła tykwę z rąk młodego mężczyzny, który stanął przy niej. Przechyliła naczynie, a potem parsknęła, przyskając ciecżą w kierunku tancerzy. Za plecami starej kobiety znajdował się stół zrobiony z deski ułożonej na plastikowych skrzynkach na butelki.

Kobieta dostrzegła Marie i ruszyła w jej stronę.

Marie stała, jakby stopy wrosły jej w ziemię.

Hugo pchnął ją lekko i dopiero wtedy drgnęła. Zwróciła się do niego, ale przyjaciel spoglądał z uśmiechem na koronę banyan, ręce trzymał splecione z tyłu.

Wyprostowała się, stanowczo uniosła głowę i postąpiła krok naprzód.

Kobieta była prawie tak wysoka jak Marie. Na ciemnej, niemal czarnej twarzy odbijał się blask ognia, wysokie kości policzkowe i duże oczy uderzały dzikim pięknem. Na przekór siwym włosom skóry nie szpeciła ani jedna zmarszczka. Kobieta patrzyła uważnie. Rytm bębnow zwolnił. Wtedy położyła dłonie na ramionach Marie i zmusiła ją, by uklekła.

Marie poczuła dłonie mocno zaciskające się na jej głowie. Dotknięcie przez inne dłonie może być uzdrawiające, napomniała się surowo, ale wbrew sobie jej umysł przecięły wspomnienia o Alu, jak eksplozja światła i zdała sobie sprawę, że łka. Bez opanowania. I z gniewem. Tak, jakby przechodziła przez nią fala neurologicznego wstrząsu, ognisty podmuch, który przywraca utraconą łączność między uczuciami zagubionymi w przeszłości i obecnym

życiem. Marie próbowała stawiać opór tej nawałnicy smutku, ale dłonie siwowłosej kobiety naparły mocniej i poczuła ciepło rozlewające się na głowie. Posmakowała go. Rum zmieszany ze słonymi łzami. Rodzaj chrztu?

Do Marie podeszło dwóch mężczyzn i pomogło jej wstać. Inny podsunął jej tykwę, aby się napiła. Stara kobieta przeszywała ją wzrokiem i Marie nie ośmieliła się odmówić. Tym bardziej, że siwowłosa przypominała jej babkę, a do tego trudno jej było ustać na nogach. Mężczyzna nie miał nad Marie żadnej władzy, ale ta stara, wyniosła kobieta... *mon Dieu!* Wypiła wszystko, bo nie pozwolono jej przerwać, przechylając jej tykwę do ust z czymś, co smakowało jak rum.

Stara kobieta stanęła na ugiętych nogach, wyprostowała plecy i zaczęła poruszać się powoli po okręgu. Jeden z mężczyzn rzucił znaczące spojrzenie, więc Marie ruszyła dostojnie za siwowłosą. Uświadomiła sobie, że poświęca więcej uwagi męczącemu aspektowi postawy, może wskutek rumu, a może otaczającego ją bębnienia. Gdy stara kobieta zaczęła się poruszać, wyprostowała i usztywniła ramiona, a Marie zrobiła to samo. A kiedy taniec przeszedł w bardziej aktywną fazę, z okrzykami i podskokami, zdała sobie sprawę, że także wykrzykuje słowa, aż ochrypla.

Przestała myśleć o czymkolwiek, oprócz nieba, drzew i kolistego ruchu. Tańczyła w wewnętrznym pierścieniu delikatnego białego wzoru, rysowanego wokół drzewa przez tancerzy - jasny pył sypał się cienkimi strużkami z ich dłoni, kreśląc kształty, które Marie kojarzyły się z misternymi, kutymi z żelaza, ornamentami w Nowym Orleanie.

Dom. Al, nigdy strażnik, zawsze towarzysz, partner, przywołujący ją gestem do siebie, jakby otwierał drzwi do nieba. Malutka Marie płynąca w aureoli gwiazd. Jej przodkowie - matka, babka, mężczyźni i kobiety, których nigdy nie знаła, tworzący starożytny łańcuch istnień sięgający do korzeni ludzkości, do Afryki. Chociaż wszystko wokół zdawało się zderzać i wirować w szaleńczym rytmie, Marie czuła spokój i odprężenie, jak gdyby stała się Okiem spoglądającym poprzez niewyobrażalne otchłanie czasu i przestrzeni, jakby kołysała się w fosforyzującym, ciepłym morzu, wznosząc się i opadając na falach, a z jej głowy, rąk, bioder promieniowała moc. Każde uderzenie bębna popychało ją do przemiany tak precyzyjnie, jakby zostało wyliczone przez komputer.

*

Obudziła się kichając. Podłóże było twarde, a Marie poczuła wilgoć rosy na ciele. Podniosła się z jękiem. Promienie słońca przebijały się do dżungli. Na polanie nie było nikogo. Oprócz Hugo. Siedział oparty o pień drzewa banyan z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Która godzina? - zapytała. - Cholera! - chwyciła w dłonie bolącą głowę - Nie do

wiary, spałam na ziemi!

- Prawdę mówiąc, nawet więcej - odpowiedział Hugo. Zerknął na zegarek. - Prawie wpół do dziewiątej. Głodna?

- Wcale. Przestań się tak uśmiechać. Pęka mi od tego głowa.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że tak na ciebie działałam. Zachowywałaś się jak otumaniona. Niedobrze, że nie pamiętasz całej imprezy. Masz za to zaproszenie od tej starej kobiety.

- Nie jestem pewna, czy chcę ją znowu widzieć...

- Oczywiście, że tak! Dała mi wizytówkę. - Hugo wyciągnął z kieszeni karteczkę. Był na niej hologram z drobnym wzorem w kształcie serca, podobnym do tego, jaki otaczał drzewo.

- Ładne.

- Mówi się na to *vévé* - pouczył ją.

- Jest za wcześnie rano, żeby zgrywać mędrca - odgryzła się Marie - Poza tym, nie ma adresu.

- Powiedziała mi, gdzie mieszka. Zdaje się, że nic nie wiesz o voodoo.

Marie westchnęła. Przesunęła się do sporego kamienia i oparła plecami o chropowatą powierzchnię. Skręcało ją w brzuchu, w głowie huczało.

- Babka zabrała mnie raz na ceremonię nad jeziorem Pontchartrain. Prawdę mówiąc, nic nie pamiętam. Musiałam być bardzo mała. Przypominam sobie tylko, że widziałam mnóstwo nóg tancerzy, zanim zasnęłam. Nie wiem. To, co się zdarzyło wczoraj w nocy... Cóż, nie było zabawnie. Ale satysfakcjonujące. W dziwny sposób. Zdaje się, że wpadłam w trans. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

- Może w rumie było coś jeszcze. Prawdopodobnie coś halucynogennego - stwierdził Hugo.

- No, i bębny też miały wpływ. - dodała Marie. - Nie sądzisz?

- Jasne, rytm organizuje aktywność neuronową. - zgodził się, wstając. Otrzeptał spodnie. - Ciekawe, jak wyglądałby twój mózg, gdyby wczoraj zrobić ci skan?

- Jak pokaz fajerwerków - odpowiedziała. - Zdawało mi się, jakbym miała kontakt - to może brzmieć głupio, ale zdawało mi się, że wyczuwam Ala i... i Malutką Marie. Jakby oboje wciąż żyli, byli w jakiś sposób obecni...

Hugo skwitował wypowiedź chrząknięciem, ale nie odezwał się słowem. Milczał nadal, gdy wracali do samochodu i to milczenie miało dziwną jakość. Marie wiedziała, że to musi coś znaczyć.

Zatrzymała się, puszczając go przodem.

Dżungla rozbrzmiewała śpiewem, jaki dobywał z niej wiatr. Pomiedzy drzewami na południu Marie dostrzegła zarys wzgórz, przypominających rozkołysane fale, na chwilę wstrzymane w ruchu. Pomiedzy nimi prześwitywało błękitną linią Morze Karaibskie. Powiedziano jej o Malutkiej Marie...

- Hugo? - odezwała się.

Przystanął i obrócił się, by na nią spojrzeć. Odczytała to w jego twarzy. Skruczę. Upór.

- Nie... - szepnęła.

- Marie, proszę! Musiałem! Nie dla siebie. Dla ciebie.

- Kto cię nakłonił, żebyś... żebyś... - zabrakło jej słów.

- Missy - odpowiedział.

- Dlaczego? *Dlaczego?*

- By sprawić, żeby ci znów zależało - odrzekł.

- Zrobiłeś to. Jednak. Bo była okazja. Dla siebie. Nie dlatego, że mnie nie zależy? - Marie osunęła się na ziemię. Klęczała w błocie, ogarnięta bólem, obejmując się ramionami i z trudem łapiąc oddech. Hugo podszedł, stanął przy niej niepewnie. A potem położył dłonie na jej głowie tak, jak poprzedniej nocy uczyniła to stara kobieta.

Tym razem nie poczuła błyskawicy, żadnej jasności i bezczasu. Czowała tylko lekkie drżenie rąk mężczyzny i słyszała jego urywany oddech.

Wstała i uściśnęła mu delikatnie dłoń. Spojrzała mu w oczy.

- A więc stało się - powiedziała bez gniewu. Nie poczuwała się do żadnego związku z Malutką Marie. Wszystko zostało utracone, odeszło wraz z Alem, jeszcze jedną wyjątkową istotą. - Wszystko w porządku, Hugo, w porządku... Ale... Ona będzie twoja, tylko twoja. To będzie twoje brzemię odpowiedzialności. Nie mogę go wziąć na siebie. Nie radzę sobie ze wskrzeszonymi dziećmi. - Objęła przyjaciela, skłoniła głowę na jego tors i słuchała, jak bije mu serce.

Żółte i zielone ptaki śmigały nad drogą, jakby wybierały się na śniadanie do miasta.

*

W następne popołudnie Marie walczyła z kierownicą na wybojach drogi wzdłuż wybrzeża. Wraz z Hugo jechali z wizytą do starej kobiety. Gdy przejeżdżali przez którąś z niewielu wiosek, gromada dzieci w łachmanach biegła za jeepem, krzycząc i wyciągając ręce.

Choć minął już dzień od ceremonii, Marie nadal wszystko wydawało się jaśniejsze, bardziej wyraziste. Kaca wyleczyła dawką hormonów. Ale to było coś głębszego niż

sztucznie wywołana radość.

I coś znacznie niebezpieczniejszego. Musiała sobie przypominać, że nowe dziecko nie jest Malutką Marie. To dziecko Hugo. Pauza. Marie powinna zasugerować przyjacielowi, żeby pomyślał o imieniu dla córki. Przeżyła chwilę strachu na myśl, że wszystko mogło potoczyć się gorzej. Klonowanie ludzi było nadal niezwykle rzadkością, pomimo tysięcy odniesionych sukcesów. Wszystkich, rzecz jasna, nielegalnych, od początku do końca. Marie nie chciała widzieć dziewczynki. Nie powinny mieć ze sobą żadnych więzi. Hugo opowiedział Marie wszystko ze szczegółami. Że zabrał Missy do kliniki w Nowym Orleanie. Że kiedy była w trzecim miesiącu ciąży, wrócił z nią do Pink House w Tortoli. A Missy była bardzo szczęśliwa.

Hugo dotknął ramienia Marie.

- Tutaj chyba mamy się zatrzymać.

Krzyki dzieci brzmiały wysoko i ostro jak ptasi trel. Blaszane dachy krzywych chatek z kawałków drewna lśniły w słońcu. Na wioskę składało się może z piętnaście - dwadzieścia takich domostw. Malutki sklep szczyił się wyblakłym, różowym już logo Coca-Coli. Marie zastanawiała się, co skłania ludzi, by mieszkać w tak strasznym miejscu. Życie u podnóża gór przypominało wegetację. Na stromych klifach wznoszących się wokół nie można było uprawiać ziemi. Zjechali z nadmorskiej drogi i wysiedli z wozu. Otoczył ich tłum dzieci.

- To jakąś milę stąd - oznajmił Hugo. - Myślę, że za tą ścieżką po lewej, za półwyspem.

Morze w pobliżu lśniło zielenią, stykając się z niebem o barwie głębokiego błękitu. Rozciągająca się na mile krzywizna drogi granoczyła z lśniącą bielą piasku - plażą w kształcie półksiężyca. Za nią Marie widziała fale nieustannie rozbijające się o klif w pióropuszcach białej piany.

- Może ludzie tutaj utrzymują się z połowów ryb - powiedziała Marie ruszając. Słońce parzyło jej nieosłonięte ramiona i nogi. Ubrała tylko lekkie szorty i koszulę, słomkowy kapelusz i buty odpowiednie do wędrówki. Przyjrzała się dzieciom.

- Do szeregu - rozkazała im w swoim najlepszym kreolskim, który jednak brzmiał okropnie i niewyraźnie. Zachichotały, ale ku zaskoczeniu Marie, zrozumiały i posłuchały.

Ujrzała otwarte twarze chłopców w wieku może sześciu - siedmiu lat, z żebrami prześwitującymi przez skórę. Dziewczynki - niektóre w podartych sukienkach, inne w wyblakłych szortach - spoglądały wyczekująco, włosy miały splecione w warkoczyki spięte plastikowymi koralikami.

Marie przeszła wzdłuż szeregu dzieci, wręczając każdemu monetę pięciodolarową,

wartą o wiele więcej niż miejscowa waluta. Specjalnie zaopatrzyła się w drobne. Natychmiast zabrzmiał wokół niej chór głosów wykrzykujących *merci* i gromadka rozpierzchła się hałaśliwie.

W oddali, skąd przyszły dzieci, Marie ujrzała kolejną biedną osadę przycupniętą nad krzywizną wybrzeża, skąd wznosiły się dachy odbijające słoneczne promienie.

- Co za strata - stwierdziła. Poszperała w bagażniku jeepa i Wyciągnęła ciężką, płócienną torbę.

- Próbowano im pomóc - zapewnił Hugo, a w jego głosie brzmiał ciepły ton, gdy ruszyli ścieżką ukrytą w trawie w kierunku półwyspu. Zapachy soli i wysuszonej trawy mieszały się w upalnym powietrzu.

- Pomoc od skorumpowanego rządu, który nie miał zamiaru oddać ludziom nawet trochę władzy - mruknęła pogardliwie.

- Bo nie było nikogo tak *milego i bystrego*, jak ty - odciął się towarzysz.

- Nie jestem miła - zaprzeczyła. - Martwię się. Pamiętasz tego rastafarianina, którego widzieliśmy wczoraj podczas śniadania?

- To nie tak dawno - przyznał Hugo, ponieważ, jak przypuszczała Marie, niewiele więcej mógł powiedzieć.

Rastaman siedział przy sąsiednim stoliku i jadł płatki zbożowe i owoce. Podniósł wzrok, gdy zorientował się, że Marie, która czekała wraz z Hugo na wolne miejsce, przygląda się jego rudawym dreadom. Gestem zaprosił ich, by usiedli przy jego stoliku. Po kilku minutach Marie zdobyła się na tyle pewnie, by zapytać, jak to jest być rastafarianinem?

Mężczyzna był chudy, tak chudy, jak dzieci z tej obskurnej wioski. W dziwacznej mieszaninie angielszczyzny z Brooklynu przeplatanej brytyjskim akcentem, wyjaśnił, że pochodzi z Jamajki. Jego ojciec był Haitańczykiem. Rastaman urodził się w Nowym Jorku, skąd zabrała go matka, samotnie wracając na Jamajkę, gdzie go wychowała. Gdy dorósł, udał się na Haiti w poszukiwaniu ojca, ale nie odnalazł go do tej pory. Ale Port-au-Prince przez minione pięć lat stało się dla niego domem.

- My, rastafarianie, jesteśmy przeznaczeni do tego, by zbawiać każdą formę życia. Przeszliśmy reinkarnację w siedemdziesięciu i siedmiu ciałach. Wkrótce wyzwolimy wszystkie istoty. Weźmiemy udział w dżihad, świętej wojnie - jego spojrzenie było pełne powagi. - To wojna przeciw nędzy i ignorancji. Chcemy wyzwolić żywych teraz, na Ziemi. Nie w jakimś nieokreślonym niebie po śmierci. - Wypił resztki kawy, wyjął z kieszeni wielkiego skřęta i zapalił. Siedzieli w małej restauracji mieszczącej się w bocznej uliczce, gdzie przychodziło niewielu klientów, a jednak nikt nawet nie spojrział na palacza.

Rastafarianin zaproponował macha i Marie przyjęła. Potem skierował propozycję do Hugo, ale ten potrząsnął głową.

- Czym się to różni od *voudoun*? - zapytała.

Uniósł brwi.

- *Voudoun* czci przeszłość. Czci naszych przodków. A my żyjemy w teraźniejszości. Nie raniemy niczego, co jest żywe. Nie składamy ofiar. Chcemy zbawić wszystko, co żyje. Jak widzisz, jestem wegetarianinem. Wszyscy jesteśmy zwycięskimi lwami, wypełniającymi Boże dzieło.

- Ale poza tym jesteś zwykłym człowiekiem? - zauważyła Marie.

Wzruszył ramionami.

- Nie patrzę na to w ten sposób. Jestem nauczycielem, przede wszystkim. Prowadzę szkołę na Prince Street. Codziennie rano uczę dziewczęta i chłopców czytania i pisania. Dobrej angielszczyzny. Chciałbym też uczyć francuskiego, ale nie znam tego języka. Wyglądasz na kobietę bogatą. Przyjdź kiedyś i zobacz, co robimy. Może mogłabyś nas wspomóc jakimś datkiem, eh? Książkami? Zapłaciłabyś rachunek za energię, dała nam parę komputerów? - uśmiechnął się nieznacznie. - Myślisz pewnie, że jestem jakimś nieudacznikiem. Ale przyjdź i sama oceń.

Wręczył jej wizytówkę. Hugo zabrał karteczkę i schował do kieszeni. I teraz, gdy szli drogą na półwysep, mężczyzna stwierdził:

- Według danych na wizytówce ma na imię Zion. Rastafarianizm nie jest ruchem mesjanistycznym. Rastamanie nie wierzą, że jakaś boska manifestacja zbawi ich i zabierze do nieba. Bob Marley powiedział kiedyś, że miał wrażenie, iż atakują kościół, dopóki nie zorientował się, że to sami księża kłamią. Tak naprawdę są marksistami, bo wierzą, że ich wiara i zinstytucjonalizowana religia są tylko narzędziem ucisku mas, aby przekonać je, że życie w biedzie i poniżeniu jest cnotą, a nagroda za cierpienie czeka w niebie. Rastafarianie wierzą natomiast, że złoty wiek nadejdzie na Ziemi. Tak, jak powiedział Zion. I naprawdę starają się działać tak, by ten wiek nadszedł. Zaslужują na szacunek. Możemy zajrzeć do szkoły Ziona, jeśli masz ochotę.

Zbliżyli się do domu starej kobiety, niewielkiego budynku usytuowanego na cyplu. Choć był mały, wyglądał schludnie. Ściany ozdobione miał wyblakłym freskiem, którego najbardziej uderzającym elementem było drzewo sięgające gałęziami za węgły. Zamiast liści z korony zwisały wielkie różowe serca. Za niemalowanym płotem otaczającym dom spacerowało kilka kur. W drucianej zagrodzie beczały kozy. Wielki, odrapany generator postawiono na ziemi, w kurzu i przykryto daszkiem z zielonej płyty falistej. Obok stały trzy

czerwone zbiorniki z benzyną. Fale przybrzeżne sunęły między pobliskimi skałami i podmywały pordezwiątałe szczątki samochodu, pozostawiając na nich pianę spływającą z powrotem do morza.

Marie podeszła bliżej, zatrzymała się pod drzwiami domu. Zapukała lekko we framugę i zajrzała do środka.

Gdy jej oczy dostosowały się do zmiany oświetlenia, dostrzegła serca. Wszędzie serca: wybite z blachy, serca w sercach, z tak wielu różnych tworzyw, że Marie nawet sobie nie wyobrażała. Serca wycięte z okładek komiksów, plastikowe serca z kartonów mleka. Ułożone na półkach i malutkich stolikach coś, co wyglądało jak setki kamieni wyrzeźbionych w kształcie serc, przypominające fakturą i barwą pieprz z solą. I serca z gliny oraz lśniąca gładzią serca z plastiku. Marie zauważyła również drewnianą narośl wyciętą z drzewa za pomocą piły i wkomponowaną w pomalowane na zielono deski podłogi. A kobieta, która tu mieszkała, miała twarz w kształcie serca, tak ciemną, jak u Marie, płonące oczy i białe włosy, niczym lwia grzywa. Wydawała się starsza, gdy stanęła w jasnej kuchni.

- Wejdz - zaprosiła, a jej suchy głos brzmiał jak rozdzierana wylinka węża. Miała na sobie koszulkę z jakimś japońskim napisem i szorty odsłaniające silne, żylaste nogi. Była boso.

Marie przekroczyła próg. Wyciągnęła z torby dwie butelki porządnej whisky i postawiła je na stoliku obok popielniczki w kształcie muszli. Gospodyni obróciła butelki i mrużąc oczy, odczytała etykiety, potem skinieniem głowy wskazała Marie, by usiadła.

- Jestem Adele. Chcesz coś do picia? Lemoniadę, dietetyczną Colę?

- Colę, proszę. - Odsunęła krzesło i przysiadła przy turkusowym stole z odrapanym blatem. Adele podała jej puszkę Coli wyjętej z wysokiej lodówki. Starsza kobieta poruszała się powoli, z precyzją, która świadczyła o zmaganiu się z bólem, czego Marie domyśliła się od razu. Aż trudno było uwierzyć, że ta stara kobieta poprzedniej nocy tańczyła z takim wigorem.

Adele usiadła, odsuwając na bok leżące na blacie gazety. Postawiła tam dwie małe szklanki i spróbowała bezskutecznie otworzyć jedną z butelek whisky. W końcu, z grymasem, oddała ją Marie. Marie otworzyła i oddała alkohol. Gospodyni napełniła naczynia, jedno przesunęła w kierunku gościa. Z kieszeni wyjęła pigułkę - połknęła i popiła trunkiem.

- Lekarstwo na artretyzm. Niezbyt skuteczne. A zatem? Jesteś z Nowego Orleanu?

- Tak.

- Po co wybrałaś się na Haiti?

- Ponieważ zabito mi córkę. Szukam morderców.

- Znalazłaś?

- Nie, ale znalazłam ludzi, którzy dla nich pracowali.

- Czy ci ludzie nadal żyją?

- Poniekąd... - Marie pociągnęła łyk alkoholu i popiła Colę z puszki. Zza przysłoniętego białymi firankami okna dobiegł ją szum morza. Poczula się tak, jakby nigdy nie była tak daleko od domu. Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch w przeciwległym kącie kuchni. Nie od razu zdała sobie sprawę, że to biały boa, przesuwający się majestatycznie wzdłuż ściany i tak długi, że nie było widać końca masywnego jak męskie ramię cielska.

- Co się ze mną stało ubiegłej nocy? - starała się zachować nonszalancję, ale nie mogła się powstrzymać od zerkania na węża.

- Zostałaś nawiedzona przez Loa. Agwe. Boga Morza. Agwe przemawiał przez ciebie.

- I co powiedziałam... Co powiedział Agwe?

Adele spojrzała uważnie. Z pudełka leżącego na stole wyciągnęła papierosa, zapaliła. Dym uleciał przez okno. Marie spodobał się zapach.

- Powiedział, że nadejdzie złoty wiek. Złota era i złote miasto. Jak Jeruzalem. Chce stworzyć takie miejsce. Dla wszystkich ludzi. Mocą płynącą z serca. Mocą jego kochanki, Erzulie. Zeszłej nocy czciliśmy Ciszę. Cisza jest dobra. Cisza oczyszcza wszystko.

- Ale co to ma wspólnego ze mną? - Marie odchyliła się i krzesło zaskrzypiało. - Wiem, mój przyjaciel powiedział ci, że jestem Marie Laveau. I tak jest. Ale tamte Marie Laveau, o których myślisz, to była moja babka, moje dalekie ciotki... Nie jestem taka, jak one. Nie wiem nic o *voudoun*.

- Krew wie.

Marie rozejrzała się po pomieszczeniu. Nawet w tym wnętrzu pełno było roślin, bujnie rosnących, o wielkich ciemnozielonych liściach i wspaniałych pomarańczowo-fioletowych kwiatach. Ściany pokrywały gęsto sceny, namalowane, jak można przypuszczać, przez Adele. W rogu, przy kuchence, trzystopowa odrapana figura Marii Dziewicy, z czerwonym sercem przeciętym złotym krzyżem, spoglądająca na Marie płaskimi oczyma pełnymi smutku i miłości. Zdjęcia dzieci zatknięte za ramę lustra. *Vévé* z muszli i kamyków lśniło na ciemnym, wypaczonym stoliku z dębowego drewna. Spodziewano się po Marie, że będzie miała jakąś moc.

- Twój świat istnieje - odezwała się. - Mój nie.

Nawet ją zaskoczyła brzmiąca w głosie rozpacz.

Adele sięgnęła ponad blatem i zamknęła jej dłoń w silnym uścisku.

- Twój świat i mój świat, to ten sam świat - odpowiedziała. - Pamiętaj. Musisz tylko

pozwoić życiu, by płynęło przez twoje serce. To jest oczekiwanie. To wszystko wokół ciebie: Istota, Byt świata, bogowie i boginie, którzy się tutaj pojawiają. To silniejsze niż wszystko inne. Silniejsze od śmierci. Miłość połyka śmierć jak wąż połyka jajko.

Od ostatniej nocy Marie czuła prąd życia płynący od starej kobiety, która ścisnęła teraz jej dłoń, jak to czynią biznesmeni w Nowym Orleanie, by przypieczętować umowę. Adele zwolniła uścisk.

Marie nie kupowała tego gadania o miłości, co połyka śmierć. Dla niej wszystko było potrzaskane, puste i bolesne...

Nawet, jeżeli nowe dziecko wkrótce się pojawi. Tym bardziej...

Uniosła wzrok i napotkała przenikliwe spojrzenie Adele. Za nią w oknie rysowało się zieloną linią morze. Kury gdały na podwórku.

- A jaka ofiara jest za to wymagana? - zapytała.

- Chrystus bierze od nas ofiarę w modlitwie i zadośćuczynieniu. To z miłości. Każda ofiara składana jest z miłości.

Marie postanowiła nie wdawać się w teologiczną dysputę.

- Czym są... Jakże są te... loa?

- Gdy się pojawiają, wchodzi w ciebie i zmieniasz się. Pozwalasz na to. Jesteś pusta i one tobą poruszają. A potem przemawiają przez ciebie.

- Skąd wiesz, że byłam - kim?

- Agwe. Ponieważ widziałam, jak się poruszasz, jak wyglądasz. Naprawdę. Krzyczałaś, ale twoja twarz pozostała nieruchoma. Czasami przychodzi też Ghede. Śmierć.

Kobieta siedziała wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami i papierosem zwisającym z warg. Jej twarz zmieniła się na krótką chwilę, ale potem znów stała się tylko twarzą starej kobiety.

- Sama jestem *servitour*, służebnicą, Erzulie. To Bogini Miłości. Wstała i podeszła do niewielkiego kredensu. Wyjęła stamtąd zaczytaną książkę. Otworzyła, szukała czegoś kartkując, wreszcie podała tom Marie.

Marie zajrzała na okładkę. „Duch tańca. Rytmy i rytuały haitańskiego vodun. Obrządek Rada”, autor: Gerdes Fleurant. Przeczytała głośno:

- Taniec dla uhonorowania Agwe prowadzi do ekstazy, do wyzwolenia się z emocjonalnych konfliktów w kontakcie z istotą wyższą. Dunham dowodzi jasno, że loa stanowią dobroczynne siły natury. W Rada nie ma złych loa lub czarnej magii, w takim rozumieniu tych pojęć, jakie przyjęło się na Zachodzie.

- Nie ma czarnej magii? - Marie zamknęła książkę, zaznaczając miejsce czytania

kciukiem. - A zombie?

Adele potrząsnęła głową.

- Czarnoksiężskie sprawki. Ludzie wierzą, że źli czarownicy tworzą zombie do pracy, by spłacili długi. Brałam udział w ceremonii wyzwolenia zombie, jak można ten akt nazwać. Ale nigdy nie próbowałam tworzyć zombie.

- Mam dwóch własnych zombie - Marie pomyślała o dwóch zabójcach. Pomyślała o Malutkiej Marie.

Pomyślała o sobie.

- Zatem musisz ich wyzwolić, aby uwolnić siebie.

Marie wyprostowała się. Czowała rosnącą nienawiść. Taką, której serce nie mogło pomieścić.

- Pozwól im odejść - nakazała stara kobieta ostrzegawczo. Wstała, podeszła do niskiego stolika udekorowanego jak ołtarzyk - świeczki, obrazki, koronki. Podniosła coś, wymruczała jakieś słowa, które utonęły w szepcie morskich fal, a potem wcisnęła przedmiot w dłoń Marie i zacisnęła jej palce. Marie poczuła coś chłodnego, twardego i gładkiego. Dotarł do niej ostry zapach roztaczany przez starą kobietę. Otworzyła dłoń i ujrzała kamień w kształcie serca, a w nim drugie serce - niewielką białą skamielinę.

- Znajdź własne serce - wyszeptwała Adele. - Niech pożre śmierć, byś mogła żyć znowu. Dla Marie było to już zbyt wiele.

Ale jakaś nowo obudzona część jej osobowości zdawała się traktować radę starej kobiety całkiem poważnie. Uklękła i pocałowała pomarszczoną dłoń tak, jak katolik całuje papieski pierścień.

- Dziękuję - powiedziała i wyszła w jasne światło słońca.

*

Tego wieczora Marie zmierzała długą drewnianą keją w Port-au-Prince do swojego jachtu. Opuściła chatę w górach. Jej interesy na Haiti zbliżały się do końca.

Jak zawsze towarzyszył jej Hugo. Góry lśniły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Wiatr marszczył przejrzystą wodę, w której odbijał się pomost, łodzie i maszty. Jeden z rybaków myjących pokład, opryskał ją wodą z węża. Poczowała na prawym ramieniu przyjemny chłód, zanim się odsunęła. Wolny rytm muzyki boskiego Boba Marleya, dobiegający się z różnych odtwarzaczy, przebijał się przez wilgotne powietrze. „*Wysysając krew cierpiących dzień po dniu*” - pieśń, która stała się ponadczasowa.

Za załomem pomostu ukazał się ich jacht. Marie przystanąła.

- Hugo, co to jest tam na pokładzie?

- Wygląda jak człowiek. Chyba śpi.

- Na naszej łodzi? - ruszyła szybkim krokiem.

Hugo minął ją i poszedł pierwszy. W chwili, gdy dotarła na miejsce, pochyłał się nad leżącym. To był Pocięta Twarz.

Nogę miał obandażowaną kawałkami podartej koszulki. Oczy zamknięte, twarz zroszoną potem. Obok leżała prowizoryczna kula złożona z kawałków drewna.

Mały przysiadł na brzegu kabiny jachtu.

- Co tu robicie? - Marie natychmiast zażądała wyjaśnień.

- Jesteśmy teraz twoimi sługami - w głosie drobnego mężczyzny brzmiała pewność i przekonanie, że wszystko jest tak, jak należy. - Zrobim wszystko, co rozkażesz.

- Jak się tu dostaliście?

- Poszliśmy za strażnikami. Nie ich wina. Mówili, że nas zabijają, ale dali nam przejść. Powiedzieli, że ty zdecydujesz.

- Cholera - warknęła Marie. - Nie potrzebuję was tutaj! Skoczcie sobie na drinka!

Mały zsunął się z kabiny na deski pokładu. Skierował się na rufę, skąd mógł przeskoczyć na pomost, lecz zamiast tego skoczył do wody.

- To jakiś żart? - spytała Marie Hugo.

- Jeżeli żart, to twój.

Marie wcześniej wynajęła malarzy, aby zmienili nazwę jachtu na „Erzulie”. Pod napisem umieszczony został również delikatny wzór z serc, *vévé*.

- Nieźle - oceniła wchodząc na pokład. - Podaj mi kieliszek wina, proszę - zwróciła się do Jeana, który wystawił głowę z kabiny. - Dlaczego ci dwaj są tutaj?

- Mamy się ich pozbyć?

Marie zerknęła na Małego, który zanurzał się i wynurzał, dysząc przy burcie.

- Jeżeli wytrzyma dwie godziny, wyłówcie go.

- A co z tym drugim?

Zastanawiała się przez chwilę, potem wzruszyła ramionami.

- Nie ruszajcie go.

*

Ponieważ następnego ranka Pocięta Twarz nadal żył, Marie z niechęcią zezwoliła, aby jego nogę obejrzał lekarz. Doktor potrząsając głową oznajmił, że kość jest złamana. Zabrał Pociętą Twarz do miejscowego małego szpitala i nakazał chirurgowi wstawienie gwoździa usztywniającego, nie uprzedzając Marie. Ponieważ na Haiti medycyna była stosowana tylko w ostateczności, więc zabójca Malutkiej Marie otrzymał naprawdę luksusową pomoc. Na

koszt Marie, jak się zorientowała. I nienawidziła się za to. Po pięciu dniach Pocięta Twarz wrócił, utykając wszedł na pokład wsparty na kuli, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Wróciłem, panno Marie.

Marie postanowiła wykończyć i jego, i Małego, pracę. Następnego dnia dała Pociętej Twarzy pieniądze i kazała iść do sklepu po zapasy jedzenia. Obserwowała go, gdy kuśtykał przez pokład i miała nadzieję, że to sprawiało mu ból, przynajmniej tak wywnioskowała z wyrazu jego twarzy. Wrócił po ośmiu godzinach z wózkiem wypełnionym opakowaniami. Aby móc go przyciągnąć, przywiązał go sobie liną do pasa. Tymczasem Mały spędził trzy dni na szorowaniu najbardziej niewyobrażalnych zakątków pokładu. Marie planowała, że każe mu wyczyścić wszystkie płaszczyzny kecza wyłożone tekowym drewnem.

W zasadzie unikała swoich więźniów. Mdlilo ją na widok obu mężczyzn.

*

Następny dzień miał być poświęcony wizycie w szkole Rastamana. Marie szła za Hugo wąskimi uliczkami, gdzie upał wzmagany był przez faliste blachy aluminiowe użyte jako materiał budowlany, uzupełniony spłaszczonymi puszkami, a także gnijącą sklejką lub tekturą. Przez postrzępione wyrwy w metalu, wyglądające jak niebezpieczne kwiaty, można było dostrzec nagie dzieci bawiące się na brudnych klepiskach. Wychudzeni mężczyźni, bez koszul, ale w roboczych kombinezonach, opierali się o opony leżące w śmierdzących kałużach, gawędzili przy papierosie. W powietrzu śmierdziało zgniłą rybą, a za każdym rogiem piętrzyły się wysypiska śmieci.

Marie była spocona. Hugo, idący przed nią, wycierał czoło białą apaszką, którą zwykł nosić. Zdjął marynarkę i zawiesił na ramieniu, nawet nie próbując ukryć broni.

- Na pewno wiesz, co robisz? - zapytała go Marie.

- Myślę, że jeszcze dwie przecznice i skrećimy na zachód - wykręcił się.

- Przecznice! - jęknęła. - To przecież labirynt! Mężczyzna powiodł ją między chałupami na drogę pokrytą warstwą śmieci i brudu. Szkielety domów ciągnęły się po obu stronach, ich wyblakłe, obdrapane ściany nosiły już tylko wspomnienia barw. Na zrujnowanych balkonach stały równie zniszczone krzesła oraz doniczki z bujnymi roślinami. Nieopodal z ganków sprzedawano ryż, zimne mleczko kokosowe albo robione domowym sposobem słodycze.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Hugo.

- Jestem wstrząśnięta.

Ten dom, nieco oddalony od innych, był świeżo malowany. Wąskie, kamienne patio oddzielało od ulicy frontowe drzwi ocienione werandą. Z wnętrza dobiegał chór dziecięcych

głosów. Obok wejścia na przykręconej do ściany tabliczce widniał schludny napis: - „SZKOŁA NOWEJ ERY”.

Marie i Hugo stanęli w otwartych masywnych drzwiach.

Niskie bambusy rzucały długie cienie, a wentylator na suficie poruszał powietrze, dając złudzenie chłodu wśród ceglanych ścian i wyłożonych chodnikowymi płytami podłóg. Gromada dzieci w różnym wieku i różnym kolorze skóry wbiegła właśnie do jednego z dużych pomieszczeń. Kilkoro usiadło na podłodze. Marie podeszła z ciekawością, czym się zajmują. Składały mapę Karaibów wypełniając narysowane na kawałku ceraty kształty wysp i dopasowując nazwy do poszczególnych łądów. Pochyliła się do jednej z dziewczynek, ciemnoskórej, z czerwonymi dreadami i zapytała:

- Co to?

- Ta mała kropka? - dziewczynka wyglądała na około sześć lat. - To Wolny Kraj.

Do Marie zbliżył się Zion, twarz mu promieniała.

- Witam! Cieszę się, że znalazłeś czas na odwiedzinę! Uczymy tu podstaw, jak widzisz. Zaraz skończę lekcję.

- Co to jest Wolny Kraj? - nazwa zabrzmiała jej znajomo.

Zion popatrzył z niedowierzaniem.

- Nie słyszałeś o Wolnym Kraju? To sztuczna wyspa, jakieś sto mil stąd na zachód. Wybudowano ją na otwartym morzu. Mamy tu sporo materiałów na jej temat: o kolejnych etapach konstruowania wyspy, o jej funkcjonowaniu, o tym, jak można z niej prowadzić podbój przestrzeni kosmicznej...

- Podbój kosmosu? - zainteresował się Hugo.

- Sprawdźmy, czy uda się zrobić na was wrażenie. - Zion rozejrzał się. - Michael, zdaje się, że przygotowałeś pracę o morskim cemencie? Opowiedz o tym naszym gościom.

Michael, ubrany tylko w wyblakłe spodenki, posłał im szeroki uśmiech. Jego angielski, czym Zion nie omieszkał się pochwalić, był bez zarzutu.

- No, cóż... Od dawna już nie prowadzi się podboju kosmosu. Obecnie Wolny Kraj rozrasta się powoli dzięki surowcom czerpanym z oceanu. Morska woda przepływa między anodą i katodą, a minerały z katody są surowcem do tworzenia materiałów budowlanych i produkcyjnych. Mogę narysować schemat objaśniający, w jaki sposób to działa. - Podeszedł do tablicy na jednej ze ścian i zaczął szkicować.

- Jak widać, magnez jest pozyskiwany dzięki tej reakcji chemicznej - zaczął zapisywać ciąg liczb i symboli. Marie obserwowała z fascynacją, przypominała się jej wiedza z zakresu chemii.

- Jaki jest następny etap?

- Powiem wam, jaki jest etap finalny - wtrącił Zion z nieskrywaną dumą spoglądając na chłopca. - To braterstwo... i siostrzeństwo - dodał szybko - całej ludzkości.

Marie uśmiechnęła się.

- Uczysz ich tego wszystkiego sam?

- Nie - zamachał rękami w przeczącym geście. - Co kilka tygodni przyjeżdża ktoś z Wolnego Kraju i dostarcza nam nowych informacji. Ale od kilku miesięcy nikt się nie pojawił. Tęsknimy, ale oni są bardzo zajęci, no ale mimo wszystko, pracują tutaj za darmo. Próbuje zebrać pieniądze na wycieczkę krajoznawczą na wyspę...

- Opowiedz mi więcej o Wolnym Kraju.

- Wszystko zaczęło się jakieś piętnaście lat temu, dzięki grupie inwestorów, która zgromadziła pieniądze na budowę. Ale plany powstały jeszcze pod koniec dwudziestego wieku i już wtedy wielu ludzi wniosło wkład w powstanie sztucznej wyspy. Pomogło również, że kilku z nich miało spore majątki i dość nieprzychylnie opinie o podatkach i rządzie. Oni właśnie woleli użyć tych bogactw do stworzenia kraju, gdzie ich podatki i praca zostaną lepiej wykorzystane. To nie byli tacy zwyczajni ludzie. Paru z nich to laureaci Nagrody Nobla oraz ich rodziny. Większość to specjaliści różnych dziedzin.

- Korzystają z nanotechnologii?

- O ile wiem, na wyspie było na ten temat sporo debat. Jak dotąd nie wprowadzili nano, ale nie zdziwiłbym się, gdyby wkrótce zaczęli wdrażać różne programy nanotechnologiczne.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o podboju kosmosu?

- Wolny Kraj postawił sobie wiele zadań. Najważniejszym celem jest umożliwienie podróży w kosmos. To dlatego trzeba było znaleźć sposób na uniezależnienie się od uwarunkowań zewnętrznych. Głównemu celowi podporządkowano większość zadań. Przede wszystkim, finansowych. To też była dla mieszkańców wyspy niełatwa lekcja. Izolują się na tyle, na ile to możliwe, ponieważ chcą powtórzyć doświadczenia związane z podróżami w kosmos. Rozpoczęli je już przed pojawieniem się impulsu, ale teraz ich misja stała się jeszcze pilniejsza i ważniejsza.

- Zabiorę was na wycieczkę do Wolnego Kraju - oznajmiła nagle Marie, a już w następnej chwili zastanawiała się, co ją skłoniło do takiej impulsywnej decyzji. A potem poczuła kamyk Loa w kieszeni. Może wywarł na nią jakiś dziwny wpływ?

- Och! - rozpromienił się Zion. - Dziękuję!

Hugo chrząknął.

- Co? - zapytała Marie z lekką irytacją.

- Czy mogę coś powiedzieć?

- Bez wątpienia.

- Myślę, że sami powinniśmy najpierw dokonać małego rekonesansu. W przeciwnym razie wolałbym nie brać odpowiedzialności za te wszystkie dzieciaki. Byłeś choć raz na tej wyspie?

- Nie - przyznał Zion.

- A zatem... - Hugo wyczekująco spojrział na Marie.

- Masz rację - zgodziła się.

- Do końca życia we wspomnieniach będę pielęgnować tę chwilę, gdy przyznałaś mi słusność...

- Zjeżdżaj!

Marie i Zion zjedli lunch w szkole. Siedzieli przy malutkim stoliku w przybudówce na tyłach budynku. Dzieci założyły ogródek na niedużym podwórku i, jak twierdził Rastafarianin, uprawiały go, używając intensywnych metod francuskich. Poczęstunek przygotowały dzieci - sałata z bazylią i słodką cebulą oraz pomidorami, wszystko plony z ich ogrodu. Marie dostała również szklanek zielonego płynu. Zion wyjaśnił jej, że to glon Spirulina zmieszany z sokiem owocowym.

- Dostaliśmy go z wyspy i wyhodowaliśmy. Rośnie znakomicie i zawiera dużo protein. Dlatego pijemy codziennie szklanek.

Marie uśmiechem zamaskowała grymas i wychyliła duszkiem gęsty napój.

W klasie, chwilowo zmienionej na jadalnię, dzieci jadły lunch. Niepotrzebny był nadzór. Kilkoro z nich zostało, by posprzątać po posiłku.

- Jeżeli mamy zabrać dzieci, musimy mieć zgodę rodziców - przypomniała Marie. Zion posłał jej ponure spojrzenie.

- Droga pani, niewiele jest tutaj dzieciaków, które mają troszczących się o nie rodziców. Ale zapytam, oczywiście. Większość żyje z dalekimi krewnymi, kilkoro ze starszym rodzeństwem. A reszta mieszka tutaj, na piętrze.

- Nie wiedziałam, że prowadzisz także sierociniec... - zdziwiła się.

- Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób - Zion wzruszył ramionami. - Tak po prostu wyszło. Dokąd miałyby pójść te dzieci? Co jeszcze mógłbym zrobić? Dzieci na pewno nie uważają, że to sierociniec. To brzmi ponuro. A dla nich to radosne miejsce. Mamy tu wspólne gospodarstwo, taką komunę, która rodziła się stopniowo. Wszyscy wspólnie pracujemy, nawet najmłodszy. A na spotkaniach pod koniec tygodnia rozmawiamy o naszych kłopotach i

staramy się je rozwiązać - uśmiechnął się krzywo. - Czasem takie spotkania nie są zabawne. Przyznaję, że nieraz muszę odgrywać rolę dyktatora, mam nadzieję, że dobrego i oświeconego, choć uczestnicy na pewno nie nazwaliby mnie ani dobrym, ani oświeconym. To prawda, że nie wszystkim pasuje taki układ. Niekiedy czuję się jak stary zrzęda. Musiałem odesłać parę dzieciaków. Ale to interesujące doświadczenie. To najlepszy sposób, by budować lepszy świat. Niestety, to również bardzo trudny sposób.

*

- To dziwne, Marie - dwa dni później Hugo przysiadł na koi w jej kabinie i zbudził ją właśnie tymi słowami.

- Nie ma mnie - mruknęła, odwracając się.

- Ludzie odpowiedzialni za śmierć Malutkiej Marie...

Usiadła natychmiast.

- Która godzina?

- W sam raz, by wstać. Dla zdrowia. Wpół do szóstej, piękny, słoneczny poranek...

- Przepraszam - ziewnęła, trąc oczy i podnosząc się niechętnie z posłania - Co mówiłeś?

- Parę tygodni temu rozesłałem ludzi, żeby powęszyli w sprawie informacji, jakich dostarczyli nam Pocięta Twarz i Mały. Oczywiście, nie miałem żadnych gwarancji, że to, co powiedzieli, jest prawdą.

- I...?

Hugo podniósł się z koi, uniósł wymownie brwi.

- Wszystko wskazuje, że to intryga na najwyższym międzynarodowym szczeblu. Rzecz jasna, większość rządów ma ściśle powiązania z globalnymi koncernami.

- Mów dalej.

- Jest taka firma w Szwecji, nazywa się „Small Minds”. Prowadzą badania nad sztuczną inteligencją.

- Śliczna nazwa... - Marie czuła ssanie w żołądku.

- Rzecz w tym, że nawet jeżeli znajdziemy osobę, która wydała rozkazy i zapoczątkowała wszystko, to i tak okaże się, że nie zdając sobie sprawy, ten ktoś był jednym z tajnych współpracowników rządu Stanów Zjednoczonych.

- W Szwecji.

- Na całym świecie. Przestraszyłaś ich, Marie. Zdaje się, że za każdym razem, gdy pojawiał się nowy patent albo nowy produkt, wiedziałaś o tym. I kupowałaś udziały. Przejmowałaś kontrolę.

- Nie mogli wiedzieć - w głosie Marie zabrzmiała udręka. Oparła głowę o mahoniową boazerię i poczuła wibracje, gdy ktoś przechodził po pokładzie. Przez otwarty iluminator słyszała dźwięki budzącego się portu, podzwanianie metalu, krzyki mew, a nawet skwierczenie bekonu dochodzące z kuchni jachtu, która znajdowała się zaledwie o parę stóp dalej, za sąsiednimi drzwiami.

- Ale na pewno byli też konkretni ludzie odpowiedzialni... za wszystko?

- Kilku - zgodził się Hugo. - Ludzie, którzy zajmowali się... sprawą w Paryżu. Mamy ich namiary. Ktoś z Zurychu. Jakiś pośrednik od takich właśnie zleceń. I kobieta w Szwecji. Ale tak naprawdę, Marie, wmieszana jesteś w grę o władzę. Chcieli cię mieć pod kontrolą. Chcieli się tobą posłużyć do własnych celów i wykorzystać.

Marie dotknęła kamienia w kształcie serca, który teraz nosiła na łańcuszku owiniętym wokół szyi. Kazała oprawić kamień w srebro, naszyjnik dostarczono jej dopiero wczoraj. Przypomniała sobie słowa Adele. *Pozwól im odejść.*

- Oni nadal myślą, że jestem martwa.

- To prawdopodobne.

Nie wahała się ani przez chwilę.

- Zabić ich.

- Już wysłałem Małego i Pociętą Gębę, żeby się tym zajęli.

Zerknęła na niego uważnie.

- Powiedziałem im, że to twój rozkaz. Wyruszyli kilka godzin temu, Byli naprawdę pełni zapału, by spełnić twoje życzenie. Pocięta Twarz podrygiwał jak kukielka. Mam nadzieję, że kula nie przeszkodzi mu w podróży. Przyznam, że na początku niepokoiłem się trochę, czy dadzą sobie radę, ale myślę, że wszystko się uda.

- Jak...

- Wysłałem z nimi Jeana.

Marie opadła na poduszkę.

- Czemu czuję się tak... tak dziwnie, gdy tylko pomyślę o tym, co właśnie robimy?

Hugo popatrzył wymownie na sercokształtny kamień i uśmiechnął się krótko.

- Może ta rzecz działa. Na szczęście, ja takiej nie mam.

- Hugo?

- Tak?

- Chcę wrócić do domu.

- A co z wizytą w Wolnym Kraju?

- Możemy zorganizować pomoc dla szkoły Ziona. Dzieci są także w Nowym Orleanie.

Nie wspomniała o dziecku, które miało się niedługo narodzić, czy raczej odrodzić. Hugo też to przemilczał. Wcześniejsze podniecenie i chęć pomocy Zionowi teraz minęły, pozostawiając emocjonalną próżnię, która - jak miała nadzieję Marie - kiedyś zniknie. A na razie wróciła do hormonów i pozbyła się w ten sposób onieśmienia wobec Bożego Dzieła. Wydarzenia kilku minionych dni wprowadziły ją w ten sztuczny stan idiotycznej euforii.

- Zbyt długo byłam daleko od domu...

A Hugo przytaknął cicho.

- Zbyt długo...

*

Kecz na krótko zacumował w ustronnej przystani w Algiers³, po drugiej stronie rzeki. Smagły karzeł i bardzo wysoka, bardzo czarna kobieta zeszli z pokładu i udali się do terminalu przeprawy, by kupić bilety na prom, a tymczasem jacht popłynął dalej.

Karzeł miał na sobie garnitur z różowego, karaibskiego płótna. Kobieta ubrana była w krótki top i szorty, twarz przesłaniał jej słomkowy kapelusz z dużym rondem. Niosła skórzaną torbę. Kiedy para podeszła do kasy biletowej, kobieta mruknęła do karła:

- To śmieszne.

A karzeł odpowiedział:

- Jak to w domu.

Bileterka była biała. Na chwilę oderwała się od książki, przyjęła drobne, machinalnie podała bilety.

- Prom odpływa za dwadzieścia minut - wróciła do czytania. Ale wcześniej zerknęła jeszcze na niedobraną parę, zajmującą miejsca na jednej z ławek. Kobieta wydała się bileterce dziwnie znajoma. Może dlatego, że tak bardzo się wyróżniała? Ponownie odszukała wzrokiem wysoką postać. Później przypomniała sobie, kogo przypomina z wyglądu ciemnoskóra, wysoka kobieta, więc znowu zerknęła w jej kierunku. Ale prom właśnie odpłynął i przystań była pusta.

*

Port od starego domu Marie dzielił tylko krótki spacer przez cztery przecznice. Noc była gorąca, na ulicach pełno było pijaków i turystów. Muzyka ryczała zza każdych drzwi, kakofonia tępych basów mieszała się z wymęczonym dixielandem - białą podróbką czarnego nowoorleańskiego jazzu. Jakaś kobieta wymiotowała opierając się o drzewo. Pewna para krzyczała na siebie przez szerokość jezdni.

³ - Algiers - stara dzielnica Nowego Orleanu, znajdująca się na wschodnim brzegu Missisipi, połączona mostem z główną częścią miasta (znajdującą się na zachodnim brzegu). - przyp. tłum.

- Jak dobrze być w domu! - sarknęła Marie.

Skręcili w brukowaną uliczkę. Kobieta poszperała w torbie, szukała kluczy. Otworzyła kutą, żelazną bramę, przeszła przez westybul i przekręciła zamek w zielonych drzwiach i pchnęła masywne skrzydło. Minęła dłuższa chwila, wreszcie Hugo ujął Marie za rękę.

- Możesz wejść - zapewnił łagodnie.

Dwa dni później w rubryce plotek „Times-Picayune” doniesiono, że Marie Laveau, której śmierć oficjalnie potwierdzono w urzędzie miasta, w sobotni poranek widziana była w Cafe Monde, jak jadła bagietkę. „To już trzecie pojawienie się Marie w tym tygodniu, choć ta kobieta nie jest z pewnością prawdziwą Marie. Jednak podobieństwo jest tak uderzające, że zwraca uwagę. Policja oferuje pięćdziesiąt dolarów nagrody - a nawet już przygotowano wypłaty - za potwierdzone informacje o tej oszustce”.

Policja na kilka dni zablokowała ulicę, dopóki nie przestały zaglądać tam prawdziwe tłumy. Dom Marie wydawał się zamieszkany, białe zasłony powiewały w otwartym oknie.

Sprzedaż przyborów *voudoun* wzrosła.

Marie jednak nie pojawiła się ponownie przez długi czas.

DRUGIE SOLO

Na japońską nutę

Kita, Kioto, rok 2016

Kita wyszła z pokoju, gdy tylko jej asystenci odwirowali owady. Tym razem pszczoły. Przez tak wiele lat zajmowała się insektami, z tak wieloma badaczami i specjalistami wędrowała przez dżungle i sawanny, przez cały ten czas pielęgnując niewinne i nieskażone jak u dziecka podejście do własnych badań. Teraz też starała się myśleć o czymś jeszcze, kiedy życie pszczół dobiegało końca w laboratoryjnej wirówce. Kita naląła sobie kawy, zaszyła się we własnym, niedużym gabinecie i nadrabiała sześciotygodniowe zaległości w lekturze „Nan”, jej ulubionej bohaterki komiksowej. To była jedna z niewielu rzeczy, jakie komputer automatycznie pobierał i archiwizował na dysku, podczas tych rzadkich chwil, gdy uaktywniał się nowy program wyszukiwania newsów. Kita jednak tym razem dość szybko skończyła lekturę, błędząc niewidzącym spojrzeniem po ekranie, a jej umysł cofnął się do przeszłości...

Londyńskie Zoo. Przekrój pszczelego ula. Miliardy pszczół rojące się wokół siebie, pulsująca masa, brzęczenie złota i czerni. Matka powiedziała, że nie musi się niczego bać, bo owady są za szybą, ale Kita nie rozumiała w ogóle, dlaczego miałaby się bać? Przecież nie była dzieckiem, miała wtedy osiem lat. A te przypadkowe użądlenia, które się jej zdarzały, gdy biegała boso po trawie, były zaledwie denerwujące. Widok słoni, żyraf, antylop, w stanie dzikim niemal na wymarciu, zbladł wobec tamtego pszczelego, niesamowitego pokazu. Z nagranej informacji przy ekspozycji pszczół Kita dowiedziała się, że owady te widzą fale świetlne, jakich nie rejestruje ludzkie oko. Mają fasetowe oczy. Atakują wrogów, porozumiewają się ze sobą i funkcjonują w roju dzięki czemuś, co nazywane jest feromonami - chemiczna komunikacja, precyzyjna i oparta na rozkazach, których nie można zlekceważyć. Jak? Kita przyciskała nos do szyby, dopóki matka nie odciągnęła jej stamtąd, mówiąc, że muszą się spotkać z ojcem i siostrą.

Kita nie pamiętała nic więcej z tamtej podróży do Londynu.

Na tarczy zegarka zapłonęło zielone światełko, nie większe od pchły. Koniec. Zawsze ustawiała sobie stoper, chyba dzięki temu łatwiej mogła się odprężyć, mimo świadomości, że właśnie zmieniała pszczoły w mokrą plamę. Dotknęła palcem zegarka i zielona plamka zgasła.

Wyszła na korytarz, kiwając głową strażnikowi, który jak zwykle wyglądał surowo i nawet się nie uśmiechnął. Dento Inc. miała silną ochronę, nic dziwnego w przypadku wąsko wyspecjalizowanych rządowych komórek badawczych. Szła coraz szybciej. Nieważne, ile wykona się komputerowych symulacji, są niczym w porównaniu z brudzeniem rąk przy eksperymentach w realnym świecie. W środku nocy, może się nagle zrodzić nowe odkrycie, nowa technologia. A czasu jest coraz mniej. Tak bardzo mało. Istnieje wiele rozwiązań komunikacyjnych - podziemne kable, sieć. Zapewne tysiące laboratoriów już ma nadzieję na zyski z kolejnych odkryć w tej dziedzinie. A Kita, tylko ona, jak zawsze, chce jedynie ocalić tę błękitną planetę, z ukochaną dżunglą, występującymi endemicznie orchideami, nadal nieznanymi gatunkami owadów, mrówkami podążającymi własnymi ścieżkami i nieświadomymi ludzkiej ekspansji.

Dopóki nie trafią w ręce Kity, które przyniosą im śmierć.

Drzwi laboratorium rozsunęły się. Asystenci posłali jej rozbawione spojrzenia, jak zwykle, gdy chcieli ją onieśmielić. Różniła się od nich. Była Japonką, oczywiście, ale dorastała w różnych miejscach świata. Nie podzielała ich pomysłu, że razem stanowią jedną wielką szczęśliwą japońską rodzinę. Czasem czuła się trochę oszukana. Zaakceptowano ją. W końcu, gdy starała się o stanowisko w firmie, dostała referencje z Kopenhagi. Ale nie przyjęła na ślepo niepisanych umów społecznych, jakie tutaj obowiązywały.

Jednak... Kochała Kioto. Po prostu. Bo dobrze być w domu.

W jej głosie brzmiała energia, gdy zapytała:

- Jesteśmy gotowi?

Jeszcze jeden dzień testów feromonów, które utrzymają się w sztucznym nośniku - żelu, cieczy lub gazie. Nadal nie wiedziała, co będzie najbardziej efektywne. Ale wiedziała, że coś w tym jest. Coś ważnego.

Akord i pauza

Kita, Kioto, rok 2016

Było późne popołudnie. Kita śpieszyła korytarzem Dento Inc. Musiała porozmawiać z Sui, ale nie pamiętała jego kodu. Podeszła do miejsca, gdzie korytarz się rozszerzał. Spodziewała się zastać przy biurku sekretarkę Suiego. Niestety, nie było jej.

Kita opadła na krzesło i przesunęła palcem wzdłuż spisu kodów, szukając potrzebnego jej numeru.

Jakiś mężczyzna z przepustką dla gości, oderwawszy się od grupki przybyszów, skierował się do biurka. Uśmiechał się szeroko.

- Mówisz po angielsku? - akcent zdradził Amerykanina.

Kita skinęła nieuważnie, zajęta studiowaniem spisu.

- Co byś powiedziała na kolację dziś wieczorem?

- Jestem zajęta - odparła, wstając.

- Proszę, nie! Jestem samotny. Przyjechałem do Kyoto. Nie jesteś mężatką, prawda?

- Nie, ale...

- Więc zapraszam. Chcę zobaczyć to nowe miejsce - co to jest? Ten feromonowy bar, o którym czytałem w przewodniku.

Prawdę mówiąc, Kita też była ciekawa tego miejsca. Myślała, aby się tam niedługo wybrać. Facet wyglądał nieszkodliwie, a i ona umiała zadbać o siebie, miała sporo okazji do nabycia tej praktyki na całym świecie - właściwie, odkąd tylko przyszła na świat.

- Zgoda.

*

Kita podniosła fiolkę z czystym płynem i upiła trochę. Zbyt słodkie. Skrzywiła się odstawiając naczynie na kontuar. Z ogromnych głośników na podłodze grzmiał rytm, od którego drżały ściany. Salę wypełniali tancerze, z rozwianymi włosami i falującymi ubraniami, wyglądający, jakby znaleźli się w tunelu aerodynamicznym. Kita dotknęła kontuaru i jeszcze raz zerknęła do informacji płynącej po blacie.

PODMUCHY NIE SĄ TYLKO DZIWIACTWEM - głosiło niezbyt udane tłumaczenie z japońskiego na angielski. PRZENOSZĄ FEROMONY WYTWARZANE PRZEZ MIND-RELEASE™ DO SYNTETYZATORA, GDZIE SĄ CIĄGLE MIESZANE Z

FEROMONAMI TWOICH ZNAJOMYCH I SYNTETYZOWANE W MUZYKĘ. TA MUZYKA POCHODZI WPROST Z UMYSŁU! SZCZĘŚLIWEGO ODLOTU! PAMIĘTAJ, ŻE ABY UTRZYMAĆ POŁĄCZENIE, MUSISZ STAŁE PIĆ. NA SZCZĘŚCIE POTRAFIMY ZMIESZAĆ MIND-RELEASE™ Z TWOIM ULUBIONYM KOKTAILEM.

Kita za późno zorientowała się, że mogła dodać swoje Mind-Release, za które zapłaciła równowartość piętnastu amerykańskich dolarów, do drinka, który smakowałby jej bardziej. Odwróciła się od baru i rozejrzała po sali.

Ściany pulsowały psychodelicznymi barwami. Kiedy kolor się zmieniał, muzyka stopniowo również ulegała zmianie, najprawdopodobniej dopasowując się do nastroju ludzi w barze. Szalony, krótki riff, Kita zinterpretowała jako odbicie jej sceptycyzmu. Ale czy nie była zbyt sceptyczna, skoro wierzyła raczej, że uczestniczy w czymś podobnym do bzdurnego telewizyjnego show? Irytował ją niemal religijny, natchniony wyraz twarzy ludzi, którzy tutaj przebywali. Wiele z takich barów powstawało na fali kaprysu najnowszej mody - w niektórych było hałaśliwie, w innych brutalnie.

Ale w tym barze wyczuwało się odniesienia do pracy Kity. Zastanawiała się, czy jej firma jest w jakiś sposób związana z lokalem i czy ma udział w zyskach za używane tutaj substancje. Być może dlatego ten gość, Jack, chciał tu przyjść. Właściwie jego firma była zainteresowana w nawiązaniu współpracy z Dento.

A może te substancje działały naprawdę.

Miała ulotne wrażenie, że sięgnęła na krótką chwilę w przyszłość - takie krótkie objawienia przydarzają się nieomal każdemu człowiekowi.

To ją zaniepokoiło. Nie chciała żyć w sali luster, w świetle, który tak dokładnie odbija nieprzefiltrowane myśli. Szybkość postępu technologicznego wyprzedzała ludzkie pojmowanie. Niesamowite zjawisko, zupełnie jak sytuacja ze studiów, której doświadczyła Kita podczas jednej z randek, lata temu. Jechała nocą z chłopakiem z Chicago po krętych drogach z zawrotną prędkością, a każdy zakręt mógł się skończyć nad przepaścią.

Grzmiący akord przestraszył ją. Zaśmiała się.

No cóż, nie zaszkodzi spróbować.

Zaczęła tańczyć na parkiecie, aby wypróbować system, Jack objął ją, położyła mu dłonie na biodrach i zainicjowali „węza”. W ciągu pięciu minut większość gości baru tańczyła, ustawiając się za nimi w rzędzie, a rytm synkopowych uderzeń pulsującej muzyki dostosował się do ich ruchów. Może, zastanawiała się Kita, to jakiś system kinestetyczny, monitorujący raczej ruch, a feromony są dodatkiem. Uwolniła się, zawirowała w pirucecie, a samotna melodia przebiła się i złagodziła nerwowy rytm. Wąż rozpadł się, zabrzmiał nowy

takt. Kita wyobraziła sobie zespół jazzowy, improwizujący jak szalony, znający się na tyle dobrze, by kontrolować własne reakcje, profesjonalny na tyle, by tworzyć dobrą muzykę, współpracujący w wystarczającym stopniu, by tworzyć wciąż nowe brzmienia i efekty.

Kita odsunęła się od ściany, oddychając ciężko. Czuła się już lepiej, przecucie zagłady rozproszyło się. Nużące uderzenia rocka też w końcu znikły.

Jack dotknął jej ramienia. Musiał krzyczeć, by go usłyszała;

- Idziemy na kolację?

- Z przyjemnością! - odkrzyknęła.

*

Pół godziny później znaleźli się w drogiej, zachodniej restauracji hotelowej. Podawano tu dania kuchni angielskiej, niemieckiej, francuskiej i japońskiej. Jack nie zawracał sobie głowy pytaniem jej, dokąd mieli iść. Po prostu zdecydował, a Kita nie była pewna, czemu z nim poszła. Okazał się irytującym podrywaczem. Może wszyscy Amerykanie są właśnie tacy. Gdy była jeszcze nieutytułowaną studentką, lata temu w Chicago, nie poświęcała mężczyznom zbyt wiele uwagi. Jej ojciec po prostu zniknął - może zaczął nowe życie z kobietą, która nie wiedziała, że ten człowiek ma inną rodzinę, a może zwyczajnie skoczył z mostu, nie zostawiając nawet listu. Kita opłakiwała go, była też na niego zła, dlatego skupiła się wyłącznie na nauce. Jej siostra wyszła za Amerykanina i stale zapraszała ją do Portland. Ale Kita odsuwała od siebie myśl o prowadzeniu normalnego, domowego życia, przede wszystkim z powodu międzynarodowych podróży związanych z pracą oraz z różnymi projektami badawczymi. Język nie był problemem, znakomicie znała angielski i pogłębiała tę umiejętność przy każdej bytności wśród cudzoziemców. Jej siostra uważała, że to zabawne, ale siostra miała zupełnie inny charakter.

Jack nosił przydługie, proste włosy brązowego koloru, które spadały mu na czoło, przesłaniając niebieskie oczy. Miał drogi, ciemny krawat. Kita nie rozumiała, co Amerykanki mogły w nim widzieć? Niepokoił ją. Może dlatego, że po kilku drinkach mówił za głośno - co pewnie nie przeszkadzałoby, gdyby mężczyzna był Japończykiem. Kilka stolików dalej grupa japońskich i niemieckich biznesmenów zdawała się być całkowicie pochłonięta hałaśliwym śpiewem. Ale Jack patrzył jej prosto w oczy, a Kita po prostu tego nie znosiła.

Przyniesiono im zamówienie. Jack był po trzeciej butelce sake. Kita dalej popijała pierwszą czarę. Obsługa zachowywała milczenie i kłaniała się częściej niż było to konieczne.

- Lubisz podróżować? - zapytał mężczyzna.

- Kto nie lubi? - nic innego nie robiła przez trzydzieści lat swojego życia.

- Miałem na myśli, czy lubisz dużo podróżować. W interesach.

- To zależy, jak myślę, od interesów.

- Ile to kosztuje?

- O czym właściwie mówimy?

Zakrztusił się i zakaszłał, a ryż z jego pałeczek rozsypał się na blacie.

- Przepraszam. O niczym ważnym. Mieszkasz sama?

- Nie - skłamała natychmiast. - Mieszkam z siostrą.

W rzeczywistości mieszkała w malutkim apartamencie składającym się z niewielkiego pokoju z aneksem kuchennym i maciupieńkiej łazienki. Miała stamtąd widok na skrawek oceanu. Kochała swoje maleńkie mieszkanie. I zaczynała podejrzewać, że Jack ma nieprawdopodobnie złe maniery.

- Czym się zajmuje twoja siostra?

- Jest nauczycielką - w Portland, w stanie Oregon. Panie Erickson, co konkretnie chce pan wiedzieć? Moja firma nie jest duża, ale ma znakomitą opinię, ponieważ to, czym się zajmuje, robi naprawdę dobrze.

- Wiem - odpowiedział, patrząc na nią uważnie, jakby nagle otrzeźwiał. - Mówiłem ci już trzy razy, mów mi po imieniu.

- A twoja firma? Czy jest duża?

- Nie - stwierdził. - Również niewielka.

- A czym się zajmuje?

- Produkujemy kontenery ze stali nierdzewnej. Złożyliśmy ofertę Dento na dostarczanie robionych na zamówienie systemów kanalizacyjnych z membranami o wyspecjalizowanej przepuszczalności. „Wyspecjalizowane” oznacza, że tylko określone cząsteczki mogą się przez takie membrany przedostać.

- Och, muszę dodać ten wyraz do swojego słownika. Wyspecjalizowany - zachichotała najlepiej, jak potrafiła.

Teraz rozumiała, o co chodzi. Bardzo dobrze rozumiała, mówiąc szczerze. Jedna z grup badawczych opracowała taki właśnie system. Kita zapoznała się z raportem na ten temat dwa miesiące temu. Projekt pozornie nie doczekał się prób. Zaczęła się zastanawiać, czy firma Jacka złożyła jakąkolwiek ofertę i czy w ogóle ta firma istniała? Uderzyło ją podejrzenie, że Jack może być kimś innym niż powiedział. Jednak gdyby coś z nim było nie tak, dlaczego tak szczerze mówił o projekcie? Z całą pewnością nie brał jej za idiotkę. Oczywiście, podtrzymywała jego przekonanie, że jest sekretarką i nie powiedziała nic, co mogłoby Jacka wyprowadzić z błędu.

- Miałbym dla ciebie propozycję - zaczął.

- Jaką propozycję?

- Porozmawiamy o tym później. To zależy, czy masz dostęp do pewnych informacji w twojej firmie... Przepraszam, powiedziałem coś zabawnego?

Kita zdławiła śmiech. Ten facet nie miał pojęcia, czym się zajmowała w Dento Inc. W rzeczy samej, miała dostęp.

- Panie Erickson, był pan dla mnie bardzo miły, zapraszając na kolację, ale obawiam się, że został pan wprowadzony w błąd. Naprawdę nie mam pojęcia, co się dzieje w Dento. Widzi pan, mam bardzo niewiele uprawnień. Jestem tylko sekretarką - umilkła na chwilę. - Ale zapłaci pan za mnie? Naprawdę nie jestem pewna, czy będzie mnie stać...

Świetnie się bawiła patrząc, jak Jack z ponurą miną zerka na jej talerz i odpowiada:

- Oczywiście.

PAUZA NA CZTERY TAKTY

I.

Biogeniczny magnetyt i efekty impulsu elektromagnetycznego

Biomineralizacja magnetytu jest kontrolowanym genetycznie procesem biochemicznym, dzięki któremu organizmy żywe mogą wytwarzać doskonale kryształowe ferromagnetyczne, zazwyczaj o pojedynczych domenach magnetycznych. Proces ten jest bardzo stary, ewoluował około dwóch miliardów lat temu u bakterii i został przypuszczalnie przeniesiony do genomu organizmów wyższych, włącznie z ludźmi. W tym okresie replikacja DNA, synteza białek i wiele innych biochemicznych procesów funkcjonowało w obecności silnych statycznych pól powyżej 400 mT, wpływających na magnetosomy bez wyraźnych szkodliwych efektów. Współczesne doświadczenia behawioralne z zastosowaniem silnych, lecz krótkich impulsów od transdukcji informacji o polu geomagnetycznym do systemu nerwowego, a także eksperymenty behawioralne badające elektrofizjologiczne zagadnienia wskazują, że istnieją progi wrażliwości na pola magnetyczne DC poniżej kilku nT. Jednak, choć biogeniczny magnetyt występuje w tkankach zwierzęcych i jest niezbędny dla działania zmysłów magnetycznych (magnetoreceptorów), jego biologiczne właściwości pozostają nieznane. Obecność materiałów ferromagnetycznych w organizmach żywych może służyć do rozpoznawania stałych pól magnetycznych, jak również promieniowania mikrofalowego od 5 do 10 Ghz, w którym to przedziale magnetyt osiąga najwyższy rezonans ferromagnetyczny.

- Joseph L. Kirschvink, Cal Tech

<http://epswww.epfl.ch/aps/BAPSMAR96/abs/S2781002.html>

II.

Biomineralizacja żelaza w mózgu i wątrobie diugoni

W wątrobie diugonia występuje bardzo wysokie stężenie żelaza. Zwierzęta te często migrują na otwarty ocean, prawdopodobnie dlatego posługują się jakimś systemem nawigacji opartym o procesy fizjologiczne. Celem projektu jest zbadanie mózgu diugonia za pomocą metod magnetycznych, aby określić, czy w jego mózgu znajdują się substancje magnetyczne, które mogłyby pomagać w nawigacji, dzięki wyczuwaniu pola geomagnetycznego. Jeżeli substancje magnetyczne zostaną wykryte, zastosowane zostanie

badanie tkanki mózgu pod mikroskopem elektronowym, aby określić, czy jest ona podobna lub nie do tkanek innych zbadanych organizmów, które do nawigacji używają biogenicznego magnetytu i pola magnetycznego Ziemi.

<http://www.biophysics.pd.uwa.edu.au/dugong.html>

III.

Budowa i funkcje zmysłu magnetycznego u kręgowców

Trzy fragmenty

Zidentyfikowaliśmy pojedynczy neuron na obrzeżu wiązki ocznej i nerwu trójdzielnego, który reaguje na zmiany intensywności, lecz nie na kierunek pola magnetycznego. Użyliśmy kombinacji nowych technik obrazowania i badań mikroskopowych do wskazania komórek magnetoreceptorów działających w oparciu o magnetyt w nozdrzach pstrągów.

Przypuszczalnie kręgowce wykrywają pola magnetyczne, używając zawierających magnetyt magnetoreceptorów, które znajdują się w blaszkach nabłonka węchowego i są połączone z mózgiem Przez rozgałęzienie nerwu ocznego.

Wyniki naszych badań pozwalają przypuszczać, że u zwierząt zmysł magnetyczny działający w oparciu o magnetyt ma istotny udział w orientacji przy pokonywaniu długich dystansów. Za reakcje na zmiany natężenia pola magnetycznego odpowiedzialna jest formacja, tzn. „mapa magnetyczna”.

- Michael M. Walker, Carol E. Diebel, Cordual V. Haugh, Patricia M. Pankhurst, John C. Montgomery i Colin R. Green; „Nature”, vol. 390

IV.

Przypatrując się kręgowcom

Bardzo wiele organizmów żywych potrafi wykrywać pola magnetyczne. Czy człowiek jest wyjątkiem? Na pewno mamy nerw trójdzielnny i rozgałęzienia wiązki nerwów ocznych oraz możemy wytwarzać biogeniczny magnetyt... Ostatnie słowo w kwestii ludzkich magnetoreceptorów nie zostało jeszcze powiedziane.

- Joseph L. Kirschvink, „Nature”; vol. 370

TRZECIE SOLO

Dysonansowy swing

Jason, Sedona, 2018

Wiosna w Sedonie była porą cieplejszego powietrza i okresem powodzi spowodowanych topniejącym śniegiem, który spiętrzał poziom wód w rzekach. Dla Jasona jego piąta wiosna była sezonem wrzaskliwych wybuchów i ataków, podczas których na przykład rozwalił siekierą ścianki niewielkiego domku budowanego przez rodziców i rodzina musiała się przenieść do przyczepy.

Następny dzień spędził leżąc wyczerpany na miękkim materacu i szlochając od czasu do czasu, ponieważ potwornie bolała go głowa. Przyglądał się rodzicom przyklejającym folię i przycinającym listewki, aby załatać dziury w ścianach. Jason leżał w części przyczepy, które uchodziło za kuchnię, a matka i ojciec w pomieszczeniu udającym salon, tuż obok dużego, kamiennego paleniska. Klimat był chłodniejszy niż w dolinie. Rodzina Jasona posiadała skrawek ziemi wśród czerwonych skał ogrodzony z każdej strony sześcioma słupami i metalowymi poprzeczkami. Roztaczał się stąd widok na zbocze, poprzecinane zielonymi sosnami i rzucanymi przez nie cieniami. Jego matka zwykła określać to jako punkt spokoju wśród wirów. Ziemia została kupiona, zanim Jason przyszedł na świat.

Jason zwinął się w kłębek i włożył kciuk do ust. Naprawdę rzadko ssał palec, tylko w takich chwilach, jak ta, kiedy wszystko tak bardzo go bolało. Zaczął przypominać sobie wczorajszą noc, kiedy siedzieli wszyscy przy ogniu, a iskry strzelały w ciemność. To go uspokajało. I opowieść matki, na którą mógł już patrzeć i słuchać przytomnie. Przypomnienie przez matkę tej historii sprawiało, że ból zniknął.

- Na imię miałam Julia - tak zaczynała się zawsze opowieść.

- Ale teraz jestem Kasjoepa.

Mówiąc niskim, delikatnym głosem, jak na seansach hipnozy, Cassie pochylała się na turystycznym stolku i splatała dłonie, a jej jasne włosy opadały jak lśniące w blasku ognia zasłony tak, że nie można było dostrzec jej twarzy.

Jason ułożył się wygodnie w śpiworze i odpoczywał wsparty o kolana ojca.

- Dlaczego zmieniałaś imię? - spytał ciekawie.

- Dobrze pytanie - przyłączył się ojciec. - Ja zawsze miałem na imię Mike. Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby je zmieniać.

- Opowieść wszystko wyjaśni. - Jason mógł się założyć, że matka się uśmiecha, wyczuł to w tonie jej głosu. - To była wigilia Święta Dziękczynienia. Przebywałam na lotnisku Vortex, prowadziłam wycieczkę. Spodziewano się deszczu meteorów.

Jason był niecierpliwy.

- Ale tak naprawdę to była noc, w której po raz pierwszy nadeszła Cisza. A teraz musisz opowiedzieć, dlaczego wiry są ważne!

- I nie zapomnij powiedzieć, dlaczego są wiry męskie i żeńskie - dodał Mike. I Jason, i Cassie wiedzieli, że to żarty, więc go zignorowali.

Cassie mówiła dalej.

- Na Ziemi istnieją pewne miejsca mocy. Niektórzy ludzie powiadają, że jest to do czegoś potrzebne. Nazwano to liniami magnetycznymi. Naprawdę nie wiem, ile w tym prawdy. Ale zdaje się, że tutaj, w Sedonie, jest wiele takich właśnie miejsc. Świętych. Gdzie można *poczuć* moc, wiry mocy. Anasazi, lud, który zniknął, żył tutaj przez wiele stuleci i znał te święte obszary.

Jason lubił, gdy zaczynała niemal recytować. Raz wybrał się na wycieczkę, którą oprowadzała. Używała mikrofonu w autobusie i jej głos brzmiał o wiele silniej. Jedną z kobiet, pracującą jako konsultantka dla Psychic Network, zanim przestały działać telefony, nadal wydzwaniła do matki, gdy tylko usługi telefoniczne były dostępne i mogła tak rozmawiać godzinami.

- Powiedziałaś Nerwowej Nellie, kiedy najpomyślniej korzystać z łazienki? - żartował ojciec, gdy matka odwieszała słuchawkę. - I to za darmo? Do licha, Cassie, masz dobrą okazję do zarobku! Sto dwadzieścia na godzinę bez podatku!

Czasami matka się śmiała, ale częściej odpowiadała czymś w stylu:

- Uwierzysz w to również, gdy będziesz gotów. Twoja dusza przebudzi się we właściwym czasie.

- Co się stało z wirami, mamo?

Spojrzała w ogień i uśmiechnęła się lekko.

- Twój ojciec będzie ze mnie żartował.

- Ale nie ja! Opowiedz mi o bezkresie. I o tym, co zdarzyło się tamtej nocy na lotnisku Vortex.

Podjęła opowieść.

- To była pomyślna noc. Nie było gwiazd, tak, jak dzisiaj. A gwiazda filmowa, Heather Crystal, mieszkała w Sedonie. Wycieczka do wirów miała umowę z kierownictwem lotniska, że pozwolą na kilka lotów, gdy tylko zechcemy urządzić specjalny nocny pokaz. Właściciel firmy wycieczkowej miał przyjaciela w zarządzie lotniska, albo coś w tym rodzaju. Większość była zadowolona, skoro prawie wszyscy, którzy mieszkali w Sedonie...

- Pomyleńcy - wtrącił Mike.

Cassie spokojnie mówiła dalej:

- ...wierzyli, że wiry są święte. Ale Hether nigdy się tym nie interesowała. Przylatywała i odlatywała, kiedy tylko przyszła jej ochota. Dlatego jej prywatny odrzutowiec był stale na chodzie, a to było naprawdę denerwujące. Trudno to znosić spokojnie, kiedy chce się poczuć świętość. Wszyscy ludzie z wycieczki do wirów stanęli w uzdrawiającym kręgu, trzymając święte kamienie, które sobie wybrali i...

- Powiedz to, mammo.

- No, dobrze. „Poczuj moc przyplływającą z wnętrza ziemi, przez podeszwy butów do twoich stóp. Dobrze. Poczuj to, po prostu. To jak strzała gorąca, światło miłości. Ujrzyj światło przepływające przez twój splot słoneczny. A teraz światło wypełnia ci płuca. Niektórym z was może to przypominać kwiat, złoty lotos. Poczujcie energię, miłość. Jesteście częścią ziemi. Ziemia jest waszą matką.” - w tym momencie Cassie na występach zawsze klękała i zanurzała dłonie w pyle. - „Niebo jest waszym ojcem. Poczujcie krążącą w was energię. Wasze głowy są jak błękitne lampy”.

- Jak cholerne lampy na lotnisku - powiedział Jason - To właśnie pomyślałaś, bo odrzutowiec Heather bardzo hałasował...

Matka udała, że nie słyszy przekleństwa. Trudno ją było wyprowadzić z równowagi, ale gdy tak się stało, nie było to zabawne.

- ...a potem kazałaś wszystkim położyć się na plecach i popatrzeć w niebo.

Matka usiadła prosto, zamknęła oczy, jakby poczuła moc wiru właśnie w tej chwili.

Jason otulił się śpiworem i zerknął w ogień.

- I właśnie wtedy, gdy byłaś w wirze...

- Właśnie wtedy, kiedy byłam całkowicie złączona z niebem i ziemią, gdy stałam się jednością z Gają i powracałam do świadomości, wtedy poprosiłam Gaję, żeby odrzutowiec Heather się uciszył.

- I odrzutowiec zamilkł! - wykrzyknął Jason. Uwielbiał ten fragment opowieści.

- To był tylko zbieg okoliczności - powiedział Mike.

- Ale wszystko się zatrzymało. Internet, telefony, większość samochodów - to była pierwsza Cisza. A mama wiedziała, że ja w niej jestem, po raz pierwszy. Że rosę.

- Tamtej nocy zrobiła sobie test ciążowy - ojciec zawsze o tym wspominał, jakby to miało jakieś znaczenie.

- Tak - powiedziała Cassie. W jej głosie brzmiała radość i siła. - Tak, to było wtedy, kiedy dowiedziałam się, że jesteś we mnie i że jesteś kimś wyjątkowym. Byłam w transie. Nie obudziłam się, dopóki twój ojciec nie przyszedł i mnie nie odszukał.

- Złościł się.

- Martwił się. Zdenerwował się, że kierowca zostawił twoją matkę samą i kiedy nie mógł jej obudzić, ani zabrać do miasta. Wszystko, co ten kierowca - idiota umiał powiedzieć, to: „Szanuję jej trans. To święta kobieta”.

- Jesteś świętą, mamo?

Cassie zaśmiała się, ale Jason zauważył w blasku ognia, że w jej oczach pozostała powaga.

- Wszyscy jesteśmy święci na swój własny sposób. A to była twoja wyjątkowa noc, Jasonie. Niespotykana koniunkcja. Przesłanie z gwiazd.

- Przesłanie z gwiazd - wyszeptał Jason do siebie, wyjmując kciuk z ust, aby móc wypowiedzieć te słowa, ale potem znowu zaczął ssać palec. Poczuł się trochę lepiej. I dobrze, że tu są wiry, choć żadnego nigdy nie wyczuł. Ojciec również nigdy nie czuł oddziaływań mocy, ale naprawdę lubił widok, jaki roztaczał się z domu. Z powodu problemów z łącznością ojciec nie zarabiał już tylu pieniędzy, co zwykle, więc budowa domu się odwlekała. Czasami tato wyjeżdżał na tydzień lub dłużej, na coś, co nazywał „projektem”, a kiedy wracał, budowa na chwilę ruszała pełną parą. Niekiedy mama wspominała coś o zrobieniu licencji - cokolwiek to znaczyło - co miało pomóc w zarobieniu większych pieniędzy.

Kiedy był dzieckiem, Jason, jak wszystkie dzieci, spędzał czas, głównie płacząc. Kiedy nauczył się mówić na tyle, by móc powiedzieć, że bardzo boli go głowa, zrobiono mu skany, które jednak o niczym nie rozstrzygnęły. Z czasem objawy stopniowo narastały. Jason ruchowo nie rozwijał się całkiem prawidłowo. Przewracał się, upadał, potykał - znacznie częściej niż powinien, jak mówiono.

Obrócił się i spojrział na wschód, gdzie orzeł przecinał jasno-błękitne niebo. Jason, gdyby nie leżał, pewnie upadłby. Kilka lat temu zniszczył telewizor. Na szczęście, nie trafił młotkiem w przewód, lecz uszkodził tylko przełączniki. Matka rzekła tylko:

- Nie kupimy następnego. Telewizory nie są zbyt przydatne, zwłaszcza teraz.

Jason czuł się niemal tak, jakby sprawił jej radość, zmuszając do pozbycia się urzędnika, jednak ojciec dał mu jasno do zrozumienia, że takie zachowania nie mogą się powtórzyć.

Chyba jest za stary na takie rzeczy. To właśnie powiedzieli rodzice w sprawie wczorajszego incydentu.

Ale leżąc i spoglądając na barwy i kształty krajobrazu pociętego pionowymi i poziomymi kreskami, wiedział, że wcale nie jest za stary. Chciał rozbić radio.

Mógłby - właśnie teraz. Tylko to zmusiłoby go do ruchu. Wszystko wydawało się znacznie gorsze niż wcześniej. Bolała go głowa. Bolał go brzuch. Czuł się naprawdę bardzo źle, a już użył swojej opowieści. Radio nadawało audycję z Sedony, którą tato nazywał „kosmicznymi bzdurami”.

Podczas przerywnika muzycznego, przestało grać. To nie było niczym dziwnym. Rodzice nawet nie zwrócili uwagi.

Jasonowi nagle przeszedł ból głowy.

Usiadł ostrożnie. Pulsowanie w czaszce nie pojawiło się jednak. Wytrzeł nos w chusteczkę.

Matka odwróciła się w jego stronę.

- Połóż się, Jason, odpocznij.

Wróciła do mieszania gipsu. Ojciec nie przerwał mozolnego mocowania listew. Jason pamiętał, że ojciec przytrzymał go wczoraj w objęciach, pamiętał, że nogi plątały mu się z nogami ojca i pamiętał, że krzyczał, krzyczał, krzyczał... To stało się po tym, jak w ataku szalonego bólu zniszczył ścianę.

Jason wyszedł na tyły oddalając się od ogrodzenia. Drzwi odzyskane z przebudowywanego domu w mieście pozostały otwarte. Rozejrzał się w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych, ale uświadomił sobie, że dziś ich nie potrzebuje. Światło słoneczne nie sprawiało mu bólu.

W zamian ból przynosiła muzyka.

Nie taka prawdziwa muzyka, jak się zorientował, ale coś podobnego. Wyraźne, niskie tony, jakie dobiegały do uszu Jasona, gdy stał na dworze. Przetykał je wysoki, cienki dźwięk, wibrujący na tle basów w kontrapunktach, splatający się z nimi i rozdzielający w triumfalnym brzmieniu. Jason pomyślał z dumą, że ma wystarczający zasób słów, aby opisać to zjawisko. Kiedyś usłyszał, jak rodzice zastanawiali się, czy wysłać go na testy, ale zawsze decydowali, że jednak nie. Wydawało się, że czegoś się boją. Nie chcieli mu powiedzieć, czego.

- Mamo? - odezwał się.

- Hmmm? - nie odwróciła się, pochylała się i nabierała gipsu na szeroki nóż, a potem uklepywała go w uszkodzonych miejscach na ścianie. Nieopodal lśniły wilgocią inne białoniebieskie łaty. Jason chciał pomóc rodzicom, ale nie pozwolili mu wstać.

- Słyszę je.

- Co słyszysz, kochanie?

- Wiry. Słyszę wiry.

Teraz się odwróciła, a Jason nie był pewien, dlaczego w jej oczach zalśniły łzy.

- Odpocznij, dobrze?

Usiadł pochłonięty muzyką, chwilami drzemiąc. Teraz, kiedy ból głowy przeszedł, czuł, że całe ciało ma obolałe. I był porządnie zmęczony. Niszczenie domu wymagało dużego wysiłku. Jason żałował, że tak się stało.

Dźwięki ucichły po zachodzie słońca, ale Księżyc zabrzmiał czystą, wysoką nutą. Jason słuchał, aż ojciec przyszedł i kazał mu wracać do przyczepy, a chociaż drogę oświetlała latarnia trzymana przez matkę, nie przysłaniała światła i muzyki gwiazd. Wystarczyło zamknąć oczy i muzyka powracała, odmierzana kołyszącym rytmem długich, spokojnych kroków ojca.

Jason miał nadzieję, że ta muzyka nigdy się nie skończy.

*

- Powinniśmy zrobić mu testy.

Jason otworzył oczy. Leżał na małej koi, przymocowanej do sufitu przyczepy, a obok miał zdezelowane okienko, teraz uchylone, dzięki czemu mógł poczuć zapach sosen i ziemi mieszający się w wiosennym powietrzu. Model stacji kosmicznej kołysał się w cieniu, przy stopach chłopca. Lśniące naklejki w kształcie gwiazd i planet świeciły na suficie i odbijały się w oczach Jasona.

- Wiesz, co o tym myślę - usłyszał głos swojej matki.

- To nie w porządku. Zrozum, Cassie. A jeśli to da się wyleczyć?

- Ale Ed...

- Ed nie jest prawdziwym *lekarzem*, Cassie.

- Ma dyplom doktora medycyny - w głosie Cassie zabrzmiał upór.

- Ale jest kompletnie zakręcony. Nie korzysta z wiedzy naukowej. Ziółolecznictwo, kryształy... Czy nie on twierdził, że obcy wszczepili mu kryształy? I podał jakąś czarodziejską teorię, wyjaśniającą, dlaczego nie widać ich na zdjęciach rentgenowskich? Ponieważ te kryształy są wykonane z *obcych*, nieznanych substancji - jakże wygodnie. Tak, czy inaczej, kuracja Eda nie pomaga, sama widzisz.

- Ed odkrył, że Jason ma niedobór minerałów i potrzebuje ich znacznie więcej niż przeciętni ludzie, nieprawdaż? Nasz syn może się poczuć gorzej bez tej kuracji.

- Albo *lepiej*. Cassie, istnieje jeszcze nauka. To twoje dziecko. Jak możesz odbierać mu okazję, by wyzdrowiał? Nie widzisz, jak cierpi? Jeżeli nie chcesz jechać ze mną, zabiorę go sam. Po pierwsze, trzeba znaleźć lekarza we Flagstaff i sprawdzić, jakie ma referencje. Ostatnim razem, gdy byłem w Los Angeles i przez moment działał Internet, załadowałem tonę różnych informacji. Nie sądzę, żeby nasz syn był odosobnionym przypadkiem. Na pewno na całym świecie są dzieci dokładnie w takim samym wieku, jak Jason i z podobnym zestawem objawów. Niewiele. Ale trochę jest.

Objawy. Jason obrócił się na plecy i popatrzył na papierowe gwiazdy. Tym właśnie były wszystkie jego migreny i ataki gniewu. Objawami. Ale objawami czego?

Jason poczuł strach.

- Wiem - odpowiedziała matka, a w głosie słychać było znużenie. - Wszystko już mi mówiłeś po powrocie.

- To było miesiąc temu. Czekaliśmy zbyt długo. Trzeba jechać. Jutro rano. Nie musisz się wybierać z nami, jeżeli nie chcesz.

- Lekarze nie pomogli mojemu bratu.

- Cassie, twój brat miał bardzo poważne stadium raka. I to się zdarzyło wiele lat temu. Musimy spróbować każdej możliwości. Pomyśl o oficjalnej medycynie jak o jednej z teorii. Takiej samej, jak twoje teorie natury. To zachodnia teoria, to wszystko. Następnym razem Jason może skrzywdzić siebie. Albo innych.

Westchnienie.

- No, dobrze. Zawsze mnie zastanawiało, czy można coś zrobić z tym wirusem, który wtedy złapałam. Z tym paskudnym przeziębieniem. Jest tak wiele wirusów, które mogą zakazić płód. Niektóre matka może mieć nawet od dzieciństwa i nic nie...

Głos ojca, łagodny:

- Nie bądź głupia...

- Po prostu wysiadło mi poczucie humoru...

- Wiem, kochanie. Mnie też.

Srebrna poświata zza drzwi znikła i Jason zapadł w sen.

*

Następnego popołudnia rodzice wypełniali formularze w klinice. Twarz matki była ściągnięta, w oczach czaiło się zmartwienie. Jason w poczekalni przeglądał książeczki dla dzieci, ale wszystkie wydały mu się trochę głupie. W domu czytał „Porwanego za młodu”.

- Wpisz adres twojego ojca - wyszeptwała matka do Mike'a.

- A w jaki sposób się z nami skontaktuje? - zapytał.

- Może nam przekazywać wiadomości - odpowiedziała. - To nie zajmuje tak wiele czasu.

- Cassie! - w głosie ojca zabrzmiała irytacja, ale wzruszył ramionami i Jason wiedział, że ulegnie matce. Jason lubił tak zgadywać - jakby był szpiegiem z jakiejś powieści. Na noc zatrzymali się w motelu. Jason obserwował, jak ojciec płaci gotówką. Nigdy nie używali kart kredytowych, jak inne rodziny. Kolejnego ranka Jason musiał przejść testy, wiele testów. I musiał pić gęste płyny o wstrętnym smaku. Musiał leżeć w białej rurze, gdy robiono mu skanowanie mózgu. Pokłuto go igłą, żeby pobrać krew. Potem zabrano go do McDonalda, czego, jak dobrze wiedział, mama nie pochwaliliby. Rodzina została w mieście jeszcze jeden dzień. Potem poszli do gabinetu i doktor oznajmił, że choć badania nie wykazały nic szczególnie nieprawidłowego, to jednak niektóre próbki musi wysłać do innych specjalistów. Na wyniki trzeba będzie czekać więcej niż kilka dni, więc Jason i rodzina mogą wrócić do domu. Lekarze skontaktują się, gdy czegoś się dowiedzą.

- Jesteś teraz zadowolony? - zapytała Cassie, gdy wjechali na drogę międzystanową i skierowali się na wschód.

- Nie całkiem - odpowiedział Mike - ale czuję się trochę spokojniejszy.

Gdy krążyli po zwirowych drogach i kierowali się na zbocze obok ich domu, Jasonowi przypomniały się pokryte śniegiem szczyty, jakie widział zeszłego lata. Jednocześnie pomyślał o czymś, czego się nauczył z programu edukacyjnego.

- Liczby pierwsze są ważne, ponieważ to jedyne prawdziwe liczby - oznajmił podekscytowanym tonem, spoglądając przed siebie z głową wciśniętą pomiędzy rodziców.

- Czemu to powiedziałaś? - zapytała Cassie.

- Bo wszystkie inne liczby można zniszczyć. Można je zredukować. Nie są prawdziwe, powstały z innych liczb. Z liczb pierwszych. I tylko liczb pierwszych nie można... um...

- Podzielić? - podsunęła Cassie.

- Taaa... Podzielić. Bo one się dzielą tylko przez jeden i same przez siebie. Dlatego tylko one są prawdziwe. Wszystkie inne liczby możesz odrzucić. Ale pierwszych nie. Nie można ich rozbić na mniejsze. Są solidne. Są sobą. Wystarczy popatrzeć na wszystkie liczby. Pierwsze stoją wyżej. Są jak szczyty gór. Gdyby spojrzeć na nie z góry, z samolotu, można zauważyć, że układają się w jakiś wzór.

- Wspaniale - powiedziała Cassie. - Nigdy nie pomyślałam o liczbach w ten sposób - odwróciła się i odgarnęła włosy. - Cieszę się, że już czujesz się lepiej, kochanie.

Po tygodniu do ich skrzynki pocztowej dotarło awizo. Jason pobiegł na pocztę i odebrał przesyłkę, jak to miał od dawna w zwyczaju. Przyniósł ją ojcu, czekającemu w samochodzie.

- Mówią, że to od rządu Stanów Zjednoczonych.

Ojciec otworzył ostrożnie przy pomocy noża, który zawsze nosił w kieszeni.

- Co napisali? - zapytał Jason, gdy cisza zaczynała się przedłużać.

- Napisali, że powinniśmy zgłosić się na dalsze badania do specjalistycznej kliniki w Denver. Ale nie napisali, dlaczego.

- Nie powiedzieli, co jest ze mną nie w porządku?

- Nie. Oczekiwałem, że dostaniemy wyniki twoich badań. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy pokazać je innemu specjalistcie stąd. I mielibyśmy całą dokumentację badań. Ale tu nic nie napisali o tych cholernych wynikach.

Jason był zaskoczony. Ojciec nieczęsto przeklinał.

Narastająca triola

Zeb, Waszyngton, 2018

Ellie Pio siedziała w małym gabinecie mieszczącym się w Obserwatorium Naval i kontemplowała wysoki stos papierów. Sterta dokumentów przemieszana była z równie dużym stosem książek. Nie zamierzała nic z tym robić. Samo patrzeć sprawiało, że czuła się zmęczona. Nie powinno się robić porządków w tak piękny, słoneczny poranek maja.

Pukanie do drzwi za plecami przyjęła z prawdziwą ulgą. Obróciła się z krzesłem. Oto i on, włóczęga w wytartym, niegdyś eleganckim płaszczu. Długie, posiwiałe włosy spięte w koński ogon i w odróżnieniu od innych włóczęgów, zawsze niedogolonych, biała i gęsta, ale schludnie utrzymana broda. Paznokcie też zawsze czyste i nigdy żadnego odoru alkoholu. Ellie lubiła jego oczy - brązowe, spoglądające spokojnie i pełne inteligencji, która przeczyła jego aparycji.

- Wejdz - zaprosiła. - Siadaj.

Przysiadł na drewnianym krześle przed biurkiem.

- Właśnie szykowałam się do lunchu - zagaiła.

- Trochę wcześniej, jak na lunch, nieprawdaż? - miał naprawdę miły głos. Z lekkim południowym akcentem, który słychać było w chwilach, gdy przeciągał śpiewnie samogłoski.

Lecz przede wszystkim chodziło o wyraźną inteligencję, która dziwnie kontrastowała z jego wyglądem. Po raz pierwszy pojawił się u Ellie jakiś tydzień temu. Mówił o astrofizyce, o problemach z radiem, generalnie o astronomii. Przeczytał artykuł Ellie w „Przeglądzie fizycznym” i postanowił odszukać autorkę. Twierdził, że jest tylko amatorem, ale nie wierzyła w to ani przez moment. Wiedziała to jasno od tamtego pierwszego spotkania, gdy została wezwana przez sekretarkę. Wydał się jej wtedy na pół znajomy, jakby wcześniej już gdzieś go widziała. Ukochany wuj Ellie zniknął niegdyś wśród ulic, wiele lat temu. Był alkoholikiem, porzucił rodzinę i dobrą posadę. Ale serce złamało jej dopiero postępowanie matki, która wyparła się rodzzonego brata, nie chciała go ani widzieć, ani mu pomóc. Dlatego Ellie wyczuła natychmiast, że u tego mężczyzny, odwiedzającego ją od niedawna, więź z rzeczywistością jest bardzo wiotka. Cieszyła się, że wracał.

Wyciągnęła kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, i poczęstowała gościa. Skinął w podziękowaniu.

- Kawy? - zaproponowała. Wstała, naląła świeżo zaparzonego płynu do kubków wątpliwej czystości.

- Dziękuję.

Przychodził często i ich przyjaźń rosła.

*

W rok po tym, jak poznał Ellie Pio, Zeb szedł wąską, odrapaną klatką schodową w chyłącym się ku ruinie apartamentowcu, stojącym w Anacostii, jednej z najbiedniejszych dzielnic Waszyngtonu. Kiedy dotarł na czwarte piętro i wyszedł na korytarz, jedne z drzwi otworzyły się nagle. Ktoś zerknął podejrzliwie, nie zdejmując łańcucha, potem zatrzasnął wejście.

Zeb wyjął z kieszeni notatnik, otworzył i obrócił w kierunku światła rzucanego przez zmatowiałą żarówkę. Odczytał jeszcze raz numer, zanim ruszył dalej, do końca korytarza, gdzie zapukał do drzwi opatrzonych napisem: „423”.

Jak poprzednio, otworzyły się ostrożnie, ale tym razem łańcuch nie był założony, więc mógł wejść. Drzwi zatrzasnęły się za jego plecami z cichym trzaskiem.

- Hej, to ten starszy gość - oznajmił na jego widok młody mężczyzna z klawiaturą trzymaną na kolanach. - Miło cię znowu widzieć! - W pokoju przebywało może z dziesięć osób, siedzących na podłodze lub na łóżku.

- Wezmę twój płaszcz - powiedziała Pio, która go wpuściła. - Opuściłeś parę spotkań, zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

- Wszystko dobrze - odpowiedział Zeb, odmawiając oddania płaszcza, którego kieszenie skrywały wszystko, co uważał za cenne. Pokój przesycony był zapachem stęchłego dywanu, palonej kawy i papierosowego dymu. Okna przysłaniały arkusze aluminiowej folii. Z jednego z nich wypełzały grube kable połączone z talerzem anteny odzyskanej ze zniszczonego satelity lub z innymi antenami na dachu. Wszystkie ich pokoje wyglądały tak samo, przeprowadzali się mniej więcej co miesiąc.

- To znaczy, przepraszam, że opuściłem spotkania. Nie wiedziałem.

Ktoś na P Street Beach, gdzie Zeb sypiał pod mostem, dał mu dzisiaj trochę drobnych, poczęstował papierosem, przypalił mu i wcisnął w dłoń paczkę zapalek. Może był to ten sam włóczęga, który przysiadł się i paplał do Zeba co miesiąc do późnej nocy, a może włóczęga, który lubił zerkać do jego notesu, gdy tylko miał okazję. Zeb nie wiedział. Mgliście pamiętał długą brodę tamtego, ciemne okulary, ciasną czapkę nasuniętą na oczy nawet latem i głos ochrypy od papierosów lub ciągłego przeziębienia.

- Posłuchaj - odezwała się Pio, jak zwykle ubrana w wyblakłe odcienie zieleni i brązu.

- Przepraszam za ostatni raz.

- Ostatni raz? - zapytał, usiłując zgadnąć, o co chodzi.

Ellie westchnęła.

- Właśnie.

- Zaprowadziła cię do kliniki, Zeb - podpowiedziała jedna z kobiet - A ty uciekłeś.

- Och - spróbował się uśmiechnąć. - Nie ma mowy, nie wrócę tam.

- Odepchnąłeś pielęgniarkę, zanim jeszcze zaczęła cię badać - wyjaśniła Pio tonem pełnym dezaprobaty. - Na szczęście, nie poczuła się specjalnie dotknięta. Powiedziała, że wyglądało, jakbyś miał atak paniki.

- Ach, o to chodzi. No, dobrze - mruknął. - Obwinałem cię za to schronisko, Pio. Dlatego tam nie wróciłem. Czy nie mówiłaś mi, że idziemy tylko na kawę? Poza tym, muszę pozostać niewidzialny.

Pio uniosła dłonie.

- Tak mówiłam, przepraszam. Możesz wrócić do schroniska bez żadnych konsekwencji.

Schronisko ofiarowało każdemu wieczorny posiłek i miejsce na jednej z prycz w wielkiej sali. W schronisku nie pytano o imiona. Jeżeli ktoś wyszedł, wyjechał, pchany głodem narkotycznym lub pragnieniem alkoholu, nie wpuszczano go ponownie tej nocy. Zeb nigdy nie wychodził. Ale od tamtego incydentu z kliniką, trzymał się z daleka od budynku, odchodził kilkaset jardów dalej, gdy któryś ze znajomych wołał za nim:

- Hej, Człowieku z Gwiazd, chodź! Tęskniliśmy!

- Przeprowadzamy się w tym tygodniu - oznajmiła młoda kobieta siedząca przed płaskim ekranem powieszonym na ścianie.

- A zatem - wtrąciła szybko Pio - Zaczynajmy. - Przeszła po pokoju i rozdała wszystkim arkusze papieru. Włożyła białe rękawiczki.

- Radioteleskop Array miał spalone wszystkie chipy, wymieniono je po kolei i teraz działa. Ale braki w zasilaniu wynoszą 90 procent, jak wiadomo, a chipy trzeba wymieniać dość często, więc trudno opracować jakiś plan nasłuchu. Wojsko przejęło całkowicie teleskopy, nadajniki radiowe i podobne urządzenia. Słyszałam pogłoski, że armia przejęła również trzy bazy na orbicie, bazę na Księżycu i prywatną kolonię na Marsie. Jak zwykle, muszę podkreślić, że jeżeli ktokolwiek zdradzi, skąd to wszystko wiem, znajdę się w paskudnym bagnie.

- Armia Stanów Zjednoczonych? - zainteresowała się jedna z kobiet.

- Tak - odparła Pio. - Chociaż cenzurują informacje.

- Ale... Czy kolonia na Marsie nie jest mała? I wielonarodowościowa? Inne kraje nie zaprotestowały? Albo choćby udziałowcy, czy ktoś?

Pio wzruszyła ramionami.

- Co im to da? Poza tym, nasze wiadomości o kolonii są ograniczone. Znajduje się bardzo daleko i praktycznie nie ma kontaktu z Ziemią. Musi siedzieć cicho. A my niewiele możemy z tym zrobić. Kto wie, czy armia amerykańska nie toczy teraz wojny z obcymi w marsjańskich kanałach.

Młoda kobieta zachichotała nerwowo.

Zeb przycupnął cicho za starym biurkiem. Pochylił abażur lampy, by światło padało bliżej niego i studiował dokumenty jeden po drugim, odkładając każdy, który dokładnie przeczytał. Nie zdjął płaszcza. Miał nadzieję, że była tu bieżąca woda. Czasem pokoje były opłacone, ale znacznie częściej klub anektował jakiś pustostan na te kilka godzin, gdy odbywały się spotkania. W tej części miasta ludzie nie byli zbyt wrażliwi na smród. Po prostu chcieli, aby zostawić ich w spokoju. Zeb planował, że weźmie prysznic, gdy wszyscy wyjdą; przyzwyczał się już, że może skorzystać z kąpieli po takich spotkaniach - o ile tylko była możliwość.

Nie wiedział dokładnie, jak określić zgromadzonych. Entuzjaści programu SETI, przekonani, jak Zeb, że za Ciszą kryje się działanie obcej inteligencji. Ale, w przeciwieństwie do niego, mieli przygotowaną prawdziwą encyklopedię prawdopodobnych cech sprawców Cisz. Zeb nie miał pojęcia, jak obcy mogliby wyglądać i nie obchodziło go to w najmniejszym stopniu. Znacznie bardziej zainteresowany był sposobem myślenia obcych. Miał głębokie przekonanie, że nie umiałby go pojąć.

- I co? - zagadnął młody człowiek w okularach. - Co myślisz, Człowieku z Gwiazd? - nikt tutaj nie używał prawdziwych imion.

Zeb skończył czytać i wzruszył ramionami.

- Za mało danych. Myślę, że to był przemyślany i planowany efekt niekoniecznie skierowany właśnie w nas. Może przypadkiem znaleźliśmy się na drodze. W rezultacie wróciliśmy do bezpośredniego porozumiewania się ze sobą. A może to tylko szczęśliwy efekt uboczny?

- Chcesz powiedzieć, że te istoty nie miały tego w planach?

- To nie mógł być ich główny cel. Czemu zakładać, że był? Czemu zakładać, że w ogóle rozumują w podobny do nas sposób, że znają ideę wojny? Mogło się zdarzyć i tak, że znaleźliśmy się na trasie przesłanego przez nich komunikatu.

- Ale jednak! - odezwała się kobieta podskakując z podniecenia. - To świadczy, że oni

istnieją! To kapitalne!

- Zgadza się - potaknął Zeb.

- Nie jesteśmy sami we wszechświecie!

- Przypuszczalnie nie. Ale tamci mogą być naprawdę tak daleko, że nie zrobi nam to żadnej różnicy. Może być i tak, że pojawi się parę efektów ubocznych na skutek tego, co ci obcy zrobią i to będzie wszystko, czego się o nich dowiemy.

- Ale czy nie chciałbyś do nich polecieć? Spotkać ich?

Zeb roześmiał się.

- To wydaje się raczej trudne do zrealizowania.

- Wcale nie - zaprotestowała gorąco młoda kobieta. - Z nanotechnologią będziemy w stanie stworzyć statki poruszające się z prędkością bliską prędkości światła. I będziemy mogli użyć dowolnych rozwiązań technicznych, aby przeżyć taką podróż...

- Taa... Może nawet załadujemy na takie statki tylko nasze umysły.

- Ach, tak - rzekł Zeb odsuwając się od biurka. W zasadzie życzyłby sobie, aby już poszli, wziąłby prysznic. - Obawiam się, że jestem już za stary na taką podróż.

I nagle pomyślał o Annie. Annie, córka Sally, robiąca dyplom z nanotechnologii. Tamten obiad w Dzień Dziękczynienia... jak dawno temu? Parę lat? I jego banicja.

Czasami tak się zdarzało. Wracały do niego wspomnienia. Te diamenty, które trzymał w płaszczu. Może Ellie wiedziałyby, co z nimi zrobić. Nie rozumiał, czemu wcześniej nie pomyślał, by poprosić ją o pomoc. Może powinien to zrobić.

Ale diamenty przypomniały mu, że Craig nie żyje. Nie żyje z powodu tego, co się stało.

- Hej, Człowieku z Gwiazd - kobieta poklepała go po plecach. - Nie płacz. Co takiego powiedziałam? Ellie...

- Wyjdźcie wszyscy - rozkazała Ellie nie zwracając uwagi na narzekania, że spotkanie dopiero się zaczęło. - I pamiętajcie, że za tydzień w tym miejscu nie ma być po nas śladu. Spotykamy się tutaj już zbyt długo. - Zeb usłyszał wymruczane pożegnania i paplaninę o tym, jak można zdobyć różne wieści z narodowej i międzynarodowej sieci SETI.

Ellie usiadła obok Zeba na rozbebeszonym tapczanie i długo trzymała go za rękę, patrząc przed siebie. W końcu wstała, włożyła płaszcz i pomogła mu się podnieść.

- Wracasz ze mną do domu - oznajmiła.

- Nie. Nie mogę - poczuł wzbierającą panikę.

- Nonsens. Zejdziemy na dół i wezwiemy taksówkę. Obiecuję, żadnych wygłupów.

- Żadnych szpitali.

- Nie. Ale dlaczego nie? Mówię ci, Zeb, czasami żal patrzeć, co ze sobą robisz.

- Dlatego... - z trudem szukał odpowiednich słów, gdy przechodzili przez ciemny korytarz. - Dlatego, że to odbiera jasność... Lekarstwa. Jestem tak normalny, że nie mogę myśleć.

Ellie westchnęła.

Dla Zeba wszystko wydawało się wyrazistsze. Wyblakła postać wiktoriańskiej kobiety na plakacie, węzowy wzór na dywanie, maszynowo wyrzeźbiony wzór na drewnianej ramie stłuczonego lustra w holu. Wrażenia zalałyby go, gdyby na to pozwolił. Lepiej, aby rzeczy pozostały odległe i mniej ostre. Owe detale napierały na niego, chciały wedrzeć się do jego wizji, pola myśli przepelnionego informacjami. Zeb sięgnął do prawej kieszeni płaszcza, precyzyjnie przesuwał palce przez dziurę w podszewce, lewą ręką unosząc wyżej połę okrycia. Dłoń zacisnęła się na kopercie, którą zabierał ze sobą wszędzie. Teraz wydobył ją z bezpiecznej kryjówki pod podszewką.

- Muszę ci coś pokazać. Może będziesz wiedziała, co to jest. Otworzył paczkę wyjętą z koperty. Pieniądze dawno się rozeszły. Rozwinął przejrzysty brązowy papier i pokazał diamenty.

- Skąd to masz?

- Od przyjaciela. Myślę, że pracował nad czymś związanym z obcą inteligencją. Przypomniałem sobie o nim dzisiejszej nocy. Nie zawsze wszystko pamiętam. Powiedział, że to jest ważne. Wydaje mi się, że te kryształy mogą zawierać tajne dane astronomiczne. Ale jak je odczytać?

Pio uniosła jeden z diamentów do zwisającej z sufitu żarówki. Potem odłożyła go na papier.

- Być może masz rację. Nie znam żadnego urządzenia, które mogłoby odczytać informacje z kryształów. Nie miałbyś nic przeciwko, gdybym jeden wzięła?

Zeb wzruszył ramionami.

- Miałem przecucie, że jeżeli zaniosę je do jubлера, wezwie policję, bo tak go pouczono. Na tych diamentach mogą być jakieś znaki rozpoznawcze. Mogą nawet nie wyglądać z bliska na diamenty. Chcę wiedzieć, co w nich jest. Nie wydaje mi się, aby mój przyjaciel wcisnął mi tak bez powodu zwykłe diamenty. Jeżeli są prawdziwe, zapewne nie są wiele warte. Produkuje się je na tony i nie można ich odróżnić od naturalnych diamentów.

Ellie wrzuciła jeden z kryształków do portmonetki. Gdy Zeb zszedł za nią po schodach, dodał jeszcze:

- A zatem dane wciąż przychodzą podczas okresów Ciszy, prawda? Tego właśnie

dowodzą te dokumenty, które pokazałaś. Ale mają bardzo wysoką częstotliwość.

- I co o tym myślisz?

- To znaczy, oczywiście, że to jakaś transmisja skierowana do kogoś. Ale trzeba by zebrać więcej danych, żeby zrozumieć, co może być zawarte w przekazie. Trzeba złamać kod. O ile nie jest zbyt skomplikowany dla ludzkiego umysłu.

- Zeb, naprawdę myślisz, że...

- Jako człowiek, muszę przyznać, że nie potrafię sam rozszyfrować przekazu, jednak podziwiam ludzkie możliwości. I choć nie umiem tego wyjaśnić, to myślę, że obcy też mogą mieć ograniczenia.

Zeszli na parter, do holu wyłożonego zniszczonymi ceramicznymi płytami, tworzącymi poszarpany teraz i brudny, czarno-biały wzór. Światliki i oszklone wejście przepuszczało światło z zewnątrz, ale żarówki na suficie były przepalone.

Wyszli na cementowy podjazd. Samochody przejeżdżały sporadycznie, większość ulicznych świateł była wyłączona, a po obu stronach drogę przysłaniały domy, w większości zupełnie ciemne. W centrum miasta ruch regulowali policjanci z drogówki, ale tutaj, w Anacostii, kierowcy byli zdani tylko na siebie.

Ellie uniosła ramię, by przywołać taksówkę.

*

To było miesiąc później. Pogoda się paprała, padał śnieg z deszczem.

Ale Zeb doznawał w deszczu poczucia doskonałości.

Doskonałości takiej, jak spiętrzone przed nim budynki, jak drzewa wyrastające przed nim niczym drogowskazy prawdy. Był zorientowany na doskonałość, opanowany, zdolny do zrozumienia, z oczyma przepelnionymi zachwytem. Kroczył ulubioną alejką przez park, przemoczony, z paczką od Ellie owiniętą w folię, kierując się w stronę wznoszącej się na wzgórzu okazałej Katedry. Otaczające ją dęby, rozłożyste, czarne i bezlistne, kołysały się na tle ciemnego, porannego nieba, jakby chciały smagnąć Zeba prawdą, tą prawdą, o której mówił mu deszcz ze śniegiem, prawdą, która jak deszcz poruszała jego intelekt, czyniąc go ostrym i pobudzonym. Zeb skierował się do Katedry, choć wcześniej nie miał takiego zamiaru, uznał jednak, że będzie to doskonałe miejsce, by zmierzyć się z niebezpiecznymi myślami.

Otworzył ciężkie drzwi; powitały go światła świec i zapach kadzidła. Chłopięcy chór ćwiczył właśnie, a echo niesło pieśń pod sklepienie. Grupa zwiedzających szurała nogami, słuchając przewodnika, którego głos rozpraszał się w zmiennych tonacjach chóralnego śpiewu. Zeb zbliżył się do nawy, przeciął ją i skręcił w lewo, skrywając się w małej kapliczce

z czterema ławkami i ołtarzem przyozdobionym obrusem, świecznikami i bukietami kwiatów.

Sięgnął do kieszeni i wyjął odrapaną torbę, wygładził ją w nagłym przypiływie czułości. Pamiętał, jak Ellie obmyła ją nad zlewem w kuchni i powiesiła do wyschnięcia. Dała ją Zebowi jeszcze wtedy, gdy wyszeptala, że powinien natychmiast opuścić Obserwatorium i nigdy nie wracać. Miała pobladłą twarz, gdy pokazywała mu tylne wyjście.

Wewnątrz torby znajdował się nieduży przedmiot przypominający książkę. Otworzył. Ellie dostała to urządzenie od przyjaciela przyjaciela. Pozornie taki sposób dostarczenia można by uznać za akt zdrady. Jeden z tych „przyjaciół” mógłby równie dobrze wpaść na ślad diamentu. Zeb żałował, że Ellie nie powiedziała mu wszystkiego wcześniej, jednak może nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, aż było za późno. Przez tę myśl na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zaraz jednak zabrał się za oględziny.

Wewnątrz, po lewej stronie, było wgłębienie, do którego pasował diament, prawdopodobnie służące do odczytywania zapisów.

Po prawej stronie znajdował się pad, Zeb dotknął „ON”, co uruchomiło ekran.

Ostrzeżenie o najwyższym poziomie tajności zabłysło jaskrawą czerwienią. Pomiął je i przeszedł do menu. Ekran zapytał o hasło, ale zostało ono automatycznie dodane - załatwił to przyjaciel Ellie, a teraz wystarczyło tylko nacisnąć „ENTER”.

Zeb wziął głęboki oddech i skupił się na czytaniu danych. „Istotne powiązania dostrzeżone zostały między łańcuchem DNA i częstotliwością impulsów elektromagnetycznych w atmosferze...”

Zeb siedział, a dziecięce głosy opadały wokół, jak kształty jaśniejące na ekranie, wtapiały się w niego, niosły natchnienie i radość. Treść, sama esencja, którą rozumiał, pojmował jej zmiany, i co mogły znaczyć, jaśniała jak ścieżka, której mógł dostrzec zaledwie początek. Oni wszyscy byli dopiero na początku, zrobili tylko jeden krok na drodze, która rozciągała się w nieskończoną dal. Treść, którą można modyfikować inną treścią znowu i znowu, a świadomość i zrozumienie wzrastały bezgranicznie.

Ale mogły również zostać na zawsze zablokowane.

Odsunął od siebie tę myśl. To nie było coś, czym chciałby się w tej chwili przejmować.

Było warto. Straty, okresy błądzenia w ciemności, tygodnie głupich pomyłek. Jeżeli ciemność była ceną za to objawienie, nie warto płacić.

DRUGI RUCH

Times, Londyn
Wydanie wieczorne
10 czerwca 2019

Na konferencji prasowej dzisiejszego popołudnia premier zaprzeczyła doniesieniom o istnieniu porozumienia między członkami Północnoatlantyckiej Organizacji Nanotechnologicznej dotyczącego finansowania badań, mających na celu produkcję Uniwersalnego Asamblera.

- To byłoby wbrew prawu międzynarodowemu - odpowiedziała premier. - Mamy, na mocy umów członkowskich, upoważnienia do zatwierdzania produkcji pewnych molekularnych maszyn, nanobotów, które mogą ulżyć ludzkości w nękających ją od zarania problemach. Te nanoboty mają zdolność do namnażania się tylko w ściśle kontrolowanych granicach, nie ma w tym żadnej lekkomyślności. Powtarzam, nie ma żadnego porozumienia pomiędzy państwami członkowskimi, dotyczącego otwarcia drzwi dla badań nad tymi aspektami nanotechnologii, które byłyby niebezpieczne, nierozważne i nieodpowiedzialne, jak również nie ma żadnych prób udowodnienia, że Uniwersalny Asambler może istnieć.

Pani premier nie podkreśliła, że Stany Zjednoczone jeszcze nie podpisały traktatu, niektórzy przypuszczali, że takie przypomnienie brzmiałoby jak zarzut.

Zapytana, czy ostatnio nadeszły jakieś wieści z Bazy Tranquility na Księżycu, która obawia się nanotechnologicznej katastrofy, premier odpowiedziała, że jest zbyt wcześnie, aby coś wiedzieć na pewno.

- Cisza nadejdzie, jak zwykle - brzmiała jej odpowiedź. - Moskwa przygotowuje lot zwiadowczy, ale, jak powszechnie wiadomo, podobna próba w zeszłym miesiącu podjęta przez Francję, skończyła się tragicznie, gdy nagły impuls strącił raketę do Atlantyku. Musimy zachować ostrożność i spokój. Niemniej jednak pragnę zauważyć, że Księżyc, który nie kierował się naszymi postanowieniami legislacyjnymi dotyczącymi nanotechnologii, może z tego powodu ponosić teraz bardzo poważne konsekwencje.

CZWARTE SOLO

Tamchu i dziewczynka

Katmandu, Nepal, 2020

Na początku turyści patrzą wyrozumiale, z pobłażaniem. Zawsze tak jest. Zatrzymanie się na malutkim skrawku terytorium należącym do Tamchu jest obowiązkiem, rodzajem pokuty za posiadanie pieniędzy, które są mu niedostępne. Ale dlaczego miałby żebrać na ulicy? Ledwie na nich zerknął, trio idealne dla tego szczególnego pokazu - niecierpliwy ojciec, uśmiechnięta matka i chłopak z wytrzeszczonymi oczami.

Teatralnym gestem Tamchu wyjął z kieszeni szerokich spodni mały zielony graniastosłup, lśniący woskowato i sprawiający wrażenie giętkiego. Z drugiej kieszeni wyjął szczyptę złotego proszku, który trzymał w plastikowej torbie. Obtoczył w nim woskowatą, zieloną bryłkę. Potem mocno ścisnął ją w dłoniach, aż poczuł ciepło. Uśmiechnął się niewinnie do turystów, upewniwszy się, że udało mu się przyciągnąć spojrzenie matki. Zerknął jeszcze na chłopca, dzieciak patrzył prosto na niego, ale zaraz odwrócił wzrok. Tamchu opuścił głowę i wymruczał nad złożonymi rękami kilka niezrozumiałych słów w hindi. Jego małe, przenośne radio rozbrzmiało muzyką naśladującą styl orientalny.

- Chodźmy już - odezwał się ojciec rodziny. - Mamy jeszcze wiele do zwiedzania. A ja chcę wrócić na lunch do hotelu. Nie chcę nawet myśleć, jakie choroby moglibyśmy złapać jedząc coś stąd.

Tamchu poczuł trzepotanie w dłoniach. Skinął na siostrę siedzącą nieopodal, a ona sięgnęła za plecy i wyjęła małą klatkę, zbudowaną z posklejanych wykałaczek. Siostra robiła je sama dla świątyni. Tamchu mógłby kupić odpowiednie klatki za tę samą cenę w hurtowych ilościach, ale te od siostry prezentowały się lepiej, a w efekcie przynosiły więcej pieniędzy. Poza tym, były zawiłymi i interesującymi dziełami sztuki.

Ojciec rodziny odwrócił się z irytacją, ale chłopiec stał nadal, a kobieta powiedziała:

- Poczekaj, kochanie. Zdaje się, że już koniec.

Tamchu zbliżył dłonie do małej klatki i motyl o szmaragdowych skrzydłach wleciał do

środku. Siostra Tamchu zamknęła drzwiczki i zabezpieczyła je wykałaczką.

Chłopiec patrzył:

- Jak to zrobiłeś?

- Magia - odpowiedział mu Tamchu.

- Mamo - w głosie dziecka brzmiało błaganie.

Ojciec był zniecierpliwiony, ale Tamchu targował się o euro sprawnie i uprzejmie. Potem przestrzegł chłopca, że motyla trzeba wypuścić z klatki, zanim skończy się dzień, ponieważ nawet motyl posiada duszę, która musi się odrodzić. Dodał, że w zamian chłopiec zyska dobrą karmę.

- Upewnierz się, że postąpi tak, jak prosiłem? - zapytał jeszcze matkę dziecka. Miał do czynienia z niejednym rozgniewanym turystą, wracającym następnego dnia z martwym motylem w klatce.

Kobieta pokiwała głową. Rodzina oddaliła się i znikła za rogiem ulicy.

- Jestem zmęczona - powiedziała siostra Tamchu. Tak naprawdę nie była jego rodzoną siostrą. Miała wysokie kości policzkowe, typowe dla Tybetanek, miedzianą cerę, choć bladą i wiotką. Jak Tamchu, straciła rodzinę. Ale on przynajmniej miał dalekich krewnych, członków społeczności uchodźców dobrze już zdomowionych w Katmandu, którzy obiecali mu pomoc. Jego siostra natomiast zdawała się nie mieć nikogo na świecie. Tamchu myślał o niej jak o siostrze, ponieważ była w tym samym wieku, co jego rodzona siostra, którą utracił z powodu gorączki podczas ich długiej podróży z Tybetu do Nepalu. Gorączki, którą przyniósł nowy model chińskiego helikoptera, mogący się przekształcić w odrzutowiec. Z nisko lecącej maszyny wykrzyczano, że ponieważ uciekinierzy złamali prawo, zakazano ich chorobą I nie dostaną nowego, taniego antidotum. Chyba, że zawrócą...

Ale grupa odmówiła.

Tamchu ukląkł przy siostrze. Znał ją od ośmiu miesięcy.

- Wiem, Illian - to było dziwne imię. - Pozwól, że przyniosę poduszkę, żebyś mogła odpocząć. Do cienia?

- Nie, na słońce - poprosiła, a jej ciało przebiegł lekki dreszcz. Przysunął poduszkę i pomógł się jej położyć, potem przykrył ją pledem.

- Ktoś tu jeszcze jest... - oznajmiła, próbując się podnieść, a jej oczy przepelnione były bólem.

- Zajmę się tym - uspokoił ją. - Odpoczywaj.

Odwrócił się do turystów, nienawidząc ich i ich pieniędzy, za które mógłby kupić lekarstwo dla Illian.

Dowiedział się o antidotum w darmowej klinice, gdzie zabrał dziewczynę, gdy pojawiły się pierwsze symptomy. Zrobiono jej wszystkie podstawowe testy - skan DNA i systemu odpornościowego. Pielęgniarka powiedziała Tamchu, że Illian ma rzadkiego wirusa i dała mu wydruk z opisem. Przypuszczalnie stan jego siostry będzie się stale pogarszał i zakończy śmiercią w młodym wieku. Istniało lekarstwo, jednak wydawane tylko w jakiejś klinice w Niemczech i tylko dzięki uprzejmości tamtejszego rządu. Lekarstwo było w fazie eksperymentalnej, kuracja wymagała podpisania dokumentów wyrażających zgodę na ryzyko jej stosowania. W biuletynie podano tylko adres e-mailowy, co było dość dziwne w dobie, gdy Internet działał tak sporadycznie i był drogi.

Ale tamtej nocy, po położeniu Illian do łóżka, Tamchu poszedł do kafejki internetowej, gdzie unosił się silny aromat haszyszu i gdzie pracował oraz mieszkał jego kuzyn. Dostał pozwolenie, by korzystać z Internetu za darmo, ponieważ lokal czerpał zyski z haszyszu, kawy i herbaty. Kuzyn wyświadczał Tamchu przysługę.

Tamchu był wtedy zmęczony. Niewiele zjadł, aby oszczędzać pieniądze. Targowanie się z turystami zawsze było dla niego wyczerpujące i martwił się o Illian. Zapewne też został oszukany przez mężczyznę, który sprzedał mu motyle. Teraz każdy już je miał, musiał wymyślić coś nowego.

Kołysał się miarowo z fajką haszyszu, którą zaproponował mu kuzyn, gdy tylko weszli do kafejki. Tamchu nawet to polubił. Może gdy Illian będzie wyleczona, pozwoli sobie na zatracenie się w wizjach i halucynacjach. Kuzyn poinformował go, że Internet działa od dwóch dni, ale trzeba się spieszyć, bo nie wiadomo, kiedy połączenie się urwie.

Tamchu napisał list po angielsku, ponieważ znał ten język całkiem nieźle, dzięki wpływom indyjskim w Nepalu. Miał nadzieję, że w Niemczech zrozumieją. Wpisał adres i zerknął raz jeszcze na tekst, ufając, że list jest wystarczająco przekonujący.

Szanowny Doktorze Lenoir:

Moja siostra cierpi z powodu rzadkiego wirusa. Chorobę można wyleczyć w Pana klinice. Lekarze powiedzieli, że bez pomocy moja siostra może wkrótce umrzeć. Mieszkamy w Katmandu, w Nepalu. Zaoszczędziłem 428 euro na podróż. Nie mamy ubezpieczenia. Chciałbym wysłać siostrę do Pana kliniki na leczenie. Mam nadzieję, że wystarczy mi pieniędzy. Czy jest możliwe, żeby moja siostra podróżowała sama? Chciałbym z nią być, ale nie mam dość pieniędzy. Załączam kopię jej danych medycznych z tutejszej bezpłatnej kliniki.

Tamchu wyjął optyczną kulę, zawierającą skrócony opis choroby Illian, skan DNA oraz wyniki badań i włożył ją do zagłębienia w rogu klawiatury. Jego kuzyn wytłumaczył mu, jak się to robi, a Tamchu szybko się połapał. W końcu chińska szkoła, do której uczęszczał w Tybecie, była całkiem niezła.

Zaopiekował się Illian i niedługo uświadomił sobie, że ją kocha. Była niezwykle utalentowana. Wytwarzała różne przedmioty w niezwykłym, ale w pięknym stylu, jakby wpływającym wprost z jej duszy. Mówiła w kilku językach, uczenie się ich przychodziło jej bardzo łatwo. Tamchu wiedział, że dziewczyna jest wyjątkową istotą. Tak trudno było patrzeć, jak się marnuje i cierpi. Aby jej pomóc, zrobiłby wszystko. Ale technik z kliniki wytłumaczył Tamchu, że od dłuższego czasu nie pojawił się żaden doktor, a Illian potrzebuje prawdziwego lekarza. Ostatni ochotnik znikł i od kilku miesięcy w klinice nie było żadnego doktora.

Tamchu pomyślał o Illian, wziął głęboki oddech i nacisnął „SEND”.

RYTM WIODĄCY

Tamchu zaczyna podróż 2021

Aby uspokoić nerwy, Tamchu chodził wzdłuż pociągów, którymi podróżował, przemierzał je od początku do końca, paląc papierosy na wibrujących pomostach. Ale teraz znajdował się w środkowych Indiach, przemierzając rozległe równiny pociągami, w których ławki okupowały dzieci i bagaże biedaków. Tamchu żałował, że nie może wyskoczyć i przebiec się wzdłuż wagonów, by wyładować niepokój. Zawsze myślał, że jest biedny. Ale po spędzeniu dni wśród tych pozbawionych środków do życia, obdartych nędzarzy, poczuł się szczęściarzem, jeśli nie bogaczem. Jego sąsiad, stary mężczyzna z kilkoma zębami, spoglądał nań z takim rozdrażnieniem, że aż czuł dreszcze. Popołudniowe słońce wdzierało się przez okno oślepiając Tamchu i złocąc samotne, zakurzone drzewa widoczne w oddali.

Miał tylko raz wieści od Illian, odkąd wysłał ją do kliniki w Monachium. Jego ciotka, agentka biura podróży, otrzymała od międzynarodowej organizacji charytatywnej zwrot większości kosztów przelotu, ale i tak przez długi czas Tamchu nie mógł sobie pozwolić, by dołączyć do Illian, nie miał dość pieniędzy, szczególnie nie miał ich na bilet lotniczy. Ceny lotów były nieludzko wysokie, zwłaszcza odkąd latano tylko w dziennym świetle i przy bardzo dobrej pogodzie. Nie można było przewidzieć, kiedy Cisza uszkodzi instrumenty - i być może silniki - więc w większości samoloty były małe, konstruowane z ultralekkich materiałów, pokryte tworzywem, które absorbowało energię słoneczną, by jak najbardziej wydłużyć zdolność do lotu w warunkach krytycznych, gdyby zdarzyła się spowodowana impulsem awaria.

Tamchu widział współczesne, nowe zeppelin-y w ich majestatycznym locie przez niebiosa, ale wejście na pokład sterowca wymagałoby bezsztormowej pogody oraz posiadania więcej pieniędzy niż na lot odrzutowcem. Większość linii lotniczych wypadła z interesu, ogłaszając upadłość i dając do zrozumienia, że gdzieś istnieją ukryte informacje na temat natury zakłóceń radiowych, które mogłyby umożliwić przewoźnikom lotniczym bezpieczne działania na rynku. Jeszcze jedna teoria spisku.

Sąsiad Tamchu odwrócił się i wygrzebał z torby schowanej pod siedziskiem owiniętą w folię paczkę. Zapewne ryż. Tamchu ślina napłynęła do ust. Stary mężczyzna przysunął sobie paczkę, oderwał pasek, by zacząć proces podgrzewania. Folia była żółta, gdy zmieni

kolor, ryż będzie gotów.

Chłopak starał się zaoszczędzić, ile tylko mógł. Wstał, przecisnął się między ławkami, narażając się na hinduskie przekleństwa, i stanął na owianej gorącym wiatrem platformie. Zapalił papierosa, by oszukać głód.

Hamulce zapiszczały i Tamchu chwycił się poręczy drzwi, aby nie upaść. Przez stukot kół pociągu usłyszał wystrzały. Wbrew wszelkim mądrym radom Tamchu wystawił głowę na zewnątrz. Drzwi rozsunęły się i platformę wypełnili wrzeszczący ludzie. Chociaż Tamchu miał kartę tłumaczącą, zawierającą słowniki dla trzydziestu siedmiu języków, urządzenie, które wcisnęła mu życzliwa ciotka, to jednak nie potrzebował translacji, by zrozumieć panikę podróżnych.

Miał jednak szczęście. W tej części świata, nękaną plagą bandytów, rząd nie był dość silny, by chronić obywateli. W wielu przypadkach rządowi strażnicy woleli pracować w porozumieniu z rozbójnikami. Wyjrzał ponownie i z pewnym rozbawieniem skonstatował, że napastnicy jadą na koniach. Jakaś kobieta z rozwianymi ciemnymi włosami przejechała obok na złocistym wierzchowcu. Miała na sobie niebieskie jeansy i coś w rodzaju czerwonej chusty owiniętej wokół piersi. Najwyraźniej spojrzenie Tamchu przyciągnęło jej uwagę, bo zawróciła i oderwała się od bandy, zmierzającej na tyły, do wagonów pierwszej klasy. Zatrzymała wierzchowca przed nim i krzyknęła coś w języku, którego Tamchu nie znał.

Wzruszył ramionami, kiedy powtórzyła.

- Jestem Tybetańczykiem - odpowiedział w hindi i był raczej zaskoczony, że kobieta zrozumiała.

- Chodź z nami i zmień świat! - zawołała. Kaleczyła hindi, ale głos miała silny i pewny.

- Jestem buddystą - odrzekł, mając nadzieję, że pojęła, co to znaczy.

Pojęła. Splunęła, aż jej wierzchowiec szarpnął się niespokojnie. Mocno targnęła wodze.

- Masz tylko jedno życie, bracie. Użyj go, by wprowadzać zmiany. Budujemy miasto, skąd będziemy walczyć z naukowcami, którzy doprowadzili świat do ruiny.

- Szukam siostry. Jest w Niemczech - odpowiedział Tamchu, myśląc przy tym, jak daremna jest dyskusja z nieznaną.

- Zabierz ją ze sobą - doradziła kobieta i odjechała galopem. Pasażerowie spoglądali teraz na niego podejrzliwie. Tamchu mógł tylko ich zlekceważyć. Przecisnął się z powrotem na miejsce. Jego sąsiad, najwyraźniej zupełnie nieporuszony, właśnie otworzył paczkę z gotowanym ryżem. Buchnęła para, przynosząc mocny aromat curry. Dopiero teraz Tamchu

zorientował się, że była to paczka z rodzynekami. W ustach wezbrała mu ślina.

Ku jego zaskoczeniu towarzysz podróży uśmiechnął się i poczęstował go. Chłopak złożył dłonie, skłonił się lekko, mówiąc: „Namaste”. Zanurzył palce w paczce, wziął jedzenie w palce i ugniół w kulkę, a potem wsunął do ust.

- Dobrze - pochwalił.

Bandyci przegalopowali obok, gwizdząc. Odrapana ciężarówka podążyła w ich ślady, a na jej otwartej pace podskakiwały przy pokonywaniu wybojów zrzucone na stos łupy. Pociąg ruszył ociężale. Banda znikła w oddali. Stary mężczyzna wyciągnął karty do gry, uśmiechnął się i zaczął zdradzać ochotę na papierosy Tamchu.

*

Budynek naprzeciw dworca w Monachium miał wieżę z zegarem. Wyglądał na bardzo stary. Na obrzeżach lśniących szkłem wysokościowców monotonnie migotała luna zachodzącego słońca, ale stare miasto wydawało się nienaruszone, chociaż Tamchu nie mógł wiedzieć, że jest to współczesna fantazyjna konstrukcja, jakich wiele w miastach Zachodu, o których słyszał. Przypominały architekturę starych budowli w Katmandu. Disney przeniósł starożytną świątynię hinduską, zaczynając od usunięcia świątych małp, które zanieczyszczały miejsce odchodami i odpadkami. Teraz po świątyni włóczyły się dziwne, małpopodobne stworzenia i nikt nie wiedział, czy są to roboty, czy sztucznie stworzone istoty organiczne, którym wszczepiono kilka rutynowych reakcji. Głębokie, żałobne zawrodożenia rogów i śpiewy zostały zaprogramowane na określone godziny, więc mnichów przesiedlono do kwatery mieszkalnych.

Tamchu zatem przyglądał się osobiwej uliczce z odrobiną nieufności. Zmiotł śnieg z ławki i usiadł, rozglądając się z rękoma w kieszeniach. Było bardzo zimno. W końcu dotarł do Monachium. Był nieludzko zmęczony.

Zegar wskazał, że nadeszła dopiero trzecia po południu. Wokół znajdowało się wiele kawiarni. Miał ochotę na filiżankę gorącej kawy lub herbaty. Poprzednią noc spędził w trzeciej klasie wraz z turecką rodziną. Usiłował się przespać, ale ich małe dziecko płakało całą noc. Żołądek Tamchu skręcał się z głodu. Bolała go głowa.

Ale Illian nie była daleko. Wyjął mapę, którą wydrukowała mu ciotka i sprawdził, gdzie się znajduje. Ten etap dobrze sobie zaplanował. Klinika była oddalona o milę. Trzeba przejść przez tę wielką promenadę i skręcić w prawo pięć przecznic dalej. Myśl o spotkaniu z Illian sprawiała, że Tamchu czuł radość pomieszaną ze strachem. Radość, że może ją zobaczyć. Strach, że dowie się o jej śmierci.

Podniósł bagaż i ruszył szybkim krokiem, mijając szklane niewielkie budki, gdzie

stłoczeni mężczyźni popijali piwo. Zdawało się, że jest na to za zimno. Zaczął biec. Od Illian dzieliły go minuty. Nie ośmielił się nawet wspominać jej twarzy, kiedy odjeżdżała, tak wychudzonej, o rysach wyostrzonych chorobą.

Minał trzecią przecznicę. Budynki tutaj wyglądały na starsze, biedniejsze. Serce mu zamarło. Spodziewał się nowoczesnej kliniki, białej i lśniącej chromem, pełnej urządzeń, które pomogą uzdrowić najdroższą mu przyjaciółkę. Tymczasem uliczka była wąska, a stłumione popołudniowe światło ledwie muskało dachy. Może to pomyłka. Albo przecznicę lub dwie dalej wszystko ulegnie zmianie. Tamchu nic nie wiedział o miastach. Nigdy nie był wcześniej w żadnym, szczególnie tak wielkim.

Zatrzymał się przed 44-27. To były zwykłe, drewniane drzwi. Jeszcze raz sprawdził adres.

Doktor Lenoir wysłał na lotnisko ambulans, aby zabrać Illian. Tamchu wiedział, że to prawda, bo jego ciotka potwierdziła to na podstawie własnych źródeł informacji. Illian została zabrana gdzieś - i przez kogoś.

Wszedł na betonowe schody i zapukał.

W centralnej części drzwi znajdowała się gładka płyta ze świecącym rysunkiem dłoni. Chociaż Tamchu nigdy przedtem nie widział czegoś takiego, rozpoznał typ urządzenia pozwalającego na wejście tylko upoważnionym osobom. Coś podobnego znajdowało się, na przykład, w hotelu Katmandu Hilton - gdzie pracował stryjeczny brat Tamchu. Poczł się trochę pewniej. To w końcu świadczyło o nowoczesności. Uniósł dłoń i przyłożył do świecącej ikony. Jak się wydawało, właśnie tego oczekiwano. A jednak był zaskoczony, gdy na ekranie poniżej pojawiło się jego imię, choć domyślał się, że urządzenie w jakiś sposób uzyskało informacje z paszportu.

Drżąc, czekał minutę lub dwie, ale nic się nie stało. Uderzył w drzwi pięścią. Potem zaczął kopać, krzyżeć, aż wreszcie zmęczony zamilkł. Zaczeka.

Zszedł ze schodów i z nagiego krzaka tuż przy wejściu odciął długą prostą gałąź. Cofnął się wzdłuż oblodzonych cegieł, z kieszeni wyjął pół tabliczki czekolady i zaczął jeść. Niebo pociemniało. Tamchu nie miał pewności, jak długo czeka. Zapewne powinien znaleźć nocleg i wrócić tu rano. Może powinien też zadzwonić na policję, choć wiedział, że policji to raczej nie obejdzie. Wyciągnął kartę translacyjną, wpisał do niej kilka zdań, dodał do nich numer.

Drzwi w tym momencie otworzyły się i jakiś mężczyzna w płaszczu szybkim krokiem przemierzył schody nie patrząc ani w prawo, ani w lewo. Jak Tamchu miał nadzieję, wejście zamykało się powoli, wsunął więc szybko kij między framugę i skrzydło, by je zatrzymać; w

kilka sekund pokonał schody i znalazł się wewnątrz.

Tutaj wszystko wyglądało lepiej, kontrastowało z tym, co na zewnątrz. Sterylna biel, ściany lśniąco rozproszonym, łagodnym światłem.

Recepcja była pusta; Tamchu rozejrzał się. Niski biały kontuar, biurowe krzesło, komputer i kilka miejsc dla oczekujących, rozstawionych wokół szarego dywanika. Komputer wyprzedzał o wiele generacji te, których używał w Katmandu. Żałował, że nie ma czasu, by przyjrzeć się bliżej. Wydawało się, że to jeden z tych komputerów bazujących na DNA, jakich reklamę widział w anglojęzycznym wydaniu niemieckiej gazety znalezionej w pociągu. Ale uwagę Tamchu zwróciły znajome dźwięki. Głosy dzieci!

Ruszył korytarzem, kierując się strzałkami umieszczonymi tak nisko, że tylko dla dzieci mogły być ułatwieniem - kolejny szczęśliwy traf. Na pewno Illian ma w takim miejscu znakomitą opiekę medyczną. Zajrzał za róg i zamarł.

W zaciemnionym pokoju za szklaną szybą naliczył siedmioro dzieci. Wszystkie leżały w łózkach, podłączone do różnych urządzeń. To było dziwne. Wszystkie śpią w tym samym czasie? A może są pogrążone w podobnej do śmierci śpiączce? Wzdłuż ścian małe ekrany pokazywały dane, których Tamchu nie rozumiał. W przeszklonej szafce odwróconej w stronę korytarza, dostrzegł rzędy fiolek z krwią i innymi płynami. Oczywiście, są przecież potrzebne do badań. Dlaczego zatem tak go niepokoją? Wtedy dostrzegł cienki skrawek srebrzystej, bladej substancji podobnej do mięsa, zanurzony w plastikowym naczyniu. **MÓZG, ODDZIAŁ NR 437. WYŚLAĆ DO CENTR. LAB.** - głosił odręczny napis na etykietce. Tamchu zacisnął usta. Z całą pewnością ta próbka nie może być ludzka...

Na ścianie wisiała mapa świata z mnóstwem świecących na niebiesko punkcików wielkości pinasek. Kiedy się przyglądał, zapłonęły jeszcze dwa światełka - jedno w Ameryce Północnej, drugie w Australii. Zauważył to wszystko w jednej chwili, a wtedy, z lękiem, przyjrzał się twarzom dzieci. Nie było wśród nich Illian. Opuścił pokój i ruszył za dobiegającymi z oddali dziecięcymi głosami.

Na końcu korytarza znajdowała się duża sala, a w niej znacznie więcej dzieci. Serce zabiło mu mocniej, gdy stanął przed szybą, najwyraźniej weneckim lustrem, ponieważ nikt nie zwrócił uwagi na jego obecność. Obserwował.

Jak w poprzednim pokoju, dzieci wyglądały na mniej więcej w tym samym wieku. Żadnych maluchów ani nastolatków. Może choroba dotyczyła tylko takich dzieci. Może ujawniała się dopiero w określonym wieku. I być może wszyscy ci mali pacjenci umrą, zanim zdążą się zestarzeć.

Dzieci były zaangażowane w ćwiczenia, które zaintrygowały Tamchu. Jakaś

dziewczynka tworzyła konstrukcję z - jak się zdawało - holograficznych klocków. Cofnęła się, potem weszła między dwie holograficzne wieże, dodała coś i konstrukcje się zmieniły. Dziewczynka była bardzo skupiona. Inne dziecko tańczyło w rytm muzyki, której Tamchu nie słyszał. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie oczy chłopca, szkliste i jakby szalone, lśniące jak w gorączce. Nagle zabrzmiało głośno radio. Dzieci zamarły, porzucając zabawę. Dziewczynka krzyknęła wysokim, choć raczej słabym głosem. Bardziej jak pisk. Inna dziewczynka strącała rzeczy z półek i rozrzucała je na podłodze. Twarz chłopca poczerwieniała i zmarszczyła się, gdy zaczął płakać. Tamchu zastanowił się, czy rozgorączkowany dzieciak nie powinien odpocząć. Ta głośna muzyka była idiotyczna. Nagle uświadomił sobie, jak przyjemnie jest w Katmandu, gdzie nie ma tego stałego szumu - jedyne stacje radiowo-telewizyjne nadawały sporadycznie. Nie z powodu Cisy, choć Ciza miała znaczenie i wzmogła zjawisko, lecz z powodu niewielkiej liczby osób, które posiadały odbiorniki radiowe lub telewizyjne, a także z powodu niewielkiej ilości sprzedawanych reklam. Poza tym, stacje nadawcze, które próbowały objąć zasięgiem Nepal, przepełnione były chińską propagandą i wiadomościami, o których każdy wiedział, że to kłamstwo, oraz głupkowatymi operami mydlanymi o nieprawdopodobnie bogatych Chińczykach, rzecz jasna w języku oryginalnym i z napisami.

Illian tu nie było. Ale gdzie pielęgniarki, gdzie podzieli się lekarze? Wtedy uświadomił sobie, że klinika jest monitorowana, pod sufitem zauważył ruchome kamery.

Jakby w odpowiedzi na pytanie Tamchu w kwestii dorosłych, ciężka ręka spoczęła mu na ramieniu i został obrócony, by stanąć twarzą w twarz z jakimś mężczyzną o drobnej, okrągłej twarzy, ubranym w biały fartuch.

- Kim jesteś? - zapytał po angielsku z lekkim, hinduskim akcentem. - Co tu robisz? Jak wszedłeś?

Tamchu strząsnął dłoń z rosnącą złością.

- Mam na imię Tamchu. Dwa miesiące temu przysłałem tu Illian. Doktor Lenoir odebrał ją z lotniska. Dokąd ją zabrano? Tutaj jej nie znalazłem.

Usta mężczyzny zacisnęły się na chwilę, potem jednak się rozluźnił. Zerknął nerwowo na dzieci, wziął chłopaka pod ramię.

- Chodź - rozkazał. Odprowadził młodzieńca do recepcji.

- Usiądź, proszę - powiedział.

- Gdzie ona jest? - dopytywał się Tybetańczyk. Właśnie w tym momencie młoda kobieta z długim blond warkoczem weszła do poczekalni, niosąc kanapkę i kubek kawy. Zamarła na widok Tamchu i lekarza. Ten drugi spojrział na nią surowo.

- Gdzie byłaś? - zażądał wyjaśnień - Gdzie jest Hans?

- Hans się rozchorował, doktorze Lenoir - odpowiedziała obronnym tonem. - Wezwał zastępstwo. Peter powinien już tu być...

- W jaki sposób ten... - zaczął Lenoir, ale nagle zrezygnował z ostrego tonu. Zwrócił się do Tamchu. - Przepraszam najmocniej - skłonił głowę.

Kobieta uznała to za pozwolenie do odejścia, usiadła przy komputerze i zaczęła coś robić na sferycznym panelu kontrolnym, lekko marszcząc czoło.

Tamchu żałował, że przysłał tu Illian. Jak miała sobie tu poradzić dziewczyna, młoda i bezbronna? Lenoir uniósł głowę.

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale Illian nie żyje.

Tamchu poczuł w piersi lód. A wraz z wewnętrznym chłodem, niczym na dziecko, które przytula matka w chwili stresu, spłynął nań spokój. Spojrzał prosto w oczy Lenoira, mężczyzna odchrząknął.

Tylko dlatego, że był opanowany, uświadomił sobie, że kobieta pracująca przy komputerze, znieruchomiła teraz i wbija wzrok w tył głowy lekarza z wyrazem osobliwego zdumienia i odrazy, malującymi się na twarzy.

Pomyślał: „To nieprawda”. Ale co miało znaczyć to kłamstwo, które usiłował mu wcisnąć ten mężczyzna? Nagle stał się bardzo czujny. To miejsce niepokoiło go, nie tylko ze względu na Illian, lecz także z powodu napotkanych tu dzieci.

- Kiedy zmarła? - spytał łagodnie, starając się, aby w jego głosie nie zabrzmiał nawet cień podejrzenia.

Lekarz usiadł na krześle przed Tamchu.

- Dwa tygodnie temu - oznajmił po krótkiej pauzie. - To stało się tak nagle. Czują się coraz lepiej i nagle... - wzruszył ramionami.

- Oczywiście, wysłaliśmy powiadomienie. Przypuszczam, że wyjechał pan, zanim doszło.

Dobre zagranie, pomyślał Tamchu. Dotarcie tutaj zajęło mu trzy tygodnie.

- Gdzie została pochowana?

- Skremowano ją. - odpowiedział szybko Lenoir.

- Bez mojej zgody - Tamchu podniósł głos, choć wołał kremację od pogrzebu.

- Podpisał pan upoważnienie - zauważył lekarz, w jego spojrzeniu był spokój, jakby rozmawiali o czymś błahym.

Młodzieniec potrząsnął głową i odezwał się głośnie.

- Niczego nie podpisywałem.

- Pozwoli pan, że pokażę. - Lenoir obrócił się i rozkazał: - Karen, znajdź, proszę, dokumenty tej dziewczynki, Illian...?

- Nie miała nazwiska - stwierdził Tamchu. Nie było to niczym niezwykłym w Katmandu i nawet nie pomyślał, aby nadać jej jakieś nazwisko.

Karen otworzyła szufladę z aktami i po chwili szukania wyjęła dokumenty. Wyszła z biurka i podała je lekarzowi. Mężczyzna przekartkował papiery i jeden z nich podsunął Tamchu, wskazując podpis.

- To po niemiecku - sprzeciwił się chłopak.

- Skoro pan nie rozumiał, powinien pan nie podpisywać - odciął się Lenoir. - Mogę, oczywiście, załatwić, by dostarczono panu jej prochy - dodał.

- Czy mogę się jeszcze rozejrzeć? - zapytał Tamchu. - Czy jest tu ktoś, kto opiekował się Illian? - w oczach pojawiły mu się autentyczne łzy. - Rozumie pan, to dla mnie bardzo trudne. Przyjechałem z daleka. Miałem nadzieję... - miał prawie pewność, że Illian była gdzieś tutaj. Lekarz kłamał. O ile w ogóle był to lekarz. Może i jest lekarzem - pomyślał Tamchu - ale na pewno nie takim, który opiekuje się pacjentami.

- Przykro mi - odparł Lenoir. Zamknął teczkę z dokumentami i oddał ją czekającej obok sekretarce. Nie spojrzał na nią. Tamchu podchwycił zaniepokojone spojrzenie kobiety. Potrząsnęła głową, raz, gdy ich oczy się spotkały. Poruszyła ustami, jakby coś mówiąc. Czekaj? Oczyma wskazała drzwi. Potem wróciła na miejsce, zanim lekarz zdążył na nią spojrzeć. Usiadła przy komputerze, odkładając akta do stojaka na dokumenty, i zabrała się do pracy.

Lenoir podniósł się i chwyciwszy Tamchu za ramię, zmusił do powstania.

- Mamy tu wiele dzieci i ciężko pracujemy, by znaleźć dla nich lekarstwo. Żałuję, że nie zdążyliśmy na czas z pana - z...

- Illian - dokończył za niego Tamchu. - Nie macie żadnych udogodnień dla rodziców odwiedzających dzieci? - zapytał jeszcze. - Może mógłbym zostać i pomóc. Jako ochotnik.

- Dziękuję, ale obawiam się, że to niemożliwe - odpowiedział lekarz.

- Może jako ktoś, kto... zmienia baseny, albo coś... - nalegał Tamchu. - Chcę tylko pomóc, ulżyć w cierpieniu. Illian była bardzo chora. Czasami trzeba...

- Odprowadzę pana do drzwi - przerwał mu Lenoir. - Praca tutaj tylko pogłębi smutek, proszę mi wierzyć.

Tamchu zmagał się z pomysłem, by podbiec do koszyka i wyrwać dokumenty, ale w tym momencie do poczekalni wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Nie ulegało wątpliwości, że jest to ochroniarz, miał kaburę i broń.

- Peter - odezwał się doktor. - Cieszę się, że jesteś. Proszę, odprowadź pana... Ach, naszego gościa do wyjścia...

W jednej chwili Tamchu znalazł się na schodach. Było ciemno. Odetchnął krótko, a potem, czując, że jest obserwowany, ruszył przed siebie ulicą. Skręcił za róg, odczekał trochę, a potem prześlizgnął się z powrotem i przyczał się przy wejściu do sąsiadującego z kliniką budynku. Było bardzo zimno, zaczął drżeć. Żałował, że zjadł resztę czekolady. Zastanawiał się, jak długo przyjdzie mu czekać? Nieważne. Poczeka całą noc, jeżeli będzie trzeba. A potem pójdzie na policję i do konsulatu. Żeby choć trochę się rozgrzać, przestępował z nogi na nogę.

Czuł się już trochę otępiały, gdy zauważył, że ktoś go mija. Kobieta! Długi jasny warkocz załśnił w świetle lamp. Chwycił ją za ramię, wstrząsnęła się przestraszona.

- Przepraszam - szepnął. - To ja.

- Nie tutaj - odparła. - Chodź. Szybko. Obejrzała się za siebie, gdy usłyszała krzyk.

- Zauważyli, że znikły dokumenty. Nienawidzę ich - wcisnęła mu teczkę do rąk - Uciekajmy.

Zerwała się do biegu i Tamchu ruszył za nią. Za sobą usłyszał tupot. Potem strzał. Kobieta upadła. Zatrzymał się.

- Uciekaj - krzyknęła. - Ciebie też zabiją. Musisz coś z tym zrobić...

Też? Pochylił się, by ją podnieść. Peter przebiegł przez ulicę. Jedno z okien otworzyło się i ktoś wykrzyknął jakieś słowa po niemiecku. Tamchu usłyszał w oddali dźwięk policyjnej syreny. Peter zniknął. Zrobiło się zamieszanie. Zanim przyjechał ambulans, kobieta już nie żyła.

Tamchu siedział na posterunku policji, pijąc wystygłą kawę. Opowiedział wszystko detektywom używając translatora, ale w ich oczach nadal czaiła się podejrzliwość. Opuścił kwestie dokumentów, które wsunął do kieszeni. Zażądał kontaktu z nepalskim konsulatem. Mężczyzna, który się pojawił, obejrzał paszport i zbeształ Tamchu:

- Jesteś tybetańskim uchodźcą. Przez to zamieszanie wyrwano mnie z łóżka - rzekł i wyszedł. Później Tamchu został przesłuchany, ale policjanci zapewnili go, że nie jest podejrzany o zabicie dziewczyny.

Detektyw usiadł za biurkiem, zapalił papierosa. Tamchu też chciałby, nie mówiąc już o jedzeniu. Telefon zadzwonił cicho, niskim, chłodnym tonem, i policjant odebrał jakąś informację. W rozmowie po niemiecku padło nazwisko Lenoir, a wtedy mężczyzna zerknął na przesłuchiwanego. Skinął głową, odłożył słuchawkę i wstał.

- Zdaje się, że ukradłeś coś, co należy do kliniki - oznajmił, podchodząc.

Tamchu zerwał się, wybiegł na zewnątrz. Był szary poranek. Skręcił za róg i pognął przed siebie. Nie złapali go. Może wcale za nim nie gonili.

*

Tamchu nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia stanie się uciekinierem wyjętym spod prawa. Najwyraźniej policjanci mu nie uwierzyli. Dlaczego mieliby wierzyć? Albo przeciwnie. Uwierzyli, ale, podobnie jak Lenoir, mieli coś do ukrycia.

Z goryczą wspominał nadzieję, jaką czuł, gdy odprowadzał Illian na samolot. Zdradził ją.

Przespał ponad dobę w obskurnym tanim hoteliku. Zanim zasnął, ukrył dokumenty. Ale nikt po niego nie przyszedł. Obojętnie, ile warte było życie młodej kobiety, na pewno nie dość, by policja przeczesała miasto.

Obudził się, wziął długie, gorące prysznic. Potem ubrał się i wyszedł na ulicę. Środek dnia, tłumy ludzi. Tamchu w pobliskiej piekarni kupił chleb i ser oraz gorącą kawę, a potem szybko wrócił do swojego pokoju. Zjadł posiłek i wyciągnął dokumenty. Wyglądził je, przekartkował.

Znalazł wśród nich schemat z kolorowymi, cienkimi liniami - czerwoną, niebieską, zieloną i żółtą - przecinającą pozostałe. Numer 768. Sierota. Waga, wiek, oznaki życia. Podpięty załącznik o właściwościach wrażliwości magnetycznej mózgow ryb, ptaków i ssaków, pogniecione, jakby te kartki wcisnięto do teczki później. Był tam również formularz, który podpisał tak chętnie, byle zapewnić Illian pomoc. To było wszystko. Zapewne większość informacji trzymano w bazie danych. Łzy napłynęły do oczu Tamchu. Taka delikatna, jeszcze dziecko. Illian. Kochał ją. Dokumenty ześlizgnęły się na podłogę.

Musiał się pomylić, wierząc, że Illian żyje. To było tylko pobożne życzenie, na podstawie którego uznał tak łatwo, że Lenoir go okłamał. Gdyby żyła, czy lekarz nie chciałby się podzielić tą radosną nowiną - choćby po to, by uspokoić Tamchu?

Ale dlaczego tamta kobieta przyszła do niego? Zwłaszcza, że to było tak niebezpieczne? Może nie zdawała sobie sprawy z ryzyka. Albo Illian nie żyła, ale kobieta wierzyła, że może jakoś pomóc innym dzieciom z kliniki. Prawdopodobnie przekazując dokumentację odpowiednim władzom.

Tamchu obecnie skłonny był raczej trzymać się z dala od wszelkich władz.

Po chwili usiadł i ponownie przejrzał papiery. Kolorowe linie wyglądały jak informacje genetyczne. Coś podobnego widział kiedyś w gazecie.

Dlaczego wszystkie te tajemnice wiązały się z dziewczynką, która miała nowego, rzadkiego wirusa? Dlaczego ukrywano dzieci? Zakażenie? Nonsens. Bo jeżeli to prawda,

dorośli muszą się jakoś zabezpieczyć. Gdyby to była prawda, być może Tamchu i jego krewni zarazili się już tym strasznym wirusem. O ile to w ogóle wirus. Ale co, jeśli nie wirus?

Czuł, że dokumenty skrywają klucz do czegoś ważnego. Ale w Monachium nie było nikogo, kto mógłby pomóc. Tamchu był przecież uciekinierem.

Postanowił ponownie włamać się do kliniki. To była jedyna droga, by uzyskać więcej informacji. Za pierwszym razem nie było to trudne. Może nawet uda się wymyślić jakiś plan uwolnienia stamtąd dzieci.

W klubie, który przypominał Tamchu internetowo-haszyszową kafejkę kuzyna, poznał mężczyznę, który sfalszował mu paszport. Nie chciał zapłaty. Powiedział, że robi to, aby uwolnić świat od tyranii. Na dodatek dał Tamchu pracę w lokalu przy ważeniu haszyszu i zmywaniu naczyń. Mając własne pieniądze, chłopak wynajął pokój w budynku naprzeciw kliniki.

Nie został tam jednak długo. Po kilku dniach przekonał się bowiem, że szpital opustoszał. Nikt tam nie wchodził, ani nie wychodził. Ulotnili się.

Tamchu nieźle poznał Monachium, kiedy prowadził poszukiwania w każdym szpitalu, sierocińcu, w szkołach, ośrodkach adopcyjnych, schroniskach dla młodocianych uciekinierów i poprawczakach. Coraz lepiej mówił po niemiecku. Nosił przy sobie fotografię Illian. Za każdym razem, gdy na nią spoglądał, czuł ciężar smutku i rozpacz.

Mijały miesiące. Dużo czasu spędzał w klubie. Czuł się tu bezpiecznie. Ludzie tutaj byli pełni gniewu, jak Tamchu. Tak wiele złego działo się na świecie. Zbyt szybko postępowały zmiany. Złe rządy i jeszcze gorsi naukowcy ukrywali coś przed opinią publiczną - coś, co wiązało się z impulsami. Coś dotyczącego nanotechnologii. A przede wszystkim ludzie narzekali na powrót do wartości z czasów Rewolucji Przemysłowej, gdy bogactwo inwestowano w fabryki i wyzyskiwano biednych; gdy nędzarzy zsyłano do kopalń, by wydobywali surowce dla zakładów produkcyjnych i umierali masowo na pylicę. Tylko nieliczni posiadali patenty, równie nieliczni trzymali władzę nad wytwarzaniem dóbr i usług; i ci nieliczni nie dbali o to, by spożytkować te bogactwa dla dobra reszty świata. Większość pieniędzy inwestowano w badania nanotechnologiczne. Udziałowcy zgarniali tylko zyski.

Tamchu dowiedział się o tym wszystkim od paru znajomych, których zaufanie zdobył, obracających się w kręgach szpiegowskich. Jeden z tych młodych mężczyzn rzucił studia medyczne. Tamchu pokazał mu dokumenty po niemiecku dotyczące Illian. Co prawda zeskanował je i przetłumaczył na konwersacyjny angielski, ale nadal było w nich wiele terminów, których nie był w stanie zrozumieć.

- Dziwne - powiedział młody człowiek. Ruchomy tatuaż, dodatkowa warstwa skóry

zdolna do przesyłania obrazków, kreślił malutkie kwadraty na policzkach mężczyzny, gdy ten mówił. - Ta dziewczynka, Illian, miała zmutowane DNA, jakie spotyka się na całym świecie od niedawna. Wszystkie dzieci z tą mutacją są w tym samym wieku. Dokładnie w tym samym. Teoria mówi, że wszystkie te dzieci zostały poczęte w tym samym czasie - uniósł brwi. - Najwyraźniej potrzebują one nienormalnie wysokich ilości magnezu w diecie, aby uniknąć nieprzyjemnych dolegliwości, a może nawet śmierci - oddał arkusze Tamchu. - Bez wątplenia jakaś nielegalna operacja rządowa, która wywołała tę mutację, he? A teraz próbują znaleźć wszystkie te dzieci i pozbyć się dowodów. Albo wykorzystać małych mutantów do swoich dziwnych celów. Kto wie?

- Który rząd? - zdziwił się Tamchu. - O ile wiem, Illian urodziła się w Afganistanie.

Inny mężczyzna wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia. Wszystkie rządy są ze sobą powiązane przez nielegalne przedsięwzięcia. To złudzenie od wieków utrwalane wśród zwykłych ludzi, że istnieją różne, niezależne rządy, i tyle.

Tamchu taka odpowiedź nie wydawała się satysfakcjonująca, ale wszyscy woleli rozmawiać o rządach, nie o DNA, schował więc dokumenty.

Pewnego dnia w klubie zapanowało wielkie podniecenie. Jedna z kobiet przyniosła małą fiolkę. Chciała zademonstrować moc drzemiacą w płynie, znajdującym się wewnątrz naczynia, jakiejś zawiesziny, składającej się z cząsteczkowych manipulatorów, które rozmontują, jak zapewniła, sieć telefoniczną, czyli dwa aparaty, baterię i kabel. Kobieta wyjęła światłowody z izolacji i wylała na nie trochę płynu. Przewody zaśniły intensywną zielenią. Telefony zamarły.

- No, i co? - zapytał któryś z mężczyzn. - Skróciłaś je.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nic takiego - odpowiedziała. - Ta substancja pożera szkło. Niszczy włókna szklane światłowodów.

- Też mi wielka sprawa - odezwał się ktoś. - Wkrótce znajdą na to sposób.

- Ale jaka będzie zabawa, zanim to zrobią - zaripostowała kobieta.

Od tej pory gniew Tamchu był jeszcze większy. Światłowody przywodziły mu na myśl ratunek dla Illian. W końcu zaakceptował, że dziewczynka prawdopodobnie nie żyje. Zginęła z rąk Lenoira, który uczestniczył w rządowym spisku.

Tej nocy Tamchu przyłączył się do grupy, która na jedną noc unieruchomiła telefony w Monachium.

Następnego dnia kierował się na wschód. Ukrywał się w przegródce między skrzyniami. Ciężarówka przewoziła okrutnie cuchnące świnie. Tamchu nie wychodził stamtąd, dopóki nie znalazł się w Turcji. Stamtąd nadal podążał na wschód. Miał przy sobie dokumenty, jednak rzadko do nich zaglądał. Raz pomyślał o krzywdzie, jaką mógł wyrządzić niewinnym ludziom, wyłączając telefony. On sam nie miał żadnej możliwości, by połączyć się i pomóc Illian, a teraz tę możliwość odebrał innym. Przyjaciele z klubu, jak sobie uświadomił, całkowicie zmienili mu światopogląd. To, co uczynił, było złe. Ale przynajmniej uznał, że trzeba więcej uwagi poświęcać temu, co złego dzieje się dookoła.

Nadal...

Gdy wędrował przez Indie, nie napotkał już bandytów na koniach. Poczul się nieco rozczarowany. Pieniądze, jakie miał, rozeszły się w Bangkoku i Tamchu musiał znaleźć pracę. Znalazł zajęcie przy oporządzaniu orzechów kokosowych. Najpierw ściągał je z podajnika transportującego owoce z wypełnionych lodowatą wodą skrzyń, potem ścinał końcówki maczetą, wreszcie przyklejał na nich etykiety. Pracował w pocie czoła dzień i noc, mieszkając w tanim pokoiku z malutkim okienkiem wychodzącym na dom publiczny. Dziewczyny z burdelu były strasznie młode, niemal w wieku Illian. Zawsze starał się być dla nich miły. Często płakały. Były przerażone, wiedział, że niektóre zmarły od chorób lub na skutek brutalnego traktowania. Tamchu zastanawiał się, co mógłby zrobić, aby im pomóc. Jednak obawiał się, że zrobi coś głupiego. I jakkolwiek pomysł wpadał mu do głowy, natychmiast jawił się jako pełen wad i mankamentów.

Później zamasztywym krokiem weszła do burdelu jakaś kobieta ubrana w czarne spodnie i koszulę. Niosła karabin. Ona i jej dwie towarzyszki zabiły właścicielkę i kilku klientów, przy akompaniamencie krzyków dziewcząt. Tamchu zbiegł na dół, by sprawdzić, co się dzieje i napotkał wylot lufy przed oczami. Kilka dziewcząt krzyknęło:

- Nie, nie! To nasz przyjaciel - a wtedy kobieta w czerni powiedziała:

- No, to chodź - i zaciągnęła go do ciężarówki czekającej na ulicy. W czasie krótszym niż pięć minut samochód oddalił się znacznie od burdelu. Dziewczęta pod osłoną zarośli zostały przeprowadzone na długie łodzie, wyciągnięte na brzeg kanału. Kazano im leżeć na dnie i milczeć. Ukryto je pod brezentem, na którym ułożone zostały kosze z owocami i rybami. Jedna z kobiet w turkusowym sari, szerokoskrzydłym kapeluszu i ciemnych okularach, zapaliła cygaro.

- Wsiadaj - rozkazała Tamchu. - No, już.

I Tamchu posłuchał.

Powoli pokonywali kanał. Tamchu był pewien, że gdyby pojawiła się łódź policyjna, z

silników można by wycisnąć znacznie większą prędkość. Spod brezentu dobiegało chlupanie i szlochy.

- Cicho tam! - rozkazała kobieta.

Gdy zapadła noc, byli już poza miastem. Przy świetle latarni minęli wiele zakrętów i choć Tamchu próbował zapamiętać drogę, wkrótce się pogubił. Kobieta w sari nie odzywała się. Dużo paliła. Tamchu miałby ochotę na cygaro, ale nie ośmielił się poprosić. Tylko raz się zatrzymali, aby dziewczęta mogły się załatwić. W końcu, po północy, dotarli do przystani. W blasku półksiężycowej tarczy zamajaczyła mała osada domków na palach.

Kobieta wydobyła dziewczęta z kryjówki i kazała im się wykąpać w rzece. Gdy wyszły z wody, zmarznięte i drżące, pojawiło się kilka mieszkańek osady. Przyniosły ręczniki i podłożyły ogień pod zwiewne ubrania.

- Burdelowe ciuchy - orzekła starsza kobieta. - Niech spłoną. Dziewczęta otrzymały nową odzież i zostały zaprowadzone do osady. Były tam także inne dziewczyny, ale spały w długim dormitorium. Nowym przybyszom dano posiłek złożony z ryżu i ryby gotowanej na parze, a potem położono do łóżek. Dziewczęta były ciche i oszołomione. Wszystkie.

Kobieta w sari zabrała Tamchu do kuchni. Usiedli. Wyciągnęła butelkę, poczęstowała go.

- Nie piję - odmówił.

- To dziwne - odparła spokojnie.

- Jestem buddystą - wyjaśnił.

Zachnęła się.

- Kto nie jest? Wszyscy ci mężczyźni, których dzisiaj zabiłam, to buddyści. Nawet ja jestem buddystką.

- Nie sądzę - odrzekł jej Tamchu.

Jej oczy były podłużne, egzotyczne i ciemne. Brwi były jak skrzydła na gładkiej, bladej twarzy. Lśniące czarne włosy opadały na plecy do wąskich bioder.

- A kim ty jesteś? - zapytał ją.

- Nie musisz wiedzieć, jak się nazywam. Tworzę armię, która ukarze kraj pozwalający na handel kobietami. Te dziewczyny mówiły, że jesteś ich przyjacielem. To prawda?

- Tak - odpowiedział.

Zapaliła dwa cienkie cygara, podała mu jedno.

- Wierzę ci - stwierdziła. - Miałeś szczęście, że to mnie spotkałeś. Opowiedz mi o sobie.

Opowiedział.

Fraza ze wzmocnionym uderzeniem

Jason, na Jarmarku, 2025

Jason nie umiał ukryć podniecenia. Uderzał pięściami w tylne siedzenie, pokrzykując. Nawet jeżeli ma się lat dwanaście, jest się już na to trochę za dużym.

- Siedź spokojnie - upomniął go ojciec zza kierownicy. - Prawie jesteśmy na miejscu.

Jason dostrzegł jednak jego uśmiech w lusterku wstecznym. Też o niczym innym nie myślał, odkąd opuścili szpital.

Jechali przez złocistą równinę, obrysowaną stokami płaskowyżu. Czarne cienie kładły się na nich i chłopiec dostrzegł w oddali rząd karłowatych sosen na niskim zboczu. Niebo było tak błękitne, że wywoływało zachwyt czystością barwy. Właśnie kolory - błękit i złoto - wystarczyły, by Jason czuł euforię. To kolory wprowadzały go w ten stan. Zwłaszcza, odkąd był w szpitalu. Zakochał się w barwach.

Oprócz tego uwielbiał elektronikę, teorię gier, wzory opisujące naprężenia materiałów. To ostatnie sprawiło, że przyjaciele uważali go za dziwaka, ale uznał, że taka reputacja jest bardzo odpowiednia. Od dawna już nie spotkał się ze znajomymi. Tęsknił. Nie wolno mu było jednak do nich dzwonić ani pisać.

Aby się oderwać od wspomnień, wyjął z kieszeni w oparciu fotela kierowcy płaski ekran. Urządzenie miało zawiasy na górze i usztywniającą poprzeczkę na dole, więc Jason mógł zawiesić go na oparciu, żeby się nie kołysał do przodu i do tyłu. Chłopiec pogrzebał jeszcze w podręcznym bagażu leżącym obok niego i po chwili wyciągnął sferyczny panel kontrolny. Palce doskonale dopasowały się do wgłębień; Jason posługiwał się przy sterowaniu kombinacjami szybkich uderzeń, co przypominało grę na instrumentach muzycznych - umiejętność wymagająca czasu, nim stanie się intuicyjna.

GPS był dziś wyłączony. To nie miało znaczenia. Jason zawsze zdawał się wiedzieć, gdzie jest, w jakim kierunku jest zwrócony, nawet w wysokich budynkach, koncepcje mil i wysokości złapał za pierwszym razem i stosował bez problemów. To było nawet wygodne, skoro GPS zazwyczaj nie chciał działać. Zgadywał, że od Jarmarku Nowego Świata dzieli go jakieś pięćdziesiąt mil. Mike prowadził z prędkością mniej więcej stu mil na godzinę. Byli już blisko. Droga wiodła dosłownie znikąd, inaczej byłby tu większy ruch. Zjechali wczoraj nad jeziora położonego na wysokości jedenastu tysięcy stóp i, jak dotąd, na nikogo nie natrafili.

Ostatnio trzymali się razem. Mama nawet pilnowała, by parkować pod drzewami, aby nie wytropiono ich przez satelity.

Plotka głosiła, że na jarmark przybędzie dziesięć tysięcy ludzi. Prawie dwa razy więcej niż w zeszłym roku. Co prawda, impreza cieszyła się niezłą reputacją również wśród tych, od których należało, zdaniem mamy, trzymać się z daleka.

Jason zerknął na profil matki - jej długi, prosty nos, zdecydowaną linię podbródka. Spoglądała przed siebie niemal w napięciu, niecierpliwie czekając, co przyniesie jej najbliższa przyszłość. Poczawszy wzrok syna, odwróciła się i posłała mu uśmiech, jej niebieskie oczy zapłonęły radośnie, a długie jasne włosy splecione w warkocz wymknęły się spod wstążki i kosmyki zatańczyły wokół jej twarzy. Sięgnęła między fotele, uściśniła kolano Jasona, a potem powróciła do obserwacji drogi.

*

Jarmark był taki, jakiego Jason oczekiwał. Światła i dźwięki tworzyły wstęgi energii wiążące się wokół niego. Po wielu błaganiach i niezbyt spokojnej rodzinnej dyskusji, dostał pozwolenie na samodzielne zwiedzanie, pod warunkiem, że będzie się meldował w umówionym miejscu co godzinę. Doskonale wiedział, że jeżeli się nie zastosuje, rodzice będą się martwić i zapewne szukać go po całym jarmarku.

- I po prostu nie oddalaj się z tej okolicy - pouczył go ojciec surowo, rzucając synowi spojrzenie ciemnoniebieskich oczu, które nie skłaniało do dalszych dyskusji.

Na początku Jason nie wędrował w określonym kierunku. Miał przy sobie parę dolarów, ale zdecydował, że nie wyda ich, dopóki wszystkiego nie obejrzy. Trzymał się tylko z daleka od kabin wirtualnej rzeczywistości - dawno temu uznał, że spędzanie w nich czasu jest jak zjedzenie zbyt wielu cukierków. Potem czuł się równie pusty i chory.

Powietrze tutaj, w otoczeniu gór, było czyste i ostre. Chłopiec w oddali dostrzegł orła, szybującego nad zboczem.

Ale czekał na niego Nowy Świat. Skupił uwagę na jarmarku. Najpierw poszedł do Areny Gai. GŁOSY ZIEMI - tak wynikało z tabliczki ze strzałką. Grupa osób zebrała się obok budki informacyjnej. Jason wybrał opis, ale nie doczytał się niczego nowego. Filozofia Gajan znana była od dziesięcioleci. Jasonowi raczej się podobała. Czasami zdawało mu się, że może poczuć tę jedność, o której opowiadała matka, poczuć tętno świata przepływające przez niego, połączyć się ze słońcem w ceremonii na cześć różnych form energii. Skoro jednak ludzkość jest częścią Gai, również ludzkie myśli, idee, szaleństwa, to nienawiść Gajan do człowieczeństwa była nieco niezrozumiała - wszak dotyczyła również ich samych - tak przynajmniej od pewnego czasu zdawało się Jasonowi.

Kiedy grał w Solitera, zastanawiał się, jak jeden układ kart rozdanych przez komputer, z tak małą możliwością rozwiązania, przypomina przypadkowy akt stworzenia życia w jego wielomilionowych formach i nieznanych aspektach. Elementy - talia, liczby - były wszystkie, ale sekwencja tworząca mogła się pojawić tylko w trakcie gry. A przy tym bardzo często zdarzały się pomyłki i pasjans nie wychodził. Czasami, gdy grał, próbował sobie wyobrazić wszechświat, w którym istniała Bogini, w jaką zdawała się wierzyć jego matka. Rzecz jasna, w uniwersum wszystkich możliwości musiała wystąpić procentowo mała możliwość istnienia Bogini. Czemu nie? I dalej, uderzyła go jeszcze świadomość, że następna odkryta karta może oznaczać, że gra skończona. A to z kolei znaczyło dla Jasona - i całej ludzkości - że może to być koniec, a karty zostaną zebrane z ekranu i nastąpi kolejne rozdanie. Nie był pewien, jak dopasować do tego filozofię Gajan. Matka Jasona mawiała, że wśród nich są terroryści, fanatycy, którzy chcą zniszczyć cywilizację.

- Nie są prawdziwymi Gajanami - powtarzała. - Są jak wilki w owczej skórze.

Wśród ruchomego tłumu zauważył rodziców. Spacerowali, trzymając się za ręce i podeszli do Areny Millenijnej. Wkroczyli do ocienionego namiotu, jednego z tych, które wznosi się z włóknistej siatki wypełnionej powietrzem wdmuchiwanym do komór na obwodzie. Kiedy namiot przestaje być potrzebny, wystarczy zrolować siatkę do komory i połączyć specjalną mieszanką chemiczną, aby go zutylizować, jak niepotrzebne śmieci. Jason uważał, że więcej z takim namiotem zachodu, niż jest tego wart. Gdy tak stał przyglądając się konstrukcji, uznał, że bardziej wygodna byłaby produkcja baldachimów, których największą zaletą jest łatwość, z jaką można zaprojektować ich kształt na komputerze. Następnie projekt jest transmitowany do cząsteczek polimerów w komorze produkcyjnej - komputery najnowszej generacji mają wyjście, przez które może przekazywać dowolny kod DNA, jaki pasuje do wybranego projektu. W komorze powstają z genetycznej zupy odpowiednie cząsteczki materiału, jaki jest potrzebny do wykonania określonych przedmiotów. W ten sposób, w ciągu kilku godzin, każdy może zaprojektować i wykonać namiot, jaki mu odpowiada. To się przydaje, jak uważał Jason, kiedy się podróżuje na różne imprezy masowe, gdzie nie wiadomo dokładnie, jak dużą powierzchnię można będzie zagospodarować. Nie miało to, oczywiście, znaczenia tam, gdzie było dużo miejsca, ale z drugiej strony, technologia ta stanowiła przykład łatwych, ergonomicznych rozwiązań.

Jason pomyślał, że też mógłby zwiedzić Arenę Millenijną. Podeszedł do namiotu i ruszył śladem rodziców, przysłuchując się uważnie. Naprzeciw ujrzał model przypominający biały ul, unoszący się na tle holograficznego oceanu. Maleńkie fale marszczyły sztuczną wodę. Matka pochyliła się, aby włączyć pokaz. Kosmyki włosów wymknęły się porwane

przez wiatr i znikły przysłonięte holograficznym obrazem, jakby nagle ucięte.

Chłopiec usłyszał cichy, kobiecy głos, opisujący proces powstawania konstrukcji przedstawionej na modelu.

- Na początku elektrostatyczne, zjonizowane sieci pozyskują i segregują materię uzyskaną z wody morskiej...

- Oto kraj wolny od rządów w starym stylu - powiedziała Cassie, gdy model wyspy rósł i ukazywały się kolejne etapy budowy: ogrody, mieszkania, pola uprawne oraz farmy morskie. Małe ludzkie postaci wchodziły do wagonu publicznej windy.

- Mogliby to zbudować Gajanie - powiedział Mike zagadkowym tonem. Obejmował Cassie ramieniem. Jason stwierdził, że jego rodzice razem wyglądali na znacznie szczęśliwszych niż rodzice jego znajomych.

- Nie śmieję się - zaprotestowała cicho żona. - Nigdy nie wiadomo.

- To na pewno - przyznał trzeźwo Mike.

- Byłeś już przy kolonii pozaziemskiej? - zapytał Jason.

Ojciec zerknął przez ramię i przyciągnął syna bliżej.

- Nie - odrzekł. - Chodźmy zobaczyć.

Pod wieczór, gdy rozbili namiot, a niebiosa powitały ich pierwszymi kroplami deszczu, mieli już za sobą zwiedzanie ponad dziesięciu różnych projektów utopijnych kolonii. Każdą z utopii wspierały jakieś nowe technologie. Gwałtownie spadająca temperatura uaktywniła biomolekularne włókna grzewcze w ubraniu Jasona. Chłopiec zdjął czapkę i rękawiczki. Cała rodzina usiadła na rozkładanych krzesłach i zjadła posiłek z samopodgrzewających się opakowań. Rodzice wyciągnęli butelkę wina. Złota linia wzgórz na horyzoncie bladła w głębokim błękitcie, aż zapadł zmrok i pojawiły się gwiazdy, niczym bąbelki lśniącej piany na firmamencie.

- Czasem wydaje mi się, że to dobrze, że wszystko się zmienia - powiedziała Cassie. Nieświadomie kołysała winem w plastikowym kubku. - Nie przypominam sobie, aby gdziekolwiek nocne niebo było tak czyste, gdy byłam dzieckiem.

- Za nowy lepszy dzień - Mike owinał się ciasniej pledem.

- Przestań! - parsknęła matka.

- Rozpalmy ognisko - zaproponował Jason. - Przyniosę drewno.

- To wbrew przepisom - zaproponowała matka. - Co by było, gdyby każdy tutaj rozpałił sobie ognisko?

Jakaś kobieta przechodząca obok ich namiotu, przystanąła.

- Nie chciałam podsłuchiwać, ale u nas jest ogień - oznajmiła. Jej głos był niski i

ochrypli. Uniosła wyżej trzymaną biolatarnię. Gęste siwe włosy opadały jej na plecy. - Właśnie wracam z występu chóru. Chodźcie, przyłączcie się.

- Nie trzeba... - zaczęła Cassie.

- Dziękujemy - przerwał matce Jason, zrywając się z miejsca. Wiedział, że rodzice pójdą za nim. - Czy chcesz, abym nazbierał drewna? Widziałem sporo gałęzi przy potoku.

- Weźmy lepiej nasze własne - odpowiedziała mu kobieta.

- Z tamtego pickupa. Lubię mieć wieczorem porządne ognisko, jest takie rozgrzewające. Jednak rozbiliśmy się dość daleko, jakieś pół mili stąd.

Cassie wstała, wzięła butelkę wina.

Ruszyli za kobietą wzdłuż stromego zbocza, omijając głązy wielkości domów. Ich pękate latarnie wydobywały tańczące, ostre cienie z pofałdowanego, skalistego podłoża. Nocne powietrze przeciął wybuch śmiechu, zanim skręcili za wyłom skalny w klifie, a potem cichy śpiew dobiegł od strony jednej z rozrzuconych w kanionie grup.

- Ostrożnie tutaj - przestrzegła kobieta. Ścieżka była bardzo wąska.

Siedmioro, może ośmioro ludzi siedziało przy wielkim ognisku, które rozświetlało stożek łukowatej niszy skalnej, wznoszącej się na ponad trzydzieści stóp nad ich głowami. Mroźne powietrze, aromat dymu i drewna, ustronność miejsca - to wszystko sprawiło, że Jason poczuł się tak, jakby cofnął się w czasie o co najmniej sto pięćdziesiąt lat, do świata z powieści Zane Greya, które ostatnio czytał.

Ludzie przy ognisku wydali się chłopcu raczej starzy.

- Hej, Mabel - przywitał kobietę jeden z mężczyzn.

- Przyprowadziłam gości.

- Im więcej, tym weselej.

Usiedli przy ognisku i Mabel dokonała prezentacji. Jak się okazało, grupa przyjechała z Kolorado. Cywilni astronauta. Ludzie, którzy uważali, że rządy nie powinny mieć wyłączności na dostęp do przestrzeni kosmicznej. Od pierwszej Ciszy Międzynarodowa Baza Kosmiczna została objęta opieką i zaopatrzeniem z różnych źródeł, na mocy porozumień między państwami. Pomimo to przestała być bezpieczna. Różne organizacje cywilnych astronautów zaczęły budować własne pojazdy kosmiczne. Jedną z takich rakiet zniszczono sześć lat temu, zginęła wówczas jej konstruktorka razem z mężem. Oboje byli członkami frakcji cywilnych astronautów przez piętnaście lat. Na jakiś czas ten incydent powstrzymał kolejne próby pozarządowych lotów kosmicznych. Odpowiedzialni za zniszczenie pojazdu Koreańczycy twierdzili, że wzięli argentyńską kapsułę za nieprzyjacielski pocisk. Jednak większość bojowników spośród szeregów cywilnych astronautów uważała, że był to

świadomy gest, mający na celu zastraszenie i powstrzymanie ich organizacji.

Jason zdjął czapkę i rękawiczki, rozpiął kurtkę. Czuł się dobrze w pobliżu ognia. Rodzice się uśmiechali. To też go cieszyło. Tak bardzo się martwili, gdy przebywał w szpitalu.

- Jak wam się podoba jarmark? - zapytała Mabel, gdy inni wrócili do wcześniejszych rozmów.

- Myślę, że będziemy zmuszeni niedługo do podjęcia paru decyzji na najbliższą przyszłość. - odpowiedział Mike. - Dobrze mieć informacje, co się dzieje w świecie.

Mabel pokiwała głową. Ogień strzelił wyżej, iskry zawirowały w mroku. Kobieta wyjęła torebkę marihuany i wprawnie skręciła jointa, mówiąc przy tym:

- Prawda jest taka, że nie wszystko można tu zobaczyć. Kuzynka z kolonii na Księżycu wspomniała mi...

- Masz kuzynkę w bazie księżycowej? - wtrącił Jason.

Mabel skinęła głową i zapaliła skręta. Mike i Cassie też się zaciągnęli i puścili dalej w obieg, częstując też wszystkich winem.

- Przebywa tam dość długo. Były plany wyprawy na Marsa, ale teraz raczej nie uda się ich zrealizować.

- Ale mówiono nam...

- Wiem, co się oficjalnie mówi - odparła Mabel. Siedziała naprzeciw z dłońmi wspartymi na kolanach. Jej włosy lśniły srebrzyście w blasku Księżyca. Z pobrużdżonej twarzy biła siła. Jason zastanawiał się, czy jest rodowitą Amerykanką. I czy wierzy, jak matka, w wiry mocy. Jednak już się nauczył, że nieuprzejmie jest wypytywać ludzi. Czasami było to krępujące dla matki, która podkreślała, że wiara jest sprawą bardzo osobistą.

Mabel zaczęła mówić sugestywnym tonem, jak ktoś, kto opowiada baśń. Pochylili się w jej stronę, by lepiej słyszeć. Inni nie poświęcali temu uwagi, Jason domyślił się, że musieli wszystko słyszeć niejednym razem i dobrze znali każde słowo.

- Kolonia księżycowa nie została zamknięta. Rozpuszczono takie pogłoski, ale to nieprawda. Jednak ludzie stamtąd musieli podpisać zobowiązanie o dotrzymaniu tajemnicy. To było jedenaście lat temu, zaraz po pojawieniu się pierwszej Ciszy. Moja kuzynka zajmuje się chemią organiczną. Nie należy do armii. Odmówiła podpisania lojalki. Ale mimo to pozwolono jej zostać. Czasami udawało się jej wysłać wiadomość o tym, co się dzieje. O tym, co naprawdę się stało.

- A co się stało naprawdę? - zapytał Mike. W jego głosie brzmiał szacunek, jaki okazywał w rozmowach tylko niektórym znajomym i przyjaciółom Cassie. Starał się uniknąć

najmniejszego nawet tonu kpiny lub niedowierzania. Jason wiedział, co ojciec myśli o teoriach spiskowych dotyczących natury Ciszy, od tych śmiesznych i absurdalnych, aż po zupełnie poważne. Jednak, co zawsze powtarzał, starał się zachować otwarty umysł w tych sprawach.

- Jedyne model, który pasuje do wszystkich znanych faktów dotyczących Ciszy, wskazuje na działanie jakiejś inteligencji. I to wcale niekoniecznie znajdującej się blisko.

- Ale dlaczego? - zapytała Cassie, a na jej twarzy zagościł wyraz entuzjazmu. Jason wiedział, że uwielbiała takie momenty w dyskusjach.

Mabel wzruszyła ramionami.

- Tego nikt nie umie powiedzieć. W rzeczy samej, to inteligentne źródło może nawet nie wiedzieć, do czego nas doprowadziło albo się tym nie przejmuje. Prawda jest taka, że nie wiemy o obcych.

- Jesteśmy tylko częścią kosmicznego środowiska - rzekła Cassie.

Mabel zerknęła w jej stronę.

- Jak, no wiesz, zagrożone gatunki - kontynuowała matka Jasona. - Takie, o których ludzie nawet nie wiedzą, albo nic ich nie obchodzi.

Mabel zachnęła się.

- Nie mam zamiaru być wymarłym gatunkiem. Nie jestem jakimś mchem lub mikroblem. Jestem inteligentna. Nie pozwolę, aby moje życie lub śmierć zależało od bożego miłosierdzia, albo przeznaczenia, obcych czy chaosu, czy czegokolwiek, nieważne, jak to nazwiesz. Jeżeli istnieje Bóg i ów Bóg powie mi, że mam się zgodzić na wszystko pokornie, to pójdę na wojnę z takim Bogiem. - Pochyliła się bardziej i wyszeptowała: - Odlecimy.

Mike odchylił się na siedzisku i klasnął w dłonie, kiwając głową.

- Och. A jaka jest cena biletu?

- Nie rozumiałeś mnie - zaproponowała Mabel. - Nie agituję, by zebrać pieniądze.

- Większość z tych... organizacji - odezwała się ostrożnie Cassie - chce wszystkiego, co się posiada. Wystarczy się rozejrzeć. Każda z takich grup jest jak sekta religijna. Gorzej niż religia. Jak kult. Trzeba się godzić na wszystko. Oddać majątek, życie, cały swój czas i zaangażowanie. Zamiast oddawania czci Bogini, czci się... odejście.

- Albo zmianę - wpadła jej w słowo Mabel. - Rozumiesz, podniesienie człowieczeństwa do wyższego poziomu, to wszystko. - Zaciągnęła się, gdy dotarł do nich kolejny joint, jaki podawano sobie przy ognisku. - Prawdę mówiąc, nie ma już miejsca dla nowych ochotników. I nie potrzebujemy pieniędzy. Trzeba nam tylko ludzi, którzy powiedzą o nas światu, gdy już odlecimy. Aby odebrali wiadomości, które uda nam się wysłać. Na

pewno jedną będziemy mogli wysłać z kolonii księżycowej, przynajmniej tak to wygląda w tej chwili, i odbierać stamtąd zakodowane komunikaty. Dzięki temu rząd nie będzie się wtrącać ani zakłócać transmisji.

- Dokąd lećcie? - zainteresował się Jason.

Oczy Mabel wypełniła uroczyście powagę. Może nawet zmieszana z obawą. Opuściła powieki, potem raz jeszcze spojrzała na chłopca.

- Do źródła Sygnału - wyznała.

- Jakiego sygnału?

- Tego, który wywołuje Cisze - wyjaśniła.

- A jaka to odległość, według was? - zapytała Cassie.

- Bliżej niż uważa rząd - odrzekła Mabel.

- Ale... - zaczął Mike.

- Jestem kryptografem - oznajmiła starsza kobieta. - Matematykiem, mówiąc dokładniej. Ale są inni, którzy zajmą się różnymi zagadnieniami. Mnie interesują dane, jakie przychodzą podczas Cisz.

Jason pochylił się, serce zabiło mu mocniej.

- Ja zawsze...

- Jakie dane? - przerwał mu ojciec nieuprzejmie, co nie zdarzało mu się prawie nigdy. Twarz matki zwrócona w stronę Mabel, pozostała niewzruszona, co też było dziwne. Jason oczekiwałby raczej, że Cassie powie ojcu coś na temat jego złych manier.

Nie chcieli, aby wspominał komukolwiek o tym, jak dobrze się czuje podczas Cisz. I jak choruje za każdym razem, gdy Cisz się kończy. Tym bardziej, że ostatnim razem, jak pamiętał, było naprawdę ciężko...

To było zaledwie miesiąc temu. Pamiętał, że po obudzeniu ujrzał nad sobą twarz matki. Miała zapadnięte policzki, włosy w nieładzie i pogniecione ubranie, jakby całą noc spędziła na krześle przy jego łóżku. Poranne słońce wznosiło się majestatycznie za oknem i Jason poczuł, że szczęście wypełnia go od wewnątrz, zdawało mu się, że unosi się na fali radości, ponad światem, w rejonach niezmiętej przestrzeni, gdzie każda, najmniejsza nawet komórka promienieje szczęściem.

Ale Cassie wydawała się smutna.

- Mamusiu? - uniósł się na posłaniu. Zaskoczyło go, że był taki słaby. Niewielki wysiłek przyprawił go o zawrót głowy, na chwilę ogarnęła go ciemność, ale zaraz minęła.

Matka otworzyła oczy. Były takie niebieskie - i wydawały się większe na wychudzonej twarzy - i pełne łez.

- Jason!

A potem przytuliła go, ostrożnie, by nie zahaczyć o rurkę kroplówki podłączoną do wenflonu na przegubie chłopca.

- Co znowu się stało? - zapytał, a słowa wplątały się w jej złote włosy.

Przez kilka minut rodzice naradzali się szeptem w kącie jego pokoju.

- Co się dzieje? Co ze mną nie tak?

Przerwali odwracając się do niego.

- Jak się czujesz? - spytał ojciec. Wyglądał na zmartwionego.

- Dobrze - odrzekł Jason. - Trochę zmęczony... I pamiętam sen...

- Miałeś halucynacje - powiedziała Cassie. - I wysoką gorączkę.

- Ale pamiętam wielu ludzi, którzy stali wokół mnie...

- Lekarze - podpowiedział Mike ze smutnym skrzywieniem ust.

- Coś nie tak z lekarzami? - dopytywał się Jason.

- Ci lekarze chcieli... - zaczął Mike. Cassie uniosła brwi ostrzegawczo. Spojrzał na nią, lecz mówił dalej: - Musi się dowiedzieć, Cassie. Nie zawsze będziemy w pobliżu. - Przysunął sobie krzesło bliżej łóżka, pochylił się i powiedział bardzo cicho:

- Ci ludzie powiedzieli nam, że pracują dla rządu. Powiedzieli też, że masz bardzo rzadką infekcję wirusową i chcą cię zabrać do ośrodka, gdzie będzie można wyizolować wirusa i wyleczyć cię. Cassie stanęła przy mężu. Opowiedziała Jasonowi resztę.

- Doktor Howe, Nelly, utrzymuje kontakty ze starym przyjacielem w Centrum Kontroli Chorób Zakaźnych. Od niego dowiedziała się, że to nie może być żadna infekcja. Nawet, gdyby dane o chorobie utajniono, w Centrum wiedzieliby o wirusie.

- Więc tamci kłamali? - Jason był zaskoczony. - A czy to w ogóle byli lekarze?

- Pewnie mają doktoraty - skrzywił się Mike. - Kilku jednak na pewno nie było doktorami medycyny. Nie jestem nawet pewien, czy przedstawili się nam prawdziwymi nazwiskami. Po prostu pojawili się jak spod ziemi, zaraz po tym, gdy Nelly wprowadziła do bazy danych informacje o twoim ubezpieczeniu.

- Ten przyjaciel z Centrum Kontroli powiedział parę ciekawych rzeczy - mruknął ojciec.

- Nieważne - przerwała mu Cassie. - Ojciec uważa - my uważamy - że lepiej będzie wyjechać. W pewnym sensie...

- W tajemnicy? - zapytał Jason czując rosnące podniecenie. - Ale, mamoo.. Uważasz, że to zły pomysł?

Matka westchnęła.

- Nie. Zgadzam się z twoim tatą. Tylko to takie nieoczekiwane...

Mike wstał.

- Chodźmy. Udawajmy, że zabieramy go tylko na spacer w wózku. Cassie, przygotuj samochód. Spotkamy się przy bocznym wyjściu.

Pielęgniarki wyjęły Jasonowi kroplówkę i wydawały się zadowolone, że czuje się na tyle dobrze, by w towarzystwie rodziców odwiedzić szpitalną kafeterię. W ciągu kilku minut jechali już na północ drogą międzystanową. Bagażnik vana pękał w szwach.

- Po co ten sprzęt? - chłopiec leżał na tylnym siedzeniu przykryty kocami. Był naprawdę zmęczony.

- Po prostu zrobimy sobie małe wakacje - Cassie zjechała z międzystanowej na niewielką drogę biegnącą na północ.

Od tamtej pory nie wrócili do domu. To było miesiąc temu. Jason zaczynał uświadamiać sobie, że być może nigdy już nie wróci.

Nadejście Nowego Świata

Marie, Nowy Orlean, 2027

Marie ćwiczyła grę na fortepianie. Przyglądała się dłoniom na klawiaturze, mamrocząc i uważnie układając palce na odpowiednich klawiszach. Garbiła się przy tym wyraźnie. Karnawał w pełni, dlatego drzwi i okna były pozamykane. Aksamitne zasłony odcinały wewnątrz od słonecznego światła. Fortepian, stółek, Marie i wielka donica z figowym drzewkiem, to było wszystko, co znajdowało się na poddaszu.

Dobyła ze Stainwaya złożony akord.

- Brawo, brawo!

Do pomieszczenia wszedł Hugo. Klaskał z ożywieniem, co Marie odebrała, jako sarkastyczny wyraz hołdu, kpinę z jej wysiłków. Przygotowała się do zagrania kolejnego akordu. Parę minut zabrało jej prawidłowe ułożenie palców.

- Oby tak dalej - powiedział Hugo, opierając ręce na jej ramionach.

Straciła je.

- Nie musisz ze mnie kpić - odrzekła, pochylając się, by ułożyć ręce do kolejnego akordu.

- Och, ale to cudowne! Już w korytarzu mogłem stwierdzić, że to „Solitude” Hollidaya!

Marie uwierzyła bez zastrzeżeń. Hugo wiedział wszystko o jazzie. Wystarczył ślad brzmienia, mniej niż takt, nuta zawieszona w powietrzu - i zgadywał trafnie, że to wykonanie Elli Fitzgerald, a nawet więcej - w jakim konkretnie studio dokonano nagrania i jacy muzycy towarzyszyli wykonawcy.

Odwróciła się plecami do fortepianu i spojrzała na niego.

- Chcę ćwiczyć. Nauczyć się. Byłam w tym dobra. Chociaż grałam muzykę klasyczną.

- Jasne - Hugo uniknął jednoznacznej odpowiedzi.

- Tak, czy inaczej, wszystko stracone. Nie uczę się zbyt szybko. Coś mnie spowalnia.

Myślała o licznych upadkach, szklankach wyslizgujących się z palców, zawrotach głowy. Po twarzy mężczyzny przemknął cień. Może. Szybko znikł. Nie wiedział o tych wypadkach, nie mówiła mu, więc teraz może tylko wyobraziła sobie zmartwienie na jego twarzy. W każdym razie, należało się spodziewać trudności. To, co z nią zrobiono, te

wszystkie zmiany, były nowością i daleko im było do perfekcji.

Odkładała wizytę u lekarza. Od powrotu do Nowego Orleanu Marie przede wszystkim pograżyła się w zagadnieniach dotyczących poprawy i wprowadzania zmian w systemie nauczania i rządu, zajęta była zgłębianiem informacji na temat problemów politycznych i edukacyjnych oraz sortowaniem tych danych. Wywołało to sporo sprzeciwów ze strony starej gwardii współpracowników, nieco przerzedzonej pod nieobecność szefowej. Od miesięcy Marie odczuwała żywiołową radość, jakiej dostarczało jej odzyskiwanie władzy i wpływów. Wokół jej pozornie cudownego zmartwychwstania narastało coś w rodzaju kultu, którego nie zamierzała tłumić.

Nie traciła czasu na tworzenie systemu darmowych klinik biotechnologicznych i zatrudniania w nich lekarzy znających najnowsze techniki inżynierii molekularnej. Chociaż wskrzeszenie, jakiemu ją poddano, było zbyt kosztowne, by je udostępnić na szeroką skalę, a na dodatek obciążone ryzykiem następstw, które, według lekarza Marie, mogły się pojawić w każdej chwili, istniało jednak jeszcze sporo tanich rozwiązań, wartych wprowadzenia na rynek. Lekarstwo na niektóre rodzaje raka, oparte na procesie regeneracji komórek. Lekarstwo na mukowiscydozę. Leki na choroby serca. Dighton musiał zatrudnić rzesze ludzi, by wygrać procesy sądowe i zdobyć zezwolenia na rozpowszechnianie medykamentów podobnych do niesamowicie drogich lekarstw, których patenty były własnością dużych korporacji. Prawnik był w siódmym niebie.

Wizja Ziona, dotycząca nadejścia nowej ery, porwała Marie mimo mnóstwa zajęć. Przekazała szkole mnóstwo pieniędzy i dostała przemile listy od sierot. Przez długi czas Zion nalegał na jej wizytę w Wolnym Kraju, jakby obawiał się, że może się stać coś złego. Jego przecucia się sprawdziły, w długim smutnym liście przesłał jej wieść, że sztuczna wyspa została zniszczona przez huragan. Jednak, jak zapewnił, prawie wszyscy mieszkańcy ocalili i wielu z nich ma nadzieję, że uda się zbudować nową wyspę, w oparciu o wszystko, czego zdążyli się już nauczyć. I teraz szukają inwestorów.

Marie zignorowała tę niezbyt subtelną aluzję.

Coraz bardziej sfrustrowana następstwami *El Silencio*, obejmującymi niemal wszystkie dziedziny życia, poszukiwała różnych alternatywnych rozwiązań i przedsięwzięć, które miałyby na celu wyprzedzenie projektowanych przez rząd Biomiast. Niestety, nic nie znalazła. Łączność nie działała, a międzynarodowa wymiana informacji i e-maili stała się rzadkością, transport opierał się w ogromnym zakresie na PSSK - Północnoamerykańskim Systemie Szybkiej Kolei, zwłaszcza odkąd nastąpił deficyt paliw i rosły trudności z zaopatrzeniem silników spalinowych w benzynę i ropę. Małe miasteczka wyznawały tylko

kult przetrwania, a życie w średniej wielkości miastach przekształciło się w koszmar. Marie spotykała policjanta na każdym rogu i przy wszelkiego rodzaju magazynach - nie wspominając o jednej z pierwszych stacji PSSK w kraju. Ciągle było ciężko. Większość sił ludzie poświęcali na przeżycie, albo na podtrzymanie funkcjonowania różnych systemów i urządzeń bez pomocy komputerów. Tym bardziej, że nowa generacja komputerów, tzn. komputerów DNA, w których stosowano małe diody o rozmiarach molekuł, wprowadzana była nader opieszale. Cóż, powrót do dziewiętnastego wieku nie należał do łatwych.

Tydzień wcześniej Marie odebrała transport nowych urządzeń. Z zewnątrz przypominały kuchenki mikrofalowe, jednak za ich pomocą można było zmienić materiał w nowe ubranie, albo nadać metalowi zupełnie nowe kształty, podobnie jak drewnianym przedmiotom. Z ubraniami zrobiło się nawet zabawnie. Marie podarowała urządzenia szkołom, schroniskom, organizacjom charytatywnym, a ludzie zaczęli eksperymentować z programami do projektowania fasonów odzieży. Trzy największe sklepy w mieście wytoczyły Marie procesy. Zmiany w metalowych częściach lub w drewnie były przydatne, choć ograniczone do określonych rozmiarów. Marie powołała zespół pracujący nad pomysłami, jak najlepiej wykorzystać te nowe urządzenia nanotechnologiczne.

Zamówiła podobne maszyny większych wymiarów, ale nie mogła ich odebrać, zanim nie uzyskała rządowego certyfikatu.

Pomimo aktywności Marie w biznesie, jej życie osobiste zanikało. Bardzo często była zmęczona i aż nazbyt często zmuszała się, by okazywać zainteresowanie codziennymi drobiazgami.

- No, i? - w spojrzeniu Hugo przebijało intensywne błaganie, niezwykłe dla tego mężczyzny. - Spakowałaś się?

Marie obrzuciła spojrzeniem pokój.

- Wybacz. Jedź sam. Po prostu nie mogę. Może, kiedy będzie starsza...

Hugo uniósł brwi.

- Ona dorasta bez ciebie, Marie. Prawie wcale jej nie widzisz, odkąd się urodziła.

To była prawda. Marie pozostawiła wszelkie szczegóły organizacyjne w rękach Hugo i Missy, to oni wybrali miejsce urodzin, zatroszczyli się o wiele innych spraw. Marie nie uważała tego dziecka za swoje. Nie miała nawet takiego zamiaru. Wspomnienia o pierwszym dziecku były nadal zbyt bolesne.

*

- Kalina - Hugo miał głupekowaty wyraz twarzy; radosny, gdy trzymał w ramionach

wierzgające, brązowe niemowlę. Missy również promieniała, choć na policzkach lśniły jej łzy, gdy spoglądała na dziecko. - Kalina Marie Laveau.

Salon we wstrętnym Pink House przypominał Marie jej stratę. Ale Hugo najwyraźniej nic nie czuł. Mówił, jakby nie zdając sobie sprawy, że widziała to dziecko wcześniej i że takie dziecko zginęło, ponieważ matka miała skłonności do zakupu nieodpowiednich akcji.

- Kalina to początkowy tytuł utworu Ellingtona, który później stał się znany, jako „Ko Ko”. Duke planował, że będzie to opera... - zerknął na Marie z obawą - Podoba ci się? To znaczy, imię?

Podsunał dziecko Marie. Marie rzuciła jedno długie, straszne spojrzenie na śliczną twarzyczkę Malutkiej Marie i wyszła z pokoju.

*

Hugo był rozczarowany, że Marie nie poświęca zbytnej uwagi Kalinie, ale sam odwiedzał dziecko często i przepęłniała go bezgraniczna radość przy każdym spotkaniu. Żadne z nich nie wspomniało nawet o przeprowadzce Missy i Kaliny do Nowego Orleanu. Nawet gdyby Missy chciała się przeprowadzić, Hugo i Marie - choć nigdy o tym nie rozmawiali - obawiali się, że zamach może się powtórzyć.

Marie zmuszała się do odwiedzin kilka razy do roku, ale nigdy nie zatrzymywała się na dłużej niż dzień. Nawet to było dla niej torturą i widziała, że Kalina ma tego świadomość. Marie była nawet pewna, że dziewczyna ma poczucie winy z jej powodu.

Ale czy jest jakaś dobra pora, żeby powiedzieć komuś, że jest klonem? Czy istnieje dobra pora, by wyjaśnić, co się zdarzyło oryginałowi?

Marie postarała się, by jej głos brzmiał pewnie.

- Tak jest dla niej lepiej. Poza tym, ty ją odwiedzasz co miesiąc. Jest szczęśliwa, nieprawdaż?

- Oczywiście - widziała, jak stara się ukryć rozczarowanie blahym trajkotaniem. - Missy jest wspaniała. Miałem nadzieję, że zgodzi się wyjść za Chucka, z którym się umawiała, ale nie wydaje się, aby były powody do pośpiechu. Na wszelki wypadek sprawdziłem tego Chucka. To porządny człowiek. W dodatku Kalina staje się coraz mądrzejsza, jak mi się wydaje przy każdej wizycie, toteż prawdopodobnie będzie mogła przystąpić do testów matematycznych do college'u, kiedy skończy dwanaście lat. Przynajmniej tak uważa jej nauczycielka.

- Jest mądrzejsza niż ostatnim razem, gdy ją widziałeś? Jak to możliwe? Przecież już jest najinteligentniejszym dzieckiem w tej galaktyce i paru innych. - Marie starała się nadać głosowi lekkie, wesołe brzmienie. Malutka Marie nie miała nawet szansy, by pójść do

college'u. - A jak jej idzie w szkole? To znaczy, jak sobie radzi z innymi uczniami? - Kalina uczęszczała do państwowej szkoły, choć z dobrymi nauczycielami. Zresztą Marie uważała, że obecne szkoły w Tortoli miały lepsze wyposażenie, pomoce naukowe oraz o wiele lepiej wykształconych nauczycieli niż inne. Marie ufundowała nawet stypendia dla wyspiarzy, którzy chcieliby się uczyć w Tortoli.

- Kalina ma mnóstwo przyjaciółek. Jedna z nich to Andrea. Jest wnuczką Joe Alinguy. Miła dziewczynka. Dużo czasu spędzają razem na wędkowaniu.

- A widzisz, Hugo. Gdyby Kalina mieszkała tutaj, nie mogłaby tego robić z przyjaciółmi. A ja nie mogę jej odwiedzać. Kto wie, czy nie jestem śledzona?

- Pocięta Twarz i Mały zadbali o te sprawy, Marie. Naprawdę nie przypuszczam, abyś musiała się obawiać znowu kłopotów. A swoją drogą, co u nich słyhać? Udało się znaleźć lekarstwo odwracające skutki działania tego świństwa, jakim ich nafaszerowałaś?

- Jeszcze nie.

- Zgaduję, że to nie jest jeden z twoich priorytetów?

- Wydają się szczęśliwi.

- Jak psy.

- Może powinnam im rozkazać, aby poszli i sami poszukali odtrutki.

- To może się okazać jedynym rozwiązaniem.

- No, cóż - Marie wyprostowała ramiona. - Wracasz za miesiąc, mniej więcej?

- Podróż jachtem w jedną stronę - tydzień, tydzień na powrót, a reszta to czas na zabawę. Powinnaś sama spróbować.

- Dzięki, Hugo.

Znowu to doprowadzające do szału wzruszenie ramion. Miał już wyjść, ale odwrócił się.

- Więc naprawdę nie jedziesz?

- Przykro mi, Hugo. Naprawdę.

- Mnie również. Już myślałem... że się zmieniłaś. Nie mogłem uwierzyć... Gdybyś tylko ją zobaczyła...

- Może spróbuję następnym razem.

Hugo uśmiechnął się szeroko.

- Byłoby wspaniale. Kalina będzie taka podekscytowana twoimi odwiedzinami. Nie potrafi zrozumieć, jak można być tak zajęтым, jak ty, Marie.

- Już powiedziałam, że przyjadę. Ale teraz jestem zmęczona - jej słowa zabrzmiały ostrzej niż chciała.

- Oczywiście - Hugo poklepał jej dłoń i wyszedł.

Marie padła na hamak zawieszony na tarasie i nie zapłakała. Nie płakała już od dawna. Potem zasnęła.

*

Marie nie miała apetytu przez kilka dni. Odkąd Hugo wyjechał, spała na okragło w pokoju na górze, odgradzona zamkniętymi oknami od Karnawału.

W Tłusty Czwartek, w szczycie Mardi Gras, obudziła się około północy, czując suchość w ustach i zawroty głowy. Stoczyła się z hamaka i usiadła na wiklinowym krześle na tarasie, popijając zastałą wodę z roztopionym lodem i odrobiną wyciśniętego soku z limonki.

Poniżej, dochodzące z pobliskiego baru stalowe tony perkusji mieszały się z przenikliwą melodią trąbki i lamentem elektrycznej gitary. Marie słuchała ze zmęczeniem, zastanawiając się, dlaczego nic ją to nie obchodzi.

Uzmysłowiła sobie, że pamięta swój pierwszy Karnawał, jeszcze z poprzedniego życia. Jej matka stanęła przy jej łóżku przebrana w prześliczny strój. Wokół rozbrzmiewała muzyka, a matka uniosła Marie w ramionach i tańczyła z nią, przemierzając ulice, aż w końcu przyjechała dorożka, która zabrała ich do domu i szalejącej z gniewu Babki. We wspomnieniach Marie przetrwała feeria jasnych barw widziana oczyma dziecka; jej nowy mózg zaabsorbował kontrast między tamtymi obrazami tworzącymi kontrapunkt dla ciemnych, żałobnych asonansów muzyki, która szarpała jej systemem nerwowym. Marie skojarzyło się to z uczuciem, jakby była ofiarą, którą złożono dla pobłogosławienia księży i szamanów. To była jedna z jej ulubionych baśni i często błagała Babkę, by opowiedziała ją jeszcze raz, i znowu... Ale po śmierci matki Marie Babka nie opowiedziała już nigdy tej historii. Zaciskała tylko usta i wychodziła w milczeniu.

Teraz Marie ją rozumiała.

Uważała, że wszystko, co ważne, skończyło się wraz ze śmiercią Malutkiej Marie i Ala. Nie wyobrażała sobie nawet, że kiedykolwiek po raz drugi wyjdzie za mąż. Ale za to miała kolejne dziecko, które, według planu Hugo, miało przywrócić jej radość życia.

Ale Marie nie czuła nic.

Coś musi być ze mną nie tak - myślała. Przy wskrzeszeniu coś pominięto. Emocjonalny imperatyw, by żyć pełnią życia, został zagubiony bezpowrotnie.

Żałowała nawet, że nie pojawił się nowy klaun i nie zabił jej - tym razem ostatecznie i naprawdę.

Odkąd turystyka zamarła z powodu braku środków transportu - co miało ulec zmianie, jak obiecywano, w ciągu najbliższych lat, gdy tylko zakończona zostanie budowa

Północnoamerykańskiego Systemu Szybkiej Kolei - nowoorleański Mardi Gras zdominowany został przez wpływy karaibskie. Coś jeszcze zdecydowało o tej przemianie - być może odradzająca się wiara w misteria i tajemniczą moc rytuałów. Było to bardziej żywiołowe niż pod koniec tysiąclecia, te uczucia sięgające do obrzędów ludowych wraz ze świadomością, że pojawiło się coś z kosmosu, z ciemności, w jakiej być może niedługo przyjdzie się ludziom obudzić. W technologii nastąpił zastój, znacząca przerwa. Dawne rozwiązania zostały zniszczone i obróciły się w ruinę. Nowe dopiero migwały w oddali i budziły przerażenie.

Co pozostało ludziom, prócz tańca?

Tłumy nadal kotłowały się na Bourbon Street i Marie mogła je dostrzec z tarasu. W bocznej uliczce, przy której mieścił się dom, było spokojniej. Można by uznać, że północ tutaj to po prostu pora poobiednia. Przechadzające się wtedy pary przyglądały się antykom na wystawach. Klienci zaglądali do otwartej nadal, mimo późnej pory, restauracji za rogiem - „Pod Kaczką”.

Nagle wyprostowała się na krześle, próbując przebić spojrzeniem cienie w mroku.

Podskoczyła do balustrady.

- Babko!

Kobieta o surowej twarzy, w eleganckiej francuskiej sukni z czarnym, koronkowym trenem, jakie zwykła nosić babka Marie, odwróciła się i znikła za rogiem.

Marie z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że jej dłonie zaciśnięte na poręczu, drżą.

Wsunęła stopy w sandały i wybiegła z pokoju, po schodach, z trzaskiem otwierając frontowe drzwi. Któryś z ochroniarzy ruszył za nią, nie widziała, ale też nie obchodziło jej to zbyt.

Gdy mijała piszczałki i łomot celtyckiego rocka, zdawało się jej, że ktoś woła ją po imieniu, ale nie zareagowała. Atmosferę zdawały się wypełniać starożytne, pogańskie rytuały, przeniesione tutaj przez zielonookich, rudowłosych i brązowoskórych potomków Afrykanów i czterdziestu tysięcy irlandzkich niewolników, zesłanych na Karaiby przez Cromwella, obrzędy poruszające zarówno białych Amerykanów, jak i czystej krwi Irlandczyków, niczym intensywny aromat ciemnego *ale*.

Marie przystanąła, podskoczyła kilka razy, zdawało się jej bowiem, że dostrzegła znów kobietę w czarnej, koronkowej sukni, idącą w kierunku ulicy Świętej Anny. Jakaś ciotka, może kuzynka - tak podpowiadał jej rozsądek, podczas pogoni za nieznajomą. Na pewno nie Babka, surowa, ale pełna miłości i siły, Babka, za którą Marie tak rozpaczliwie tęskniła, nawet po tylu latach. Babka zawsze umiała pomóc jej zrozumieć sens tego, co się działo wokół. Może umiałaby jej pomóc w tej chwili. Życie było takie dziwne. Czas się

załamał, gdy Marie ujrzała Kalinę i wiele tygodni zajęło jej dochodzenie do siebie. Musiała odsunąć od siebie wspomnienia piękna tamtych miesięcy po narodzinach Malutkiej Marie, miesięcy, które przeminęły bezpowrotnie i nie mogą już powrócić. To cudowne wspomnienia były kurtyną dzielącą Marie od Kaliny. I Marie nie zamierzała odsuwać tej zasłony. Nie chciała.

Minęła ulicę St. Anne, Dumain, St. Philip. Krótkie przecznice zapamiętane z dzieciństwa. Przemierzone nagimi stopami Malutkiej Marie, przebiegane, obrzucane częściami ubioru, gubionymi przez małą dziewczynkę. Tam! Kobieta widoczna w świetle latarni podeszła właśnie do sklepu spożywczego na rogu, gdzie kupiła francuskie papierosy. Tłum tutaj malał, stawał się jednak agresywniejszy. Trzech białych mężczyzn pijących po drugiej stronie ulicy posyłało Marie niedwuznaczne gesty. Jeden z nich ruszył w jej kierunku, ale zatrzymał się, gdy ujrzał jej wzrok.

Przeszła przez Dzielnicę na Esplanadę. Już wiedziała, dokąd zmierza starsza dama. To była ta sama droga, którą przed laty Marie z Babką jechały na północ tym samym podzwaniającym trolejbusem, który właśnie się zbliżał jak sen lub przeznaczenie, kołyszając zaokrąglonym przodem, gdzie siedział kierowca w uniformie. Marie wsiadła. Nie miała wątpliwości, że Babka pojechała przed nią. Usiadła naprzeciw mężczyzny, którego skóra miała dokładnie ten sam odcień, co jej własna. Ubrany był w białe szorty, koszulę ze złotymi naszywkami i najmodniejszy kapelusz. Skrzyżował luźno nogi, by tworzyły kształt litery V, jak Adele, gdy nawiedził ją Ghede, Bóg Śmierci z panteonu *voudoun*. Marie skinęła głową. Mężczyzna skinął również. Usiadła prosto. Jak Królowa. W otwartych oknach wirowało chłodne powietrze. Pojazd mijał ciemne zaułki i kierował się na Pola Elizejskie, dalej w Athis Street. Czyż Babka nie mieszkała właśnie tutaj? Stare kamienice rzucały długie cienie.

Koniec trasy, Park Rozrywki na brzegu Pontchartrain. Teraz zamknięty, wystarczy spojrzeć - żadnych świateł rollercoasterów, nie ma karuzeli z rumakami unoszącymi się sztywno w mechanicznym galopie po okręgu. Szła asfaltową dróżką z innymi ludźmi, i Ghede również tędy podążał, echo jego długich kroków słyszała tuż za sobą, po lewej stronie.

A oto i wybrzeże, odległe odbicie świateł z zachodu w ciemnej wodzie. Bębny i szum drzew. Piasek lizany przez leciutkie fale.

Bębny i krąg.

Ogień i tańczący ludzie.

Ghede trzyma teraz Marie za rękę, chropowata sucha skóra i francuski papieros zwisający z ust. Na jej widok ludzie cofnęli się, bębny zamilkły. Ktoś wykrzyknął jej imię. Pieśń popłynęła, rosnąc w siłę.

Maire Laveau! Maire Laveau!
Nowoorleańska Królowa Voodoo!

Jak stary jazzowy song.

A na dodatek jest jeszcze długi ołtarz zdobny drapowanym obrusem, z kruchymi, białymi półmiskami z jedzeniem, z butelkami wina, świecami i kwiatami. Cięte magnolie o ciężkim, słodkim aromacie, białe orchidee, różowe, świeżo pachnące frezje.

Przed drzewem przygarbiony stary mężczyzna drżącymi palcami prószy mąkę, rysując symbol łodzi Agwe na ubitej ziemi. Chudy, czarny mężczyzna, *oungan*, szef i kapłan w jednym. Po prawej stronie migocze ogień. W kręgu ludzie trzymający pięć mieczy otoczonych pięcioma flagami. *Oungan* podchodzi. Całuje ostrza mieczy, końce flag. Asystenci wycofują się. Trzy bębny, od największego do najmniejszego: *manman*, *segon*, *boula*, rozbrzmiewają stłumionym rytmem w nocnym powietrzu. *Oungan* podnosi naczynie z wodą, potrząsa grzechotką, pochylając się nisko i zaraz prostując. Wzywa Agwe, Boga Morza.

Wszyscy skandują śpiewnie:

Oto wezwanie, moje wezwanie,
Agwe Taroyo.
Czy nie słyszysz mojego wezwania,
Danbala wedo.
Czy nie słyszysz mojego wezwania?

Marie rzuciła sandały. Wilgotny piasek chłodził stopy, gdy szła wzdłuż linii *vévé*, wokół drzewa. Bryza przynosi zapach jeziora, dzień regat z Matką, śmiech, plusk chłodnych fal. Zastanawia się, jak je znaleźć: Matkę, Babkę, Malutką Marie. Jest sama jedna na świecie. Tylko ona jedna dotyka tego, co tutaj materialne. Jest zbyt samotna, by istnieć.

Wszechświat, okruchy gwiazd, pulsowanie bębnow, jej ruch.

Nie może poruszyć gwiazd, ale gwiazdy mogą to uczynić z nią. Ich światło jest silne jak dłonie, silne jak głód. Wchodzi w nią, światło jest raz wolne, raz szybkie, *segon* zmusza do ruchu jej ramiona, niskie dźwięki przebiegające głęboko w ziemi, *manman* nakazuje jej nogom tańczyć, a wysokie, szybkie, przenikliwe brzmienie *boula* każe kiwać głową.

I wtedy porusza oceanem, skoro nie może poruszyć gwiazd.

Spogląda z miejsca, gdzie przebywała tak długo, obserwuje własne ciało idące wzdłuż

wybrzeża, patrzy na jej nogi - nogi Agwe, patrzy oczyma Agwe, podchodząc do wiosłowej łodzi, przemienionej w statek godny boga, widzi skinienie Agwe, który teraz steruje jej ciałem, czuje sprężyste kroki boga, gdy zbliża się do barki z wymalowanymi na burtach oczami, vévé, z pokładem przystrojonym kolbami kukurydzy, półmiskami smażonych ostryg, jambalayi, czerwonej fasoli i ryżu, przeplecionych misternie kwiatami. Na płaskim dziobie stoją butelki mocnego, czerwonego wina.

Agwe kiwa głową; akceptuje; pomaga Ghede wejść na pokład. Na zachód, gdzie rozciąga się długi most, gdzie lśnią światła miasta, miasta w chmurach, nowego Jeruzalem, afrykańskiej ojczyzny, miasta, gdzie wszyscy są wolni i równi, a dzieci bawią się, nie znając strachu.

Strachu przed śmiercią.

Nie chodzi o śmierć człowieka, której nie należy się bać. Chodzi o śmierć tego, co ów człowiek kocha.

Marie nagle ciężko przełknęła, lecz Agwe słyszy tylko bębny, ich falujące, wznoszące się i opadające brzmienie. Stoi przy burcie, a Ghede trzyma się masztu. Skandujący tłum spycha łódź na wodę, a kiedy korab oddala się na dziesięć stóp od brzegu, Ghede sięga do kieszeni, wsuwa papierosa w usta. Trzykrotnie pociera zapalką o draskę, odpływa coraz dalej i dalej...

Ale *dla* nich. Przygotowuje drogę.

Otwiera szlak do nowego złotego miasta. Wiedzie ich przez morze.

Ghede prowadzi ich do zniszczonego doku Marynarki Wojennej, a ognie przygasają i bębny cichną. W ciemności - wśród delikatnego plusku wody - siadają naprzeciw siebie. Agwe spogląda bacznie i znika, uwalnia jej ręce, uwalnia nogi, zwalnia wewnętrzny uścisk i oto już nie jest Agwe. Teraz jest z nią Ghede. Śmiało podchodzi, odszukuje jego usta, całują się, obejmują za ramiona, splatają się coraz mocniej i, choć znalezienie miejsca między twardymi ławkami wydaje się niemożliwe, pieprzą się. Marie krzyczy w noc, i jeszcze raz, i jeszcze... Ale jest także Agwe, zabierający ludzkość do złotego miasta, płynący w pomalowanej łodzi, Huragan w oszronionym szkle, powiew nieśmiertelności, równości i inteligencji. Ghede odkorkowuje butelkę wyciągniętym z kieszeni nożem. Piją wino, jedzą ostrygi i pieprzą się do nieprzytomności.

Marie Laveau wraca do domu boso, kalecząc stopy o bruk. Oczyma przebiega każdy mijany dom, każdą uliczkę znaną z dzieciństwa. Uliczki, które zdają się być częścią jej ciała. Uliczki, domy i ludzie z jej miasta, budzący się, gdy zbliżała się przechodząc przez smród śmieci i alkoholu, i kiedy mijała nielicznych, śpiących w zaułku pijaków.

Mokra, pokaleczona i zmęczona, ale uśmiechnięta, otworzyła zielone drzwi, skinęła zaskoczonemu Małemu, weszła na schody i po chwili padła na łóżko.

*

Tego wieczoru wysłała wiadomość do Hugo: PRZYWIEŹ KALINĘ I MISSY DO DOMU. Jeżeli zechcą przyjechać. Może przekaz dojdzie, zanim przyplynie jacht „Erzulie”.

Następny dzień Marie poświęca na pracę. Prawdziwą pracę, pokarm dla duszy.

Czy to tylko seks? - zastanawia się. - Czy Ghede stworzył nowe chemiczne szlaki? Czy połączenie ze Śmiercią przywraca życiu światłość?

Nieważne. Marie się zmieniła. Nie w tę pierwszą Marie, ale też nie w ducha Marie, który próbuje znaleźć sobie miejsce w dawnym życiu.

W sklepie ze starociami widzi dziwaczną łódkę z odrapanymi burtami i kolorowym ożaglowaniem z jedwabiu, długą na dwie stopy i prawie równie wysoką.

Kupuje ją bez zastanowienia.

*

Ogłoszenie w czterystu trzydziestu siedmiu krajowych i międzynarodowych pismach, w *IEEE Journal, The Journal of Nanotechnology, Science, Nature, New Architectural Times, Pheromone Reserach, Phisical Review...*

Do przedsięwzięcia w Nowym Orleanie poszukuje się specjalistów wszystkich dziedzin, w tym: inżynierów, specjalistów nauk ścisłych, naukowców, architektów, projektantów zieleni, techników, informatyków.

Wysokie wynagrodzenie i atrakcyjne premie.

CV prosimy przesyłać na adres: Nowy Orlean, skrzynka pocztowa 3847.

Kalina jest rozdrażniona. Całkowicie zaskoczona, choć próbuje to ukryć.

- Ładnie tu - mówi beznamiętnym tonem, dotykając sprzętów. - Kiedy wracam do domu?

Marie zerka na Hugo, na Missy.

- Zamieszkasz tutaj. To twój nowy dom, Kalino. Nowy Orlean.

- A ty jesteś moją nową matką? - po Missy ma brytyjski akcent, jakże kulturalny.

- Nie. Twoją matką jest Missy.

- Ona twierdzi, że to ty jesteś moją matką - długie taksujące spojrzenie przepastnych, brązowych oczu. Marie zmusza się, by nie odwrócić głowy.

- To skomplikowane.

- Wiem. Jestem klonem - lekki, niefrasobliwy ton głosu, nonszalancki. - Co z tego?

- Masz rację, żadna różnica.

- Więc kiedy mogę wrócić do domu? Tęsknię za przyjaciółkami.

Marie przyklęka przed nią.

- Niedługo, Kalino. Zostań przez tydzień, dobrze? Proszę. Hugo i ja pokazemy ci wszystko. Missy chciałaby zrobić zakupy. A potem wrócisz do domu. Zgoda?

Wzruszenie ramion. Marie obejmuje dziewczynkę. *To wymaga czasu.*

*

Marie usłyszała głos Hugo jeszcze zanim wszedł do pokoju.

- Cóż, moja droga, jesteś coraz lepsza. Ta aranżacja „Caravan” jest piekielnie trudna.

Odsunęła się od fortepianu i podeszła do wysokiego otwartego okna z widokiem na Bourbon Street. Gorąca bryza poruszała liśćmi drzewka figowego. Kalina i Missy wrócili do Roadtown, ale ustalono kalendarz wizyt. Marie pełna była zapału i energii.

- Słyszałeś o tych nowych planach miast z feromonami? - zapytała. - Tych, których badania finansuje rząd?

Hugo usiadł przy fortepianie i wystukał jedną ręką melodię.

- Tyle, co przeczytałem w gazetach. Wydaje się to mocno naciągane.

- Jest i nie jest. Gdy zaczęła się Cisza, zajęto się głównie ratowaniem tyłków i szukaniem sposobów, by prowadzić dalej interesy. Japońska firma odkryła coś w rodzaju feromonowego alfabetu - nazwali to metaferomonami. W Azji znaleziono już dla nich naprawdę sporo zastosowań. Japończycy chcą, aby metaferomony stały się podstawą systemu łączności.

- Jak?

- Cóż, to kolejna sprawa. Ludzie muszą mieć coś, co nazywa się receptorami. Mamy już takie receptory w nosie. Feromony idą prosto do mózgu przez nos, jak wszystkie zapachy. Żadnych zakłóceń, żadnych błędów. Eksperymentalnie wprowadzono już ten system do użytku w Azji. To dużo łatwiejsze, jak się okazuje. Zresztą mają tam bardziej wolnorynkowe nastawienie, więcej znaczących kierunków badań.

- Ale czy feromony nie są dla bezmózgich armii mrówek i pszczół?

- Tak naprawdę, prawie wszystkie żyjące stworzenia w mniejszym lub większym stopniu używają feromonów do porozumiewania się. Prawdopodobnie, dzięki feromonom ludzie czerpią o innych więcej informacji niż się im wydaje. Choć w powszechnym mniemaniu, feromony wiązane są z seksem. U pszczół lub mrówek wysyłane informacje są całkiem złożone. Przekazywane są sygnały darmowe, zgoda, odległość od pożywienia czy

podobne. Lubimy myśleć o sobie, że jesteśmy bardziej skomplikowani niż owady - i tak jest, któż zatem wie, ile feromonów przyczynia się do tego, co robimy i kim jesteśmy? - Marie roześmiała się. - I kto wie, co stracimy, jeżeli okaże się możliwe załadowanie do umysłu nośnika pamięci mniej ulegającego degradacji niż mózg. Ludzie już o tym gadają. Feromony, hormony - zapewne w dużym stopniu przyczyniają się do naszego postrzegania, kim jesteśmy i jak funkcjonujemy w społeczeństwie.

- To zrozumiałe.

- Zrozumiałe jak nonsens, pewnie. I oczywiście, trochę nieludzkie. W każdym razie, technologia ma sposób na poszerzenie typowej dla owadów komunikacji opartej na feromonach. Coś w tym stylu. Teraz, na przykład, potrafimy łatwo manipulować obrazami i tą metodą przekazywać informacje, choć jeszcze parę wieków temu byliśmy ograniczeni do trudnych w powielaniu malowideł i książek kopiowanych ręcznie. Stosujemy obrazy i druk, by porozumiewać się jak najprecyzyjniej, piśmiennictwo osiągnęło szczyty, w porównaniu z mową. A to, co zrobili Japończycy, będzie jak posiadanie nowego zmysłu, otworzy przed nami nowe perspektywy poznania, nowe możliwości. Możemy posłużyć się tym nowym rodzajem informacji i zainstalować nowe zmysły - jak je nazwano, receptory - w ludzkim ciele, aby komunikować się tym nowym sposobem. I nie będzie to komunikacja uzależniona od czegokolwiek, nawet od Ciszy. Będzie biologiczna. Powstaną Biomiasta, zamieszkałe przez ludzi, którzy będą inni niż my.

- To cholernie straszna opcja. Nie wspominając, że kosztowna.

- To prawda. Straszna i kosztowna. Ale rząd sfinansuje zmiany w każdym mieście, jakie zechce wypróbować nowy system komunikacyjny. Alternatywą jest przemiana w kolejne miasteczko Rust Belt, odizolowane, omijane, pozbawione kontaktu ze światem zewnętrznym. To trochę jak brak choćby jednego telefonu w mieście, podczas gdy jeszcze na całym świecie ludzie chcą mieć w domu trzy linie telefoniczne. To właśnie powód, że rząd tak chętnie zgadza się płacić. W pakiecie dostaje się również nieograniczony dostęp rządu do systemu. Innymi słowy, rząd zachowa uprawnienia, aby móc mieszać się do wszelkich transakcji. Bo ta łączność będzie jego własnością. I będzie miał to samo prawo do wszystkiego, co pojawi się później. To jest właśnie przerażająca perspektywa, moim zdaniem.

- A czy ktoś w ogóle chce tego Biomiasta, Marie? Zdaje się, że opinia publiczna raczej ostro się sprzeciwiła, przynajmniej tak przeczytałem w *Times-Pikayune*.

- Nie dziwi mnie to wcale. I nie winię ludzi, że są przeciwni - westchnęła. - W tym pomysł tkwi ogromny potencjał. Wielkość. Szansa na rozwój. Zwiększenie ludzkich możliwości. Ludzkiej potęgi. Rozwiązanie problemów z łącznością...

- Kapuję - przerwał Hugo. - I jakie masz plany?

- Myślę, że powinniśmy to zrobić.

- Zadłużyć się u rządu i pozwolić, żeby nas szpiegował?

- I pozwolić mu płacić, podczas gdy my zmienimy specyfikacje.

- W jaki sposób? - Hugo zsunął się z taboretu i zaczął przechadzać się po pokoju, splótlony dłońmi z tyłu.

- W jaki nam się tylko spodoba.

- Uściślając: w jaki *tobie* się spodoba. Bądź co bądź, to będzie szalenie proste. Rząd zamierza pozwolić na wszystkie dziwactwa skierowane przeciw obywatelom Stanów Zjednoczonych przez Marie Laveau oraz wszelkie przedsięwzięcia, jakie jej przyjdą do głowy?

- To *rząd* chce wypróbować dziwactwa na każdym, na kim się da. Ja chcę tylko informacji, żebym mogła być wolna.

- Co za urocze motto! Brzmi jakby znajomo.

- To dewiza tego starego uniwersytetu w Santa Fe, rodzaj sloganu dotyczącego chaosu. Pamiętasz, czytałam ci to hasło kilka miesięcy temu. Właśnie ono mnie natchnęło.

- Moja droga, jeżeli masz natchnienie, to już fantastycznie. - Hugo uniósł ramiona w majestatycznym geście. - No, to zagrajmy!

Marie zerknęła na niego przelotnie.

- Stąpasz po cienkim lodzie, przyjacielu. W dodatku, to mój pomysł. Możemy zagrać. Oszukamy rząd, pozwalając mu myśleć, że zgadzamy się na jego plan, ale w ostatniej chwili zrobimy przewrót.

- Świetna koncepcja! Skoczę do księgarni i kupię jeden z tych nowych podręczników o przewrotach w Biomiastach. I zrobimy tak, jak tam będzie napisane.

- Obawiam się, że będzie trochę trudniej. Właściwie, szukałam czegoś na wzór koncepcji Ziona i pływającego miasta. Musimy stworzyć nowe miasto, nie tylko je skonstruować. Miasto, skąd nikt nie zostanie wysiedlony, jak to zwykle bywa, gdy jakieś zostaje zdobyte. Musimy stworzyć nasze własne państwo, albo i nie państwo...

- Wydzwignąwszy je z ziemi? - zasugerował Hugo.

- Nie bądź taki dowcipny. Stworzyć ze szkiców, idei. Myślę, że to zadziała. I myślę, że trzeba będzie wynieść się z tego kontynentu. Z każdego kontynentu. Sądzę, że potrzebujemy miejsca dla ochotników, dla ludzi, którzy poświęcili się badaniom Ciszy. Mam kontakt z Pionierami Kosmosu. To wyjątkowo bystrzy ludzie i naprawdę szukają okazji, by wykorzystać to, co potrafią. I można przyjąć, że żaden rząd na świecie nie da im na to cienia

szansy. Jeżeli coś się dzieje, zostaje utajnione. Prawdę mówiąc, słyszałam bardzo dziwne rzeczy...

- To znaczy, jakie?

- Cóż... Weźmy jedną. Pół roku przed pierwszą Ciszą - ale to nie jest wiadomość z pierwszej ręki - pojawił się jakiś rodzaj wirusa. I piekielnie szybko rozprzestrzenił się po świecie. Wywołał nieznaczące symptomy, trochę, jak katar.

- I?

- No, i dzieci - znowu nieliczne - urodzone w dziewięć miesięcy po pierwszej Ciszy mają bardzo charakterystyczne, nienormalne DNA. Oficjalna teoria głosi, że nosicielkami tego wirusa mogły być matki tych dzieci. Rządy na całym świecie połączyły siły, aby odnaleźć te wyjątkowe dzieci i zbadać, czy ich rozwój ma związek z Ciszą. Wygląda to na prawdziwy długofalowy plan, nieprawdaż? Zdaje się jednak, że niewiele wynikło z tych badań. Niektóre dzieciaki okazały się wyjątkowo inteligentne, ale stosunkowo największy procent stanowili autystycy, od średnio do głęboko upośledzonych. Za to wszystkie wpadają w szal, gdy działa radio.

- I?

- To wszystko, co wiem. To tylko jeden z przykładów, że wokół dzieją się rzeczy naprawdę niesamowite. Przykład wskazujący, jak niewiele informacji dociera do nas, zwykłych kmiotków. Jestem pewna, że każdy rodzaj wiedzy jest gdzieś tam dostępny i potrzeba tylko paru geniuszy, żeby poskładali do kupy dane i wydobyli je na światło dzienne. Czemu wszystko musi być tajemnicą?

- Łapię, do czego zmierzasz. I to będzie w tym mieście, dryfującym przez...

- Och, przestań! Wiesz, że mam rację. Dlatego mój pomysł musi pozostać tajemnicą. Żaden rząd nie zechce takiego miejsca, o jakie mi chodzi. Ci wszyscy ludzie nieplacący podatków. Myślący, co im się podoba...

- Taaa... Co za bałagan. Pozwól, że zapytam: masz zamiar pozwolić ludziom, żeby myśleli, co im się żywnie podoba?

- Opuść! Wiem, że to będzie trudne. Ale muszę wierzyć. Jak Zion. On w coś wierzył. Miał wizję. Ellington też miał wizję. I jego mistrzostwo polegało na tym, że rozszerzał swoją wizję, dodając wizje innych.

- Hmm... - Hugo tylko mruknął.

- Tak jest! - odparła Marie. - To właśnie spróbuję zrobić. Takie połączenie wizji. Ellington wierzył w umiejętności swoich muzyków. Pozwalał im mówić własnym głosem. Na tym polegała siła jego dzieła. Jego geniusz. Czy nie tak mi mówiłeś?

- Nie przypuszczałem, że będzie to miało przeniesienie na grunt polityki.
- No cóż, tak wyszło. To właśnie mój wkład kreatywny, rozumiesz? Ten przeskok.
- Raczej odlot w kosmos.

Hugo zręcznie umknął przed kopią „Utworów zebranych Ellingtona”, którą Marie chwyciła z fortepianu i cisnęła w jego kierunku. Nuty przeleciały obok z furkotem kart i odbiły się od ściany.

- Świętokradztwo! - krzyknął mężczyzna, pochylając się nad rozrzuconymi arkuszami. Podniósł książkę z podłogi i delikatnie rozprostował pogniecione karty, pytając przy tym:

- Marie, wyjaśnij mi, kogo masz na myśli, gdy mówisz „my” i wspominasz o obaleniu rządowego projektu budowy miasta?

- Mam plan.

- Tego się obawiałem.

- Są ludzie, których musisz znaleźć i zebrać razem. Rekrutować. Eksperti lub specjaliści, którzy potrafią coś, co jest nam potrzebne. Będziesz musiał ich przekonać do przyjazdu. Ustaliłam, że źródła informacji są rozsiane po całym świecie.

- Po całym świecie. To brzmi podniecająco. Zwłaszcza, że w dzisiejszych czasach podróże są takie zabawne i jakże łatwe. Wystarczy wsiąść na parostatek, sterowiec lub rower...

- Pomożesz mi?

- Jeśli dostanę koszulkę z „S”. S jak Strayhorn.

- Och, jasne. Strayhorn napisał sporo kawałków dzięki Ellingtonowi, prawda?

- Wierzę w słowo „współpraca”. Jednak zapewne masz rację. Strayhorn dostał kredyt zaufania. Był geniuszem. Najwyraźniej jednak mocno sfrustrowanym, że musi pracować pod parasolem Ellingtona i pewnie nigdy nie zdobędzie uznania, jakie mu się należy.

- To ma być sugestia? Poświęcę ci osobny rozdział w moich pamiętnikach.

- Nie mogę się doczekać.

- Rozumiem, że to znaczy tak. Wyjaśnię ci, kogo i czego według mnie potrzebujemy, dobrze?

- Ale daruj sobie to gówniane „my”, dobrze?

- OK. Planujemy - *ja planuję* zmienić na jakiś czas Nowy Orlean w miasto, gdzie nie obowiązują ustalenia Agencji ds. Żywności i Leków⁴. Dighton twierdzi, że może to zostać uznane za wypowiedzenie wojny. Rozgląda się teraz za umową, którą rada miasta, burmistrz i ktoś tam jeszcze będzie mogła podpisać...

⁴ - FDA - Food and Drug Administration

- Wypowiedzenie wojny? Co może zrobić rząd? Obciąć fundusze? Rozwalić na kawałeczki jedno z głównych miast Ameryki?

- Oto jest pytanie, Hugo. Cokolwiek się tutaj wydarzy, należy brać pod uwagę możliwość, że miasto stanie się areną, gdzie rząd użyje broni nanotechnologicznej. Według moich najlepszych źródeł, firmy japońskie wytworzyły sporo takiej broni. Na przykład substancje, które mogą przeprogramować myśli i zachowania dużych populacji. Bez śladów na ciele, docierając do umysłów. Wystarczy, aby każdy pilnował własnych spraw, skupił się tylko na sobie, odmówił współpracy. Taka mentalna bomba neutronowa.

Hugo pokiwał głową.

- Zupełnie jak twoi oswojeni bandyci.

- Właśnie.

- I to jest to, czego potrzebujemy?

- Nie. Potrzebny nam ktoś, kto się na tym zna i będzie wiedział, jak bronić się przed tego rodzaju atakiem.

- Masz kogoś konkretnego na myśli?

- Oczywiście. I pozostaje jeszcze sprawa Sygnału.

- Jaki sygnał? Masz na myśli Impulsy?

- Niezupełnie. Coś się z nimi wiąże, ale naprawdę nie wiem, co.

Hugo zmarszczył czoło.

- Nie! Tylko nie to!

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tak. Dwa dni temu na moje ogłoszenie odpowiedział jakiś mężczyzna. No wiesz, jedno z tych, które zamieściłam w prasie, gdy ty byłeś w Tortoli. Nie podał nazwiska. To znaczy, powiedział jakieś, ale nie sądzę, aby było prawdziwe. Nie chciał zostać nawet jednego dnia dłużej i nie wiem, dokąd odszedł. Był przestraszony. Nie wyjaśnił wprost, ale to były agent wywiadu. Był bardzo poruszony. I uważał z całym przekonaniem, że Sygnał nadali obcy. Ale zdradził mi, że w Waszyngtonie żyje jakiś włóczęga, który wie zaskakująco wiele o fenomenie, jaki występuje za każdym razem w chwilę po Impulsie.

- Masz na myśli... wybaczone, aktywność radiową?

- Musisz być rozzarowany, słysząc, że nie jesteś pierwszy, który to wie.

- Dobrze, podsumujmy. - Hugo odgiął palce przy wyliczaniu. - Po pierwsze: transformacja Nowego Orleanu. Co może ściągnąć nam na kark federalnych. Po drugie: nowe miasto, pływające. Do diabła, nowe państwo. Albo nie-państwo.

- Nowe Jeruzalem - dopowiedziała Marie.

- Oczywiście. Po trzecie... Co jest po trzecie?

- Po trzecie zleciłam ci sporo dużo do zrobienia. Podróż dookoła świata rozpocznieś od Waszyngtonu, potem może Japonia. Azja, Europa, Afryka... W tej chwili ciężiej mi znaleźć miejsca, gdzie cię nie potrzebuję...

- Ach, więc to jest ten nowy, wspaniały świat, który nadchodzi? *Nadejść ma nowy świat...* Zdaje się, że już to słyszałem... - Hugo przekartkował „Utwory zebrane Ellingtona”. - O, jest! Notacja na fortepian, oczywiście. Czytałem ci fragmenty autobiografii Ellingtona - „Music is My Mistress” - Hugo odchrząknął. - Utwór „New World A-Comin”. Tytuł odnosi się do pewnego miejsca w przyszłości, na ziemi, nad morzem albo w powietrzu. Miejsca, gdzie nie będzie wojny, nędzy, podziałów, gdzie miłość jest bezinteresowna i gdzie jest tylko jeden Bóg - zamknął nuty i odłożył na fortepian.

Marie klasnęła kilka razy.

- Znakomicie, Hugo! Powinam wyryć te słowa na bramie miasta.

- Cokolwiek postanowisz, Marie, będę szczęśliwy - mężczyzna podciągnął rękawy, odsłaniając przeguby i splótł dłonie na plecach. - Mam nadzieję, że podszkolisz się również w grze na fortepianie - spojrzał niewinnie w bok.

Marie roześmiała się.

Gdy wyszedł, umówiła się na wizytę u lekarza.

*

Mały usiadł na lekkim krześle w gabinecie. Pocięta Twarz stał z rękoma w kieszeniach. Marie podniosła głowę znad długiego mahoniowego biurka i oparła łokcie na blacie.

- Jak się czujesz? - spytała drobnej mężczyznę.

- W porządku.

- Nasze rozkazy - wtrącił Pocięta Twarz. - Zajmiem się sprawami dla ciebie?

- O, tak! - zapewniła Marie. Odprężyli się obaj natychmiast. - To dotyczy was obu. Nadal jesteście jakby... kontrolowani przeze mnie. Z powodu tego preparatu, który wam podałam...

- To nie ma żadnego znaczenia - stwierdził Mały.

- Co będziem robić? - zapytał Pocięta Twarz. - Teraz pracuję dobrze. Wykonuję twoje rozkazy.

„Na przykład, zabijanie ludzi - pomyślała Marie. - Pilnowanie resztek starej gwardii, żeby się nie rozproszyła”.

- Ale musicie też myśleć samodzielnie. Decydować, czy rozkazy są dobre, czy nie.

Niekoniecznie musicie coś robić tylko dlatego, że ja tak powiedziałam.

Mały popatrzył na nią zmieszany.

- Zawsze był jakiś szef. Wielu słabszych, gorszych od ciebie. Tutaj ludzie traktują nas dobrze. Możemy się najeść do syta.

Pocięta Twarz wtrącił:

- Ja myślę, że wiem, co ty chcesz powiedzieć, pani Laveau. Ale to z innego powodu. To nasza pokuta. My uczyniliśmy dużo złego. Więcej niż myślisz. Może więcej niż umiem przypomnieć - twarz mu posmutniała. - Mały i ja gadaliśmy o tym. Może pracą dla ciebie my robimy zadośćuczynienie za wszystko. Taka jest wola Jah.

Marie spuściła wzrok. Nawet sobie nie wyobrażała, że ci dwaj mogą w niej widzieć pośredniczkę Boga. Zwłaszcza, że działania, jakie im zlecała, pociągały za sobą ofiary.

- Masz na imię Tarence, prawda? - zwróciła się do Małego.

- A ty, Pocięta Twarzo, ty jesteś Robert?

- Tak - potwierdził drobniejszy z mężczyzn. - Ale Mały to dobre imię. Wszyscy mnie tak nazywają. Podoba mi się.

Pocięta Twarz przytaknął, kiwając głową.

- Pani Laveau, nie trza się o nas martwić. Kiedy Jah uzna, że zapłacił za krzywdy wyrządzone, wtedy nas uwolni - mówił cicho, z szacunkiem.

- Skoro jestem narzędziem woli Boga - odezwała się Marie sucho - będę szukać czegoś, co pozwoli zwrócić wam wolność. Przykro mi, że wam to zrobiłam...

Mały wyszczerzył się w uśmiechu.

- Lepsze to niż śmierć, pani Laveau.

- Dziękuję, że przyszliście - powiedziała Marie. - Możecie odejść.

*

Marie zatrzymała się na Jackson Square. Był wieczór. Wiatr i ptaki jeszcze tu były, ale wkrótce ciemne chmury znad rzeki przyniosą nad miasto ulewę.

Czuła zadowolenie, ogarnął ją spokój wczesnego lata. Nastrój radości owionął ją, jakby zeszłowieczne kamienice, kafejka, muzeum, armata, wszystkie duchy z dzieciństwa były naprawdę jej wspomnieniem. I oczyma duszy, jakby z lotu ptaka, mogła objąć wszystko - muzykę, włóczków, gorączkę, niewolników tańczących na Congo Square, nadrzeczną kulturę, która przetrwała przez wieki.

Pierwszy podmuch znad rzeki przyniósł rytm jazzu z pobliskiej kawiarni. Poczowała zapach smażonych ostryg, świeżo parzonej kawy, rozlewianego wina, pasztecików wyciąganych z piekarnika. Liście drzew zaśniły srebrem. Jej miasto, tylko jej. Wsłuchiwała się

w rapsodię miast, z których każde było niczym samodzielny byt, osoba. Jak człowiek. I każde miasto znało swoją historię, wzloty i upadki, ciągle zmiany. Zgoda, mieszanie się kultur, nauka, emocje, praca, codzienne życie, splątana sieć więzi rodzinnych i przyjaźni.

I kiedy uderzył piorun, i na ziemię z szumem spadły pierwsze, grube krople deszczu, uniosła ramiona, jakby chciała wzlecieć na wietrze, dać się unieść jak liść. Tańczyła, odchyliwszy głowę w tył, śpiewała głośno - pieśń *voudoun*, zapamiętaną pieśń starej kobiety. A wszystko było złote i arterie miasta wypełniły się płynnym światłem, a światło to było wiedzą - wiedzą o tym jednym poemacie, który rozjaśni chwilę mroku albo rozświetli całe stulecie, wiedzą o antybiotyku, który ocali czyjś młody, rozgorączkowany umysł, wiedzą, z czego zbudowane są gwiazdy, jak kosmos zwija się i faluje, prawdą o źródle Sygnału...

Marie ledwie zauważyła, że Hugo chwycił ją za rękę, pociągnął w lśniąca płynnym złotem glorię, wizję, którą widziała oczyma duszy. Jej umysł ponownie się wzniosł.

A w dole tym razem widziała nową wyspę, kraj prawdy i wizji, miejsce, gdzie wszystko jest całością, spójną, niepodzieloną na części; miejscem, gdzie ludzie nareszcie osiągną szczyty rozwoju, wzniosą się, jak rapsodia, ku nieznanemu, ku gwiazdom.

- Marie - wydyszał Hugo, gdy zaciągnął ją pod kolumnadę muzeum. - Marie, dobrze się czujesz? Dlaczego, do cholery, stałaś na deszczu?

- To rapsodia, Hugo - powiedziała ze śmiechem, a deszcz płynnego złota spływał z dachów w zasłonach kropel i wybijał miliony otworów w szarej tafli rzeki. Zagubiona parasolka potoczyła się bezpiecznie przez park i zatrzymała przy targanym wiatrem krzewie magnolii. - Rapsodia.

Dostrojenie

Zeb, Waszyngton, 2028

Zeb obrócił się na ławce w parku, gdzie leżał i napotkał spojrzenie małego ciemnowoskórego mężczyzny. Intruz spoglądał nań z góry.

Nie. Dobra. Właściwie był niski, choć nie aż tak, jak się na pierwszy rzut oka zdawało. Bardzo muskularny. Wyglądał na silnego faceta.

- Ładny garnitur - pochwalił Zeb, siadając prosto i spuszcżając nogi na ziemię. - Chcesz usiąść?

Karzeł wdrapał się i usadowił obok.

- Ładne popołudnie.

Miał dziwny akcent, którego Zeb nie umiał rozpoznać. Niski człowiek czekał spokojnie i w końcu Zeb potwierdził, że popołudnie rzeczywiście jest ładne. Był późny kwiecień. Park w pobliżu Narodowego Ogrodu Zoologicznego skrzył się kwiatami, a drzewa szumiały, wyciągając zielone liście ku obłokom. Zeb od zmierzchu do świtu leżał płasko na plecach, obserwując gwiazdy na prześwielonym, miejskim niebie.

- Może napijemy się kawy? Ja stawiam.

- Chętnie - przyjął propozycję Zeb.

Przespacerowali się wzdłuż Wisconsin, aż dotarli do przecznicy, gdzie mieściły się małe bistra. Niski mężczyzna wskazał jedno z nich, ze stolikami na chodniku. Usiedli. Nikogo więcej tutaj nie było.

- To miejsce wygląda na bardzo drogie - zauważył Zeb.

Karzeł nie mówił wiele. Nie miało to znaczenia. Ich milczenie było przyjazne.

- Jest drogie.

Pojawił się kelner w uniformie i karzeł spytał:

- Co dziś poleca szef kuchni?

Kelner zerknął na Zeba.

- Małże z imbirem gotowane na parze jako przystawka. Ale za godzinę zamykamy.

- To brzmi smacznie. Powiedz Andre, że jest tu Hugo. I przekaż mu, żeby dał z siebie wszystko. Wybierz do przystawki jakieś porządne wino.

Kelner spojrział z powątpiewaniem, ale odpowiedział:

- Oczywiście, sir - odchodząc, odwrócił się.

- Zapomniałeś o kawie - zauważył Zeb.

Hugo przywołał kelnera z powrotem i zamówił dwie kawy.

- Nie piję alkoholu. Masz na imię Hugo?

- Nigdy? - Hugo uniósł brwi. - Tak, przepraszam. Mam na imię Hugo. A ty jesteś...?

- Zeb.

Na to Hugo skinął głową z zadowoleniem.

- Myślę, że dziś zrobisz wyjątek - kelner przyniósł wino. - Znakomity wybór. -
pochwalił go niski mężczyzna. Kelner nalał i odszedł.

Zebowi zaburczało w brzuchu.

- Czego chcesz?

- Ach, pewnie myślisz, że cię ścigam? Nie. Ktoś chciałby cię zatrudnić w Nowym
Orleanie.

- Mnie? Dlaczego? I kto?

- Pewna kobieta o imieniu Marie. Rozkręca projekt mający na celu zbadanie pewnych
anomalii fal radiowych.

Zeb omal nie wylał na siebie kawy. Odsunął się z krzesłem, gotów w każdej chwili do
ucieczki.

- Świetne zarobki - dodał Hugo. - Prawdopodobnie lepsze od tych, jakie masz tutaj.

Hugo wykazał się niezłym poczuciem humoru. Zeb zauważył, że twarz Karla była
nieco płaska, ręce trochę wykręcone. Ale umysł nie miał żadnej skazy.

- Posłuchaj - kontynuował mały człowiek - gdybym chciał ci zrobić krzywdę, czy
zapraszałbym cię na obiad?

- Nie mogę wyjechać - mówiąc to, Zeb czuł, że ogarnia go panika. Jego ukochane
ulice. Każda ma znaczenie. Ellie. Grupa zwolenników SETI. Przyjaciele w parku.

- Szkoda - mruknął Hugo. - Mmm... A oto i małże. Prezentują się znakomicie. Przekaż
to Andre, proszę...

Kelner skłonił się i znikł. Hugo wydobył małża z muszli, ugryzł i przełknął. Oderwał
kawałek chleba, umoczył w sosie i zjadł, wygłaszając przy tym ekstatyczne komplementy pod
adresem szefa kuchni.

Zeb uświadomił sobie naraz, że dość długo głodował. Ostrożnie zerknął na
towarzysza. Ten człowiek nie może mu wydrzeć z głowy żadnych danych, nieprawdaż? Ale
są jeszcze diamenty. Diamenty ukryte w wewnętrznej kieszeni, w małej paczce. Wystarczy
wyjąć jeden i odczytać dane. Zeb jeszcze tego nie uczynił.

Może ten facet właśnie po to się zjawiał.

- Nie musisz decydować już teraz. Myślę, że chciałbyś się lepiej zapoznać z tą propozycją. Chętnie odpowiem na pytania. I musimy iść na koncert. - Hugo upił trochę wina.

- Och?

- Duke Ellington w Howard. Wykonanie "Black, Brown and Beige".

Zeb uznał, że Hugo uśmiecha się z czystą rozkoszą.

- Ten koncert miał dobre recenzje w „Post”.

- Ach, zatem czytujesz gazety.

- Jak to mówią, fanatycznie. - Zeb sięgnął do kieszeni i wyjął prostokątny arkusz cienkiego, gładkiego materiału.

- Znalazłem ten e-dziennik jakiś rok temu. Ktokolwiek go zgubił, opłacił prenumeratę. Od tamtej pory mogę załadować informacje z gazet, o ile działa sieć. Znaczący, raz na miesiąc. Myślę, że próbują wydawać te gazety z czystego uporu. Ale skoro nadal nie są za darmo, można je łatwo znaleźć. Zwłaszcza, odkąd „Evening Star” stał się dodatkiem do „Post” i tych wszystkich mniejszych gazet. Jest tego tyle, że ciężko śledzić na bieżąco wiadomości.

Schował e-Posta i sięgnął po chleb, posmarował masłem i spróbował, przyznając, że zachwyty Hugo nad jedzeniem i jego pełen rozkoszy uśmiech były zupełnie szczere.

- Nie mogę zrozumieć, jak tacy wieśniacy, jak ten Ellington, mogli osiągnąć sukces...

- Ja mogę - odrzekł Hugo. - Myślę, że to wynika z ogromnej fascynacji tym, że można pracować z innymi geniuszami. To prawda, że nie mamy dzieł, które stworzyli tamci geniusze. A ten facet - jak mu tam...

- Ed? Jakiś tam... - skrzywił się Zeb, usiłując sobie przypomnieć.

- No, właśnie. Ed Street. Wyraźnie był dobrym muzykiem. Nie doszedł do tego ot, tak sobie. Uczęszczał do konserwatorium Julliard, Howard, potem narobił smrodu w Monk. Wtedy zwał do Meksyku i związał się z Ellingtonem. Nawet styl gry mu się zmienił. Przypominał, powiedzmy w połowie, młodego Duke'a. Razem zebrali orkiestrę. Wnioskuje, że większość z tych ludzi, których przygarnęli, była zagubiona - absolwenci szkół muzycznych, którzy włączyli się, szukając pracy tu i tam. Ellington przekonał ich pięknym swojego pomysłu i finansami, rzecz jasna. Nie sądzę, aby wielu z nich miało wtedy ustalony styl gry. Może mają teraz, gdy zdobyli już pieniądze, ale wyobrażam sobie, że Street ma spory dług wobec Duke'a. W każdym razie, naprawdę chcę pójść na ten koncert. To najlepsza okazja, by wziąć udział w historycznym wydarzeniu, jaki nam się trafia. Może nie będzie to wydarzenie, które wniesie coś nowego. Ale przynajmniej przywoła echa przeszłości.

Po obiedzie Hugo zaproponował, aby przeszli się po mieście w kierunku Howard.

- Jeśli ci to nie przeszkadza. Chcę się przewietrzyć.
- Lubię spacerować - powiedział Zeb. - To mi pomaga myśleć.

W cichych uliczkach Georgetown wznosiły się domy mieszkalne przeplatane lokalami i biurami.

- O czym myślisz? Zeb przystanął.
- Czego naprawdę chcesz?

Hugo również się zatrzymał.

- Marie chce stworzyć wspólnie z innymi ludźmi miejsce, które będzie... Jak mam to opisać, żeby nie zabrzmiało melodramatycznie? Nie potrafię. Marie chce stworzyć miejsce wolne od współczesnych bolączek i usterek. Bez problemów, z jakimi się borykamy tutaj, gdzie nie istnieje swobodny przepływ informacji. Ktoś, kto dysponuje wiedzą w jakiejś dziedzinie jest dzisiaj odizolowany od specjalistów innych dyscyplin. Nie ma synergii, nie ma jak wzajemnie się stymulować, wzbogacać wiedzę. Moim zadaniem jest zebrać razem ludzi, którzy coś wiedzą. Ludzi, którzy są najlepsi w swoich specjalnościach.

- Nie jestem najlepszy - kategorycznie zaprzeczył Zeb, ruszając naprzód. - Jestem w ryzsztoku. Jak na pewno zauważyłeś.

- Ale dlaczego? - spytał Hugo.

- Dlatego... - zaczął Zeb, ale zamilkł. Dlaczego miałby temu człowiekowi coś mówić? Czuł się rozdarty. Z jednej strony chciał po prostu zbiec w najbliższą przecnicę, by uwolnić się od psychicznego dyskomfortu, jaki wywoływało pojawienie się tego małego człowieka. Z drugiej - jakaś część Zeba chciała zaufać ciemnoskóremu karzełkowi. Było w nim coś solidnego, prawdziwego. Skąd wiesz? - zapytał sam siebie, czując rosnącą złość. Jak można określić, czy ktoś jest wart zaufania, czy nie?

- Posłuchaj - odezwał się Hugo. - Jeżeli taki styl życia ci odpowiada, możesz tak samo egzystować w Nowym Orleanie. Chodzi o to, żebyś był *na miejscu*. Mógłbyś sprawdzić, czy ci to odpowiada. Mógłbyś poszerzyć wiedzę, podzielić się przemyśleniami. Porozmawiać z ludźmi o podobnych przekonaniach...

- Skąd wiedziałeś, jak mnie znaleźć? - przerwał mu Zeb.

- To nie było łatwe - przyznał Hugo. - Czasem czułem się, jakbym był postacią z bajki. No, wiesz, koleś, który w jedną noc musi znaleźć igłę w stogu siana, przechytryć niegodziwego olbrzyma i zdobyć złote jabłko. Robi się późno. Może lepiej złapmy taksówkę.

Jazda przez miasto trwała zaledwie kilka minut. Dotarli do małej, elitarnej dzielnicy, gdzie wszystkie budynki miały niepowtarzalny, wyróżniający styl.

- Moja ciotka tutaj mieszkała - powiedział Hugo, gdy mijali ogródek otaczający

niewielki dom z czerwonej cegły. - Odwiedzałem ją każdej zimy.

Zeb, ukołysany winem i dobrym posiłkiem, pozwolił sobie wpaść w rytm przejażdżki. Próbował się zastanawiać, dlaczego ktokolwiek uznał, że warto go szukać, ale dał spokój. Uznał, że jego niski towarzysz nie wie nic o diamentach; w przeciwnym razie już skończyłyby te podchody. Mógłby w tej chwili odebrać Zebowi diamenty... Dzieciaki, które zbierały się wokół Zeba i nazywały go Człowiekiem z Gwiazd były właśnie takie - naiwne, szukające kogoś, komu mogłyby uwierzyć. Tak naprawdę, niewiele wiedziały. Zeb mógłby im powiedzieć cokolwiek i uwierzyłyby, że to prawda. Szczerze mówiąc, tak właśnie *zrobił*.

Howard przypominało wiktoriański klejnot architektury, dzięki odnowionej fasadzie, która tchnęła dawnym majestatem. Teatr otaczały nieduże budynki i sklepy - kwiaciarnie, kioski, stoiska z żywnością dla smakoszy, stylowe restauracje. Ubrani na sportowo ludzie, niektórzy o skórze mlecznobiałej, inni hebanowej, jeszcze inni o twarzach we wszystkich pośrednich odcieniach, szli w kierunku teatru przez jasno oświetlone ulice.

Odźwierny spojrzął na Zeba z niesmakiem - by nie rzec, z odrazą. Gdy Hugo wręczał strażnikowi napiwek, by ich wpuścił, zdążył przeczytać na tabliczce przy wejściu, że odnowa teatru była rezultatem zastosowania rozwiązań nanotechnologicznych ufundowanych przez zarząd.

Zajęli miejsca w łoży; Zeb się wyluzował, ponieważ nikt nie narzekał na jego obecność. Przedstawienie właśnie się zaczynało.

Ed Street wyszedł na scenę i zażartował, jak to świat ewoluuje w kierunku beżu.

- Panie i panowie... Podczas naszej podróży po Azji...

Hugo stanął przy balustradzie.

- Zdumiewające - wymruczał. - Wygląda idealnie. - A potem obrócił się i usiadł. - Jestem w raju.

Zeb słuchał w skupieniu. Muzyka zdawała mu się całkiem interesująca, choć nigdy nie słuchał zbyt wiele jazzu. A jednak zafascynowały go tonalne związki i rytmiczne struktury, jakie płynęły w powietrzu. To było zupełnie inne brzmienie niż utwory klasyczne...

Czyje?

Uświadomił sobie, że rzadko przypomina mu się muzyka i tamten czas, gdy miał żonę... której imienia zdążył już zapomnieć.

Poruszony chciał wstać i wyjść, ale Hugo chwycił go za ramię i zmusił, by usiadł. Miał zadziwiająco silny chwyt jak na tak małego osobnika.

- Część, której wysłuchaliśmy, nigdy nie była grana przez Ellingtona. Nigdy jej nie słyszałem. To muzyczny opis historii, w której główny bohater, Boola, zostaje wprowadzony z

Afryki i przywieziony tutaj na statku niewolniczym wśród półtora tysiąca jemu podobnych. To archetyp czarnego, który pojawia się w każdym stuleciu historii czarnych w USA. Jestem pod wrażeniem.

- To było interesujące - przyznał Zeb.

- Zobaczysz, następna część dopiero cię zachwyci.

Mimo wewnętrznego sprzeciwu Zeba wciągnęło przedstawienie. Nigdy nie nudziła go muzyka na żywo, ponieważ nie wydawała się sztuczna w porównaniu z naturalnym tłem dźwiękowym otoczenia. Może z powodu wina Zeb się zrelaksował, pozwolił, by melodia porządkowała mu myśli.

Po krótkiej owacji na stojąco Hugo wyprowadził go na korytarz ewakuacyjny.

- Powinniśmy tedy wychodzić? - pytał nerwowo Zeb.

- Tylko wtedy, jeśli nie chcemy być stratowani przez tłum - niski mężczyzna skrzył w odnogę korytarza i otworzył drzwi, których Zeb nawet nie dostrzegł w słabo oświetlonym przejściu. Zorientował się, że dotarli za kulisy.

Hugo odszukał Eda Streeta i po przedstawieniu się zasypał go komplementami na temat przedstawienia. Wydawało się, że Streetowi sprawia to przyjemność. Potem Hugo przeszedł do planów Marie i propozycji, by Ed wziął w nich udział. Mały człowiek wręczył muzykowi wizytówkę i coś, co wyglądało, jak kasetka magnetofonowa. Teraz Street zaczął sprawiać wrażenie zdenerwowanego, zerkał na wszystkie strony, w końcu rzekł:

- Bardzo przepraszam, ale jestem oczekiwany na przyjęciu - i Hugo musiał dać mu spokój. Wraz z Zebem wyszli w aleję na tyłach teatru. Noc była przyjemnie chłodna.

- Pomyślałem, że moglibyśmy się dziś zatrzymać w Sheratonie. Zarezerwowałem dla nas miejsca w tym nowym pociągu na jutro rano.

- Nie powiedziałem, że pojedę - zauważył Zeb.

- To prawda. Ale sprawiłbyś mi i Marie ogromny zaszczyt, gdybyś pojechał.

- A co, jeżeli nie zechcę?

- Powiedz mi, dlaczego i rozważmy to wspólnie.

- Nie wyjaśniłeś, jak mnie znalazłeś.

- Ogłaszaliśmy się, szukając różnych specjalistów. Bardzo szybko w Nowym Orleanie pojawił się jakiś człowiek i powiedział nam o tobie. Powiedział, że wiesz wiele na temat astronomicznych aspektów związanych z obecną sytuacją i że niewielu ludzi wie tyle, co ty. Poleciał nam nawiązać z tobą kontakt. Może ci pomóc. Zabrać z Waszyngtonu. Ten człowiek powiedział, że znasz go, choć pod innym nazwiskiem. Nam nie podał prawdziwych personaliów. Szukałem cię przez ponad dwa tygodnie. Próbowałem rozmawiać z tobą w

zeszłym tygodniu, w parku przy Szesnastej i K, ale bredziłeś coś o obcych i chyba mnie nie słyszałeś. Ten człowiek powiedział nam jeszcze, że kiedyś dał ci płaszcz...

- Dlaczego mnie nie zabiłeś? - przerwał mu Zeb cicho, cofając się. Ten niski mężczyzna udaje, że zna Craiga. A przecież Craig nie żyje. Ten Hugo chciał tylko tajnych danych, nad którymi pracował Craig. Do licha. Ktoś musiał widzieć Zeba, gdy próbował je odczytać w bibliotece. Starał się nie trzymać małej książeczki na widoku, ale przecież musiał do niej zaglądać!

- Nie mam nic, nic! Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz? Jestem świrnięty! Mam pomieszane w głowie! Nie wiem nic o tych przeklętych sprawach! Zostaw mnie w spokoju! - wydawało mu się, że biegnie powoli, jakby w sennym koszmarze.

Hugo ruszył za nim, krzycząc:

- Czekaaj!!!

Strach dodawał sił ramionom i nogom, a odległe wspomnienie informacji z TV o Craigu było dodatkową motywacją. Zeb uciekał, uświadomiwszy sobie nagle, że Hugo ma broń. Nic nie powie, nic, ani słowa, bo jeżeli powie, będzie można go spokojnie zabić. Ciężko dysząc wpadł w bezpieczną, zapraszającą go ciemność i skrył się wśród cieni. Z daleka dobiegł go słabo już słyszalny głos, który krzyczał:

- On nie jest martwy!

Ten karzeł próbuje go zatrzymać, próbuje go tylko skłonić do powrotu. Zeb pobiegł wzdłuż alei, przeciął kilka podwórek, wskoczył do zatrzymującego się właśnie autobusu i odjechał. Jechał długo. Tak długo, aż poczuł się śpiący. Kierowca zbudził go i kazał wysiąść, a Zeb zastanawiał się, czy możliwe jest, że tylko śnił o spotkaniu z ciemnoskórym krasnoludem...

PAUZA

W parku bawi się mały chłopiec. Ma pięć lat. Jego ojciec siedzi niedaleko na ławce razem z innymi rodzicami.

Chłopiec szura stopami w kurzu pod huśtawką; zwalnia; zsuwa się z plastikowego siedzenia i potykając, robi kilka kroków. Pochyla się, by dotknąć żółtego helikoptera, zabawki, którą ktoś najwyraźniej porzucił na trawniku obok pogniecionego papierowego kubka.

Chłopiec podnosi zabawkę; zakręca śmigłem. Unosi głowę i widzi kobietę stojącą nieopodal - kobieta ma czarne, długie włosy i surowe spojrzenie, jak u nauczycielki. Chłopiec zastanawia się, czy zrobił coś złego. Może helikopter należy do jej małego dziecka? Chłopiec czuje pokusę, by uciec i zatrzymać dla siebie zabawkę. Zauważa jednak, że jego ojciec patrzy, więc robi kilka kroków w stronę nieznaną. Powinien jej oddać helikopter. Nie wolno mu przecież zabierać rzeczy, które do niego nie należą.

Nagle ręka chłopca staje się ciężka, ospała. Upuszcza helikopter i potrząsa ramieniem, ale to tylko pogarsza jego stan. Ręka staje się ciężka, bez czucia. Chłopiec próbuje krzyczeć, szuka ojca, ale widzi tylko kobietę, która uśmiecha się i odchodzi. Słyszy naraz dziki krzyk ojca. Chłopca ogarnia odrętwienie, nie może oddychać. Czuje, jak ojciec obejmuje go ramionami i gwałtownie podnosi z trawy. Oczy chłopca patrzą w górę, ku czystemu, błękitnemu niebu.

„New York Times”

ŚMIERĆ DZIECI W PARKU SPOWODOWAŁA EXODUS Z MIASTA

Wczorajszego popołudnia na głównych ulicach miast pojawiły korki. To skutek masowej ucieczki rodzin na wieść o szerzących się zgonach w Central Parku. Zmarło tam już dwadzieścioro troje dzieci. Według anonimowego informatora, jeszcze dwie małe ofiary w stanie dziwnego paraliżu przebywają na oddziale intensywnej opieki medycznej w Szpitalu Dziecięcym. Rzecznik szpitala zaprzecza tym doniesieniom.

PREZYDENT ODWOŁUJE SIĘ DO DEKRETU O JURYSDYKCJI W CZASIE WOJNY

W bezprecedensowym posunięciu Prezydent McPerry powołał się dzisiaj na Dekret o Jurysdykcji w Czasie Wojny, aby uprawomocnić podpisanie kontrowersyjnego paktu o przynależności do Północnoatlantyckiej Organizacji Nanotechnologicznej. Traktat ten daje szerokie pełnomocnictwa Federacji, międzynarodowej organizacji na wzór ONZ, w kwestiach wyłączności na rozpowszechnianie i stosowanie osiągnięć nanotechnologii.

Spodziewane jest, że obie izby Kongresu poprą stanowisko McPerry'ego. Nowojorska kongresmanka Benetti z nowo powstałego dzielnicowego okręgu wyborczego oznajmiła, że (cytując): „ten niewypowiedziany tragiczny akt, który miał miejsce w Central Parku w ostatnim tygodniu, stał się dla niej silną motywacją”. Udzieliła też poparcia w imieniu swojego okręgu wyborczego dla wszelkich kroków podejmowanych w sprawie przeciwdziałania podobnym akcjom terrorystycznym.

Długi riff w przeszłość i przyszłość w tonacji moll

Annie, Waszyngton, 2029

To było zdumiewające, obserwować Annie tuż przed tym, jak wysiadzie z Metra kursującego pod Potomakiem, przez jeden z tych nowych tuneli powstałych dzięki najnowszym przełomom w badaniach nad manipulacjami molekularnymi. Wiosna w Waszyngtonie nappełniała Annie poczuciem radości na widok powracającej do życia przyrody. Kobieta zamknęła oczy, by przywołać obraz różowych kwiatów wiśni, które zawsze kojarzyły się jej z zatrzymanymi w pół piruetu tancerzami. Zaledwie wczoraj spacerowałam pomiędzy kwitnącymi różowo drzewami, próbując się mentalnie przygotować na próbę, która - jak sobie wyobrażała - czekała ją w dniu dzisiejszym.

Drugi przystanek pojawił się za wcześnie. Annie musiała się przepychać do wyjścia, by wkroczyć w świat nauki splamiony polityką, do którego teraz należała. Skierowała się do ruchomych schodów.

Nie czekała z utęsknieniem na poranne spotkanie. Miała być ekspertem zeznającym jako świadek przed Kongresem w sprawie wprowadzenia głównych założeń planu nowego systemu łączności opartej na metaferomonach. To już za godzinę. Świt zastał ją w Pentagonie, zajętą przygotowaniami do wystąpienia. Teraz musiała tylko wstąpić do biura, zabrać parę rzeczy i poczekać na limuzynę.

Słońce, jak zauważyła, gdy wyszła z podziemi, świeciło blado, powietrze było ostre, wbrew zapowiedziom ocieplenia zwiastowanym przez kwitnące drzewa wiśni. Gdy czekała, by przejść przez I Street, parada wehikułów o różnych kształtach, uzależnionych od rodzaju napędu, wypełniła pasy jezdni w hołdzie codzienności rządzonej przez boga zniszczonej Sieci. Annie nie czekała dłużej, przebiegła pomiędzy pojazdami, nie zważając na klaksony. Najwyżej do końca roku nielegalne stanie się prowadzenie pojazdu innego niż napędzanego energią słoneczną. Dozwołaną alternatywą pozostaną rowery. A Annie miała przeczucie, że w wielu miastach wszystkie środki transportu za wyjątkiem komunikacji miejskiej, będą wyjęte spod prawa.

Przystanęła przy regularnie odwiedzanym barze kawowym i Feng wręczył jej zwyczajowy kubek nieco lepkiej wietnamskiej kawy. Pijąc, przyglądała się zieleniejącym drzewom w parku. Pomnik jakiegoś generała na koniu majaczył w oddali. Wspomniała

dręczące ją obiekcje dotyczące nowego systemu łączności. Pierwszą i najważniejszą była obawa, że system zbyt łatwo może się wymknąć spod kontroli. I jak wówczas zapobiec panice? Potrafiono jej jedynie odpowiedzieć, że świat cały czas jest w stanie pogotowia. Komunikacja przez radio i sieć nadal działa, choć sporadycznie. Kable okazały się ograniczonym nośnikiem informacji, a zaledwie dwa tygodnie temu główny przewód połączony z Japonią został zniszczony w wyniku akcji nano-sabotażu. Na świecie było wielu rozgniewanych ludzi. Niektórzy byli po prostu szaleni, ale część chciała przekształcić Ziemię w bukoliczną wizję Gajan, co oznaczało radykalne zmniejszenie populacji i równie radykalną rezygnację z większości osiągnięć techniki. Było coraz więcej ataków terrorystycznych. Przejście na tryb Biomiast może przynieść większą wykrywalność takich aktów i niezależność - a w końcu tego domagali się od początku inwestorzy. Annie miała szczerzy zamiar podyskutować w tej sprawie.

Jednak nie czekała z niecierpliwością na przesłuchanie przed komisją. Kim ona jest - na pewno zapytają - żeby sprawdzać i omawiać błyskotliwe i wyjątkowe oferty od najbardziej prestiżowych międzynarodowych firm nanotechnologicznych? Od tygodni Annie miała głowę pełną sformułowań, które jak najprecyzyjniej pozwolą jej wyłożyć problemy, jakie przewidywała odnośnie systemu komunikacji metaferomonowej, a jednocześnie przedstawią zagadnienia w sposób klarowny i łatwy do zrozumienia. Nocami dręczyły ją zimne dreszcze strachu. Nawet teraz drżała, gdy wchodziła w cień. Słońce znikło. Chłodny powiew zatrzęsł nagimi gałęziami nad jej głową.

Nagle przed Annie pojawiła się blada, zarośnięta twarz. Mężczyzna w starym płaszczu. Jego oczy spoglądały bystro, nie półprzytomnie, jak w przypadku większości bezdomnych. Już otworzyła usta, by stanowczo stwierdzić, że nie ma drobnych, lecz natychmiast je zamknęła.

Patrzyli na siebie, Annie i ten włóczęga, przed długą chwilę. To było ileś lat temu. Ile? Piętnaście? Złamane serce jej matki. Annie wierzyła, że właśnie smutek doprowadził mamę do raka i śmierci. Czyżby to był naprawdę...?

- Wujek Zeb? - zapytała łagodnie, bo wydawał się taki kruchy, a jednocześnie czujny i gotów do ucieczki.

Drgnął zaskoczony.

- To ja, Annie - powiedziała. - Pamiętasz? Jestem córką Sal.

Zamrugnął powiekami.

- Oczywiście, że pamiętam. Widziałem cię. Szłaś przez park. Chodzisz tędy codziennie.

Annie uniosła brwi. Chodziła tą trasą od około trzech miesięcy, odkąd otrzymała zaszyfrowaną wiadomość w wygniecionej, zapieczętowanej kopercie ze stemplem Tokio, w której powiedziano, że może tu znaleźć wuja. Zastanawiała się, czy to nie żart, ale uznała, że raczej nie. Na początku naprawdę próbowała odszukać wuja, ale potem codzienna trasa po prostu weszła jej w krew i przekształciła się w zabobonny rytuał.

Zeb uniósł rękę i odgarnął jej włosy z czoła, jak to robił, gdy była jeszcze dzieckiem.

- Jak tam Sally?

Głęboki smutek, jaki jej towarzyszył od wielu lat, odmalował się na twarzy. Pociągnęła nosem.

- Nie żyje, wujku Zeb. Szukała cię wszędzie, wiesz? Straciła trzy lata na poszukiwania. Tata myślał, że zwariowała.

- Nie żyje... - opuścił ręce. Kąciki ust opadły mu w dół. Spojrzał na Annie uważnie. - Tak... Tak mi przykro, Annie. Wiesz, nie czułem się... dobrze, jak myślę. To jest... dobry czas. To znaczy, dla mnie. Na myślenie.

Annie otarła łzy. Doskonały sposób, by dobrze wypaść przed komisją.

- Za dziesięć minut muszę się gdzieś pojawić. Chodź ze mną. Możesz poczekać na zewnątrz. A po wszystkim pójdziemy coś zjeść... Do licha, przesłuchania pewnie będą trwały cały dzień. Popchaj...

- Wszystko w porządku, Annie - powiedział łagodnie. - Jesteś zajęta.

Odwrócił się, by odejść. Pobieгла za nim.

- Zeb, zwariowałaś?! - Powinna się ugryźć w język za ten ton, ale mówiła dalej: - Możesz pójść ze mną do domu. Mam apartament w Kaloramie. No, wiesz, niedaleko zoo. Co się z tobą działo przez cały ten czas?

Zatrzymał się i popatrzył przed siebie pytając:

- Co z Plejadą i Zefirem?

Poczuła nieodpartą chęć, by go udusić. Wzięła głęboki wdech.

- Psy zdechły lata temu. Oba. Brad był zdruzgotany. Ale miały trzy mioty i Brad zatrzymał kilka szceniąt. Hoduje teraz owce, których pilnują owczarki - spojrzała na zegarek. - Naprawdę, muszę już iść. Mam biuro parę przecznic stąd. Możesz tam poczekać. Chodź - wzięła go pod ramię, ale Zeb się nie poruszył.

- Lepiej zostanę tutaj.

- Szkoda, że nie mam więcej czasu. To moja wizytówka - rozpaczliwym gestem napisała coś na odwrocie karty. - To mój adres. Powiem strażnikowi, żeby cię wpuścił. Zobaczymy się w moim mieszkaniu wieczorem, dobrze, wujku Zeb? - starała się, by jej głos

brzmiał pewnie i stanowczo. Potem przebiegła przez ulicę na światłach. Do diabła! Spóźni się. A myśli ma w zupełnej rozsypce. Rzuciła jeszcze spojrzenie za siebie, na ulicę. Zeb odszedł.

*

Chciała się popisać i do domu pojechała taksówką. I po co, do cholery? Czegóż takiego się tutaj może dorobić? Siwych włosów? Patrząc na doświadczenia dnia dzisiejszego, wychodziło, że nie miała żadnego doświadczenia. Podobnie, jak te dupki z komisji, którzy zostaną splukani wraz z nadchodzącą kolejną falą nanotechnologii. Umysł jej tańczył wśród okropnych obrazów. Co ona tu robi? Powinna być z Bradem i paść owce w dolinie. Mogłaby równie dobrze zapomnieć o tym, co zrobiła dobrego. Nie było logicznego sposobu, by odciąć strumień pieniędzy przepływający obecnie pod każdym stołem w Waszyngtonie, nie wspominając nawet o tych wszystkich podniecających sposobach, w jaki międzynarodowe korporacje forsują swoje kosztowne i niebezpieczne wizje przyszłości. Może wszyscy zasługują na powrót do Wieków Średnich. W opinii Annie do tego właśnie zmierzał świat, znacznie szybciej niż to sobie uświadamiała większość ludzi.

Jasne, była skąpa - i o wiele za młoda, aby tak się zachowywać. Ale była z tego dumna. Jednak nadszedł czas, aby to zmienić. Miarka się przebrała. Ten dzień uzmysłowił Annie, że nic się nie liczy.

Było ciemno i Annie kołysała się na wąskim tylnym siedzeniu pojazdu. Kierowca nie mówił po angielsku, musiała wskazać mu adres na mapie i uprzedzić, gdzie skrócić.

Miała wrażenie, jakby cały dzień przepracowała w kamieniołomach. Wypiła w pośpiechu lampkę wina, czekając na wietnamskie danie na wynos, które teraz spoczywało w torbie leżącej obok. Annie odprężyła się, pozwalając myślom płynąć swobodnie.

To były dziwne czasy. Przez kilka minionych stuleci ludzkością wstrząsały przełomowe prawdy. Do teraz. Pierwszą z wielkich zmian przyniosło Oświecenie. Nastąpił wówczas rozkwit myśli wywołany dostępnością książek drukowanych dzięki zastosowaniu ruchomych czcionek. Potem, w szczycie okresu Rewolucji Przemysłowej, przełomem była teoria Darwina, dowodząca, że wszystko, co żyje, nie jest dziełem Bożej kreacji, lecz wynikiem działania sił natury. W opinii Annie ta niezwykle rewolucyjna myśl nigdy nie została przez ludzkość zaakceptowana do końca, grzęzła w próbach dopasowania jej do religii i mistycyzmu. Potem rozwój fizyki zrodził bombę atomową, co przyczyniło się do zimnej wojny. I, zgodnie z nazwą, ochłodziły się stosunki polityczne, przez pięćdziesiąt lat utrzymywał się stan wzajemnych animozji i wrogości. Groźbę stanowił postęp nauki. Internet, z jego anarchią i brakiem hierarchii, został zaprojektowany przez ludzi o podobnych cechach

(czytaj: Amerykanów) do utrzymania komunikacji po tym, gdy świat ulegnie zniszczeniu i rozpocznie się odbudowa cywilizacji. Na ich obraz i podobieństwo, rzecz jasna.

Obecne nadejście nanotechnologii w parze z Ciszą, zmusiło ludzkość do konfrontacji twarzą w twarz z prawdami, które wcześniej, jak się zdawało, mogła ignorować.

Ziemia okazała się cząstką wielkiego, galaktycznego ekosystemu, silnie wpływającego na wiele aspektów egzystencji człowieka. Ludzkość była o krok od umiejętności kształtowania materii na wiele subtelnych sposobów, włączając w to materię umysłu. Niczym dziecko stojące w wielkim pokoju z przymkniętymi drzwiami i prześwitującym za nimi srebrzystym blaskiem...

Czy ludzkość zatrzaśnie drzwi, czy też przejdzie przez ciemny pokój i śmiało otworzy przejście?

Cóż, w przeciwieństwie do Brada, nie umiała przestać się przejmować resztą świata. Otworzyła oczy i obserwowała przesuujące się światła. Był to nowy wynalazek, bioświatła, rzucające charakterystyczny zielonkawy poblask. Taksówka minęła zaułek, gdzie na krawężniku siedział gang dziewcząt, paląc papierosy i sprawdzając broń, zapewne na okoliczność wyjścia na jakąś huczną imprezę. Trzeba być niezłe świrniętym, aby tu zamieszkać. Annie powinna postarać się o mieszkanie po drugiej stronie rzeki, w lepszej dzielnicy. Tam, gdzie było bezpieczniej. Przynajmniej tak twierdziły reklamy.

Annie przypomniała sobie pierwsze wersy ulubionego wiersza. „Tygrys” Blake'a: „*Tygrys, Tygrys, jasno płoniesz...*”⁵ Jeżeli ludzka inteligencja była tygrysem, to jak długo wytrwa, jak długo będzie sobie radzić w *nocnych lasów mrocznej toni*? Nie było *nieśmiertelnego oka, co tę symetrię mogło począć*. Nie w tym wszechświecie. Symetria skrywała się o wiele głębiej. A teraz tylko od nich, ludzi, śmiertelnych, zależało, jaki kształt przybierze to, co nadejdzie w niedalekiej przyszłości.

Taksówka się zatrzymała i Annie wsunęła w gniazdko kredytowy styk. Rozbłysnął jasno, kiedy otwierała drzwi pojazdu. Chwyliła kolację. Ich kolację. Miała nadzieję, że wujek Zeb przyjdzie. Drzwi taksówki zasunęły się cicho, a do Annie podszedł strażnik, by doprowadzić ją do oddalonej o jakieś dziesięć stóp bramy.

Nie miała czasu, by myśleć o Zebie. Nawet nie chciała o nim myśleć, ponieważ przypominał jej te wszystkie koszarne lata, kiedy jej matka gasła powoli i czas po jej odejściu. Piętnaście ciężkich, trudnych lat, w tym dwa o krok od rozvodu.

⁵ Wszystkie cytaty i nawiązania pochodzą z wiersza Williama Blake'a pt. „Tygrys”, w tłum. Macieja Frońskiego. (przyp. tłum.)

- Ma pani gościa - powiedział Harry przy wejściu. Drugi strażnik obserwował ich zza szklanych drzwi, kilku innych, gotowych na każde wezwanie, przebywało na terenie budynku.

- Wybacz, że musiałeś tu czekać, wujku Zeb. Witaj! - objęła go. Nie cuchnął jak włóczęga. Z dzieciństwa pamiętała jego zapach - woń palonego drewna i górskiego powietrza. Teraz poczuła tylko zapach taniego mydła.

Objął ją - mocno. Potem cofnął się. Wydawało się, że nie może wykrztusić słowa.

- Ładnie tu - rzekł w końcu, gdy znaleźli się w mieszkaniu. Wąski korytarz prowadził do salonu, jadalni i kuchni po jednej stronie oraz dwóch sypialni naprzeciw. Annie używała jednej z nich jako gabinetu do pracy. Apartament urządzony był częściowo meblami po matce i sprzętami w stylu Art Deco, kupionymi na targach staroci. Niepasujący do wystroju wyblakły dywan z orientalnym wzorem przykrywał drewnianą podłogę. Zeb w milczeniu stanął w salonie. Wyglądał na nieszczęśliwego, jak dzikie stworzenie nieprzywykłe do ścian.

- Usiądź na chwilę, podgrzeję tylko jedzenie - powiedziała Annie.

- To meble z jadalni twojej matki, prawda? - zapytał nadal stojąc. - A wcześniej należały do babki.

- Tak - przyznała. Zastanawiała się, czy Zeb jest alkoholikiem. Nie wyglądał. Wyglądał raczej na zmęczonego.

- Mogę wziąć twój płaszcz? - spytała, ale tylko potrząsnął przecząco głową.

Weszła do kuchni. Zeb ruszył za nią. Wyjęła jedzenie i położyła kartonowe pudełka na płycie podgrzewacza. Trochę to staroświeckie, ale sprzęt był na wyposażeniu mieszkania.

- Jedyny kłopot z podgrzewaniem, że trzeba mieszać - sięgnęła do szuflady i wręczyła Zebowi łyżkę.

Był tu makaron, parę rodzajów potraw z mięsem, sajgonki, warzywa. Annie naląła sobie lampkę wina.

- Masz ochotę? - zapytała z wahaniem.

- Jasne - odparł, ale po pierwszym łyku odstawił na kontuar. Wyjęła talerze i miski, nałożyła do nich jedzenie.

- Jak długo jesteś w Waszyngtonie, Zeb? - zagadnęła, starając się, aby jej głos brzmiał spokojnie.

- Och... - milczał prawie przez minutę. - Bardzo długo... Ustawił srebrne sztuce na talerzach. Annie zabrała jedzenie do jadalni. Odsunęli krzesła, usiedli naprzeciw siebie przy stole. Za plecami kobiety, w wysokim, starym oknie, mrużyły światła miasta. Nałożyła sobie sajgonki, myśląc o tym, jak przyjemnie, że na razie nie rozległy się jeszcze strzały.

- Słodki zapach - odezwał się Zeb. - Podobny, jak w domu twojej matki. Opuścił głowę i wciągnął powietrze nosem tuż nad blatem stołu. - Stare drewno tak ma. Wydziela aromat. - Zerknął na Annie i dodał: - Niektórzy ludzie uważają, że zapach jest najsilniejszym ze wspomnień.

Annie napelniła mu talerz.

- Jedz. Jesteś za chudy.

*

Zeb nie miał ochoty na jedzenie. Chcę tylko pamiętać - pomyślał. Zerknął na Annie, w jego wyobraźni pojawiła się nie tylko jej twarz, lecz także ukochana twarz jej matki. Annie była do niej podobna, tak bardzo podobna. Cieszył się, że wydawała się mieć już za sobą meandry okresu niepewności i wahań, w których on sam zagubił się wiele lat temu.

Annie wstała i zapaliła świece w kryształowych świecznikach, które także kiedyś należały do jej matki. Uśmiechnęła się do Zeba.

- Specjalna okazja - wyjaśniła.

„Może to coś w jej twarzy” - zastanawiał się Zeb. Pamiętał, jak dawno temu odwróciła się do Craiga i dyskutowała o czymś. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy Craig przyszedł. Nie widzieli się od... od bardzo dawna. Kiedy to było? Craig przyciągnął sobie talerz, pokiwał głową. Ich słowa - Annie i Craiga - były jak wystrzały w cichym powietrzu. Uprzejmy ton, ale z nutą rywalizacji. Annie patrzyła ze złością, uśmiechnął się do niej. To było takie piękne. Zebowi zdawało się, że pokój rozmywa się we mgle, że płyną w oceanie gwiazd, tylko stół, krzesła i dawna rodzina lawirująca wokół Annie, otoczona blaskiem minionych lat. Gdyby tylko mógł podejść i otworzyć szufladę wspomnień i wyjąć jej zawartość, jak wyblakłe serwetki... Ten archetypiczny dzień, gdy Zeb i Sally poszli pływać w potoku, psy szczekające i pilnujące ich z kamienistego brzegu, błękitne kontury gór prześwitujące między drzewami i potem w letni wieczór Tato, rozkładający na stole podobne chińskie dania...

Potem Annie go objęła, a Craig patrzył zmartwiony. Zeb słyszał głos Annie wyraźnie, czysto.

- Zeb, już dobrze. Och, kochany, to nie twoja wina, naprawdę!

Uświadomił sobie, że szlocha. Głęboko zaczerpnął tchu, wyrwał mu się ostry, zwierzęcy jęk.

- Tak wiele straciłem - usłyszał własne słowa.

- Nigdy go nie widziałem w takim stanie - powiedział Craig.

- Właśnie zrozumiał, że jego siostra nie żyje - odparła Annie, a jej słowa brzmiały napięciem i złością. - Nie, żeby tobie robiło to jakąś różnicę. No, Zeb, daj mi ten płaszcz.

Dobrze. Wieszam go tutaj. A teraz chodź i połóż się na kanapie. Odpocznij chwilkę.

Zeb poczuł, że jego obronna skorupa pęka, słyszał mamrotanie Craiga.

- Próbowałem dać mu nowy płaszcz, ale on woli ten. Oczywiście, przecież ten płaszcz był prezentem od Craiga.

- Nie zawsze taki jestem - zaprotestował, gdy położono go na kanapie.

Craig wytarł mu twarz serwetką i Zeb uświadomił sobie, że cały jest spocony.

- Żałuję... - wyszeptał. - Żałuję...

A potem zapadł w sen. Od czasu do czasu otwierał oczy i widział Craiga z Annie po drugiej stronie pokoju. Rozmawiali, wymieniali się argumentami, ale Zeb za każdym razem znowu wpadał w objęcia snu - bezpieczny, chroniony. Czuł, że Sally unosi się w pobliżu, był pewien, że jest obecna. Odeszła tam, gdzie wymiary znikają, do miejsca, gdzie Zeb często zaglądał, podczas gdy świat przemijał wokół niego.

*

Annie opadła na stare krzesło obite zielonym materiałem z jaśniejszym splotem wzoru. Wyprostowała nogi. Zakreśliła szklanką z nalaną przed chwilą whisky z wodą. Niedojedzona kolacja stała na stole. Zeb leżał na kanapie po przeciwnej stronie pomieszczenia. To był bardzo długi dzień. Annie zastanawiała się, kim jest Craig. Zeb z całą pewnością miał halucynacje.

Zdecydowała, że wyjdzie rano. Oboje będą potrzebować porządnego śniadania. Może kawa pomoże wujowi. Annie próbowała sobie przypomnieć, co matka mówiła o stanie Zeba. Annie wyprostowała się i pociągnęła łyk alkoholu, obserwując śpiącego mężczyznę.

Był bardzo chudy. Prawdopodobnie z wycieńczenia i choroby. Ale żywy. „Och, mamo” - wymruczała i łyzy wezbrały jej w oczach, ale tym razem pozwoliła im płynąć.

Wspomniała czasy, gdy była studentką drugiego roku college'u. Sally martwiła się o nią, miała niejasne, niesprecyzowane obawy. *Stoczysz się, jak mój brat?*

Nie ma mowy, mamo. Zrównoważona. Odpowiedzialna. Stara, dobra Annie, to ja. Brad miał na koncie jeden lub dwa straszne epizody, ale teraz, jak się zdaje... wszystko w porządku. Ma owczarki collie pilnujące stada sklonowanych owiec i małą fabrykę wełny w dolinie. Z najnowszym wyposażeniem. Wełna praktycznie sama spada z owiec i splata się w miękkie kaszmirowe swetry. Ale wszystko nadal całkowicie naturalnie. All-Natural, to świetna dźwignia handlu. Na etykietach jest ładny obrazek - Brad, pies i owce. Bardzo naturalny, w rzeczy samej. Na ziemi Zeba. Było ciężko, jak diabli, wyrwać ten kawałek gruntu ze szponów biurokracji, zwłaszcza, że wyglądał, jakby nigdy nie był zamieszkany.

Annie upiła łyk whisky i czując, jak ciepło rozlewa się po przełyku i po całym ciele.

Odchyliła głowę, zamknęła oczy i pogрузzyła się we wspomnieniach...

*

To był jasny dzień stycznia. Mróz prawie dziesięć stopni. Niebo błękitne, bezchmurne i tylko wiatr nawiewał tumany śniegu i rzucał je na drogę nr 460, utrudniając Sally prowadzenie samochodu.

- Nawet nie zabrał pigułek - powtarzała. Często tak mówiła. Annie milczała. Sally udało się odzyskać tę półciężarówkę z konfiskaty w Waszyngtonie, dzięki sporej łapówce. - I gdzie jest ten skręt? Pamiętasz, Annie?

- Nie - odpowiedziała dziewczyna. Porzuciła szkołę na semestr, żeby pomóc matce. Martwiła się, jak to wszystko się skończy. Nic nie mogła poradzić, że była perfekcjonistką. Nanotechnologia była nową dziedziną i niełatwo było dostać się do renomowanej szkoły. - Czekaj. Tutaj, jak mi się zdaje. Między te płoty. Pamiętam tę starą stodołę. - Zeszłego lata Zeb przywiózł tutaj rodzinę.

Sally zawróciła półciężarówkę i wjechała na ścieżkę.

- Ślady opon. Piasek. Ktoś tu był, nieprawdaż?

Annie próbowała nie domyślać się, kto to mógł być. Od pierwszej przerwy w dostawie elektryczności pojawiły się zdumiewające naciski rządowe na różne dziedziny nauki. Annie musiała przejść przez szereg przesłuchań mających na celu kontrolę bezpieczeństwa, aby otrzymać zezwolenie na kontynuację studiów na wydziale astronomii, które robiła po prostu jako dodatkowy kurs.

- Jesteś pewna, że powinniśmy to zrobić, mamó? - zapytała.

- On tu był w tę noc, gdy wszystko się zaczęło - odpowiedziała Sally. - Czegoś się dowiedział właśnie tutaj.

- I zaraz potem zniknął - zauważyła Annie. - Nic ci to nie mówi, mamó?

- Nie chcę o tym słyszeć - ucięła matka.

- Nie to miałam na myśli... Och, nieważne - wycofała się Annie. - On nadal żyje.

Wiem to.

- Mógł wpaść pod samochód - mruknęła Sally ze smutkiem, ale obie wiedziały, że to nieprawda. Widziały go w SNN. Cały świat widział. Wykrzykującego coś o rządowym spisku.

- Mam lepszy pomysł - stwierdziła Annie. - Antena jest niedaleko od szlaku przez Apallachy. Czemu nie weźmiemy trochę zimowego sprzętu i nie pójdziemy tamtędy?

Sally przez chwilę zmagala się z kierownicą, żeby ominąć jakiś głąz.

- Myślałam o tym.

Annie zerknęła na matkę.

- Naprawdę?

- Pewnie. Ale jeżeli jest tam straż, mogli przewidzieć, że ktoś spróbuje zejść ze szlaku. To jednak bardziej niebezpieczna droga. Jeżeli uznają, że próbujemy się podkraść, mogą nas zabić. Tędy... - Sally machnięciem wskazała kierunek.

- Ostrożnie - powiedziała Annie, gdy samochód przeciskał się wąską ścieżką tuż nad przepaścią. Matka nie powiedziała ani słowa.

Była straż, oczywiście. Armia. Annie poczuła lekkie zaskoczenie. Czy Gwardia Narodowa powinna zajmować się czymś takim? Mieli przecież tylko strzec granic! Pomijając, że obie siedziały w półciężarówce należącej kiedyś do Zeba, strażnicy nie mieli problemów z uwierzeniem, że przyjechały tu tylko dla pięknych widoków albo na wycieczkę, czy w podobnym celu.

Wcześniej spędziły dwa tygodnie w Waszyngtonie. Oczywiście, w mieście wybuchło wielkie zamieszanie, panował tłok i ścisk. To było jak pielgrzymka. Oby w Waszyngtonie wiedziano, co z tym zrobić!

Kiedy Annie wróciła do szkoły, nie spotkała jej żadna kara. Ze względu na jej oceny zaproponowano jej przyspieszony program nauczania. A kiedy oznajmiła, że nie może uczęszczać na zajęcia latem, bo musi pracować, rząd przyznał jej jedno z nowo wdrożonych stypendiów. Nagle nauka okazała się ważna. Atmosfera zagrożenia ogarniała nie tylko kraj, ale cały świat. W przeciwieństwie do tych nastrojów, tak wiele odkryć naukowych w dziedzinie nowych technologii dokonano właśnie w tamtym okresie.

*

Annie obudziła się, bo poczuła chłód i usłyszała, że ktoś mówi. Siedziała w salonie, w ciemności. Okno było otwarte. Zimny wiatr rozrzucił stos jej dokumentów po całym pokoju.

Zeb znowu miał na sobie płaszcz. Palił papierosa, używając jednej z chińskich filiżanek Sally jako popielniczki. Annie zwalczyła impuls, by skoczyć, wyrwać mu naczynie i umyć.

Twarz wuja lśniła w świetle padającym z kuchni. Mówił bardzo szybko. Nagłym ruchem zbliżał papierosa do ust, równie szybko go wyrwał po mocnym zaciągnięciu.

- Nie miałem zamiaru tak postąpić, Annie, no wiesz, ale nie miałem wyboru. Jest coś, co wiem... - zaśmiał się nisko. - Widziałas mnie w dzienniku „Washington Post”, nie tak dawno?

- Nie - odpowiedziała. Choć próbowała czytać gazety regularnie, niekiedy była zbyt zmęczona. Wiadomości codzienne bardzo szybko przerzuciły się na druk w gazetach, odkąd

radio działało tak sporadycznie. - A wiesz, że już niedługo wystarczy tylko dotknięcie, by poznać najnowsze wieści? Prawie tak, jak w powieści Kurta Vonneguta. Oczywiście, najpierw sam będziesz się musiał trochę zmienić, żeby to stało się możliwe... - uświadomiła sobie, że paple za wiele i nie na temat. To wszystko było jak sen. - Czemu byłeś w gazecie, Zeb?

- Najwyraźniej zgromadziłem wokół siebie zbyt wielu ludzi. Rozpowiadałem o obcych. Nic nowego, wiesz, ciągle te same stare plotki. Niektórzy starzy ludzie głosili je od lat.

Po karku Annie przebiegł zimny dreszcz.

- Czy to ma coś wspólnego z radioteleskopem? Pamiętam, że wspominałeś coś podczas tamtego Święta Dziękczynienia...

Na twarzy Zeba zaszła wyraźna zmiana. Spoglądał oszołomiony przez kilka sekund, tracąc maniacką energię, która napinała skórę pod oczami. Przełknął. Wziął głęboki wdech. Rozejrzał się i zapalił światło. Potem zamknął okno. Zabrał filiżankę z chińskiej porcelany do kuchni i Annie usłyszała szum wody. Nie mogłaby teraz się podnieść nawet, gdyby od tego zależało jej życie. Czuła się tak, jakby jakaś potężna siła trzymała ją pod wodą. To wszystko było takie dziwne.

Zeb wrócił do pokoju, zdjął płaszcz, powiesił w pobliżu Annie. Usiadł na kanapie, opierając się łokciami o kolana i uderzając w nie dłońmi.

- Pamiętasz! A przecież byłaś wtedy jeszcze taka mała.

- Wcale nie - parsknęła weselej. - Miałam dziewiętnaście lat.

Zeb powiódł wzrokiem dookoła.

- To bardzo ładne mieszkanie. Czym się zajmujesz?

- Pracuję dla rządu. To zamieszanie z anteną doprowadziło cię do szaleństwa? Myślę, że tak... - starała się traktować go z dystansem, klinicznie, jak lekarz. Nie było to takie trudne, w końcu, była już dorosła.

Zeb wyglądał na poruszonego.

- Pracujesz dla rządu?!

- Spokojnie, jestem tylko nanotechnologiem niskiego szczebla. Zajmuję się badaniem kodów - prawnymi definicjami i limitami na wprowadzanie nowych technologii nano - roześmiała się. - Od wczoraj nie mogę się pozbyć wrażenia, że to coraz bardziej śmieszne.

Pokiwał głową.

- Nie jestem zaskoczony. To znaczy, że masz ważną pracę. Zawsze byłaś bardzo uparta. Słuchaj, przepraszam. Nie wiem, jak długo będę taki, jak teraz. Nigdy nie umiem

przewidzieć.

- Zgaduję, że nie zażywasz swoich lekarstw - zauważyła Annie. - Myślę, że teraz są dużo lepsze środki. Możemy pójść i przebadasz się, wypróbujesz jakiś...

- Nie!

- No, dobrze - ustąpiła. - Żadnych lekarstw. Ale dlaczego nie?

- Myślisz, że zwariowałem.

- Zwariowałeś.

- W pewnym stopniu. Ale niezupełnie. To znaczy, podejrzewam, że nie zawsze się kontroluję. Jestem maniakiem. Wiem o tym. Mam świadomość. Ale, Annie, kiedy jestem w tym stanie, mogę *myśleć*.

- Co dobrego wynika z tego, że możesz myśleć, skoro siedzisz jak na beczce prochu? Wyglądał na zaskoczonego.

- To nie ma znaczenia, gdzie siedzę. Naprawdę. Ale ty pracujesz dla rządu.

- Nieważne, co mi powiesz, Zeb, zostanie to między nami. Nikomu nie powiem.

- W tym właśnie problem - stwierdził. - Każdy powinien się dowiedzieć. Mam dowód. Wbrew sobie Annie się roześmiała.

- Wujku Zeb - westchnęła z rozpaczą. - Dowód. Hej, cóż pocniemy z tym dowodem? Wiem, co *myślisz*. Koniec niejasności. Ale ludzie, którzy twierdzą, że za obecną sytuację odpowiedzialni są obcy, zostali wyśmiani i całkowicie odrzuceni.

- Wykopani poza nawias - zgodził się Zeb bez urazy. - Ale wiem, co wiem. I to pozwala mi znieść całą resztę.

- Zupełnie jak... Kopernik, prawda? - spytała.

- Dokładnie - odrzekł Zeb poważnie.

- Chcesz, aby wszyscy się dowiedzieli. Naprawdę chcesz. Ale uważam, że... - wzruszyła ramionami - Może by było dobrze... Przyjąć nową perspektywę. Zyskać wiarygodność. Ale jak? *Oni* nie pozwolą mi na badania. Podjąłem taką próbę. Naprawdę. Poszedłem na Politechnikę, żeby starać się o powrót do pracy naukowej. Kilka lat temu. Miałem prawo. Kazali mi poczekać w gabinecie. Po pół godzinie pojawili się jacyś ludzie w garniturach. Uznałem, że lepiej będzie zwiać. Wiedziałem o starych tunelach pod budynkiem fizyki, teraz nikt już o nich nie pamięta... - obrócił się na kanapie i sięgnął do rogu podnosząc pilota. - Telewizja działa?

- Zeb - zerwała się z krzesła. - Nie możesz tego oglądać! Pilot sterował jej platformą holograficzną, na której były zapisane kopie jej prezentacji dla Kongresu.

Roześmiał się, klękając przy platformie. Śmiał się z zachwytem jak dziecko.

- I oni uważają, że jestem szalony. Jak to, do diabła, działa?

Na platformie pojawiło się jakieś miasto, budowle wysokie na stopę. Chicago, przypomniawszy sobie Annie mgliście. Obawiano się prezentowania, co się stanie, na bezpośrednim przykładzie Waszyngtonu. Inne miejsce, bo lepiej odsunąć skojarzenia z miastem rodzinnym. Tym bardziej, że (co Annie mogła powiedzieć z całym przekonaniem) nikt nie był przygotowany na ryzyko, jakie niesła zmiana - „konwersja” - jak w Waszyngtonie nazywano cały proces przejścia na nanosystem. Ponieważ konwersja wiązała się z ryzykiem wystąpienia nagłych przeskoków, usterek, gdy zacznie się mutacja cząstek, a wtedy przekształcenia mogą pójść w zupełnie nieprzewidywanym i niemożliwym do kontrolowania kierunku.

- To prototyp nr 3.

Zeb przysiadł na piętach, wymięta twarz skąpana była w niesamowitych wzorach rysowanych wielobarwnym światłem bijącym z holo-modelu.

Budowle wynurzały się z czegoś, co przypominało basen. Płynące z dołu smugi rysowały ich kształty.

- Zostawili dla wygody domy bez płaskich dachów - rozważał Zeb. - Ciekawe, jak chcą zasłonić górę? Będą ją przycinać?

- Nie - odparła spokojnie Annie. - Zamierzają po prostu ją *ożywić*. Zmienić molekularną strukturę ścian i po prostu pozwolić im narosnąć do odpowiedniego kształtu. Sprawić, że będą bardziej „plastyczne”. Myślę, że to dobre określenie.

- Hmm - mruknął Zeb. - To jest pomysł.

Delikatne sfery, jak piłeczki ping-pongowe, wyskakiwały pomiędzy szczyty budynków, dotykały basenów i obijały się o inne kule na dachach.

- A co, jeśli zacznie padać? - dopytywał się Zeb. - Albo jeśli powieje wiatr?

- Spróbuj... numer siedem - zaproponowała.

Na dachach budowli wykwitł rajski ogród pełen kwitnących wielkich roślin. Miejsce piłeczek zajęły wielkie pszczoły. Zeb przyglądał się im przez moment, potem wybuchnął śmiechem. Wrócił do numeru piątego.

- Nikt nie pomyślał o podczerwieni? - zapytał.

Annie westchnęła.

- Ludzie krzywo patrzą na wszystko, co cechuje się częstotliwością. Skłaniają się coraz bardziej do rozwiązań biologicznych. Pszczoły i kwiaty - bazują na feromonach. Pszczoły muszą być naprawdę duże, odpowiednie do transportu pakietów informacji, jakie są analogami pyłku. Wiatr nie będzie dla nich problemem, o ile warunki nie będą ekstremalne.

- Feromony - powtórzył Zeb. - Masz na myśli te od seksu?

- W pewnym sensie - odpowiedziała. - Pomysł, by używać feromonów jako podstawowej formy komunikacji, jak alfabetu, można zastosować też w innych wariantach. W przyrodzie występuje tysiące rodzajów feromonów i każdy gatunek używa ich do precyzyjnego porozumiewania się. Mówiąc krótko, rozwinęliśmy bardziej feromony. Poskładaliśmy je w wyrazy. Metaferomony. Wystarczy rozwinąć teraz u człowieka odpowiedni receptor feromonów i będzie mógł odbierać informacje przez dotyk. Albo przez zapach.

- Zapach Biblii - rozmyślał na głos Zeb. Podniósł się i usiadł na kanapie. - Woń praw Newtona. Aromat „O powstawaniu gatunków” albo zapach „Kocham Lucy”...

- Zapach faszyzmu - dodała Annie. - To dlatego zdecydowanie staram się sterować zainteresowaniem w kierunku dotyku. Jest trochę bardziej kontrolowany. Nie, żebym mogła wiele na ten temat powiedzieć, ale...

- Tak - Zeb wznosił rękę jak w toaście. - Weź łyk „Kapitału”.

- Odbierzesz obraz - stwierdziła Annie.

- Ale czy kurierzy na rowerach albo tranzystory nie są jednak szybsze?

Roześmiała się.

- *Do licha*, nie! Informacja jest przekazywana wiernie przez powietrze. Odbierana i dostarczana prawie tak szybko, jak faksem lub przez telefon. I bez zatłoczonych ulic. A kurierzy musieliby taszczyć ze sobą ciężarówkę papieru, żeby przekazać informacje, które można zapisać w jednym miligramie analogu pyłku. „Informacja z prędkością myśli” - to jeden ze sloganów, jakie słyszałam. Ta koncepcja powstała w wyniku współpracy między japońskimi i amerykańskimi firmami. Ich akcje przekroczyły teraz szczyty notowań. Ale plan dla amerykańskich miast jest nieco inny.

- To znaczy?

- Utajnienie. Albo zamknięcie sezamu. Wprowadzanie jakichkolwiek zmian do systemu, udoskonalanie go ma być nielegalne, a nawet pracuje się nad tym, by stało się po prostu niemożliwe. Szczególnie w tej części systemu, która dotyczy bezwzględnego dostępu rządu do wymiany informacji, to całkowicie jasne. I żaden inny projekt nie zostanie zaakceptowany do wprowadzenia w Stanach Zjednoczonych.

Zeb uniósł brwi.

- Czy to zgodne z konstytucją?

- Cóż, jak wiesz, nie jesteśmy oficjalnie w stanie wojny, ponieważ nie ma żadnego widzialnego wroga. Pojawiają się oznaki, że jakiś wróg istnieje, oczywiście, ale rząd

naprawdę nie chce, żeby ludzie myśleli o Ciszy z takim nastawieniem, ponieważ obawia się, że w rezultacie pojawi się anarchia. Ale powołanie się na Dekret Jurysdykcji w Czasach Wojny w zasadzie jest równoznaczne z przekonaniem, że jest wojna. Myślę, że to wskaźnik, jak bardzo jesteśmy bezsilni.

- Pomimo to, czytałem w prasie sporo domysłów i rozważań na temat Ciszy. W oficjalnej prasie.

- Taa... Coś na poziomie felietonów „Czy Oswald działał sam?”. Oni uciszą wszelkie wzmianki o możliwości istnienia obcej inteligencji, aby nie dotarły do opinii publicznej. Jeśli ktokolwiek ma dowód, że za impulsy odpowiedzialni są obcy, a nie naturalne kosmiczne procesy w galaktyce, nie będzie żadnej dyskusji. Również w kwestii możliwości działań terrorystycznych lub pojawienia się na Ziemi ich szpiegów.

- *Ich szpiegów?*

- Owszem, wujku Zeb. Szpiegów obcych.

- A czy oni - kimkolwiek *oni* są - nie próbowali znaleźć tych szpiegów obcych? To znaczy - dodał wykrętnie - mam poczucie, że za często natrafiam na tych niewidzialnych „onych”...

- Och, oni istnieją - roześmiała się Annie - I jak najbardziej, próbowali. Mówi się o mutacjach, które pojawiły się tamtej nocy - pamiętasz tamto Święto Dziękczynienia?

- Jak mógłbym zapomnieć?

- Tak... Nie mam styczności z tym projektem. Nawet nie jestem całkiem pewna, czy w ogóle istnieje. Słyszałam tylko plotki. Coś o podniesieniu poziomu magnetytu w mózgach dzieci - roześmiała się. Wtedy ujrzała wyraz twarzy Zeba. - No, co?

- Magnetyt. Annie... - Zeb usiłował sobie przypomnieć. - Około dwudziestu lat temu odkryliśmy nową formę gwiazdy neutronowej. Obracała się dwieście razy w ciągu sekundy. Wytwarzała silną magnetyczną falę, która od czasu do czasu strącała jakiegoś satelitę. Jeżeli... to pole było wygenerowane przez coś bliższego Ziemi, mogłoby wpłynąć nawet na atomy żelaza w twojej krwi. - Spojrzał w górę. - Wydaje mi się, że siły magnetyczne mogą również mieć wpływ na magnetyt, prawda?

- To jasne. Szczerze mówiąc, nie wiem zbyt wiele, ale magnetyt w mózgach ptaków ma związek z ich zdolnością do migracji. Najwyraźniej ptaki są dostrojone do pól magnetycznych. I odkąd pojawiły się impulsy, zdarzały się ptasie hekatombi. Błędne migracje. Prawdziwe tragedie. Jedne z wielu. Nikt nie ma pojęcia, jak to wpłynie na ziemski system ekologiczny.

Anne osunęła się na krzesło. Zeb westchnął.

- To takie frustrujące. Być uwięzionym tutaj, gdy gdzieś na świecie dzieje się tyle niesamowitych rzeczy - uśmiechnął się ledwie zauważalnie. - Też słyszałem trochę plotek, na przykład, że pomimo przerw w dostawie energii NASA wciąż wysyła satelity i nawet startują statki. Ci ludzie na Księżycu, na Marsie, wiedzą, co się dzieje.

- To może być prawda. Ale nie mam dostępu do takich informacji. Jeśli to prawda, paru ludzi na pewno ją zna.

- To całkowicie przeciwne temu, czego nas uczono. Wyrastaliśmy w przekonaniu, że nauka zwycięży wszystko. Jesteśmy w tym podobni, wielu takich jak my jest na całym świecie, próbujących objąć tę tajemnicę. Zbieramy informacje. To straszny błąd. Bo świat przypomina teraz posterunek policji. Objawiła się największa tajemnica, z jaką dotychczas mieliśmy do czynienia, a ludzie, którzy chcą ją rozwiązać, są prześladowani. Kto pozwolił prześladować tych ludzi?

- Cóż, chciałabym umieć wyłożyć to jasno. Nie, żebym miała pełny obraz sytuacji. Ponieważ to nie jest proste. Armia ma w tym największy udział i to ona dzierży władzę i ma prawo działać w takich przypadkach, jak obecny stan rzeczy. Na przykład, nie pozwolono mi wspominać przed Kongresową Komisją ds. Komunikacji i Łączności o pewnych rodzajach broni nanotechnologicznej, które już wprowadzono do rurociągów i systemów kanalizacyjnych. Różne agencje zawsze wchodzą sobie w drogę, co wprowadza tylko więcej zamieszania. Ludzie w całym kraju myślą, że wybrani ich głosami przedstawiciele mają władzę. Mylą się. Kongresmani przychodzą i odchodzą. Mogą uciąć lub przyznać fundusze tej czy innej agencji rządowej, ale to wszystko. Jest w tym sporo inercji, jak przy ciele pozostającym w ruchu, które nie może się zatrzymać, dopóki nie zostanie wobec niego użyta siła o tej samej wartości i przeciwnym kierunku. Nawet Narodowy Instytut Zdrowia prowadzi mnóstwo tajnych badań. Nie do końca naciągana jest opinia, że rządowe agencje powiązane siecią intryg i zależności robią, co im się żywnie podoba. Dodaj do tego ekonomiczny chaos... i masz!

- Czy nie ma tam nikogo, kto chciałby... zrównoważyć to wszystko? Odkryć prawdę? Sprawić, żeby wszystko działało jak należy? Wyjść z tego układu?

Annie przypomniała sobie list ze stemplem z Tokio. Stempel datowany był na dziewięć miesięcy wstecz. List wysłała jakaś Marie Laveau z Nowego Orleanu. Sugerowała w nim, że wiedza Annie przydałaby się w Mieście Półksiężycy. Annie myślała, że to jakiś żart.

Ale informacja na temat Zeba w parku była prawdziwa.

- Dlaczego wtedy zniknąłeś?

Zeb otworzył usta, jakby chciał się odezwać, zaraz jednak je zamknął.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Co to znaczy, nie wiesz, do diabła? Szukałyśmy cię po całym świecie, mama i ja.

Mógłbyś chociaż wyjaśnić, co się stało.

- To może się okazać dla ciebie niebezpieczne.

- Niebezpieczne! To doprawdy fascynujące stwierdzenie.

- Powiedziano mi, że powinienem... zacząć współpracę nad pewnymi danymi, które miałem. A ja odmówiłem.

Annie przyklękała przed nim, oparła mu na kolanach przedramiona, podparła na nich brodę. Zmrużyła oczy, gdy spojrzała z dołu na Zeba.

- Kto ci to powiedział?

Popatrzył gdzieś w bok.

- Boisz się?

- Boję się od wielu lat, Annie.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro z tego powodu. Ale jestem pewna, że mogę ci zapewnić bezpieczeństwo.

Potrząsnął głową.

- Nie sądzę - wstał z podłogi. - Najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdę. Prawdopodobnie już cię naraziłem...

- Nie, Zeb! - Annie doskoczyła i chwyciła go za ramię. - Proszę, nie odchodź!

- Mam pracę, Annie. Mam coś ważnego do zrobienia, jak mi się wydaje.

- Tak, tak! Jestem pewna, że masz ważną pracę - mówiła gorączkowo. Nie mógł teraz tak po prostu wyjść. - Ale zostań na noc. Tutaj. Widzisz? - poprowadziła go korytarzem. - Łóżko mamy. Z orzechowego drewna. Już pościelone. Widzisz? Wszystko gotowe.

Wezłowie zdołał falujący ornament kwiatów i liści. Annie uniosła przykrycie.

- Pościel mamy, pamiętasz? W małe czerwone tulipany. Chciałaby, żebyś został. Proszę. I porozmawiamy jutro.

Zeb przestał się opierać.

- No, dobrze, Annie. Ale tylko do jutra.

Zdjęła narzutę. Przyniosła mu herbaty z rumianku i postawiła parujący kubek przy lampce na stoliku nocnym. Dała mu ręczniki i pokazała obsługę kabiny prysznicowej. Kazała mu zostawić ubrania, żeby rano je wyprać. Podniosła nieco szerokie, weneckie żaluzje, by otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego, chłodnego powietrza.

- Proszę. A teraz obiecaj mi, że będziesz tu jutro rano.

I wtedy sobie coś przypomniała. Weszła do sypialni i otworzyła szafkę ścienną. Wspięła się na krzesło, sięgnęła na najwyższą półkę, a potem wyciągnęła pakunek. Do tej operacji potrzebowała latarki. Musiała też znaleźć baterie. I cały czas się zastanawiała, czy rzeczywiście zapomniała, gdzie to jest. Ale wtedy zauważyła. Wciśnięte w najciemniejszy kąt.

Torba reklamowa z nadrukiem Virginia Tech. Wewnątrz znajdowały się wydruki z półciężarówki Zeba i taśma, na której nagrał jakieś brednie o matematycznych zależnościach i związkach. Raz jeszcze załapała ją fala smutku, gdy otwierała torbę i rozważała, czy powinna oddać ją wujowi. To mogłoby go za bardzo rozstroić psychicznie. Na pewno wpłynęło na stan mamy. Gwałtownie przywołało wspomnienia o ostatnich latach życia Annie.

Ale te rzeczy należały do Zeba. Przysunęła je bliżej, oczyściła z kurzu i pozwoliła, by z głuchym stukiem zsunęły się na podłogę. Mówił, że myśli. Einstein kręcił się trzydzieści lat po Instytucie Badań Zaawansowanych na Uniwersytecie w Princetown, myśląc. Zatem, dlaczego nie wujek Zeb?

Zajrzała do sypialni.

- Zeb?

Leżał rozciągnięty na łóżku i pochrapywał. Miał na sobie ubranie i buty. Natychmiast otworzył oczy.

- Tak?

- Przepraszam. To. Proszę - położyła torbę przy łóżku. - Znalazłam to w twoim samochodzie.

Usiadł prosto, przysunął sobie taśmę i pierwszy z zadrukowanych arkuszy. Jego twarz pojaśniała. Spojrzał w górę.

- Annie! Nie miałem pojęcia! To nieprawdopodobnie cenne! Bardzo ci dziękuję...

Wstał i objął ją mocnym uściskiem, a potem usiadł, potrząsając głową z niedowierzaniem.

- To mi się bardzo przyda. No, wiesz, bo naprawdę pracuję nad Teorią Wszystkiego. Wierzę, że ktokolwiek wysłał sygnał, musi znać odpowiedź, nieważne, jak ją nazywa i jak stosuje. Od dawna zna łącznik, pomost między fizyką kwantową i fizyką newtonowską. Myślę, że próbuje nam przekazać tę wiedzę.

Annie milczała przez chwilę. Słowa Zeba brzmiały śmiesznie, wstrząsająco i absurdalnie. Ale...

Pamiętała, co mówiła matka o inteligencji wuja, która objawiła się bardzo wcześniej. Może nie wszystko, co mówił, było głupie...

- Zacząłeś tam, gdzie Einstein skończył? - zapytała delikatnie.

- Brzmi absurdalnie, prawda?

Przez chwilę czuła wewnętrzny chłód.

- Nie tak bardzo, wujku Zeb. Jeżeli ktoś może zrozumieć, to właśnie ty. Muszę się przespać. Ale nie waż się odchodzić. Po prostu zaplanuj sobie, że tu zostaniesz i popracujesz, dobrze?

Położyła się na kanapie, żeby mieć pewność, że rano go złapie. Ale oczywiście, kiedy się obudziła, narzuta leżała na pustym łóżku. Wydruki znikły. Annie poczuła lekkie rozczarowanie.

Ale kiedy tak stała w delikatnie rozświetlonej blaskiem dnia sypialni, pełnej rzeczy po matce, poczuła, rozjaśniające ją jak promienie słońca, uniesienie. Praca Zeba. Przecież uważał, że robi coś ważnego. Większość ludzi nie ma nawet tego. Zeb żył. Nie mogła zamknąć go w klatce. Rzecz jasna, miał paranoiczną obsesję, że jest dla Annie zagrożeniem. Lecz teraz już wiedziała, że nie musi się o niego martwić.

Niewielkie odkupienie, ale ogromna różnica.

TRZECI RUCH

INTERLUDIUM ARGENTYŃSKIE

2029

Angelina była święcie przekonana, że radio i reszta przestały działać tylko dlatego, żeby nie mogła często dzwonić do Oliveiry. Dlatego musiała wrócić do pisania listów, czego nienawidziła, ponieważ nie wychodziło jej to zbyt dobrze, co ją zawstydzalo. Listy Oliveiry były nie tylko pełne trafnych spostrzeżeń i odczuć, lecz także przemyślanych interpretacji tego, co mu się przydarzyło, pełne elokwentnych opisów nastrojów i przeżyć, o jakie go nawet nie podejrzewała, oraz wypełnione ciekawymi, dokładnymi opisami ulic, sklepów, dni, nocy - wszystko ujęte w zdania, które lśniły, jak perły. Listy Angeliny były krótkie i obcesowe, co niezmiennie wywoływało u niej poczucie winy.

„Pogoda ładna. Pojechałam dziś na wschodnie pastwisko. Usiłuję zrozumieć, jak doprowadzić prąd do ogrodzenia”. Cóż, była piekielnie zmęczona. Nie miała czasu na szukanie eleganckich wyrazów, jak to robił Oliveira. Ale nadal kleciła co tydzień list, dokładnie jedna strona, ani słowa więcej. „Niedługo wyślę z listem gołębia pocztowego” - napisała. „Podjęto próby, by uruchomić stary silnik parowy z muzeum. Ale jest zbyt wielki, by zmieścić się na torach”.

Zerknęła za okno. Pióro się zatrzymało. Padał deszcz. Zimny deszcz z południa. Jak zwykle o tej porze roku, oczywiście. I zazwyczaj już teraz wszystko było przygotowane do zimy - magazyny pełne siana i zboża, wielka spiżarnia wypełniona zapasami dla Angeliny i okazjennie pojawiających się gości. Ale tym razem, choć każdego dnia mógł już nadejść śnieg, plonów jeszcze tu nie było.

Jak sobie z tym radził dziadek Paulo dawno temu? Cóż, nie był tak głupi, by się osiedlić, zanim nie położono torów kolejowych. A teraz pociągi przestały przyjeżdżać. To chwilowe, powiedzą, tylko jutro, a potem stwierdzą, że w przyszłym tygodniu, aż wreszcie zamilkną. A stacja pozostanie pusta i martwa. Wiedziała tylko, że przyjdą po jej krowy, powołają się na obecną sytuację, na stan wyjątkowy.

Nawet gdyby Angelina kupiła ten system do hodowania steków w kontenerach z nierdzewnej stali - rewolucyjny wynalazek! - jak miałyby je stąd przetransportować?

Gdy ponownie spojrzała w okno, padał śnieg.

Preludium do pocałunku na odległość

Artaud i Illian, Praga, rok 2030

Artaud obserwował Illian z zachwytem, popijając czerwone wino podczas wernisażu. Udało mu się wynająć wielkie poddasze; po zeszłorocznej fali paniki nieruchomości osiągnęły w mieście niebotyczne ceny. Teraz tylko awangarda chciała spędzać czas w Pradze.

Illian wybrała lśniący purpurą strój z czerwonej tkaniny, udrapowanej jak sari. Dobrze eksponował jej egzotyczną urodę. Makijażem podkreśliła migdałowe, ciemne oczy. Jej jasna skóra lśniła blaskiem, który kojarzył się Artaudowi ze światłem Księżyca.

Nikt, kto spojrzalby na Illian, nie domyśliłby się, jak bardzo jest chora.

- Nadszedł koniec epoki - wymruczała kobieta obok Artauda. Postawna, ubrana w surową czerń, złamaną żółtym szalem owiniętym wokół szyi. Jej białą, ciastowatą twarz ożywiały tylko róż na policzkach. Perdita zajmowała się recenzowaniem sztuki międzynarodowej.

- Koniec epoki. Mówisz tak z powodu miejsca - zaripostował Artaud. I rzeczywiście, temat średniowieczności - opisów i romantyzowania - znalazł się ostatnio w centrum uwagi, chociaż na pewno nie dotyczył prac Illian. Prace Illian miały większy rozmach, oparty na łączeniu, nie separowaniu. Ale większość tego, co działo się na świecie, wyglądało raczej na cofanie się w czasie. Bardziej opłacalna była teraz produkcja w małych społecznościach, nastawiona na potrzeby jednostkowych klientów. Na pewno model, jaki widział Artaud w kilku pierwszych zaprojektowanych na bazie nanotechnologii miastach, był samowystarczalny. Przemiany w Londynie, Paryżu, czy Pekinie stanowiły przełom i świat przyglądał się im nerwowo.

- Mam na myśli wszystko - sprzeciwiła się Perdita. - I te prace twojej protegowanej przypominają mi o tym bardzo wyraźnie - odłożyła pustą lampkę na stół i zabrała się za trzecią, o ile Artaud nie pomylił się w liczeniu.

- Nie jestem pewien, czy można ją nazwać moją protegowaną - zauważył z powątpiewaniem.

- To jasne, nauczyłeś ją wszystkiego, co sam umiesz - odparła Perdita.

Artaud prawie zakrzuszył się winem i próbował zamaskować to chichotem. Potrząsnął głową, gdy kobieta klepnęła go w plecy. Kolejny wielbiciel - a może tylko Artaud tak uważał

- dołączył do grona wokół Illian. Wszyscy byli zbyt ugrzeczni.

- Illian zawdzięcza to sobie - zauważył. Nie dodał, że wszystko, co zrobił, to jedynie próby utrzymania jej przy życiu i trzymaniu na wodzy respektu, jaki w nim budziła. Nie chciał zamykać jej w granicach historii. Co więcej, chciał, żeby Illian zdobyła solidne podstawy, dzięki którym będzie mogła się uniezależnić jako twórca. To był dobry sposób. Dziewczyna chłonęła wiedzę tak szybko. Czasem z zatrważającą prędkością.

Artaud trafił na nią kilka lat temu, gdy sprzedawała obrazy na trotuarze w Amsterdamie. Dziewczyna tak młoda, że początkowo nie mógł uwierzyć, że jest artystką. Artaud, zgorzkniały stary człowiek, który umierał na raka i nie interesował się już żadną kuracją ani lekarstwem, trzymał się życia chyba tylko dlatego, że ubezpieczenie po jego śmierci miało być wypłacone jego wnuczce. Na Artaudzie prace Illian wywarły ogromne wrażenie. A był uznanym krytykiem sztuki, mającym wieloletnie doświadczenie. Zabrał ją do siebie. Zaopiekował się nią i zdecydował żyć dalej, ponieważ pokazała mu coś absolutnie nowego, coś interesującego na tyle, by warto było trzymać się życia, pomimo cierpienia.

Illian sprawiła, że chciał zobaczyć, co jeszcze się zdarzy.

- Bo co to w końcu jest? - Perdita kontynuowała wywód, zamasyżuje zataczając stuosiemdziesięciostopniowy łuk ręką trzymającą wino. Alkohol zakołysał się niebezpiecznie.
- Porusza mnie do głębi, ale nie potrafię tego zwerbalizować. To mnie diabelnie irytuje - jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. Porusza do głębi, tak. To powinno działać. Na ludzi w jej wieku, przynajmniej.

- Zaraz, zaraz! - przerwał jej Artaud. - Nie używaj argumentu wieku przeciw Illian. Poza tym, wzbudza to we mnie zazdrość.

Perdita przyjechała do Pragi dekadę temu, repatriantka z Ameryki, szybko robiąca karierę jako krytyk sztuki. Wcześniej artystka, która nie zdobyła uznania i w porę uświadomiła sobie, że brak jej talentu.

- Choć teraz mogłabyś łatwo osiągnąć talent, moja droga... - z przerażeniem usłyszał, jak głośno odpowiada swoim myślom. Czy to muzyka go rozluźniała tak bardzo, czy to te rozluźniające dodatki, przy których upierała się Illian, wbrew jego opinii, że sztuka wizualna powinna pozostać nietknięta?

- Co? - zapytała Perdita.

- Nic - skłamał - Za dużo wina. Jestem ogromnie dumny, oczywiście, ale to nie moja zasługa, zapewniam. Dostrzegasz wiek Illian. Czy myślisz, że weźmie sobie do serca choć jedno słowo z moich rad, nawet jeżeli w duchu przyzna mi rację?

- Cóż, widzę, że jej prace, to coś więcej niż zwykłe „Pomyje” - zgodziła się Perdita.

Praga została zalana falą nanotechnologicznych substancji dających talent, które można było po prostu wciągnąć przez nos. „Pomyje”, tak je nazwano.

Artaud długo rozmyślał o tym, skąd bierze się talent. Oczywiście, potrzebne były podstawowe umiejętności, ale tych można się było nauczyć. Trzeba było ukierunkować głos, albo palce lub oczy, stworzyć sobie podstawy. Ale niektórzy potrafią wzlatywać, a ich oczy dostrzegają niewidzialne. Niedostrzegane przez nikogo, aż artysta im nie ukáže, konkretyzując własne doznania w słowa, ubierze w materię, przefiltruje przez nuty lub barwy, stworzy film lub nagranie, które wcześniej pozostaje niepoznawalne, dopóki artysta nie ośmieli się nadać mu kształtu. Artaud był miłośnikiem nieskażonych kolorów. Pierwsze wrażenie, to najlepsze wrażenie. Próbował nauczyć tego Illian. I najwyraźniej odniósł sukces.

Jak działają „Pomyje”? Są blisko związane z gospodarką endorfin i wymagają biosprężenia zwrotnego, aby wywołać pewien wzór fal mózgowych. Stosowanie ćwiczeń w połączeniu z optymizmem w niezmiennym otoczeniu. W głównej mierze polega to na imitacji mistrzów i nadziei, że według tego samego wzorca wytrenowane zostaną komórki nerwowe biorcy nano-specyfiku.

Artaud mógł tylko mieć nadzieję, że to ulepszy świat. Sądził, że uczyni ludzi szczęśliwszymi. Ekspresja przez sztukę zdawała mu się zawsze nieodzowną cechą każdego człowieka.

Lecz nic nie sprawi, że sam poczuje się w tej chwili szczęśliwszy, bardziej dumny. Nic oprócz pragnienia, na którym zbyt często się przyłapywał, żeby był młodszy, a Illian starsza.

Aczkolwiek teraz usunięcie oznak wieku byłoby możliwe. Tyle, że Artaud nie był pewien, czy to dobry pomysł.

Niemniej zrobił to. A raczej miał zamiar zrobić.

Wzdrygnął się, a nawet przestraszył, gdy Perdita przytuliła do jego twarzy policzek i oznajmiła:

- Z każdym dniem wyglądasz młodziej, mój drogi. - Może czytała w myślach? Czy też wstępna kuracja stała się już widoczna? Ciało Artauda było dopiero przygotowywane do próby. Prawdziwa praca zajmie miesiące i odbędzie się w Meksyku.

- Perdita - powiedział - Miałabyś coś przeciw, gdybym poprosił cię o opiekę nad Illian przez parę miesięcy? Muszę pojechać do Nowego Jorku, a wiesz, jak długo to trwa.

Kobieta spojrzała na niego oczyma powiększonymi przez makijaż.

- Oczywiście, chętnie, mój drogi. Choć zastanawiam się, czemu nie zabierzesz Małej Miss Geniusz ze sobą, by wstrząsnąć tamtejszym światem sztuki...

- Nie jest jeszcze gotowa - uciał oschle.

- To prawda, nie jest. - zgodziła się Perdita i uszczypnęła go boleśnie w policzek. - Powinna zostać tutaj, wśród przyjaciół. Jedziesz... żeby zaaranżować kilka wystaw? Tych składanych, oczywiście? - Miała na myśli pokazy, których elementy umieszczane były na specjalnej sferze. Wystarczyło tylko połączyć kulę z odpowiednim sprzętem w systemie ścian galerii i odtwarzać dowolną wystawę przez całą wieczór.

Artaud potrząsnął głową.

- Każda z wystaw Illian jest niepowtarzalna. Ona maluje w olejach, używa terpentyny. I samodzielnie złącza swoje prace przestrzenne - rzekł z dumą.

Perdita zmarszczyła nos.

- Farby olejne! Przecież to cuchnie! Ten koszmarny zapach rozpuszczalnika. Wybacz, Artaud, ale czy to zdrowe dla młodej kobiety?

Artaud przypomniał sobie, jak zobaczył Illian w studio, w mglistej ciemności o trzeciej nad ranem, gdy leżąc w łóżku otworzył oczy. Uparł się, aby mieli osobne łóżka. Edypowy etap, gdy Illian pragnęła Artauda, minął szybko i burzliwie. Wtedy, nad ranem, widział ją z włosami upiętymi pod jedwabną apaszką w motyle, naprzeciw sztalug, przyglądającą się obrazowi od dobrych kilku godzin, podczas gdy Artaud zasnął. W barze na dole prowadzono scenę, skąd dobiegał ryk akompaniamentu i pijackie śpiewy. Po twarzy Illian płynęły łzy. Zaatakowała płótno z podnieceniem, ruchy pędzla były silne jak uderzenia. Sztalugi upadły. Muzykę z dołu nagle zmiażdżył ryk radia puszczonego na jednym z pobliskich poddaszy. Illian opadła na podłogę. Artaud wyskoczył z łóżka, klnąc.

- Cholera!

Minęło dwa dni, zanim się ocknęła.

Jej wspinaczka do sławy była zbyt szybka, by mógł to kontrolować. Wolałby, aby talent Illian okrzepł, wzbogacił się o doświadczenie. Ale dziewczyna kryła w sobie niespotykaną głębię. Zanim ją znalazł, sporo już wycierpiała, choć nigdy o tym nie mówiła. Jej ataki choroby były dla Artauda niepojęte, przerażające. Pierwszy raz, przed laty, w Amsterdamie, zawiózł ją karetką do lekarza, ale wyslizgnęła się z gabinetu i znalazł ją rozgorączkowaną dopiero po wielogodzinnych nerwowych poszukiwaniach. W bocznej uliczce. Nie była jednak na tyle chora, by nie walczyć jak oszalała. A gdy ocknęła się na kozetce, podrapała do krwi pielęgniarzy, którzy ją tam przynieśli. Kiedy dochodziła do siebie w domu Artauda, powiedziała, że będzie musiała uciekać i zniknąć na zawsze, jeżeli jeszcze raz zostanie zabrana do lekarza. Artaud w pewnym sensie zrozumiał. W końcu, miał podobne odczucia wobec lekarzy. Po tym incydencie zatrudnił prywatną pielęgniarkę do opieki nad Illian. Zaczął się bać okresów, w których działało radio. Jak się szybko zorientował, w tym

właśnie czasie jego podopieczna stawała się niezdolna do życia. Na dodatek, po wszystkim zdawała się wznosić na wyższy poziom. Trochę tak, jakby wcześniej знаła jedynie alfabet i zaczynała literować, a budziła się z umiejętnością czytania.

Wraz ze sławą, zaczęła się zmieniać jej osobowość. Na początku Artaud się martwił, potem czuł przyjemność. Ponieważ Illian była szczęśliwa. Wiedział, że nie osiągnęła szczytu swoich możliwości, jeszcze nie. I może nie wystarczy jej życia, by osiągnąć pełnię talentu. Niech zatem ma swoje pięć minut. Artaud nie umiał temu zapobiec, za żadną cenę, nie po tym, jak zachęcał ją, by była niestrudzona...

- Pytałam o coś, Artaud - odezwała się Perdita. - To zdrowe?

- Niezbyt, jak sądzę - odrzekł. - Ale ona jest uparta. Pożalował w tym momencie decyzji, żeby zostawić Illian w rękach Amerykanki. Nie chciał, aby obca kobieta dowiedziała się zbyt wiele, zresztą miałyby wszystko podane jak na tacy.

Wiedział, że stracił głowę. Jednak jakże wspaniałe były te wszystkie lata. Wnuczka, co prawda, znienawidziła go, ponieważ nie umarł, pomimo, że podarował jej pięć z najbardziej wartościowych obrazów z własnej kolekcji. To było więcej niż dość, aby wnuczka mogła się urządzić, gdyby tylko działała szybko. W tych czasach każdy musiał działać szybko. Sprzedać - i natychmiast odebrać zapłatę. Choćby diamenty, które straciły na wartości, gdy rynek zalały repliki z siatką węgla zaprojektowaną tak precyzyjnie, jak tylko się zapragnie? Czym zatem jest wartość, skoro wszystko jest dostępne każdemu, od króla po żebraka, bez żadnych ograniczeń? Gdy o tym myślał, znajdował potwierdzenie w swoich patrycjuszowskich przekonaniach. Bez doceniania piękna, czy to stworzonego przez człowieka, czy znalezionego w naturze, cóż dobrego wynika z daru, jakim była świadomość i rozum?

Może nowe formy poszanowania piękna czekały na możliwość rozwinięcia skrzydeł.

Illian podeszła do jednej ze swoich prac, trójwymiarowego wiru, który kojarzył się Artaudowi z klatką. Illian budowała klatki z wykałaczek. Wszystkie miały dziwacznie połączone kąty, jak jakieś gigantyczne cząsteczki, o niesprecyzowanych wzorach - przynajmniej z tym się kojarzyły Artaudowi, z wzorami, jakie mgliście pamiętał z dzieciństwa, gdy uczył się chemii. Illian rozstawiała te klatki po całej pracowni. Składała je, gdy czuła się źle i wypełniała motylami robionymi z każdego rodzaju materiału - z metalu, tektury, gliny. Najwyraźniej coś dla niej znaczyły, ale nie mogła lub nie chciała powiedzieć Artaudowi, co to jest.

Illian pochyliła się i ostrożnie obeszła wielką klatkę wiru. W środkowej części ruchome motyle zawieszane na kuli kołysały się w rytmie muzyki, porwane szybkim tempem dźwięków. Artaud bał się, że Illian uniesie ostry podbródek i zacznie tańczyć, z zamkniętymi

oczami, błyszczącą twarzą, jak to miała w zwyczaju.

Och, jasne, pewnie wszyscy pomyśleliby, że to rodzaj happeningu, ale to by było nie tylko oszalelamiące, byłoby przede wszystkim zbyt osobiste...

Choć zapewne nikt z gości wernisazu nie ujrzy nigdy Illian załamanej, we łzach - jaką często widywał Artaud. Nigdy nie będą jej obejmować, tak wiotkiej, o długich, niezgrabnych jak u żrebaka kończynach, gdy szlochała spazmatycznie.

Czy to po prostu hormony?

Spojrzała nad głowami wielbicieli i uśmiechnęła się wprost do Artauda, szerokim, szczęśliwym uśmiechem. Nie spuszczać oczu, skierowała się w jego stronę i ku jego zaskoczeniu i trochę skrępowaniu, objęła go mocno.

- Jestem taka szczęśliwa - wyszeptła mu do ucha.

Uściskała ją krótko, potem się odsunął.

- Ja również. A teraz idź i porozmawiaj ze swoją publicznością.

*

Później ciężko im było się wyrwać. Artaud wiedział, że Illian jest zmęczona, ale nie pozwoliła mu prowadzić. Najpierw pojechali do restauracji, gdzie pochłonęła wielki talerz makaronu, a potem kupiła różowy, filcowy kapelusz z ulicznego kramu. Nakarmili procesor starej czarnej maszyny przy koszu z nakryciami głowy, okryty plastikową folią dla ochrony przed deszczem.

- Proszę również płaszcz - powiedział Artaud, ale młody człowiek nawet nie wyciągnął papierosa z ust, tylko potrząsał głową w stronę kramu, przy którym stali. Illian paradowała w kapeluszu, balansując na ceglany murku w pobliżu ławek i zeskakując na płytki chodnika. Artaud okazał należny aplauz, a potem pozwolił, by sprzedawca wyssał z jego karty jeszcze 4,7 euro. Za czarną, aksamitną kape, którą narzucił na ramiona dziewczyny. Spojrzała mu w oczy z nagłym poczuciem winy.

- Jesteś zmęczony - stwierdziła. Troszczyła się o niego równie mocno, co Artaud o nią, choć nie było to już potrzebne. Siedem lub osiem terapii okazało się skutecznym wobec raka. Zabrało to cztery lata. Illian pielęgnowała go z całych sił, choć zatrudnił ludzi do obsługi urządzeń i fachowej opieki medycznej. Interesująca była obserwacja, jak mocno denerwuje to wnuczkę Artauda.

- Nie jestem - zaprzeczył. - To o ciebie się martwię.

- A więc - uśmiechnęła się. - Myślę, że czas na lody! Zerknęła na niego przez ramię i obróciwszy się, zamachała rękami jak ptak.

- Siooo! - powiedziała do przypadkowych przechodniów. Kilku z nich spojrzało z

zaskoczeniem, niektórzy z irytacją. - Co, nigdy nie widzieliście kobiety, która zmieniła zdanie? Jestem zmęczona. Dziękuję za spotkanie. Miło było was poznać. A teraz PRECZ!

Mamrocząc, około pół tuzina osób rozeszło się w deszczu, w połączanej uliczce prowadzącej na Most Świętego Karola.

Przerwane zawody na Zachodnim Wybrzeżu

Jason, Arizona, 2031

Jason zawsze czuł się nagi, gdy przyjeżdżał do miasta. Jakby opadały z niego kolejne warstwy na każdym zakręcie wąskiej, zakurzonej drogi. Tak, jakby ktokolwiek mógł zobaczyć, jak bardzo jest inny. Albo jakby ktoś mógł go wyśledzić i zabrać... gdziekolwiek by to nie było. Do super tajnej placówki. Nieokreślonego miejsca z koszmarów Jasona.

Na płaskowyżu, na wysokości dziewięciu tysięcy stóp, ich trójka postawiła coś, co można nazwać tylko bunkrem, zbudowanym z ziemi, z wielkimi oknami o nieodblaskowych szybach, skierowanymi na południe. Jego matka i ojciec niezmiennie dyskutowali, czy powinien się tu znaleźć arsenał, czy kupić więcej broni niż te trzy strzelby, których używali do polowania. W końcu matka wygrała.

Kiedy nadeszła pora plonów, zebrali je, zasuszyli lub zakonserwowali. Mogliby zaopatrywać market rolniczy. Zioła, przyprawy, główki czosnku zwieszały się z kuchennych belek - belek, które nie pochodziły z lasu, belek, które nigdy nie znały korzeni lub liści. Niepokoiły matkę Jasona, choć nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego.

- One nigdy nie zaznały radości życia - mawiała.

- Racja, ale też nigdy nie zaznały bólu śmierci - oponował stale ojciec. - Nigdy nie poczuły rozcinającej je piły.

Jasne słońce paliło Jasona przez rolety jeepa, którego odkrył na podwórku, gdy miał piętnaście lat i przebudował napęd na energią słoneczną. Jedną z zalet, jakie wiązały się z opuszczeniem Zachodu. O wiele mocniejsze światło. Majestatyczny ryk słońca, który Jason często lubił porównywać do orkiestry lub muzyki wcześniej nie przygotowanej, ani nie odsłuchanej, towarzyszył mu teraz zawsze w tle. Przyzwyczyił się do tego.

Na Wschodzie dużo się mówiło o nowym rodzaju miast - Biomiastach. Najwyraźniej Pekin został przekonwertowany na system działający w oparciu o feromony i rozwijały się plany przekształcenia w podobny sposób kilku miast w Stanach Zjednoczonych. W Dog Leg nadal wychodziły gazety, każdego popołudnia dostarczane z lśniącego ekspresowego pociągu. W planach były, oparte na systemie feromonów, newsy spakowane w odpowiednio przekształcone pojemniki i transportowane przez sieć super szybkiej kolei, którą cały czas rozbudowywano. PSSK - Północnoamerykański System Szybkiej Kolei. Nanotechnologie

pozwalają szybko i bez ryzyka drążyć tunele, równie szybko rozwijała się w nich sieć komunikacji kolejowej. Informacje, które wówczas będą publikowane przez miasto, będzie można odebrać w każdej chwili.

Stacja w Dog Leg była jedną z pierwszych, ponieważ leżała na ważnym szlaku wschodnio-zachodnim. Dlatego właśnie rodzina Jasona wybrała to miejsce, by założyć firmę. Ludzie przyjeżdżali pociągiem i wypożyczali lub kupowali konstruowane tutaj samochody, by podróżować dalej. Firma oferowała im zwrot kosztów podróży pociągiem z dowolnego miejsca. Kolejnym powodem, dla którego zdecydowali się na Dog Leg, były minerały. Surowce, jakich potrzebowali do produkcji, występowały tutaj obficie. Ojciec znalazł odpowiednie miejsce, dzięki starej mapie sonarowej, na której gdzieś około 2010 roku zaznaczono złoża na potrzeby kampanii wydobywczych. Towar zawsze tańszy jest u źródła.

Poza konstruowaniem pojazdów, które zaprojektował i opatentował Jason, rodzice oferowali również dodatkowe usługi. Wytwarzali prefabrykaty do budowy domów, które transportowali pojazdami Jasona do pociągu. Matka Jasona projektowała domy feng-shui, z umeblowaniem na życzenie i dokładną orientacją domu według stron świata. Klienci korzystający z tych usług należeli do wyjątkowo drobiazgowych, Jason nawet nie umiał wyrazić, jak bardzo, i płacili ogromne pieniądze za liczne konsultacje i poprawki, zanim poczuli się usatysfakcjonowani. Na dłuższą metę projekty feng-shui stanowiły najbardziej lukratywną część rodzinnego interesu.

Jason zboczył, żeby ominąć głąz, tarasujący przejazd od strony klifu. Nie przeszkadzał mu, ale chłopak uznał, że powinien tu wrócić w wolnej chwili i usunąć go jakoś. Matka na pewno tędy chodziła lub jeździła, jednak nie prowadziła niczego bardziej zaawansowanego od motoroweru.

Samochód wjechał na asfalt, co znaczyło, że do Dog Leg pozostało około dziesięciu mil. W oczekiwaniu na nowe tanie nawierzchnie, które praktycznie nie wymagały napraw, przestano zajmować się starymi. Pomimo pęknięć i wybojów, Jason wrzucił piątkę i przyspieszył, rozkoszując się widokiem łąk, zarysem gór na północy, wiatrem we włosach. Dog Leg, skupisko rozrzuconych budynków, zbliżało się coraz bardziej.

Wjechał w uliczkę na tyłach rodzinnego zakładu i zaparkował, jak miał w zwyczaju, pomiędzy drzwiami. Wspiął się na pordezwiątałe schody przeciwpożarowe przy sąsiednim budynku i spojrzął z góry na parking. Był pusty. Wtedy zszedł, otworzył tylne wyjście zakładu. Włączył biolampy na suficie, dotykając czujnika.

Zbliżył się do jednego z trzech zbiorników, w których „rosły” oślepiająco zielone samochody. Otworzył panel kontrolny i dotknął kilku płytek, otwierając na ekranie schematy

w czystych, żywych barwach. Pogрузzył się w projektowaniu. To nie była dla niego praca - jeszcze nie.

*

Salon „Long Neck” był zatłoczony, jak w każdy czwartek wieczorem; nie tylko ze względu na wieczorne zabawy, lecz także dlatego, że działała telewizja. Rzadka obecnie zbieżność. Jason poszukiwał informacji astronomicznych, czynił to bez specjalnego powodu. Siedząc przy końcu kontuaru skończył właśnie trzecie piwo, a opracowania z fizyki, które zabrał, by zabić czas, leżały obok, otwarte, zapomniane. Zatrzymywał się w mieście raz- dwa razy w tygodniu i zazwyczaj jadł oraz wypijał parę piw w „Long Neck”, czytając lub ucząc się, na podstawie programu przygotowanego przed laty przez rodziców. Towarzyszyła mu wtedy muzyka country z szafy grającej. Zabawa była nieoczekiwanym bonusem.

Chociaż w czasie, gdy jeszcze działało nadawanie, nadal niekiedy odczuwał mdłości, bóle głowy, wewnętrzne rozbitcie, a nawet zdarzało mu się upaść, podczas gdy świat wokół niego wirował jak opętany, nauczył się, że jeżeli w pomieszczeniu znajduje się telewizor i jeżeli skupi się na oglądaniu obrazów, to potrafi przetrwać atak. A dzisiaj chciał zostać. Uśmiechnął się do tłumu gości i walnął pięścią w kontuar. Picie alkoholu też pomagało. Zamówił kolejne piwo.

Ekran pociemniał. Rozległ się zbiorowy ryk zawodu, naszpikowany dosadnymi przekleństwami i brzękiem tłuczonych butelek. W mgnieniu oka na sali zapanowała cisza, gdy każdy zerkał na telewizor w nadziei, że obraz powróci.

Potem większość wstała i odeszła od baru. To był jeden z wielu spokojnych wieczorów. Jason położył na blacie pieniądze i ruszył do boksów ze stolikami. Generator padł, ale Brenda rozstawiła na stołach naftowe lampy. Chłopak podziękował kelnerce, zamówił zupę i otworzył książkę w miejscu, gdzie skończył czytać. Przez długi czas nie zaglądał do książek.

To był straszny okres.

Nie zawsze słyszał dźwięki. Niekiedy przedmioty, na które patrzył, stawały się ostrzejsze, o wyraźniejszych barwach i odcieniach, okazywały się geometrycznymi układami, jakich wcześniej nie znał, splecionymi z linii, powierzchni i głębi. W takich chwilach rozumiał, co znaczy być artystą. Czuł wówczas potrzebę przeniesienia jakoś tego sposobu widzenia - najczęściej szkicował wszystko, co akurat wpadło mu w oko. Linia gór, stół z rozrzuconymi talerzami i resztkami posiłku, fałdy materiału na niepościelonym łóżku, Zachodnia Autostrada do nieba. Rzadko zachowywał rysunki, ale robiła to jego matka za każdym razem, gdy znalazła jakiś szkic. Dla Jasona liczyła się tylko satysfakcja - i obsesja -

zawarta w akcie tworzenia, w szkicowaniu, a finalny produkt nie miał znaczenia.

W innym czasie dźwięki, jakie słyszał, wydawały mu się bardzo precyzyjnie skomponowane. Szum wiatru w wierzchołkach sosen, pisk i pomruk ruchu ulicznego w dużym mieście, szelest stron, gdy ojciec czytał gazety - muzyka niewymownie zachwycająco brzmiąca w powietrzu, jak Bach, gdzie motywy są ze sobą powiązane krystalicznie czysto.

Dziś były to kłujące tony i fala ciepło brzmiących niskich dźwięków przywodzących Jasonowi na myśl zorzę polarną, choć nigdy zorzy nie widział. Od piwa miał zamglony wzrok, odsunął więc od siebie książkę, odpoczywając od ścisłych informacji.

Doszedł do strony z zadaniami. Wyciągnął notebooka, by rozpisać rozwiązania.

Zaskoczyło go to, że jego umysł bardzo szybko znalazł odpowiedź na pierwszy z problemów. Obracał ją w myślach, wątpiąc, nie wątpiąc, w końcu zajrzał na koniec książki.

Rozwiązanie było prawidłowe.

Wrócił do strony z zadaniami i przejrzał je ponownie.

To nie były proste zagadnienia. Jason był przekonany, że rozwiązanie choćby jednego zajmie mu przynajmniej z godzinę. Albo w ogóle ich nie rozwiąże. Na dodatek rozpracował wszystkie zadania ze strony z wielką łatwością. To było dziwne, ta absolutna pewność w stosunku do rozwiązań dotyczących kwestii działania wszechświata. Prawa fizyki zdawały mu się oczywiste i klarowne, spójne z wiedzą, jaką miał o mechanice kwantowej i wszystkich przypadkowo poznanych zagadnieniach. Materia wokół Jasona - porysowane drewniane stoły i podłoga, plastikowe stojaki na serwetki, aluminiowa łyżka, którą Brenda położyła z brzęknięciem obok miski z parującą zupą - łączyła się w jasne związki tak całkowicie wyraźne i czyste, a objawienie to miało taką moc, że nie mógł złapać tchu - czuł się jak William Blake oglądający boskie atrybuty Londynu.

Wstał, narzucił kurtkę i kapelusz, wyszedł na zewnątrz. Jego oddech skłębził się w chłodnym, pustynnym powietrzu.

Dwupasmowa droga biegnąca przez całe Dog Leg rozszerzała się o pobocze przeznaczone do parkowania. Nikt nie pomyślał, aby zadbać o oświetlenie, choćby o pojedyncze latarnie uliczne, więc Jason pograżył się w luksusie całkowitej ciemności.

Niebiosa były tak uporządkowane, jak podjazd przed lokalem „Long Arm”. Jason skojarzył to odruchowo i odniósł do siebie. Powstał z pyłu wszechświata. To było takie proste. Ścieżki nieskończoności widział wszędzie - w każdym atomie i pomiędzy nimi, na każdym poziomie, wyraźne jak mapa, którą mógłby narysować.

Przypomniał sobie teraz to uczucie z dzieciństwa, gdy zdawało mu się, że może rozłożyć ramiona jak Superman i polecieć niczym strzała.

Muzyka, jaką słyszał i *widział*, była tak słodka, zniewalająca, że wyciskała z oczu łzy. Jeżeli psalmy gregoriańskie unosiły duszę, to ta pieśń wszechświata wznosiła umysł Jasona tak, że potrafił zrozumieć wszystko. Zimny asfalt drogi pod jego stopami prowadził do Los Angeles. Droga gwiazdy, która wysyłała sygnał z oddali, wiodła do...

Dokąd?

I wtedy dźwięki znikły. Niebo było tylko niebem pełnym gwiazd. Restauracja „Long Arm”, sklep Kwik-Mart i nanotechnologiczny magazyn po drugiej stronie ulicy, gdzie Jason po raz pierwszy poczuł satysfakcję z zarobionych własnoręcznie pieniędzy, pozostały niezmiennie, były tym, czym były od zawsze i niczym więcej.

Nie pozostało mu nic innego, jak cofnąć się do „Long Arm”, ponieważ tam było ciepło, a na zewnątrz zrobiło się mroźno.

*

Następnego dnia, około lunchu, coś przyciągnęło uwagę Jasona. Przez weneckie okna z przodu warsztatu zobaczył mały, niepozorny samochód zawracający na parking. Wiedział, że to jakiś pojazd służbowy. Nikt więcej nie jeździł tak zwyczajnymi samochodami, nie w epoce molekularnego splendoru, gdy kolor karoserii był tylko kwestią zmiany programu substancji pokrywającej wehikuł, wystarczyło jedynie użyć panelu kontrolnego na kierownicy.

Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna i kobieta. Przybysz ubrany był w garnitur, jego towarzyszka miała garsonkę i wysokie obcasy. Oboje spojrzeli na szyld zakładu Jasona - MUSICAL SUN MANUFACTURING - wymienili parę słów i podeszli do drzwi.

Mógłby udać, że go nie ma. Ale przybysze i tak wróciliby.

Podszedł i otworzył w odpowiedzi na pukanie.

Kobieta odezwała się pierwsza:

- Dzień dobry. Jesteśmy z FBI.

- Macie legitymacje? - spytał Jason. Pokazali mu karty i odznaki. Poważna sprawa.

- Czy nazywasz się Jason Peabody? - pytała dalej kobieta.

- Nie.

- A kiedy można go zastać? - spytał mężczyzna.

- Nie można - odparł krótko Jason.

- Ale nasze informacje wskazują, że to on ma patent na jeden z najnowszych komponentów do samochodów, jakie tutaj są wytwarzane.

Cholera. Przecież wiedział, że to głupie. Ale był po prostu dumny z tego odkrycia. I wydawało się tak mało znaczące. Wzruszył ramionami.

- To możliwe, nie wiedziałem. Ale wasze dane są niekompletne. Kupiłem ten warsztat półtora roku temu. Sprawdźcie w Phoenix. W urzędzie miasta wszystko było w porządku - uniósł brwi. - Kimkolwiek był wcześniejszy właściciel, zdaje się, że niezbyt interesował się księgowością. Przynajmniej mnie warsztat nie przynosi takich zysków, jak obiecywał agent nieruchomości. - Wyciągnął dłoń. - Jestem Ned. Ned Holdman.

Kobieta oddała uścisk z powątpiewającym wyrazem twarzy. Zmrużyła oczy, spoglądając uważnie na Jasona.

- Cóż, panie Holdman, wie pan może, gdzie znajdziemy Jasona Peabody?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że był takim trochę niespokojnym duchem. Nie zagrzewającym długo miejsca. Wędrowcem - odchrząknął, gotów albo wybuchnąć śmiechem, albo zwinąć się w histerycznych drgawkach, nie był pewien własnych reakcji.

- Pozwoli pan, że się tu rozejrzymy? - zapytał agent FBI.

Jason wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. - Już dawno skrupulatnie przeszukał wszystkie kąty, usuwając ślady swojej dawnej tożsamości. Chociaż nie oczekiwał, że tak szybko mu się to przyda.

Udawał, że jest zajęty przy zbiornikach, podczas gdy agenci węszyli wokół, przeglądali komputer, otwierali szuflady z dokumentami. Jason był dumny, że nie drżą mu dłonie. Te medytacje, których nauczyła go matka, naprawdę okazują się czasem przydatne. Agenci nie odzywali się, ale ich usta były zaciśnięte, a w oczach płonęła złość.

Wygląd Jasona odbiegał znacznie od tego, jakie widniało na ostatnim oficjalnym zdjęciu. Była to grupowa fotografia zrobiona w szkole, do której chodził przez około pół roku, gdy miał dwanaście lat. Gdy osiedlili się pod Dog Leg, matka przefarbowała czarne włosy Jasona na marchewkowy odcień. Zrobiła mu też trwałą. I nosił brodę. Prawe ucho przebił dwoma małymi kolczykami. Wyrósł na szczupłego, atletycznego mężczyznę; wolny czas spędzał na wspinaczce po górach. I myśleniu. Podczas wędrówek ogarniała go tęsknota. Za czym? - zadawał sobie to pytanie z rozdrażnieniem. Za prawdziwą miłością? Życiowym wyzwaniem? Wolnością? Bardziej normalną egzystencją? A przecież wyglądało, że cały świat się cofnął.

Podniósł wzrok, gdy kobieta klepnęła go w ramię.

- Skończyliśmy - oznajmiła. - Proszę wybaczyć, że pana niepokoił. To moja wizytówka. Gdyby usłyszał pan coś o Peabodym, proszę się niezwłocznie skontaktować. To bardzo ważne.

Schował kartę do kieszeni.

- Tak zrobię. Przykro mi, że na niewiele się przydałem. Też chciałbym się z tym

gościem zobaczyć. Miesiące zajęło mi porządkowanie bałaganu, jaki zostawił. To jakiś defraudant?

- Nie, on... - zaczął mężczyzna, ale kobieta szybko mu przerwała.

- To tajne. Musimy już iść.

Kiedy odjechali, Jason opadł na krzesło i zatrzęsł się gwałtownie.

- Dlaczego? - wyszeptał z głową w dłoniach. - Dlaczego? Całkiem możliwe, że agenci nie kupili jego historyjki, a wtedy wrócą z nakazem pobrania mu próbki krwi.

- Cholera - mruknął, wstając i wciskając ręce w kieszenie. Naprawdę kochał swój mały warsztat. Uwielbiał wymyślać projekty i rozwiązania techniczne. Kochał tworzenie szablonów, by potem obserwować, jak rosą w nieskazitelne produkty. To było tak piekielnie przyjemne. I takie łatwe. Jeżeli coś nie wyszło, można było wrzucić do kadzi, zaprogramować od nowa i zacząć jeszcze raz. Istniało wiele bardziej wymyślnych programów niż ten, którego używał Jason, i znacznie droższych. Aplikacje pracujące na różnych poziomach, nie dopuszczające do występowania podstawowych błędów. Ale Jason wolał się uczyć. Chciał projektować programy. W końcu doszedł do takiej wprawy, że mógł sprzedawać własne aplikacje. Aż do tego momentu potrzebował jednak własnoręcznej pracy, praktyki w warsztacie. I całkiem przyjemne było zarabianie pieniędzy i pomaganie rodzicom.

Zamknął oczy. Wyobraził sobie łysinę, otoczoną siwymi włosami zwisającymi w niedbałych, rozczochranych kosmykach. Twarz pobrużdżona, ze zmarszczkami. Serce waliło mu jak młot.

Z tak radykalną zmianą wyglądu wiązało się naprawdę wiele problemów. Z wielu jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Nie byłoby kłopotów, gdyby chodziło o odmłodzenie. Ale czy potrafiłby wymienić własną, młodą twarz za oblicze starca?

Może wystarczy, że ogoli głowę albo zmieni kolor włosów? Może to zadziała. Może. Ale nadal wyglądałby na rówieśnika Jasona Peabody, uciekiniera.

I co zrobić z krwią? Jego dziwną krwią? Nowego typu. XX.

Nie miał szans.

Podszedł do jednego ze stanowisk i włączył proces. Szperał na półce, aż znalazł pudełko kulek. Jedną z nich załadował do stacji. Nie uciekam - powtarzał sobie. Robię tylko kopie zapasowe. Nie chciał uciekać. Był tym zmęczony. Mieszkał w tak wielu miastach, uczęszczał do tak wielu szkół i bawił się z tak wielką liczbą dzieci, że nie umiał sobie nawet wszystkich przypomnieć. Za każdym razem, gdy nauczyciel lub sąsiad okazali choć cień zainteresowania rodziną Peabody, uciekali. Aż dotarli tutaj, czyli nigdzie. Wydawało się, że będą bezpieczni. Rodzice będą zmartwieni. Musieliby porzucić bunkier, który zbudowali na

przyszłe lata i przeprowadzić się znowu. Ta sama, stara historia. I co pomyślą agenci, jeżeli wrócą i nie zastaną Jasona? Wyczują świeży, gorący trop. Straciłby obecną tożsamość.

Kiedy pracował, popołudniowe słońce rzucało złote promienie przez wysokie okna. Jason pomyślał o L.A. Słyszał, że są tam miejsca, gdzie można się przerobić biologicznie, radykalnie i bez żadnych pytań. I bez zapisu danych.

Czy możliwym będzie ukrycie znaczników charakterystycznych dla jego krwi? I czy to pozbawi Jasona słonecznej muzyki. Jaką cenę musiałby zapłacić?

A... może istniało inne rozwiązanie?

Poczuł podniecenie. Przestał nerwowo spacerować między stanowiskami. Wieczorny chłód wdarł się do środka hali.

A co, gdyby umarł? Gdyby znaleziono jego ciało? To by definitywnie zakończyło poszukiwania.

Jason zaczął się uwijać. Zebrał kopie zapasowe, pozostawiając tylko jedną z wiadomości dla ojca, zakodowaną w szyfr, który wspólnie ułożyli. Brzmiała: MUSZĘ UCIEKAĆ. NA RAZIE JESTEM BEZPIECZNY. CZEKAJCIE NA MNIE. GDYBYŚCIE MUSIELI WYJECHAĆ, SPOTKAMY SIĘ W USTALONYM MIEJSCU. WRÓCĘ, KIEDY BĘDĘ MÓGŁ. Bez kodu można było tylko odczytać: MUSZĘ JECHAĆ PO DODATKI DO SALT LAKE. PILNUJCIE INTERESU. WRACAM NIEDŁUGO. Poklepał się po kieszeni. Jak zwykle miał przy sobie nieprawdopodobnie dużo gotówki. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Do drugiej kieszeni wrzucił zestaw kulek z kopiami zapasowymi.

Wystawił ostrożnie głowę przez tylne drzwi. Nie dostrzegł nikogo. Zamknął warsztat. Nikt go nie śledził, gdy wsiadał do jeepa.

Zawrócił i pojechał tylną uliczką. Potem skręcił na Główną. Z lewej był skręt do domu, z okien pubu „Long Arm” błyszczwały jedyne światła widoczne na drodze. Supermarket zamykano o zachodzie słońca.

Sięgnął do tyłu i wymacawszy kurtkę, założył. Spojrzał w kierunku domu z westchnieniem. Koniec z ukrywaniem - powiedział sobie.

Skręcił kierownicę w prawo i z rykiem silnika ruszył na zachód. Szybko opuścił miasto, w niespełna minutę. Pojechał przez pustynię. W stronę L.A.

Gdy prowadził, gwiazdy śpiewały dzięk, świszczącą, wielogłosową kompozycję, którą słyszał przy naciskaniu sprzęgła i zmianie biegów.

Jason nigdy już nie ujrzał ojca.

*

Nie był przygotowany na L.A.

Po pierwsze, miasto było ogromne. Pulsowało mu w skroniach, gdy zastanawiał się, od czego zacząć. Kiedy na dobre opuścił góry, około drugiej nad ranem rozbił namiot na poboczu drogi i przespał się trochę. Powinien był coś zjeść. Obiecywał sobie nawet, że zatrzyma się w jakimś dogodnym miejscu, ale po prostu jechał dalej. W kierunku wysokich wież na wąskiej nadmorskiej równinie u stóp gór. W końcu zatrzymał się i wyciągnął z bagażu swój system nawigacyjny. Tylko mapy, GPS dziś nie działał. Jak zwykle. A zatem, musi podróżować w starym stylu, bez podpowiedzi głosowych, zerkając jedynie na mapę, by zorientować się, gdzie się znajduje i gdzie powinien skręcić.

Kiedy minął granice miasta, ogarnął go blask stale zmieniających się reklam, znaków firmowych, obrazów, o wiele bardziej agresywnych niż oczekiwał. Znalazł się w zaniedbanej części miasta, ciągnącej się pasmem wzdłuż rogatek. Obok Jasona pojawiła się naga kobieta tańcząca lubieżnie przez sekundę lub dwie, gdy przejeżdżał przez punkt zogniskowania się promieni tworzących obraz. Minął jeszcze kilka ogrodzeń, aż dotarł w okolicę z kafejkami i sklepami. Zaparkował i wysiadł, cofając się do Klubu Anatomii. Przez chwilę stał w drzwiach, aby wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Kilku mężczyzn rozparło się na krzesłach przy barze. Punktowy reflektor padał na kobietę powolnymi, zmysłowymi ruchami kołyszącą się w górę i w dół na rurze.

Jason usiadł przy barze.

- Cokolwiek, co macie gotowe - powiedział barmanowi. - I kanapkę z serem.

- Mamy tylko sałatkę jajeczną - barman rzucił wnikliwe spojrzenie na przezroczyście drzwi chłodziarki. Odślaniały kilka marnie wyglądających specjałów w celofanie.

- Może być - zdecydował Jason, przesuwając po kontuarze banknot o sporym nominale. - Zachowaj resztę na później. - Podczas minionych miesięcy spędził sporo czasu w „Long Arm”, popijając piwo i unikając zdarzających się od czasu do czasu bójek na noże. Alkohol znakomicie współgrał z halucynogennymi grzybkami matki, za to po meskalinie chorował paskudnie, więc dał sobie z nią spokój rok lub dwa lata temu.

Przy drugim piwie spytał barmana:

- Jest prawdziwa? - ruchem głowy wskazał kobietę na rurze.

Mężczyzna zachnął się.

- Żartujesz? Miałem wybór między walką ze związkami zawodowymi albo kupnem tej zabawki. W obu przypadkach wychodzi drogo. Ale ona przynajmniej nie jęczy o podwyżki i można zmienić jej wygląd, na jaki tylko zechcesz. Anatomicznie też jest bez zarzutu - jeżeli rozumiesz, co mam na myśli - mrugnął porozumiewawczo do Jasona.

Jason poczuł skurcz w żołądku. Zerknął za siebie, mając nadzieję, że ten gest wyszedł

mu naturalnie. Jediną dziewczynę, jaką miał, musiał porzucić trzy przeprowadzki temu. Nadal często o niej myślał. Miał nadzieję, że go nie znenawidziła.

- Gdzie ją dostałeś? - Nie była prawdziwa, tak mu powiedział barman. A zatem była konstruktem, bez historii, bez świadomości, bez mózgu. Hodowano je, by do ostatniej komórki przypominały człowieka, ale nigdy nie miały się przebudzić. Konstrukty stanowiły część nowego - i straszego - handlu niewolnikami. Znalazły się na styku prawnych batalii i podziemia, gdzie je produkowano.

Barman spojrzał na niego uważnie.

- Dlaczego chcesz wiedzieć? Jesteś gliniarskim kapusiem?

Jason wypróbował szczery uśmiech w nadziei, że wypadnie przekonująco.

- Nie, skąd... Chciałem tylko, no, wiesz... - obniżył głos i przysunął się bliżej. - Brat rozkręca interes z prostytutkami w San Diego. Wysłał mnie tutaj, żebym sprawdził rynek i dobił targu. No, wiesz, tam władze przymykają oko.

Jason ufał, że lata oglądania filmów na wideo przydadzą się teraz. Czuł się jak improwizujący amator. Miał tylko nadzieję, że rozmówca tego nie rozpozna.

- Co będę miał z tego, że kogoś polecę? - zapytał barman.

- Dwie stówy.

Mężczyzna plasnął dłonią o blat z odrazą.

- Wybacz, ale mam robotę.

- Dobra, wymień swoją cenę. Nie produkuję pieniędzy. To pierwsze miejsce, w jakim się zatrzymałem. Może zrobię lepszy interes gdzie indziej, kto wie?

Barman wzruszył ramionami.

- Sześć stów.

- Cztery - zaproponował Jason, kładąc na barze banknoty.

Ponowne wzruszenie ramion. Potem barman sięgnął pod kontuar, wyciągnął kartę i zgarnął pieniądze.

- Zatrzymaj wizytówkę - powiedział.

*

Jason jechał wzdłuż plaży. Był zmierzch i słońce powoli kryło się w oceanie. Znalazł miejsce, zaparkował wóz i ruszył betonową ścieżką, przyglądając się łagodnemu ruchowi lśniących pomarańczowo fal. Za linią przybrzeża dokazywali ludzie w skafandrach odrzutowych, body-surfingowcy. Jason zapiął kurtkę. Była wczesna wiosna, jeszcze czuć było chłód. Zatęsknił za rodzicami.

Gdy szedł na północ, zapłonęły uliczne latarnie i przypływ przyniósł białą pianę

znaczącą jasną linią granicę między lądem i ciemnym oceanem. Sylwetki body-surferów mieniły się barwami, pływali na słuch, na wycucie fali, starając się wykorzystać warunki otoczenia. To było niebezpieczne. Body-surferzy przypominali światła komet, choć byli również tutejszą atrakcją. Ludzie wyszli na tarasy nadmorskich hoteli, tłocząc się, śmiejąc i popijając drinki, spoglądali na ocean. Głośna muzyka dobiegała z barów, a otoczenie stawało się coraz bardziej zaniedbane. Jason zaczął sprawdzać oznakowania ulic. W końcu skręcił w jedną z przecznic, a z niej - w kolejną.

Znalazł się w okolicy z małymi budynkami mieszkaniowymi wymieszanymi z motelami, nad którymi błyskały szyldy. Odszukał Właściwy adres i zadzwonił. Natychmiast rozbłysło światło, oślepiając Jasona. Z interkomu wystrzeliło pytanie:

- Czego chcesz?

Sięgnął do kieszeni, wyjął wizytówkę i przytrzymał ją przed Obiektywem kamery.

- Przysłał mnie Ernie.

- Jaki Ernie?

- Ernie z Klubu Anatomii.

Usłyszał kobiecy głos.

- No i co?

- Mam interes do zrobienia.

- Co jeszcze masz?

- Pieniądze.

- Gotówkę?

Jason przytaknął. Drzwi się otworzyły.

Znalazł się w świecie zupełnie różnym od tego na ulicy. Drzwi zatrzasnęły się za nim z głuchym trzaskiem i delikatnie zaślśniły wokół ściany - jakby akwaria, po których przebiegały łagodne linie tworzące nieokreślone formy. Dwaj przerośnięci mężczyźni zbliżyli się i przeszukali Jasona. Spodziewał się tego; prawdę mówiąc, był zaskoczony, że wpuszczono go tak łatwo.

- Masz miłą twarz - powiedziała kobieta, która nadeszła zza zakrętu korytarza. Była drobna, wysoka najwyżej na pięć stóp, Szczupła i surowa. Wyglądała jak dziecko, miała czarne, kręcone włosy. Ubrana była w jeansy i prostą koszulę.

- Wejdz - zaprosiła. - Chcesz dziewczynki? Konkurencja dla Erniego?

Obok niego czarne mieczyki popłynęły w górę, a mały rekin Wślizgnął się po gwałtownym machnięciu ogonem do groty, ognice rozkładały grzebień płetw z trucizną wśród płataniny podmorskich roślin i koralowców.

- To musiało kosztować fortunę - zauważył Jason.

Przywołała go gestem.

- Chodźmy do mojego pokoju konferencyjnego. Wprowadziła go do małego pomieszczenia bez ozdób, ale za to z poduszkami rozrzuconymi na podłodze. Całe pomieszczenie było wyłożone wyciszającą gąbką. Kilka kamer obracało się ostentacyjnie pod sufitem, aby miał pewność, że jest obserwowany.

- Usiądź - kobieta przysunęła mu jedną z poduszek i usiadła na podłodze. - A teraz - oznajmiła - powiedz mi. Mam nadzieję, że to coś ciekawego. Jestem już zmęczona dziewczynkami. - Gąbka tłumiała jej słowa, dając niesamowity efekt brzmieniowy. Jason zdał sobie sprawę, że nie słyszy nawet gwiazd i to go zmieszało, doprowadziło na moment niemal do paniki. Nie pamiętał takiej ciszy...

Wziął głęboki oddech, usiadł na poduszce i skrzyżował nogi. Poczłł suchość w ustach.

- Chcę... Chcę siebie - wydusił.

- Oho! - kobieta zachichotała. Jej twarz była blada i piegowata. - Tak, na pewno! To może się przydać. Wyzwanie dla umysłu, nowe możliwości. Czekalam na coś podobnego. - Skrzyżowała nogi na wzór Indian jednym zwinnym ruchem. Włosy spadły jej na oko, zatknęła kosmyk za uchem, wyprostowała się i wyszczerzyła w niemal diabolicznym uśmiechu. - Taa... Uwielbiam to.

- Ale to musi być identyczna kopia - zastrzegł Jason. - Na poziomie komórkowym.

- Ach, rozumiem - kiwnęła głową wiele razy, jakby wpadła w hipnotyczny trans.

- Możesz to zrobić? - upewnił się Jason.

Jej oczy, niebieskie, obwiedzione czarnymi długimi rzęsami rozszerzyły się na chwilę, jakby nagle zbudzone ze snu.

- Wybacz - mruknęła. - Jasne, że mogę. Praktykowałam w korporacji Trans-Bio. No, wiesz, upiększanie ludzi. Chcesz mieć komórki, w porządku. Wedle życzenia. Ale to kosztuje - uśmiechnęła się - Będę musiała zamówić nowe wyposażenie.

- I chcę obserwować cały proces - dodał jeszcze. - A wszystkie zapisy danych zostaną zniszczone, szablony, próbki, wszystko.

- Hmm - zastanowiła się. - Oczywiście. Klient nasz pan. Jesteśmy po to, by służyć.

- I żadnych pytań.

- Naturalnie - potaknęła.

Zdawało mu się, że w jej oczach mignęła iskierka zainteresowania.

- Co... co *myślą* te kobiety? Takie, jak u Erniego? - wyrzucił z siebie Jason - Co *czują*?

- Ach! - ironiczny uśmiech. - Mężczyzna z sumieniem!

- Naprawdę... - odpowiedział.

- Myśłą? Czują? No, cóż... Jak ci na imię? Nie, przepraszam, jak mam się do ciebie zwracać? - spytała.

- Jason - tak było najprościej.

- Jason. Ich mózgi są amalgamatem cech charakterystycznych dla ssaków. Mają trochę lojalności. Bardzo dobrą kontrolę motoryczną, jak mogłeś zauważyć. Wiedzą, że mają jeść, kiedy są głodne; rzecz jasna, działają u nich wszystkie funkcje rdzenia kręgowego i pnia mózgu. Mają szczątkowe wspomnienia. Tym od Erniego wprowadziłam szablon treningowy, aby uczyć je ruchów. Erni lubi się z nimi zabawiać. Godzinami siedzi w VR w jednej z kabin w śródmieściu i ślini się na myśl o swoich dziewczynkach. Ale cokolwiek z nimi robi, doskonalili ich umiejętności taneczne. Moje dziewczynki wyglądają wspaniale i idealnie imitują ludzi. Po wyhodowaniu dopasowuję im materiał wzmacniający i utrwalający założenia programu. Świetny dodatek. Ich mózgi są organizowane przez ruch.

- I nigdy nie staną się rozumne? - pytał Jason.

- Niezupełnie - ton odpowiedzi był pełen powagi. - One wszystkie są jeszcze bardzo młode. Ich chromosomy nie są normalne. Nic w nich nie jest normalne, Jason. Wszystkie ścieżki rozwoju intelektu są u nich zatarte. Mogą się rozwijać jedynie w mocno ograniczonym stopniu. W bardzo ograniczonym. Jeśli chodzi o emocje - nie ma mowy. Nie znają strachu, miłości, szczęścia. Po prostu... - zamilkła na chwilę, ale zaraz dokończyła ponurym tonem w pośpiechu - ... nie mają *duszy*.

Jason usłyszał echo głosu matki, głęboki smutek, z jakim mówiła o belkach w kuchni, że nigdy nie zaznały życia, nie czuły, nie miały duszy. Wbił wzrok w podłogę, powstrzymując łzy.

- Nie wiem... - *Ktoś* umrze, pomyślał, a ja nie mogę jednak tego zrobić, to wcale nie był dobry pomysł...

Kobieta chwyciła go za rękę.

- Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

Właściwie tylko rozmawiali, jednak słowa kobiety przepelnione były czystym cynizmem. A przecież jej twarz wyglądała tak młodo, co ze zdumieniem zauważył Jason. Zupełnie jak twarz jego koleżanki z klasy, poznaniej, gdy miał dziesięć lat, w miasteczku, którego nazwy nie umiał sobie przypomnieć.

- Tutaj - powiedziała kobieta, tak cicho, że dźwięk prawie znikł w pianie izolacyjnej. Podciągnęła go, zmuszając do wstania i nacisnęła część jednej ze ścian.

Drzwi rozsunęły się powoli, ukazując wąskie, spiralne schodki.

Poszedł za nią na górę, pokonując trzy zakręty, jak ocenił, bo nie dzieliły ich żadne platformy czy półpiętra. Cylinder klatki schodowej wyłożony został taką samą pianką wyciszającą jak pokój, więc ich krokom nie towarzyszył żaden odgłos.

Znaleźli się w dużej Sali, wszędzie pełno szkła. Nagle do umysłu Jasona znów zaczęły docierać dźwięki, poczuł się niewymownie lepiej.

- Nie bój się - powiedziała przewodniczka.

Przez szklane okna spojrział na ocean, gdzie białe smugi księżycowego blasku kładły się na falach. Warkoczący mechanizm cofnął część dachu.

- Nikt tu jeszcze nie był. Nie wiem, czemu akurat tobie to pokazuję - zakrzętała się, włączając światła kłaśnięciem w dłonie. Na ścianach było pełno książek, nieco dalej stało pięć- sześć komputerów i chyba z tuzin monitorów podłączonych nie wiadomo do czego. Kable wiły się bezładnie pomiędzy pojemnikami z inteligentnego plastiku. Orientalne dywaniki leżały na płytkach podłogi. Pnącza i bujne orchidee zwieszały się z belek pod sufitem, a wielki kaktus rozrastał się w donicy. Jason doliczył się pięciu kotów, potem mignął mu jeszcze jeden przemykający pod niskim stolikiem, i wtedy przestał liczyć.

- Podejdz tutaj - powiedziała kobieta, w jej nieco chłopięcym głosie czał się uśmiech. Rozpięła koszulę. Pod spodem miała oślepiająco różowy, obcisły top. Koszula falowała teraz przy każdym jej ruchu, jak peleryna jednej z tych szalonych, komiksowych heroin. Jason, zmęczony i stęskniony za domem, poczuł dezorientację. Żałował, że niczego nie jadł. Ale ruszył za nią do najciemniejszego kąta pomieszczenia. Kobieta klasnęła kilka razy i narożnik zalało światło.

Stała tu półkula o średnicy około sześciu stóp. Jason rozpoznał natychmiast. Komputer świetlny najnowszej generacji.

- Podejdz bliżej - szepnęła gospodyni. - Ach! Nigdy nie wiadomo...

Usiadła na niskim stołku, rozluźniła nadgarstki i skupiła wzrok.

Jason także się skoncentrował, albowiem w złotej mgiełce leżała kobieta, doskonale piękna. Miała zamknięte oczy, a na twarzy spokojny uśmiech.

- Czy ona... - zaczął, ale szybciej niż był w stanie dostrzec, gospodyni wyciągnęła dłonie, dotknęła kopuły i ciało leżącej postaci zmieniło się w wiele maleńkich kopii, sto, pięćset. A potem w kopule zaczęło wzrastać miasto.

Jason patrzył zaskoczony.

- To hologram?

- Coś w tym rodzaju - padła odpowiedź.

To było jak spoglądanie z lotu ptaka na... był tam ocean...

- L.A.? - zgadł.

Skinęła głową i uderzyła w pół-sferę, najwyraźniej stosując jakiś kod. Leżąca kobieta ponownie pojawiła się w złotej poświacie.

Serce chłopaka było mocno. Kobieta w półkuli otworzyła oczy i spojrzała na niego, jej usta się poruszyły.

- Co? - dobiegł głos z komputera.

A potem leniwie się uśmiechnęła, zamknęła oczy, obróciła się na bok, złożyła ręce pod policzek i podkuliła nogi. Jej piersi zmalowały, włosy łonowe znikły. Przemieniona postać leżała teraz w łóżku. W sypialni. Jason widział to pomieszczenie, jakby nie miało jednej ze ścian. Obraz oddalał się, teraz widoczna była część domu, gdzie jakaś kobieta szła korytarzem i otworzyła drzwi, zajrzała do sypialni. Jej twarz była wystarczająco duża, by Jason zauważył uśmiech, zanim nastąpił kolejny odjazd i obraz ukazał panoramę miasta na tle przyrody. Kolejne puknięcie w kopułę i obraz zmienił się - teraz w powodzi światła szedł jakiś mężczyzna.

- Sam spróbuj - oznajmiła kobieta.

- Jak?

- Klepnij, puknij. Reaguje na dotyk.

Jason puknął palcem w półkulę, ożywiając kolejną scenę. Pojawiła się dziewczynka uśmiechająca się do niego, patrząca mu prosto w oczy. Okręciła się, jej sukienka zawirowała, zaśmiała się. Do jej pokoju wszedł chłopiec, wzięli kredki i zaczęli rysować po ścianach, śmiejąc się wesoło. Napisali jakieś skomplikowane równanie matematyczne, ale Jason nie umiał określić, czy miało jakiś sens. Jak w kreskówkach litery i cyfry zaczęły rosnać, nadymać się, aż zasłoniły białą całą przestrzeń. I w tej bieli coś się pojawiło... Mieszana obrazów, szybki przelot nad jakąś drogą, arabskie targowisko... Kobieta wyszeptala mu coś do ucha.

Podniósł wzrok. Prawie zapomniał, że nie jest tu sam. Skinął głową. Godzinami oglądali obrazy w półkuli. Przynajmniej wydawało się, że minęło wiele godzin. Na koniec kobieta dotknęła twarzy Jasona.

- Jestem zmęczona. Prześpijmy się?

Podeszła do futonu, zdejmując jeansy i bieliznę. Była taka drobna. Jej czarne włosy spadały kaskadą na plecy. Jason ruszył za nią jak we śnie, położył się przy niej na futonie w ubraniu, zamykając oczy i poddając się dzikiej, niespokojnej wizji, zatopił się w pół-koszmar, pół-sen.

Rano obudził się, widząc jej twarz przy swojej. Patrzyła mu prosto w oczy. Dostrzegł

malutką czarną plamkę na błękitnej tęczę.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Ja... - zaczął, próbując zrozumieć, co właściwie się stało.

- Ja... Żadnych pytań - Sama mam ich milion - stwierdziła, sięgając do paska jego spodni. - I możesz być cholernie pewien, że odpowiesz na każde z nich.

*

Abbie otworzyła pocztę pijąc kawę przy małym stoliku, siedząc na podłodze.

- To codzienna poczta dostarczana w L.A. - wyjaśniła Jasonowi otwierając pierwszą z kopert. - Zajmiemy się naszą umową, jak tylko sprawdzę, czy nie przyszło coś ważnego. - Wcisnęła guzik interkomu i rzuciła. - Mamy pliki Jamesa Deana?

- Tak sądzę - padła odpowiedź.

- Jak je znajdziesz, przekaz Ace'owi, są mu potrzebne. - Szybko przejrzała resztę przesyłek, złożyła je w zgrabny stosik i włożyła do przegródki z napisem „Oczekujące”, przyciskając jednym z leżących na stole kamieni. Był to rzeczny kamyk, gładki, o szarej strukturze równoległych warstw opasujących owalne krawędzie.

- Koniec - oznajmiła Abbie. - Nic więcej, co nie może poczekać.

Na kilka sekund zamknęła oczy. Jason zauważył, że jej długie rzęsy rzucają cień, skóra była gładka i jasna pod piegami, różowiejąca na policzkach. Nie widział jej piersi, tylko czuł ich nacisk, gdy tego ranka obejmowali się gwałtownie; w błysku wspomnień pojawiło się umięśnione, sprężyste ciało Abbie, i jej gorące, spragnione usta...

Otworzyła oczy. Przez chwilę beznamiętnie patrzyła na Jasona.

- Teraz ty - zdecydowała.

Sięgnęła przez stół i rozwinęła przed sobą niewielki ekran. Dotknęła lekko i materiał się rozjarzył.

- Pozwól, że coś ci pokażę - powiedziała. - To ty.

Słupki danych przebiegły przez ekran w nieprawdopodobnym tempie. Po piątym lub szóstym Jason odezwał się, a głos mu drżał.

- Jak to zdobyłaś?

- Od ciebie.

- Ale jak...

- Komar? - odparła. - Kilka komórek skóry? Nasienie? Nieważne - zasunęła opadające włosy za uszy, niecierpliwym gestem, który musiał być jej nawykiem. - Nie wpadaj w paranoję. Nie ścigam cię, chłopcze. To tylko moje informacje. Jeżeli mamy zrobić interes, muszę od czegoś zacząć. Mam wiele do przygotowania i niezbyt wielu pomocników. A ty

nawet nie wspomniałeś, jak zamierzasz mi zapłacić.

- Ja... - Jason sięgnął do kieszeni spodni.

- Nie, czekaj - zamachała ręką. Jej palce, jak zauważył, były piękne - długie i pełne wdzięku, gdy poruszały się po małej klawiaturze. Wywołała obraz helisy DNA. - Tu jest coś bardzo nietypowego - powiedziała.

Serce załomotało w piersi Jasona. Chciał wstać i wybiec, uciec na plażę, wskoczyć do jeepa i jak najszybciej wrócić do rodziców. Wrócić do rodzinnego azylu w górach. Nie przewidywał, że zostanie poddany tak dokładnej analizie, choć nie był pewien, dlaczego. Myślał, że po prostu przyjdzie, złoży zamówienie na... na to coś, tego potwora Frankensteina i potem odbierze gotowy „produkt”. Zupełnie nieświadomy, bezrozumny. Po prostu ochłap, mięso, wyglądające jak Jason, identyczne co do joty... Ale Abbie wiedziała. Cały świat się dowie, że Jason jest dziwakiem. Nigdy nie uda mu się uciec. Może się tylko poddać...

- Uspokój się! - rozkazała Abbie ostrym tonem pełnym nieskrywanej irytacji. - Twoja ucieczka kończy się tutaj. Dokładnie wiem, kim i czym jesteś. A wiem to dlatego, że *jestem taka, jak ty!*

Ostatnie cztery słowa wstrząsnęły Jasonem.

- Co masz na myśli?

- Jesteś idiotą, czy co? Mówię, że moje DNA wykazuje identyczne anomalie, jak twoje. Właśnie to powoduje, że tropią cię faceci w czerni. Nie mam bladego pojęcia, jak wyjaśnić to jeszcze dokładniej - spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

Niebo jest takie czyste, zauważył Jason, w szoku, jakby z dystansu. Ani jednej chmurki. A morze takie granatowe, ciemnoniebieskie. Zdarzało mu się mieszkać na wybrzeżu, żył jak nomad, głównie w podróży. Ale nigdy nie widział tak krystalicznej czystości nieba i morza, jak to. Ochryple wrzaski mew mieszały się z rykiem fal, krzykiem dzieci, basowymi uderzeniami grającej gdzieś w oddali muzyki. Słone powietrze wypełniło mu nozdrza i skapało umysł głębią przypomnienia czegoś pierwotnego, ukrytego w dziedzicznych wspomnieniach...

- Więc - pozbierała się, choć głos miała schrypnięty. - Czy możesz tu zostać? Czy nie będą cię szukać? - Wbrew sobie zastanawiał się, czy Abby nie każe mu po prostu odejść. Zamiast tego - *Zaufaj mi*. - Nie chciał tego przyjąć, nie mógł. Zbyt wiele było spraw, których pragnął uniknąć.

- JASON! - Stała przed nim krzycząc. - Przestań! Jesteś tu bezpieczny! Nikt cię nie znajdzie. Nikt nie znajdzie mnie.

- Dlaczego nie? Na czym polega twój sekret? - też wstał i zaczął krzyczeć - Mam już

dość!

Wtedy go chwyciła, a Jason trząśł się, strasznie zawstydzony, ale niezdolny, by przestać. Jej ramiona oplotły go delikatnie. Bardzo delikatnie.

- Odpreź się - powiedziała. - Po prostu odpreź.

Poprowadziła go do posłania i zaciągnęła story. Niewiarygodne, ale w chwilę potem uprawiał seks po raz drugi tego ranka. Zalała go fala doznań i emocji, które zmieszały się w jedno obezwładniające poczucie. Był w domu. Czuł się jak w domu. Uświadomił sobie, że nigdy czegoś takiego nie doznawał. Abbie może go ochronić. Śmieszne, że ta drobna, młoda kobieta mogłaby chronić kogokolwiek, ale Jason czuł, że to prawda. Abbie go znała. Znała go naprawdę.

Nie był już samotny. Mógł przestać uciekać. Tylko dlaczego w to nie wierzył?

*

Jason szybko odkrył, że jedną z pasji Abbie była zastawa stołowa. Miała małą, przenośną wytwórnę naczyń. Naga, przykucając przed ekranem na podłodze, co Jason uważał za zwyczajne bałaganiarstwo, szkicowała dzbanki do herbaty lub malutkie filizanki, których złożenie wymagało najwyżej kwadransa. Światło słoneczne miękko rozświetlało pomieszczenie i lśniło na jasnej skórze dziewczyny. Woda bulgotała na palniku gazowym wmontowanym w długi, klonowy blat. Abbie wyjęła swój wytwór z asemlera, zbiornika z płynem, w którym odbywała się nanosynteza zaprojektowanych przedmiotów. Trzymała kruche naczynie przez ręcznik, jakby było gorące. Krytycznie obejrzała dzbanuszek.

- Nie zachowam go. Ma za długi dzióbek.

- Podoba mi się kolor - wiedział, że powinien coś dodać, choć czuł się niezręcznie. Założył szorty.

- Nie musisz być uprzejmy - mruknęła. Zamieszała zieloną herbatę w proszku. - Um, przepraszam. Na pewno jesteś głodny. Ja jestem. Mam trochę... - otworzyła niedużą lodówkę na gaz i zajrzała. - Cóż... Trochę ryżowych ciasteczek na zimno. I sałatkę z pastą miso. Niezbyt starą. Mogę podgrzać, jeśli chcesz...

- Nie, jest dobrze - odpowiedział, niezdarnie otwierając szafki w poszukiwaniu naczyń. Znalazł w końcu talerzyki, z wazonu wyciągnął cztery pałeczki. Ustawił wszystko na blacie.

Abbie nałożyła im sałatkę, podała również sosy - słodki, vinegret i sojowy z pływającymi w nim płatkami czosnku i imbiru.

- Czujesz się już lepiej? - zapytała z uśmiechem, patrząc mu w oczy. W jej spojrzeniu dostrzegł błysk ironii.

- Och, tak - nadal był nieco podenerwowany. Jego doświadczenia seksualne były

raczej ograniczone. Jej najwyraźniej nie.

- Więc - umoczyła ryżowe ciastko w sosie z sałatki i ugryzła. - Zaczniemy. Przepraszam, że tak cię przeraziłam. Po prostu byłam podniecona. To było coś, co nigdy mi się nie zdarzyło wcześniej.

- Co? - zamyślenie w jej oczach sprawiło, że poczuł ciepło. Uświadomił sobie, iż chciałby usłyszeć wyznanie, że nigdy wcześniej nie oszalała tak na punkcie faceta i zakochała się w Jasonie od pierwszego wejrzenia...

Ale nie.

- Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś takiego jak ja. Wiedziałam, że jest nas więcej. Ale bez jakiegoś potwierdzenia, wszystko to wydawało mi się tylko bajką.

Chwilę zajęło, nim zrozumiał. Zawsze myślał, że jest kimś wyjątkowym, unikalnym, nawet wtedy, gdy jeden ze znajomych opowiadał jego rodzicom o wirusie z przestrzeni kosmicznej, przemieniającym DNA. Ale wydawało się to równie dalekie od rzeczywistości, jak rozmowy o wirach albo mocach psychicznych. Jason poczuł ukłucie rozczarowania. Obawiał się tego, co może powiedzieć Abbie.

Ale musiał zapytać.

- Jak bardzo jesteśmy różni od zwykłych ludzi?

- Nie wiesz?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Cóż, przede wszystkim mamy bardzo wysokie stężenie biogenicznego magnetytu w komórkach, szczególnie w mózgu i naszych magnetoreceptorach. - dotknęła nosa. - Tutaj.

- Co doprowadziło cię do wniosku, że mamy magnetoreceptory?

- Och, nie żartuj. Udowodniono to przed laty. Wszystkie kręgowce mają takie receptory. Nawet niektóre bakterie przejawiają magnetotropizm. W każdym razie, wiązka nerwowa, która przekazuje informacje do mózgu jest bardzo, bardzo gruba. U nas, jakieś pięćdziesiąt razy grubsza niż u normalnych ludzi. Rezultatem wrażliwości na bodźce magnetyczne są częste ataki i mdłości, ale w okresie dojrzewania dochodzi do adaptacji. Niektórzy mają teorię, że jest to związane z podobnymi procesami, jakie zachodzą w mózgach epileptyków. Czytałeś, na przykład, o Dostojewskim, prawda? Jak doświadczał momentów nieprawdopodobnego rozjaśnienia umysłu przed atakiem? Cóż, myślę, że nam przytrafia się coś podobnego i ma to związek z elektromagnetyzmem. Ale jest bardziej kontrolowane. Bardziej poddające się sterowaniu.

- Skąd to wiesz?

- Słyszałam...

- Nie - zaproponował Jason. - Miałem na myśli dowody. Ktoś jak ty, nie uwierzyłby bez dowodów.

Wyglądała na zamyśloną.

- To wiadomości co najwyżej z czwartej ręki. A nawet z piątej. Historie, które ludzie przemycają i opowiadają. O badaniach.

- Plotki. To dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Nie chcę należeć do jakiejś grupy. Jestem sobą. Chcę być normalny. Chcę być pożyteczny. Chcę, by społeczeństwo mnie akceptowało, a nie polowało na mnie - to brzmiało dziecinnie, ale miał świadomość, że tak właśnie czuł przez minione lata. I dlatego tak bardzo nie chciał słyszeć, co może powiedzieć Abbie.

Wydawała się rozbawiona jego wybuchem.

- To nie społeczeństwo na nas poluje, Jason. W rządzie zazwyczaj nazywa się to czarną robotą. Chodzi o tajne operacje rządowe. Podejrzewam, że od lat przestali utrzymywać pozory legalnych działań, ale to może nie do końca być prawdą. Ktoś im płaci pensje. Są fanatykami. Świrami. I mają władzę. Dużą władzę. Na całym świecie są miejsca, gdzie dokonuje się badań nad mózgiem ludzi takich jak my. Robi się sekcje naszych mózgów.

- Więc jak możesz być bezpieczna?

- Mam na nich haka. Zagroziłam, że przekażę wszystkie informacje opinii publicznej. Powiedziałam im - jednemu z agentów - że jeżeli umrę albo coś mi się stanie, informacje zostaną przekazane do ludzi, którzy je rozpowszechnią. Prosty szantaż - jej spojrzenie było oszukańcze, uśmiech, dla kontrastu, szczerze szeroki.

Opowiedziała mu o sobie. Była jedynaczką, rozpieszczoną i samolubną. Jej rodzice, dobrze sytuowani, mieli powiązania z rządem i dostęp do wielu informacji. Abbie uważała, że wypadek, w którym zginęli, gdy miała szesnaście lat, nie był przypadkowy. Dlatego po ich śmierci odszukała wszystkie informacje, jakie rodzice zebrali i schowali w sejfie, rodzaj pogłosek, jakie streściła Jasonowi. Chłopak przekonał się, że Abbie była o wiele bardziej zaradna niż on w jej wieku. Przy pomocy zaufanego wuja kontynuowała plan rodziców, plan, który miał ją ochronić teraz i w przyszłości.

Ale kiedy zaproponował, że skorzysta z takiej samej metody, burknęła tylko, że to narazi ją znowu na niebezpieczeństwo.

Znacznie później Jason zdał sobie sprawę, że motywem Abbie była arogancja.

Biegł wzdłuż plaży, serce mu biło mocno. Stopy zanurzały się w drobnym piasku. Biegli za nim. Było ciemno. W oddali widział ognisko. Bardzo daleko. Niewielki punkcik światła. Jego jedyny cel. Bezksiężycowy mrok. Był taki samotny.

Mężczyzna wyglądający tak samo, jak on, był tuż z tyłu. I kobieta. Krzyczeli. Mieli go za głupca. Może i racja. Ale wiedział o pewnych rzeczach.

Stopy uderzyły w jakiś patyk, potknął się. Próbował nie krzyknąć, ale nie mógł. Chcieli go zabić. Wiedział to na pewno. Był jeszcze młody. Ale wiedział to. I teraz zapewne umrze. Nie zrobił nic złego. Pewnego dnia wyszedł tylko za drzwi i przespacerował się ulicą na plażę. Zdumiały go mijane tłumy ludzi. Usiadł pomiędzy rodzinami i uczył się mówić. Powtarzał wszystko, co usłyszał. Jadł odpadki. Był bardzo szczęśliwy. Świat okazał się taki wielki. Pływał w oceanie. Pokochał smak morskiej wody. Uwielbiał zapach słonego powietrza. Bawił się z dziećmi. Próbował znaleźć dzieci, małe dzieci, z którymi mógłby rozmawiać. Pomogłyby mu, poprawiłyby błędy i nigdy nie traktowałyby go, jakby był głupi. Bardzo lubił się z nimi bawić. Czasami rodzice krzyczeli na niego i zabierali dzieci. Ale nie przeszkadzało mu, że był sam.

I wtedy go odnaleźli. Mężczyzna całkowicie podobny do niego i kobieta. Udawali, że go lubią i zabiorą do domu, dali mu jedzenie i miejsce do spania, choć mówił im, że woli spać na plaży. Wydawali się zaskoczeni, gdy to powiedział. Wydawali się zaskoczeni wszystkim, co powiedział lub zrobił. Potem usłyszał, że o nim dyskutują. Łatwo było usłyszeć, bo krzyczeli. Myśleli, że nie rozumie. Albo się nim nie przejmowali. Kobieta powiedziała, że trzeba go zabić. Mężczyzna powiedział nie.

To dlatego właśnie zbiegł po schodach, uderzył w zamknięte drzwi, a potem chwycił metalowe krzesło i rozbił okno. Wyskoczył na plażę. Miał nadzieję, że spotka policjanta. Jedna mała dziewczynka powiedziała mu kiedyś, że jeżeli znajdzie się w kłopotach, powinien porozmawiać z policjantem. Ale żadnego nie dostrzegł. Robiło się ciemno i plaża była pusta. Spojrzał za siebie. Byli tam, na promenadzie, a potem zbiegli na dół, a on zaczął uciekać po plaży, nie zastanawiając się za bardzo, dokąd. I teraz był tylko ocean, Piasek i żadnych ludzi.

Oddychał krótko, spazmatycznie. Nie przypuszczał, że mężczyzna może go dogonić, bo biegli w tym samym tempie. Pomyślał, że kobieta również go nie złapie, choć mogła być szybsza. Nie wiedział.

Nie chciał umierać. Musiał uciekać - szybciej, coraz szybciej. Za plecami usłyszał wystrzał. To była broń. Kolejny wystrzał. Kobieta, mężczyzna - strzelali. Musi dotrzeć do światła. Ludzie przy ognisku mogą go uratować.

Za plecami usłyszał więcej wystrzałów i okrzyków, ale dźwięki dobiegały w większej

odległości niż poprzednio.

Biegł w mroku nocy. Może to nie było ognisko, tam w oddali. Ale coś tam było.

Nogi Jasona poruszały się automatycznie, uderzając o drobny piasek, a łapanie spazmatycznie powietrze zdawało się palić jak ogień. Już prawie był na miejscu. Przyśpieszył i skoczył, modląc się, żeby nie spudłował.

Przed sobą dostrzegł nadbiegającą postać. Zderzyli się z głuchym łomotem. Przetoczyła się w bok, uderzając go w skroń kolbą broni. Poczul oszołomienie i złość, wyrwał jej broń z dłoni i odrzucił w ciemność.

- Nie jest za późno - wydyszała. - Nie jest jeszcze za późno, Jason. On jest przed nami. Jeżeli nie chcesz sam, ja to zrobię. - Wyślizgnęła się spod niego i pobiegła w noc, rozbijając stopami piasek w poszukiwaniu broni. - Cholera, ale ciemno.

Jason obrócił się na plecy i rozłożył ramiona na zimnym piasku. Pozwolił, aby szum przyplitwu zagłuszył jej słowa. Zorientował się, że szum tłumi także wszystkie inne odgłosy. Nadsięgnęła mgła i wydawało się, że świat się rozplitwa. Światło, do którego kierował się, prawdopodobnie jego dubler, znikło.

Abbie wróciła po kilku minutach i przykucnęła obok niego.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony - powiedziała.

- On nie jest mną - odrzekł Jason. - Jest osobą. Dzieckiem.

- I co? Trafi do kliniki albo złapie go policja. I wtedy wyjdzie na jaw, że to nie ty. Co więcej, może się okazać, że będzie miał naprawdę paskudne życie.

- Może - zgodził się Jason. - To mnie nie obchodzi. Nie chcę nikogo zabijać, żeby ocalić siebie. To proste.

- Wiedziałaś, co robisz - rzuciła Abbie.

- Błąd - zgodził się Jason, siadając i obejmując ramionami. Po zachodzie słońca na plaży szybko robiło się chłodno. - Przy okazji wyjaśniłaś mi, czym ci ludzie...

- To nie są ludzie - przerwała.

- ...czym są twoje konstrukty. Naprawdę, to są ludzie, Abbie. I musisz to zaakceptować. On właśnie zaczyna być człowiekiem.

- Powinien być usunięty, mówiłam ci. Robię to cały czas. Ktoś anuluje zlecenie, ja zatrzymuję zaliczkę, ale czy myślisz, że chcę sobie produkować nowe gęby do żywienia?

- Przypuszczam - odpowiedział - że masz rację. To moja wina. Pewnie jestem dziwny. Twierdziłaś, o ile pamiętam, że ci ludzie nie potrafią się uczyć. A mój dubler, jak mi się zdaje, uczył się bardzo szybko.

- Z jednej strony - zaczęła Abbie - on jest taki jak ty. A z drugiej, kiedy go tworzyłam, jak mówiłam, jest jak striptizerka lub były prezydent, który zostanie czyimś kamerdynerem. Tworzę tylko zewnętrzną powłokę. Wewnątrz oni wszyscy są tacy sami.

- Jacy? - spytał Jason. - Skąd wiesz, że wewnątrz są tacy sami?

Nie odpowiedziała.

- Skąd wiesz, Abbie - naciskał, czując napływ gniewu. Niezwykłe, że czuł złość. Widział rodziców, gdy się nie zgadzali, nawet sprzeczali, ale myślał, że on nie ulega podobnym emocjom. Aż do teraz. Ale przy Abbie czuł się bezsilny. Robiła, co robiła. Myślała, co myślała. Zdawało mu się, że nie ma na nią żadnego wpływu.

- Abbie! - wykrzyknął, chwytając ją za ramiona i zmuszając, by usiadła na piasku ze skrzyżowanymi nogami. Przez kilka sekund zdawała się dziwnie skulona. Potem uwolniła się szarpnięciem, skoczyła na równe nogi i stanęła nad Jasonem.

- Ponieważ upewniam się, że w ich mózgach nie ma biochemicznych procesów uczenia się, idioto! - wrzasnęła. A potem, ku jego zdumieniu, krzyczała dalej machając rękami. - To był pierwszy raz, kiedy zrobiłam dokładną kopię. Głupia byłam! Ale tego chciałeś. To nie są klony. To są produkty, *konstrukty*. Jak myszy! Jak wiewiórki! Może nawet jak psy! Ale nie *jak ludzie*! Pojmujesz teraz? Moi klienci nie chcą dzieci. Moi klienci chcą niewolników. I to właśnie im daję. Konie pociągowe. Psy do zaprzęgu. Tyle, że mają ręce, tylek Michała Anioła, sławną twarz. Szczególnie to ostatnie, w tym cała sztuka. Bo te twarze trzeba składać z różnych elementów; wszyscy teraz zastrzegają sobie prawa do wizerunku, niektóre są nawet opatentowane. Ale wiesz co? Nigdy nie dostałam zlecenia na replikację kogoś, kto był kochany i utracony. Nigdy. Tylko raz, a wtedy przekonałam ją, że nie warto. To nie działa. Tworzę tylko replikantów. Skorupy. Szybko się je składa. To nie to samo, co normalne dorastanie. - Stopniowo się uspokajała. Jej głos brzmiał nisko, ochryple. - To twoja decyzja, nie mam wyrzutów sumienia. Ale to nie jest prawdziwe.

- Ale oni czują, Abbie - rzekł Jason bliski łez. - Czują. Psy czują. I ci ludzie też. To pierwsza rzecz, jaką robią ludzie.

- Nie te konstrukty - odparła. - Są nieczułe jak kamienie.

- Och, Abbie - westchnął w końcu Jason - Tak mi przykro. Oboje zamilkli. Wstał i otrząpał jeansy. Ruszył z powrotem tam, skąd przybiegł - powoli.

Nie spytał Abbie, czy przyjdzie. Nie poszła za nim.

Dwa interwały z niewyobrażalnej odległości

Zeb, Bridge of Lions, Waszyngton, 2034

Tak wiele dni - myślał Zeb w udręce, włączając się bez celu w pobliżu S Street. *Gdziekolwiek*, byle nie na S Street. Nie dbał o to i nie wiedział, dokąd idzie. Ponieważ spędził tak wiele przyjemnych poranków w szacownym apartamencie Ellie Pio na S Street, wymieniając pomysły i dyskutując; dał jej nawet swój notes na przechowanie. Choć apartament mieścił się pomiędzy ambasadami, Ellie zdawała się nie zauważać, że jest nieco zaniedbany w porównaniu z fasadami sąsiednich domów. I była zbyt zajęta, by zajmować się drobiazgami dotyczącymi gospodarstwa domowego. Ot, choćby mała czerwono-biała puszka cynamonu - zawsze lepiała się do palców, gdy Zeb podnosił ją z malowanego na biało stołu w kuchni i posypywał przyprawą płatki zbożowe. Ellie zawsze zmuszała go, żeby zjadł choćby porcję, bo uważała, że to go wzmocni. Wewnątrz kuchennych szafek leżały nieuporządkowane naczynia, wiele z nich obtłuczonych, pochodzących z czasów babki, pierwszej właścicielki mieszkania, a przecież Ellie miała już sześćdziesiąt lat. Ale na oknach zawsze stały świeże kwiaty, które poprawiały nastrój nawet w najbardziej mgliste, zimowe poranki w Waszyngtonie.

W porównaniu z kuchnią frontowy pokój był zaskakująco okazały, bogato urządzony mahoniowymi antykami i wielkim pianinem, z tapetami w stylu art deco sięgającymi do szerokich na stopę gzymsów. Ellie dbała o ten pokój i zachowała go w nienaruszonym stanie na pamiątkę po zmarłej przed piętnastoma laty profesor literatury z Uniwersytetu Katolickiego, której ogromny księgozbiór nadal zajmował jedno z pomieszczeń w apartamencie. Zmarła była Partnerką Ellie.

Tego ranka Zeb zastał mieszkanie zamknięte. Podeszedł do drzwi obok, by zapytać, jaki jest dzień i bojąc się, że o czymś zapomniał.

- Ellie zaprosiła mnie na kawę...

Sąsiad, blady, ocieźały mężczyzna, spoglądający na Zeba przez szparę zza drzwi zablokowanych łańcuchem, zamrugał gwałtownie.

- Przykro mi, że właśnie ja muszę ci to powiedzieć, ale Ellie umarła w zeszłym tygodniu.

Sąsiad wyjaśnił, że przyjechała policja i zadawali mu pytania. Niezbyt mu się to

podobało.

- Moi rodzice przyjechali tu ze Związku Radzieckiego w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku. I tam musieli przechodzić przez takie przesłuchania, jak to. Dlatego ci powiem: pytano mnie o kogoś, kto wygląda jak ty. I jeszcze o człowieka, który odwiedzał Ellie przez cały czas.

- Jakiego człowieka?

- Skąd mam wiedzieć? Na twoim miejscu zwałbym z miasta.

- Jak umarła Ellie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie powiedzieli. Dawali do zrozumienia, że to atak serca. Z takimi, to nic nie wiadomo. A teraz znikaj, zanim zobaczy cię ktoś, kto bardziej niż ja lubi policję - zatrzasnął drzwi. Zeb usłyszał chrobot zamka.

Nie wierzył temu mężczyźnie. Nie wierzył, że ktokolwiek mógł zabić Ellie. To śmieszne.

Ale to nie zmieniało faktu, że Ellie nie żyła. Zeb zbiegł po schodach i skręcił w prawo.

Na dworze mżyło. Wlókł się z mokrą głową, wilgoć spływała strumykami na szyję i kark. Kierował się do Georgetown. Wśród budynków mieszkalnych tłoczyło się tam mnóstwo sklepów i restauracji, a wąski pas zieleni skręcał przed wejściem na okazały most, którego strzegły kamienne lwy.

Zeb przystanął i podniósł głowę. Jaki zamysł kazał stworzyć te posągi? Lwy stały dostojnie, pełne mocy i dumy. Przypuszczał, że prawdziwe lwy już wymarły. A może nie. Słyszał mgliste pogłoski, że na świecie zaszły ogromne zmiany dzięki pracom Gajan, podziemiemu terrorystycznemu, które używało nanotechnologii do przywrócenia naturalnej, dzikiej przyrody. Gajanie mogli zniszczyć infrastrukturę za pomocą korodujących metal nano. Zmniejszyć ludzką populację przez zatrucie wód. I wtedy Ziemia będzie mogła znowu odetchnąć.

Tak, Ziemia. Możliwe, że rozwinie się na tyle, by nawiązać kontakty z międzygwiazdną społecznością. Jednak nadal sporo ludzi - mających władzę, rzecz jasna - wcale nie życzyło sobie takiego obrotu spraw. Zeb czuł żal, połączony z frustracją, z powodu Ellie. Równie dobrze mógłby w dwudziestym wieku próbować uczyć teorii ewolucji w Tennessee, w latach dwudziestych lub osiemdziesiątych w Missisipi. Informacja była blokowana - ale przez kogo? Może lepiej było przyłączyć się do tajnej grupy Craiga, w tamten zimowy dzień, tak dawno temu. Może wszystko potoczyłoby się inaczej. Niekiedy było to dla Zeba jasne. Mógł prześledzić obłąkańcze błędy, które wziął za objawienia.

Możliwe, że nigdy nie miał lepszego wyboru, słusznych decyzji. Zeb myślał, że droga, jaką wybrał, była bardziej uczciwa, skuteczniejsza. Ale złamała mu serce. Jego praca była ogromna, lecz niedokończona - i niemożliwa do ogarnięcia tylko własnym umysłem. Nagle przypomniał sobie, że zostawił u Ellie wiele notatek i wydruki. Zastanowił się, czy ktoś je zabrał. Nie były całkiem stracone; streścił sporo własnych domysłów i spekulacji, zanim oddał je na przechowanie, przeniósł też do nowych notesów. Miał gruby, opasły notatnik, w którym zapisywał swoje odczucia oraz przygotowywał podstawy nowej fizyki intergalaktycznej, a także własne teorie na temat formy pozaziemskiej inteligencji.

Miał to wszystko, ale był jak głos wołający na puszczy, jak krótki sygnał radiowy w nieskończonym kosmosie - tak bardzo czuł się samotny i oderwany od rzeczywistego świata.

Wszedł na most i spojrzał na rzekę, podczas gdy za nim przejeżdżały zdumiewająco różnorodne wehikuly na parę, na energię słoneczną, zasilane paliwem lub siłą mięśni.

Szybko zahipnotyzował go widok meandrycznego nurtu Rock Creek przepływającego trzydzieści stóp niżej. I to, jak woda podążała nieuchronnymi szlakami, niemożliwymi do zmiany przez tak spokojny nurt. Jakiś kij sphywał między głazami, jak kajak lawirował wśród przeszkód, aż porwał go wir, dokładnie pod miejscem, gdzie stał Zeb. Kij wirował powoli i nawet momentami prawie udawało mu się uwolnić i popłynąć z prądem. Wir jednak trzymał jeden z końców patyka.

Zeb obserwował kij, a jego niepokój rósł. Ten patyk był jak ludzkość, przygnieciona polityką, sterowana przez rządy. Oto nadszedł czas, by przyłączyła się do nurtu. Podjęła ryzyko wyjścia na zewnątrz. Zobaczenia, jak tam jest. Znowu pomyślał o poziomie techniki gości z kosmosu. Jak rozległa musiała być ich wiedza! Okazało się, że nie rozbili Ziemi w pył, ani też nie zajęli, przynajmniej nic takiego nie było widać.

Zeb powlókł się z powrotem na pas zieleni przed mostem. Znalazł tam trzy głazy wielkości małych bochenków, tyle mógł zabrać za jednym razem. Zrobił jeszcze kilka rund, aż zbierał stos kamieni na trotuarze przy betonowej balustradzie mostu.

Uniósł pierwszy z kamieni i cisnął do wody. Dostrzegł chlapnięcie, jakie wywołał, ale nie usłyszał plusku - odległość była za duża. Na dodatek spudłował, bo patyk nadal kręcił się w wirze, znacząc drugim końcem nieregularny krąg. Zeb spróbował jeszcze raz. Spocił się przy tej uczciwej, fizycznej pracy.

Pracował w pocie czoła, aż zostało mu tylko kilka kamieni. Wtedy poczuł klepięcie w ramię. Nie odkładając głazu, zerknął za siebie i ujrzał policjanta.

- Co ty sobie myślisz? Co robisz?

- Tamten patyk. Widzisz patyk tam na dole? Ugrzązł. - Zeb cisnął trzymany kamień do

potoku. Rozbił stos kilku głazów i zniknął pochłonięty przez nurt. Zeb sięgnął po jeden z ostatnich pocisków. - Muszę go uwolnić. Niech płynie dalej z prądem rzeki.

- Nie mogę na to pozwolić - rzekł policjant.

- Ale ja muszę - wysapał Zeb i wyrzucił kolejny głaz. Znowu chybił. Pochylił się, by podnieść kolejny.

- A ja będę zmuszony dać ci mandat - ostrzegł oficer.

Zeb nie odpowiedział. Policjant chwycił go za ramię. Zeb wyszarpnął się, pozostawiając ostatni kamień w rękach intruza.

- Słyszysz? Aresztuję cię, jeżeli natychmiast nie przestaniesz. Wywiązała się szarpanina, policjant jęknął, Zeb wyrwał mu głaz. Cisnął go w dół, wcale nie celując. Kamień uderzył w płaską skałkę, odbił się i plasnął prosto w wir, gdzie kręcił się kij. Wzniesiona fala popchnęła patyk. Był wolny.

Zeb wychylił się z mostu, by obserwować, jak kij lawiruje w nurcie pomiędzy głazami. Wyszarpnął się z uchwytu policjanta i przebiegł przez cztery pasy jezdni nie zważając na ruch uliczny ani pisk hamulców.

- Patrz! - krzyczał. - Patrz, udało się! - przyglądał się, aż patyk przysłoniły korony nagich drzew.

Zrywał się właśnie do biegu, gdy ujrzał nadchodzącą kobietę. Prowadziła na smyczach dwa owczarki collie. Jeden był trójkolorowy, złoto-czarno-biały, jak Zefir. Drugi szarawy, ze srebrzysto-błękitnym połyskiem, jak Plejada.

Ich pojawienie przywołało falę wspomnień. Sally. Jego dawne życie, tak uporządkowane, tak odległe, stracone. Dlaczego je porzucił? I Annie. Tak, Annie. Nie odważył się zaryzykować i spotkać się z nią raz jeszcze. Nie ośmielił się zrujnować jej życia, jak zrobił to Sally.

Odwrócił się plecami do jednego z kamiennych lwów. Gdy psy się zbliżyły, klęknął i zaczął je głaskać. Zwierzęta przyjmowały pieszczoty z ochotą, podchodziły bliżej, choć ich właścicielka próbowała je odciągnąć.

- Ej, ty! Włóczęgo! Zostaw moje psy!

Policjant podszedł od tyłu, zmusił go do wstania.

- Chodź, koleś. Potrzebna ci pomoc.

Zeb gwałtownie zaprotestował.

Przez całą drogę do szpitala, pomimo dotyku zimnej stali kajdanek, triumfował. „Zadośćuczynię ci, Ellie. Obiecuję”.

Wyszedł ze szpitala następnego ranka, nieskażony medykamentami. Jak zwykle,

przekonał lekarzy, że jest zdrowy, myśli racjonalnie i zna swoje obywatelskie prawa. Nie mieli wyboru, musieli go wypuścić.

Gdy wyszedł na ulicę, skłębione jasnoszare niebo i uliczny ruch, zdeorientowały go. Hałaśliwi ludzie mijali go, śmiejąc się i rozmawiając, spod szpitala wyjechała karetka. Przez krótką chwilę zastanawiał się, dlaczego tym razem zabrano go właśnie do szpitala.

Potem przypomniał sobie Ellie.

A później uświadomił sobie, że ma pracę.

To wszystko, co miał.

Sandman z Kioto

Kita, Japonia, 2037

Kita rozchlapywała błoto na ulicach Tokio o świcie. Niebo miało barwę starej cyny, ciężkie, z lekkim połyskiem. W powietrzu przesyconym spokojem i ciszą śniegu, unosiło się niedostrzegalnie poczucie wyzwolenia. Buty na obcasach nie były przystosowane do takiej pogody. I jeszcze ta długa jazda pociągiem z Kioto! Czy to konieczne? Dlaczego nie mogą się spotkać z Hugo gdzieś bliżej? Jednak Kita zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. I z różnic. Kioto stanowiło mentalne przeciwieństwo zuchwalstwa nowego Tokio. Przeciwieństwo duchowe, jak widać w starodawnym zapisie kanji⁶ nazw obu miast. Tokio-Kioto, powiązane i przeciwne sobie, materializm przeciw transcendencji.

Różnice odzwierciedliły się najpełniej, gdy rozpoczęto konwersję Tokio w Biomiasto i ostrożnie rozwijano kolejne etapy procesu, podczas gdy w Kioto, mieście starożytnych świątyń, konwersja została prawnie zakazana. Większa część Tokio infiltrowana była przez ogromną hipertekstową sieć informacyjną, analogiczną do niedziałającej obecnie World-Wide-Web, tyle że lokalną. Kitę zachwycił delikatny blask powierzchni znaku, który minęła. Zostały w nim zastosowane przekształcone przez inżynierię genetyczną bakterie. Znak był drogowskazem do kilku kabin, w których można było dostać biologiczne receptory niezbędne dla uzyskania dostępu do konkretnych banków informacji w Tokio. Wyświetlane na ekranie opłaty, przewyższały roczne zarobki Kity, ale to z nich płacono była jej pensja. Dento Inc. w powiązaniu z japońskim rządem oraz różnymi fundacjami i agencjami zajmującymi się badaniami nanotechnologicznymi, pomagały przy wdrożeniu tego systemu. Gdy przyjechała, by pracować dla Dento w Japonii, nie wiedziała, na czym jej praca miałaby polegać. To osiągnięcie - zaprojektowanie całościowego systemu łączności w tak krótkim czasie - pokazywało, ile mogą zdziałać ludzie, gdy rozpowszechniony jest dostęp do danych. Ukazało również, w jak dużym stopniu takie wysiłki mogą pójść na marne, gdy psuje się łączność. Bez niezawodnego i dostępnego Internetu, telefonii, transportu i łączności, trudno było złożyć w spójną całość wyniki badań i prac z różnych dziedzin. Dlatego tak bardzo się starali - zdążyć z alternatywnym systemem łączności, zanim *ciemności skryją ziemię*. Złożyć. Sprawić, by

⁶ - Kanji - najstarsze pismo japońskie, używane do dnia dzisiejszego obok uproszczonej katakany i tzw. romanji, czyli zapisu fonetycznego alfabetem łacińskim.

działał. Wyczyścić z błędów. Wszyscy, którzy pracowali przy tym przedsięwzięciu, żyli w ciągłym stresie. Kita nawet nie mogła marzyć o urlopie przez te minione lata.

Ale nie tylko ze względu na dobro świata tak się starała. W tamtym okresie była mocno roztrzęsiona, stale zdenerwowana i zabiegana. Po co tak się zaangażowała?

W imię przysługi dla starej szkolnej przyjaciółki. Przysługi, o której, nie wiadomo czemu, nadal pamiętała. I z irytacji, oczywiście. Dento przenikała atmosfera tajności i sekretów, a Kita uważała, że z jej wkładem w projekt, powinna otrzymać wyższy poziom dostępu do danych.

Grube płatki śniegu opadały na ziemię. Po przeciwnej stronie ulicy wystawy prezentowały, co mogą zdziałać sprzedawane w sklepie programy nanotechnologiczne. Nawet staromodny neon migał ukazując działanie powiększonego milion razy nano-roboty. Kita wcisnęła ręce głębiej w kieszenie. Żałowała, że miała na sobie tylko cienkie pończochy, zamiast cieplejszych rajstop. Kilka hostess na rowerach minęło ją, dzwoniąc. Na służbowe uniformy nałożyły nieprzemakalne płaszcze.

Co pamiętała o Marie? Przede wszystkim podziw. I Kita, i Marie uczęszczały wspólnie na niektóre wirtualne zajęcia. Nie wiedziały o tym, dopóki nie spotkały się na seminarium, jak i z innymi studentami, którzy do dziś mieszkają w Chicago.

Wiatr powiał mocniej, rzucając mokrym śniegiem w twarz Kity. Ale dotarła już do miejsca przeznaczenia, całodobowego grill-baru okinomiya. Na wystawie piętrzyły się na plastikowych podstawkach kluski i makarony, z różnymi gatunkami ryb, mięsa lub jarzyn. Żadnych neonów, żadnych hologramów. To musiała być dzielnica, gdzie podczas Impulsu często następowały przerwy w dostawach energii. Tokio, jak większość miast, uzależnione było teraz od energii dostarczanej przez ogniwa fotoelektryczne, będące alternatywą dla turbin, które zbyt łatwo uległyby zniszczeniu przez Impuls. Ogniwa tworzyły siatkę, w której każdy węzeł pracował niezależnie, lecz mógł przekazywać energię do innego, jeżeli zachodziła potrzeba.

Lecz za najwyżej kilka miesięcy Tokio stanie się kompletnym Biomiastem. Ostatni etap konwersji można zacząć w każdej chwili. Trzeba tylko czasu, aby proces zadziałał. I możliwe, że będzie oparty na dostępie do rozwiązań nanotechnologicznych, które koszmarne przemienia materię. Tego rodzaju technologie były już badane na potrzeby konwersji kolejnych miast, choć Kita miała o tym mgliste pojęcie. Kluczem było wprowadzanie do opróżnionych komórek *E. coli* DNA odpowiednich enzymów i protein. Tak zmodyfikowane bakterie były zdolne do modyfikacji innych, z którymi tylko weszły w kontakt. Problem stanowiła dokładna kontrola całego procesu.

Właściwie wszystko, co wiedziała Kita, sprowadzało się do jednej informacji - że system jest gotów. I to stanowiło jedną z przyczyn jej irytacji na Dento. Wydawało się, że o wszystkim decydowała wąska kadra ludzi, często o silnych powiązaniach ze światem polityki, nie mająca pojęcia o możliwych konsekwencjach lub alternatywnych rozwiązaniach, lecz dbająca jedynie o zachowanie pozorów kontroli nad czymś, co przypominało trzęsienie ziemi lub wybuch nuklearny.

Kita otworzyła drzwi restauracji. W każdym z boksów, oprócz niskiego stolika, stał też palnik i blacha do pieczenia. Młoda kobieta gestem zaprosiła Kitę do wyboru miejsca, wewnątrz lokalu było puste. Kita spojrzała na zegarek. Spóźniła się dziesięć minut, najwyraźniej jednak nie tylko ona. Nie znosiła niepunktualności.

Dawno temu czytała gdzieś, że aby zostać szpiegiem, trzeba być elastycznym. Może tak, a może nie. A może jednak powinna wyjść. Wkrótce znalazłaby się znowu w Kioto. Albo zostać, zatrzymać się na noc w Ueno, psychicznie i mentalnie nasycić się odwiecznym pejzażem gór i spływających po zboczach mgieł...

- Pani Narasake?

Odwróciła się i spojrzała w dół, na małego, ciemnoskórego mężczyznę o dużej głowie.

Ubrany był nieskazitelnie. Ukłonił się, zdejmując elegancki kapelusz i kreśląc nim finezyjne *pas*.

- Przepraszam za spóźnienie. - W zielonych oczach przybysza dostrzegła szczerość i skruchę. - Musiałem pytać o drogę i skierowano mnie dla żartu w złą stronę.

Kita uśmiechnęła się.

- Ty jesteś...

- Hugo - odrzekł natychmiast. - Przepraszam.

Miał dziwny akcent, jakby francuski, ale niezupełnie. Idąc za nim do stolika, przypomniała sobie o czujności. Przyjaciele Marie byli diabelnie sprytni. Kita przypomniała sobie teraz, że widziała już Hugo w akcji, w Chicago.

Na środku stolika znajdowała się blacha do pieczenia.

- Co tu można zamówić? - Hugo wyciągnął rękę, by je ogrzać.

- Okinomiya. Makaron i warzywa z wbitym jajkiem, zapiekane na grillu. Możesz zmieszać, co chcesz i przyprawić sosem.

Zdumiewające, że był taki przystojny. Co prawda głowę miał za dużą w stosunku do reszty ciała, lecz w jego przypadku wyglądało to zupełnie naturalnie. Mogłaby go od razu polubić i zaufać, choć było to głupie.

Hugo zdjął płaszcz i położył na jednej z poduszek. Miał na sobie ciemny garnitur i

jedwabny krawat w subtelne prążki z wszytymi w tkaninę klejnotami. Brylantami. Największy brylant nosił na prawej dłoni, mniejsze zdobiły krawat. Kita była przekonana, że nie są to nowe, tanie diamenty, dostępne wszędzie tak łatwo. Były to stare kamienie, naturalne, z ręcznym szlifem. Cieszyła się, że jednak włożyła szpilki. Mężczyzna rozpiął marynarkę, ukazała się kamizelka. Wydawał się całkiem odprężony.

Kelnerka włączyła muzykę, stary dobry amerykański rock'n'roll. Do restauracji wszedł młody człowiek. Strzepnął śnieg z włosów, zdjął czarną, skórzaną kurtkę i skinął na obsługę, gdy siadał w jednym z boksów. Zamówił herbatę, zapalił papierosa. Na koszulce miał napis: SŁOŃ TEŻ MA ODLOTY. Jeden z tych dzieciaków, w jakich Kita durzyła się, gdy była nastolatką. Uniosła brwi. O czym ona myśli?!

W ciągu niespełna pięciu minut na stoliku pojawiła się mocna i gorąca kawa, a na blasze między Kitą i Hugo zaskwierczał stos przyniesionych przez kelnerkę warzyw, kulek jaj, makaronu i kapusty. Kita zręcznie operując pałeczkami mieszała potrawę przez około minutę, a potem podzieliła na dwie porcje.

- Należy to jeść prosto z blachy - powiedziała.

Jej towarzysz sięgnął po pałeczki, jakby posługiwał się nimi od urodzenia.

Śnieg rozpadał się na dobre, w restauracji pojawiło się więcej ludzi. Muzyka i gwar skutecznie maskowały rozmowę Hugo i Kity, o ile ktokolwiek chciałby podsłuchać i rozumiałby angielski.

Hugo wyłożył zamiary Marie w krótkich, precyzyjnych słowach, sącząc kawę. Kita odniosła dojmujące wrażenie, że nagle została przeniesiona poza granicę, która dzieli wyraźnie to, co było, od tego, co dopiero nastąpi.

- Jesteśmy przekonani, że firma, dla której pracujesz, wprowadza coś, co jest nie tylko wyjątkowe, lecz także nieco niebezpieczne. I że znasz kluczowe zagadnienia oraz powinnaś mieć dostęp do reszty.

Kita była zupełnie zbита z tropu.

- Wielkie nieba, jak Marie się dowiedziała, nad czym pracuje Dento?

- Nie ufasz mi.

- Nawet nie wiem, czego chcesz.

Hugo wyprostował plecy, usiadł po turecku. Jego krzywy uśmiech nadał jego twarzy chłopięcy wygląd.

- Wiele lat temu Marie rozwinęła różne programy szukające danych. Zbierały informacje, segregowały ją, w podobny sposób, jak nasze mózgi interpretują dane o otaczającym nas uniwersum. Nawet po pojawieniu się Ciszy, Marie nadal miała sposoby, by

zbierać dane, choć już znacznie wolniej. W każdym razie śledziła twoje postępy w badaniach od kilku lat.

Dane o otaczającym nas uniwersum? Zabrzmiało jak kiepska poezja. Nawet, gdy opowiedział jej, jak Marie dochodziła do wiedzy na temat materiałów, jakie się nosiło, sposobu, w jaki przez skórę interpretowane są takie pojęcia, jak „szorstki”, „delikatny” czy „jedwabisty”. Była tutaj, gdzieś w kosmosie. Otoczona materią, składająca się z materii, jednak zdolna do myślenia o różnych sprawach z dystansem, abstrakcyjnie. To było wszystko, faktycznie. Marie miała koncepcję organizacyjną, wielki plan.

- Więc Marie odkryła coś o mojej firmie, o czym nie wiem?

- Jeżeli tak chcesz to ująć. Owszem.

Kita odchrząknęła.

- A czy wie, co się stało z łącznością?

Hugo spojrział nieruchomo, beznamiętnie.

- Możliwe.

Kita zamrugwała zaskoczona.

- To śmieszne.

- Zawsze wierzysz w to, co ci mówią? - uśmiechnął się kpiąco.

- Zazwyczaj.

- Wierzysz zatem, że problemy z łącznością, z komunikacją - Cisza i cała reszta - to wielka tajemnica dla każdego, nie wyłączając władz, prawda?

- Cóż...

- Zbaczamy z tematu, jednak naprawdę nie wiem więcej. A na dodatek, chyba nie powiedziałem wystarczająco dużo, by przekonać cię, że można mi i Marie zaufać - popatrzył na Kitę uważnie.

- Może nie powinniśmy cię fatygować. Prawdopodobnie jest inny sposób.

- Inny sposób na co? - usłyszała swój głos - ostry, niecierpliwy, jak u jej matki. Zaraz pożałowała tej niecierpliwości i nerwowości. - Musisz mówić trochę jaśniej. Co to za wspaniały plan? Wzięłam wolny dzień, przyjechałam z Kioto...

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Może nie najlepiej się do tego nadaję... - wskazał na siebie nieokreślonym gestem.

- A co to ma do rzeczy? To znaczy - przyjrzała się uważniej postaci Hugo. Miał małe, wykręcone nieco ramiona. Kciuki odstawały nieco nienormalnie, głowa sprawiała wrażenie przy ciężkiej, zbyt dużej. - To prawda, że jesteś inny. Ale gdybyś chciał, mógłbyś to zmienić. Oczywiście, gdyby było cię stać.

- Może tak zrobię - uśmiechnął się. - Stanę się szczupły i wysoki. Mam taką teorię, że świadomość, kim się jest, zależy bardzo ściśle od fizycznego aspektu, od ciała. To dotyczy również mnie, moich uczuć i tego, kim się czuję.

Mężczyzna pełen refleksji.

- Jak poznałeś Marie? - Kita postanowiła zachęcić go do mówienia. Zyska czas na opanowanie nerwowości i zacznie myśleć jaśniej.

- W szkole. Pewnego dnia paru starszych chłopaków zaciągnęło mnie do kąta, aby mi wytłumaczyć, co myślą o małych ludziach. Fizycznie wytłumaczyć, oczywiście. Marie przechodziła obok, a oni kazali jej odejść. Tyle, że znacznie mniej uprzejmie. Ale Marie się wtrąciła. Skopała im tyłki. W życiu się czegoś takiego nie spodziewali, miała tylko dziesięć lat, choć, rzecz jasna, znała niezłe sztuki walki. Jej babka, stara wyga, zadbała, by wnuczka była przygotowana na wszystko. Oboje mieliśmy następnego dnia podbite oczy i pełno siniaków. Od tamtej pory zostaliśmy przyjaciółmi. Babka zabrała Marie z tamtej szkoły, a ona uprosiła, żeby i mnie przenieść. Nikt się nie sprzeciwił. Nie miałem rodziny, wychowały mnie domy opieki.

- I Marie cię przygarneła - skonkludowała Kita.

- Pokochała mnie. Od razu. Marie taka jest. Wszystko natychmiast. Całkowicie i bez żadnych ograniczeń. Teraz ma zamiar ocalić świat.

- Ocalić świat? Przed czym? - musiała spytać.

- Przed nim samym - Hugo wstał, nałożył kapelusz i płaszcz. - Chcesz pomóc?

Kita rozejrzała się po sali. Zwyczajny dzień. Zastanowiła się, ilu klientów lokalu zdawało sobie sprawę, jak kruchy jest otaczający ich świat? Ona wiedziała aż za dobrze, ale większość ludzi była zadowolona z tego, co mieli - racjonowaniem energii elektrycznej, myśleniem o codziennych drobiazgach. Może było to spowodowane głęboko ukrytym lękiem, powstrzymaną histerią.

A Hugo przestraszył Kitę. Tak, jak kiedyś przestraszył ją bar z feromonami. Nie mogła tego zlekceważyć.

Może to szok albo rozwój wydarzeń sprawiły, że Kita poczuła ten lęk i uznała, że był jej potrzebny.

Może nie powinna dłużej ukrywać się w laboratorium.

- Chcesz pozwiedzać Tokio? - zapytała.

Hugo popatrzył na jej szpilki.

- W tych butach?

Kupiła ciepłe kozaki na stoisku znajdującym się w hali o dachu wspartym na masywnych słupach zabezpieczających przed trzęsieniami ziemi. Nawiewany wiatrem śnieg wirował pod trzydziestostopowym sklepieniem. W środku stoiska i sklepiki, otoczone plastikowymi ścianami chroniącymi przed wiatrem, oferowały gorące napoje. Jak zwykle było tam kilka nieoznakowanych pojazdów podłączonych do zaniedbanej szafy grającej - bez wątplenia kierowcy kradli energię elektryczną. Automaty oferowały szaliki, czapki, buty i podobne rzeczy - na deszczową, burzliwą pogodę, gdy nie wystarcza parasol. Szyld nad stoiskiem głosił po angielsku: SWIFT AND PRECISE MANUFACTURE OF ARTIFICIAL THINGS.

Kita zgodziła się w zamian za ciepłe obuwie zostawić szpilki, zwłaszcza, że nie miała zamiaru ich nosić. Sprzedawca ocenił je szybko i oddał, by założyła, zanim nie będą gotowe kozaki. Musiała sporo zapłacić za tę wygodę, jaką stanowiła szybkość uzyskania towaru i bliskość punktu sprzedaży, ale nawet gdyby kilka przecznic dalej był sklep z obuwem, Kita nie doszłaby tak daleko, nie w tę pogodę. Jednak nanotechnologicznie produkowane towary był straszliwie drogie. Reklamowe hasło nanotechnologii „Wszystko za darmo” dalekie było od rzeczywistości. Ci, którzy opatentowali i wprowadzili nanoprogramy produkcji dóbr, włożyli mnóstwo pieniędzy w badania i rozwój wynalazku i raczej nie należało się spodziewać, że oddadzą wszystko za free. Lecz kiedy skończy się proces konwersji, sprzedawcy z takich stoisk z automatami będą zmuszeni konkurować z samoobsługowymi boksami wkomponowanymi w architekturę miasta. Biomiasto będzie miało własny system zarządzania biznesem. Częściowo kapitalistyczny, częściowo socjalistyczny. Niestety, równie wyraźną możliwością był również despotyzm.

Gdy czekali, aż buty będą gotowe, Hugo pochylił się w stronę Kity.

- Piekielnie zimno - warknął.

Wzruszyła ramionami.

- Nie gorzej niż w Chicago.

- Racja.

- Skoro mamy chwilkę, powiedz mi, czego chce Marie.

Głos niskiego mężczyzny zabrzmiał tuż przy jej uchu, niski, lekko ochrypli. Płatki śniegu osiadły mu na ramionach, uwalniając zapach wełny zmieszany z męską, wcale intrygującą wonią. Kita nawet nie przypuszczała, że to, co powie Hugo, drastycznie zmieni cały jej świat i to w czasie nie dłuższym niż zajmuje wypowiedzenie paru dobitnych słów.

- Marie uważa, że twoja firma stworzyła Uniwersalny Asembler.

Widziała wyraźnie usta Hugo, otoczone liniami głębokich bruzd, widziała jego oczy

na pół przysłonięte powiekami, widziała wyraźnie obłoczki pary przy każdym jego oddechu. A za plecami mężczyzny rozciągała się panorama miasta - pękate, betonowe wieże czekające na zmianę w procesie konwersji, owiane śniegiem, który zdawał się otaczać je blaskiem, tak innym od światła słonecznego - równie jasnym, ale zimnym.

- Nie.

- Obawiam się, że to prawda.

Kita słyszała tylko plotki o badaniach nad Uniwersalnym Asemblerem. Teoretycznie mogło istnieć małe laboratorium, które łatwo umieścić w przestrzeni kosmicznej, gdzie znajdował się staromodny komputer i równie przestarzałe dyski. To właśnie laboratorium, a raczej komputer, miało zarządzać wszelkimi procesami „składania” materii.

Albo dzięki tym samym informacjom można było zarządzać rozłożeniem każdej rzeczy na czynniki pierwsze. Wystarczyło tylko zmienić znak...

Już wcześniej pojawiły się spekulacje dotyczące takiego urządzenia, posiadającego mechanizmy samozniszczenia o ogromnej mocy. Gdyby spróbowano je uruchomić, czyli wyzwolić dzięki tej maszynie procesy destrukcji związków białkowych, można by w krótkim czasie rozłożyć na pierwiastki całe dzielnice miasta.

Albo świat. Urządzenie - i więcej niż urządzenie, bo również programy, jakie w nim były zawarte - mogłyby objąć niemożliwym do zatrzymania działaniem cały świat, proces rozprzestrzeniałby się, prawdopodobnie również ewoluowałby w nieoczekiwanych i niemożliwych do wyobrażenia kierunkach. To straszna broń, niszcząca umysły, zmieniająca ludzkie ciała w brudne plamy, przed czym dekadę temu ostrzegał Drexler, aż w końcu cały świat przekształciłby się w nieokreślone, bezpostaciowe skupisko materii. Wystarczy jeden, krótki rozkaz.

Minęła minuta, zanim się odezwała.

- Tego ode mnie chcecie? Nie przypuszczam, abym mogła coś zrobić...

Hugo pokręcił głową.

- Też tak uważamy. Uniwersalny Asembler należy do wojska. Jest silnie strzeżony. Został stworzony w ramach traktatów obronnych, które ustalono i podpisano dziesięć lat temu. Rzekomo prace nad Asemblerem rozpoczęto z powodu badań prowadzonych przez organizacje terrorystyczne. Rządy zatrudniły ekspertów, którzy mieli zrozumieć, jak zaawansowane były to badania i w jaki sposób powstrzymać ich dalszy rozwój. Jednak mnie i Marie interesuje coś znacznie mniej szkodliwego, coś pozytywnego. Ale chciałem, żebyś zrozumiała, dlaczego zależy nam na pośpiechu.

- Więc? O co chodzi? Dlaczego siedzę na zimnie w Tokio?

Lekki uśmiech Hugo niemal doprowadził ją do szalu.

- Zdajemy sobie sprawę, jak wiele zrobiłaś w badaniach nad prototypem Biomiast. Na przykład system wymiany informacji, jaki obecnie zaczyna działać w Tokio. I uważamy, że to ty odkryłaś wiele z procesów, jakie zastosowano przy konwersji. Nie ma na świecie nikogo, kto wiedziałby więcej o Biomiastach niż ty.

- Doprawdy!

- Nie czas na fałszywą skromność. Wiesz, że to prawda. Przez minione dwadzieścia lat do Dento przekazanych zostało mnóstwo pieniędzy od rządu i prywatnych inwestorów. Firma, dla której pracujesz, ma laboratoria na całym świecie, niektóre nawet nie zdają sobie sprawy, że są powiązane z Dento. Wszystkie wyniki ich badań i odkryć spływały do Dento, na potrzeby prac, jakie prowadziłaś. Nadal są ściśle tajne, rzecz jasna - oby tylko z powodów ekonomicznych. Jednak większość zabezpieczeń w Dento skierowana jest na ochronę Uniwersalnego Asemblera. Wszystko, czego chcemy, to pełna dokumentacja prototypu.

- Och! I to wszystko?! - roześmiała się Kita.

- Co w tym śmiesznego?

- Myślisz, że jestem głupia? Czemu miałabym komukolwiek to udostępnić? Prawdopodobnie zapłaciłabym za to życiem! - zerwała się i pomaszerowała zwawo do sprzedawcy, kiwającego do niej ręką. Jednak prawy obcas złamał się nagle, Kita poślizgnęła się i upadła. Hugo przebierając krótkimi nogami, podbiegł do niej i wyciągnął rękę. Zerknęła podejrzliwie, ale przyjęła pomoc. Dźwignął ją bez trudu. Pończochy miała w strzępach, na kolanie i na dłoniach pojawiła się krew.

- *Domo* - wymamrotała. - Dziękuję.

W jego oczach błysnęły irytująco wesołe iskierki.

- Zawsze do usług.

Kita wzbraniała się przed przyjęciem pomocnego ramienia, ale nie mogła ustać prosto bez obcasa, musiała się oprzeć na Hugo. Podeszła do sprzedawcy, z ulgą wsunęła stopy w ciepłe, wygodne kozaki. Zadrapania piekły, gdy chowała ręce w kieszeniach.

- Co teraz?

Oddalili się od stoiska. Hugo odezwał się pierwszy:

- Chciałbym cię przekonać, że to naprawdę ważna sprawa. Program Biomiast został kupiony przez Stany Zjednoczone. Ale wprowadzono do niego modyfikacje, które umożliwiają władzom pełny dostęp do wszelkich form wymiany danych...

- Co takiego?!

- Owszem. Tłumaczą to względami bezpieczeństwa narodowego. Rząd twierdzi, że ma

prawo podsłuchiwać, kiedy zechce i kogo zechce, z powodu domniemanego zagrożenia spoza Ziemi. Albo czegokolwiek. Marie uważa, że to nie w porządku. Ja również. To jak zezwolenie na wtykanie nosa w nie swoje sprawy, które jest po prostu licencją na ubezwłasnowolnienie ludzi. Co ważniejsze, Marie nie sądzi, by w dłuższej perspektywie zachowane było naturalne dążenie ludzkości do rozwoju, nie w atmosferze przesyconej tylko polityką. Ludzie muszą być wolni, muszą mieć swobodę wymiany informacji w każdej chwili i na każdy możliwy sposób oraz muszą mieć prawo do nieujawniania danych, jeżeli nie chcą. Marie chce stworzyć pływające miasto na Karaibach, Miasto Półksiężycy. Ma być spełnioną wizją, miejscem sprzyjającym rozwojowi twórczości i nauki. Bardzo istotnych dziedzin nauki. Będziemy mogli rozwiązać tajemnicę Impulsów i nie być zdanymi na ich łaskę. Chcemy stosować nanotechnologię w jak najszerszym zakresie, ale nie niszcząc przy tym świata.

- Zadziwiająca! Myślałam, że właśnie tym się zajmujesz! Ale co masz na myśli, mówiąc o Impulsach?

Przez wiele lat pogrążona w pełnych pośpiechu pracach nad nowym systemem komunikacyjnym Kita była praktycznie odizolowana od popularnych plotek i spekulacji na temat Impulsów. Ciszę przyjmowała jak pogodę - coś, co miało na nią wpływ, ale na co sama nie miała żadnego wpływu.

- Później ci wyjaśnię. Powiedz mi, czy masz całkowicie swobodny dostęp do wszystkich badań, jakimi zajmuje się Dento?

- Nie.

- I nie wolno ci również mówić innym, nad czym pracujesz?

- To prawda. Ale jestem zajęta i naprawdę nie mam ani czasu, ani znajomych, z którymi chciałabym się podzielić przemyśleniami na temat mojej pracy. Wystarczy mi praca w moim zespole. Byłam zadowolona, że Dento decyduje, co zrobić z wynikami moich badań. Do niedawna.

- A teraz?

- Potrzebuję trochę czasu do namysłu.

- Możemy odwiedzić jedno miejsce w tak zwanym międzyczasie? - Hugo wyłowił małą plastikową kartę z kieszeni koszuli i wbił w nią wzrok. Po tym spojrzeniu Kita rozpoznała, że najprawdopodobniej ma implanty pozwalające wydawać komendy komputerowi ruchem gałek ocznych. Znaczący - doceniał jednak jakieś modyfikacje ciała. Ciekawe, czy miał zainstalowane drogie uniwersalne wszczepy, ciągle aktualizowane i pozwalające na dostęp do dowolnych systemów baz danych, czy też tylko implanty

umożliwiający korzystanie z jednego, lokalnego systemu operacyjnego? Ta pierwsza możliwość na pewno była przydatna dla szpiega.

- Tutaj - oznajmił Hugo i wręczył jej kartę. - Wiesz, gdzie to jest?

Napis był po japońsku. Teraz Kita musiała się uśmiechnąć.

Podeszła do automatu i kupiła za grosze mapę Tokio. Wprowadziła adres podany przez Hugo i wydała polecenie przeszukania bazy adresowej. Przed laty taka mapa miałaby wmontowany chip i GPS, ale chipy rzadko już działały, toteż dawno zrezygnowano z nich w prostych urządzeniach. Dlatego Kita musiała wprowadzić dane, gdzie się znajdowała, aby uzyskać trzy propozycje trasy dojazdowej do wybranego miejsca.

- Znalazłam tylko to - oznajmiła, pokazując Hugo mapę i oddając kartę.

- Myślałaś, że wiem, gdzie to jest? W wielomilionowym mieście? Mamy szczęście, to tylko pięć przystanków stąd.

Poczuła ulgę, gdy w kolejce znaleźli wolne miejsca.

- Co to za miejsce? Gdzie jedziemy?

- Sklep z zabawkami - Hugo nie powiedział nic więcej.

Gdy wychodzili z metra, wiatr smagnął Kitę po twarzy i rozrzucił włosy. Podniosła kołnierz.

Czy mogła zaufać Hugo?

Hugo przyglądał się mapie. Kita szła za nim, próbując ogarnąć wszystkie te zaskakujące informacje, jakie od niego otrzymała. Jeżeli były prawdziwe, jaka rola miałaby jej przypaść? Te wszystkie koncepcje - nienaruszalności praw jednostki, kwestia struktury materii i problem świata, w którym każdy wie, że apokalipsa może nastąpić choćby jutro... Gdyby tylko mogła zaufać Hugo...

Jeżeli był wobec niej szczery, a Kita mogłaby coś zrobić, czy miała wybór? Co ona naprawdę wie o Dento - o polityce firmy, jej celach i wartościach? Czym było właściwie Dento? Z rozgoryczeniem uświadomiła sobie, że niewiele się dowiedziała przez te lata spędzone w firmie. Zamknęła się całkowicie we własnych pomysłach i projektach badawczych. Zabawne, jak ten czas leci przy ciężkiej pracy. Zabawne, że tak wiele spraw można wtedy zignorować. A zaczęło się już na studiach. Zaraz potem, gdy zniknął ojciec, Kita podjęła pracę - tylko po to, by sprawić mu przyjemność. Albo żeby spróbować go odciągnąć od tego drugiego życia. I od śmierci...

- To tutaj - z zamyślenia wytrącił ją głos Hugo.

Front sklepu był niezwykle barwny. Nieustannie zmieniające się kształty mieniły się kolorami. Efekt uzyskano dzięki podziałom pewnych komórek, z których pod wpływem

fotonów uwalniały się węglowodany. Barwy oczarowywały intensywnością i zmiennością. Kot, wyglądający niemal jak żywy, siedział w kącie. Potem ostrożnie wstąpił w kolorowy chaos, polizał łapę i rozmył się. Zaraz potem z barwnych plam wyrósł nieduży las, z drzewami wysokimi najwyżej na dwie stopy, na którego tle walczyło kilku wojowników w średniowiecznych japońskich zbrojach. Nieco dalej pojawiła się wieża Himage, mała, lecz oddana w najdrobniejszych szczegółach. Kita przebiegł dreszcz, przypomniała sobie dzieciństwo. Widziała wtedy film, na którym obrońcy wylewali przez okna zamku wrzący olej na wrogów. Zamki pojawiały się wśród zmiennych obrazów, raz jako nawiązania do historii, raz jako odniesienia ekonomiczne.

Kita i Hugo przekroczyli próg.

- To sklep z wyrobami z pianki.

Wewnątrz było ciemno, dzięki czemu każda wystawa lśniła jak diamenty na czarnym aksamicie. Panowała cisza przerywana stłumionymi szmerami, co nawet pasowało, skoro sprzedawano tu wyroby z polimerycznej pianki.

Podeszli do ekspozycji z planetami - na przezroczystym ekranie obracał się Układ Słoneczny.

- Dalej, spróbuj - zachęcił Hugo, gdy Kita wbiła zachwycony wzrok w wystawę.

- Jestem na to za stara - zaprotestowała.

- A ja nie.

Uruchomił lakierowany, nieduży panel z etykietką „Niebiańscy Wędrowcy”.

- Coś prostego. Droga Mleczna. I bez zmiany kształtu ekranu. Z panelu wysunął się różowy pasek z napisem. Hugo przykleił go u dołu monitora. Planety zniknęły i na żelowym ekranie zaczęło stopniowo formować się skupisko błyszczących jak brylanty gwiazd.

Kita podeszła i dotknęła jednej. Zabrzmiała nazwa. Najwyraźniej informacja była hipertekstowa, bo każde dotknięcie ekranu pozwalało na uruchomienie nowego okna z danymi. Kita dotykała kolejnych gwiazd obiema dłońmi, a ekran powiększał się, by zmieścić kolejne okna. Dotarła właśnie do informacji o Wenus, kiedy usłyszała za plecami:

- Czym mogę służyć? - pytanie było po japońsku. Obróciła się natychmiast, stając twarzą w twarz z mężczyzną w przepięknym kimonie. Stał w przyćmionym świetle, jego twarz skrywał mrok. Ukłonił się.

- Nie widzę ceny - odezwał się Hugo.

Kita chciała już przetłumaczyć, ale mężczyzna odpowiedział po angielsku:

- Wystarczy spytać.

- Ile za tę zabawkę?

Kosztowała dwutygodniowe zarobki Kity.

- Raczej drogo, jak na zabawkę, nie sądzisz?

- Biorę - Hugo skinął sprzedawcy. - Można to zapakować? W zielony papier?

- Oczywiście, proszę pana. Jest pan zdecydowany? Nie zechce pan obejrzeć innych towarów? - sprzedawca spoglądał na niskiego mężczyznę w skupieniu, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Nie. Śpieszę się. Ta zabawka jest w sam raz.

Mężczyzna uklonił się ponownie i odszedł.

- Marie ma córkę. Poprosiła, żebym coś przywiózł z tego sklepu. Mogłaby zamówić, oczywiście, ale o ileż przyjemniej jest kupować prezenty osobiście. I o wiele szybciej, jak mi się zdaje.

- Ile lat ma córka Marie?

- Coś około dziewiętnastu.

- I nie jest troszkę za duża na taki prezent?

- Ta zabawka jest czymś więcej niż się wydaje. I jest tu sporo danych. A dziewczyna interesuje się astronomią. Jak myślisz, mogę tu zapalić?

- Przypuszczam, że nikt ci nie zabroni.

Hugo zapalił cygaro, a Kita obserwowała jego profil w poświacie bijącej od ekranu, gdy finalizował transakcję. Odniosła wrażenie, że dziecko Marie jest także dzieckiem Hugo, choć nie wynikało to z jego wypowiedzi. Nie, to było dziecko Marie.

Zamyślane, dalekie spojrzenie Hugo, gdy sprzedawca robił mu skan siatkówki, a potem zerknął na niskiego mężczyznę z uwagą. W danych ze skanu musiało być coś nietypowego. Ale... Ludzie zawsze wyglądali na zamyślonych, nieobecnych, podczas skanowania. Kita zdecydowała, że określenie „zamyślony” dodała do charakterystycznych cech Hugo podświadomie, na podstawie mglistego przypuszczenia, że była z nim związana jakaś tragiczna historia, tak naprawdę nigdy nie mająca miejsca. Ciekawe, czy był żonaty?

Takie myśli zaskoczyły Kitę, ale i sprawiły trochę przyjemności. To fakt, że kompletnie nie interesowali ją mężczyźni. Wielu przewinęło się przez jej dorosłe życie. Szczególnie mężczyzn zainteresowanych jej pracą. Nie, żeby pociągały ją kobiety. Po prostu nie myślała o tych sprawach od dawna, co teraz uświadomiła sobie z pewną dozą rozdrażnienia. Wyjrzała na zewnątrz, podczas gdy piankowy ekran był pakowany i przygotowywany do podróży.

Hugo delikatnie dotknął jej ramienia i Kita wzdrygnęła się. Pomimo grubego płaszcza jego dotyk zdawał się przenikać do skóry. Zdziwiająca. Ale Hugo przypominał raczej Jacka,

którego spotkała wiele lat temu. Zainteresowany tylko wiedzą Kity. I tym, co Kita może dla niego zrobić. I dla Marie. Wyprostowała się. Oczy Hugo przypomniały jej morze na Okinawie. Tropikalne, nasycone kolorem.

Co z tego?

- Przepraszam, że tyle to trwało - odezwał się.

- Coś się stało?

Hugo obejrzał się na sprzedawcę, obserwującego ich w półmroku.

- Porozmawiajmy później. Co będziemy dziś robić? Gdy będziesz się namyślać?

Kita spojrzała na padający śnieg. Ogarnęły ją wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa.

- Chciałabym pójść do ryokan - wypaliła. Na moment zamarła, trochę zakłopotana.

- Do hotelu? - zdziwił się Hugo, w jego spojrzeniu błysnęło zainteresowanie i rozbawienie - ale pozbawione dwuznaczności. Tylko ciekawość.

- Niezupełnie. To dlatego, że śnieg przypomina mi czasy, gdy byłam dzieckiem. Każdej zimy spędzałam miesiąc z rodziną. W górach. W chacie mojej babci albo w małym domku. Życie w tradycyjnym, japońskim stylu - udało, że drży. - No, wiesz, żadnego ogrzewania. Ten styl powraca znowu - roześmiała się. Ciężko pracowała, aby nauczyć się śmiać, zamiast chichotać.

- To brzmi jak coś, na co pozwolić sobie mogą tylko bogaci ludzie - otworzył przed nią drzwi i wyszli na zewnątrz.

Mroźny wiatr sprawił, że Kita wstrzymała oddech.

- Nie byliśmy bardzo bogaci - wyjaśniła. - Rodzice mieli jednak dobrą pracę, więc mogliśmy sobie pozwolić na taki odpoczynek. Jeździliśmy po całym świecie. Moi rodzice pisali książki podróżnicze i przewodniki.

- Niezwykłe - przyznał Hugo. Pośpiesznie skierowali się do stacji metra, ostrożnie schodząc po mokrych, betonowych schodach.

- Byli artystami - oznajmiła. - Naprawdę. Matka cieszyła się międzynarodową sławą jako poetka, a ojciec był fotografikiem. Podróże stanowiły ich pracę. Zarabiali w ten sposób.

Przeszli znaną trasą na peron metra.

- Wiesz, chciałabym odwiedzić Ueno. To muzeum narodowe. - Kita nie pamiętała, kiedy była tam ostatni raz, ale czuła, że to ją uspokoi i odpręży. Wizja Japonii niezmiennej przez wieki. Góry i rzeki bez końca. - To najlepsze na śnieżną pogodę. Mnóstwo widoków zaśnieżonych gór.

- Jesteś wielką entuzjastką śniegu - stwierdził Hugo. - Dla mnie śnieg był zawsze jak dopust Boży, koszmar. Staralem się robić wszystko, aby trzymać się z daleka od śniegu.

- Zatem jesteś barbarzyńcą - odcięła się Kita.

- Uczę się całe życie.

- Nie wątpię. Jest nasz pociąg - wsiadając do wagonu, wróciła myślami do propozycji Hugo i Marie. Metro ruszyło z hałasem i zanurzyło się w tunelu.

- Uczę się w imię człowieczeństwa - rzekł Hugo, obserwując ją uważnie z fotela naprzeciwko.

- Co? - podniosła wzrok, zerkając jednocześnie na swoje odbicie w ciemnej szybie.

- Wyglądasz, jakbyś zastanawiała się, co masz robić.

- Jestem Japonką. Nie uda ci odczytać *moich* myśli z wyrazu twarzy.

Uśmiechnął się.

- Nie jesteś tak nieprzenikniona, jak ci się wydaje, Kito. A skoro już się namyślasz, dodam tylko, że jeżeli się zgodzisz, będzie bardzo niebezpiecznie, z narażeniem życia włącznie. Ale wierzę, że mamy duże szanse na sukces. Chcę, abyś o tym wiedziała.

- Ale jak mogę to zrobić?

Hugo poklepał kieszeń, gdzie trzymał prezent.

- Może takie sprawy przychodzą łatwiej, gdy ma się dzieci.

- A więc córka Marie jest także twoja - powiedziała cicho, uprzejmie.

- Genetycznie nie. Ale to ja ją powołałem do życia. I jestem za nią całkowicie odpowiedzialny.

Tego popołudnia, gdy patrzyli na obrazy przedstawiające zaśnieżone góry, zamrożone strumienie, mgły na szczytach oraz gdy podziwiali prawdziwy krajobraz górski, Hugo opowiedział Kicie swoją historię.

Wyczuła w tej opowieści jakieś rysy, bariery, ściany - nie umiała tego określić po angielsku. Ale wiedziała, że tam kryje się smutek. To była dziwna historia. Kita podejrzewała, że Hugo nie opowiadał jej wcześniej ani razu. Jak Marie poznała prawdę, jak przeżywała ten sam strach i tę samą radość, co Hugo, i o tym, że żaden ból lub radość nie przenoszą się z człowieka na człowieka.

- To pływające miasto jest dzieckiem Marie - powiedział Hugo. - Nie zdawałem sobie sprawy, że może się tak stać. Marie martwi się, co prawda, że nie kocha Kaliny, bo wydaje się jej, że powinna ją kochać.

Kita nie czuła się zbyt zadowolona, że okazała się jedyną osobą, która nagle, jak sądził Hugo, mogła przyjąć te wszystkie silne emocje, jakimi emanował. Czuła się raczej jak spowiednik, a nawet jak chusteczka, w którą mógłby wytrzeć oczy i nos. Kita przypuszczała, że po prostu musiał się wygadać, wyrzucić z siebie nadmiar uczuć. Siedzieli w kafeterii w

Ueno, pijąc zieloną herbatę, a potem wsiedli do *shinkansen* - superekspresowego pociągu do Kioto.

Jednak właśnie tego popołudnia Kita zdecydowała się pomóc, jak to melodramatycznie określił Hugo, w ratowaniu świata.

Miała nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. To była zaledwie ulotna możliwość. Przyszłość zawsze wydawała się odległa, majacząca gdzieś na horyzoncie.

Aż do dziś...

*

Tego wieczoru, gdy mknęli do Kioto, siedząc w pluszowych fotelach pierwszej klasy na koszt Marie, powietrze nagle wypełniły dźwięki, a ekrany na oparciach foteli rozjarzyły się, ukazując panel sterowania. Przez chwilę po monitorach migwały chaotyczne obrazy, gdy stabilizowała się łączność i odbiór danych. Lokalne programy dostępne w pociągu, zostały wyłączone. Rozległy się stłumione okrzyki zawodu, ale też zadowolenia, gdy pokazał się program informacyjny.

Japonia miała najnowocześniejszą kolej na świecie. Wiele państw nie mogła sobie pozwolić na nowe systemy, reperowano jedynie stare tory - z ekonomicznego punktu widzenia, był to zjazd po równi pochyłej. Pociągi w większości krajów nie miały okien z materiałów umożliwiających odbiór sygnałów radiowych albo transmisję obrazów, co właśnie uruchomił Hugo. Uderzył palcem w jedno z poleceń menu: „JĘZYK ANGIELSKI” i spiker zaczął mówić:

- Międzynarodowa Agencja Informacyjna donosi, że panujący w Kenii głód jest coraz większy. Odkąd...

I wtedy ekrany ponownie zgasły. Pozostały czarne do końca podróży.

Kita i Hugo nasyceni kupionym w pociągu bento i kosztowną sake niewiele rozmawiali, dopóki nie wysiedli w Kioto. Przeszli wąskimi, krętymi uliczkami zasypanymi śniegiem. Staromodne latarnie gazowe oświetlały wiekowe sklepiki rybne i zamknięte wrota ukrytych świątyń. W Kioto nie było śladu nowoczesności. Kita kochała to miasto, ponieważ jego starodawność równoważyła się w jej pojęciu z pracą, jaką wykonywała. Zanim się tu osiedliła, całkiem sporo podróżowała, otrzymała dyplom w Paryżu, przewędrowała Europę i Azję. Ale na dnie umysłu ukrywała lęk, ten sam, co u innych ludzi: *to wszystko może wkrótce zniknąć*. Aż do dziś trudno było określić, w jaki sposób i dlaczego świat miałby się skończyć, zbyt wiele było niewiadomych: jakieś czynniki związane z Ciszą, albo wyścig towarzyszący rozwojowi nanotechnologii mogły sprawić, że przekroczona by została jakaś niewidzialna ostateczna granica, a może, jak głosili mędrcy, przyczyną upadku stanie się eskalacja działań

w Wojnie Informacyjnej. Cokolwiek miałyby się stać, mogło być już za późno, by ocalić planetę wraz z zamieszkującym ją żarłocznym, ludzkim gatunkiem.

Kity wcale nie cieszyło, że miała teraz szerszą perspektywę ujęcia problemu i jak niewiele czasu jej zostało.

Jej mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze niedużego, eleganckiego budynku.

- Tu nigdy nie było windy - ostrzegła, gdy wraz z Hugo wspinali się po schodach. - Pewnie powinnam się wyprowadzić, gdyby znalazł się jakiś bardziej odpowiedni blok. Ale magazynowanie energii zasilającej windy, alarmy, systemy bezpieczeństwa tak podnosi koszty eksploatacji, że wiele drapaczy chmur w Osace bankrutuje.

Weszli do apartamentu.

- Wygodnie tu - zauważył Hugo.

- Wystarczająco - zgodziła się.

- Trochę przyjemniej niż na ulicy.

- To ogrzewanie podłogowe. Pod spodem są rury, którymi płynie para. Możesz zostawić buty tutaj.

Z zadowoleniem upuściła ciężką torbę, zdjęła nowe buty i schowała w szafie wbudowanej w ścianę.

- Załóż kaptcie, mam nadzieję, że będą pasować. Chcesz coś do picia?

Hugo przyglądał się fotografiom na ścianie. Zrobił je ojciec Kity.

- Herbatę, jeśli można. Interesujące zdjęcia. Podoba mi się to z chmurami. Przypomina mi Numer 47, jakie twój ojciec zamieścił w „Himalajskim Portfolio”.

- A moje ulubione to zdjęcie siostry - powiedziała Kita nastawiając wodę i wrzucając ręcznie pokruszone listki zielonej herbaty do brązowego czajniczka z wygrawerowanymi końmi w galopie. - To w środku.

- Wcale do ciebie niepodobna.

- To prawda. Jest ładniejsza - wniosła czajnik i dwie filiżanki na niski stolik. Za oknem wirowały duże płatki śniegu, przysypując samotną rzeźbę stojącą na podwórku i lśnią w miękkim blasku lamp.

- Skądże - zaprzeczył Hugo. Usiedli na poduszkach przy stoliku. - To całkiem wygodne.

- Mam nadzieję, bo tutaj będziesz spał.

- Piękny widok - uśmiechnął się i napił parującej herbaty. W pokoju rozniósł się delikatny aromat napoju. Hugo sięgnął do kieszeni i położył na stole małą paczkę.

Była elegancko zapakowana w błyszczący, zielony papier. Twarz mężczyzny miała

bardzo poważny wyraz. Kita powstrzymała spontaniczny impuls, by dotknąć jego dłoni.

- Mój siostrzeniec to polubi - wstała i włożyła prezent do teczki, którą rano zabierze do pracy. - W łazience są ręczniki. Czuj się jak w domu. Za rogiem jest miłe miejsce, gdzie można zjeść śniadanie, minęliśmy je. Jutro spróbuję wcześniej wyrwać się z pracy, będziemy mogli trochę pozwiedzać - zabrała filiżankę i wyszła do drugiego pokoju, zasuwając drzwi z ryżowego papieru.

Pokój był mały, ledwie na dwie maty. Mieścił szafę, futon i niski czarny stolik, na którym stała lampka na baterie oraz stos książek, jak również butelka wody i uniwersalny czytnik zwinięty w porządną rulon. Do czytnika załadowane zostały drukowane publikacje i książki dostępne w pobliskiej księgarni. Zapewne w Nowym Tokio można będzie ściągać takie dane praktycznie z dowolnego miejsca.

Kita schyliła się, zapaliła lampę i rozebrała się, schludnie wieszając ubrania w szafie pachnącej słodko drewnem z gór w Nowej Zelandii. Miała tam dom, jeden z kilku. Nie przywiązywała dużej wagi do rzeczy materialnych, zupełnie inaczej niż jej siostra, zapatrzona w amerykańskie wzorce. Kita żyła jak jej rodzice. Gotowa wyjść w świat, gdyby zaszła taka potrzeba, bez oglądania się wstecz. Albo wyjechać dla kaprysu...

Zawahała się przez chwilę, stojąc nago na środku pokoju, owiana chłodnym powietrzem. Usłyszała, jak Hugo wstaje i - co? Nalewa sobie jeszcze herbaty? Znieruchomiała niezdecydowana, a potem roześmiała się cicho pod nosem. Czyżby uznała, że Hugo jej pragnie? Przecież miał skomplikowany związek z Marie, choć Kita nie była nadal pewna, na czym ten związek polegał. Ale nie zamierzała się do tego mieszać. Lubiła swoje życie takim, jakie było. Proste. Oczywiście.

„Tchórzliwe” - przemknęło jej przez myśl kolejne określenie, a potem jeszcze jedno: „nudne”. Postanowiła je zlekceważyć.

Wtuliła się w posłanie i zgasła lampkę. Zapadła ciemność, choć z drugiego pokoju łuna światła przebijała śnieg za oknami. Kita leżała dłuższy czas, przyglądając się spadającym płatkom śniegu. Jak przez wiele minionych nocy, gdy spoglądała na świat tworzony przez człowieka i przemieniany magią natury.

A wszystko to może zniknąć.

Kita wstała, otworzyła drzwi.

Siedział przy stoliku, nadal ubrany w garnitur, popijając herbatę i zajęty pisaniem.

- Hugo?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony, że widzi ją w drzwiach, naga. To sprawiło jej ulgę. A potem zdenerwowało.

Odstawił filiżankę i wstał, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Podeszła, objęła go. Był zaledwie cztery cale niższy niż Kita. Jego pocałunek był głęboki, namiętny.

- Kita? - wyszeptał, gdy pociągnęła go do sypialni, zsuwając mu marynarkę, krawat, rozpinając koszulę. - Jesteś pewna?

Roześmiała się.

- A nie wyglądam?

*

Następnego ranka Omat, młody strażnik z Dento Inc., wyciągnął elegancko opakowaną paczkę z jej teczki. Kita popijała gorącą kawę z puszki, mając nadzieję, że nie drżą jej dłonie.

Strażnik spojrzał na nią uważnie.

- Co to jest?

Pociągnęła duży łyk.

- Och, myślałam, że to wypakowałam. Pianka. Prezent dla siostrzeńca.

- Starszego? - spytał Omat, wkładając paczkę do torby.

- Cóż, dzieciaki pewnie będą się kłócić. Powinnam kupić dwie takie zabawki, ale są za drogie.

Drzwi otworzyły się z cichym brzęczeniem, gdy Omat pozwalał jej wejść.

Najpierw spotkanie. Firma przygotowała podsumowanie dla paru urzędników z Ministerstwa Eksportu i Kita miała przeprowadzić prezentację.

Gdy mówiła, była zdziwiona spokojem, jaki brzmiał w jej głosie. Nikt nawet sobie nie wyobrazi, że zamierzała zdradzić swoją wielką japońską rodzinę.

- Ten wygenerowany komputerowo holograficzny model pokazuje, jak układ limbiczny analogiczny do ludzkiego został wszczepiony do analogów pszczół, na których opiera się system wymiany informacji w Biomiastach - mówiła. - Tutaj widać procedurę motywacyjną, która zmusza analogi do wypełniania zadań, jakie zostają im powierzone. Biomiasto jest kompleksem w całości biologicznym... Pytania? Tak, słucham?

- Czy istnieją jakieś przeciwwskazania lub przeszkody przy wszczepianiu ludzkiego umysłu lub osobowości do tego systemu opartego na analogach pszczół?

- W tej chwili nie ma żadnych przeszkód - odpowiedziała Kita. - Różnorodne modele pokazują, że wszczepienie takiego wzorca do pszczelego analogu jest jak najbardziej wykonalne. Potwierdzają to prace badawcze z dziedziny krioniki, jakie powstały w ostatnich dekadach. Naświetlają one kluczowe aspekty dotyczące komórek oraz ich powiązań z

pamięcią i osobowością.

Nie powiedziała, że te modele zostały stworzone bardzo niedawno. To była jedna z wielu tajemnic, których zobowiązana była dochować - tajemnic pętających jej myśli niechcianymi więzami. Oczywiście, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że jakieś wojowniczo nastawione ugrupowanie podejmie próbę zniszczenia laboratorium, gdzie prowadzono badania. Jedna z teorii głosiła, że wszczepienie ludzkich imperatywów emocjonalnych do pszczoło-podobnych stworzeń sprawi, że kontrola nad nimi będzie łatwiejsza.

Kita zakończyła demonstrację i ukloniła się. Podczas kolejnych prezentacji zastanawiała się, co się dzieje na świecie. Myślała o rewelacjach, o których tak ogólnie wspomniiał Hugo, o informacjach pojawiających się w Japonii i w innych miejscach - informacjach, do których nie chciało się jej dotrzeć lub nie miała na to czasu.

Rozbłysło światło. Nagle zatrzymała wzrok na jednym z mężczyzn. Jego profil wydał jej się dziwnie znajomy. Pomimo zdenerwowania, próbowała sobie przypomnieć. To mogło być ważne.

Jack? Tak, to ten mężczyzna sprzed lat, który próbował ją namówić, by dla niego szpiegowała w Dento...

Obrócił się, gdy wstawał i mogła przyrzeć się dokładniej jego twarzy, kryjąc się za plecami innych ludzi zgromadzonych w pokoju konferencyjnym. To był on, choć włosy miał teraz krótkie i jaśniejsze niż kiedyś, raczej blond niż brązowe. Jego firma prowadziła interesy z Dento. Nie było powodów do zdenerwowania.

Wstała, opuściła pomieszczenie i pośpieszyła do swojej klitki. Zdała sobie sprawę, że jest cała mokra od potu. Wytarła czoło chusteczką i wzięła kilka głębokich wdechów. „Marie wierzy, że informacja musi być wolna” - powiedział Hugo. Nie, niezupełnie tak. Powiedział: „Informacja *chce* się uwolnić”. Jakby to było dzikie zwierzę, które człowiek złapał na sawannie i uwięził w zoo; a nie coś, co jest od początku generowane przez cywilizację techniczną, co stanowi kapitał takiej cywilizacji.

Kita zajęła się błahostkami. Poszła popatrzeć na pszczoły. Ludzie mogliby zacząć coś podejrzewać, gdyby tego nie zrobiła. Udawała, że bada kilka owadów karmionych specjalną mieszanką hormonów i sprawdza plan działań przygotowany przez asystentów. Pszczoły były szkolone, zanim trafiły do wirówki. Trening służył do wzmocnienia i poszerzenia działania mechanizmów rozpoznawania ula oraz wzorców feromonowych, wprowadzał do nich nowe sekwencje. Grupa testowa porównywana była z rojem kontrolnym pszczoł. Kita przysunęła sobie notebook i zaakceptowała plan badawczy przez dodanie do pliku swojej sygnatury

głosowej.

Wreszcie nadeszła przerwa na lunch. Laboratorium, do którego miała się dostać, powinno być teraz puste. Sięgnęła do teczki i ścisnęła w dłoni paczkę od Hugo, wstała, wsunęła urządzenie do kieszeni - wszystko jednym płynnym ruchem. W kramie na rogu jak zwykle kupiła pudełko bento. Ale tym razem z dodatkową porcją dla znajomej z laboratorium.

Szła ostrożnie, balansując pudełkiem trzymanym w lewej ręce, podczas gdy prawą rozpakowała kupione przez Hugo urządzenie z pianki. Nie było to łatwe, bo zielony papier paczki upstrzony był samoprzylepnymi ozdobami. Przeszła przezroczystym tunelem zawieszonym nad ulicą. Śnieg przestał padać już w nocy, ale niebo nadal zakrywały chmury, a morze, odległe o pół mili, miało stalowo-szarą barwę. Drzwi do laboratorium stanęły otworem, gdy Kita przesunęła swój identyfikator przez czujnik. Rozejrzała się.

- Nisawa, jesteś tu? Przyniosłam ci lunch. Powinnam zadzwonić...

Udała, że rozgląda się między boksami, nie przejmując się niczym.

- No, tak...

Usiadła przy biurku, które wskazał jej Hugo. Zdjęła zakiet i rzuciła obok łącza umożliwiającego transfer danych biologicznych - przynajmniej taką miała nadzieję. Kryjąc dłoń pod zakietem, wysunęła piankowy sześcian i przycisnęła go do wtyczki, włączając automatyczny przekaz zapisanych informacji.

Wszystko układało się idealnie. Hugo mówił, że pobieranie danych zajmie pięćdziesiąt siedem sekund. Zapewniał też, że wszystko będzie działać.

Miał szczęście, że tak łatwo było przekonać Kitę. Lecz teraz nie pora żałować. Nie mogła się już wycofać.

Zerkając na zegarek, otworzyła pudełko z bento i zaczęła jeść. Udała, że się zakrztusiła i rozkaszała się głośno, gdy minęło pięćdziesiąt trzy sekundy, a krótki sygnał „ping” oznajmił, że operacja została przeprowadzona prawidłowo.

Ciągle kaszłąc, wczepiła się paznokciami w piankę i odłączyła urządzenie. Dłonie jej drżały. Pomyślała, że sprawia wrażenie, jakby się zakrztusiła na śmierć. Zabrała zakiet i spłaszczyła piankę, by zmieściła się w kieszeni. Dyszała ciężko, nos i oczy miała mokre. Chwyciła piankę i wyszła pośpiesznie z laboratorium, dokładnie zamykając drzwi.

Anika, strażniczka w tym skrzydle budynku, pobiegła za nią. Kita pochyliła się nad automatem z wodą i zaczęła pić. Celowo połykała zbyt gwałtownie zimny płyn, chciała wywołać prawdziwy atak kaszlu.

- Lepiej pani? - zapytała Anika, bijąc Kitę w plecy i podsuwając jej opakowanie chusteczek higienicznych.

Kita wytarła nos.

- Przepraszam - wydyszała. Wskazała na pudełko z ryżem. - Zakrztusiłam się.

- Co pani tu robi? - zdziwiła się Anika. - Właśnie wprowadzono najwyższe zabezpieczenia. Po południu będzie wymiana zamków...

Kita w sekundę opanowała zdziwienie. Hugo zdążył naprawdę w ostatniej chwili.

- Przepraszam. Umówiłam się na lunch z Nisawą, ale chyba pomyliłam dni. Proszę jej przekazać, że umówimy się jeszcze raz, dobrze? Będzie zawiedziona. Przyniosłam jej ulubione danie, wędzonego węgorza z awokado... Cóż, lepiej już pójdę...

Szybkim krokiem ruszyła przez oszklony wiadukt. Serce waliło jej głośno. Informacja chce się uwolnić, niech to szlag! To był pierwszy i ostatni występ Kity-szpiega. Nie nadawała się do takiej roboty. Wracając, ponownie zapakowała piankę w zielony papier z kolorowymi ozdobami i wygładziła zgniecenia. W swojej klitce wydmuchała głośno nos i owinęła się płaszczem; przy okazji wsuwając paczkę z pianką do teczki. Zapięła okrycie, włożyła czapkę.

Przed punktem kontrolnym przy wyjściu Omato długo sprawdzał jej torbę i kieszenie, była niemal pewna, że słyszał, jak głośno wali jej serce.

- Wychodzi pani wcześniej?

- Chyba jestem chora - odpowiedziała, zwalczając chęć, by spojrzeć za siebie. Modliła się tylko, aby na konsoli strażnika nie pojawił się sygnał o nadejściu wiadomości, że należy natychmiast zatrzymać i aresztować Kitę, jako potencjalnego szpiega. W końcu rząd miał udziały w Dento! Cholerny Hugo!

- Wygląda pani na chorą - odezwał się Omato. - Proszę odpocząć.

Pospieszny tramwaj słoneczny właśnie nadjechał i Kita wsiadła szybko, zajmując miejsce tuż przy drzwiach. Drżała. Motorniczy zerknął na jej odbicie w lusterku. Nie, wcale nie. Tylko sobie wyobraziła, że ją obserwuje podejrzliwie.

Obojętnie przeszła ulicą w kierunku budynku, gdzie mieszkała. Otworzyła drzwi. Hugo, ubrany równie elegancko jak wczoraj, siedział przy stoliku wpisując coś do niedużych diagramów w notesie. Akrostychy, no tak. Jaki spokojny, nie to, co Kita...

Podniósł głowę. Już otwierała usta, by się odezwać, ale Hugo krótko pokręcił głową.

- Witaj - powiedział. - Nic jeszcze nie jadłem. Pójdziemy na lunch? Nie wiem, jak się obsługuje to ustrojstwo w kuchni...

- Podgrzewacz do ryżu. Bardzo nowoczesny. Musisz mieć przeszkolenie, żeby go używać. No, to chodźmy coś zjeść.

Włożyła wysokie buty z kawałków skóry, uszyte na miarę w Londynie. Były o wiele wygodniejsze niż te niedawno kupione. Starła się oddychać głęboko, regularnie, swobodnie. Przełożyła piankę do większej torby i zatrzasnęła zapięcie. Plan był taki, że miała przekazać piankę z danymi pewnej osobie w określonym miejscu, ale Hugo nie sprecyzował gdzie dokładnie i komu. Miała mu po prostu zaufać. Jak idiotka. Może, pomyślała przelotnie, powinnam po prostu wrócić, wyznać...

- Oddychasz, jakbyś się dusiła - zauważył Hugo, gdy przemierzali ulicę. - Dobrze się czujesz?

- Nie. - odrzekła. - Skręć w lewo. To Teapot Lane.

Ruszyli w górę stromej alei. Kitę wkrótce rozboleły nogi, ale nie zatrzymywała się ani na chwilę.

- Gdzie coś zjemy? - po raz kolejny zapytał Hugo, dysząc za jej plecami. Czyż to nie okrucieństwo zmuszać go do tak szybkiej wspinaczki? Przeszli przez bramę wielkiej świątyni. Kita nabrała wody ze źródła tuż za wrotami i wypila łyk. Hugo naśladując ją, uczynił to samo, pytając unosząc brwi. Nie chciała odpowiadać na żadne, szczególnie nie zadane pytania. Ludzie przechodzili obok nich obojętnie. Świątynię otaczała szeroka, drewniana platforma, zawieszona nad doliną, gdzie wśród drzew można było dostrzec rozrzucone nieduże kapliczki.

- Jesteśmy na miejscu? - w pytaniu Hugo brzmiała desperacja.

- To świątynia Kiyomizu-Dara - wyjaśniła Kita, opierając się o poręcz i wpatrując w dolinę. Ten widok był jej szczególnie drogi. - Przychodzę tutaj co miesiąc. Powiadają, że podjąć ważną decyzję, to jak wyskoczyć z tego tarasu.

- Pięknie - Hugo mówił już spokojnie. - Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego tu przyszedłeś?

Nie odpowiedziała. Objął ją w pasie.

- Czy coś poszło źle?

- Nie jestem pewna - mruknęła. - Nigdy wcześniej nic takiego nie robiłam.

Hugo spojrział na rozciągający się w dole las.

- Może właśnie wyskoczyłaś.

- Może. Chodźmy. Zjemy coś.

- Ale...

- Myślałam, że jesteś głodny.

W niedużej, wypełnionej parą kafejce, Kita zamówiła dwie porcje zupy miso i wędzonego dorsza. Jadła powoli, spokojnie, czując na twarzy uważne spojrzenie Hugo.

Westchnęła podnosząc głowę.

- Przepraszam...

- Nie przepraszaj - na jego twarzy malowała się troska - To ja powinienem przepraszać.

- Pewnie Marie nie jest tak wrażliwa - zauważyła Kita.

Uśmiechnął się.

- Słuszny domysł.

Odsunęła na wpół zjedzony posiłek.

- Mam dość.

- Kita...

- Zdobyłam to - szepnęła.

- Więc się uspokój.

- Nie mogę.

Hugo zerknął na zegarek.

- Co powiesz na wizytę w Żłotym Pawilonie?

- Po co?

- Żeby się z kimś spotkać. Czy ta świątynia jest blisko?

- Najwyżej pięć minut jazdy taksówką. - Kiyomizu-Dara nie uspokoiło Kity. Może w Żłotym Pawilonie zdoła odzyskać równowagę? A może nigdy jej się to nie uda.

Poczuła się tak samo, jak wtedy, gdy odszedł jej ojciec.

Lśniący wszystkimi barwami tęczy *koi* pływał majestatycznie tuż pod lustrzaną taflą *kinkakuji*, ozdobnej sadzawki. Kita i Hugo przeszli przez most do niskiego, klasycznego pawilonu. Nawet gdyby nie było słońca, świątynia zdawała się błyszczeć. Kita zaczęła mówić nerwowo, urywanie. Chciała po prostu rozmawiać o czymkolwiek, byle nie o tym, co zrobiła.

- W Japonii wszystko jest jak idea - obniżyła ton głosu na bardziej analityczny, beznamiętny. Jakby znajdowała się bezpieczna w auli i prowadziła wykład. - Idea odziana w materię. To, co zewnętrzne zmieniało się wiele razy. Ten budynek spłonął doszczętnie w 1950 roku, ale został odbudowany. Świątynia, w której byliśmy wcześniej, stoi od tysiąca lat, odnawiana i naprawiana, ale niezmieniona. Czasami wyobrażam sobie, że podobnie jest z nanotechnologią. Idea, której materialny aspekt jest stale odnawiany przez nano. Albo idea zamknięta w małych cząstkach materii przez lata, może stulecia, która czeka na odpowiednie warunki, by się odnowić i rozmnożyć. Ale co rozwinie się z naszych działań? Świątynia czy broń?

Hugo stał przed nią na moście, obejmując ramionami i delikatnie kołysząc.

- Zrobiłaś dziś coś naprawdę dobrego, Kito.
- Skąd mam wiedzieć? Jedyne, co wiem, to że masz broń!
- Jesteś roztrzęsiona.
- Kompletnie.
- I martwisz się, co się stanie. Powiedz mi, Kita, czy coś poszło nie tak?

Wzruszyła ramionami i opuściła ręce.

- Strażniczka widziała mnie, gdy wychodziłam z laboratorium.
- Och - powiedział tylko. - Ale to przecież nic niezwykłego? - podchwycił jej zdziwiony wzrok. - Mówiłem ci, wiemy naprawdę dużo.
- Ale zabezpieczenia zostały zmienione...

- Jednak zamki wymienią dopiero jutro - zauważył spokojnie.

Pokręciła głową.

- Dzisiaj po południu. Uniósł brwi.
- Powinnaś powiedzieć mi wcześniej.

Kita próbowała nad sobą panować, ale nie udało się. Łzy popłynęły jej po twarzy. Miała ochotę krzyczeć, ale nie potrafiła, to by było tak nieuprzejme...

Przytulił ją delikatnie. Jak kochanek. Promieniujący od niego spokój ogarnął ją z przemożną siłą. Nigdy się tak nie czuła. To znaczy, wcześniej też była opanowana i spokojna, ale nie tak, jak teraz. Pochyliła się i pocałowała Hugo. „Zupełnie zwariowałam” - pomyślała.

- Wybacz - wyszeptał. - Najlepiej będzie, jeżeli nie wrócisz do siebie. W ogóle powinniśmy wyjechać z Kioto. Teraz. Czekałem na kontakt, ale...

Kita westchnęła. Odsunęła się. Nie puścił jej ręki, choć próbowała się wyrwać z uścisku.

- Czemu mnie to nie dziwi?

- Mnie dziwi - powiedział Hugo. - Myślałem, że zadbałem o każdy szczegół. Nie przewidziałem, że pojawi się ta strażniczka. Przepraszam. Na twoim koncie już w tej chwili znajduje się pokaźna suma...

Spojrzała na niego.

- Ale ja nie...

- Wiem, że nie zrobiłaś tego dla pieniędzy. Zazwyczaj ludzie najpierw pytają o pieniądze. Ale nie ty. Dostałaś te pieniądze, bo tak chciała stara przyjaciółka. Z sentymentu do przeszłości...

- I ze względu na ciebie. Zaufałam ci. To bardzo dziwne, prawda?

- Warto to uczcić - spojrzał gdzieś poza nią. - Idą do nas jakieś dwie kobiety.

Podejrzanie to wygląda. Chyba coś się stało z moim kontaktem. Czy ta świątynia ma tylne wejście?

Kita nie pamiętała dokładnie, co stało się później. Hugo obrócił się wyciągając broń, ale kobiety były na to przygotowane. Strzelił, a od huku zadzwoniło jej w uszach, i w tym samym momencie pchnął ją w krzaki. Jedna z kobiet upadła, druga przyczaiła się za głazem. Hugo szarpnął Kitę za ramię, ciągnąc ją w głąb ogrodu po ścieżce wijącej się między wypiełgnowanymi roślinami. Potem nagle zwinął się, a na płaszcz z jego ramienia spłynęła krew. Broń wypadła mu z dłoni.

Kita podniosła pistolet - pierwszy raz w życiu dotykała broni - i wycelowała nieporadnie w kierunku głazu, za którym kryła się druga kobieta.

Wtedy ktoś chwycił Kitę za nadgarstek i wyrwał pistolet. Obróciła się, by ujrzeć łysego mnicha w ciężkich, ciemnych okularach i czarnym habicie. Mężczyzna sprawnie wyjął magazynek, naboje rozsypały się na betonie i z cichym pluskiem wpadły do sadzawki płosząc *koi*. Potem skinął na Kitę, by szła za nim do ogrodu. Obejrzała się jeszcze, by ujrzeć grupę może dwunastu mnichów zbliżających się do kobiety, która strzelała zza głazu. Niektórzy z nich dzierżyli ciężkie kije.

Kita szła za trzema mnichami niosącymi Hugo. Biegli niezdarnie, klucząc między krzewami, potem przez ogród zimowy, aż minęli ogrodzenie i wypadli na zatłoczoną uliczkę wśród kramów i sklepików. Zaskoczeni przechodnie obracali się, by popatrzeć. Jeden z mnichów wyskoczył przed taksówkę, która zatrzymała się z piskiem hamulców.

- Wsiadaj! - krzyknął do kierowcy. - Już!

Kierowca próbował stawiać opór, ale mnich chwycił go za ramiona i po prostu rzucił na ulicę. Kita pamiętała zdumienie malujące się na twarzy taksówkarza.

- Wsiadaj - rozkazał jeden z mnichów, przytrzymując drzwi od strony kierowcy.

- Ale - uświadomiła sobie, że w tym zamieszaniu upuściła torbę z pianką.

- Wsiadaj!

Pozostali mnisi ułożyli Hugo na tylne siedzenie, z jednej strony popychając go, z drugiej ciągnąc za kołnierz, nie zwracając uwagi na trzask rozdzieranego materiału. Potem drzwi taksówki się zatrasnęły. Jeden z mnichów krzyknął do Kity:

- Jedź!

Zerknęła w lusterko. Płaszcz Hugo przesiąkł krwią. Podchwycił jej spojrzenie, a jego usta poruszyły się nieznacznie.

- Ruszaj! - wyszeptał ochryple.

- Muszę jeszcze... Uniósł się nieco i wrzasnął:

- No już, do cholery, wiejmy z Kioto!

Wcisnęła sprzęgło. Tłum cofnął się w pośpiechu. Wkrótce krążyła po ulicach, jakaś aleja, przecznica - cały czas kierując się ku peryferiom miasta. Hugo próbował usiedzieć prosto przez kilka przecznic, ale szybko osunął się i położył na tylnym siedzeniu.

Zapadł wieczór, zrobiło się ciemno. Kita jechała z zawrotną szybkością lawirując po starej drodze w sosnowym zagajniku. Prowadziła już od ponad godziny. Nie pamiętała, jak opuściła Kioto. Hugo nadal oddychał.

Droga minęła rolnicze farmy na pogórzcu i teren zaczął się stromo wznosić. Znowu zaczął padać śnieg. Taksówka ślizgała się na ośnieżonych zakrętach. Kita nie zwalniała. Pokonywała wiraże, kluczyła, cały czas trzymając się trasy, prowadzona wspomnieniem o babci. Prawie przeoczyła zjazd, nie było żadnego drogowskazu. Wąska ścieżka przecinała gąszcz karłowatych, wiecznie zielonych drzew przysypanych śniegiem, tworzących pejzaż jak ze starożytnych rycin. Kita jechała ponad milę, aż zaczęła się bać, że wybrała zły zjazd...

W blasku przednich świateł ujrzała wreszcie starą chatę. Prawie w nią uderzyła, ale w ostatniej chwili wyhamowała, rozbijając o głaz tylko prawy reflektor.

Kita otworzyła drzwi i wciągnęła zapach czystego śniegu, oddychając w ciszy, wśród spadających płatków, lśniących jak kryształy na tle ciemnego lasu. Nasłuchiwała odległego ryku dochodzącego z wąwozu, gdzieś w oddali, za domem.

Powłokła się przez drewnianą werandę na pół przysypaną śniegiem, kopnięciem przesunęła drzwi wejściowe i pomacała ścianę. Odszukała zapalki i zapaliła świeczkę, stojącą na środku stolika. Tak, znała to ze wspomnień. Pamiętała nieświadomie.

Rozpaliła ogień. Jej babcia, potem ojciec, zawsze dbali, by palenisko było przygotowane. I teraz też ktoś o to dbał. Jeden z wielu kuzynów. Palce Kity były sztywne i zmarznięte, gdy podkładała do ognia kawałki papieru i drzazgi.

Płomień rozgorzał, rzucił taneczne błyski na słoiki z fasolą, ryżem, makaronem i piklami oraz na butelki z whisky ustawione w równych szeregach jak żołnierze, na drewnianych półkach naprzeciw paleniska. Kita wyszła na zewnątrz, wytoczyła Hugo z samochodu, chwyciła pod ramiona i zawlokła do chaty. Ułożyła go blisko ognia. Pod koniec drżała z wysiłku. Choć w Dento regularnie chodziła na siłownię, nigdy nie uważała się za specjalnie silną. Osunęła się na podłogę i wybuchnęła śmiechem. Potem wstała i uruchomiła pompę przy zlewie. Mechanizm zazgrzytał. Wymagał naoliwienia. Ale wkrótce z kranu popłynęła mulista, brudna woda, z każdą chwilą jednak stawała się coraz czystsza i bardziej przejrzysta. Kita roześmiała się głośniej.

- Z czego się śmiejesz? - wyszeptał Hugo.

- Upuściłam torbę. Z pianką i danymi.

- Wystarczy, że pojedziesz do Nowego Orleanu i zrobisz wszystko jeszcze raz. - zabrakło mu tchu, słowa zabrzmiały bełkotliwie. Odezwał się jeszcze po francusku, ale Kita nie zrozumiała.

- Zamknij się - nabrała wody do dzbanka i przelała ją do kociołka wiszącego nad paleniskiem. Najpewniej były w nim martwe robaki. - Czy nie tak mówią Amerykanie? Jakże nieuprzejmie. Zamknij się, gdy będę cię rozbierać - uklękła przy Hugo.

- Mmm...

- Mogłeś zginąć! - był to bardziej okrzyk gniewu niż smutku.

- Mam szczerą nadzieję, że nie - wydusił. - Kita...

I wtedy zemdlął.

*

Następnego ranka Kita odsunęła drzwi, by wyrzeć na świat wystylizowanego piękna, jaki zawsze podziwiała na klasycznych, japońskich obrazach. Kosodrzewiny przysypane śniegiem, z idealną krzywizną gałęzi, pochylone nad krawędzią stromego zbocza, jakby miały spaść. Poniżej, w wąwozie, szmerzące w oddali wodospady, muzyka dzieciństwa Kity. Gdyby wyteżyła wzrok, mogłaby ujrzeć siebie z tamtych czasów, obserwującą samotnego rybaka w szerokim płaszczu, gdy kroczy po wąskiej drewnianej kładce między wysokimi klifami. Gdyby się naprawdę postarała, mogłaby się stać tym rybakiem i napisać krótki wiersz o ulotnym wrażeniu chwili...

Ale rozbita o głaz maska niepasującej do otoczenia taksówki zakotwiczyła umysł Kity w teraźniejszości.

Bała się. Hugo był poważnie ranny. Przez całą noc rzucał się i mamrotał, zlany potem i dręczony gorączką. Kula trafiła go w ramię i wyszła z tyłu. Kita nie miała pojęcia, czy to dobrze, czy źle. W samochodzie znalazła apteczkę pierwszej pomocy i skorzystała z niej. Antybiotyk w proszku na rany. Środki przeciwbólowe. Ale co z utratą krwi i płynów? Co z delikatną równowagą organizmu, monitorowaną tak dokładnie w szpitalach? Hugo miał kilka krótkich ataków w ciągu nocy. Kita była zaskoczona, że nadal potrafiła zachować spokój, zamiast histerycznie wrzeszczeć.

Nad ranem Hugo oprzytomniał na tyle, że mogła go nakarmić zupą miso oraz smażonymi warzywami i krewetkami ze słoików, a potem zmienić mu koce. To przywróciło mu dość sił, by sprzeciwić się jakimkolwiek propozycjom przewiezienia go w inne miejsce lub zawiadomienia kogoś, kto mógłby pomóc. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie są. Nikt. To śmiertelnie niebezpieczne. W razie, gdyby Hugo umarł, Kita ma pojechać do Nowego

Orleanu. Wydawał się irytująco wesoły, gdy rozważał ewentualność własnej śmierci. Mamrotał coś o kopii zapasowej, chichocząc, krzywiąc się i kaszląc.

- To śmieszne - podsumował, zamykając oczy.

Teraz spał. Skórę miał wilgotną, usta sine. Kita niewiele wiedziała, jak wyglądają zdrowe kolory u ludzi innych ras, ale miała pewność, że usta nie powinny być sine. Napisała notatkę. Bez wątpienia już szukano taksówki. I Kity.

Ale musiała jechać. Gdyby dotarła do apteki, mogłaby kupić nano-specyfiki, które szybko postawiłyby Hugo na nogi. I przydałoby się jakieś proste urządzenie do monitorowania funkcji życiowych. Nie pomoże mu przecież, siedząc tylko na miejscu.

Wsiadła do taksówki i włączyła zapłon. Zabłysła tablica rozdzielcza. Jeżeli miała szczęście, właściciel stosował się do przepisów i karoserię pojazdu pokrył kosztownymi nanokomórkami zasilającymi, które wykorzystywały coś w rodzaju fotosyntezy i energia słoneczna stawała się dodatkowym źródłem napędu wehikułu. Niestety, w japońskie zimy niewiele było słońca. Wskaźniki pokazały, że Kita przejedzie tylko piętnaście mil.

To powinno wystarczyć na dotarcie do najbliższej stacji kolejowej, uznała. Zawróciła na podejździe. Opony zabuksowały w śniegu, potem z wolna odzyskały przyczepność na kamiennej ścieżce. Zjechała na drogę, zatrzymując się tylko na chwilę, by znaleźć generator holograficznych wzorów na pokrycia siedzeń. Najnowszy wynalazek w taksówkach. Stosowane dawniej pokrowce na fotele, najczęściej chronione przezroczystą, plastikową folią, były już niemodne. Kita znalazła przycisk, wyłączyła hologram i z zadowoleniem zauważyła, że zyskała jeszcze dwie mile jazdy. Nie włączyła ogrzewania. Miała na sobie ciepłe ubranie zabrane z chaty. Wyglądało może trochę staromodnie i było grubsze niż nowsze wyroby, ale równie dobrze wytwarzało ciepło i ogrzewało.

Kita nie przejmowała się zjazdem po oblodzonych stokach. Doskonale radziła sobie w takich warunkach. Obserwowała otaczające ją ukośne linie zboczy, gęszcz bezlistnych drzew na zakręcie w dolinie obok zamarznętego wodospadu zwieszającego się tuż nad urwiskiem. Kierowała się do małej rolniczej osady, gdzie, jak miała nadzieję, nikt jej nie rozpozna. Coraz wyraźniej widziała dym z kominów i wyobraziła sobie dzieci o zarumienionych policzkach, siedzące w środku przy paleniskach i jedzące pożywny gulasz z domowej roboty kluskami - posiłek, który tak często spożywała, gdy była małą dziewczynką.

Zawahała się przed zjazdem, ale główna droga była dziwnie pusta. Może z powodu śnieżycy i oblodzenia. Kita jechała najszybciej, jak się odważyła. Minęła kilka centrów handlowych na poboczu i uciszyła obawy, że można ją wytropić z Kioto i zlikwidować. Poza granicami metropolii, nie stosowano jeszcze najnowocześniejszych technologii, choć na

zachodzie i północy wyrastały już wieże Osaki, stalowo-szare budowle, zajmujące coraz większy obszar i coraz bardziej zbliżające się do peryferiów Kioto. Kita, przetarła oczy, by przyjrzeć się przecinającym niebo czarnym plamkom, które tak nagle zatańczyły w mroźnym, czystym powietrzu. Chyba była trochę niedospana.

Straciła zasilanie zaledwie dwie mile przed najbliższą stacją kolejową. Taksówka toczyła się jeszcze siłą rozpędu, ale po chwili zatrzymała na poboczu. Choć do miasta nie pozostało więcej niż dziesięć mil, drogą, ku niezadowoleniu Kity, nadał nikt nie przejeżdżał.

Nie miała wyboru, musiała iść pieszo. Rozpięła kołnierz termicznej kurtki i ruszyła wzdłuż jezdni. W końcu dotarła do stacji. Z ulgą wymacała monety w portmonetce, chciała kupić w automacie trochę makaronu i puszkę gorącej kawy.

Ale kiedy dokładniej rozejrzała się po terminalu dworca, zamarła nagle, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Wąskie linie lśniące jak neony prowadziły do bulwiastego wejścia na perony. Na parkingu stało wiele pojazdów, co wydawało się zupełnie normalne. Ale nikt nie wychodził i nie wchodził.

Przeskok.

To musiał być Przeskok.

Kita raz jeszcze przyjrzała się czarnym punkcikom tańczącym w powietrzu. Teraz widziała wyraźnie. To Pszczoły.

Nanotechnologiczne Pszczoły.

Jeszcze niedojrzałe, oczywiście. Ale w Osace, jak sobie przypomniła, trzymano je zamrożone, w gotowości, aż zapadnie decyzja o konwersji w Biomiasto. O ile pamiętała, do wczorajszego popołudnia taka decyzja nie zapadła. Jeśli nawet tak się stało, kolejne etapy procesu przemiany powinny zająć około pół roku.

To musiał być wypadek.

Przez minione dziesięć lat bardzo dokładnie badano możliwość wystąpienia przeskoku, zaburzeń w planie konwersji. Wielu uważało, że to niemożliwe. Ale nie Kita. Nanotechnologia potencjalnie mogła się w zmienić w bombę atomową trzeciego tysiąclecia.

Kita poczuła chłód, gdy tak stała nieruchomo na krawężniku. Była jedynym świadkiem zmiany tak ogromnej, a jednak nic nie czuła. Przeskok musiał nadejść jak burza śnieżna, nieoczekiwanie. I jak burza nie poddawał się żadnym wcześniejszym precyzyjnym ustaleniom lub warunkom.

Raz jeszcze zerknęła na czarne plamki nad horyzontem. Żałowała, że nie ma lornetki. W nagłym odruchu paniki wbiegła do terminalu stacji i zjechała na peron ruchomymi

schodami, które działały mimo braku obsługi. Oświetlenie i sygnalizacja również działały. Pociąg nadjechał punktualnie, dokładnie sto trzydzieści dwie sekundy później. Drzwi się rozsunęły. Kita zajrzała do pustego, oświetlonego wnętrza. Przez sekundę wahała się, czy powinna wsiąść. Ale tylko przez sekundę.

To było dzieło jej życia. Wzdrygnęła się, gdy drzwi zasunęły się za jej plecami z cichym sykiem.

W pociągu przywitał ją komunikat o wdrożeniu ApioProjektu. Kita nie знаła ludzi, którzy podjęli decyzję o rozpoczęciu projektu, była jednak pewna, że należeli do tych samych zamkniętych kręgów, wśród których obracała się nie tylko podczas pobytu w Kioto, lecz jeszcze wcześniej, w Kopenhadze. Drżąc, skuliła się i objęła ramionami tak mocno, że aż zaboląło. Jej cichy, ochrypliwy szloch odbił się echem w pustym wagonie.

- Wszystko źle! - krzyknęła. Uderzyła pięścią w okno. Już od wczoraj czuła odległy, ćmiący ból. Okno pozostało niewzruszone. Wtedy Kita usiadła - spokojna już, ale przestraszona i przeraźliwie samotna - a pociąg przyśpieszał łagodnie, lecz nieustannie.

Główny dworzec w Kioto był zatłoczony. Przez ułamek sekundy Kita niemal uwierzyła, że to, co widziała wcześniej, było tylko złudzeniem.

Pomimo to miała pewność, że uruchomiono jeden z wielu alternatywnych programów celowo lub przypadkowo. Widziała skutki. Choć nie miała pojęcia, w jaki sposób przebiega procedura decydowania o konwersji miasta na system komunikacji metaferomonowej, nad którym pracowała tak długi czas. Zajmowała się przecież stroną techniczną, a nie problemami społecznymi.

Trzęsa się ze strachu, gdy wysiadała z pociągu. W jednej spośród tysięcy wersji, jakie sprawdzano i badano na symulacjach obejmujących wieki rozwoju, system mógł uznać Kitę za obcą i zaatakować. To był jeden z najłatwiejszych elementów do wprowadzenia. U pszczoł identyfikacja i decyzje o ataku na przybyszów należały do podstawowych mechanizmów komunikowanych za pomocą feromonów. Jednak szansa, że w Kioto zastosowano właśnie tego typu rozwiązanie, była nieprawdopodobnie mała. I kiedy Kitę minęło dwóch mężczyzn w garniturach nie poświęcając jej cienia uwagi, odetchnęła z ulgą. Ruszyła przez terminal, zastanawiając się, co robić dalej. Prawdę mówiąc, nie powinna wcale tu przyjeżdżać. Ale skoro już tu dotarła... Zauważyła jakiegoś biznesmena, który osunął się na ławkę i chwycił się za głowę. Ruchomy plakat na ścianie obok wyjścia zaczął wolno zmieniać się w tablicę informacyjną. Kita podeszła bliżej. Nie mogła dotknąć tablicy, nie chciała nawet stać w jej pobliżu. Ale plansza dawała też okazję, by uzyskać jakąś wskazówkę...

Przed tablicą stała kobieta w czarnej sukni.

- *Kannichiwa* - odezwała się Kita. Kobieta w czerni zdawała się jej nie słyszeć. To niczego jeszcze nie dowodziło. - Proszę dotknąć zielonej linii na górze - zasugerowała Kita. Kobieta wyciągnęła dłoń i bez wahania dotknęła linii. To już stanowiło wyraźny symptom, ewidentna bezwolność i posłuszeństwo. O ile, rzecz jasna, nie była to tylko wyobraźnia Kity.

- A teraz proszę dotknąć niebieskiej kropki tam, gdzie jest napis „Dostępne Funkcje”.

Teraz wokół tablicy stłoczyła się już grupa ludzi. Po kolejnych paru poleceniach ekran zwinął się powoli. Kicie wystarczył krótki rzut oka, żeby zrozumieć, że jest całkowicie bezpieczna. I że zdążyła się tutaj niewyobrażalna tragedia.

Kita ruchomymi schodami wyjechała na ulicę. Idąc, rozglądała się w poszukiwaniu oznak potwierdzających jej podejrzenia.

Jasnobarwne linie znaczyły drogi do budynków przypominających bujne rośliny w rozrastającej się dżungli. Kita szła szybko, lecz miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Myślała o przeszłości i przyszłości, szczególnie przyszłości. Uświadomiła sobie bowiem, że w nadchodzącej przyszłości nie ma miejsca dla Kity Narasaki...

Pojedyncze postaci ludzkie siedziały naprzeciw budowli, to tu, to tam, w miejscach, gdzie najtrudniej można było ich dostrzec. Nie żebrali. Ich mózgi ulegały przemianie.

Przystosowywali się do nowego miasta.

To, co ich zmieniało, było molekularnym metaprogramem, bronią zaprojektowaną do opanowania miast zdobytych na terytorium wroga. Program zmuszał mieszkańców do akceptacji dowolnej ideologii wprowadzanej przez zdobywców. Cała procedura była dość prosta. Na początek wystarczyło jeden mały wyłom - jeden ekran, okno. Zmiany nie były duże, ale za to bardzo szybko się rozprzestrzeniały, w krótkim czasie opanowując populację całego miasta. Metaprogram posiadał mechanizm samoograniczenia i po osiągnięciu celu po prostu się wyłączał, aby zdobywcy mogli wejść do miasta, nie obawiając się, że zostaną pokonani własną bronią. Ale skoro tutaj nie było żadnego świadomego inicjatora, który wprowadziłby do metaprogramu konkretne treści ideologiczne, to nie pojawią się również żadne skutki. Tak, czy inaczej, Kita nie przypuszczała, by w mieście wdrażano jakiś etap indoktrynacji ideologicznej. Zdawała sobie sprawę, że takie działania są o wiele bardziej złożone.

Minęła ekran, wcześniej wystawę dużego sklepu, niezwykle dużego, jak na Kioto. Zamiast mebli w minimalistycznym stylu, w oknie pojawiało się teraz mnóstwo...

Sześciokąty. Końcówka systemu, która najwyraźniej wybrała to miejsce do ekspozycji, wystawała ze ściany naprzeciw wystawy, migocząc membranami. Nic więcej.

Kita osłupiała. Kriogeniczne membrany stosowane były w procesie transformacji

ludzkich wzorców do nanotechnologicznych Pszczół. A Pszczoły miały być najważniejszym elementem systemu łączności w Kioto. Ale Pszczół nie przechowywano.

Miały dopiero być stworzone. I to w bardzo wyspecjalizowanych warunkach.

Kita przebiegła ponad milę nie zdając sobie sprawy, dokąd zmierza. Wokół przepływały tłumy, zupełnie obojętne i uległe. Musi im pomóc. Musi im pomóc. Tylko ona im została...

Zatrzymała się przed głównym wejściem Dento Inc.

Była złana potem. Podeszła do eleganckich, szklanych drzwi, na których znakami *kanji* wygrawerowano nazwę firmy. Wbiła kod i tafle szkła rozsunęły się przed nią powoli.

Co właściwie miała zamiar zrobić? Chciałaby wiedzieć. Co zrobić, by pomóc ludziom w mieście?

Przemierzała puste korytarze szybkim krokiem. Wypadek musiał się zdarzyć wczoraj wieczorem. Albo...

Wczoraj po południu? Może pianka, której użyła do kradzieży danych...

Poczuła mroczny ciężar gniewu. To jej wina. Gdy ściągała dane prototypu Biomiasta, musiała uaktywnić procesy, które stały się przyczyną tego niewyobrażalnego wypadku.

Ale nie. Niemożliwe. Uspokój się, Kito. Cofnęła się pod ścianę, choć wiedziała, że nic jej nie grozi, żadna infiltracja. To nie od niej popłynęły rozkazy.

Nie, pianka nie mogła tak zadziałać. Nie zawierała żadnych danych inicjujących metaprogram. Przeznaczona była jedynie do odbioru i zapamiętywania, nie do przekazu informacji. Ale zbieżność terminu nie mogła być przypadkowa. Prawdopodobnie liczone, że Przeskok uwięzi Kitę w Kioto. A jeśli tak, to jak najszybciej trzeba zebrać wszelkie możliwe informacje i dowody.

Pobiegła do centralnego laboratorium. Po drodze jednak usłyszała jeszcze jeden odgłos kroków.

Obróciła się, ale nikogo nie zauważyła. Teraz niczego nie słyszała.

Ruszyła dalej i znowu usłyszała drugi pogłos.

Bez nerwów. Ktokolwiek tu był, został tak samo złapany w metaprogram jak ludzie na ulicach.

Kita pobiegła przed siebie. Jeszcze jeden zakręt. Tutaj! Wbiła kod drżącymi palcami i pomyślała: „A jeżeli przewidzieli, że wrócę?”.

Przyglądała się zamkniętym drzwiom.

Dużą salę wypełniał labirynt stołów, pod sufitem zwieszały się boksy i gabinety. Niektóre blaty miały normalną, tradycyjną wysokość, jak wszystkie biurka, inne wznosiły się

wyżej. Komputery DNA najnowszej generacji podłączone były w całym laboratorium.

Kita przewróciła kilka krzesel, gdy szła do swojego gabinetu i wbijała kod dostępu. Drzwi stanęły otworem.

Chłodzona gablota miała wentylatory usuwające wilgoć. Kita wiedziała, czego szukać. Nośnika RNA. Jeden kwadratowy arkusz o boku jednego cala mógł pomieścić informacje z całkiem sporej biblioteki. Kita zabrała nośnik i wyszła. Drzwi zasunęły się z cichym sykiem za jej plecami.

Jak się spodziewała, ponownie usłyszała odgłos kroków, lecz nikogo nie zauważyła. Podeszła do dużego ekranu, szerokiego może na stopę i różniącego się od pozostałych, znajdujących się w sali. Pod wpływem dotknięcia rozjarzył się na zielono. Kita raz jeszcze wystukała kod na klawiaturze, która rozbłysła na blacie pod ekranem, gdy tylko system dokonał rozpoznania użytkownika. Potem obok klawiatury pojawił się krąg symboli. Kita nie zawahała się ani przez chwilę, wybrała ALFA, lekceważąc znaki OMEGA, APIO-PROJEKT. Następnie uruchomiła polecenie: KONFIGURUJ/NR 38.

To była kopia zapasowa systemu, prototyp na potrzeby marketingu. Nigdy jej nie testowano na ludziach, tylko przeprowadzano na nich komputerowe symulacje.

Plan z pianką był dobrym pomysłem. Gdyby się udał, Kita wróciłaby do pracy i nikt nawet by się nie domyślił, co zrobiła. Ale teraz powrót to samobójstwo.

W pewnym sensie Kicie odpowiadał taki rozwój wydarzeń. „Przyjrzyj się przyszłości, jaką stworzyłaś, Kito. Zacznij w niej żyć. Wszyscy ci ludzie musieli zacząć życie w takiej właśnie przyszłości. I nie mieli żadnego wyboru”. Znajomi z Dento, kobieta obsługująca lokal na Teapot Lane, kierowca taksówki, tak brutalnie wyrzucony z własnego pojazdu. Wszystkich wyprano, wyczyszczono.

Błękitne światelko zabłysło obok jej łokcia. Materiał blatu został przeformowany i zgłaszał gotowość do transferu danych. Kita ostrożnie włożyła arkusik RNA do uformowanej wnęki, nośnik zanurzył się do połowy i natychmiast zapłonął zielenią. Przekaz został uruchomiony.

Kita rozejrzała się w poszukiwaniu nagrywarki kryształów, dzięki której mogłaby zapisać te same informacje na nośniku odczytywanym laserowo. Chociaż sporządzenie takiego zapisu mogłoby trwać ponad godzinę. Ale chyba miała czas. Lepiej, żeby miała. Co prawda, kryształy były wytworem techniki, do jakiej Kita nie przywykła tak bardzo, jak do nośników RNA, których używała podczas pracy, ale ruszyła na poszukiwania pomiędzy rzędami stołów laboratoryjnych.

Tu są - półkula z szeregiem małych wnęk. Kita uklękła i otworzyła szafkę pod

spodem. Wyciągnęła pudełko niezapisanych kryształów i włożyła jeden do wnęki, a potem raz jeszcze wbiła kod dostępu na wywołanej klawiaturze.

- Pani... Narasake?

Odwróciła się gwałtownie. To Anika, strażniczka.

- *Kannichiwa* - Kita zmusiła się do powitania, pomimo ściśniętego gardła.

Anika odpowiedziała lekkim ukłonem.

- *Kannichiwa*.

Z ulgą, że to tylko strażniczka, Kita włączyła odpowiedni przycisk, uruchamiając tym samym zapis danych. Sfera do nagrywania kryształów zaśniała wirującym światłem. Tymczasem nośnik RNA zmienił kolor na złoty. Już prawie koniec - pomyślała Kita. Kiedy zapis będzie pełny, wystarczy połączyć arkusz i wszystkie informacje dotyczące Biomiast, jakie Dento przechowuje w bazach danych, zostaną przeniesione do śmieciowego DNA, czyli tych fragmentów genomu, które nie kodują białek w organizmie człowieka.

Jednak Kita nie do końca wiedziała, jak później odczyta te informacje.

Gdyby Hugo jej to zaproponował, nie posłuchałaby. Teraz robiła to z własnej woli. Zerknęła na Anikę. Strażniczka stała sztywno, tylko ją obserwując. Proste włosy zaczesane ciasno pod czapką uniformu nadawały kobiecie surowy wygląd. Być może nawet nie wie, że Kita nie uległa przemianie. Skąd zresztą Anika miałaby się dowiedzieć? Jak?

A jednak Kita czuła zdenerwowanie.

Zerknęła na nagrywarke kryształów. Nie ma mowy o wyjęciu nośnika, zanim zapis nie zostanie skończony. Czas się wynosić. Sięgnęła po arkusz RNA. Przypominał płatek galaretki, ale pod dotykiem zeszywniał. To nie potrwa długo, takie nośniki nie były zbyt stabilne.

- Dziwnie się czuję - odezwała się nagle Anika urywanym głosem - Pamiętam, że przyszłam rano do pracy. Nie wiem, dlaczego. Nikogo więcej tu nie było. Na konsoli znalazłam komunikat, żeby obejrzeć film szkoleniowy. Obejrzałam. Stało się coś strasznego, choć nie jestem pewna, co. Ale wiem na pewno, że nie wolno pani wchodzić do tego laboratorium. Wczoraj też tu pani była, wbrew przepisom. Pamiętam to bardzo dobrze. I pamiętam - czoło strażniczki zmarszczyło się w przelotnym grymasie skupienia - pamiętam, że na konsoli był komunikat o alarmie. I polecenie, że muszę *coś* zrobić... - kolejne zmarszczenie brwi. - Coś, czego nauczyłam się na szkoleniu. Nie rozumiem... Nie rozumiem, dlaczego wszystko zapomniałam...? - ruszyła w stronę Kity wzdłuż stołów laboratoryjnych. Nagle przystanąła. - Byłoby wspaniale iść do kina, prawda? Tak dawno nie byłam w kinie - twarz Aniki wygładziła się, jakby znowu stała się nastoletnią dziewczyną.

Kita pomyślała o siostrze. Nie powinna czuć smutku. Wcale.

- Tak... - przytaknęła strażniczce. - To by było wspaniale. Przyjrzała się bliżej twarzy kobiety. Czy jej się wydawało, czy dostrzegła jakieś szramy na policzkach...?

Receptory? Ale powinny się znajdować tylko na dłoniach. Kita zbliżyła się do Aniki.

- Chyba mogę ci pomóc.

Strażniczka uniosła dłonie do policzków, dotknęła blizn.

- To zabawne - oznajmiła zdławionym głosem. - Ja... Potem spojrzała na dłonie, gdzie wykwitwały różowe pasma splatające się w regularne owale. - Co to jest?

Podniosła wzrok na Kitę, czarne oczy błysnęły gniewem.

- To ty! Ty to zrobiłaś! I wszyscy z tej firmy! Moja matka dziś rano... Moja matka... Och! - sięgnęła do pasa po broń. Strażnicy nosili pistolety z nabojami usypiającymi.

Kita rzuciła ostatnie spojrzenie na sferę do zapisu kryształów i zerwała się do ucieczki.

Wsunęła do ust nośnik RNA i połknęła równocześnie z krótkim „puf!” wystrzału. Odskoczyła w uniku. Nic nie czuła. Zdawała sobie sprawę, że musi zdążyć wbić kod przy drzwiach, żeby otworzyć sobie drogę ucieczki przed Aniką, która zbliżała się z bronią, nieruchomymi, wytrzeszczonymi oczyma wpatrując się w Kitę. Kita zerwała się do biegu. Ze stołu zgarnęła szkło laboratoryjne i rzuciła w kierunku napastniczki. Naczynia przecięły powietrze, skrząc się dziko barwami tęczy. Wtedy wbiła kod i wybiegła. Drzwi zamknęły się, odcinając od strażniczki. Oczywiście, każdy ochroniarz miał również kod dostępu i Anika zaraz się uwolni, ale nie miało to znaczenia. Kita była za drzwiami i biegła teraz bardzo szybko.

*

Na zewnątrz, za rogiem, przecnicę od budynku firmy, Kita trafiła na rząd rowerów słonecznych. Wskoczyła na jeden z nich, choć niewiele zyskała w ten sposób na prędkości ucieczki. Rowery nie były zbyt szybkie. Ale lepsze to niż bieg. Ręce się jej trzęsły na kierownicy, czuła mdłości, ale wmawiała sobie, że to tylko efekt nadmiernej wyobraźni. Uznała, że chyba zwariowała, potem stwierdziła, że jednak nie. Co więcej mogła zrobić? Zaczęła pedałować, by zasilić generator, rower ruszył troszkę szybciej. Wszędzie było pełno ludzi, ale nikt nie wydawał się zainteresowany obecnością Kity.

Zerknęła za siebie, gdy skręcała w jeden z rurowych tuneli nad pasażem i wtedy pomyślała: „Powinnaś się zatrzymać, Kito, zorientować, gdzie jesteś”.

Stała. Okręciła się na rowerze, rozglądając i próbując podjąć jakąś decyzję. Dwa lata temu była w Pekinie i pomagała przy konwersji stolicy Chin. Widziała już wcześniej system w działaniu. Ale teraz było inaczej. Bez armii, bez planu - Kita nie mogła nic zrobić.

Wiedziała, że długo tu nie przeżyje. Oczywiście, panikowała. Przecież miała szczęście, że nie uległa przemianie. Rozpoznanie sytuacji i określenie, co można zrobić, by pomóc Kioto, zajmą komisjom naukowym długie miesiące.

Nie poprawiał jej samopoczucia fakt, że w wolnych łańcuchach DNA Kita miała teraz wszystkie dane o systemie Biomiasta i ApioProjekcie - dane, które załadowała sobie przez skonstruowany przez inżynierię genetyczną nośnik RNA.

Nagle coś na wschodzie przyciągnęło uwagę Kity. Serce zabiło jej gwałtownie. Kilka mil dalej, na tle szarego nieba zamajaczyły na ulicy ciemne, znajome kształty. Czołgi. Żołnierze.

Wycofała się. Przejechała ćwierć mili, skręciła w boczną uliczkę, potem w jeszcze jedną. Miała nadzieję, że wojsko poruszało się tylko po głównych arteriach miasta. To musiały być jakieś oddziały międzynarodowe. Kita słyszała, że podpisane zostały jakieś traktaty, które pozwalały na wkroczenie wojsk do miast, by zapobiegać lub pomagać w razie wystąpienia wypadków lub katastrof na podłożu nanotechnologicznym. Albo zrobić to, co rozkaże żołnierzom dowództwo.

Kita posuwała się naprzód. Nie miała wyboru. Musiała wrócić do Hugo. Mijały minuty, kilka wehikułów rozjechało się w różne strony, ale wyglądały na pojazdy cywilne. Po pół godzinie uspokoiła się. Dotarła na peryferia miasta. Umierała z głodu. Było późne popołudnie. Jeżeli utrzyma tempo jazdy, powinna dotrzeć do chaty w górach przed zmrokiem.

O ile ten rower wytrzyma tak długą trasę. Kita nie była pewna, jak długo zdoła pedałowac pod górę, jeżeli pościg jednak za nią ruszy.

Gdy skręciła w górską drogę, zaczął padać śnieg.

*

Dwa tygodnie później Kita weszła do sklepu z pianką polimeryczną w Tokio. Był wieczór. Zostawiła drzwi otwarte, rozglądając się uważnie. Nie było żadnych klientów.

Na zewnątrz panował chaos, konwersja miasta była w rozsypce. Po ulicach przechodzili żołnierze z oddziałów Międzynarodowej Federacji Nanotechnologicznej. Kita wyszła na deszcz i otworzyła drzwi samochodu.

Pochyliła się, by pomóc Hugo wsiąść. Twarz mężczyzny była szara, zroszona potem.

W połowie drogi przez chodnik podszedł do nich mężczyzna, od którego kupili piankę. Pomógł Hugo wejść do środka, zamknął sklep, zasłonił żaluzje w oknach.

- Co się stało? - spytał. - Nie powinno was tu być, to niebezpieczne.

- Hugo powiedział, że możesz mu pomóc. Potrzebuje lekarza. Ma ranę postrzałową, ale nie pozwolił, żebym go zawiozła do szpitala. Powiedział, że należysz do... organizacji.

Sprzedawca uniósł brwi.

- Nie miał prawa nawet o tym wspomnieć.

- Och, a ja się bałam, że może umrzeć! - wybuchła Kita.

- Masz potrzebne programy? - mężczyzna zwrócił się do Hugo, daremnie jednak. Potrzęsnał nim lekko. Hugo jęknął.

- Przestań - warknęła Kita. - On jest w jakimś stanie... Nie wiem, jak to nazwać, regeneracji, wskrzeszenia? Coś w tym rodzaju. To program. Znajduje się gdzieś w jego ciele. Nie był zbyt przytomny, by to wyjaśnić. Sądził, że potrafisz mu pomóc. Sprzedawca skinął głową.

- Tak. Zabierzmy go na zaplecze. Nie wygląda zbyt dobrze. Takie sytuacje nie zdarzają się zbyt często, ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby mu pomóc.

W dwie godziny później na tyły zajechała ciężarówka wyładowana sprzętem, który przy akompaniamencie pomruków i stęknień wniosło do środka dwóch techników. Hugo leżał na futonie w jednej z nisz w części mieszkalnej za zapleczem sklepu.

Po instalacji sprzętu i po krótkiej dyskusji właściciel sklepu zdecydował się zaufać Kicie. Zapewne, jak skonstatowała z irytacją, uświadomił sobie, że Kita wie cholernie dużo o wydarzeniach w Kioto. Więcej od niego.

Zaprosił ją, by usiadła przy stole w małej kuchni i zaproponował filiżankę herbaty oolong. Kita z wdzięcznością wciągnęła w nozdrza drzewny aromat napoju i upiła łyk. Wtedy mężczyzna wręczył jej zwinięty w rulon ekran. Rozprostowała go zgrabnym szarpnięciem nadgarstka, a wówczas rozwinął się do wielkości arkusza gazety i rozjarzył wyrazistymi barwami. Na płaszczyźnie pojawiła się fotografia i podpis, który głosił, że jest to międzynarodowy terrorysta, którego podejrzewa się o kradzież z Kioto Uniwersalnego Asemblera oraz wywołanie dla odwrócenia uwagi czegoś, co należy określić jako Plaga Kioto.

- Znasz go?

- Widziałam go parę razy.

Na zdjęciu był Jack.

CZWARTY RUCH

ZMIANA W TONACJI DUR

Przystanek paryski Artaud i Illian, Paryż, 2037

Siedem lat po wystawie Illian w Pradze, Artaud czekał przy małym stoliku w kawiarni, stukając pudełkiem zapalek w okrągły klonowy blat. Choć była zima i właściciele lokali dopasowywali temperaturę wewnątrz do życzeń klientów, chłodny nawiew był wyłączony i Artaud się pocił. Zdjął płaszcz i powiesił na oparciu krzesła. Swój czarny, oficjalny kapelusz gentlemana położył na stole. Gdy zamawiał następnego drinka, krzesło cicho zaskrzypiało.

Nadchodził zmierzch i stoliki dla samotnych gości przesunięto jak najdalej od hałaśliwych tłumów, które przyszły na kolację. Artaudowi nie przeszkadzało zamieszanie. Mógł pozostać niezauważony, gdy, jak co wieczór, przyszła tu Illian, zamawiając zupę, chleb i kieliszek wina. Kawiarnia była naprawdę duża.

Paryż zmienił się całkowicie od jego ostatniej wizyty. Jak wszystko, zresztą. Świat upadał w paroksyzmach przeskoków związanych z pojawieniem się sztucznych wirusów w Wojnach Informacyjnych oraz zagrożeń pochodzących z Biomiast.

Artaud został obudzony dziewięć miesięcy temu przez brazylijskich rewolucjonistów, którzy uwalniali krewnych przetrzymywanych dla okupu przez urzędników rządowych. Nie miał zielonego pojęcia, jak znalazł się w Rio. Rok wcześniej zamknął oczy w Meksyku, żeby poddać się procesom odmłodzenia. Nie był świadom, jaki niefortunny splot przypadków sprawił, że jego nowe ciało znalazło się w Brazylii. Poplątany trop znaczyły rachunki za załadunek, wręczone mu przez skruszoną kobietę, ale było ich zbyt wiele, by Artaud miał ochotę dokładnie je przejrzeć. Żył. Miał nowe ciało. Ale stracił kobietę, której pragnął to ciało ofiarować. Głupi pomysł, jak się okazało...

A jednak szukał jej, gdzie tylko się dało w świątku artystów i świecie sztuki. Wypłynął z Istambułu i wykorzystując wszelkie znajomości i powiązania, prowadził poszukiwania od Morza Śródziemnego po Atlantyk. Aż w końcu trafił na wzmiankę o Illian.

Teraz zaś gładził opuszkami palców po niewielkiej szklance przyniesionej przez kelnera i szydził z własnej ostrożności. Nie mogła go przecież rozpoznać. Absolutnie niemożliwe.

A jednak nawet wczoraj wyobrażał sobie, że ich spojrzenia się spotkają, a Artaud nie odwróci wzroku. Spoglądał na melancholijną, jasną, jakby rozświetloną od wewnątrz twarz

Illian, jej włosy w kolorze piasku, które odgarniała z czoła nieświadomym ruchem, jej lekko zaróżowione policzki. Nie przypuszczał, aby w głębokich, błękitnych oczach czaiła się samotność. Nie, to coś innego.

Zmieniła się. W Pradze, zanim odjechał, a świat tak szaleńczo się zmienił i stał się dla Artauda obcy, Illian wydawała się pełna życia. Ubierała się zwiewnie, barwnie. Nawet we włosach miała pasemka w kolorach tęczy. Teraz jej strój był stonowany, elegancki, ciemny.

Odcięty od świata w meksykańskiej klinice Artaud nie wiedział, że Perdita, której powierzył opiekę nad Illian, zmarła w kilka miesięcy po jego wyjeździe. Gdyby wiedział, natychmiast wróciłby. Uciekłby nawet wtedy, gdyby podczas kuracji nie podawano mu silnych środków usypiających i uspokajających. To było straszne, koszmarnie. Tak wiele w nim zmieniono, poprzestawiano. Przypominało to walkę, jakiej nigdy nie podjąłby, gdyby nie Illian. Wielokrotnie chciał się poddać, gdyby nie poczucie, że Illian jest jedyną kotwicą, która trzyma go na świecie. I bawiła go myśl o podróży, jaką odbyło ciało Artauda na pokładach statków i pociągów. To cud, że z jakiegoś niewiadomego powodu nie wystrzelono go w kosmos.

Ale teraz czuł się dobrze. I młodo.

Czy rzeczywiście? Pijąc drinka, poczuł gwałtowny ból. Zamrugał, chcąc pozbyć się tych sentymentalnych łez, które zdawały pojawiać się tak łatwo, z najdrobniejszych nawet powodów. Był przecież starym, naprawdę starym człowiekiem - nieco filozoficznym, a nawet cynicznym. Czy był równie wrażliwy, gdy był naprawdę młody? Raczej nie. Tylko kilka dzieł sztuki - ocalałych mimo nieobecności Artauda, ponieważ wisiały zapomniane na strychu u kuzyna - zdradzało jego dziecinną, naiwną i bezkrytyczną naturę. Zadrżał nieoczekiwanie, przejęty chłodem. Założył płaszcz.

Illian nie mogłaby go rozpoznać. Powiedział jej przecież, że ma zamiar poszukać nowych talentów na drugim końcu świata. Nie sądził, żeby Illian tęskniła, otaczały ją tłumy młodych wielbicieli i adoratorów. Przy pożegnaniu zdawała się obojętna i choć obiecała pozostać w kontakcie, jej nagrywane listy - miała problemy z czytaniem i pisaniem - były rzadkie. Zupełnie jak wiadomości od córki, która stara się utrzymać rodzinne więzi, ale jest zbyt zaabsorbowana własnym życiem, by dotrzymywać regularnych terminów. Artaud tego właśnie się spodziewał. Nie był rozczarowany.

Dlaczego nie był uczciwy wobec Illian? Czy z powodu złudzenia, że to życie jest wyłącznie jego własnością? Ponieważ uważał, że nie powinien obarczać Illian ciężarem świadomości, iż w każdej chwili może umrzeć? Czemu miałby się tego obawiać, skoro wcześniej, zanim wziął ją pod swoje skrzydła, Illian tak często stała u wrót śmierci?

Najwyraźniej jednak obawiał się, jak zareagowałaby na wieść, że Artaud będzie żył.

I jest znowu młody.

Muzyka ponownie się urwała. Minęła pora kolacji. Stali bywalcy lokalu wypełniali teraz prawie pół wielkiej sali, ich rozmowy stały się głośniejsze. Artaud westchnął, włożył kapelusz i odsunął krzesło. Wiedział, gdzie mieszka Illian. Przechodził tamtędy wiele razy, zerkając w okna. Czemu po prostu nie zapukał do jej drzwi?

Skąd ten przeklęty strach?

Ponieważ ją kochał. Kochał ją, więc powinien zostawić w spokoju i nigdy już nie zobaczyć. Powinien zrozumieć, że Illian ma teraz własne życie, a sam może na nią co najwyżej popatrzeć z oddali. Dlaczego? To proste. Miał niegdyś ogromny wpływ na los Illian. Nie tylko na jej osobę, lecz również, jak sądził, na osobowość. Choć zapewne nie tak wielki, jak się obawiał.

Zamrugnął ponownie, przeciskając się między stolikami w drodze do wyjścia. A co w tym złego? - myślał. To chore - mógłby być jej dziadkiem. Nadal był stary, choć teraz nie wyglądał na starca. Krótkie włosy znowu miał kruczoczarne. I chociaż nadal nosił bokobrody, skóra była gładka i delikatna jak u dziecka. Miał teraz nieprawdopodobnie sprężyste, silne ciało. Artaud pamiętał powracające regularnie ataki i stały, rozlewający się od wewnątrz, piekący ból.

Lecz nawet te wspomnienia blakły.

Tuż przy wyjściu zahaczył płaszczem o czyjeś krzesło i odwrócił się, żeby przeprosić. Gdy ruszył ponownie, zobaczył ją. Stała, przytrzymując otwarte drzwi. Najwyżej dwie stopy od Artauda. Patrzyła, na policzkach jaśniały rumieńce. Próbował się odwrócić, ale jej spojrzenie zniewoliło go zupełnie. Z oczu płynęły jej łzy.

- Zamknąć drzwi, do cholery! - wrzasnął ktoś z sali. Ale Illian stała jak skamieniała.

- Artaud - powiedziała.

Był wstrząśnięty do głębi. Tyle razy wyobrażał sobie, że siedzi przy niej, wyjaśniając i rozmawiając, że zanim się ujawni ona dowie się, co myśli. A teraz chciał zaprzeczyć.

- Ja...

Podeszła do niego. Była wyższa nawet od młodego Artauda, ale tak szczupła, jak pamiętał. Uderzyła go w twarz, potem objęła z płaczem.

- Jak mogłeś mi to zrobić? Dlaczego mi nie powiedziałeś?! Myślałam, że nie żyjesz!

Opleciony jej silnym uściskiem Artaud słyszał tylko ryk aplauzu z kawiarni. Ktoś zawołał:

- Życzę wam szczęścia!

- Walnij go jeszcze raz! - dodał ktoś inny. W tym momencie wysiadł prąd, jak to się często zdarzało. Teraz tylko płomyki świec na stolikach rozświetlały twarz dziewczyny i jej głębokie oczy, gdy cofnęła się, ściskając mocno dłonie mężczyzny.

- Jesteś teraz bardzo przystojny - oznajmiła z przekonaniem.

- Jak mnie poznałaś? - zapytał Artaud.

Obok nich przeszedł kelner, by zapalić gazową latarnię na ścianie przy drzwiach. Niespokojny złoty blask płomienia zatańczył na jej twarzy, w oczach odbiło się zdziwienie.

- Jak mogłabym cię nie rozpoznać? Ty to ty. Twoja esencja. Twój... wzorec. Artaud, nigdy już, przenigdy mnie nie opuszczaj. Nie zniosę tego po raz drugi - i rozpląkała się całkowicie, wtulając się w jego ramiona. Artaud rozumiał, że jej słowa odnosiły się do tej części życia, o której nigdy nie mówiła, do czasów, zanim ją znalazł. Musiała wtedy przeżyć jakąś ogromną stratę. No, jasne! Okazał się takim głupcem!

- Wybacz mi - wyszeptał. Dotknął jej policzka, odsunął niesforny kosmyk z czoła, czego nigdy wcześniej nie robił, bo przecież był wtedy zbyt stary, a ona tak młoda. Ale teraz zdawało się to tak naturalne, oczywiste. Wyglądali przecież na rówieśników. Nigdy nie odgrywał dla Illian roli ojca lub dziadka - tylko mentora, który strzeże i rozwija jej talent, pamiętając, że powinna mieć znajomych w podobnym jej wieku. Lecz żaden z nich nigdy nie poruszył serca Illian, nie trafił do jej duszy. Artaud też nie, choć pojawienie się dziewczyny było jak słońce, które tak jasno oświetliło jego egzystencję i dało mu nowe życie.

Jej oczy patrzyły szczerze, dojrzałe. Wszystkie te myśli, i pewnie jeszcze więcej, szybko przemknęły, znikły.

- Chodź - powiedziała po prostu. - Chodźmy do domu.

*

Dla Artauda spacer po ulicach, gdy padał deszcz ze śniegiem, był jak sen. Światło gazowych latarni zmieniało lód w migoczące klejnoty. Illian trzymała go za rękę delikatnie, czuł jej dotyk przez tkaninę rękawiczki i był dziwnie onieśmiałony. W starszym wcieleniu nie nękały go wpływy hormonów, nie odczuwał tak wyraźnie radości życia. Życie było gorzkie, wyszmaczone, nużące. Teraz chłonał je całym sobą. W nowym wcieleniu wszystko wydawało się odmienne.

Zaskakujące, że Illian mieszkała w tak małym apartamencie w budynku bez windy.

- Ten budynek postawiono około 1600 roku - wyjaśniła przy otwieraniu skrzypiącego zamka. - Myślę, że tapety też pochodzą z tamtych czasów - uchyliła drzwi.

Wewnątrz było ciemno, ale na ścianie, w blaszanym pudełku, Illian trzymała zapalki. W poświacie z okna Artaud widział, jak wyjęła je smukłymi palcami. Potarła jedną o

chropowaty metal puszki i zapaliła świecę, potem następną. Na koniec zabłysła naftowa lampa.

- Nafta - westchnęła. - W takich miejscach potrzeba jej naprawdę dużo...

W przeciwieństwie do Artauda, nie wydawała się zdenerwowana. Posadziła go na długiej kanapie z mnóstwem poduszek. Poruszała się z niewymuszoną, niespieszną gracją, po francusku mówiła doskonale, z gardłowym akcentem, który kołował emocje mężczyzny. Ich role się zmieniły, teraz to ona była mentorką, opiekunką. Z kuchni, do której wpadał prostokąt światła z pokoju, dobiegł brzęk szkła. Illian przyniosła litr wody i butelkę Absyntu. Uśmiechnęła się i odchyliła głowę, gdy wypila drinka.

- Nie pochwalasz tego? Mówiono mi, że po absyncie ma się halucynacje. Inne niż po haszyszu. Ale nie dziś. Dziś tylko dla smaku.

Lukrecjowy posmak sparzył wargi Artauda. Zakaszła. Nie pił absyntu od... ilu? Pięćdziesięciu lat? Rozejrzył się.

- Masz dość pieniędzy? - zapytał.

Roześmiała się, odchylając na oparciu i ściskając zielonkawą drink. Owinęła się ciasno kocem wyjętym zza pleców. Z wąskiej uliczki nie dochodził żaden dźwięk, a za wysokim oknem mżawka przeszła w śnieg.

- Wolałbyś pewnie, żebym mieszkała w eleganckim hotelu? - zapytała lekko rozdrażnionym tonem, który był czymś nowym, czego wcześniej Artaud nie słyszał. Uśmiech znikł z jej twarzy. - To mieszkanie przypomina mi twój - nasz - apartament w Amsterdamie. Jest przytulne, a sąsiedzi mieszkają tu od wielu lat. Nie wiedzą, kim jestem. Jeszcze jedna ekscentryczna młoda kobieta, z której pracowni od czasu do czasu dochodzi ostry zapach farb olejnych. Pasuję tutaj - nieoczekiwanie odwróciła się do niego, z poważną twarzą, intensywnym spojrzeniem. - To dla mnie ważne. Dostosowanie. I bycie z *kimś*. Więcej niż *jednym* kimś... - głos się jej załamał.

Artaud znalazł się przy niej natychmiast, obejmując, tuląc w ramionach.

- Przepraszam - wyszeptał. - Tak mi przykro...

- Myślałeś, że za tobą nie tęsknię? - wydusiła, a w jej głosie mieszały się gniew i pragnienie. - Och, Artaud, nigdy ci nie powiedziałam, wiem, że nie, nie sądziłam, że muszę cokolwiek mówić... Przecież miałeś umrzeć, miałam zostać sama, więc wydawało się, że lepiej nic nie mówić...

- Wiem - odparł, trochę przytłoczony tym wybuchem uczuć, jakich wcześniej nigdy nie okazywała. Znał ją, najpierw jako samotną, cudowną dziewczynkę, potem zaabsorbowaną tylko sobą nastolatkę. A przecież teraz była kimś innym, zupełnie innym.

Cofnęła się nieco i ujęła w dłonie jego twarz.

- Wyglądasz tak *zabawnie* - stwierdziła i parsknęła śmiechem. Przez ułamek sekundy poczuł się dotknięty, ale zaraz jej zawtórował. Wiedział, co miała na myśli. Było coś komicznie sztucznego w jego nowej twarzy. Śmiali się, aż stracił dech, a wówczas jej usta znalazły jego wargi, a pocałunek był długi, niespieszny i głęboki. Rozwiązała mu krawat, odrzuciła, rozpięła koszulę.

- Nie myśl sobie, że to mój pierwszy raz - powiedziała.

Za to Artaud czuł, jakby to był jego pierwszy raz. Pierwszy raz w nowym ciele i pierwszy raz od ponad dwudziestu lat. Zaprowadziła go do sypialni. Panował tu bałagan, rozrzucone ubrania, niepościelone łóżko.

- Ani słowa - syknęła na widok jego miny.

- Jest cudownie - odpowiedział z przekonaniem.

*

Artaud obudził się owinięty stosem ciepłych pledów. Złote słońce przesączało się przez wysokie okno. Na początku pomyślał, że znalazł się u dziadków w Orleanie, nad piekarnią, skąd dochodził zapach chleba i mocnej kawy. Niemal usłyszał głosy dorosłych, śmiejących się w kuchni, czekających tylko, by nazwać go śpiochem.

Ale to była Illian. Weszła właśnie, niosąc tacę z bułeczkami i dzbankiem kawy. To ona się śmiała. Jej piaskowe włosy były potargane. Miała na sobie grubą sukienkę, pewnie z powodu zimna.

- Musiałam cię okryć dodatkowo w nocy. Na pewno jesteś teraz młodszy?

Artaud wstał z łóżka, odebrał od niej tacę i rozejrzawszy się po przywalonych ubraniami szafkach i krzesłach, położył ją na podłodze. Illian spoglądała tylko, uważne, badawcze spojrzenie. Rozpiął jej suknię, zsunął z ramion gruby materiał, patrzył przez długą chwilę. A potem przyciągnął ją do siebie.

*

Tego dnia wyszli późno. Kawa zupełnie wystygła. Dzień był pochmurny. Na ulicznym straganie kupili naleśniki, a potem spacerowali nad Sekwaną, obejmując się czule. Z Pont Neuf obserwowali wyścigi wioślarskie.

- To najwspanialszy dzień w moim życiu - stwierdził Artaud.

- Mogłabym teraz skończyć parę obrazów - odcięła się Illian. - Pewnie czują się porzucone i samotne - roześmiała się. Obie dłonie trzymała na barierce mostu, odchyliła się do tyłu na piętach, a wiatr rozwiął jej włosy. Wyglądała jak mała dziewczynka.

Artaud zastanawiał się, czy bezpiecznie będzie pytać ją o dzieciństwo, nawet jeśli

zostali kochankami, a ich związek zyskał głębszy, intymny wymiar. Zdecydował, że lepiej poczekać. Może będzie tak czekał do końca życia. Poruszanie tego tematu w rozmowie mogłoby się odbić na talencie Illian. Ale... Czy na pewno przemilczenie jest dla niej dobre?

- Byłeś żonaty? - zapytała zerkając na niego.

- Dwa razy - odpowiedział. - Za pierwszym razem, szczęśliwie, za drugim - nieudanie. I przez siedem lat żyłem z mężczyzną. Uważał, że jesteśmy jak małżeństwo. Ja nie. I to stało się w końcu problemem.

Niski grzmot przetoczył się przez powietrze, gdy szli w kierunku pchłego targu naprzeciw banku. Podczas gdy Artaud zastanawiał się, dlaczego, do diabła, tak długo zwlekał, by być z Illian, powietrze przeciął jęk syren alarmowych.

Nagle zewsząd wyroili się ludzie, wcześniej niewidoczni, biegnący w pośpiechu, zatraskujący drzwi, sięgający do kieszeni i krzyczący bezładnie. Illian chwyciła ramię Artauda.

- Biegnij! - rozkazała.

Ale zanim ruszył, stał przez chwilę nieruchomo, patrząc na ciemną chmurę płynącą ze wschodu. - Co...?

- Pszczoły! - wykrzyknęła, bo wokół narastał hałas, Artaud usłyszał syk pocisku wystrzelonego parę przecznic dalej. - Pszczoły z Wolnych Narodów. Tak zwanych Wolnych Narodów. To słowiański związek starych państw.

- Co mogą nam zrobić zwykłe pszczoły?

Biegli i Artaud ponownie poczuł radość i satysfakcję z nowego ciała, poruszającego się tak lekko, bezboleśnie. W tym samym momencie przypomniał sobie plakaty, jakie widział wcześniej, nakazujące noszenie kapturów i chronienie rąk. Przypomniał sobie również, że zwyczajnie nie poświęcił im uwagi, ani przez chwilę nie zastanowił się, czego konkretnie dotyczyły. Był zbyt pochłonięty sobą, nowymi wrażeniami, własnym lękiem i pragnieniem...

Illian zaciągnęła go do małej księgarni. Większość sklepów z książkami miała rozmiary kiosków, odkąd tomy zastąpiły zajmujące znacznie mniej miejsca dyski. Ale Artaud drugi raz tego dnia odniósł wrażenie, że cofnął się do czasów dzieciństwa, kiedy jego babka, kobieta gwałtowna i spontaniczna, zabrała go na jednodniową wędrówkę po księgarniach na rynku...

Wewnątrz nie było nikogo, a Illian bez wahania zaczęła pośpiesznie zaglądać do szuflad i szafek, rozrzucając wokół ich zawartość.

- Gdzie są kaptury? Powinni tu mieć zapasowe kaptury na wypadek alarmu, takie są przepisy!

- Może mają tu nanorurę? - Artaud rozejrzał się w poszukiwaniu niewielkiego nanourządzenia wytwarzającego różnie drobiazgi i po francusku nazywanego właśnie „rurą”.

Illian parsknęła z sarkazmem.

- Oczywiście, że nie! Paryż był zawsze przeciwny temu zepsuciu. Możesz pójść do placówki banku społecznego i dostać tam za darmo wszystko, co zechcesz, pod warunkiem, że ma to akceptację Komitetu Kulturalnego. Tu nie Praga. Paryż jest niechętny rozprzestrzenianiu się nanośmięci... - Artaud usłyszał nuty hysterii w jej głosie. Opadła na kolana w otwartych drzwiach na zaplecze. Podszedł, objął ją i pocałował. Z westchnieniem rozluźniła ramiona, uniosła ręce i zwichrzyła mu włosy ze smutno-ironicznym uśmiechem na twarzy. Oparła głowę na jego ramieniu i wyszeptwała.

- Co teraz z nami będzie? Kiedy się nareszcie odnaleźliśmy...

- Zawsze już będziemy razem - odpowiedział. - Obiecuję.

Zdawał sobie sprawę, że jego słowa brzmią tak banalnie romantycznie i nawet oczekiwał, że Illian parsknie śmiechem. Pocałował ją w ucho:

- Obiecuję.

- Ja też - odpowiedziała zaskakując go zupełnie. Jej oczy były zielone, jak trawa latem. Przez otwarte drzwi dochodził hałas z ulicy, wypełnionej przez tłumy, wykrzykujące, wymachujące kijami, strzelające w niebo.

- Wyglądają jak cebulogłowi - wymruczała Illian. - Przez te kaptury.

Pomruk wydawany przez Pszczoły narastał, na ulicę padł cień. Odgłos strzałów przeciął powietrze. Jedna z Pszczół spadła tuż przy oknie, kręcąc się bezradnie i przebierając odnóżami. Spod korpusu wystawały kobiece nogi... Artaud rzucił się na pomoc.

- Nie! - Illian krzyknęła, ale wyrwał się z jej chwytu i wypadł na zewnątrz. Wraz z kilkoma innymi ludźmi ustawił się przy jednym z boków stworzenia. Nie wyglądało jak prawdziwa pszczoła. Artaud zauważył, że na bokach tułowia miała ostre włókna rosnące w kształt trzech gwiazd, jakiś rodzaj emblematu nie wiadomo czemu służący.

Gdy próbowano przetoczyć Pszczołę, jakiś mężczyzna obok Artauda krzyknął:

- Hej, odsuń się, nie masz kaptura! Uważajcie na komory z pyłem!

- Już pękły! - odchrząknęła kobieta i w tym momencie obok pojawiła się Illian, ciągnąc Artauda za nadgarstek, jak najdalej od zbiegowiska. Nie zrozumiał ani słowa z tego, co krzyczała - to był jakiś obcy język, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszał.

*

Pod wieczór wiele budynków uległo przemianie. Uciekinierzy znikli, odbiegli, odjechali samochodami, a nawet autobusami, trąbiącymi i przebijającymi się przez pole

bitwy, między domami, które sprawiały wrażenie najpierw roztopionych, a potem utwardzonych w nowym kształcie. Roztapiane i utwardzane...

Syreny obrony cywilnej odzywały się co dziesięć minut. Illian i Artaud od godziny próbowali dotrzeć do Wieży Eiffela, przebijając się przez opuszczający centrum tłum.

- Jesteśmy uwięzieni - stwierdził Artaud ogarnięty paniką. - Musisz uciekać, Illian. Tylko ja dotknąłem Pszczoły, tobie nic się nie stało. Więc musisz uciekać!

- Zostaję z tobą - odrzekła twardo, zdecydowanie. - Jest plan. Czytałam w gazecie. Gdybyśmy mieli kaptury, moglibyśmy uciec. Ale bez kapturów, najlepiej zostać i poszukać pomocy. Może już jest antidotum na pyłek Pszczół. Ministerstwo Nauki ma najnowsze dane. A przy Wieży Eiffla na pewno znajdziemy punkt pomocy.

Artaud czuł dziwne pomieszanie desperacji i uniesienia, gdy wędrował przy boku Illian, dopasowując się do jej długich kroków, uciskając jej dłoń. Zastanawiał się, czy już kiedyś przeżyła taki atak, ale nie było czasu na takie pytania. Miał jej tyle do powiedzenia, chciał zrelacjonować tyle myśli i wrażeń...

Najważniejsze, że był tutaj, w ciele wolnym od bólu. Kochał się z kobietą, silną i piękną... Jak wiele razy? Nie pamiętał.

Illian nagle się zatrzymała i spojrzała mu w twarz.

- Co?

- Ten uśmiech. *Twój* uśmiech. Nie widziałam go wcześniej. Jest... śliczny.

- To dlaczego płaczesz...?

*

To był pomysł Illian, by wejść do Ula, który wyrósł w ciągu kilku godzin na konstrukcji Wieży Eiffla. Artaudowi serce zamarło, gdy ujrzał go pierwszy raz. Faktycznie, punkt pomocy! Rzeczywiście, Plan! Gdy zapadł wieczór mógł obserwować z podziwem i przerażeniem, jak Paryż rozjarza się światłem, jakby każda droga i budynek została oświetlona neonami...

- Dla ciebie już za późno na ucieczkę, prawda? - stwierdził raczej niż spytał, a w jego głosie brzmiał smutek.

- Uciec? - roześmiała się. - Nie. To jest droga, którą musimy iść naprzód, nie do tyłu. Do... czegoś nowego. Czy nie wiesz, jak trudno jest znaleźć coś kompletnie, absolutnie nowego? - uniosła spojrzenie na świecąca w ciemności Wieżę, na Ul. Na jej twarzy malował się zachwyt na widok czegoś, przed czym tłumy ludzi uciekały w popłochu i panice.

- Czytałam o takich Ulach. W ulotkach i tej całej literaturze rozdawanej razem z kapturami. Na przykład te barwne światła wytwarzane są przez jakiś rodzaj bakterii do

komunikacji.

- Ach... - Artaud podejrzewał, że ta przygoda będzie jego ostatnią. Był rozgorączkowany, rozbity i głodny.

Ale w oczach Illian płonęła tylko radość.

- Mogę tego *użyć*, Artaud. To nowe medium. Może nawet... nowa forma świadomości. Błagam, chodź ze mną. *Zmień się razem ze mną.*

- Zmienić się? - poczuł znużenie na samą myśl. Przecież zmienił się już tak bardzo...

Illian chwyciła go mocno za rękę.

- *Stać się jak Pszczoła.* To możliwe. Wiem, gdzieś to czytałam. To miało budzić strach. Ale mnie podnieca.

Otoczyła go ramionami. Jej pocałunek wstrząsnął Artaudem. „I tak pewnie umrę niedługo - pomyślał. - Więc czemu nie?”. W zaślepieniu pozwolił się rozebrać i rozebrał Illian. Całowali się i wirowali zrzucając ubrania. To było szaleństwo, w ciemności rozświetlonej tylko blaskiem Ula. Nikt ich nie zauważał.

- Wejdzimy do komory, Artaud. Będziemy się kochać. Do końca. Albo do nowego początku.

To zabrzmiało całkiem obiecująco.

Sześciokątne komory wyrastały naprzeciw szybu wind. Miały rozmiary, Artaud nic nie mógł poradzić na te skojarzenia, trumien. Illian wybrała jedną i drżąc, wspięła się do wnętrza. Mężczyzna wszedł do sąsiedniej.

Komory Ula były gorące, niemal nieznośnie gorące. We wnętrzu otoczył ich złoty blask.

Otworzyła dla niego usta, potem ciało. Ul pachniał słodko i przyjemnie, jakby ich objął mocno i czule. Artaud przeżył moment paniki, ale zorientował się, że wciąż może oddychać. Napotkał triumfalne spojrzenie Illian, zanim w ekstazie zamknęła oczy. Przez chwilę zastanawiał się, jaka część świadomości jest nim, gdy unosił się nad własnym ciałem, jak we śnie. Czuł równocześnie ulgę i strach, i anielski spokój.

- *Artaud!* - usłyszał głos Illian rozlegający się zewsząd. - *To działa... Musisz także przyjść...*

Niełatwo było mu porzucić nowe ciało. Ale nie miał już dokąd uciec. Gdyby wycofał się wcześniej... W ciemności, za zamkniętymi oczami, wybuchła kaskada wspomnień, zbyt skomplikowanych, by można je wyrazić w słowach, wspomnień komórek oczyszczonych z bólu, do głębi wypranych z cierpienia. Umysł oddalał się od tych wspomnień, lecz nie tracił poczucia świadomości. Zapominał o cierpieniu, gdy go odmłodzono. Lecz to były jedynie

wspomnienia i Artaud przeczuwał, że tym razem nie będzie odrodzenia, to była prawdziwa śmierć, transformacja nieodwracalna, wnosząca nowe możliwości, ale jednocześnie dzikość czegoś, co nie było ludzkie...

Lecz mógł być bliżej niej...

Artaud, mój ukochany, Artaud... Uczę się systemu! Była w jego umyśle tak, jak on był w jej ciele. *Proszę, ach, proszę, nie poddawaj się. Prawie skończyłam...*

I wtedy połączyli się w całkowitym zrozumieniu. *Jej* istota, *jej* umysł, tak złożona, a jednocześnie tak prosta, jak nigdy nie mógłby sobie wyobrazić. Ich fizyczny akt miłości był zaledwie pierwszym krokiem, dziecinnym, w porównaniu z tym, czego doświadczał teraz dzięki temu nowemu systemowi świadomości.

Czuł, że potrafi zrozumieć prawdziwe źródło siły Illian, której wcale nie dostrzegała tak, jak Artaud, jak nikt nigdy nie dostrzegał w jednym, oczywistym przebłysku. Nareszcie postrzegał ją skończenie, nie cielesnymi oczyma, lecz całą swoją istotą.

A to, co ujrzał, było pełne mocy.

Illian delektowała się zyskaną nową świadomością. Jej myśli przekazywały nareszcie wrażenia czyste i klarowne, bez rozpraszaćcych i tłumiących barier czasu lub materii. Była energią, fotonem, była *światłem*. Światłem we wzorach, w przecinających się płaszczyznach, w zorganizowanych strukturach, światłem płynącym przez nią i z niej. Była światłem wpisanym w interwały bólu, karmionym czysto naturalnymi emisjami radiowymi ekosystemu, które zakłócały sztuczne, ludzkie stacje nadawcze. Jej delikatne, odbierające bodźce magnetyczne komórki mózgowe dostrajały się i wyłączały, dostrajały i wyłączały, rozwijając nowe połączenia bez końca, aż Illian osiągnęła pełne, ogromne i niewyraźne zrozumienie.

Zrozumienie czasu, zrozumienie przestrzeni, zrozumienie grawitacji. I jak wykorzystać energię tych źródeł.

Zrozumienie, jak powrócić do własnego, jakże odległego serca.

I dalej...

Jej ciało było ludzkie, niedoskonałe, jak zbyt delikatne naczynie, niezdolne utrzymać na dłużej tego poczucia wszechzrozumienia.

Wymagało to większego płótna, o dodatkowych wymiarach, na którym można by wyrazić wszystko, co tak boleśnie pragnęła objawić przez tyle lat.

Potrzebny był cały Paryż.

Miasto Światła.

I Artaud, przemieniony po raz drugi, będzie jej sprzymierzeńcem, jej naczyniem, jej

łącznikiem. On - lub teraz *ona*, ponieważ bez wątpienia musiał stać się Królową - Artaud dowodzący miastem, od środka... *ona*... przemieniona istota. Illian miała energię i moc, by pokierować jego/jej przemianą. Artaud z radością i niezachwianym poczuciem wolności przetłumaczy myśli Illian na czysty język metaferomonów, wpisany w rdzeń nowej formy Illian, pozwoli esencji Illian przepływać przez tkanki do starożytnej materii miasta, by przekształcić Paryż w precyzyjnie ustawioną antenę, odbijającą to, co było ukryte dotychczas głęboko w zmutowanych genach Illian, w każdej komórce jej ciała.

Artaud walczył o uwolnienie się z Ula, spoglądając fasetowymi oczami na tłum zgromadzony podczas godzin, jakie zajęła przemiana. Tłum rozpraszał się i wracał na szeroki plac, całą scenę oświetlał Ul i Księżyc oraz kolorowe linie emanujące z Wieży Eiffła.

On - *ona* - zmieniła się. I Illian...

Artaud uniosła się na swoich nowych skrzydłach i spojrzała na komorę, gdzie spoczywała dotychczas. Ale wiedziała, że komora jest pusta.

Illian nie przemieniła się w taki sam sposób, jak uczynił Artaud. Ale i jej ciała nie było w prześwieconej złotem komorze.

Skradziony program, jaki terroryści sprowadzili nad Paryż - ten sam program, który znalazł do nich dojście aż z Kioto - był potężny. Ale nie funkcjonował dokładnie w sposób, jakiego spodziewali się napastnicy.

Metaprogram został przejęty przez filozofię i wolę znacznie silniejszą od woli terrorystów. A stworzone przez nich Pszczoły zostały przetransformowane i teraz niosły zupełnie nowe przesłanie rodzące się w Kwiatkach, które kwitły na dachach Paryża, w ogromnym ogrodzie otwartym na Księżyc i gwiazdy.

Przemieniona Illian ogarnęła zrozumieniem wszystkie procesy transformacji Biomiasta do najdrobniejszego szczegółu. Jej mózg, jej umysł, który stworzył to przedziwne dzieło sztuki, rozrósł się w tkance miasta.

Paryż śpiewał wraz z Sygnałem i odwzorowywał materię zgodnie z przekazywanym przez Sygnał modelem. To odkrycie byłoby zbyt trudne do pojęcia przez ludzi, z ich ograniczonymi zmysłami, zbyt dla nich intensywne, zbyt skomplikowane, zbyt *różne* od tego, co ludzkie. Ale mogą powoli dorastać do zrozumienia, a Paryż stanie dla nich szkołą.

A Illian...

Illian dorosła. W końcu. Ona jedyna, spośród wszystkich dzieci stworzonych w minionych szaleńczych dekadach, dorosła dzięki przypadkowym okolicznościom i wrodzonym cechom, pokonując ciernistą drogę do dojrzałości, jaką wyobrazili sobie jej

dalecy niewidzialny twórcy. A nawet oni nie wiedzieli, co z tego wyniknie. Illian potrafiła dostrzec korzyści płynące z nowego medium tak samo, jak umiała je dostrzec w każdym nośniku wcześniej.

Od tej pory uczyła się i rozwijała w niesamowitym tempie.

Illian dorosła w sposób, jaki nigdy wcześniej nie pojawił się we wszechświecie, samotnie i przestrzennie, poszukując celu, którego nie знаła. Nadal go nie znała.

A rozwijając się, rozprzestrzeniając jak światło, nadal tęskniła za ludzkim sposobem postrzegania i rozumienia. Światło, które przez długi czas przenikało do jej ludzkich zmysłów, wywołując ból, teraz było źródłem ekstazy, gdy jej umysł przekraczał granice czasu.

I wzięła ze sobą Paryż.

W rytmie jive'a

Marie, Nowy Orlean, 2037

Shrabell Dighton III, kiedy pytano go: „Kim jesteś?” - pytanie, które wyprzedzało ewentualne kwestie, czy jest Żydem, Afrykaninem, Amerykaninem, Arabem, Kubańczykiem czy Irlandczykiem, a z których każda była nie do przyjęcia w tym, czy innym okresie historii Stanów Zjednoczonych - odpowiadał zazwyczaj niskim głosem przepełnionym spokojem: „Jestem człowiekiem.”

Dighton w Nowym Orleanie uważany był za mieszańca, który doszedł do obecnej reputacji i majątku w najtrudniejszy z możliwych sposobów - samodzielną pracą. Dla Marie liczył się fakt, że Dighton był skłonny grać po jej stronie. Był dla niej błogosławieństwem. Roztaczał wokół aurę spokoju i poczucia siły.

Wiedział, jak sobie radzić z każdą sprawą.

Z wyjątkiem tej jednej.

- Nowy Orlean nie może oderwać się od Unii, Marie. Już tego wcześniej próbowano. - dzisiaj Dighton przybrał ton zasadniczy. Jego beżowa, lniana marynarka była rozpięta i rozsuwała się, gdy prawnik poruszał ramieniem, siedząc na skórzanej kanapie naprzeciw biurka Marie. Ale kamizelkę miał zapiętą. Marie nigdy nie widziała, aby miał ją rozpiętą. Do tego nosił żółty, szeroki krawat. Na kimś innym wyglądałoby to cokolwiek śmiesznie. Ale nie na Dightonie. U niego krawat podkreślał aparycję - ścięte krótko, surowo, czarne włosy, niewielką brodę i wąsy, bardzo ciemną skórę i duże, brązowe oczy, z wyrazem powagi, jakiej dodawały wąskie okulary. Okulary noszone przez Dightona były połączone z komputerem DNA i zawierały linki do wszystkich prawniczych zbiorów bibliotecznych, do których dostęp zapewniał ruch gałek ocznych wyposażonych w proste wszczepy. Większość prawników wolała korzystać z plików audio odbieranych słuchem, zlinkowanych przez małżowinę, ale te z kolei były mocno ograniczone przez przepisy legislacyjne w niektórych sądach.

- Ale teraz okoliczności się zmieniły - zauważyła Marie. - Nowy Orlean nie jest stanem, lecz miastem.

- Po prostu chcesz wprowadzić zmiany w centrum miasta bez uzgadniania ich z Agencją ds. Leków i Żywności, tak?

Marie skinęła głową.

- No, cóż. Mam kilka propozycji alternatywnych rozwiązań.

- Cokolwiek, byle zadziałało - powiedziała Marie. - I musimy się pośpieszyć. Już powinniśmy zaczynać, bez tych piekielnych nonsensów.

Kąćki ust Dightona uniosły się nieznacznie.

- Myślałaś już, gdzie ulokujesz swoje własne państwo?

- Wiele razy - przyznała. - Nie żartuję. Myślę o tym nawet teraz, gdy rozmawiamy.

- Naprawdę? - nie wyglądał na zaskoczonego. Właściwie nigdy nie wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę - potwierdziła. - Ale potrzebuję Nowego Orleanu, jako odskoczni, że tak powiem.

- Więc to nie będzie tutaj?

Marie rozpromieniła się.

- A czy mogłoby?

Dighton lekko się uśmiechnął. Zawsze uśmiechał się nieznacznie.

- Znacznie prościej będzie, jeżeli to się stanie gdzieś indziej. Na przykład, z powodu konieczności utrzymania wojska jak najdalej od - wskazał szerokim gestem na okno obok, jakby obejmował resztę populacji miasta - tego, co nie pójdzie zgodnie z przewidywaniami sztabu. Boję się ich entuzjazmu. Jak i entuzjazmu większości inteligentnych ludzi.

- Wojskowi nie sprawią kłopotów - stwierdziła Marie.

- Słyszałem o twoich mocach tworzenia zombie, moja droga. Zaznaczam, że mówiąc to, mogę wymyślić tysiące sposobów, aby cię prześladować i utrudnić ci życie, włączając w to nawet twoją śmierć, jeżeli dotrze do mnie choć wzmianka, że próbujesz coś takiego zrobić.

- Cóż, może masz rację - wstała i przeszła przez pokój z rękami w kieszeniach. Zabawnie było drażnić Dightona.

Ale to były poważne interesy. Marie spojrzała na miasto. Jej nowe Biomiasto. To było tak zdumiewające.

Najpierw każdy budynek został opisany i oszacowany przez molekularną inteligencję, odwzorowany i wyposażony w komórki sensoryczne. Miesiącami prowadzone były szkolenia i seminaria dla mieszkańców, aby ich poinstruować, na czym polegają wprowadzane zmiany, czego można oczekiwać oraz aby zrozumieli, co będzie dostępne za darmo i co można będzie dokupić. Marie sponsorowała receptory dla każdego, kto nie mógł sobie na nie pozwolić, przedstawiciele rządu byli zdumieni, jak wielkie środki w to zaangażowała. Najwyraźniej, w ich wyobrażeniu o Biomieście nie mieściła się idea, że każdy może być częścią ekonomii lub korzystać z dobrodziejstw wysokiego poziomu edukacji. Jednak nie zgłaszali żadnych

sprzeciwów, prawdopodobnie liczyli, że utrzymają się podziały ekonomiczne na warstwy społeczne, do jakich przywykli.

Ścianę szklanej wieży przy Canal Street, w której znajdowało się biuro Marie, od wewnątrz otaczał szeroki na sześć cali wewnętrzny mur.

Marie przeszła proces wszczepienia receptorów. Polegało to na łykaniu fiolek z materiałem genetycznym dostosowującym się do procesów fizjologicznych i modyfikującym je nieznacznie. Przez tydzień musiała nosić rękawiczki, aby chronić formujące się na dłoniach i opuszkach palców receptory. Wyglądały one jak delikatne owale na skórze i zawierały komórki podobne do tych, jakie znajdują się w nozdrzach i w mózgu każdego człowieka. I pełniły tę samą funkcję - odbierały i interpretowały informacje przekazywane przez feromony. Receptory nie reagowały na feromony unoszące się w powietrzu, uaktywniały się tylko wówczas, gdy stykały z wysoce wyspecjalizowaną membraną, nośnikiem metaferomonów.

Najtrudniejszą rzeczą po wszczepieniu receptorów był trening. Marie spędziła setki godzin, ucząc się używania uniwersalnego myślowego alfabetu, Mindskryptu lub myślozapisu, składającego się głównie z piktogramów. Wyobrażanie sobie przekazu w myślozapisie i nauczenie się jego gramatyki stopniowo stało się jej drugą naturą, zwłaszcza, że był to język bardzo intuicyjny, a lekarstwa sprawiały, że mózg pracował w podobny sposób, jak u dziecka na wczesnym etapie rozwoju, gdy przyswajanie danych jest najszybsze. Myślozapis sprawiał, że aktywność elektryczna mózgu stawała się bardziej precyzyjna, dokładniejsza. Proces był związany z indywidualnymi cechami, ale stosowanie Mindskryptu zawsze poprawiało koncentrację i uporządkowanie, co było niezbędne do sprawnej komunikacji.

Sposób myślenia Marie zmienił się wówczas na odpowiedni do metaferomonowych komunikatów przekazywanych przez receptory, co było efektem hormonalnych procesów wywołanych przez wszczepy. Metaferomony były przesyłane w zmodyfikowanym DNA bakterii *E. coli* i przemieniane w pyłkopodobny analog zawarty w wielkich, genetycznie przekształconych kwiatach. Stworzenia, które wyglądały całkiem jak pszczoły, lecz rozmiarami dorównujące czteroletniemu dziecku, przenosiły analog pyłku między budynkami.

Marie umówiła się na spotkanie z Dightonem właśnie za pomocą tego systemu, używając receptorów do przesłania wiadomości.

W przyszłości ten łańcuch komunikacyjny stanie się sprawniejszy, ale do tego wymagane będą umiejętności równie odruchowe, jak oddychanie.

- Dighton - odezwała się Marie. - Twoim zadaniem jest usankcjonowanie przez Agencję ds. Żywności i Leków stałego monitoringu. Jeżeli możemy udowodnić, że tak naprawdę z tych informacji korzystać ma FBI...

- Muszę ominąć oficjalne ustalenia umowy - odparł. - Lecz czy monitoring nie przegra z dokładną kontrolą? Mają uprawnienia do zamknięcia każdego programu chroniącego prywatność, na wypadek nieoczekiwanych zdarzeń.

- To tylko pretekst, aby móc każdego szpiegować. Możemy wynająć naszych prywatnych inżynierów genetycznych, aby popracowali nad jakością kontroli.

- A to jest z całą pewnością zakazane przez umowę licencyjną z rządem. Na tym oparte jest wprowadzenie całego programu przemian. I, o ile sobie przypominam... - zapadła chwila ciszy, gdy prawnik zaglądał do danych, jakie przepływały przez okulary, a których Marie nie mogła zobaczyć. - A, tak. Tu mam. Paragraf dwudziesty pierwszy: Nowy Orlean winien będzie 200 milionów dolarów za program konwersji w Biomiasto. Zamiast jednak spłaty kosztów, natychmiast sam staje się w całości ich spłatą. Mówiłem ci, że burmistrz Ransom nie powinien tego podpisywać, wbrew twoim zachętom i naciskom.

- Wszyscy się cieszyli - odpowiedziała Marie. - Pamiętaj o tym. Nie mamy od lat sprawnych usług telekomunikacyjnych, sieci telefonicznej i Internetu. A teraz możemy znowu mieć - zapewne nawet lepszą. Ale problem w tym, jak możemy obejść kręactwa rządu...

- Masz na myśli, jak możemy ukraść program?

- Dokładnie, Dighton.

Prawnik westchnął.

- Jedyna rzecz, jaka wpada mi do głowy, to migrena, Marie - wstał. - Pozwól mi trochę poszperać, dobrze? Wrócę za kilka dni. Ale takie przedsięwzięcie będzie wymagało procesów ciągnących się prawdopodobnie latami.

- Pojmuję to, Dighton - stwierdziła. - Wyjrzyj przez okno. Czyż te staromodne lilie i róże nie sprawiają, że Dzielnica Francuska wygląda pięknie?

Mężczyzna spojrział w dół na wybujały ogród rozciągający się na wybrzeżu Mississipi i nad jeziorem Pontchartrain.

- Czuję, że ruszyliśmy z miejsca. Znowu żyjemy. Brak energii i łączności był koszmarem.

- Tak - zgodził się Dighton. - Ruszyliśmy. Tak jak ruszyli Konfederaci.

- Ale jesteśmy po właściwej stronie.

- Czasami to nie ma znaczenia.

- To zawsze ma znaczenie. Marie wróciła myślami do Hugo.

Od jego wyjazdu minęły lata. Rekrutacja. Najbardziej wyspecjalizowani ludzie gromadzili się w Nowym Orleanie dzięki niezmordowanym staraniom Hugo. Ale coś się stało. Marie rozpaczliwie miała nadzieję, że wszystko z nim dobrze. Najwyraźniej miało to związek ze strasznymi przemianami w Japonii. Ostatnia niepewna wiadomość mówiła, że Środkową Europę opanowała jakaś plaga - broń przygotowana przez terrorystów. Nadeszły straszne czasy. Marie cieszyła się, że w Nowym Orleanie co miesiąc pojawiała się paru znakomitych uczonych albo architektów miast. Wielu z nich wysłała już do pływającego miasta, które wznosiło się coraz szybciej.

Nazwano je Miastem Półksiężycy⁷.

Ostatnie wieści o Hugo pochodziły od Kity. Lakoniczny komunikat, że Hugo był ranny i odzyskuje zdrowie oraz że pojawiły się nieprzewidziane problemy. I żeby nie czekać na Hugo, bo nie uda mu się dotrzeć do domu jeszcze przez wiele miesięcy. Wiadomość dostarczył kurier rowerowy, była ostemplowana przez sześć prywatnych firm zajmujących się przesyłkami i nosiła datę sprzed miesiąca.

Marie żałowała, że namówiła Hugo na wyjazd.

⁷ - Miasto Półksiężycy (ang. Crescent City) jest zwyczajową nazwą Nowego Orleanu. Tu autorka, dla odróżnienia, nazwała tak pływające Biomiasto (przyp. red.)

Zmienne synkopowanie

Jason, Los Angeles, 2038

Jason i Abbie tańczyli wśród złotych pól pszenicy kołysanych wiatrem, falowali wśród kłosów sięgających do talii, a informacja przepływała przez nich. Byli jak namierzone cele, do których skierowany był przekaz, dyktujący im każdy ruch, każde płynne *pas*. Żaden ziemski instrument nie oddałby precyzji tego śpiewu, jaki rozbrzmiewał w ich umysłach, w ich kościach, ich krwi. Każdy ton subtelnie przeprogramowywał ich ścieżki neuronowe, a taniec trwał i trwał, choć dawno już zaszło słońce, płynął wraz z ich życiem, gdy się zmieniali i zmieniali, i znowu zmieniali, pochwyceni w światła, jak powiadali...

Jason usiadł gwałtownie i uderzył głową w dach przyczepy na złomowisku, gdzie sypiał. Powietrze było ciężkie od dymu z tłących się śmieci. Jego oczy zapłonęły. Sen, wciąż ten sam. Zawsze budził się, gdy eksplodowało światło. I zawsze, gdy się budził, czuł się beznadziejnie znużony i zmęczony. I na dodatek bolała go głowa.

Wepchnął koszulę w spodnie, zapiał pasek, chwycił swoje rzeczy i wysunął się ze zniszczonej przyczepy, zostawiając drzwi otwarte. Na niebie szarzał świt, gdy kroczył przez rumowisko, depcząc szczątki minionego wieku, gdy tak stanowczo sprzeciwiano się wszelkim próbom reorganizacji materii przez transformacje nano - lub dezorganizacji - bez nieprzygotowanej na to armii próżniaków.

Jason miał do przejścia tylko kilka mil. Czuł skrajną niechęć do ryzykowania bójki na Festiwalu i nawet teraz miał ochotę zawrócić.

Ale ciemność wewnątrz wiodła go naprzód.

Słońce barwiło opary mgły. Wiała lekka bryza i niebo przecierało się, najpierw powoli, a potem nieoczekiwanie rozbłysło pełnią światła. Zrujnowane, spękane budynki, z których wiele zanurzyło się w przejrzyste fale oceanu, zamiast kryć się w zwiewnej otulinie mgielki niepamięci, stały wyraźne, widoczne w każdym szczególe - jakby Jason miał sokoli wzrok. Czerniejące zbocza klifu, dźwigając ciężar pomostów, drózek spacerowych i domów, spadały w fale w dzikich paroksyzmach, które przychodziły i odchodziły co kilka tygodni, od zeszłego roku przemieniając geografii Wschodniego Wybrzeża. Do tamtej chwili Jason mógł pomieszkiwać w stosunkowo niezniszczonych pustostanach. Czuł się jak ktoś, kto przeszedł przez oko cyklonu w piekle. W piekle niezwykle bliskim, ale piekło jest przecież wciąż jedno

i to samo, i nigdy się nie kończy, o czym doskonale wiedział. Jak dotąd.

Ranek był zdumiewająco jasny. Poranki zawsze były zdumiewająco jasne, gdy wiał wiatr, ponieważ cząsteczki tlenku węgla były przezroczyste i niektóre brały udział w procesie transformacji różnych przedmiotów przez *pstryki* - rozlegało się wtedy bardzo wyraźne trzaśnięcie, jakby ktoś pstryknął palcami, stąd ich nazwa. Kiedy pięć lat temu *pstryki* zostały uwolnione, nie dostały zezwolenia FDA. Ale w Los Angeles nic sobie z tego nie robiono. Nikt nie liczył się z rządem w Waszyngtonie, ani z jego poleceniami. Nastąpiły rządy anarchii. Los Angeles ogłosiło się suwerennym krajem ze wszystkimi należnymi prawami i uczciło to wielką, narodową fetą, wystawną w latynoskim stylu, jakby w przededniu Dnia Zagłady.

Jason wszedł na szczyt i zerknął na postawioną niedawno Kopułę. Ta półkula światła wypiętrzała się w pobliżu gór o kilka mil dalej. Jak zawsze, sprawiała wrażenie, że zbudowano ją zeszłej nocy. Jason zamrugał, rozglądając się. Nawet, gdyby żył setki lat, nigdy nie chodziłby drogą, na której powietrze oczyszczałoby się tak szybko - niezwykle, choć drobny aspekt wielkich zmian, jakie zachodziły wszędzie. Roześmiał się gorzko. Czemu nie? Sto lat życia. Już teraz wyglądał, jakby miał prawie czterdzieści, choć naprawdę liczył sobie dopiero dwadzieścia trzy lata. Po odejściu od Abbie zaczął się szybko starzeć i nie wiedział, czy miało to coś wspólnego z tym, co się wtedy zdarzyło, czy też było wynikiem jego nienormalnej fizjologii lub czegoś jeszcze innego. Może Abbie coś mu zrobiła podczas tych tygodni, gdy jego sobowtór znikł. Jason miał szczerą nadzieję, że dublerowi udało się przeżyć. Tymczasem Abbie powtarzała, coraz bardziej nerwowo, że Jason-bis został stworzony, aby umrzeć, że należy go wytropić i zabić. A jeżeli zabiła klona, czy zrobiła to, by zemścić się na Jasonie za rezygnację z ich planu, czy była to próba chronienia go? Czy może zmodyfikowała coś ważnego w jego ciele? I czy to szybkie starzenie oznacza, że Jason wkrótce umrze? Dwa lata temu, gdy okazało się, że naprawdę starzeje się w przyśpieszonym tempie, wrócił, by ją odnaleźć i zażądać wyjaśnień lub sprawdzić, czy ona również się zmieniła. Ale to otoczenie zmieniło się, gdyż w miejscu domu Abbie stał teraz wiktoriański budynek z wielkim podjazdem i stojącymi przed frontem pojazdami w stylu późnych lat czterdziestych - kapiącymi od chromu, błyszczącymi od ozdób.

Jason szedł pustą drogą wijącą się między zboczami. Samochody słoneczne, solary, tłoczyły się na poboczach, ludzie gromadzili je bez opamiętania; otwarte drzwi domów ukazywały wysprzątane salony, w niektórych pomieszczeniach widział rozrywkowe hologramy. Jason nocował w niejednym domu, ale wolał złomowiska, by pamiętać o innym życiu niż toczące się w tych zadbanych willach, które przypominały mu jego własną rodzinę. I utraconą matkę, której nie udało mu się odnaleźć. Dzisiejszy ranek jest ostatni, nic go nie

trzymało w tej okolicy.

Przedmieście było stosunkowo mało zatłoczone. Jason mógł się poruszać szybciej. Mógłby zabrać jeden z solarów i przejechać resztę drogi, ale właśnie dotarł do naprawde zapchanego pojazdami odcinka. Solary nie miały żadnej wartości, dlatego tyle ich tu stało. Nic nie miało wartości, odkąd każdą rzecz można było łatwo zreplikować. Kradzież przestała być problemem. Choć byli i tacy, którzy gromadzili różne przedmioty i zamykali się w silnie strzeżonych enklawach. Mieli nadzieję, że era darmowych dóbr skończy się niedługo. Jason przekonał się, że praktycznie każdy oczekiwał nadejścia nowej ery, ale też każdy inaczej sobie ten wiek wyobrażał. Jednak u większości potrzeba posiadania dóbr materialnych przekształciła się w dziwną mieszaninę duchowych pragnień, przede wszystkim - w pragnienie nieśmiertelności. Inżynieria genetyczna. Jason mógłby z niej skorzystać, gdyby chciał. Jedna wizyta w klinice, naprawa genów. Hormonalna transformacja. I... Kopuła.

W budynku nieopodal kawiarni drzwi były otwarte. Reklama na zewnątrz głosiła: „Nowa dostawa młodych brazylijskich dziewcząt. Czystość gwarantowana przez chemików”. W drzwiach zmieniająca się kula z widokiem lasu deszczowego reklamowała wyjątkowe doznanie - kilka godzin, które wystarczą na całe życie.

- *Wstap* - szeptały głosy przekazów. - *Cudowna, Chlorofilowa Wizja gwarantowana!* - gdy Jason je minął, w tle rozległy się dźwięki indiańskich fletów. Zamówił kawę i paczka, odwrócił się od „Brazylijskich dziewczyn z gwarancją czystości”, przeszedł przez kulę z deszczowym lasem i popijając kawę, usiadł na ławce przed sklepem obok nastolatki zajętej czatowaniem. Przynajmniej wyglądała na nastolatkę, choć równie dobrze mogła być właścicielką banku lub uziemioną astronautką - jeśli poddała się transformacji. W obecnych czasach, ciężko było określić takie rzeczy.

- To musiało być tak, jak w czasach pionierów - zachłystywała się dziewczyna. - No, wiesz, jak na początku dwudziestego wieku, kiedy powstawało Hollywood i reszta. A wcześniej były tylko plantacje pomarańczy. Nie do wiary, jakie to było prymitywne. Trudno było coś kupić. Prawdziwy spokój, jak tu. Słyszysz te ptaki? Mmmm... I pachnie pomarańczami.

Jason posilał się, obserwując lśnienie Kopuły, prawie niewidoczne w blasku słońca. Ocean iskrzył się błękitem. Nastolatka stwierdziła:

- Mój chłopak tu jest. To surfingowiec. Strzela sobie zjazd, bo oni tak właśnie mówią: „strzelić zjazd”. A fale są jak potwory...

Mężczyzna w średnim wieku posuwał się wzdłuż ulicy, zanurzając szmatę w wiadrze i polerując słupy latarni, drzwi, szyby wystaw - każdą powierzchnię, jakiej mógł dosięgnąć.

Jason leniwie zastanawiał się, co ten człowiek robi, albo co mu się wydaje, że robi? Życie było powtarzalnym cyklem i Jason czuł znużenie. Inni ludzie, na pewno przypominający jakichś idoli, o których nigdy nawet nie słyszał, kierowali się do kawiarni, a powietrze wypełnił gwar rozmów i śmiechów.

Szaleństwo.

Ci tutaj zainteresowali się tym powolnym, prymitywnym życiem poza Kopułą i angażowali w odnawianie starych dzielnic tematycznych i plenerów filmowych - w dyskusjach o koniecznym utrzymaniu nastroju i kolorytu dominowało jednak znacznie więcej rozgoryczenia. Jakby całe miasto należało tylko do pisarzy, reżyserów i twórców nastrojów, którzy powinni dostać własne pracownie i studia. Niestety, posesje często na siebie zachodziły. Dokładnie zaplanowana „czarna” dzielnica mogła zostać zaatakowana zniemacka i zmieniona w ciągu jednej nocy w plan „Kocham Lucy”, wywołując wrogi odwet ze strony, na przykład, „Co się stało Baby Jane?” w dzielnicy pierwotnie przeznaczonej na upamiętnienie kreskówek ze Strusiem Pędziwiatrem. Każdy z rozmówców był piękny i młody, każdy wzorował się na młodym Eastwoodzie, Monroe, Brando lub Dietrich, rzucając dialogami z filmów idoli, naśladując ich pozy.

Jason zauważył, że Kwiaty otworzyły kielichy na szczytach zatopionych budynków. Nie było ich wiele, może trzy - a obsługiwane przez nie budowle częściowo opanowały wirujące w podwodnych prądach rekiny. Era Los Angeles jako Biomiasta szybko została przerwana przez trzęsienie ziemi i towarzyszącą mu powódź, wywołaną podnoszeniem się poziomu wód w skutek topnienia lodowych czap polarnych. Wiatr przywiał jakąś ulotkę. Dziewczyna obok Jasona schyliła się i podniosła arkusik.

- *Czy już wiecie?* - dotyk palców uruchomił wpisane w druk reklamowy nagranie - sławną przemowę Polly Newface'a „Kopuła albo Zagłada”.

- *My, nowo powstałe stowarzyszenie Gajan, Ekstropistów⁸ oraz Koalicji Psychotronicznej - SGEP - pragniemy wkroczyć śmiało w erę natychmiastowej i pełnej komunikacji. Pod Kopułą nie będzie śmierci. Pragniemy jedynie rozwijać się w mądrości i oświeceniu. Kopuła stanie się samowystarczalnym, zasilanym światłem słonecznym kompleksem, nie będzie zatem nawet przez chwilę naruszać ziemskich dóbr naturalnych. Ci z was, którzy są Gajanami, będą mieli okazję, by rozwiązać dręczące nas dylematy. Czy gorzej jest zaspokajać potrzeby ciała zabijając inne stworzenia, czy też być zmuszonym do używania*

⁸ - Ekstropizm - pseudonaukowe przekonanie, że człowiek będzie się rozwijał do życia w otwartym kosmosie, (przyp. tłum.)

technologii, które niszczą naszą Matkę Ziemię? Teraz można porzucić własne ciało, lecz nie dla śmierci. Dla życia pełniejszego, bogatszego. Nadszedł czas. Nadszedł czas dla tych, którzy pragną stać się czystą informacją. To jest Wasz czas...

Jason wyrwał ulotkę z rąk dziewczyny i dokładnie podarł ją na strzępy. Przemówienie Polly zmieniło się w poszarpane, rozrzucone po pasażu fragmenty.

- *Zawsze. Med... Nie przemija...* - urywki słów porwał wiatr od morza.

- Czemu to zrobiłeś? - zapytała dziewczyna raczej ze smutkiem niż gniewem.

Więcej niż jeden psychotronic oddał kartę związkową po tej przemowie i zrezygnował z Koalicji, twierdząc, że zdradziła swoje cele i zadania. „Jeżeli wszyscy wiedzą wszystko, to o co chodzi?” - pytano. - „Chcą nas zostawić bez pracy”. Niektórzy nie potrafili zrozumieć idei stowarzyszenia i wynieśli się po prostu na dzikie tereny w Arizonie lub Oregonie.

Wszystko to było wynikiem trzęsienia ziemi, oczywiście. Wstrząs nie tylko zmienił fizyczne oblicze L.A., obracając w ruinę śródmieście i niszcząc autostrady, zmienił również mentalność miasta. Wobec tak wielu śmierci i zniszczeń, jakich wtedy doświadczyli mieszkańcy metropolii, jedynym sposobem obrony zdrowych zmysłów był zwrot do wyobraźni, pogrążenie się w fikcji lub powrót do przeszłości. Powstały wówczas produkowane dzięki nanotechnologii urządzenia, które mogły odtworzyć czyjeś wcześniejsze życie albo opowiedzieć o życiu, jakie mogło być udziałem wybranej osoby. Pożary, jakie wybuchły wraz z trzęsieniem ziemi, zaszczerpiły w sercach i umysłach mieszkańców L.A. poczucie siły. Byli gotowi na przyjęcie każdej zmiany. Wśród nich znajdowali się i ci, którzy uważali, że Los Angeles leży u zbiegu dwóch silnych, pozytywnych nurtów psychicznych, jakie nie występują w żadnym innym miejscu. I ci, którzy zawsze nazywali to miasto domem, i pragnęli odtworzyć każdy jego zakątek. Dla nich nie istniała żadna inna możliwość, oprócz pozostania w L.A. Dzielnica Watts, slumsy, pełne rasowych napięć i przemocy, jak obawiał się Jason, też stanowiła integralną część obrazu miasta, jaki nosili w swoich sercach jego mieszkańcy. To było tak typowo ludzkie. Również Kopuła była niczym, tylko ludźmi. Całą ludzkością. Z tym, co w niej najlepsze i najgorsze. Całkowicie sztuczna. To był prawdziwy cud, że Gajanie w końcu ją zaakceptowali. Powiadano, że dziwna, lśniąca konstrukcja przywędrowała pewnej nocy z Krzemowej Doliny i stworzyła zaczątek Kopuły, która przyciągnęła Psychotroniców, Gajan, Ekstropistów. Ich układy ścieżek nerwowych zostały odczytane i wpisane w Kopułę, stając się częścią jej rosnącej wykładniczo potęgi. „To wielka mądrość” - reklamowano. W Kopule można było żyć każdym życiem. Mieć dostęp do wszystkich wspomnień. Jeśli się zapragnęło, można było zachować poczucie

indywidualności, utrzymywać iluzję posiadania ciała, domu, egzystencji, o której się marzyło. Dostępne było każde mentalne doświadczenie, jakie tylko można było sobie wyobrazić oraz znacznie więcej, teraz również obiecywano doświadczenia niewyobrażalne. Jasonowi Kopuła nie przypominała niczego, oprócz półkuli komputera, jaki widział u Abbie.

Ale nie widział żadnego powodu, dla którego ktokolwiek chciałby pograżyć się w Kopule. Przynajmniej dla Jasona nie istniał taki powód. Wyglądało mu to na bardziej interesującą formę samobójstwa. W ciągu ogromnych zmian, jakie nastąpiły przez kilka minionych lat, Jason zyskał pewność, że nikt go nie poszukuje, w ogóle nie szukano już ludzi z typem krwi, jaki miał. Dlatego postanowił wrócić do rodziny, czując głęboki smutek i obawę, że utracił ich na zawsze tego wieczoru, gdy opuścił Dog Leg. W stosunku do Abbie miał mieszane uczucia. Ale nadal silne. Nadal pociągające.

- Przepraszam - powiedział do dziewczyny wyglądającej na nastolatkę, wciąż trzymającej skrawek ulotki, na którym widoczne były hasła: „WITAMINY. WITALNOŚĆ. WIZJA”. - Zapomniałem się. - Dopił kawę, wstał i przyłączył się do rosnącego tłumu pielgrzymów zmierzających do Kopuły.

Jason obserwował długie niekończące się linie ludzi wciągniętych w zabawę z przemianą, zastanawiając się, jaki mix mogłaby stworzyć w połączeniu z jego dziwną fizjologią. I musiał przyznać, że ma skrytą nadzieję na spotkanie matki. Gdyby jeszcze żyła - a udało mu się znaleźć strzępki dowodów, że kilka lat temu pojechała do L.A., by go odnaleźć - z całą pewnością przyszłaby właśnie do tego miejsca. Lecz Jason nigdy się tu nie zbliżał. Aż do dzisiejszego ranka. Poszedł z innymi, jak w stadzie lemingów, dzielnica po dzielnicę, zakręt po zakręcie.

- Chcesz to zrobić? - zapytała go nagle kobieta idąca obok, wyglądająca jak młoda Judy Garland. Mały Toto plątał się jej pod nogami. Wysokie głosy śpiewały: *Zeszliśmy z drzew, wyszliśmy z ciemności, wyszliśmy z nocy...*

Jason rozmyślał właśnie, jak wytwarzane są takie dźwięki, i niezbyt uważnie skinął głową.

- To będzie dobre, prawda? Należałam do Kościoła Transformacji. Podobno to jak w słowach Świętego Anzelma. Pamiętasz Świętego Anzelma?

Jason ponownie skinął głową, choć nie miał pojęcia, kim był Anzelm. Wolałby zostać sam na sam z myślami tłukącymi się w głowie, ale czy to miało znaczenie?

- Święty Anzelm mówił, że Bóg jest tym, czego nie można ogarnąć ludzkim umysłem. Albo coś podobnego, no wiesz. To coś, czego nawet nie można sobie wyobrazić, nieważne, jak bardzo się starasz. Bo wszystko, co sobie wyobrazisz, nie jest dość... ogromne. Bo jesteś

człowiekiem, tylko jednym człowiekiem. Ale co będzie, jeżeli naprawdę wielu ludzi... jak wielu jest ich teraz? - jej słowa zmieszały się i utonęły w niewyraźnej, choć doskonale słyszalnej piosence „*Over the Rainbow*”. Najwyraźniej skojarzenia z filmową Dorotką podążającą do Zamku Czarodzieja z Krainy Oz nasunęły się nie tylko Jasonowi.

Nad wysokimi na dwadzieścia stóp wejściami wokół kopuły lśniły zmieniające się liczby, w miarę jak przybywało tych, którzy przeszli w informacyjną formę bytu.

- Nie wiem - odpowiedział Jason kobiecie przypominającej Judy Garland w roli Dorotki.

- Nie wyglądasz na specjalnie podnieconego - zauważyła surowym tonem. - Nie wiem, czy jesteś już gotów. Mógłbyś...

- Sprofanować to miejsce? - podsunął Jason.

- Tego nie powiedziałam...

Szli teraz otoczeni zewsząd tłumem. Gdy zbliżyli się do wzniesienia, Jason przystanął, czekając, aż jego niechciana towarzyszka odejdzie.

I wtedy...

Jasnobłond włosy spięte w koński ogon mignęły pomiędzy straganami, kramarzami z Plemienia Radosnych Zbieraczy Resztek, którzy uwalniali pielgrzymujących od co bardziej wartościowych rzeczy i karmili ich przed transformacją. Handlarze gromadzili się wzdłuż drogi do Kopuły, w Starym Mieście, tuż przy wybrzeżu, gdzie morskie fale rozbijały się o zniszczone falochrony. Serce Jasona załomotało.

Widział inne jasne kucyki i niejedną raz się pomylił, przeszukując uliczki targowiska. Wróciły wspomnienia z Dog Leg. Pojechał tam, gdy tylko się ośmielił, ale rodzinny dom ział pustką. Znalazł tylko grób ojca na zboczu wzgórza. Matka zostawiła dla Jasona wiadomość, że jest w Los Angeles i podała adres, ale kiedy się tam pojawił, okazało się, że wyprowadziła się kilka miesięcy wcześniej.

Sąsiedzi ledwie ją pamiętali... „Och, tak, wynajęła domek w ogrodzie, ale na krótko. Zmieniła moje życie. Zaraz, jak ona się nazywała...?” - tylko tyle usłyszał.

Jason wysyłał niezliczone komunikaty przez sieć Biomiasta - ktokolwiek widział jego matkę, ktokolwiek wie... Ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi.

A teraz, roztrącając tłum, biegł wołając:

- Mamo, mamusiu! - aż znalazł się tuż za nią. I wtedy się odwróciła...

Zatrzymał się nagle - napotkał spojrzenie jej uważnych, błękitnych oczu. Nie powiedział ani słowa, po prostu objął ją, gdy wyszeptała:

- Jason?

Odsunęła go na wyciągnięcie ramion i patrzyła zagadkowo, badawczo. A potem oboje wybuchli niepohamowanym śmiechem.

- To ty - powtarzała matka. - To naprawdę ty! Ale...

- Mamo! Wyglądasz tak młodo, jak nigdy przedtem...!

- Och! - wzruszyła ramionami. - W dzisiejszych czasach nie ma powodu, by się obnosić ze starością... Ale ty... Co ci się stało? Czy to...

- Nie wiem dokładnie, co się stało - mówił szybko, urywając, byle tylko mówić - To naprawdę bez znaczenia. Och, mamo! Miałem się dzisiaj - miałem zamiar przyłączyć się do Kopuły! Ale już nie chcę! Jestem taki szczęśliwy! Tak się cieszę, że cię znalazłem, że żyjesz! Chodźmy stąd. Wyjedźmy gdzieś. Gdziekolwiek. Do Kolorado. Do Sedony, nawet do...

I wtedy ogarnął ich smutek. Objęli się mocniej, szlochając.

- Jak to się stało? - wyszeptał Jason.

- Nagle... Nieoczekiwanie - odpowiedziała matka ocierając oczy. Kopuła za jej plecami piętrzyła się jasnym łukiem jak ogromna tęcza. - Twój ojciec umarł we śnie. Nie wiem, dlaczego. Szukaliśmy cię wszędzie. Ojciec był zdruzgotany. Ja też, ale jemu trudniej było znieść to wszystko. Nie, nie patrz tak, synku! To nie twoja wina. Dobrze postąpiłeś. Zrobiłeś, co musiałeś. Twój ojciec stracił nadzieję, ja nie. Cały czas wiedziałam, że żyjesz - mówiła gorączkowo - ale on nie wierzył. Nigdy mi nie wierzył. Myślę, że zamartwiał się za bardzo. Było mu wszystko jedno, przestało mu zależeć na życiu. Powinien był tamtego dnia pojechać z tobą do miasta. Gdy byłeś mały, musieliśmy się ciągle przeprowadzać, postępować w określony sposób. Czasami doprowadzało mnie to do szaleństwa, ale rozumiałam...

Jason milczał, wspominając ojca. Był silny, żył, mając poczucie celu, sensu. Dać wsparcie dziecku, słabemu i choremu. Nauczył je, jak przetrwać...

- Jest coś, co musisz wiedzieć, Jasonie - odezwała się Cassie. - Złożyłam ślubowanie.

- Co zrobiłaś?

- Należę do stowarzyszenia. Dostałam certyfikat - gotowość do przejścia. Mamy pierwszeństwo, jak wiesz.

Jason zatrząsł się od zbyt wielu pomieszanych emocji. W końcu wydusił:

- Godzinę temu byłem gotów. Po to przyszedłem.

Oczy matki zalśniły.

- Więc chodźmy razem! Jestem pewna, że mogę cię wprowadzić...

- Teraz już nie chcę. Chciałem iść do Kopuły, bo wszystko wydawało się takie bez znaczenia, bez sensu... Ale znalazłem cię, mamo i...

- Jason - jej głos brzmiał łagodnie. - Zmieniłam się. To nie tak, że chcę iść do Kopuły, bo czuję rozpacz. Wręcz przeciwnie. To jest coś, o czym zawsze marzyłam - poza pragnieniem, abyś był zdrowy i normalny. Chcę dostąpić transcendencji, Jasonie. To uzdrowi Ziemię - w jej słowach zabrzmiał niski, nostalgiczny ton. - Miałam wizję... Nadeszła... Słyszałeś o Wielkim Głodzie w Irlandii?

- Nie...

- Twoi pra-pra-pra... dziadowie pochodzili z Irlandii. Kiedy byłam mała, dużo czytałam o kraju naszych przodków. Ziemia w Irlandii została całkowicie wyjałowiona, naga. Nie rodziła plonów, nie rosły na niej nawet trawy, osty, pokrzywy. Nic, co nadawałoby się do jedzenia. Ziemia jałowa. A w wizji, jaką miałam, cała Ziemia stała się właśnie taka, jak wtedy Irlandia. Jałowa planeta. Ziemia jest elementem galaktycznego systemu ekologicznego, Jasonie. Wiem, że w to nie wierzysz, ale pewnego dnia przekonasz się, że miałam rację. To coś, co czułam - i widziałam - zanim jeszcze przyszedłeś na świat. *I ty też jesteś częścią tej ekologii!* W jakiś szczególny sposób - jesteś ważny Jasonie. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że tak jest. Czujesz to?

- Nie. Nic nie czuję.

- Jeżeli wszyscy złączymy się z Kopułą, Ziemia się uzdrowi i odrodzi. I może, jeśli wszyscy się połączymy, zrozumiemy, dlaczego jesteś ważny i dlaczego pojawiłeś się na świecie, synku. I wszechświat znów powróci do równowagi...

- Co, u diabła, jest dobrego w Ziemi bez ludzi? Na Saturnie nie ma ludzi. Na Wenus nie ma ludzi. I co z tego? Ludzie, to ludzie!

Przechodnie zerkali na matkę i Jasona. Zorientował się, że krzyczy, ściszył głos.

- Możemy wszystko zmienić *tutaj*. Po tej stronie Kopuły. Teraz mamy wszystko, co potrzebne do życia!

- Synku, kochanie, *nie zamierzam umrzeć!* Będę żyć wiecznie! - policzki miała mokre od łez.

- Skąd wiesz? Wrócił ktoś z Kopuły, by to potwierdzić?

Na jej twarzy pojawił się spokój, który tak dobrze pamiętał.

- Ci, którzy żyją w Kopule, mogą, oczywiście, nawiązać łączność z resztą świata. To trudne, ale są raporty...

- Tak, jak porozumiewanie się ze zmarłymi, nieprawdaż? Och, czyżby ktoś pukał? Słyszycie? Duchy poruszają tabliczką Ouija i mówią: *b-z-d-u-r-a!*

- Jason! Zabraniam ci mówić o tym, w co wierzę, takim tonem!

- Przepraszam - odparł natychmiast. - Ale... Ale wstrzymaj się przez chwilę. Dzień lub

dwa. Tydzień. Proszę. Spędź ze mną trochę czasu. Tak bardzo za tobą tęskniłem... - pociągnął nosem jak mały chłopiec, wtulając się mocno w jej ramiona. Chciał upaść na ziemię i chwycić ją za nogi w płynącym z całego serca geście błagania... *Mamusiu, nie odchodź, proszę!*

- Ja... - zaczęła z wahaniem, patrząc na Kopułę. Jason ujrzał, jak jej twarz pojaśniała od wewnętrznego blasku tak samo, jak wtedy, gdy był jeszcze dzieckiem. Jej znak rozpoznawczy. W jednym krótkim przebłysku objawienia, wizji, Jason zrozumiał wiarę i nadzieję matki, jej jestestwo. Miała rację. Naprawdę znalazła to, czego pragnęła całe życie. Za czym zawsze tęskniła...

Jakaś część Jasona umarła w tym momencie. Całe jego dzieciństwo znikło w błysku słonecznego światła odbitego od Kopuły. Zamknął rękę matki w dłoniach.

- Przykro mi, Cassie - powiedział. - Kocham cię. Kocham cię z całego serca. Masz moje błogosławieństwo na drogę, idź. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, mamo.

Zamrugnęła. Popłynęły łzy.

- Ja też cię kocham, Jasonie. Wiesz, jak bardzo. Jesteś moim życiem... Kiedy byłeś mały... - przerwała na chwilę, by wytrzeć oczy. - Nie mogłabym prosić o więcej... Ale teraz... Wybaczysz mi?

- Nie mam ci czego wybaczać. - Serce mu zamarło, gdy spytał: - Czy mogę... Czy mogę cię odprowadzić?

Długo obejmował matkę, zanim pozwolił jej przejść między strażnikami przy wejściu do Kopuły.

- Trzymaj się - powiedział na pożegnanie, czując, że plecie bzdury.

- Przyłącz się, kiedy będziesz mógł, Jasonie - wyszeptała. - Kocham cię.

Nie był pewien, czy pozwolono by mu patrzeć na połączenie, zresztą, nie chciał tego widzieć. Odwrócił się gwałtownie. Jak ślepy, przebijał się przez tłum.

Nadmorską drogę spowijała mgła, o czym Jason przekonał się natychmiast, gdy tylko ruszył na północ. Pomiędzy Śródstanowymi Zielonymi i Losangelczykami toczyła się krótka, lecz zajadła Wojna Pstryków - chodziło o traktat ograniczający typy pstryków dozwolonych do użytku ze względu na rodzaj transformacji i siłę ich oddziaływania. Po czterdziestu ośmiu godzinach, gdy pstryki straciły aktywność, wypompowano je z podziemi i usunięto za meksykańską granicę, ale efekt został osiągnięty. Choć zapewne mgła nie działała na nie, jednak Zieloni obawiali się, że narusza ona równowagę ekologiczną i może stanowić subtelny, uboczny efekt działania nano.

Zachód słońca barwił Pacyfik. Na drodze nie było prawie żadnego ruchu. Szybka Sieć Kolejowa, a raczej to, co z niej zostało po trzęsieniu ziemi, obsługiwała trasę między L.A. i San Francisco. Najwyraźniej dość szybko zaczęto jej odbudowę, by zapewnić bezpośredni dojazd pasażerów do Kopyły. Jason nie umiał sobie wyobrazić świata, w którym wszyscy łączą się z Kopyłą. Nie umiał też sobie wyobrazić, kim lub czym stała się jego własna matka. Czuł tylko pustkę...

Jego buty stukały po pofalowanym, popękany przy krawędziach asfalcie. Nie spieszył się. Wędrował tak już od dwóch dni. Nad szczytami wzgórz zauważył pasącego się jelenia. W głąb dzikiego lasu prowadziły rozrzucone z rzadka ścieżki. Jason minął tablicę reklamującą stary motel. Podróż pieszo odpowiadała mu. W plecaku niósł tylko chleb, ser, wino i batoniki. Wczoraj, późnym popołudniem, zszedł nad brzeg oceanu po stromej i niezbyt bezpiecznej ścieżce na klifie, ale noc spędzona wśród huku fal, oczyściła mu umysł i poprawiła samopoczucie.

Wieczór nadchodził wraz z chłodem i znikającym lśnieniem ostatnich promieni słońca. Jason zaczął się rozglądać za miejscem na nocleg, gdy zaskoczył go dźwięk silnika, najpierw daleki, potem coraz bliższy. Z tyłu, zza zakrętu, zabłyśły reflektory, jak się okazało, starego jeepa, wyładowanego metalowymi, szczękającymi na wybojach, kanistrami.

Jasonowi przypomniał się natychmiast jego pierwszy jeep, jaki przebudował. Cóż, to było w innym życiu. Utraconym na zawsze.

Samochód zwolnił i zatrzymał się tuż obok. Z szoferki wychylił się mężczyzna, może pięćdziesięcioletni.

- Wsiadaj - zaprosił.

Czemu nie? Jason wrzucił plecak na tył i zajął miejsce obok kierowcy.

- Wybierasz się w jakimś konkretnym kierunku? - zapytał mężczyzna. Miał białą brodę i czerwoną, wyblakłą koszulę.

- Do San Francisco - Jason wyciągnął się na siedzeniu prostując kolana i rozluźniając mięśnie.

- Tak daleko nie jadę, ale mogę cię kawałek podrzucić - zabrzmiała odpowiedź. - Muszę dostarczyć metanol. Sam go produkuję. No, w zasadzie, całą robotę wykonują moje kurczaki, mam farmę. A czemu taki starszy gość, jak ty, łapie stopa do Frisco?

- Och - odpowiedział Jason niedbale, jak zawsze, gdy myłono się co do jego rzeczywistego wieku i doświadczenia. - Po prostu chcę zobaczyć inne miasto.

- Nie masz nic lepszego do roboty? Zdaje mi się, że równie dobrze jest wyjechać z San Francisco, jak z L.A. Ale ja nie jestem typem, który lubi tłoczyć się w mieście. Wolę moją

farmę, warzywa, owoce, kurczaki. Mój mały dom. Silny, porządny wiatr trzyma z dala ode mnie pstryki i całą resztę tego świństwa, które może napłynąć z miasta. Nie chcę się mieszać w ten cały bajzel. Miałem córkę, która pojechała do miasta. Lata temu. I znikła bez wieści. Co prawda, nigdy specjalnie nie dbała o utrzymywanie kontaktów, ale... może ciągle jest w mieście. Do diabła z tym - białobrody wjechał na środek jezdni, by ominąć wykroty. Nie przejmował się ani trochę podwójną ciągłą linią rozdzielającą pasy.

Na godzinę przed świtem farmer wysadził Jasona przy zjeździe z nadmorskiej drogi.

- Tutaj muszę skręcić. Tam jest taki nieduży młyn. Wezmę trochę mąki i kukurydzę na paszę. San Francisco jest zaraz za wzgórzami - roześmiał się - Nie można zabłądzić! Na pewno nie potrzebujesz noclegu?

- Niece... - Jason potrząsnął głową. - Mam namiot.

- W porządku, kapitanie. Szerokiej drogi! - jeep zakołysał się na zjeździe, tylne światła samochodu znikły za zakretem.

Jason był zmęczony, zmarznięty i głodny. Ale na horyzoncie pojawił się blask dnia, więc nie przerywał wędrówki.

Może tam znajdowała się jego przyszłość? Nie wiedział, jaka to miałyby być przyszłość. Ale wiedział, że w San Francisco nie ma Kopyły. I to mu wystarczało.

To oraz wiedza o nanotechnologii. Chciał się nauczyć, ile tylko zdoła.

Edukacja Jasona skończyła się, gdy wyjechał z domu. Jego świat się wtedy rozpadł. Gruba, czerwona krecha oddzielała jego życie z rodzicami od tego, jakie wiódł obecnie. I wydawało mu się, że cały świat również zmienił się właśnie w tamtym momencie. Lecz za tymi zmianami kryła się wiedza, która, jak przeczuwał, mogła go uzdrowić. Miał dość życia na marginesie, ukrywania się i przyczajania. Świat się rozwijał, a Jason wiedział coraz mniej i mniej. A przecież pamiętał motto wypisane na jego książkach i notebooku w szkole podstawowej: KTO MA WIEDZĘ, TEN MA WŁADZĘ Jason nie miał szczególnych ambicji, by zdobyć władzę, ale też nie chciał dłużej pozostawać bezwładnym i bezradnym włóczęgą.

Wspiął się na szczyt wzgórza i przystanął, gdy ogarnął go podmuch silnego wiatru z doliny.

Cień skrywał krajobraz u stóp Jasona, miasto wyglądało jak obrazek z dziecinnej bajki.

San Francisco lśniło, rywalizując z blaskiem jutrzeńki. Poziome, przerywane linie przekazywały czyste dane transportowane w zmodyfikowanych genetycznie bakteriach *E. coli*. Wystarczyło tylko dotknąć, by mieć dostęp do informacji. Linie rozgałęziały się i rozrastały na ścianach budynków. Wyżej otwierały się ogromne Kwiaty, a raczej kwiatopodobne twory genetyczne, które przechowywały i uzupełniały dane, transportowane

potem od budowli do budowli. Kwiaty falowały, jakby poruszane wiatrem. Jednym z ograniczeń Kwiatowych Biomiast było uzależnienie od warunków klimatycznych. Ale na terenach zagrożonych trzęsieniami ziemi podziemne tunele byłyby niepraktyczne. Na dodatek centra informacyjno-zarządzające, które składały i przechowywały dane, miały tendencję do degenerowania się, jeżeli system stawał się zbyt duży. A jednak zrobiony został ogromny krok od modelu miasta kwiatów do działającego sprawnie systemu. Odkąd tradycyjne komputery padły ofiarą czegoś, co wywołało ciszę radiową, prototyp Biomiasta, choć z nieznacznymi różnicami w zależności od miejsca zastosowania, objął cały świat. I działał.

Receptory Jasona przystosowane były do systemu Los Angeles. Musiał je zmodyfikować, jeżeli chciał mieć dostęp do informacji w San Francisco.

Przez chwilę chłonał widok, a potem ruszył w dół. Wielki most został zniszczony i teraz tylko połamane resztki konstrukcji wystawały z fal zatoki. Z daleka wyglądały jak zepsuta zabawka.

Jason spędził całe życie, unikając ludzi. Zatajał informacje o sobie, ukrywał się przed pościgiem. Spędził życie z rodziną w dziczy. Teraz chciał stać się częścią czegoś większego. Planował coś zrobić, zmienić. Ale żeby tak się stało, musiał zdobyć wiedzę. A najbliższym miejscem od Los Angeles, gdzie mógł osiągnąć cel, gdzie mógł się uczyć, było właśnie San Francisco.

Obiecał to ojcu. I obiecał również matce, nieważne, w co teraz wierzyła i co wiedziała. Ale przede wszystkim obiecał sobie.

*

Kilka tygodni później pił herbatę w Chinatown.

Uwielbiał swoje nowe receptory - małe owalne płatki na opuszkach palców. San Francisco okazało się o wiele nowocześniejsze, bardziej złożone, niż Los Angeles. Gdy Jason dotykał linii informacyjnych, dane płynęły do niego szerokim strumieniem. Na początku był tym ogłuszony, ale szybko nauczył się filtrowania danych. Miał teraz adres. Gdyby ktoś chciał go wytropić, wystarczyło, by choć raz dotknął linii. Ale Jason już się tym nie przejmował. Zmęczyło go ukrywanie się, zmęczyła ciągła ucieczka.

Siedział teraz przy małym stoliku, czytał i kończył makaron, który zamówił dotykając menu wyświetlonego na blacie. Po złożeniu zamówienia karta dań przekazała jeszcze informacje, że jest Rok Konia, a po trzydziestu sekundach przekształciła się w mrugającą obrazkami reklamę, którą Jason zlekceważył, podobnie jak pozostałe. Pogrążył się w czytaniu o łączach litowych. Podniósł wyżej cieniutki, lśniący arkusz substancji, która zastąpiła dawny papier, i skrzyżował nogi na krześle. Był sam w małym boksie, oddzielony od innych

stolików. Powoli przyzwyczajają i ćwiczył umysł do przyjmowania danych na inne sposoby, ale nie było to łatwe, skoro przez całe dotychczasowe życie uczył się, czytając. Nadal była to najbardziej efektywna metoda, nie tylko dla niego, ale dla wielu ludzi. Z satysfakcją stwierdził, że potrafi nadal zapamiętać prawie wszystko i wykorzystywać to, czego się uczy. Chciał zostać inżynierem, podobał mu się ten zawód.

- Nie sądzisz, że to nieładnie kłaść nogi na krzesło? - zabrzmiał damski głos.

Znał ten głos. Serce zabiło mu mocniej, gdy podniósł wzrok.

- Abbie?

Wątpliwe, żeby to była Abbie. Ale brzmienie skojarzyło mu się natychmiast z nią. Kobieta stojąca obok w niczym nie przypominała Abbie. Miała ciemne oczy i proste, czarne włosy, a cerę nieco ziemistą.

- Abbie? - powtórzył z rosnącą niepewnością.

- To ja - przytaknęła siadając naprzeciw.

Jason odłożył tekst i obserwował, jak arkusz wtapia się w blat stolika. Miał wrażenie, że wewnątrz cały się trzęsie od kipiących w głowie pytań.

- Co tu robisz?

- Mogłabym powiedzieć, że to samo, co ty, ale to nieprawda. Przygotowuję się do podróży. Chcę jechać do Chin.

- Do Chin? Po co?

- Przyszłam, jak tylko się dowiedziałam, że tu jesteś, bo... - na moment przerwała, opuszczając spojrzenie na dłonie. - Przyszłam, bo pomyślałam, że mógłbyś też się tam wybrać...

- Czemu miałbym się wybierać do Chin? - jego zdziwienie graniczyło z oburzeniem. Wywoływała tylko pytania, żadnych odpowiedzi. A pytań miał Jason tysiące. Miał ochotę nią potrząsnąć w nadziei, że wytrzepie z niej choć jedną odpowiedź...

- Ponieważ słyszałam, że budujemy tam statek kosmiczny. - My?!

- Tak. Ludzie tacy, jak ty i ja.

- Rozumiem - opuścił nogi na podłogę i oparł się łokciami o blat stołu. - Ale kim jestem, Abbie? Dlaczego tak szybko się zestarzałem? I czemu wydaje mi się, że coś na ten temat wiesz?

Odchrząknęła, nerwowo rozglądając się na boki. Westchnęła.

- Masz rację - wydusiła. - Byłam wtedy... młoda, głupia. Chciałam ci zmienić wygląd, żeby cię ukryć... Gdyby inne rzeczy zawiodły.

Jason spuścił pięści na stół z taką siłą, że butelka z sosem sojowym aż podskoczyła.

- Mogłaś mnie najpierw zapytać. Może chciałem sam podjąć decyzję! - głos mu się rwał, tak trudno było wydusić słowa. - Pośpieszyłaś się. Jesteś zbyt nerwowa.

- Zawsze byłam - odrzekła spokojnie.

- I na pewno nie chciałaś mnie... zranić, jeśli twój plan nie wypali?

- *Mój plan?! - otworzyła szerzej oczy. - A czyj to był pomysł? To ty przyszedłeś do mnie!* - była bliska płaczu. - *Kochałam cię, Jason. Chciałam cię ukryć, ukryć nas oboje, ochronić...* - z trudem opanowała grymas twarzy, otarła rękawem łzy.

Jason westchnął. Ujął jej dłonie.

- No, cóż... - powiedział. - Niezbyt obchodzi mnie, że wyglądam jak stary wypierdek. Za to ty wyglądasz na nieco wstrząśniętą. Dobrze się bawisz?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pomyślałam tylko, że powinnam się z tobą zobaczyć, zanim stąd wyjadę. Ćwiczę mój mandaryński.

- Zapewne to dla ciebie nic trudnego - puścił jej dłonie i odwzajemnił spojrzenie.

- Nie, jasne, że nie. Idzie mi łatwo. Jak we wszystkim. Z wyjątkiem ciebie. - Zapadło krótkie milczenie, potem zapytała: - To, co? Wybierzesz się do Chin?

- Opowiedz mi więcej.

- Czy wiesz, że ludzi jak my, jest więcej? W L.A. powiedziałam ci prawdę. Są ludzie, u których rozwinęła się wrażliwość na pola elektromagnetyczne. Jak u wędrownych ptaków, którym taki zmysł magnetyczny pozwala migrować. Nadal nie wiemy, skąd się to wzięło.

- Mam pytanie. Gdzie jest reszta tych... naszych?

- Nie wszystkim się udało, Jason. Tak to jest. Wiele dzieci urodziło się z wadami rozwojowymi. Było też sporo poronień. I jeszcze więcej upośledzeń umysłowych - problemy z biochemią mózgu i choroby umysłowe. Wielu umarło. Ale chcemy odnaleźć pozostałych, którzy żyją. Uwolnić ich z obozów rządowych. To nasz obowiązek. Jesteśmy jak rodzina, powinniśmy trzymać się razem.

Jason nie wiedział, dlaczego nawet słuchając, ma wrażenie, że to jakiś absurd.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Od jednego faceta z rządu, którego szantażowałam.

Wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, to nie mój problem. Na co mi to?

- Myślę, że jednak ci się opłaci. W końcu, w Chinach jest grupa ludzi podobnych do ciebie i do mnie, którzy budują statek kosmiczny. To jest coś. Realizacja może potrwać nawet

dziesięciolecia, biorąc pod uwagę to, co się dzieje na całym świecie, ale chcę wziąć udział w tym projekcie. Wkrótce wyjeżdżam.

- I gdzie polecą ten statek kosmiczny? Zakładając, że w ogóle polecą.

- To przecież oczywiste - odparła. - Do źródła Sygnału.

- Doprawdy?

- Tak, właśnie tam. Skąd ten sarkastyczny ton, Jason?

- Bo uważam, że to jedna wielka bzdura.

- Też tak myślałam na początku.

- Myślę, że miałaś rację, jesteśmy niezwykli. Ale co z tego? Nie mamy pojęcia, jak to się stało. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że jesteśmy tylko mutacją wywołaną kosmicznym promieniowaniem, które przeniknęło na Ziemię. A genetyczne mutacje nie są czymś niezwykłym, Abbie. Poza tym, świat jest w rozsypce. Nikt nas już nie szuka.

- Nie licz na to...

- Chcę po prostu normalnie żyć, jak człowiek.

Wybuchła śmiechem.

- Och, Jason, jesteś taki głupi! Co znaczy zwykłe, ludzkie życie, według ciebie?

- Co za różnica? - odpowiedział z uporem. - Normalne, czyli takie, jakie chcę. Nie chcę więcej uciekać. Wszyscy uciekają. A ja chcę zostać.

- Wszyscy, czyli kto?

Prawie opowiedział jej o matce. Ale powstrzymał się. To było zbyt bliskie, zbyt osobiste. Nie zamierzał o tym rozmawiać. Z nikim.

- Jestem Amerykaninem, nie Chińczykiem. Żyję w tym kraju. Zwiedzam go. Głównie zachód. Byłaś gdzieś poza Zachodnim Wybrzeżem, Abbie? Północ musi być piękna...

- Chiny też są piękne, jak mi się zdaje. I lot w kosmos - jej twarz pojaśniała - I kiedy już tam będę, przekonam się na własne oczy.

Nie zamierzał pytać, o czym się przekona. Abbie wiedziała to samo, co jego matka.
Zwrot w transcendencję.

- Mam nadzieję, że ci się uda - wstał, by wyjść z boksu.

Chwyciła go za rękę.

- Nie odchodź, proszę. Niedługo wyjeżdżam, Jason... - jej głos był cichy, drżący. -

Wybacz mi - popatrzyła błagalnie. - Tak bardzo mi przykro...

- Już dobrze - powiedział, przystając. - Już dobrze, Abbie.

Rzuciła mu się w ramiona i Jason objął ją mocno. „I co dalej?” - pomyślał.

- To był zły pomysł - powiedziała Abbie. Usiadła i odwróciła do okna, za którym rozciągały się stalowo-szare wody zatoki.

Jason przeciągnął palcem po jej kręgosłupie.

- Wcale nie - powiedział łagodnie. - Dużo myślałem przez ostatnie lata. Zmieniłem się. Tak, jak i ty.

- Zawsze uważałam, że jesteśmy tacy sami - odrzekła przekornie.

- Bo jesteśmy. W małych sprawach nie różnimy się, ale to nie wystarczy do...

- Do czego?

- Do stworzenia związku - stwierdził twardo. - Nasze pragnienia się różnią. Tak naprawdę, jesteśmy diametralnie różni. Ty, na przykład, chcesz odlecieć w kosmos i...

- A ty nie chcesz? - odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Owinęła się pledem.

- Nie - powiedział stanowczo. - Ani przez chwilę o tym nie myślałem.

- A ja pragnęłam tego od dziecka. To jedyne marzenie, jakie zachowałam w Los Angeles. Zawsze chciałam polecieć na Marsa...

- Myślałem, że kolonia na Marsie została zniszczona.

Roześmiała się ironicznie.

- Zawsze wierzysz w to, co ci mówią? Nie, kolonia na Marsie nadal istnieje. Nadal prowadzi nasłuch i namierzanie, ciągle nadaje, gdy tylko pojawia się sygnał.

- Nasłuch i namierzanie? To znaczy?

- To znaczy, że mając dane z Ziemi, Marsa i Księżyca, można namierzyć, skąd dochodzi Sygnał.

W głosie Abbie brzmiało podniecenie. W Los Angeles dużo mówiła o Sygnale. Wtedy jej wierzył. Ale teraz nie ufał za bardzo nikomu i niczemu.

- Jason, pamiętasz, kiedy zaczynają się i kończą nasze migreny?

Chciałby zaprzeczyć, ale nie mógł. Oczywiście, że wiedział.

- A pamiętasz, kiedy pojawia się muzyka?

Tylko westchnął. Rozmawiali o tym tysiące razy, z podnieceniem i zapałem. Odruchowo nazywali ten stan „muzyką”. Ale to było coś bardziej dzikiego, chaotycznego.

- Pamiętam.

- To wszystko przychodzi wraz z Sygnałem. Już to udowodniono.

- Kto udowodnił?

- Ludzie z Chin.

- Jak się z nimi kontaktujesz?

- Przesyłamy sobie wiadomości przez ludzi na statkach. I używamy radia, jeśli działa. -

Zdarzało się to coraz rzadziej. I pewnie wkrótce przestanie się zdarzać.

Jason podniósł się i oparł o wezglowie.

- To dziecinada - stwierdził. - Powinnaś wreszcie dorosnąć.

- To ty doróżnij - zripostowała, wstając z łóżka i zakładając ubranie - Ja mam zbyt wiele do zrobienia - posłała mu jeszcze spojrzenie pełne wyrzutu, westchnęła, a potem wyszła delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Kilka miesięcy później na przystani Jason patrzył na Abbie po raz ostatni. „Królowa Chin” zrzuciła cumy, po trapie wnoszono na pokład statku zaopatrzenie i bagaże. Na wysokich masztach łopotały zmarlowane żagle.

- To zabawne, nie sądzisz? Płynąć żaglowcem, aby polecieć statkiem kosmicznym... - ścisnęła mu mocno dłonie.

- Taa... - mruknął. Znowu opuszczał go ktoś bliski. Prawie żałował, że spędził z Abbie minione miesiące. Zastanawiał się, co właściwie robi, przerywając kursy inżynierii. Bardzo szeroko pojmowanej inżynierii. Zdobytą wiedzę miał zamiar wykorzystać do pracy w Biomiastach, gdyż chciał podróżować i pracować jako niezależny inżynier.

Jednak, jak na razie, oprócz zawieszenia edukacji w dziedzinie inżynierii i snuciu planów, niewiele zrobił. Najważniejsze, co mu się udało zdziałać, dotyczyło Abbie. Wybaczył jej. Kiedyś opuścił ją, nie mogąc jej wybaczyć. Teraz było inaczej. Pokochał ją ponownie.

Ale Abbie stała się fanatyczką. Jason pragnął ją ocalić przed tym fanatyzmem. Ona chciała zmusić Jasona, by zmienił zdanie. Oboje wiedzieli, że ich drogi muszą się rozejść.

A jednak kurczowo ją obejmował.

- Och, Abbie, nie odchodź... - powiedział.

- Czemu nie popłyniesz ze mną?

Przerabiali to tysiące razy w tysiącach wariacji. Jason tylko mocniej przytulił dziewczynę.

- Błagam - wyszeptwała. - Jeszcze możesz zmienić zdanie.

- Nie potrafię - odrzekł i był zdziwiony, że mówi tak spokojnie, choć serce mu krwawiło.

*

Trzy miesiące po rozstaniu z Abbie, Jason opuścił San Francisco i autostopem udał się na północny-wschód. W mieście pozostał tylko tak długo, by dokończyć kursy nanoinżynierii, uzyskać dyplomy i certyfikaty. Miasto, które automatycznie i bezosobowo przyznało mu certyfikat ukończenia nauki oraz wpisało tę informację w DNA Jasona, miało na pewno

dostęp do jego genomu. Ale nie było żadnego komentarza na temat nietypowego kodu genetycznego Jasona, nikt też nie pojawił się w jego mieszkaniu, nikt nie próbował go szukać ani uwięzić, choć podświadomie tego się właśnie obawiał. Oczywiście, San Francisco miało prawa chroniące prywatność i wolność każdego mieszkańca, z czym wiązała się również ochrona danych genetycznych. Być może gdzie indziej Jason nie będzie miał tyle szczęścia.

Ale musiał się przenieść w inne miejsce.

Podróżował wczesną zimą przez surową, suchą krainę, przytłoczony pięknem tych rozległych terenów.

Im dalej od wybrzeża, tym trudniej było o transport. Kiedyś musiał iść aż do późnego popołudnia. Dziesięć, może piętnaście pojazdów minęło go, nie zatrzymując się. Około trzeciej zaskoczył go podwójny sygnał klaksonu. Zza przedniej szyby wysunęła się ręka z pistoletem i padło kilka strzałów w powietrze. Huk dzwonił Jasonowi w uszach długo po tym, jak pojazd zniknął za horyzontem.

Nie był pewien, co robić. Wczorajszej nocy spadł śnieg i zebrały się chmury zwiastujące zamieć. Jason miał w plecaku namiot i śpiwór, ale nie uśmiechało mu się za bardzo wędrować przez otwartą przestrzeń, unikając dróg. Choć może było to najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Znak, który właśnie minął, informował, że do miasteczka Heaven's Crossing zostało zaledwie sześć mil. Stający nieopodal billboard, któremu najwyraźniej wyczerpały się ogniwa słoneczne, jarzył się słabo, reklamując hotel Western Inn z restauracją i barem szybkiej obsługi.

Jason przyśpieszył kroku, niemal biegł przytrzymując plecak, by się za bardzo nie chybotął. Miał nadzieję, że dotrze do osady przed zapadnięciem zmroku. Z tyłu dobiegł go dźwięk zbliżającego się samochodu, więc na wszelki wypadek skrzył między głazy na poboczu. Usłyszał, jak pojazd się zatrzymuje.

- Podwieźć cię? - usłyszał.

Ostrożnie zerknął za siebie. To nie był samochód, z którego padły strzały, lecz półciężarówka.

- Nie będę czekał do nocy, aż się zdecydujesz! - zawołał mężczyzna z szoferki.

Jason podszedł. Z tyłu nie było miejsca, więc wcisnął plecak na podłogę i wsunął się do kabiny.

Dobroczyńca Jasona miał może pięćdziesiątkę. A Jason zaczął wyglądać coraz młodziej. Siwizna schodziła mu z włosów, mięśnie stały się bardziej sprężyste. Abbie. Zapewne znowu coś zrobiła z jego fizjologią, gdy byli razem. Wolał o tym nie myśleć. W tej

chwili jednak wyglądał prawie jak rówieśnik kierowcy półciężarówki.

- Nazywam się Howitz - przedstawił się mężczyzna. - A ty?

- Peabody. Jak daleko jedziesz?

- Do Salt Lake City.

- To mi pasuje.

Wyciągnął się na fotelu. W kabinie unosił się przyjemny aromat fajkowego tytoniu. Pojazd szybko minął Heaven's Crossing i Jason zauważył, że w miasteczku nie było śladu żywej duszy; ani jednego światła w oknach hotelu Western Inn, ani śladu ludzi na ulicach.

- Cieszę się, że mnie zabrałeś - odezwał się Jason. - Planowałem, że spędzę noc w tym mieście.

- W sumie nie miałem zamiaru cię podwozić, ale zobaczyłem, że umykasz na pobocze... Lepiej nie uciekać, jeśli nie chcesz, aby ktoś cię zranił. Pomyślałem, że musiałeś mieć ciężkie przejścia podczas podróży przez tę okolicę. Sporo się tutaj zdarzyło nieprzyjemnych rzeczy, ludzie nadal pamiętają... Jakaś młoda kobieta, przyjezdna, pół roku temu przywlokła plagę do Heaven's Crossing.

- Plagę?

- Jakieś nonsensy o Shambali. Nie wiem, jak to nazwać inaczej. Do Oregonu przyjechał guru, a ludzie wyjechali, by słuchać jego przemówień. To musiało być jak w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku, o ile mogę coś o tym powiedzieć. Mieszkańcy Heaven's Crossing zabrali wszystko, co miało jakąś wartość - oprogramowanie, żywność, ziarno. Pewnie złożyli to u stóp guru z Shambali, a on zrobił z nich niewolników. To dlatego nazwaliśmy to plagą. Mówię ci, dziwny jest ten świat i żyjemy w dziwnych czasach.

Zapadał zmierzch. Suchy śnieg tańczył w świetle reflektorów samochodu i opadał zygzakami na jezdnię.

- Wiesz coś do Salt Lake City? - spytał Jason kiwnięciem głowy, wskazując na ładunek z tyłu przykryty brezentem.

- Różne bio-próbki. Rząd dobrze za nie płaci. Rośliny, zwierzęta, owady. Wezmą, przyczepią etykiety. Razem z żoną zbieramy takie próbki. Szczególnie od zeszłego roku, gdy pszenica nam nie obrodziła. Wysialiśmy sklonowaną odmianę, bo rząd dopłacał wszystkim, którzy jej używali. A potem pojawił się wirus i zniszczył wszystko. Bo każdy kłos był identyczny, do cholery. To dlatego zająłem się zbieraniem próbek dla rządu. No, i chcę mieć jedno z tych urządzeń nano, które wytwarzają różne rzeczy. Słyszałem o nich. Ale żonie niezbyt się podoba ten pomysł. W Salt Lake mieszka nasz syn, może on wytłumaczy matce, że taka nanomaszynka, to niezły interes. Syn się martwi, że mieszkamy na odludziu, gdzie

drogi są zniszczone i grozi wiele niebezpieczeństw. Chce, żebyśmy sobie wyhodowali te receptory i zamieszkali w mieście. Ale, czy ja wiem? Wolę mieszkać tutaj. Żona i ja nie jesteśmy sami, mamy siebie i ziemię. Gdybym miał się obudzić i nie zobaczyć o poranku Żurawich Wzgórz, chyba bym oszalał. Mój syn twierdzi, że taki widok można sobie włączyć w mieście i będzie tak samo, ale... - Howitz pyknął i z fajki uniósł się aromatyczny dym. - Nie wierzę. A ty skąd idziesz?

- Z różnych miejsc.

- Niebieski ptak?

- Prawie. Chcę poszukać pracy w Salt Lake City. Wyjechałem z San Francisco. Uczyłem się tam o działaniu systemu Biomiast i takich tam. - Jason podniósł dłonie osłonięte rękawiczkami. - I tam wyhodowałem sobie receptory. Spodobały mi się. To niezła rzecz.

Howitz wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Może najlepszym sposobem obrony jest wiedzieć, co się dzieje. Moja żona była radioamatorką. Lubiła to. Miała przyjaciół na całym świecie, zanim nadeszła Cisza. I nadal tęskni do tamtych czasów, wciąż jeszcze próbuje używać radia. Myślę, że to dla niej ważne. Może raz na tydzień udaje się jej zwrócić czyjąś uwagę. Czasem nawet utrzymuje się kontakt przez kilkanaście minut. Musi się bardzo streszczać, radioamatorzy używają teraz kodu, bo mówienie trwa zbyt długo, a czasu jest bardzo mało. Nie wiem, czy to się na coś zda. Wymieniają głównie plotki. Mój syn uznaje tylko wiadomości przesyłane pociągiem. A ja uważam, że te wieści to głównie papka dla mas, propaganda. Nie można im ufać. Powiem ci, komu warto ufać: przyjaciołom i rodzinie. Tam, gdzie mieszkam, jest kilkanaście gospodarstw, niezbyt blisko położonych, ale trzymamy się razem, spotykamy w jednym z domów co niedziela. Wymieniamy się różnymi rzeczami i rozmawiamy. To działa. I to nam wystarcza.

Jason wyciągnął batona z plecaka.

- Chcesz jednego?

- Skąd je masz?

- Z małego miasteczka około dwustu mil na zachód stąd. Emoryville, chyba się nazywa...

- Jasne, że chcę! - ucieszył się Howitz. - Nie jadłem snickersów od wieków. Nie wiedziałem, że jeszcze je robią...

- Pewnie już nie - zgodził się Jason. - Te są cholernie stare. Zaproponował Howitzowi, że zmieni go przy kierownicy, ale starszy mężczyzna odmówił. Wkrótce potem Jason zmęczony zdrzemnął się. Zbudził go dopiero wstrząs przy hamowaniu.

- Gdzie jesteśmy?

- Na stacji PSSK - odpowiedział Howitz. - Muszę przeładować próbki do pociągu i przetransportować do Salt Lake City - otworzył drzwi i wysiadł. Z zadowoleniem wysikał się, oblewając rachityczne rośliny przy samochodzie.

Był już prawie świt. W nocy napadało dwa cale śniegu. W oddali Jason zobaczył światła. Jasne światła miasta.

*

Jason pomagał przy załadunku próbek synowi Howitza, Edowi. Chłopak był chętny do rozmowy podczas dwudziestopięciominutowej jazdy do Salt Lake City szybkobieżną koleją. Wtedy Jason poczuł się trochę jak wieśniak, który po raz pierwszy znalazł się w wielkim mieście. Nie tylko szybka kolej go zafascynowała, na ulicach widział nowoczesne, eleganckie pojazdy, zewsząd migały reklamy i informatory oferujące tysiące okazji do nauki i zabawy - miasto nowych, zaskakujących możliwości.

- Chciałbym, aby rodzice przeprowadzili się do Salt Lake City - powiedział Ed, opierając stopy o paczki z próbkami. Załadowali je na stos zajmujący kilka rzędów siedzeń. - Naprawdę się o nich martwię. Najgorsze są te plagi. Już od lat dziewięćdziesiątych określa się takie zjawiska jako „do odstrzału”. Plagi też powinno się likwidować. Przecież taka plaga ugotuje ci mózg. Zmieni układ ścieżek nerwowych i albo zrobi z ciebie warzywo i będziesz się uśmiechał i uśmiechał... Albo zaciągniesz się do wojska, czy coś. To gównno, człowieku. Wielkie gównno.

- Ale jak to powstrzymać?

Ed zerknął na Jasona uważnie.

- Po to przyjechałeś?

Jason potrząsnął głową.

- Nie. Jestem tylko inżynierem. Na podstawowym poziomie. Pomyślałem po prostu, że dobrze będzie zdobyć kolejne stopnie wiedzy w różnych miastach. No wiesz, żeby się łatwo przystosować.

- Taa... Jeśli mogę ci doradzić, nie daj się wmieszać w grupy, które zajmują się plagami i podobnym nano-śmieciem. Choćby dlatego, że to przestępstwo ścigane przez władze lokalne, ale także stanowe, federalne i międzynarodowe. I naprawdę surowo karane. Zresztą, nie dziwi mnie to. W końcu, to ludzie, którzy chcą innym odebrać wolną wolę...

Jason pomyślał o matce. Wydawało się, że została pozbawiona wolnej woli, choć, oczywiście, to nieprawda. Podjęła decyzję, dokonała wyboru.

- Tak - odpowiedział Edowi. - Ale czy nie sądzisz, że ważne jest, aby jacyś dobrzy

ludzie wiedzieli, jak się robi takie plagi? Dzięki temu mogliby się nauczyć, jak je likwidować i zapobiegać następnym.

- Całkiem słusznie - przyznał Ed. - To nasza stacja. Są moi pomocnicy, przeniosą towar do laboratorium. Wracam, chcę trochę czasu spędzić z ojcem. Powodzenia. Gdybyś czegoś potrzebował, daj mi znać...

- Dziękuję, nie omieszka - pożegnał się Jason. - I przekaz Howitzowi moje serdeczne podziękowania.

*

Po czterech miesiącach w Salt Lake City Jason znowu był w drodze, ale tym razem podróżował PSSK.

W Houston pracował jako dozorca w siedzibie NASA. Nikt nie zdawał sobie sprawy, kim naprawdę jest Jason, ani też nikt nie wiedział, że załatwił sobie dostęp do systemu i czytał tajne informacje. Informacje o koloniach na Księżycu i na Marsie.

Informacje o Sygnale.

Informacje o poszukiwaniach ludzi takich, jak Jason lub Abbie.

I wszystko to skopiował.

Usłyszał, że Nowy Orlean może stać się wolnym miastem. Gdy nieomal go zdemaskowano, czym prędzej wyruszył autostopem na wschód.

Crescendo światła

Tamchu, Kambodża, 2038

Tamchu i Komendantka usiedli przy karcianym stole na długiej, zadaszanej werandzie otwierającej się na porośnięty dżunglą jar. Przed nimi rozciągało się zaorane pole, a poniżej stromych zboczy leniwie płynęła rzeka. Komendantka przywiozła tu wszelkie gatunki papug oraz zięby, pomimo że Tamchu obawiał się naruszenia naturalnej równowagi ekologicznej tego zakątka.

- Im więcej, tym lepiej - zwykła mawiać. Tamchu uświadomił sobie wtedy, że „naruszenie równowagi” nie jest dobrym sformułowaniem, aby ją nastraszyć. Naruszanie równowagi było celem życia Komendantki.

Był zmęczony, bardzo zmęczony. Wrócił właśnie z podróży, jakie odbywał regularnie. Tym razem pojechał do Bangkoku. Był szpiegiem, po prostu. Ubierał się jak biznesmen, nosił kosztowne gadżety, jak przystało na biznesmena, np. podręczny telefon Toshiba na nadgarstku, z możliwością odbioru każdego sygnału w szerokim zakresie, gdyby taki sygnał się pojawił; czytnik metaferomonów w nosie, czuły na bardzo różne stężenia feromonów używanych w najwyższych kręgach - zarówno rządu, jak i biznesu - o ile czujnik byłby prawdziwy. Ale ten, który miał Tamchu, nie był prawdziwy. Takie czujniki-pierścienie w nosie przekazywały dane przez ścieżkę nerwów z nosa wprost do mózgu. Użytkownicy musieli przejść czasochłonny i żmudny trening, aby ich mózg przełożył sygnały metaferomonowe na nowy typ języka, oparty o indywidualne wzorce uczenia się i rozumienia. Nadal komunikaty formułowane przez zaawansowanych, były trudne do zrozumienia dla większości ludzi, więc mnóstwo wiadomości poziomem komplikacji nie przewyższało prymitywnego języka dziecinnego. Adresat, który otrzymywał komunikat metaferomonowy przez czujnik w nosie, najczęściej zamykał oczy i wpadał w rodzaj wizji - w przeciwieństwie jednak do np. sennych marzeń czy transów, w pełni poddających się kontroli. I w przeciwieństwie do snów, takie widzenie można było bez trudu zapamiętać, także zapisać w fizycznym nośniku, na przykład tabletkę - a potem wrzucić do filiżanki z gorącą wodą wdychając opary inhalować się danymi. Nie było też problemu z przechowywaniem danych ani stabilnością nośników.

Kiedy Tamchu odwiedzał kluby w śródmieściu, do jakich zabierali go bogaci i

ekstrawaganczy cudzoziemcy, musiał uważać szczególnie na swoje słownictwo i akcent, aby pomimo tybetańskich, wysokich kości policzkowych i smagłej skóry, nie zdradzić tożsamości innej niż tajska.

Jak się okazało, w Bangkoku kwitł nie tyle oficjalny biznes, co interesy na peryferiach legalności. Głównie chodziło o seks w tym wielkim mieście, które Tamchu odkrył jako jednocześnie radosne i tragiczne. Nędza nie była tu niczym nowym. W przygnębieniu wprawiała go świadomość, że bieda jest tak wszechobecna i pojawia się w narodzie, który walczył o niepodległość przez tyle wieków oraz dysponował bogatymi zasobami naturalnymi. Czy to po prostu przyrodzone społeczeństwu, że jego lwia część zostaje zepchnięta na margines egzystencji, że z pokolenia na pokolenie większość pozbawiona jest dostępu do bogactw i źródeł wiedzy, jak właśnie Komendantka i ludzie jej podobni? I to w czasach, gdy istnieje nanotechnologia, która może im pomóc? A przecież istniał wyraźny opór wobec zmian, które ogarniały inne zakątki świata.

Tamchu spojrzął przez stół na Komendantkę. Nosiła ścięte na krótko, po męsku, czarne włosy, które otaczały jej twarz. Odżywiła się skromnie i codziennie ciężko ćwiczyła - jej ciało było muskularne, szczupłe i pozbawione biustu oraz innych wyraźnych atrybutów kobiecości.

Komendantkę spotkał, gdy dobiegała czterdziestki. Jej twarz była wtedy wychudzona, wokół ust zmarszczki żłobiły bruzdy, które jeszcze się pogłębiły przez minione dziesięć lat. Ciemne, bystre oczy dostrzegały wszystko, czasem pojawiał się w nich wyraz zamyślenia i okrucieństwa, nawet jeśli wokół panował spokój, niebo było błękitne, a słońce świeciło jasno. Tamchu podejrzewał, że Komendantka nigdy nie zaznała w życiu ulotnych chwil beztrioski. Pracowała na polach ryżowych do chwili, gdy jej rodzice, brat i siostra zmarli zakażeni jedną z nieznanych plag. Wtedy została wraz z drugą siostrą sprzedana przez wuja do burdelu w Bangkoku. Czekał ją los niewolnicy. Drugiego z klientów Komendantka pchnęła nożem, który ukryła pod poduszką. Wcześniej udało się jej uniknąć wstrzyknięcia narkotyków paraliżujących wolę. Tylko dzięki temu udało się jej wybiec na ulicę i uciec. Potem rok zajęło jej odszukanie siostry. Dziewczyna była już wtedy chora na AIDS i zmarła z powodu powikłań wywołanych jakąś złośliwą formą wirusa nano. Nastoletnia wówczas Komendantka po śmierci siostry poszła na lotnisko i udało się jej przemknąć do ładowni - na gapę poleciała do Hongkongu. Tam wstąpiła do chińskiej armii, gdzie przyjmowano wówczas chętnie wszystkich ochotników. Armia zapewniła jej całkiem niezłą edukację, gdy tylko okazało się, że jest pilną uczennicą. Odsłużyła swoje, walcząc w kilku potyczkach granicznych - prawdopodobnie przeciw krajanom Tamchu - i wróciła do Tajlandii.

I wtedy wypowiedziała wojnę burdelom. W rezultacie domy publiczne w Bangkoku przekształciły się w ruchome placówki. Komendantki nie interesowały drogie, luksusowe domy publiczne zatrudniające call-girls. Uważała, że tamte kobiety przetrwały i urządziły sobie życie, podejmując decyzje dobrowolnie. Jej celem było uwolnienie seksualnych niewolnic, dziewcząt często zaledwie dziesięcioletnich lub młodszych, które ustawiano dla klientów w małych burdelach - za weneckim lustrem, ubrane jedynie w numer. Takie dziewczęta umierały zazwyczaj w ciągu roku, najwyżej dwóch. To stanowiło jeden z głównych aspektów działalności Komendantki, lecz nie jedyny. Była też siatka agentów, mająca za zadanie śledzić ludzi zajmujących się „rekrutacją” dziewcząt do domów publicznych. Zazwyczaj tacy „łowcy głów” odwiedzali małe, biedne osady w wielkich samochodach i szastali pieniędzmi, za które kupowali nieletnie niewolnice. Czasami obiecywali rodzicom dziewcząt, że ich córki otrzymają w mieście edukację i dobry start. Oddziały Komendantki regularnie robiły zasadzki na drogach, gdy wielkie samochody wracały do Bangkoku z żywym towarem. Siatka agentów prowadziła również działalność informacyjną - do wiosek jeździł autobus, w którym prezentowano filmy pokazujące prawdziwe warunki życia dziewcząt w burdelach oraz zdjęcia z kostnicy.

Tamchu poznał śmierć - śmierć bliskich - matki, siostry, starego ojca, którzy zginęli z rąk terrorystów. Na początku przyjmował ją spokojnie. Ten świat pełen bólu i przemocy - był jego światem. Ale gniew bezcelowy, kontrolowany przez niewidzialnego dowódcę, który nie miał żadnych względów dla życia innych, sprawiał, że nawet najbardziej szczytne przedsięwzięcia uznawano za terroryzm i darzono nienawiścią. Tak też traktowano działalność Komendantki. Tamchu zaczynał to dostrzegać, choć wcale nie chciał. W sprzeczności wmawiał sobie, że nie ma niewinnych ofiar. Ale wiedział, że to nieprawda. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Komendantka pozwala mordować klientów burdeli. Nastraszyć ich, to co innego.

- To właściciele burdeli zasługują na śmierć, nie klienci - przekonywał. - Powinnaś zasiać strach - powtarzał Komendantce. - Bo tylko strach przed śmiercią zrujnuje handel żywym towarem.

Uważał, że armia Komendantki, która składała się głównie z byłych ofiar handlu żywym towarem, nazbyt duży nacisk stawiała na szkolenie w zabijaniu bez wyrzutów sumienia. Po nim łatwo przychodziło później mordowanie...

Jedna z dziewcząt przyniosła tradycyjną zieloną herbatę i potrawkę z soi. Tamchu podziękował. Dopóki się nie odwróciła, nie zauważył, że dłonie miała zaciśnięte w pięści.

- Tej trudno się będzie zmienić - stwierdził. Przyglądał się Komendantce palącej

cygaro. Odgarnęła włosy i oparła nogi o barierkę werandy. Jak zwykle nie dokończyła skromnego śniadania, ryżu, zimnej ryby gotowanej na parze, mango.

- Nie wiem, co z nią począć? Niektórzy są bardziej wrażliwi...

- Pozwól jej być sobą - zasugerował Tamchu. - Nie każdy jest stworzony na zabójcę.

- Oczywiście, że każdy - sprzeciwiła się starsza kobieta - Wystarczą tylko sprzyjające okoliczności, by nauczyć się zabijania. A jeżeli ktoś nie potrafi, nie zasłużył sobie na dar życia.

Tamchu pomyślał o Illian. Nie umiał sobie wyobrazić, żeby mogła zabić w jakichkolwiek okolicznościach.

- To nieprawda - zaprotestował. - Takie twierdzenie jest śmieszne.

- Kiedy świat się zmieni, może się z tobą zgodzę - odrzekła. - Moje siostry nie walczyły. I zginęły.

- Mówisz tak, jakby zasłużyły na śmierć - wytknął jej Tamchu.

Komendantka zgasiła cygaro w resztkach mango. Jej ruchy nigdy nie były powolne, lecz zawsze ostre, ergonomiczne, zdecydowane. Spojrzała mu prosto w twarz.

- Wierz mi, gdybym umiała wyleczyć ten chory świat z handlu niewolnicami, nie zawahałabym się ani przez chwilę. Użyłabym wszystkiego, co mam - armii, umiejętności organizacyjnych i taktycznych... Właśnie dlatego chciałam się z tobą widzieć. Utrzymuję kontakt z pewnym człowiekiem w Hongkongu. Mam zamiar wysłać cię do niego. Musisz dowiedzieć się, ile towaru zdoła wyprodukować ten człowiek i za jaką cenę. Wytarguj, ile się da, nieważne jak. Dowiedz się, jakiego typu nosicieli powinniśmy użyć, aby osiągnąć najlepsze rezultaty.

- Co masz na myśli, mówiąc o nosicielach?

- Nosicieli zakażenia, rzecz jasna.

- Czyli chodzi o jakąś chorobę?

Wahała się przez sekundę, nie patrząc na Tamchu. Myślała nad czymś intensywnie.

- Nie. Chodzi o lekarstwo. Tak, o lekarstwo na tę seksualną chorobę, która popycha mężczyzn do niewolenia kobiet.

- Och... - tyle tylko zdołał powiedzieć. Milczał ponad minutę. - Nie jestem pewien, czy chcę robić takie rzeczy.

Nie myślał, że się odważy powiedzieć to głośno. Ale właśnie tak czuł i nie powinien się wzbraniać przed wyrażaniem własnych przekonań. Zdawał sobie sprawę, że Komendantka bardzo na niego liczy. Nie obawiał się jednak, choć wiedział, że kobieta nie pozwoli mu łatwo się wywinąć, gdyż za dużo wiedział.

Komuś obcemu mogłoby się wydawać, że Komendantka nie reaguje na słowa Tamchu - wyważone, może podszyte nieco buntem. Ale zawsze rozumiała dokładnie, co chciał jej przekazać. I teraz też wystarczyło krótkie zerknięcie, dziki błysk w ciemnych oczach, gdy obserwowała tłącą się końcówkę cygara na talerzu - powiedziało to Tamchu więcej o jej uczuciach, niż gdyby zaczęła krzyczeć.

Oczywiście, nie przerwała rozmowy, nawet jeżeli nie było już nic więcej do powiedzenia.

- Rozumiem twoje obiekcje dotyczące pojęcia „choroba”. Pozwól, że wyjaśnię to inaczej. Długo się nad tym zastanawiałam. Wierz lub nie, ale zdaję sobie sprawę, że jestem w pewnym sensie chora. I ty również jesteś chory na to samo, choć może w mniejszym stopniu.

Zaskoczyła go tak obiektywną samooceną.

- Co to ma do rzeczy, jeżeli chodzi o zakażenie innych ludzi?

- Każdy gatunek ma określone rytuały i strategie reprodukcji. Samiec starający się połączyć z jak największą liczbą młodych kobiet, to przykład takiej właśnie strategii. Ale mamy na naszej planecie więcej ludzi niż potrzeba. Męski popęd płciowy musi zostać pohamowany. A kobiety powinny mieć większą możliwość kontroli nad decyzjami dotyczącymi rozmnażania. Mężczyzna, który naprawdę chce mieć dzieci, podejmie decyzję racjonalnie, rozważy swoją sytuację materialną i własne emocje. Kobieta mogłaby zdecydować się na związek z mężczyzną nie pod wpływem popędu płciowego, lecz w poczuciu, że ma czas, pieniądze, dojrzałość i miłość, które sprawią, że wychowa zdrowe i szczęśliwe potomstwo.

- I wtedy może się okazać, że na tej planecie nie urodzi się więcej dzieci - zauważył Tamchu. - Kto wrażliwy i odpowiedzialny czuje się na siłach, by wychować dziecko?

Komendantka zachnęła się. Nigdy się nie śmiała, ponieważ nigdy nie wydawała się wystarczająco szczęśliwa, by zdobyć się na zwykły śmiech. W zamian zachnięciem kwitowała coś, co wydawało się jej śmieszne lub żałosne. A cudze wypowiedzi bardzo często prowokowały ją do takiej właśnie reakcji.

- Przecież mam swoje dziewczęta. Wychowuję je - odcięła się.

- Trenujesz - zaprzeczył Tamchu. - Szkolisz zabójczynie. Nie wydaje mi się, że to wychowanie. Używasz tych dziewczyn jak narzędzi. Jak broni.

- O to właśnie chodzi! - stwierdziła z satysfakcją. - Jedź do Hongkongu i zdobądź tę substancję. Chyba można ją wpuścić do wody, użyjemy helikoptera.

- Co to w ogóle jest? - zapytał. - Nie masz litości? Lepiej tego nie brać...

Komendantki nie sposób było jednak zirytować. To najbardziej w niej cenił. Była

uczciwa, prostolinijna, a choć czasem lekceważyła słowa krytyki, nigdy się nimi nie irytowała.

- Wydaje mi się, że kręcisz się w kółko - dodał.

- To, co teraz robię, jest prymitywne. Nie działa. Ludzie w wioskach nie wierzą w pokazywane im filmy o losie dziewczyn z burdeli. Nie ma znaczenia, ile bym zapłaciła, aby dziewczęta mogły zostać w domach. Ich rodzice lub krewni przyjmą pieniądze, a miesiąc później i tak prehandlują córki, o ile nie przyjadę, by to sprawdzić. I tak w kółko. Myślę, że to się nigdy nie zmieni, o ile nie nastąpi jakiś przełom, jakaś ogromna zmiana w świadomości.

- W Tybecie, w Nepalu jest inaczej... - mruknął Tamchu myśląc o matce i ciotce.

Kolejne zachnięcie.

- Odsetek piśmiennych mężczyzn w Nepalu wynosi 12%. Kobiet - 3%. Gdyby to, co mówisz, było prawdą, oba współczynniki byłyby identyczne.

Tamchu westchnął.

- Mężczyznom trudno to pojąć - odezwała się Komendantka. - Ale ty nie jesteś taki zły, jak na mężczyznę, ma się rozumieć.

- Nie sądzę, że to wina mężczyzn - odpowiedział.

- Mężczyźni są tak samo ofiarami, jak kobiety - zgodziła się.

Tamchu odchylił się na krzesło. Komendantka często wprowadzała go w zakłopotanie. Miał uczucie, że wmieszał się w wojnę, która nie była jego walką, nawet jeśli naprawdę żałował dziewcząt, które ta kobieta próbowała wyzwolić.

- To system jest winien - stwierdziła Komendantka, podsumowując także to, co myślał Tamchu. - Cały system stworzony przez ludzkość. To właśnie zabiło twoją siostrę.

- Moją siostrę... zabiły jakieś rządowe machlojki - sprostował. Jak zwykle mówił powoli, starannie formułując słowa. Kiedyś, dawno temu, dał się przekonać, że Illian nie żyje. Jednak w duchu nadal nie wierzył w jej śmierć. Na początku jeszcze starał się wykorzystać własne umiejętności, by ją odszukać. Ale pesymistyczne nastawienie Komendantki powoli mu się udzielało i nadzieja nikła coraz bardziej.

- Zadręczasz się tym od lat - powiedziała starsza kobieta, zapalając kolejne cygaro. - To dla ciebie sprawa osobista. I chcesz dowiedzieć się więcej. Chcesz wiedzieć, co zabiło twoją siostrę. Rozumiem... - zaciągnęła się dymem i wstała. - Jedź do Hongkongu. Spotkaj się z tym człowiekiem. Dowiedz się, co ma do sprzedania. On dużo wie. Wie o sprawach, które mnie nie interesują. Ale może będzie umiał pomóc tobie.

Klepnęła go po ramieniu i weszła na schody prowadzące na taras, pozostawiając za sobą smugę aromatycznego dymu mieszającego się z zapachem kwiatów. Nieopodal

dziewczęta ćwiczyły musztrę, a ich cienie były krótkie, jak zwykle, gdy słońce stało w zenicie. Wiotkie postaci stawały na baczność, obracały się, prezentowały broń. Na młodych twarzach nie było żadnych uczuć, tak samo, jak na twarzy Komendantki. Gdy się pojawiła, zasalutowały, równo trzaskając obcasami. Oddała salut. Dziewczęta wróciły do musztry. Baczność. Zwrot. Marsz. Oddział rozproszył się wśród drzew. Pora na ćwiczenia z partyzantki.

Tamchu zdecydował, że pojedzie.

*

Barwny, bogaty Hongkong oszołomił Tamchu. Na próżno starał się pozostać niewzruszony na wpływ miasta, fantastycznego, zmysłowego, pełnego emocji. Mężczyzna nieomal zapomniał, po co tu przybył i jakie zadanie powierzyła mu Komendantka.

Okazało się, że wszystkie interesy można tu załatwić przez wirtualne panele dostępu, co wcale nie ucieszyło Tamchu. Panele były trójwymiarowymi boksami podłączonymi do sieci. W Hongkongu używano do przekazywania danych pewnego rodzaju cieczy, która płynęła w rurach pod miastem tworząc biosystem informacyjny. Był to wstępny etap konwersji Hongkongu w Biomiasto.

Godzinę później błąkał się rozbity po ulicach. Kupił to, po co przysłała go Komendantka, posługując się kryptonimem „Black” podczas burzliwej, anonimowej licytacji. Dla Tamchu była to jedna z setek transakcji, jakich dokonał dla Komendantki, zaczynając od zakupu broni, na ciężarówkach czy materiałach wybuchowych kończąc. Jediną różnicę stanowił cena - tym razem towar był zaskakująco drogi. Zastanawiające, skąd pochodziły pieniądze. Czyżby Komendantka, tak chwalała tę tajemniczą substancję, zawarła umowę z innymi grupami? Towar znajdował się teraz bezpiecznie ukryty w pasie na pieniądze. Tamchu nie znalazł żadnych informacji o Illian, ale to nie było niespodzianką. Nie oczekiwał, że uda mu się coś znaleźć.

Dwie przecznice dalej za plecami Tamchu pojawił się nagle ciemnoskóry karzeł i Japonka. Karzeł odezwał się spokojnym tonem:

- Nie możemy dużo zapłacić za to, co masz. Ale możemy dać ci szansę, abyś zrobił coś dobrego.

*

Dwa dni później, o poranku, Tamchu wysiadł z ekspresu na dworcu kolejowym w Bangkoku i zdecydował, że zostanie na noc w mieście, a jutro złapie kolejkę jadącą na północ, gdzie nie kursowały międzynarodowe pociągi szybkobieżne. Był zmęczony i chciał odpocząć przed spotkaniem z Komendantką. Poza tym czuł, że w Bangkoku jest bezpieczny.

„Oczywiście, że jestem bezpieczny" - rzekł do siebie. - „Masz władzę nad życiem i śmiercią mieszkańców tego miasta, a może nawet świata!"

Nie czuł się bynajmniej szczęśliwy z tego powodu, albowiem karzeł i Japonka powiedzieli mu, że posiada coś o wiele bardziej niebezpiecznego niż twierdziła Komendantka. Japonka wyglądała na mocno roztrzęsioną i Tamchu nie zamierzał jej słuchać ani przez chwilę. Jednak karzeł był spokojny i opanowany. W przeciwieństwie do kanciarzy i oszustów, z którymi Tybetańczyk zwykł zawierać umowy, roztaczał wokół siebie aurę prawości i moralnej siły. Tamchu, co dziwne, przypomniła się wtedy matka. Tak czy inaczej, choć twierdzili, że nie mogą wiele zapłacić, ich oferta dwukrotnie przewyższała sumę, za jaką kupił... to coś, co ukrył w pasie.

A jednak odrzucił korzystną propozycję. Nie chciał zdradzić Komendantki. Na dodatek karzeł go niepokoił.

Tamchu wybrał hotel w dzielnicy, gdzie często bywał. Z przyjemnością wyszedł z dworca w upalne powietrze miasta i zatrzymał riksarza. Dawniej rozlegał się tutaj głośny tupot nóg młodych mężczyzn ciągnących wózki, ale teraz w użyciu były riksze rowerowe.

Kilka minut później, siedząc w rikszy stojącej na skrzyżowaniu, zdał sobie sprawę, że buddyjska mniszka w zwiewnej pomarańczowej szacie przygląda mu się uważnie. Stała zaledwie kilka stóp od przystanku autobusowego, trzymając nad głową zielony parasol przeciwsłoneczny. Stara, pocięta siecią zmarszczek twarz była smagła i ciemna. Nie miała włosów, a na wygolonym czole obracał się tatuaż z modlitewną mandalą. Prawdopodobnie pochodziła z Tybetu.

Ich spojrzenia się spotkały. Tamchu jednak był zbyt zmęczony, by odwrócić oczy, jak to zazwyczaj się dzieje w takich sytuacjach.

I wtedy poczuł moc buddyzmu.

Moc płynącą od mniszki, z jej wnętrza, z jej istoty. Nie spotkał się z tym, odkąd opuścił Katmandu, ale w pamięci odżyło mu dzieciństwo i związane z tym okresem wspomnienia, w których buddyzm był równie oczywisty jak powietrze przy każdym oddechu. Tamchu uświadomił sobie, że moc przepływająca przez niego istnieje wszędzie, nawet w rikszy.

Energia otoczyła go, oblała i obnażyła wszystkie te małosłowne wymówki, jakimi usprawiedliwiał przez lata swoje czyny. Oto, kim się stał. Ogarnął go nagły wstyd, niczym wybuch magnezji, że śmiał nazywać się buddystą. Spojrzenie buddyjskiej mniszki było spokojne, głębokie i pełne siły. Żadnego zaskoczenia tym, co się wydarzyło. Tylko zrozumienie. Tamchu miał pewność, że staruszka skupiła tę energię i skierowała ją tak, jak

wykopawszy rów, można skupić i skierować nurt wody w określoną stronę. Dostrzegł jeszcze, jak nie spuszczać oczu z jego twarzy, mniszka kreśli wolną dłonią mudrę w wilgotnym powietrzu.

I wtedy światła się zmieniły i riksza ruszyła gwałtownie. Tamchu ujrzał znowu tylko długie aleje wypełnione tłumem ludzi, pojedyncze drzewa, zamglone krańce uliczek - ale teraz wszystko zdawało się wyraźniejsze, jakby oczyszczone w wewnętrznym ogniu, jaki zapłonął w sercu mężczyzny. Płomień rozrastał się, zmieniał wszystko. Nie tak, jak opisywał ciemnoskóry karzeł tę substancję, która mogła zmieniać rzeczy. Dla Tamchu zmieniał się w tej chwili cały wszechświat. A on przyjmował to - bez oceny, bez osądu. Nie wiedział, co to oznacza. Właściwie nic nie wiedział, oprócz świadomości, że każda istota promieniuje żywym światłem, czystym światłem Buddy.

Dojechawszy do hotelu, zapłacił rikszarzowi i wszedł do chłodnego, ocienionego westybulu o ścianach ozdobionych kunsztownymi, drewnianymi ornamentami. Recepcjonista przeprasającym tonem zapewnił, że pokój będzie gotów w ciągu pół godziny.

Tamchu wyszedł na ulicę i powędrował bez celu. Wszedł do ekskluzywnej galerii sztuki. Rozejrzał się, prześlizgując nieobecny wzrokiem po malowidłach i rzeźbach. Gdy się odwracał do wyjścia, minął szklaną gablotę z różnymi drobiazgami. Był prawie przy drzwiach, gdy w końcu do jego świadomości dotarło, co zobaczył. Zawrócił natychmiast.

Na jednej ze szklanych półek stała nieduża klatka na motyle z metalowych drucików pozwijanych w szalony wzór. Pręty nie łączyły się równo, lecz przeplatały, tworząc zupełnie nową, niepowtarzalną jakość.

Serce Tamchu biło mocno. Podniósł klatkę, obejrzał dokładnie. Przypominała dzieła Illian, które splatała dla niego wiele lat temu. Ten sam rozmiar, ta sama podstawowa konstrukcja.

Wewnątrz klatki uwięziona była metalowa figurka dziewczynki, nieskrępowana, ale też niezdolna do wysunięcia się spomiędzy delikatnej płataniny prętów.

Tamchu najpierw pomyślał, że chyba jest zbyt zmęczony albo może śni. Albo też nadal jest w wirtualnej sieci informacyjnej Hongkongu i ulega złudzeniu, że spotkał karła i Japonkę, odbył podróż szybkobieżnym pociągiem, widział buddyjską mniszkę i światło, które przenika każdą żywą istotę. Albo to sen, którym manipuluje jakiś niewidzialny, potężny władca snów z przyczyn, które dla Tamchu pozostawały tajemnicą.

Lecz nie. Nie spał i nie śnił, a w drżących dłoniach trzymał małą klatkę na motyle.

Gorliwie obracał ją w palcach, spragniony każdej informacji, jakiej mógł dostarczyć sam widok tego dzieła sztuki. To szczęśliwy traf, nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że

natknął się na tę klatkę. Oczywiście, mogła nie mieć nic wspólnego z Illian.

Jest! Na jednym z metalowych pręcików znajdowała się stylizowana, rzymska cyfra „I”. Albo raczej litera *i*. I jak Illian. Jej podpis. I jeszcze wygrawerowane miejsce powstania - Paryż.

Zaschło mu w gardle, do oczu napłynęły łzy. Dziwne uczucie, nie płakał ani razu, odkąd spotkał Komendantkę.

Nie mógł kupić klatki na motyle. Przez lata uzależnił się od Komendantki i nie miał żadnych własnych środków, nie potrzebował zresztą pieniędzy. Hotele, pociągi, statki, ubrania - wszystko było opłacane z konta starej Tajki.

Nie miał zamiaru narażać się i użyć pieniędzy Komendantki, by kupić dzieło Illian. Ta klatka na motyle była jak żywa, płonęła blaskiem przyćmiewającym wszystko inne. Tamchu nie miał tyle życia. Nie miał go wcale, bo jego życie nie należało do niego.

Pojął nieoczekiwanie, że żył sprowadzając śmierć i zniszczenie na tych, których wskazała mu Komendantka. Żył dla jej kaprysu lub przyjemności. Był jej narzędziem. Oddał się w jej ręce, oddał umysł, serce, życie.

Poddał się.

A teraz nieoczekiwanie chciał przywołać dawne życie, prawdziwe, pełne emocji. Życie pełne pragnień, by coś zrobić, być kimś, myśleć i czuć. Życie, które wolne było od znużenia. Być może sprawiła to radość, jakiej nie czuł nigdy wcześniej.

Illian żyła! Nie posłał jej na śmierć!

Rozejrzał się. Sprzedawczyni rozmawiała z jakimś Japończykiem. Żałował, że nie spytał jej o Illian, ale pewnie i tak nic nie wiedziała.

Wyszedł, trzymając klatkę na motyle, a czuł, jakby trzymał w dłoniach własne życie. Za plecami rozległ się alarm, wyobraźnia podsunęła mu obraz strażnika ruszającego w pościg - Tamchu nie próbował uciec, po prostu wślizgnął się w tłum tak, jak to robił wiele razy przez minione lata. A potem skierował się prosto na stację lokalnej kolei.

*

Kiedy pociąg wjechał na peron w kambodżańskiej wiosce, było późne popołudnie. Tamchu zdecydował, że najlepiej będzie stanąć przed Komendantką i powiedzieć jej prosto w oczy, że odchodzi. W końcu, długo się już znali. Poza tym, Komendantka zapłaciła za tę substancję, którą nosił ukrytą w pasie. Ciemnoskóry karzeł twierdził, iż ktokolwiek wejdzie w posiadanie tego związku, będzie miał świat u stóp. Zatem mógłby zażądać okupu za oddanie substancji zdolnej do zniszczenia świata. Ale dlaczego Tamchu zaufał małemu człowiekowi, który nigdy nawet nie słyszał o Komendantce?

Ku zaskoczeniu mężczyzny, Komendantka czekała na betonowym peronie, tuż obok budki z biletami. Zauważył ją, gdy stara kolejka - anachronizm w erze nanotechnologii - zwalniała, piszcząc i przeraźliwie zgrzytając. Komendantka wyglądała na udręczoną. Tamchu obserwował ją z synowską niemal czułością zza brudnego okna, uchylonego nieznacznie, ponieważ klimatyzacja ledwie działała. Stara kobieta musiała przychodzić na stację codziennie i czekać na jego powrót. Wcześniej nigdy tego nie robiła.

Pałac cygaro, nie patrzyła w okna pociągu, lecz na drzwi. W jej gestach czaiła się nerwowość. Zdawało się, że nie jest sobą - gdzie podziała się jej samokontrola i opanowanie?

Zgasła resztkę cygara i skrzywiła się z niepokojem. Próbowwała zapalić kolejne, ale ręce drżały jej zbyt mocno, zapalki spadły na tory i Komendantka nerwowo przeszukiwała kieszenie, nim wreszcie wyciągnęła zapalniczkę.

Tamchu w ułamku sekundy uświadomił sobie, że wszystko, co powiedział mu karzeł, musi być prawdą. Nosił przy sobie straszną substancję, dzięki której ta stara kobieta może sprowadzić na świat spustoszenie i zniszczenie. A przecież Komendantka nie spocznie, dopóki wszyscy mężczyźni, także Tamchu, nie będą martwi. I wszystkie kobiety, które nie podziela jej fanatycznych przekonań. To było chore, jak sama niedawno powiedziała. Ale Tamchu nie zdobył lekarstwa, jak obiecała. Zdobył jedynie truciznę. Nie mógł się ruszyć z miejsca, W ostatniej chwili, gdy pociąg ociężale ruszał, Komendantka uniosła głowę w kierunku okien wagonów i pochwyciła jego spojrzenie. Upuściła cygaro, przydeptała, nie spuszczać nieruchomych źrenic z Tamchu tak samo, jak buddyjska mniszka.

Ale w oczach Komendantki nie było światła. Tylko ciemność.

Jej czarna postać, sztywno wyprostowana, malała i kiedy pociąg pokonał zakręt, znikła zupełnie.

Minutę później między rzędami krzeseł przecisnął się ciemnoskóry karzeł. Za nim szła Japonka.

*

Tamchu nie był zaskoczony pojawieniem się tej pary. Podeszli bliżej, usiedli obok. To było nieuniknione. Skierował uwagę na karła i Japonkę, zapominając o Komendantce. Może - przemknęło mu przez myśl - buddyjska mniszka zmieniła nagle jego uniwersum, otworzyła mu nowe horyzonty, nowe możliwości, sprawiła, że widział wszystko inaczej. Poczuł, że musi się otworzyć na wszechświat nie oczekując jednak, że przyniesie mu to odkupienie.

Jednak nie do końca był zadowolony, że to karzeł stanie się jego przewodnikiem na ścieżce prowadzącej do czterech najwyższych cnót buddyjskich.

Mały człowiek i Japonka siedzieli w milczeniu. Słońce opadało w bujne, zielone

doliny, rzucając ostre refleksy na twarz kobiety. Stary, anachroniczny pociąg toczył się leniwie do kolejnej małej stacji, oddalonej o dziesięć mil i dwadzieścia minut jazdy.

Wreszcie karzeł, Tamchu przypomniał sobie, że na imię mu Hugo, odezwał się cicho:

- Dokonałeś dobrego wyboru - jego kwadratowa, duża twarz promieniała wzruszeniem.

- Może - mruknął Tamchu.

- Czy teraz pojedziesz z nami do Nowego Orleanu?

- Nie - zaprzeczył. - Jadę do Paryża.

- To po drodze - Hugo kręcił się na wytartym siedzeniu, Japonka skuliła się obok niego. Wyglądała na zmęczoną.

- Jak mnie znalazłeś w Hongkongu? - zapytał Tybetańczyk.

- Jestem szpiegiem - padła odpowiedź.

Stwierdzenie rozśmieszyło Tamchu, choć Hugo nie dał żadnego sygnału, że to żart. Powieki samozwańczego szpiega pozostały półprzymknięte, oczy śledziły otoczenie z zabawną powagą.

- Musisz być bardzo ostrożny - Hugo mówił dalej cichym tonem - Nie tylko ja wiem, co przy sobie masz.

- Nic nie mam. - Tamchu wzruszył ramionami. - Zostawiłem towar w Bangkoku.

Hugo posłał mu tylko uważne spojrzenie.

Tamchu postanowił uwiarygodnić kłamstwo i dodał:

- Oddałem do hotelowego sejfu.

- Pozwolisz, że zapalę? - wtrąciła Kita. Skinął przyzwalająco i Japonka wyciągnęła papierosy.

- Zależy nam nie tylko na tym, co masz i co chcemy odzyskać najszybciej, jak to możliwe - odezwał się Hugo. - Chcemy także wiedzieć, kto kazał ci kupić specyfik. Od miesięcy staramy się wytropić i odzyskać tę substancję. Została skradziona z Kioto. Byłem ranny i trochę czasu zajął mi powrót do zdrowia. Potem trudno było odnaleźć ślad i podjąć poszukiwania. Słyszałeś o Kioto, mam nadzieję?

- Nie wiem - skrzywił się Tamchu. - Coś słyszałem. O jakiejś chorobie, epidemii...

- Coś w tym rodzaju - zgodziła się Japonka. Jej oczy były nieobecne, smutne, Hugo kontynuował:

- Kradzieży dokonał agent kartelu Międzynarodowej Federacji. Otrzymaliśmy wiadomość, że samotny terrorysta zorganizował ucieczkę z Kioto i zabrał prototyp, który nosisz przy sobie. Przy okazji sprzedał ważne informacje wschodnioeuropejskim grupom

konserwatywnych polityków. Przybył potem do Hongkongu, by przeprowadzić najważniejszą licytację. Ale deptaliśmy mu po piętach i prawie znaleźliśmy panel wirtualny, z którego korzystał. Terrorysta spanikował, odłączył wszystkie ścieżki dostępu i odciął nas, a prototyp nanosubstancji sprzedał tobie, choć, jak myślę, twoja oferta była znacznie poniżej oczekiwań. Gdybyś spróbował oddać prototyp kobiecie na stacji, zapewne musielibyśmy go szybko przejąć.

- Czemu nie zabrałeś mi tego towaru wcześniej? - zapytał Tamchu. - Uniknąłbyś ponownej podróży do Bangkoku.

- Ponieważ chciałem się dowiedzieć, dokąd to zabierzesz. I dlatego, że chcę od ciebie czegoś więcej. Jesteś nam potrzebny, by zmienić świat.

To wywołało reakcję, jakiej Tamchu się po sobie nie spodziewał - cienki, parszający chichot, typowy dla Komendantki.

- Mam coś, co może zniszczyć świat, a ty mi mówisz, że to ja jestem ważniejszy? Ja się nie liczę.

- Masz kontakty i powiązania z każdą organizacją terrorystyczną w Azji - stwierdził Hugo. - Znasz ich plany, zamierzenia, cele. Znają cię i ufają.

- Nie ma mowy o zaufaniu, oni nie znają tego pojęcia - zauważył Tamchu.

- Twoja szefowa powierzyła ci pokazać kwotę na zakup tego, co masz - wytknął karzeł.

- Ciekaw jestem - Tamchu zmienił nieco temat. - Dlaczego ta substancja nie niszczy opakowania, w którym jest przechowywana?

Kita zgasła niedopałek papierosa. Jej twarz nie była tak blada, jak u większości japońskich kobiet, ale miała tak samo charakterystycznie rozmyte rysy i brzoskwiniowy puszek na policzkach. Perfekcyjne łuki ciemnych brwi wznosiły się nad poważnymi, czarnymi oczyma. Kita była drobna, ubrana w jeansy, T-shirt i ciemnoniebieski, jedwabny żakiet, szyty na miarę. Doskonale mówiła po angielsku, bez śladu obcego akcentu, ostrym, nerwowym głosem.

- Wewnątrz twojego paska jest wbudowany specjalny elastyczny system barier ochronnych - to struktura molekularna. Jeśli podłączy się do tego jeden ze starszych modeli komputerów DNA, można wysyłać do prototypu instrukcje dotyczące tworzenia dowolnych cząsteczek. Wszystko, co wejdzie w kontakt z substancją, ulegnie przemianie według wprowadzonych poleceń. Tej przemiany nie można powstrzymać - będzie trwać do wyczerpania materiału. To pierwsza i jedyna taka substancja na świecie. Prototyp. Powstał wbrew międzynarodowemu prawu. Był testowany w jednym z laboratoriów firmy, w której

pracowałam.

Potrząsnęła dłońmi, usiłując wyciągnąć z pudełka kolejnego papierosa.

Pociąg zazgrzytał przy hamowaniu.

- Tutaj powinniśmy wysiąść - powiedział Hugo.

- Dobry pomysł - zgodził się Tamchu. Pozwolił sobie na dekoncentrację, a przecież Komendantka na pewno już szła jego śladem. - Ale co dalej?

- Zaufaj mi - stwierdził mały człowiek i wyszczerzył się w uśmiechu, a w oczach, teraz szeroko otwartych, pojawiły się chyba iskierki podniecenia. Kobieta podniosła się z lekkim wahaniem. Była jeszcze amatorką w tej grze. Hugo szybko poprowadził ich wśród zaparkowanych samochodów. Budynek stacji widniał nieopodal.

Kolejno zeskoczyli na peron i skryli na poboczu w zaroślach. Tamchu rozgarnął je ostrożnie. Przekonał się, że pas zieleni miał zaledwie około dziesięciu stóp szerokości. Dający im schronienie zagajnik kończył się przy wąskiej drodze. Kryli się w krzakach, a mały budynek stacji kolejowej wznosił się może o pięćdziesiąt stóp dalej.

Hugo i Kita dołączyli do Tamchu. Karzeł wyjął z kieszeni baton. Rozdarł lśniące, czerwone opakowanie, podzielił sprawiedliwie zawartość i poczęstował współtowarzyszy, nie odzywając się ani słowem.

Tamchu usłyszał wykrzywane rozkazy. Odsunął nieco listowie i ujrzał dwanaście jeepów parkujących bezładnie przy stacji. Hugo zjadł kawałek batona, rzucił opakowanie na pobocze drogi i pociągnął Tamchu głębiej w zarośla.

Tybetańczyk odwrócił się, zerkając na pociąg spomiędzy szpar w listowiu.

Szczupłe, młode dziewczęta maszerowały rezolutnie między rzędami samochodów niedaleko kryjówek zbiegów. Dwie z nich wyjęły skrzynię z bagażnika. Tamchu nie widział tego dokładnie, ale wyobraził sobie, że zamierzają go w niej zamknąć. Dziewczęta w charakterystyczny sposób uśmiechały się w kierunku Komendantki. Inna grupa zajmowała się sprawdzaniem ogniów na dachach jeepów, ich ciężkie buty zostawiały w pyle drogi wyraźne ślady. Tamchu uznał, że dziewczyny mają nie więcej niż piętnaście lat - najstraszniejszy wiek wśród oddziałów Komendantki. Wśród starszych bojowniczek pojawiały się wątpliwości wobec misji, jaką pełniły, ale te nastolatki zachłystywały się poczuciem siły, do rozkazów i poleceń podchodziły z fanatycznym oddaniem i dogmatyzmem.

Niedługo znajdą Tamchu, Kitę i Hugo.

Tybetańczyk odpiął pas i wręczył go towarzyszowi. Ten skinął głową, zdjął własny pasek, wymienili się szybko. Wtedy Tamchu wstał. Hugo chwycił go za ramię. Kurczowo.

- Powiedziałem ci prawdę - szepnął. - Potrzebujemy cię.

Tamchu poczuł zmieszanie. Oddał przecież to, czego chciał Hugo. Z jakiegoś jednak powodu wierzył małemu człowiekowi, ufał mu. Ten mężczyzna naprawdę chciał ocalić świat. Nie tylko młode Kambodżanki lub Tajki. Wszystkich ludzi.

Świat pogrążał się w szaleństwie i Tamchu był częścią tego oblędu. Może, jeżeli się podda, uda mu się zyskać czas dla Hugo i Kity. Będą mogli uciec, zanim Komendantka zorientuje się, że jej upragniona broń przepadła. Prawdopodobnie wówczas w gniewie zabije Tamchu, ale to nie miało znaczenia. Chciał to powiedzieć Hugo, ale wtedy usłyszał szelest opon na kamieniach.

Brązowy dostawczy van zatrzymał się przy czerwonym opakowaniu po batonie wyrzuconym przez Hugo. Drzwi rozsunęły się w kierunku zarośli. Hugo skinął na Kitę. Kobieta wstała i wsunęła się do wnętrza pojazdu. Mały mężczyzna pchnął lekko Tamchu i ruszył za nim. Skulili się w ciemnym wnętrzu, gdy samochód ruszył.

- To miło, gdy wszystko idzie zgodnie z planem - skomentował Hugo. Ochryple okrzyki rozkazów wydawanych przez Komendantkę i jej oficerów, nadal prowadzących bezskuteczne poszukiwania, nikły w oddali.

Było już ciemno. Hugo i Kita leżeli na podłodze vana i spali. Tamchu nie rozumiał, jak można w takiej sytuacji spać, ale po nieudanej próbie rozmowy z kierowcą, również zapadł w drzemkę.

O świcie dojechali do Bangkoku. Gdy samochód krążył po ulicach, Hugo zajął się kamuflażem Tamchu. Wraz z Kitą pomogli mu założyć szafranową szatę, a gdy samochód zatrzymał się przy dworcu, ogolili mu głowę. Tamchu stał się buddyjskim mnichem...

Martwił się o bilety, ale i na to Hugo był przygotowany - miał rezerwację na kilka miejsc w pierwszej klasie.

Aby dostać się do pociągu, musieli przejść przez terminal dworca. Pierwsza poszła Kita, potem Tamchu, na końcu Hugo.

Sprawiali wrażenie, że się nie znają, gdy w tłumie przemierzali ogromną, pełną ech, halę.

Tamchu zawahał się, kiedy zobaczył oddział dziewcząt Komendantki, przecinający mu drogę. Systematycznie przeszukiwały dworzec, rozglądały się wśród przechodzących ludzi. Jedna z dziewcząt, jak zdawało się Tamchu, wskazała w jego kierunku, jednak nie przyśpieszył kroku. Wiedział, że zdąży wsiąść do szybkiego pociągu, zanim wojsko Komendantki zareaguje, zakładając, że w ogóle go rozpoznano. Wkrótce znalazł się w prywatnym przedziale. Hugo zamknął drzwi i zablokował przed nieprzewidzianym otwarciem za pomocą cienkiej linki, którą wyjął z kieszeni, a potem sprawdził każdy zakamarek

pomieszczenia, szybko, ale metodycznie, czym wprawił Tamchu w niekwestionowany podziw. A potem cała trójka zapadła w miękkie, wygodne fotele.

- Dlaczego chcesz jechać do Paryża? - zapytał Hugo.

Tamchu otworzył torbę, w której Kita ukryła jego ubranie. Podczas wędrówki przez dworzec nie spuszczał wzroku z niewielkiego bagażu Japonki. Teraz ostrożnie wyjął niedużą plecionkę.

- Chcę znaleźć dziewczynkę - kobietę - która to zrobiła.

Hugo i Kita obrócili równocześnie głowy, by przyjrzeć się delikatnej klatce na motyle. Kobieta wymruczała coś z nieskrywanym podziwem. W tym momencie Tamchu zorientował się, że pociąg już ruszył i zaczyna przyspieszać, o czym informowały jedynie zmieniające się dane na niedużej konsoli.

- Kim ona jest? - zainteresował się Hugo. Wtedy Tamchu opowiedział historię swojego życia.

*

Kiedy mijali równiny Indii, Tamchu przypomniał sobie kobietę i bandytów, których spotkał wiele lat temu. I wspominał Komendantkę. Przyjął jej zaproszenie, choć zdawało się, że to zniszczy mu duszę. Ale uważał, że robi coś dobrego. Lub raczej robił coś, co powinno być dobre. Wtedy nie uświadamiał sobie, że to jakaś różnica.

Teraz często wyjmował klatkę na motyle i przyglądał się pleciance drucików.

Próbował doszukać się w twarzy metalowej figurki rysów Illian, choć przecież rzeźba była bardzo mała. Uwięziona w klatce jak motyl. Każdy człowiek ma własną klatkę - pomyślał Tamchu.

Spojrzał na pogrążonego we śnie Hugo. Wcześniej mówił mu sporo o Marie Laveau i Tamchu odniósł wrażenie, że ta kobieta ma kontrolę nad życiem Hugo. Niemniej, mógł się mylić. Hugo nie wyglądał na kogoś, kogo można kontrolować.

Kita zadbała, by mieli duży zapas papierosów. Zagustowała szczególnie w jakiejś hinduskiej marce, koszmarnie śmierdzącej. Niewiele mówiła, ale przyznała się, że zaczęła palić niedawno, kilka miesięcy temu. Po poznaniu Hugo. Tamchu przypuszczał, że tych dwoje jest kochankami, choć rzadko się dotykali lub okazywali sobie czułość.

Stopniowo Tybetańczyk dowiadywał się coraz więcej o pływającym mieście Marie Laveau. Miał wrażenie, że już wcześniej słyszał o tym miejscu; jakieś plotki, urywki informacji. Miasto nie było jeszcze skończone - przedsięwzięciu towarzyszyło wiele przeszkód, zdarzały się przestoje i trudności, zwłaszcza, że miasto stało się celem terrorystów. Zapewne dlatego Tamchu był dla Hugo i Marie taki ważny - mógł wskazać słabe punkty

napastników i przewidzieć potencjalne zagrożenia.

Im bardziej pociąg oddalał się od Bałkanów, tym więcej pojawiała się wzmianek i plotek na temat Paryża. Podobno wydarzyło się tam coś strasznego, mutagennego, po ataku Pszczół nasłanych przez jedno z ugrupowań terrorystycznych.

Ale kiedy w słoneczny poranek minęli granicę francuską, Tamchu miał wrażenie, że oddycha innym powietrzem. Pola żółtych kwiatów rozciągały się nad błękitnym morzem, gdy pociąg podążał na południe. Była to trasa turystyczna, przebiegająca wzdłuż wybrzeża; szlak północno-zachodni prowadzący bezpośrednio do Paryża został zamknięty. Podczas podróży Tybetańczyk poznał lepiej współtowarzyszy. Czuł się pewniej i stosunkowo bezpieczniej. Przy eleganckim śniadaniu, gdy podano luksusowy kawior, przekonał się, że Hugo ma nieco ekstrawaganckie upodobania. Zdobywał oglądę wśród wyższych sfer, podczas gdy Tamchu marnował życie w kręgach, gdzie dominowała przemoc. Kita nie interesowała się posiłkiem, zajęta notebookiem. Jak się dowiedział, Japonka była znanym nanobiotechnologiem. To właśnie ona stworzyła podstawy feromonowego systemu informacyjnego, jaki stosowano w Biomiastach.

Tamchu bywał w paru Biomiastach, ale zawsze incognito. Największe wrażenie zrobił na nim Pekin, choć podejrzewał, że to pod wpływem krótkoterminowych receptorów, które wówczas miał zaimplantowane. Prawdziwe życie w tym wielkim mieście nie mogło być aż tak niezwykle. Na dodatek odnosił wrażenie, że nie istnieje tam prywatność. Dla terroryzmu bardzo niesprzyjająca okoliczność.

Nie miał pojęcia, jak znaleźć Illian, o ile faktycznie mieszkała w Paryżu. Na szczęście, Hugo obiecał mu pomóc. Tamchu nie polegał na nikim, odkąd zmarła mu matka. Ale teraz było inaczej. Jakby te wszystkie lata życia w atmosferze podejrzeń i izolacji były tylko cienką skorupą, która pękła, gdy odnalazł dzieło Illian. Wtedy przejrzał na oczy i odnalazł zaufanie.

Jak się zdawało, wszyscy w pociągu znali francuski. Im bliżej Paryża, tym większe czuło się podekscytowanie pasażerów. Hugo podjął się dla Tamchu roli tłumacza.

- Oni są jak pielgrzymi. Mówią, że teraz dopiero Paryż jest tym, czym być powinien. Wszystko, co tworzy niepowtarzalną atmosferę miasta - Łuk Triumfalny, Centrum Pompidou, katedra Notre Dame, nawet średniowieczne dzielnice - zostało odrestaurowane. Ale najważniejsze, że miasto żyje sztuką i stało się dziełem sztuki. Choć to dziwne, większość ludzi nie wytrzymuje tam zbyt długo, być może dlatego, że nie potrafi znieść piękna Paryża. Zapewne, również z innych względów...

- Jak na przykład stężenie mircenu⁹ - wtrąciła Kita, nie podnosząc wzroku znad ekranu notebooka. - Ale to tylko moje podejrzenie...

- To takie niezwykle? - zainteresował się Tamchu.

Kita uniosła głowę, ale jej spojrzenie powędrowało gdzieś w dal.

- Wszystkie nowe technologie są niezwykle. A Biomiasta stanowią żywe organizmy. Mogą się zmieniać, mutować. I to bardzo szybko. To jeden z problemów, któremu mają zapobiegać Międzynarodowe Standardy i Normy.

- Po co? - zapytał Tamchu ochryple. - Co może przemienić całe wielkie miasto?

- Kobieta, jak mówią ludzie z pociągu - rzekł Hugo. - Kobieta imieniem Illian. Słoneczna Królowa.

Tamchu nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu był tak podniecony jak teraz. Blask Paryża, nawet w dzień, był intensywny i widoczny z daleka.

Każdy pasażer w pociągu otrzymał tymczasowe receptory. Kita, najwyraźniej już dysponująca uniwersalnymi implantami, zażądała jedynie krótkiego wprowadzenia, by przeorientować swój system. Zarówno Hugo, jak i Tamchu, wyrazili zgodę na paryskie wszczepy krótkoterminowe - aczkolwiek obaj uczynili to niechętnie.

Pociąg wjechał na peron dworca w Paryżu.

*

Nawet wtedy, gdy Tamchu tylko opierał dłoń o poręcz ruchomych schodów, przepływały przez niego informacje - reklamy hoteli, pensjonatów, restauracji, przedstawień, wystaw...

Kita uważnie się przyglądała otoczeniu, gdy wychodzili na wypełnioną tłumem ludzi i upałem ulicę.

- W tym mieście jest coś naprawdę dziwnego - oznajmiła.

- Co takiego? - zapytał Tamchu.

- Nie jestem matematykiem. Ale wydaje mi się, że chodzi o całość, o zbiór połączeń, związków, relacji, służący nie tylko usystematyzowaniu tych elementów, lecz także ich uwypukleniu...

- Matematycznie współczesne przemiany przeanalizował L'Enfant - powiedział Hugo.

- A tutaj wszędzie chyba obowiązują pitagorejskie proporcje...

- Nie tylko. To coś więcej - zaproponowała Kita. - I głębiej. Prawdę mówiąc, chętnie spędziłabym miesiąc lub więcej w Paryżu, by poznać lepiej charakter tego miasta i zrozumieć

⁹ - Jeden z olejków eterycznych, występujących m. in. w szyszkach chmielu, gałce muszkatałowej. (przyp. tłum.)

tutejszy system. Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle jest możliwe... To niesamowite.

- Co jest możliwe? - zapytał Hugo.

- Spróbuję wyjaśnić... Chodźmy tu - weszli do wybranej przez kobietę kawiarni i zamówili kawę. Kiedy siadali, Kita przesunęła dłonią po stole i blat rozjarzył się jasno. Tamchu chciał odsunąć filiżankę, ale Japonka go uspokoiła.

- Wszystko w porządku. System rozpoznaje, że to tylko kubek. A teraz zobaczmy, co się stanie, gdy dam mu posmakować *tego* - palcem puknęła w różne obrazki, które pojawiły się nad aktywowanym blatem stołu. Czarne, proste włosy spadły idealną kaskadą na jej policzki. Podniosła wzrok i Tamchu ujrzał w jej oczach skupienie i energię, jakiej wcześniej nie znał. - OK. A teraz chcę, abyś dotknął symbolu Wieży Eiffla. Wszystko płynie właśnie stamtąd - uśmiechnęła się lekko. - Cóż za niespodzianka.

Tybetańczyk niechętnie zbliżył dłoń do obrazka Wieży Eiffla.

Najpierw poczuł swoje kości, jakby zyskał świadomość każdej części własnego szkieletu. Potem to samo stało się z pozostałymi układami ciała - siecią nerwową, mięśniami, układem limfatycznym, siecią naczyń krwionośnych. Jakby w ułamku sekundy ciało zostało poddane analizie.

A potem tego samego doświadczył wobec całego miasta. Sieć Paryża odbierał jak układ własnego ciała. Czuł, jak rozrasta się w powietrzu, w górę lub w dół, zależnie do architektury budowli, jak rozptyla się wzdłuż feromonowych linii informacyjnych. Dotykał bezgranicznego światła, pulsował w rytmie zmiennych form ludzkich myśli, przybierając coraz to nowe kształty.

Lecz było też coś więcej. Paryż zdawał się tworzyć dla Tamchu wcześniej niedostrzegalne widmowe widowisko, rzeźbę światła - pulsujący, zmienny drogowskaz, którzy go *wzywał*...

Tamchu zerwał się i wybiegł z kawiarni. Hugo, ruszając za nim, krzyknął:

- Zaczekaj!

Wiedział doskonale, do jakiego autobusu ma wsiąść, czuł sieć ulic wpisana we własne ciało, jak system nerwowy. Wyczuwał umysł Illian jako czysty, jasny, potężny.

- Ona naprawdę żyje - krzyczał. - Illian żyje!

Kita z Hugo zajęli miejsca obok. Jakaś stara kobieta siedząca naprzeciw, z torbą pomarańczy i dwoma krążkami sera, pokiwała głową uśmiechając się.

- Illian - przytaknęła i powietrze wypełniły francuskie słowa.

- Co powiedziała? - zapytał Tamchu.

- Możesz skorzystać z tłumaczenia przez... - zaczęła Kita, ale przerwał jej niecierpliwie:

- *Co powiedziała?* - powtórzył z naciskiem.

- Że Illian jest jak słońce. Illian jest nową Słoneczną Królową.

Wysiedli z autobusu na placu przed Wieżą Eiffla. Tybetańczyk spojrzął w górę, uniósł ramiona.

- Tam jest! - oznajmił. - Illian!

Było tu więcej Pszczół niż w innych częściach miasta. Paryż kwitł. Poskręcane sploty purpurowych pnączy wiły się wokół wieży, która zdawała się pulsować i elektryzować powietrze. Rozglądając się, Tamchu wspominał plecionki Illian z wykałaczek i patyczków. Nie ona to wymyśliła, lecz zdawało się, że urodziła się do splatania struktur.

Pobiegł do stóp wieży, Kita i Hugo bez wahania ruszyli za nim.

- *Winda!* - zawołał. Nad szybem elevatora wisiało coś, co przypominało... *ul...*
Ogromny ul.

Drogę zastąpił im strażnik.

- Przepraszam, przejście wzbronione.

- Musisz go wpuścić - Hugo wskazał na Tybetańczyka.

Strażnik spojrzął lekceważąco.

- Jesteś Amerykaninem.

- Amerykaninem z pieniędzmi - sprostował Hugo wyciągając z portfela plik banknotów.

- Twoje pieniądze nie mają tu wartości - padła odpowiedź.

- Zatem jestem Amerykaninem z bronią - Hugo zaprezentował drugi argument.

Ochroniarz cofnął się zaskoczony. W tym momencie Tamchu ruszył do windy. Drzwi zamknęły się za jego plecami.

Wznosząc się powoli wzdłuż ażurowej koronki wieży, Tamchu czuł coraz wyraźniej, jak każda cząstka jego umysłu i jestestwa łączy się i rezonuje wraz z otoczeniem, jak wtedy, gdy spojrzął w oczy starej mniszki. Pulsował w rytmie światła i radości. Przebiegł go dreszcz i zawrót głowy, gdy ziemia oddalała się coraz bardziej.

- Illian! - wyszeptał, opierając się dłońmi o szybę i spoglądając na Paryż, na jej miasto.

- Tu jestem - usłyszał w odpowiedzi.

Obrócił się. W kabinie windy nie było nikogo.

- Illian! Gdzie jesteś?

Milczała przez chwilę. A potem odezwała się po tybetańsku, języku ich dzieciństwa.

- Wszędzie.

Tamchu poczuł lęk. Winda wjeżdżała coraz wyżej.

- Co to znaczy?

- Ja... Przygotowuję się do czegoś... - kabina stanęła na szczycie wieży, drzwi się otworzyły. Wyszedł na platformę i owiał go zimny wiatr. Wieża lśniła jasnym blaskiem.

Przed Tamchu pojawiła się kobieta. Zmaterializowała się na środku tarasu. Najpierw była przejrzysta jak zjawa, ale szybko stawała się realna. I wtedy się uśmiechnęła.

- Tamchu! - podeszła i objęła go ramionami. Nie poczuł uścisku, nawet cienia dotyku. Wyglądała na wzruszoną.

- Nie wiedziałam, czy żyjesz, czy umarłeś...

Dopiero teraz uświadomił sobie, że ta wysoka, zjawiskowa blondynka... *zjawa, duch...* to musi być Illian.

*

Widmo odziane było w żółtą, zwiewną togę, która otulała całe ciało... Ale przecież duch nie ma ciała...?

Lecz to *była* Illian, bez wątpienia. Słowa same cisnęły się na usta, Tamchu nie próbował powstrzymać pytań.

- Illian, gdzie byłaś przez te wszystkie lata? Pojechałem do Niemiec, ale cię nie odnalazłem... Nie było cię w klinice. Powiedzieli mi, że umarłaś...

- Usiądźmy - powiodła go do oszklonej, pustej kafejki na szczycie wieży. Lokal sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby nikt tu nie zaglądał od bardzo dawna, choć na stołach były białe obrusy, srebrne sztuce i kryształowe naczynia. Usiedli.

To znaczy, Tamchu usiadł. Illian tylko sprawiała wrażenie, że siada. Czuł się przy niej równie zdezorientowany, jak przy hologramach w Hongkongu. Zapewne mogła się pojawiać wszędzie, gdzie chciała...

Ale jej oczy uważnie badały jego twarz, a uśmiech przypomniiał mu tamtą małą dziewczynkę, którą tak bardzo kochał...

- Uciekłam z kliniki. Byli tam naukowcy. Pobierali mi próbki krwi i tkanek. A potem przeprowadzali badania w pomieszczeniu, gdzie czułam się jeszcze bardziej chora. Wywoływano u mnie ataki. Próbowалам namówić innych, ale nie chcieli uciekać. Byli otumanieni. Może podawano im narkotyki. A ja po prostu miałam szczęście i zdążyłam, zanim i mnie nafaszerowano jakimś świństwem! W każdym razie, podczas ucieczki musiałam walczyć. Lekarza, który chciał mnie powstrzymać, uderzyłam krzesłem, i pamiętam, że kazał strażnikowi mnie zastrzelić. Ale strażnik odmówił. Uciekłam. Dotarłam do Amsterdamu. Tam

zaopiekował się mną Artaud.

- Artaud? - Tamchu poczuł ukłucie zazdrości.

- Tak. Był krytykiem sztuki. Teraz jest moim kochankiem - odparła z dumą. - A raczej kochanką. Teraz to ona. Zmienił się w Pszczolę.

- Och... - Tamchu próbował pojąć te zdumiewające informacje. Minione lata odżyły nagle w jego pamięci. Tyle śmierci zadanych w jej imię... Jak ma jej to powiedzieć?

- Dlaczego płaczesz, Tamchu? - wyciągnęła widmowe ręce i położyła mu na ramionach. Ku swojemu zaskoczeniu poczuł lekkie ciepło.

- Bo jestem strasznym człowiekiem - ukrył twarz w dłoniach.

- Robiłem straszne rzeczy... Ja... Nie chciałabyś mnie znać, gdybym ci powiedział...

- Nieprawda. Kocham cię. Nigdy nie przestanę. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, aby mi pomóc. Tak ciężko pracowałeś w Katmandu. Dla mnie. I na zawsze pozostanę ci wdzięczna - bo wiem, jak bardzo mnie kochałeś. Kiedy uciekłam, próbowałam tam wrócić, ale nie wiedziałam, jak. Nie miałam nawet świadomości, dokąd mam jechać. I bałam się, że lekarze mnie znajdą. Kilka lat temu w końcu pojechałam do Katmandu i próbowałam znaleźć twoich krewnych. Odszukałam kuzyna, ale powiedział mi, że zniknąłeś dawno temu. Cokolwiek uczyniłeś, Tamchu, i kimkolwiek teraz jesteś, to bez znaczenia. Znam twoje serce. I wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

Tamchu wziął serwetkę, wytarł twarz i nos.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak - w jej spokojnym głosie brzmiała szczerłość i pewność. - Ja to wiem.

Milczał przez długą chwilę. Aż w końcu spytał:

- A kim ty jesteś? Dlaczego wyglądasz jak... duch? Dlaczego nazwano cię Słoneczną Królową?

Wyprostowała się, a jej twarz była poważna.

- Bardziej prawidłowa byłaby nazwa Królowa *Słońc*. Przecież jest tak wiele gwiazd... Zmieniłam Paryż w nową formę dzieła sztuki. Trudno to wytłumaczyć. Zrobiłam to, aby... można było *doświadczyć* miasta... I żeby to miasto *było* wyjaśnieniem. Po prostu musisz *stać się* miastem, żeby to zrozumieć...

- Pomóż mi zrozumieć. Dlaczego to zrobiłaś? I jak tego dokonałaś?

Uniosła tylko lekko brwi.

- Nawet teraz nie wiem, jak mi się to udało. Tak samo, jak z malowaniem, też nigdy nie byłam pewna, jak to robię. Artaud i ja znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Nie było ucieczki, więc musieliśmy stawić czoła niebezpieczeństwu. I kiedy to zrobiliśmy,

uświadomiłam sobie, że mam moc, by zmienić sytuację. Mam moc, by zmienić Paryż w... dzieło sztuki. I nadal się uczę...

- Ale co z tymi wszystkimi ludźmi? - zapytał Tamchu. - Czemu tak cię wielbią?

Uśmiechnęła się tak, jak pamiętał.

- Zakochali się. Nie we mnie. W mojej idei. Każdy, kto chce, może opuścić Paryż. I jeżeli to zrobi, może dostać kredyt, który pozwoli mu żyć dostatnio w każdym innym miejscu. A jeżeli zostanie, wniesie swój wkład w rozwój Paryża. Albo i nie. Każdy może żyć w odosobnieniu, jeżeli taki ma kaprys, albo uczestniczyć w tworzeniu na tyle, na ile zechce. To właśnie robię... Tak mi się wydaje. Co to jest? Co tam chowasz? - dotknęła marynarki Tamchu z przepaszającym spojrzeniem. Uświadomił sobie, że Illian nie może przesunąć tkaniny, więc sam odsłonił połę garnituru, by pokazać plecionkę, którą nosił zawieszoną na łańcuszku na szyi.

Illian przyjrzała się jej dokładnie.

- Gdzie to znalazłeś?

- W Bangkoku. Właśnie wtedy zrozumiałem, że nadal żyjesz... Powiesz mi, co to znaczy?

Wzniosła oczy w górę, do nieba.

- Po prostu nie chcę się komunikować z innymi ludźmi. Chcę się porozumiewać z wszechświatem. Z czymś, co jest gdzieś tam... Czuję, że mam coś do powiedzenia... Że każdy ma. I wszyscy razem mówimy do wszechświata, ale to ja daję ludziom podstawy, strukturę, żeby mogli wypełnić ją treścią. To - skinęła dłonią w kierunku plecionki - tylko mały, uproszczony obraz... model moich myśli. To struktura światła... albo fali radiowej.

- I każdy w Paryżu staje się jak to? Też mogę być taką „strukturą”, falą radiową?

Twarz Illian rozświetlił szeroki uśmiech.

- Jesteś nią, mój drogi Tamchu. Jesteś nią, gdy tu siedzisz ze mną. I po prostu sprawiasz, że jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

A potem zjawą rozplynęła się i znikła.

Nie był zaskoczony. Nic już nie mogło go zaskoczyć.

Popatrzył na panoramę Paryża. Słońce zachodziło, drzewa i budynki tonęły w pomarańczowej poświacie. Upał letniego dnia zelżał, powietrze wypełniła chłodna bryza, przynosząc aromat wielkich kwiatów, które widział jeszcze z okien pociągu.

Z góry miasto wyglądało jak ogród olbrzyma, ozdobiony koronkową siecią świateł, lśniących coraz wyraźniej w zapadającej ciemności. Świeące linie biegły we wszystkie strony, splątane i pulsujące rytmicznie. Wstał i podszedł do barierki, spoglądając w dół na

wzory kreślone blaskiem.

I nieważne, dokąd pójdzie. Choć być może jej nie zobaczy, w Paryżu Illian będzie przy nim.

Tylko to się liczyło.

Był wolny.

*

Kita nalegała, by zostać w Paryżu jeszcze dzień, potem następny, a Hugo, który próbował ją skłonić do wyjazdu, kazała przestać się zadrećzać.

- Tu zdarzyło się coś bardzo ważnego, rewolucyjnego - siedziała w ich pokoju przy stoliku, który przywlokła z kawiarni. Spędzała przy nim prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, grzebiąc w danych i lekceważąc nerwowe mamrotania i utyskiwania partnera.

Właśnie marudził po raz kolejny:

- Co może być ważniejszego od rewolucyjnych zmian, jakie na pewno teraz przechodzi Nowy Orlean? Kita, już dłużej nie mogę! Martwię się o moich bliskich. Informatorka z Hongkongu przekazała mi, że ta broń z Kioto, plaga, czy jak to się nazywa, na pewno trafiła w ręce Federacji Międzynarodowej. A najnowsze doniesienia z USA mówią, że trwa oblężenie Atlanty i wojsko kieruje się do Nowego Orleanu...

Kita z trudem oderwała się od pracy. Jej myśli podążały równocześnie wzdłuż dziesięciu różnych, lśniących mocą pasm, które spletały się w precyzyjny wzór, dostrzegalny coraz wyraźniej. I nagle wszystko znikło.

Najwyraźniej powinna poświęcić Hugo nieco uwagi. Odsunęła krzesło, wstała i uderzyła pięściami w wypełniony feromonami blat. Nad stolikiem rozjarzyła się chaotyczna tęcza. Autorytarnym, surowym tonem, jakim czasami posługiwała się jej matka, Kita wycodziła:

- Pozwól, że wyjaśnię ci raz jeszcze. Paryż został zaatakowany tą samą plagą, co Kioto. Obecnie rozsiewana jest ona po całym świecie przez grupy terrorystyczne, mające bardzo niewielkie pojęcie, co zrobić z jej skutkami. Tak zwana Federacja Międzynarodowa też podpada do tej samej kategorii, co terroryści - to organizacja zarządzana przez słabo zamaskowanych oszustów i bandytów, którym udało się skutecznie przeprowadzić zamach na międzynarodową skalę. Illian, Słoneczna Królowa, ocaliła Paryż.

- Kim jest, tak w ogóle, Illian? - spytał zniecierpliwiony Hugo. - Przypomina Czarodzieja z Oz.

- Nigdy nie czytałam tej książki - zauważyła Kita. - Tylko Amerykanie się nią ekscytują.

- Cóż... Nigdy nie uda się pojąć potęgi i mocy czarodzieja z Oz, jeżeli się nie zrozumie, że jest on zwyczajną istotą ludzką.

Kita parsknęła śmiechem.

- Illian nie jest zwyczajną ludzką istotą. Przede wszystkim ma niezwykły kod DNA, który zaczął się pojawiać w różnych zakątkach świata od pierwszej Ciszy. Już choćby tylko to jest znaczące, choć nikt nie wie, dlaczego. Ja też nie mam pojęcia. Ale najbardziej zaskakujące jest to, że Illian udało się wpisać w system informacyjny Paryża, komórka po komórce, sekwencja po sekwencji. Od dawna ludzie rozważali, jak można przenieść osobowość, świadomość na inny nośnik. Nie jak zapis pośmiertny, lecz jak książkę. Chodziło o przeniesienie całej świadomości. Illian to zrobiła - stała się Biomiastem - a jednocześnie zachowała własną osobowość i indywidualność. To było z jej strony bardzo odważne. Teoretycznie, widzę, że to możliwe, ale zapewne nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła - to prawie jak śmierć. Nie jestem pewna, skąd Illian wiedziała, że taki proces wpisania jest w ogóle możliwy. Przypuszczam, że zrobiła to w przeblysku intuicji. Wcześniej była przecież artystką, nie naukowcem. Gdy rozpoczął się atak plagi, miasto na pewno było odsłonięte i bardzo podatne na transformację. Illian po prostu wykorzystała okazję. Ale nie tylko to jest niezwykle w przypadku Illian. Kiedy się poświęciła i zawładnęła procesem przemian, zrobiła coś jeszcze, co ochroniło Paryż. To miasto nie jest takie jak Kioto. Paryż jest wolny, pełen życia i siły.

Wspomnienie o Kioto zawładnęło pamięcią Kity. Kiedy udawało się jej zasnąć, budził ją koszmar o Kioto, mieście, gdzie wszystkie ludzkie umysły pogrążone były w apatii, ciszy, czekając na rozkazy i polecenia od każdego, kto tylko zna sposób, w jaki należy je wydać.

- Jeżeli chcesz mieć szansę ocalenia Nowego Orleanu, najlepszym sposobem jest sprawdzenie, co się stało w Paryżu. W jaki sposób Paryż uniknął losu Kioto?

Hugo kiwał głową, gdy mówiła, niecierpliwie czekając, aż skończy.

- I co? Dowiedziałaś się tego? Jak długo jeszcze musimy tu siedzieć?

- I co, dowiedziałaś się tego? - przedrzeźniała go Kita z sarkazmem. - Jasne, że tak, Hugo, już od wczoraj wiem wszystko! Ale chcę się nacieszyć pobytem w Paryżu! - znowu użyła surowego, gderliwego tonu swojej matki.

To również mój ton - zorientowała się Kita. I już wystarczy.

- Posłuchaj, Hugo. Jeśli dasz mi spokój, to nie będzie długo trwało. Najwięcej czasu zajęło mi zrozumienie, jak się dostać do danych. Ale wierzę, że rozwiązanie tkwi w rytmie, pulsie miasta.

- Chodzi o rytm? - Hugo zmarszczył brwi.

Ta mina, wraz z nową koszulą w przerywane prążki i krawatem w groszki, nadawała mu komiczny wygląd, jak nagle zauważyła Kita. Hugo nie należał do ponuraków.

- Tak. Jak wiesz, Illian przemieniła miasto w dzieło sztuki, w miasto kosmicznego światła, w artystyczną wizję fal radiowych. W tym celu przeorganizowała nie tylko zewnętrznie duże metalowe konstrukcje, jak tory kolejowe, lecz także zmieniła ich wewnętrzną strukturę, tworząc wielką antenę odbiorczą. Illian może nadawać sygnały w kosmos. Nie mam pojęcia, jak te sygnały przechodzą przez jonosferę. Nie wiem nawet, czy w ogóle transmisja ma miejsce, ani też dokąd skierowany jest przekaz. Jednak w przekazie jest rytm i to on jest rozprzestrzeniany po całym Paryżu. W dowolnym zakątku miasta muzycy grają w tym rytmie, komponują oparte na nim melodie. Za każdym razem brzmi to inaczej, bo używają różnych instrumentów, mają różne nastroje... Ale u podstaw to ten sam rytm. Illian wszędzie umieściła pulsujące światła. Ich rytmika działa na podświadomość, sublimalnie.

- Typowe działanie kobiety - mruknął Hugo. - Albo może potwora.

- To dobry potwór. Dyktator - dobroczyńca? Być może znasz to z praktyki... Tylko żartowałam! - cokolwiek by nie mówić, Marie również można było określić jako oświeconą tyrankę. - W każdym razie, ten rytm stymuluje rozwój niektórych obszarów mózgu. Uruchamia procesy chemiczne. Muzyka wspomaga rozwój dendrytów, tworzy warunki sprzyjające powstawaniu nowych połączeń ścieżek neuronowych w mózgu. Przykładem niech będą jazzmani, którzy improwizują. Już dawno zaobserwowano, że ich mózgi pracują w inny sposób niż w przypadku muzyków, którzy tylko czytają zapis nutowy i odtwarzają na tej podstawie melodię. Jestem całkowicie pewna, że ten szczególny rytm, jakim pulsuje Paryż, jest ściśle powiązany z uwalnianiem do mózgu określonych związków chemicznych. To chroni przed plagą, zapobiega jej rozprzestrzenianiu, hamuje całkowicie wytwarzanie związków chemicznych stymulowanych przez mechanizmy plagi. Analogicznie, np. duży wysiłek sprawia, że organizm produkuje naturalne substancje odurzające, tzn. endorfiny, które działają na określone ośrodki w mózgu i wywołują uczucie przyjemności. Czasem nawet zdarzają się lekkie halucynacje.

- Pewnie z niedotlenienia...

- Zdarza się. Ale chodzi mi o to, że jeżeli ktoś tańczyłby w tym rytmie ustalonym przez Illian, mógłby sam stać się tańcem... Zauważyłeś, że w mieście pełno jest sal tanecznych i Paryżanie stale tańczą, Hugo? Taniec jest również związany z procesem wydzielania endorfin. A tym samym, konieczne jest środowisko, gdzie zachodzą procesy chemiczne, jakby to powiedzieć, potrzebny jest mózg, po prostu. A co będzie bodźcem do wydzielania endorfin? Witaminy, hormony?

- Hm... Sprawdzasz mnie, Kito? Feromony, jak sądzę.

- Właśnie. Ale które? Jaka kombinacja feromonów? Sprawdzałam tyle różnych, symulowanych wariantów, że głowa boli. Ale właśnie w tym mieście w powietrzu zachodzą reakcje chemiczne, które wywołują określony stan umysłu - nastawienie na indywidualizm, poczucie wolności, zdolność do opierania się przymusowym wpływom... I to właśnie chcę znaleźć. - Kita odrzuciła włosy na plecy. - Mógłbyś mi przynieść jeszcze kawy?

- Jasne. A kiedy znajdziesz to wyjaśnienie, przekażesz je Illian? Przecież, jak powiedziałaś, jej działania są intuicyjne...

Kita drgnęła.

- Illian? Ją to raczej mało obchodzi. Wolność nie jest jej celem, to tylko efekt uboczny. Nie jestem pewna, jakie ma ona cele. Jej wpływ na system Biomiasta jest ogromny. Jestem przekonana, że Illian dysponuje teraz wiedzą o wiele większą niż wtedy, gdy była tylko człowiekiem. Nigdy wcześniej nie miałam kontaktu z tak niezwykłą istotą. Obawiam się jednak, że porozumiewanie się z nią nie jest do końca sprawne i skuteczne. To trochę tak, jakby kot i pies próbowały wspólnie ustalić naturę rzeczywistości. Podążałam śladami Illian przez system. To jak węszenie. Oczywiście, znajdę to, czego szukam. Podejrzewam, że to będzie coś, co wskaże, jak ma działać mózg. Nie sądzę, aby Illian to interesowało. Ale to wspaniałomyślne, że pozwala mi badać Paryż... Naprawdę, mam nadzieję, że skończę niedługo. Pracuję najszybciej, jak mogę. I najlepiej mi nie przeszkadzać.

Hugo westchnął.

- Wybacz. Po prostu strasznie się martwię. Powinienem poszukać na czarnym rynku szybkiej łodzi motorowej, która zabierze nas do Nowego Orleanu. Nie możemy ryzykować podróży lotniczej. Zgoda?

- Jak chcesz, Hugo. Ale teraz daj mi spokój, dobrze?

*

Oczy Kity zapłonęły. Zasnęła pomimo chemicznych udoskonaleń, pozwalających jej na długie radzenie sobie z brakiem snu bez efektów ubocznych.

Zerwała się nerwowo, gdy usłyszała chrapanie.

No, tak. To jej chrapanie rozległo się w ciemnym pomieszczeniu. Była tu przecież sama.

Blat stołu jarzył się intensywnym błękitem oznaczającym tryb gotowości do przyjęcia poleceń. Kita musiała przysnąć na krześle na jakieś dwadzieścia minut. A nie powinna. Próbowwała zignorować zbyt szybką pracę serca, zbyt mocne skurcze w żołądku. Gdybyż tylko była mądrzejsza! Jak można wrócić do Nowego Orleanu, nie skorzystawszy wcześniej z

okazji, by poznać mechanizm ocalenia Paryża? Lecz była też zmęczona brakiem wyników.

Czuła się osamotniona. Teoretycznie Hugo zdawał sobie sprawę, co wziął od Tamchu, ale czy na pewno rozumiał, jakie to ważne?

Oto mieli Święty Graal. Kamień filozoficzny. Czy jakkolwiek inaczej można nazwać assembler za pomocą pojęć ze średniowiecznych mitów. Alchemicy szukali substancji zdolnej zmienić ołów w złoto - lub dokonać innych, podobnych przemian - a Hugo miał właśnie coś takiego. To była potęga, jakiej ludzkość pragnęła od tysiącleci. Ale dopiero teraz udało się ją odkryć i stworzyć w sztucznym, lecz podobnym do boskiej kreacji, procesie.

I Kita uważała, że ludzkość musi jeszcze nauczyć się kontroli nad tym wynalazkiem, dorosnąć do niego. Albowiem odkrycie niesło potencjał dla świata. Lecz jednocześnie było o wiele bardziej niebezpieczne niż bomba atomowa.

Ale bez zmiany ludzkiego umysłu, nie przez pokrętne wywody zapisane w filozoficznych pismach, bez zmiany sposobu myślenia, nie uda się wykorzystać tej przypadkowo zdobytej potęgi.

Być może najlepiej przekazać odkrycie do miasta na wodzie. Atlantyda, stworzona przez Marie - uśmiechnęła się Kita. Miejsce, które ma zadatki na raj, w którym ludzie nareszcie zgłębią i zrozumieją, skąd się wzięli, kim mogą się stać i dokąd zmierzać.

Wstała, podeszła do zlewu i przemyła twarz zimną wodą.

- Zrobiłaś postępy?

Kita odwróciła się w stronę eterycznego, znanego dobrze głosu.

- Witaj, Illian.

Ujrzała szczupłą kobietę siedzącą na kontuarze oddzielającym kuchnię od pokoju. Gość miał na sobie żółtą, obcisłą sukienkę i czerwony, brokatowy szal. Jasne włosy ułożone we francuski kok, skrzyżowane nogi, ręce wsparte na krawędzi blatu.

Kita widziała zarysy przedmiotów prześwitujące przez postać Illian.

Rozejrzała się mimowolnie, próbując zlokalizować projektor generujący holograficzną postać. Ale ściany obite były jedynie wytłaczaną tapetą. Lasery miniaturyzowano od dawna, ich promienie też zapewne osiągnęły rozmiar niemal kwantowy, a projektory znajdowały się pewnie wszędzie. To nic dziwnego w mieście po takiej transformacji, jak Paryż, szybko, lecz precyzyjnie przeorganizowanym na poziomie cząsteczkowym. Illian mogła się pojawiać, gdzie chciała, wystarczyło tylko wydać polecenie, by projektory wyświetliły hologram w określonym miejscu. Kita nadal była pod wrażeniem Paryża i po raz kolejny żałowała, że nie może tu zostać.

Ale miała obowiązki.

Illian odezwała się spokojnym tonem.

- Zastanawiałam się, czy mogę jakoś pomóc. Kilka godzin temu słyszałam twoją rozmowę z karzełkiem. W bankach danych miasta są rzeczy niezwyklej urody. Wiem, że nie potrafię ich postrzegać tak, jak ty. Używamy ich w inny sposób. Ale spójrz.

Ściana nad zlewem rozjarzyła się. Kita ujrzała majestatycznie wirujące mgławice, a w rogu obrazu pojawił się panel ze zmieniającymi się szybko liczbami. Chyba dotyczącymi pola magnetycznego i natężenia światła. Japonka przyglądała się obrazowi przez długą chwilę.

- Nie wiem nic o astronomii... Skąd pochodzą te obrazy?

- To stare informacje z Obserwatorium Paryskiego. Zarejestrowane tuż przed pierwszym Impulsem. Zachwycają mnie. Ale chciałam ci pokazać informacje chemiczne z moich rojów Pszczół. Zauważyłam, że byłeś blisko i prawie uzyskałaś do nich dostęp, ale za każdym razem coś cię blokowało. Zdaje się, że to jakiś rodzaj kodu identyfikacyjnego. Miasto nie rozpoznaje cię w pełni, nie przyznaje ci całkowitego dostępu, stawia ci wyraźny opór. Jakby wiedziało, że nie jesteś Francuzką - uśmiechnęła się ironicznie. - Zmieniłam to. Przyda się?

Na ścianie pojawiły się nowe dane.

Kita pochyliła się, by lepiej widzieć. To miało sens. Próbowала prześledzić równania reakcji chemicznych, ale rozmazywały się jej przed zmęczonymi oczyma.

- Można to jakoś przedstawić na wykresie?

- Nie wiem. Ale mogę spróbować.

Kolory na ścianie skupiły się w linie wykresów prezentujących stężenie metaferomonów w różnych dzielnicach Paryża oraz obrazujące historię ich nawarstwiania się, od momentu, gdy na miasto spadła plaga z Kioto.

Kita odchyliła się, nagle czujna i skoncentrowana. To było jak oglądanie czystego błękitu nieba po tygodniach burzy. Przez kilka minut wpisywała coś do notebooka z wyraźną ulgą.

Wreszcie uniosła głowę. Nie skończyła, ale była na najlepszej drodze do zrozumienia.

- Bardzo ci dziękuję, Illian. Bardzo mi pomogłaś. Mam jeszcze pytanie...

- Spróbuję odpowiedzieć.

- Wszystkie dane fizjologiczne o twoim fizycznym ciele są zapisane w bankach danych miasta. Jest w tych informacjach coś bardzo niezwykłego.

- Co takiego? - zapytała Illian z gorliwym zainteresowaniem.

- Wiele organizmów w procesie ewolucji tworzy mapy magnetyczne, co pozwala im orientować się w przestrzeni na podstawie danych o polu magnetycznym. Dane te

przekazywane są przez magnetoreceptory zawierające magnetyt. Receptory te często połączone są z tymi samymi ścieżkami nerwowymi, które prowadzą do receptorów odczytujących informacje przekazywane przez feromony. Sygnały niesione przez nie są wówczas przekazywane do innych ośrodków mózgu i tam odczytywane. Badałam bardzo dokładnie pszczoły miodne. Mają one zmysł magnetyczny, podobnie jak ryby, ptaki i niektóre ssaki. Dzięki temu mogą wykorzystać do nawigacji dane o naturalnym polu magnetycznym Ziemi. Ten proces nie jest do końca mechaniczny, trzeba się go nauczyć. Nie wiem, czy wiesz, ale proces uczenia - rozwój mózgu - może być bardzo burzliwy i wywoływać wiele różnych, w tym - dziwnych objawów. Twój nerw trójdzielny - wiązka nerwowa prowadząca od nozdrzy do tylnych części mózgu - jest wielokrotnie większy niż u normalnego człowieka. To właśnie ścieżka nerwowa, która u wielu organizmów służy do przekazywania danych magnetycznych z magnetoreceptorów do ośrodków mózgu. W rzeczy samej, twoje ciało zawiera więcej biomagnetytu niż ciała większości ludzi.

- To ciekawe - powiedziała Illian z namysłem. - Wiem, że różnię się od innych ludzi. Wiem, że w laboratorium, gdzie trafiłam jako mała dziewczynka, próbowano analizować i badać dzieci takie, jak ja. Wtedy bardzo często byłam chora, miałam ataki. Ale Artaud mi pomógł. I moja sztuka też mi pomagała. A teraz pomaga mi Paryż.

- Ale co ty konkretnie *robisz*, Illian?

- Tak naprawdę, to nie wiem. Nie wiedziałam też, co robię, gdy tworzyłam moje prace. Wiedziałam tylko, że tak trzeba i czułam satysfakcję, gdy skończyłam. To tak, jak iść jedną ścieżką i na końcu trafić w ciemność. A potem pójść innym szlakiem i dojść do światła. I to jest właściwa ścieżka.

- Żałuję, że nie mogę zostać tu dłużej - powiedziała Kita. - Tyle mogłabym się nauczyć. Ale informacje, jakie mi przekazałaś o stężeniu metaferomonów w Paryżu i metodę, jaką zastosowałaś, by sterować plagą z Kioto, są tym, czego najbardziej potrzebowałam. Może później będę mogła tu wrócić i nauczyć się więcej o magnetoreceptorach. Przypuszczam, że fluktuacje związane z zaburzeniami łączności miały głęboki wpływ na twoje dojrzewanie i rozwój.

Ku zaskoczeniu Kity Illian roześmiała się serdecznie.

- Mało powiedziane! - stwierdziła i znikła.

Wielobarwny pasaż

Nowy Orlean, 2039

Pukanie, które rozległo się w gabinecie głównej siedziby Marie, w pierwszej chwili ją zaskoczyło. Zawahała się.

- Kto tam?

Drewno tłumiło słowa, ale usłyszała wyraźnie:

- Jason Peabody. Już mnie zrewidowano.

Gdy Marie uchyliła drzwi, skrzypnęły cicho. Neely, jeden z jej zaufanych ochroniarzy, skinął szybko głową. Dopiero wtedy otworzyła wejście na oścież.

Stał tam młody, biały chłopak. To znaczy, młody według standardów Marie. Miał może dwadzieścia pięć lat. Ubrany w jeansy, T-shirt i ciężkie, solidne buty. Jego włosy były prawie białe, wyblakłe od słońca, na opalonej twarzy łuszczył się naskórek.

- Teksas jest cholernie wielki - powiedział. - A PSSK wysiadło w Dallas. Szedłem pieszo pod słońce ponad pięćdziesiąt mil, zanim udało mi się złapać okazję - wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Jestem Jason Peabody, dyplomowany inżynier. Szukam pracy.

*

To był jeden ze spokojnych dni w Nowym Orleanie. Projekt Półksiężycowego Miasta postępował zgodnie z planem. W odpowiedzi na ogłoszenia Marie przybyło wielu nanotechnologów, inżynierów i innych naukowców. Teraz pracowali przy budowie pływającego miasta. Ale Marie zebrała również znanych, godnych szacunku i wysoko wykwalifikowanych specjalistów, którzy w biurach wzdłuż Canal Street zajmowali się zarządzaniem, logistyką i innowacjami. Jednym z największych braków w projekcie miasta był program kosmiczny. Nie mieli projektu lotów kosmicznych. Marie cały czas szukała kogoś, kto mógłby rozwinąć prace w tym kierunku i zorganizowałby agencję zajmującą się lotami orbitalnymi.

Zaprosiła młodego człowieka na lunch. Zamówiła piwo, kawior i ostrygi. Dzikie ostrygi, które przyniesiono z tego samego sklepu, gdzie robiła zakupy jej babka.

- Przynajmniej zaopatrzenie działa jak należy - wyjaśniła. - Kawior jest hodowany sztucznie.

- Znakomity - zachwycił się Jason. Jego ochronna skorupa była chyba jeszcze grubsza niż Marie.

- Dziękuję. Ale mamy kilka spraw do omówienia - odsunęła talerz. - Skąd pochodzisz? Chłopak wzruszył ramionami.

- Właściwie znikąd. W ciągu ostatnich paru lat byłem w Los Angeles, San Francisco, Salt Lake City i Houston.

Marie uniosła głowę zelektryzowana ostatnią informacją.

- Co się dzieje w Houston? Słyszałam plotki, że program kosmiczny wszedł w nową fazę.

Jason przytaknął skinieniem głowy. Wytarł serwetką spocone czoło.

- Planowane jest wystrzelenie statku.

- Start?! - to była cenna wiadomość, choć nie zaskakująca. Federacja Międzynarodowa upierała się przy uziemieniu wszystkich programów kosmicznych z powodu braku środków łączności satelitarnej. Lecz wielu chciało, aby NASA jednak podjęła prace. Przyłodek Cap Canaveral został zniszczony dziesięć lat wcześniej przez huragan i starty przerwano. Ale zaangażowani w projekty kosmiczne NASA specjaliści przenieśli operacje do Houston i od tego czasu, jeśli wierzyć plotkom, starali się wykorzystać do ich realizacji nowe wynalazki, szczególnie odkrycia w dziedzinie nanotechnologii.

- Nieduży, lekki statek zwiadowczy - powiedział Jason poważnie. - To będzie pierwszy start od bardzo dawna. Naprawdę niesamowita sprawa. Etap po etapie, od planowania po prace konstrukcyjne, wszystko dokładnie o czasie. Celem misji jest znalezienie źródła Sygnału. Projekt się rozwija. I kiedy będą gotowi, wystartują.

Ach, zatem Jason miał prawdziwe wieści, nie plotki. Inteligentny i dobrze poinformowany. Marie bacznie obserwowała jego młodą twarz - poważną, zatroskaną, zaangażowaną.

- To dla ciebie wiele znaczy.

Skinął głową.

- Jak bardzo byłeś zaangażowany w ten projekt?

- Byłem dozorcą. Programowałem nano sprzątające Centrum Kosmiczne. Mój poprzednik miał pełny dostęp, ale nagle zmarł. Wszyscy byli tym przerażeni - to zabawne, że tak niskie stanowisko, jak dozorca, może być tak istotne. A ja jedynie nadzorowałem dwa istotne dla misji programy - na policzkach wykwitły mu rumieńce, a w oczach odbiło się znużenie. - I przez cały czas, gdy tam pracowałem, musiałem znaleźć sposób, by ukryć mój...

- przerwał.

Marie już otwierała usta, by zapytać, ale zrezygnowała. Nie chciała go wypytywać zbyt natrętnie.

- Zatem miałeś coś, czego tamci potrzebowali.

- Tak. Nawet bardzo - popatrzył jej śmiało w oczy. - Załatwiłem sobie... - znowu zamilkł. - Czy w Nowym Orleanie jest to wszystko, o czym ludzie mówią?

„Znacznie mniej” - pomyślała Marie.

- To znaczy? - ciekawe, co takiego sobie załatwił. Bez wątplenia coś bardzo interesującego.

- Wolność. To właśnie mówią ludzie. Krążą plotki. Dlatego tu przyjechałem. Wszędzie wcześniej trafiałem na przeszkody. Bariery są wbudowane w struktury Biomiast, jak zdążyłem się już przekonać. Próbowałem o nich rozmawiać z moimi nauczycielami i z innymi inżynierami, ale wszyscy uważali, że limity i ograniczenia dostępu do informacji są konieczne, by miasto funkcjonowało bez zarzutu. - Pomiedzy oczyma młodego mężczyzny pojawiły się głębokie zmarszczki. - To podejście przypomina mi coś, co pamiętam z dzieciństwa. Pewnie nawet nie ja to wymyśliłem, nie wiem. Może wynika ono ze sposobu nauczania i wychowania. Tak, chyba właśnie o to chodzi. W dzieciństwie chodziłem w różne, czasem bardzo niebezpieczne miejsca, ale rodzice nigdy mi tego nie zabraniali. Na bariery trafiłem dopiero w Los Angeles, jak sądzę. Ludzie tam byli przeciętni. Jednak potrafili zabić bez wahania. Albo można było zginąć w wypadku, jeżeli wiedziało się za dużo. To się zdarzyło wielu ludziom. I wielu dzieciom. To trochę tak, jak w przypadku miłego, małego miasteczka. Ludzie prowadzą tam interesy, mają sklepy i znają wszystkich sąsiadów. Rodziny żyją w takim miejscu od pokoleń. A potem przychodzą do takiego miasteczka planiści, żeby zbudować autostradę. Mają jak najlepsze intencje, ale nie biorą pod uwagę ludzkiej natury. Przesiedlają mieszkańców do nowych domów, nie zdając sobie sprawy, że w tym procesie rozrywają sieć związków interpersonalnych, przyjaźni, znajomości. W ciągu dwudziestu lat tworzy się chaos. Droga pozwala ludziom mieszkać z dala od miasta i przyjeżdżać tam tylko do pracy. Pojawiają się przyjezdni, obcy, którzy osiedlają się w starych dzielnicach. Autostrada dzieli miasto na lepsze i gorsze części, w zależności od położenia. Tak właśnie się czułem w Biomiastach, do których trafiłem. Są tam dobre dzielnice - rodzaj sztucznych miejsc, stworzonych kosztem... cóż, dostępu do danych. Istnieją tylko po to, by udawać, że pewne dziedziny wiedzy w ogóle nie istnieją. To trochę jak książka, która urywa się w krytycznym momencie. Albo jak te stare mapy świata, na których są białe plamy i napisy: „Tutaj żyją potwory”. Tak samo jest z nanotechnologią, jakby cała ta wiedza była niepożądana, zbyt trudna dla zwykłych ludzi, by pozwolić im ją przyjmować. A mnie się

wydaje, że to właśnie powinno się robić, udostępniać wiedzę masowo, by ją poszerzyć i wzbogacić. Szukam czegoś takiego. Potrzebuję społeczności, w której poszerzę moją wiedzę. Nie znalazłem tego w żadnym Biomieście. Ich mieszkańcy akceptują ograniczenia dostępu do danych, w zamian za... coś, co mogą dostać. Dobre życie, w ich mniemaniu. Jakby nauczono ich, by nie oczekiwali niczego więcej. - Pociągnął łyk piwa i opuścił kufel na blat. - Przykro mi. To znaczy, nie obchodzi mnie, jak żyją. Ale *współczuję* tym ludziom, jest mi ich żal. *Nie mają żadnego wyboru, a to nie w porządku.* Oczywiście, to oni głosowali za transformacją miasta w Biomiasto. I znowu, bez dostępu do wszystkich danych. I teraz muszą za to płacić. Ciągłe płacą.

Spojrzał niepewnie na Marie, po twarzy przebiegł mu trochę pijacki uśmiech.

- Plotki o Nowym Orleanie krążą po całym kraju. Musiałem omijać sporo oddziałów wojskowych, aby tutaj dotrzeć. Federacja Międzynarodowa bardzo się stara uniemożliwić ci działanie. Uznałem, że to dobry znak. Musisz być piekielnie niebezpieczną osobą.

Marie oparła łokcie na stole i podparła dłońmi podbródek. Przez dłuższą chwilę patrzyła chłopcu... - nie, młodemu, wartościowemu mężczyźnie - prosto w oczy.

- To dla mnie zaszczyt, że tu przyjechałeś. Mamy podobny problem z Biomiastem. To, o czym mówisz, jest dopiero planem. Właśnie takie miasto chcę stworzyć. Ale nie udało mi się osiągnąć zbyt wiele - wstała z krzesła i zaczęła się przechadzać po pokoju. - Byliśmy zmuszeni wziąć oryginalne zestawy do budowa Biomiasta od rządu. Nie mogliśmy ich dostać w żaden inny sposób. Nikt nie mógł. To było głupie z mojej strony. Liczyłam, że dostanę informacje od jednego z projektantów systemu metaferomonów.

- To znaczy, z Japonii.

Uśmiechnęła się mile zaskoczona.

- Właśnie.

- Jestem bardzo inteligentny. I sprytny. Może będę mógł pomóc - powiedział neutralnym tonem, który rozbawił Marie. Nie przechwalał się, po prostu proponował wymianę informacji. Nie mogła w żaden sposób sprawdzić jego referencji, poza oceną wyników jego pracy.

Był bardzo młody. Ale też wyglądał na solidnego, uprzejmego, a przede wszystkim, sprawiał wrażenie dobrze wykształconego. I chciał się zagłębić w niebezpieczne obszary programowania, które zostały utajnione przez rząd.

- Myślę, że się przydasz - stwierdziła. - I być może z twoją pomocą uda się stworzyć miejsce, o jakim marzysz. - Podeszła do stołu i popatrzyła Jasonowi prosto w oczy. - I o jakim też marzę - dodała.

*

Marie wsparła dłonie o burtę „Erzulie”, jak zawsze czując podniecenie i radość, jaką przynosiły wizyty w Półksiężycowym Mieście. Przez granat głębokiego oceanu prześwitywały zielone refleksy, gdy jacht wpływał do kanału przecinającego falochron otaczający miasto. Na nabrzeżu rozrastały się bujnie sady papai, mango i cytrusów. Nagle ściana drzew znikła, gdy łódź wpłynęła do wielkiej laguny, jednej z wielu znajdujących się wokół głównych wież. Ławice ryb przecinały wodę pod kadłubem, a w sąsiednim akwencie trwały właśnie żniwa - zbierano algi z gatunku spirulin.

Pływające miasto miało kształt sześciokąta, złożonego z heksagonalnych sekcji, jak plaster miodu. Konwertery energii geotermicznej zmieniały ją w elektryczność, w procesie sprawdzonym przez ostatnie dekady. Azot wydobywany na powierzchnię odżywiał algi, a te z kolei służyły za pokarm lub nawóz przy hodowli innych roślin. Struktura miasta rozrastała się modułami wokół wież konwerterów, których w tej chwili było pięć, zasilając areał o powierzchni dwudziestu milionów stóp kwadratowych.

W tej chwili był to obszar mieszkalny dla populacji liczącej około dziesięciu tysięcy osób, zapewniający nie tylko przestrzeń mieszkalną, lecz także wszystko, co potrzebne do życia - przestrzeń publiczną i prywatną, tereny rekreacyjne, miejsca pracy. Marie miała nadzieję, że wystarczy przestrzeni dla około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, zanim rozpocznie się osiedlanie na pełną skalę. To może trwać jeszcze rok, według najnowszych analiz i terminarzy prac. Do tego czasu niektóre działania nadal trzeba prowadzić na stałym lądzie.

Poza tym Marie była zmęczona tłumieniem plotek, że na Morzu Karaibskim powstaje wyspa na kształt idei Martina Garveya. Zwłaszcza, że w miejsce jednej zdementowanej pogłoski rodziły się natychmiast trzy nowe. W pierwszej połowie dwudziestego wieku Martin Garvey chciał podzielić społeczeństwo na Amerykanów i Afrykanów. Przeprowadził kampanię i zbiórkę funduszy na zarejestrowanie czarnej diaspory oraz umożliwienie dawnym niewolnikom powrotu do Afryki, jeżeli sobie tego zażyczą. Analogia z Garveyem była raczej odległa, Marie nie dążyła przecież do wyznaczania linii podziałów, chciała jedynie stworzyć środowisko wolne od rządowych wpływów i manipulacji, swoistą wyspę filozofów. Mimo wszystko wymowa rozprzestrzeniających się plotek sprawiała jej przyjemność.

Jednocześnie obawiała się, że Półksiężycowe Miasto stanie się celem piratów, najemników lub radykalnych ugrupowań terrorystycznych. Obecnie mieszkało tu około trzy tysiące ludzi, ale nie byli oni szkoleni do obrony. Była to społeczność złożona z naukowców, techników i socjologów, którzy pracowali nad projektem.

Popatrzyła w górę na lśniące błękitem wieże na tle równie błękitnego nieba. Z pamięci natychmiast wypłynęły obrazy ogrodów zajmujących szklarnie wewnątrz budowli. Na jednym z najwyższych poziomów była nawet tarasowa plantacja kawy, a powietrze tam było przesycone mgłą i wilgocią. Marie nie знаła nazwy bakterii, która żyła w czerwonych owocach kawowca, ale wiedziała, że potencjalnie może mieć znaczenie dla medycyny. Tak naprawdę Marie Laveau znała funkcje miasta raczej pobieżnie, starała się mieć jego ogólny obraz.

„Erzulie” skierował się na piaszczystą, skrzącą się plażę ogrodzoną palmami kokosowymi, przepływając wzdłuż przystani, gdzie trwały przygotowania do załadunku spiruliny, pereł, które również tutaj hodowano oraz owoców morza. Eksport miał na celu zwrot przynajmniej części kosztów rozbudowy miasta.

Kalina powitała Marie, jak zwykle lekceważąc obecność Małego i Pociętej Twarzy, którzy stanowili tymczasową załogę jachtu na czas dokowania. Cztery lata na Harvardzie, w tej cieszącej się niezmiennym szacunkiem i wolnej od zamieszek społecznych enklawie, opłacone pokaźną sumą starych pieniędzy, nadało młodej dziewczynie wyrafinowanego szlifów charakterystycznego dla wychowanków starych szkół. Morska bryza targała gęstymi, czarnymi lokami Kaliny. Chwyciwszy cumę, posłała Marie krótkie skinienie.

Harold, główny inżynier, nie był tak powściągliwy. Ten niewysoki mężczyzna w średnim wieku, łysy, ale z ciemną brodą przetykaną nitkami siwizny, stał na pomoście, uśmiechając się serdecznie. Był mocno opalony i ubrany jedynie w szorty. Pochodził z Wolnego Kraju, udało mu się uratować i przeżyć katastrofę sztucznej wyspy. Teraz sprawował nadzór nad całością projektu - wykształcony i kompetentny, a przy tym posiadający niezachwianą wiarę w powstanie Półksiężycowego Miasta.

Podał dłoń i pomógł Marie wysiąść, potem krótko i serdecznie ją uściskał.

- Witamy w domu, kochana. Co nam przywozisz?

- Problemy, Haroldzie. - Zeszli z przystani pod cień drzew. Półksiężycowe Miasto było uderzająco piękne „Zbyt piękne, by było prawdziwe” - pomyślała Marie. Wznoszące się pawilony z pustymi apartamentami i kwitnącymi ogrodami czekały tylko, aby wypełni je ludzie.

- Kłopoty są wszędzie - mruknął Harold. - I wszędzie o nich słyszę.

Przynieśli sobie kufle miejscowego piwa, a potem usiedli w kafeterii, która kiedyś wypełni się obywatelami Półksiężycowego Miasta. Teraz jednak tylko wiatr hulał po pustej przestrzeni, przynosząc aromat kwitnących plumerii.

- Jeden z programów nie funkcjonuje dobrze - oznajmił Harold, stawiając piwo i

opierając łokcie na stole. Jasnoniebieskimi oczyma spoglądał na Marie z troską. - Nie wytwarzamy dość manganu i magnezu, które są potrzebne do stopów w konstrukcji ostatnich segmentów miasta. Sądzę, że trzeba będzie sprowadzić duży ładunek manganu, jeżeli mamy dotrzymać terminów - skrzywił się. - Do diabła, nie mam pojęcia, jak to się stało. Według założeń, nasza produkcja powinna wzrosnąć w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Przykro mi, że nie zauważyłem wcześniej, co się dzieje.

Marie niechętnie oderwała uwagę od piękna sztucznej, zielonej laguny.

- Sabotaż? - zasugerowała.

Harold wzruszył ramionami.

- To możliwe. Istnieją dokładnie cztery precyzyjne procedury, które powinny zawiadomić o wszelkich odstępstwach od założonych norm. I zdaje się, że wszystkie zawiodły. Mamy wrogów?

- Mnóstwo - roześmiała się Marie. - Przygotuj mi spis, czego ci potrzeba, ile i na kiedy. Rozejrzę się za transportem zaraz po powrocie do Nowego Orleanu. Jedna z głównych tras PSSK została parę tygodni temu zbombardowana przez terrorystów, ale myślę, że szybko ją naprawią.

- A wtedy możesz po prostu kupić parę tysięcy niewolników, żeby wydobyli wszystko, co jest potrzebne, nieprawdaż? - spytała Kalina zza pleców Harolda. - Świat należy do ciebie, czyż nie? Nowy, wspaniały świat...

- Czemu jesteś tak nieuprzejma dla matki, dziecko? - zapytał inżynier.

- Ona nie jest moją matką.

- Cóż, to *wiele* wyjaśnia - parsknął śmiechem.

- Posłuchaj, Haroldzie - przerwała im Marie. - Ty, albo ktoś stąd, musi zacząć myśleć poważnie o ochronie. Wskaż mi, kto może się tym zająć, porozmawiam z nim. Chcę, żebyś wziął na siebie obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem miasta i to jak najszybciej. Pojawilo się sporo problemów... w wielkim świecie. Fanatyków i terrorystów aż świerzbią łapy, żeby się dostać do takiego miejsca jak nasze miasto.

- Taak, Marie - Kalina przytrzymała włosy rozwiane podmuchami bryzy. - Powołajmy zawodową armię w Mieście Przyszłości. Myślę, że będzie to idealny fundament twojej „czystej demokracji”. Jak dyktatura w Ameryce Południowej. Weź z tego przykład.

- W końcu trzeba zacząć - mruknęła Marie odsuwając krzesło.

- Haroldzie, zrobimy obchód?

Harold dopił resztę piwa.

- Ruszajmy zatem.

*

Tej nocy Marie obudził metaliczny brzęk. W jednej chwili klęczała na posłaniu, spoglądając przez okno w dół, na przystań.

Długa, niskopokładowa łódź wynurzała się z cienia. Dwóch mężczyzn wyładowało dużą czarną skrzynię i postawiło ją na nabrzeżu.

Bose stopy Marie nie czyniły najmniejszego szmeru na posadzce z morskiego betonu. Koszula nocna powiewała, gdy kobieta minęła drzwi i zbiegła po schodach. Nie była pewna, gdzie śpią inni. Próbowwała zdusić gniew, który czuła w tej chwili. Zbyt długo czekała ze wzmocnieniem ochrony. To jej wina, tylko jej. Ale tak wiele było do zrobienia...

Marie była pewna, że w skrzyni jest broń - albo materiały wybuchowe. Wyjrzała, by lepiej ocenić sytuację, gdy nagle ktoś objął ją mocno i zacisnął dłoń na jej ustach.

Ugryzła i uderzyła łokciem w pachwinę przeciwnika, a potem cofnęła się i kopnęła go w stopę. Wrzasnął. Okręciła się, wrywając z uchwytu. Ciężko dysząc, stali teraz naprzeciw siebie. Obcy wyciągnął broń.

- Kim jesteś? - krzyknęła.

- Kim *jesteś*? - powtórzył napastnik, a potem cofnął się. Nie знаła tego białego mężczyzny z ogoloną głową, na której poruszały się tatuaże. - Poznaję cię. Marie Laveau.

- To śmieszne! - usłyszała łomot szybkich kroków, ktoś nadbiegał. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Do diabła, to ty! To *naprawdę* ty, Pani-Czarna-jak-As-Pikowy, Królowa Voodoo we własnej osobie! Hoo-hoo! - nieoczekiwanie wyciągnął dłoń i chwycił kamień w kształcie serca, który nosiła na szyi. Cienki łańcuszek pękł, a biały napastnik zbliżył kamień do oczu i potrząsnął głową. Marie poczuła zapach jego potu.

- Niektórzy głupcy powiadają, że twoja moc płynie z tego kamienia. Z takiego świecidełka, he?

Marie nie zamierzała tracić czasu na wyjaśnienie, że zyskała siłę, ponieważ nie miała nic do stracenia. Kopnęła, wytrącając białemu broń z ręki i chwyciła ją, gdy spadła na posadzkę. Wycelowała właśnie, gdy zza rogu wybiegła Kalina. Na przystani nagle zapłonęły lampy.

Mężczyzna, nadal ściskając kamienne serce Marie, wyciągnął zza pasa drugi pistolet, derringera. Ruszył w stronę młodej kobiety, która spoglądała na matkę szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

Marie wycelowała uważnie w tors napastnika i nacisnęła spust.

Bluznęła krew, mężczyzna zatoczył się i wpadł do wody. Marie podchodząc do

krawędzi przystani, ujrzała jedynie jego dłoń nadal ściskającą kamień w kształcie serca i połyskujący coraz słabiej, zerwany łańcuszek. A potem wszystko znikło pod powierzchnią ciemnego, falującego oceanu. W głębi, na milę albo więcej, nie było nic, oprócz długich kotwic wież - konwerterów energii termicznej.

Kalina zaczęła krzyczeć.

Marie zauważyła, że Pocięta Twarz i Mały szarpią się z kilkoma mężczyznami. Rozległy się strzały stłumione przez szum przyływu na pobliskiej plaży.

- Napastnicy mogą być na łodzi! - krzyknęła do Harolda, który pojawił się wraz z grupą młodych mężczyzn i kobiet. A on mógł tylko stać i patrzeć, jak Marie osobiście wskakuje na pokład i obezwładnia kulącego się za burtą mężczyznę w czarnym, maskującym skafandrze do nurkowania. Na grzbiecie dłoni obcy miał tatuaż ze splecionych ze sobą dwóch liter „C”.

Marie wypchnęła mężczyznę na przystań i nie opuszczała broni. Ruszyła za nim, powiewając koszulą nocną.

- Co tu robisz?

Mężczyzna rozejrzał się uważnie.

- A mówiono mi, że na przystani nikogo nie będzie...

- Kto tak mówił?

Mężczyzna wskazał na jednego z powalonych napastników.

- On.

Harold ukląkł, by przyjrzeć się dokładniej.

- Calihan. Cholera. Nie żyje. Wylałem go pół roku temu. Inteligentny facet, ale... Miałem dziwne przeczucie. Zastanawiam się, czy miał coś wspólnego z ostatnimi problemami przy produkcji. - Otwórz tę skrzynię - rozkazała nagle Marie mężczyźnie z wytatuowaną ręką.

- Nie! - cofnął się natychmiast.

- Załadować skrzynię na pokład - Marie zwróciła się do Pociętej Twarzy i Małego. - Tylko ostrożnie.

Polecenie zostało wykonane natychmiast, skrzynia znalazła się przy pulpicie sterowniczym.

- A ty - kobieta spojrzała na obcego. - Do łodzi.

- Ale...

- Już!

- Powiem ci, skąd jestem i...

- Wiem, skąd jesteś. Jesteś z Nowego Orleanu. Należysz do grupy terrorystycznej nazywanej Konfederacją Karaibską, która planowała przejąć to miasto i wybić jego mieszkańców. A teraz wsiadaj do łodzi.

Mężczyzna wszedł na pokład. Marie rozejrzała się.

- Wy też - machnęła bronią w kierunku dwóch innych przybyszów, obezwładnionych i rannych. - To już wszyscy? No, to zapuszczaj silnik i wynocha. Jazda!

Raz jeszcze machnęła bronią, obejmując gestem zgromadzonych na przystani. Łódź terrorystów odbiła od pomostu.

Wytatuowany mężczyzna patrzył na Marie z powątpiewaniem.

- Włącz silniki - rozkazała mu.

Napastnik posłuchał. Skierował łódź do kanału prowadzącego na pełne morze i ruszył z pełną prędkością, znacząc ślad wysokim kilwaterem.

Minęło pięć sekund. Marie uniosła broń i wycelowała. A potem strzeliła.

Trzeci strzał trafił w oddalającą się łódź, wzbijając przerażający gejzer ognia i wody.

Kalina popatrzyła na Marie, a ona nie rozpoznała uczuć na jej twarzy. Odraza? Podziw?

A może po prostu dziewczyna była wstrząśnięta, ujrawszy, co zrobiła jej matka?

Marie opuściła broń, pozwoliła jej upaść na pomost. Potem odwróciła się i odeszła.

Znalazła windę i pojechała nią najwyżej, jak można. Wysiadła w wielkiej hali pełnej cieni i podeszła prosto do łukowatego, ogromnego okna. Wyżej był świetlik, przez który sączył się na podłogę blask Księżyca.

Marie patrzyła długo na lagunę, aż dopaliły się ostatnie płomienie i znikł wszelki ślad na tafli wody.

Jedyne, o czym umiała myśleć, to bolesne poczucie braku kamiennego serca, który tak długo nosiła na szyi.

Serca Agwe.

*

Dwa tygodnie później Marie z niezwykłym poczuciem niepewności stała pod czarnym parasolem w nowoorleańskim deszczu. Chłodny mrok późnego listopadowego popołudnia zdawał się współgrać z jej nastrojem. Brak etyki i niemoralność szybko narosły w jej sercu.

Odblask czerwonego neonu „BAR ACME - ŚWIEŻE OSTRYGI” migotał w ulicznych kałużach. Marie podeszła powoli do baru, nie troszcząc się o przemoczone buty, zamknęła parasol i otrząsnęła go z wody stanowczym gestem. Potem weszła do środka, niemal

potykając się o siatkę z ostrygami, którą stary mężczyzna przerzucił przez bar. Otworzył ją, prostując się, zanim dźwignął ciężar i wysypał szare ostrygi do pokierszowanego, drewnianego korytka. Sprawnie otworzył pół tuzina i ułożył na białym półmisku, który podsunął mu kelner. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na Marie.

- Czym mogę służyć?

Marie usiadła przy kontuarze. Gdy zdejmowała kapelusz, na blat spadły krople wody.

- Porcję ostryg i dodatki. I *ale*.

Ale było chłodne, z wyraźną goryczką. Hałas i zgiełk w pomieszczeniu wyraźnie się nasilały. Marie śledziła szlak kropeł deszczu na szybie, nieregularny, znaczony czerwienią światła z szyldu lokalu.

*

- Nie będę owijała w bawełnę - powiedziała doktor Weinstein, siadając w gabinecie Marie. Plakat wydany z okazji stułetniej rocznicy śmierci Louisa Armstronga lśnił za plecami kobiety, przypominając o tradycjach miasta. - Umierasz.

- Hmm...

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

Marie skinęła głową.

- Tak myślałam. I co z tego?

- To może być dla ciebie trudne... Wstała, uderzając pięściami o blat biurka.

- Do cholery! To zrób coś! Jestem zbyt zajęta, by umierać!

- Ach! Tak lepiej - faliste włosy Weinstein były spięte w ciasny kok, ale większość i tak wymykała się spod spinek, niesfornie płacząc się wokół owalnej, jasnobrązowej twarzy lekarki. - Masz parę możliwości.

- Wracać do zbiornika, tak?

- Niezupełnie. Ale to zajmie trochę czasu. Prawdopodobnie około dziesięciu miesięcy.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego?

- Mam kilka spraw do załatwienia.

- Tak myślałam - odpowiedziała lekarka, nie kryjąc złości. - W takim razie, czas umierać.

- Wymyśl inne rozwiązanie.

Weinstein rzuciła na blat kostkę z wynikami testów medycznych, jakie zrobiła Marie.

- Jak się spodziewaliśmy, twoje nerwy ulegają atrofii w naprawdę błyskawicznym tempie. Pomimo powstrzymywania procesu przez leki regeneracyjne.

- Odrobiłaś zadanie domowe, jak widzę.

- Na tyle, aby wiedzieć, że zmiany są szybkie i niebezpieczne. I nie zostało ci dużo czasu.

- Jak niedużo?

- Jeszcze nie wiemy. To dopiero pierwsza seria testów. - Lekarka pochyliła się i plasnęła dłońmi o biurko przed Marie. - Ale i tak prawda jest prosta, Marie. Nie masz dziewięciu żywotów jak kot. Mogłabyś być zdrowa w ciągu pół roku, maksymalnie, a do pracy wróciłabyś po czterech miesiącach rehabilitacji. Na dodatek, młodsza i silniejsza niż wcześniej.

Poza Hugo Marie nie miała nikogo, kto mógłby trzymać ster, nikogo, komu mogłaby powierzyć nadzór nad Nowym Orleanem i Projektem Miasta Półksiężycy, i nad całą resztą... Nikogo, oprócz...

Kalina jest za młoda. I Marie nie do końca była przekonana, że jej plany i zamierzenia interesują córkę.

Miasto Półksiężycy rodziło się. Podczas ostatniej wizyty Harold z dumą zaprezentował założenia, według których będzie to naprawdę rewolucyjna koncepcja miejsca do życia, do przetrwania rodzącego się na świecie chaosu. I może naprawdę będzie to miejsce, gdzie zostaną odkryte nowe drogi rozwoju i dla wszystkich ludzi nastanie nowa era.

Dlatego okres najbliższych sześciu miesięcy będzie tak kluczowy.

Jednak, na początku, Marie miała wątpliwości. Czy musi się złożyć w ofierze za swoje miasto?

- Technologia replikacji mózgu nie jest całkiem gotowa, jak rozumiem?

Śmiech Weinstein był ostry i krótki.

- Żyjesz w świecie bajkowych urojeń. Słyszałam jednak, że możesz spróbować sprawdzić to w Los Angeles, jeżeli interesują cię takie rzeczy. Laveau, jest czas łowienia ryb i czas suszenia sieci. Doradzałabym teraz to drugie.

*

Barman z ACME przerwał jej rozmyślenia.

- Proszę pani? Pani Laveau?

- Co?! - Marie podniosła wzrok.

- Wydaje się pani, że jest niewidzialna? - w jego oczach błyszczała sympatia. - Co jest? Przecież mnie pani pamięta, prawda? Pani babcia przychodziła tutaj. Wspaniała kobieta. Naprawdę doceniam, co pani zrobiła dla mnie i mojej rodziny.

Był przystojnym mężczyzną. Biała broda kontrastowała z ciemnobrązową skórą.

Oprawiał ostrygi, nie przestając mówić.

- Och - Marie próbowała sobie przypomnieć, kim jest barman, ale nie mogła. Jedyne, co jej się przypomniało, to barwa szyldu, który przyciągnął ją tutaj czerwienią oraz uczucie głodu i pragnienia. Spojrzała na szklanekę piwa, opróżnioną do połowy.

- Ile tego wypiałam?

- Trzy.

- Co... Co zrobiłam dla twojej rodziny?

- Proszę nie być taką skromną. Przyjechałem do Luizjany z daleka. I spotkało mnie tu wiele dobrego. Kiedy byłem młody, nie mogłem znaleźć żadnej pracy, oprócz zajęcia przy ostrygach. Rzucałem to wiele razy i zawsze wracałem. Nie nadawałem się do aktorstwa, jak mi się zdaje. - Jego śmiech zabrzmiał głębokim, ciepłym tonem i Marie bez trudu wyobraziła go sobie na scenie. - Wystąpiłem w kilku lokalnych reklamach telewizyjnych jeszcze za dawnych czasów. Za parę tygodni miałem zagrać w następnej reklamówce. Ale jestem szczęśliwy, nawet jeżeli moja żona nie jest zbyt zadowolona ze zmian w mojej karierze. Ale to, o czym wspomniałem, dotyczy mojej córki i jej męża oraz trojga moich wnuków. Wszyscy mają te receptory. Nie wiem, co się porobiło na świecie. Ale myślę, że oni są przygotowani na te zmiany. - Wyciągnął z kieszeni portfel i położył łokcie na kontuarze. Zdjęcia rodziny zajaśniały, gdy nacisnął „scroll” - Tunishia, moja mała wnusia. Ma tylko sześć lat. I już umie geometrię. I Ellis, dziesięć lat. Pracuje nad jakimś projektem komórki. To dzięki pani, pani Laveau. Tylko panią obchodziło, aby zapewnić moim wnukom edukację dostosowaną do ich wyjątkowych zdolności i talentu. Przykro mi, że jest pani tak zmartwiona.

Marie zerknęła na zdjęcia, zanim barman wyłączył ekspozycję i schował portfel. Obrazy rozmyły się i znikły, ale Marie pozostała wizja wściekłych hord bezdomnych, którzy wkraczają do miasta albo wywrotowców z rządu - lub podających się za ludzi z rządu - którzy zalewają miasto i przerywają kruche bariery ochronne, jakie starała się zapewnić temu miejscu.

Wieści nie były najlepsze. Poza granicami miast kraj się rozpadał na drobne, zamknięte społeczności. Ludzie, jak zwykle, wzięli sprawiedliwość we własne ręce. Przestały obowiązywać umowy społeczne, od których dotychczas zależały formy współżycia grup. Szerzył się tylko wielki strach - strach przed zarażeniem nanoplągą przenoszoną w żywności, wodzie, a nawet w powietrzu.

Marie upiła kolejny łyk, ale i uderzeniem palca uruchomiła dostęp do szafy grającej. Wyświetliła nieprawdopodobnie długi katalog pozycji zgromadzonych w fonotece, dostępnych praktycznie z dowolnego miejsca w Nowym Orleanie. Kontuar baru odczytał jej

odciski palców i wprowadził do bazy danych miasta transakcję. Bilans zysków i strat był analizowany i aktualizowany praktycznie bez przerwy przez program, który mógłby również powiedzieć Marie, czy jej społeczny eksperyment, to przedsięwzięcie polegające na zmieszaniu kapitalizmu i socjalizmu, działa. Marie zbliżyła palec do zielonego światelka na powierzchni blatu, nie większego od dziesięciocentówki, co wywołało niewielki ekran, przez który mogła uregulować rachunek w barze, dodać napiwek i włączyć „Mood Indigo”.

Pełne napięcia pasażerów utworu popłynęły w powietrzu i przypomniały opowieści z innej epoki, opowieści, które snuła babka - o czasach, gdy jako młoda dziewczyna pilotowała łódzie na Kubę i z powrotem, kryjąc się przed federalnymi, o Churchill i okresie, gdy nad światem zbierały się czarne chmury, przynosząc szaleństwo, rozkwit sztuki i strach, który gnał ludzi z miejsca na miejsce.

Obecna epoka zdawała się przypominać owe czasy. Jednak teraz nie było miejsc z bezpiecznym niebem, nie było kraju, do którego można uciec, by ocalić choćby tylko życie. *El Silencio* ogarnęło cały świat i na horyzoncie zawisły czarne chmury paniki przed nanotechnologią, która mogła zniszczyć Ziemię, rozkładając materię na atomy. Wędrowni kaznodzieje głosili ponure przepowiednie całkowitej zagłady. Plotki mówiły, że kolonie na Księżycu i Marsie uległy zniszczeniu - przez obcych, przez nanośmierć, przez *El Silencio*.

Marie skończyła piwo przy dźwiękach Ellingtona. Mocne uderzenia perkusji otwierającej „A drum is a Woman”, części opartej na afrykańskich rytmach, przywołały Agwe. I oto Agwe ujrzał złote miasto w oddali...

Agwe wyjął paczkę papierosów i zapalił. Agwe zsunął się ze stołka, opuścił bar i przeszedł trzy przecznice w ulewnym deszczu, do gabinetu doktor Weinstein. Agwe zażądał lekarstwa, które oddali od Marie widmo śmierci na pół roku, na rok, na dwa lata, na zawsze...

Ale była to Marie, w ocieplanej, suchej sukience. Marie, którą Weinstein uwolniła od kaca zaledwie w pół godziny później, policzkując ją bezlitośnie. Marie, której lekarka przeczytała wszystkie materiały i informacje o wspomnianym specyfiku. Specyfiku, jaki mógłby uleczyć, ale o wiele bardziej prawdopodobnym było, że przyniesie tylko śmierć.

I była to Marie, która obudziła się następnego ranka pełna energii, bez wspomnień, całkowicie sprawna i gotowa. Marie, która budowała miasto, by ocalić ludzkość i wprowadzić cywilizację w nadchodzące nowe tysiąclecie.

Mocny, szybki taniec i powolny pasaż

Zeb, Waszyngton, 2039

Zeb mógłby powiedzieć, że jest gorąco, choć ktoś, kto ujrzałby go kroczącego Dwunastą Ulicą, nie miałby tej pewności. Płaszcz Zeba - dawniej Craiga - był rozpięty i powiewał jak postrzępiona peleryna. Zdawać by się mogło, że go chłodzi, skoro pod spodem nie miał nawet koszuli. W schronisku spryskano skórę Zeba szybko wchłaniającym się aerozolem z filtrami UV, co pozwalało wystawiać się na słońce i chłodną bryzę. Dziś jednak powietrza nie poruszał najmniejszy powiew. Mężczyzna rozejrzał się. Drzewa tworzyły nieruchome rzeźby zamglonej zieleni w różnych odcieniach, szare ściany budynków zlewały się w jedną plamę drżącą w gorącej mgle.

Zeb uwielbiał taką pogodę.

Zroszony chłodnym potem, podziwiając barwy na murze, gdzie tańczyła reklama Kopuły w Los Angeles, dał się wciągnąć i oglądał przekaz. Idealna kobieta wskazywała wejście i Zeb poczuł dotyk jej dłoni na ramieniu. To przykuło jego uwagę, był zbyt zaskoczony, by się ruszyć, gdy fantom położył drugą dłoń na jego nagim torsie.

- Należy pan do Sektora Piątego - odezwała się kobieta pouczającym tonem. - Proszę się odwrócić i iść G Street, gdzie pana miejsce.

- *To mój kraj, ziemia ukochana...* - zanucił Zeb zdartym od palenia głosem. Nigdy nie wiedział, skąd się brały te impulsywne skojarzenia. Żałował, że nie zna reszty piosenki. Może uczył się jej w podstawówce. Uwielbiał ten nastrój. Wyszczrzył zęby do fantoma.

- Tak długo, jak odmawia pan rejestracji - odezwała się wirtualna kobieta - to nie jest pański kraj. Ale będzie to dla mnie zaszczyt zarejestrować pana. - Opuściła ręce wzdłuż bioder opiętych spódnicą w kwiaty. Jej twarz ocieniał wielki, błękitny kapelusz.

Zeb zbliżył się, popatrzył jej w oczy.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy się spotkali. Mogę cię zaprosić na kawę? - prawie uwierzył. Ale jej oczy w głębokim, przepięknym odcieniu błękitu, znaczyły trójkątne punkciki indygo wokół tęczówki, które pulsowały rytmicznie. Hipnotycznie.

Zgodnie z założeniami. Zeb odskoczył, gdy kobieta wyciągnęła ponownie dłoń, by go dotknąć. Wiedział, że ta dłoń go naznaczy, czego odmawiał od dawna, korzystając z

przysługujących mu praw obywatelskich. Kobieta machnęła ręką, nie sięgając Zeba. Zawołała tylko:

- Będziemy o panu pamiętać! - ale Zeb już oddalał się w głąb ulicy, powiewając połami płaszcza. Odetchnął głęboko.

- Ach! - I podchwyciwszy spojrzenie mijającego go mężczyzny dodał: - Piękny dzień, nieprawdaż?

Dzień był naprawdę piękny, w sam raz, by być szczęśliwym i nie myśleć o niczym innym. To plus. Zróżnicowanie byłoby lepsze, ale dzisiaj Zeb dostrzegał tylko dobre strony swojej sytuacji. Minusy stanowiły tę gorszą część, o której nie chciał myśleć, nie teraz. Ruch uliczny pulsował przed nim, przepełniały ulice zatwierdzone rządowo indywidualne, prywatne pojazdy. Lecz wszędzie wokół Zeba mogła kryć się broń, która mogła przeformatować mu obszary mózgu w ogromnym - w bardzo ogromnym zakresie. Odkąd Federacja Międzynarodowa przysłała żołnierzy do Stanów Zjednoczonych, każdy musiał sam troszczyć się o własny umysł.

- Jestem niezależny! - usłyszał własny okrzyk. To by się nie zdarzyło, gdyby nie uciekał, nie sprzeczał się, nie dyskutował. Ale usłyszał i poczuł się lepiej.

Głośnie uderzenie muzyki zatrzymało go nagle. Zza stożkowatego wejścia, falującego i spoistego, brzmiały przyjemne, pozytywne dźwięki. Solidne drzwi, więc podszedł. A tam znowu - uderzenie muzyki - ryk przeszywający mózg i pozostawiający uczucie chłodu, czystości, przejrzystości powietrza.

Zeb przesunął dłonią wzdłuż kontuaru przy drzwiach, z góry na dół i natychmiast odebrał przez skórę nazwę lokalu. GRA W KLASY - BAR. A potem znów ogarnęły go dźwięki. Zerknął na swoje odbicie w szybie i palcami przyczesał szybko włosy i brodę. Zauważył ze wstydem, że jest niedomyty, rozczochrany - to straszne! Przez chwilę miał ochotę uciec i przeprosić fantomatyczną kobietę z reklamy, ale nagle muzyka wciągnęła go, jakby miliony rąk potrafiło neuronami Zeba. Jak kosmos... Jak...

Spłynął na niego spokój. Wszedł w chłodny mrok baru i oddał się muzycznym pasażom, które rozpoznał i zapamiętał z dawnych czasów. Dźwięki płynęły przez niego, wyciszały go tak, że prawie wymazały otoczenie, czas i przestrzeń, jakby już nie był Zebem, lecz *wszystkim* - jedną, absolutną i doskonale czystą materią.

Chwila przeminęła. Muzyka wzniosła się w niesamowitej, majestatycznej frazie wygranej przez kobietę w kącie sali, otoczoną żelowymi głośnikami. Naciskając palcami, nosem, łokciami barwne powierzchnie, dziewczyna ni to tańczyła, ni grała, długa spódnica falowała wśród kolorowych kształtów przypominających spławiki i piłki do tenisa.

Warkoczyki jej wymyślnej fryzury muskały czujniki, wywołując kaskadę dźwięków, które wibrowały i nasycaly powoli w ciszę. Przez chwilę dziewczyna stała nieruchomo, oddychając szybko, a jej twarz lśniła od potu. Dziesięć stóp za nią barman wycierał kontuar. Z malutkich, wąskich szpar okien biło światło. Zeb zaklaskał. Klaskał głośno, długo, ale nikt mu nie zawtórował. Dopiero wtedy, gdy oczy przywykły mu do panującego tu półmroku, zorientował się, że oprócz niego nie ma innych klientów. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, lekko skłoniła i zeskoczyła ze sceny z panelami dotykowymi, wywołując tym ruchem kakofonię i dezorientujący szum. Potem założyła sandały, które leżały przy podwyższeniu.

- Mogę postawić ci drinka? - zapytała.

Miała jasnobrązową cerę, wysokie kości policzkowe zroszone potem i wielkie, ciemne oczy. Głos brzmiał perłście, delikatnie i głęboko zarazem. Nie była wysoka, może pięć stóp i trzy cale. Chuda.

- Nie wiem - odpowiedział Zeb niepewnie. - To ja powinienem chyba tobie...

Pomacał się po pustych kieszeniach i dziewczyna roześmiała się serdecznie, a jej śmiech brzmiał jak trójtonowy akord.

- Siadaj. - zaprosiła, przysuwając sobie plecione krzesło. - To mój bar. Na koszt firmy. To nie był jeszcze występ, dopiero ćwiczę.

- Medytuje - dodał barman, stawiając przed obojgiem duże szklanki z wodą i pokruszonym lodem. - Panna Ra medytująca. Czym mogę panu służyć, sir? - spytał uprzejmym tonem.

- To wystarczy, dziękuję - odpowiedział Zeb, dotykając chłodnego szkła, nadal jeszcze pod wrażeniem muzyki, która tak mocno nim wstrząsnęła w ten maniacki, szalony poranek. W cichym półmroku sali jego umysł powoli się uspokajał. - Ta agentka społeczna na zewnątrz prawie mnie złapała.

- Agentka społeczna?

- Właśnie. Dotyka cię i wie, że jesteś poza swoim terenem, a wtedy każe ci wracać do swojego sektora... - na dobrą minutę zapadła cisza, słychać było tylko powolny szum wentylatora. W końcu Zeb odezwał się. - Nie ma żadnych agentek społecznych, prawda?

- Nazywają mnie „Uzdrowicielka” - powiedziała Ra. Uniosła szklankę i upiła łyk czystej wody, a jej długa szyja zafalowała. Odstawiła naczynie i wzięła głęboki wdech.

- Mogłam cię wyczuć, gdy szedłeś ulicą. Potrzebowałeś uzdrowienia. Ale teraz, gdy tu zajrzałeś, czujesz się o wiele lepiej.

Zeb milczał. Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to słówko „nonsens”, które jednak szybko znikło, zastąpione paranoicznymi, paraliżującymi myślami. Śledzili go? Skąd

wiedzieli? Kim byli, czego chcieli? Chcieli, rzecz jasna, wszystkiego, co wymyślił przez minione piętnaście lat. Byli cholernie sprytni. Wskazała go agentka społeczna, dlatego tak szybko go znaleźli...

Zaskoczył go wybuch śmiechu Ra.

- Twój umysł się zapętlił, jak widzę. Rozumiem, że nie jesteś Wiernym. Można to naprawić.

- Masz jakieś imię, panno Ra? - Zeb szybko zmienił temat. Najlepiej by było, gdyby się uprzejmie pożegnał i wyszedł, ale podejrzewał, że na nic się to nie zda, skoro wpadł już w ich sidła.

- Sun - odpowiedziała. - Słońce.

- Sun Ra jest, jak wiadomo, reinkarnacją Sun Ra - dodał barman zza kontuaru. - Reinterpretacją. - Gdy mówił, kurz w promieniach światła wirował nad starymi, sosnowymi deskami podłogi, jakby sama wzmianka o Sun Ra wywoływała poruszenie prawdziwego słońca.

- Sun Ra? - powtórzył Zeb, ale Ra, albo Sun, milczała. Wyprostowana na krześle przyglądała się tylko uważnie. Kurz zawirował jeszcze dwukrotnie, zanim się odezwała.

- To bez znaczenia - westchnęła, rozluźniając się i zwieszając ramiona za oparcie. Między szczupłymi kośćmi pojawiły się wyraźne dołki. Ra zmrużyła oczy nie spuszczając spojrzenia z twarzy Zeba. Poczul się jak na celowniku.

- Przepraszam - wymruczała, odwracając wzrok do drzwi tak szybko, że Zeb mimowolnie zwrócił głowę w tym samym kierunku. Przy wejściu nie było nikogo. Dziewczyna wstała i ruszyła w kierunku sceny. Kiedy szła przez salę, Zebowi wydawało się, że ogląda stary film w zwolnionym tempie. Uświadomił sobie, że nie zdoła znieść jeszcze raz tej muzyki. Przynosiła mu wspomnienia, które bolały, cierpienie minionych dni, lat... *Ile to już lat? Oto jest pytanie.*

- Skąd nazwa baru? - zapytał.

Ra odwróciła się z iskierkami wesołości w oczach, a sflawiki, piłki tenisowe i... inne ustrojstwa do wydawania dźwięków, przylgnęły do obrzeża jej spódnicy, w ułamku sekundy wirując w tę i z powrotem, aż wreszcie stanęły. Dziewczyna podskoczyła do przodu na jednej nodze, potem wylądowała na obu, powiewając połami ubrania. Zeb przyglądał się. Ra na koniec narysowała jak kredą kilka linii na podłodze i powiedziała:

- Gra w klasy.

- Och - mruknął tylko.

- I bar - dodała, pochodząc do kontuaru. Pochyliła się, by poszukać czegoś pod ladą.

- Już się kończą - powiedział barman. Ra wyprostowała się trzymając kawałek drewna, czworościenną piramidę. Potem usiadła przy stole przed Zebem i wcisnęła mu bryłę w dłoń.

- Proszę.

Piramida była gładka. Żadnych zgrubień i drzazg. Zeb wyobrażał sobie, że została polakierowana lub wypolerowana. Bryła miała może trzy cale długości i dwa szerokości, a w środku miała umocowany metalowy cylinder, który zagrzechotał cicho przy potrząsaniu.

- Co to jest?

- Gra w klasy - odpowiedziała cierpliwym, uprzejmym tonem. Wzięła bryłę, kucnęła na podłodze, by namalować linie gry, potem zamachnęła się dwa razy i pchnęła lekkim ślizgiem piramidkę po rysunku.

Zeb miał ochotę wzruszyć ramionami, opanował się jednak. Dziewczyna zrobiła dwa długie skoki i podniosła drewnianą bryłę.

- Rzucasz tym w pola z kolejnymi numerami. Potem musisz przeskoczyć numery i przynieść bryłę na miejsce startu. Jeżeli nie trafisz na odpowiedni numer, tracisz kolejkę. A jeżeli trafiasz, wygrywasz.

- Skąd to masz? - zainteresował się Zeb.

- Ukradłam - wyznała. - Kiedy miałam siedemnaście lat, odwiedziłam moją podstawówkę. Chciałam zabrać moje stare nagrania, a jakiś facet nakrzyczał na mnie, że przyszłam do szkoły boso. Byłam naprawdę wkurzona, więc wyszłam na boisko. A tam siedziała ta sama kobieta, która zajmowała się dziećmi, gdy byłam uczennicą. Miała siwe włosy, ubrana była w białą koszulę i białą bluzę. Siedziała na murku obok kamiennego lwa, większego od niej. Zawsze pilnowała uczniów na boisku. Kiedy machnęła dłonią, oznaczało to, że czas wracać do środka. Na jej znak dzieciaki pobiegły do budynku, a ja zobaczyłam, że któreś zostawiło tę grę w klasy. Powinnam ją zanieść do szkoły, ale tak nie zrobiłam. Schowałam grę do kieszeni - uśmiechnęła się szeroko. - Prawdopodobnie dlatego jeszcze nie uratowałam świata. Nie jestem bez skazy. Nie tak bez skazy, jak powinnam.

- Bez skazy - odezwał się barman, pobrzękując szklankami, jakby uczestniczył w jakimś quizie.

- Czemu grałaś to, co grałaś, gdy wszedłem? - zapytał Zeb. Ra musiała być jakąś agentką rządu.

- Po prostu przypomniałam sobie tę melodię - odparła. - Moim celem jest ocalić ludzkość. Wiem, że brzmi to, jak bredzenie wariatki, ale tak właśnie jest. Na przykład, ciebie. Jesteś taki... wyrazisty. Rozświetlony. Wszystko jaśnieje, ale ty bardziej... Taki wyrazisty...

- Powiedz mu - odezwał się barman. - Możesz mu powiedzieć. Uczciwie.

Ra zamruwała, westchnęła i wzruszyła ramionami. Potem podeszła do kąta, gdzie wirowały muzyczne urządzenia. Wślizgnęła się między panele dotykowe, wywołując niski, kakofoniczny ton. Zsyntetyzowała asonansowe dźwięki, gdy wyciągała spośród ekranów skrawek papieru i zeskoczyła z podwyższenia. Wróciła do stolika, podając Zebowi karteczkę.

Zamruwał. To był wąski pasek. Wypełniony w całości zapisem podobnym do alfabetu Morse'a. Kreski, kropki, poprzeczki. Powtórzone trzykrotnie. I to wszystko.

Dziewczyna wyjęła mu z dłoni kartkę i rozłożyła ostrożnie na blacie stołu.

- Musisz przyznać, że tu jest piękny rytm. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia.

- Skąd to masz? - zapytał.

- Od ciebie - wyznała spokojnie. - Rozrzucałeś te ulotki w parku, tydzień temu. Wciskałeś je ludziom, leżały wszędzie, jak confetti. Wykrzykiwałeś coś o tajemnicy wszechświata. Podejrzewam, że nic nie pamiętasz. Jasne, że nie pamiętasz. Miałeś fazę. Tamtego ranka szłam po doniczki, a ty przechodziłeś przez ulicę - zachichotała. - Spodobałeś mi się. Zaczaiłam się na ciebie. Chciałam cię przestraszyć. To było takie zabawne. Ale to nie wszystko. Miałam zamiar cię odnaleźć wcześniej. Widywałam cię w zeszłym roku. Nawet raz wypiliśmy kawę w „Naturalnych Używkach”...

- Naturalne Używki? - zdziwił się Zeb.

- Długo nas tu nie było - wtrącił barman. - Teraz pewnie lokal nazywa się inaczej.

Pokręcił się za barem i nagle wszędzie rozbłysły światła: poplątane linie czerwieni i purpury oraz świecące napisy nad stołami - „Stoliczne ale”, „Czyste Czerwone” i inne marki malutkich, lokalnych browarów. Wokół sali w ciszy popłynęło logo „Opowieść o Mieście”, regionalnego producenta mydła, zlewając się ze światłami nanoreplikatora wielkości masywnej, sporej skrzyni. Większość współcześnie produkowanych replikatorów rozmiarami przypominała szafy.

Zeb wygładził papier kilkakrotnie. Jego faktura wydawała mu się znajoma. Poza tym nie wierzył za bardzo pannie Ra.

Grupa ludzi pojawiła się w drzwiach. Byli roześmiani, młodzi i od razu zamówili piwo. Rozbrzmiało więcej dźwięków i świateł. Zeb przyglądał się postaci, która kazała nazywać się Sun Ra, szukał wzorca danych. Wzorzec zbliżył się do niego, otoczył go i opłynął jak fala. I ponownie znalazł się na znanym sobie obszarze, powodzi danych.

Kiedy wstał i ruszył do wyjścia, wprost w jaskrawe światło, usłyszał głos Ra. Nie zatrzymał się jednak.

Za drzwiami uniósł dłoń ściskającą skrawek papieru, ale szedł dalej w głąb ulicy.

- Tajemnica wszechświata! - usłyszał rozgorączkowany głos. To był jego głos.

Ale z tego nie zdawał sobie już sprawy.

*

W „Grze w klasy” było przyjemnie. Mógł przychodzić i wychodzić, kiedy chciał, a Ra zawsze upewniała się, że coś zjadł. Jej klienci także lubili Człowieka z Gwiazd, który raczył ich swoimi przemyśleniami i spekulacjami, często wyświetlając nad blatem stołu tablice i diagramy lub dowody matematyczne, ilustrujące wypowiedzi. Zeb uznał nawet, że ten lokal jest całkiem niezłym miejscem do pracy.

I tak - w nowym dla Zeba otoczeniu - minęła zima. Ra stopniowo przekonywała go, by spędził noc w jej domu, potem następną. W końcu zostali kochankami. Dla Zeba było to nowe doświadczenie, natychmiast popadł w stan upojenia, zaskoczony intuicją, empatią i urodą Ra. W rzeczywistości, miała czterdzieści lat, ale nie bała się poddać trzykrotnie różnym klinicznym kuracjom i eksperymentalnym programom badawczym, aby ukryć swój prawdziwy wiek.

Przed wszystkim jednak, dzieliła pasję Zeba, zainteresowanie przestrzenią kosmiczną. Jak przystało na wcielenie Ra, wierzyła, że „Przestrzeń jest Miejscem” i to motto często gościło na panelach w barze „Gra w klasy”. Wierzyła też Zebowi. We wszystko, co mówił. Nie uważała, że jest szalony.

W styczniu do Waszyngtonu przybyło więcej żołnierzy. Przygotowywali się do szturm na Południe, gdzie Atlanta i Nowy Orlean sprzeciwiały się władzy Federacji Międzynarodowej. Czasami wojskowi przychodzili do baru. Siedzieli osobno, pili w samotności, ponieważ nikt nie darzył ich sympatią. Ich angielski był zazwyczaj beznadziejny, wyuczony na automatycznych programach translacyjnych. Żołnierze wyglądali na podejrzliwych i mających nieczyste intencje. Mniej więcej tydzień temu Zeb czytał w gazetach opowieści o tym, jak oddziały Międzynarodowej Federacji zostały zaatakowane nagle przez miejscową milicję uważającą się za organ Jedynego Rządu Światowego. Poza granicami Waszyngtonu nazywano ich po prostu „Robalicja”, od nanobotów, pieczołliwie określanych w nanotechnologicznym slangu „robalami”.

Potem Zeb przeczytał, że Atlanta i Nowy Orlean wyparły się Unii, a Nowy Jork chce pójść w ich ślady. W Waszyngtonie popierano wprowadzenie nowego paliwa, ale często wybuchały zamieszki i protesty. Stany Zjednoczone należały do Północnoatlantyckiego Paktu Nanotechnologicznego i ratyfikowane porozumienia nakładały ciężkie kary za nielegalne lub nielicencjonowane użycie nanotechnologii. A to właśnie miało miejsce w Atlancie i Nowym Orleanie. Nastroje w mieście, w kraju, a prawdopodobnie na całym świecie, były ponure.

*

Zeb otworzył oczy, choć nie wiedział, dlaczego. Zegar wskazywał 3:48. Odczuwał niepokój.

Nie było w tym nic szczególnego. Nadal nie przywykł do spania w zamkniętych pomieszczeniach, choć mieszkał z Ra już od paru miesięcy. Tęsknił za wiatrem, za ruchem ulicznym, nawet - jak żartowała Ra - za brzękiem tłuczonego szkła.

Zazwyczaj, gdy się tak nagle budził, starał się nie ruszać, aby nie przeszkadzać kochance. Po prostu leżał godzinami, rozmyślając. Ale teraz było inaczej. Wstał, włożył spodnie wiszące na oparciu krzesła, wyjął papierosy i wyszedł do salonu, zamykając drzwi od sypialni.

Pałac, zajrzał do kuchni, przygotował kawę, która zawsze go uspokajała. W ogóle, odkąd dwa miesiące temu przeprowadził się do Ra, był wyjątkowo spokojny. Nie wiedział, czemu. To bez sensu. Nadal miewał napady całkowitego szaleństwa, ale niezbyt częste. Był wdzięczny Ra za wszystko, co dla niego zrobiła. Była cudowna.

Wyłączył ekspres do kawy, przypominając sobie, że powinien wymienić baterie.

Przez cały dzień w barze krążyły plotki. Występ Ra został odwołany, ponieważ jej apokaliptyczna wizja za bardzo pasowała do rzeczywistości. Kobieta była wyczerpana, ale jeszcze bardziej zmartwiona. Wielu ludzi opuszczało miasto.

- Ciekawe, czy powiedzą nam, szaraczkom, co się dzieje? - marudziła godzinę wcześniej, wspinając się na schody. - Sama nie wiem... Chcesz wyjechać, Zeb?

- Wszystko mi jedno - odrzekł stanowczo.

Wspominając, nalał sobie kawy i wrócił do salonu. Światła samochodów przesuwały się po ścianie i suficie z nużącą regularnością. Odsunął zasłonę i popatrzył na ulicę, wypełnioną pojazdami, wśród których tłoczyli się ludzie obciążeni torbami i walizkami. Najwyraźniej ewakuacja już się zaczęła.

Ewakuacja przed czym?

Jednak zbudził Ra. Po krótkiej dyskusji postanowili wyjechać.

Na ulicach panowało szaleństwo. Zeb przebijał się przez nieruchomy tłum najlepiej, jak umiał, próbując zrobić przejście dla Ra. Ale po godzinie miał dość, czuł tylko przerażenie.

Wiosenna noc była chłodna. Nagle niebo rozświetliły fajerwerki - petardy wystrzelone z dachów - oraz inne nielegalne materiały wybuchowe. Dzieci wychylały się z okien, machając zimnymi ogniami i krzycząc z zachwytem. Za plecami Zeba Ra wykrzykiwała jakąś piosenkę nadającą rytm jej krokom. Pokieroszowane samochody blokowały ruch, wiele z nich

zepchnięto na pobocze, ale nadal częściowo tarasowały przejazd. Zeb i Ra minęli dwie zatłoczone stacje metra, gdzie działały się dantejskie sceny i gdzie w końcu padły strzały.

Zeb zawrócił, oddalając się od zniszczonego muru ratusza. Usłyszał, jak jakiś mężczyzna krzyczy:

- Podobno zrzuciono to na Anacostię!

Otarł spocone czoło rękawem, dłoń mu się trzęsła.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zapytała Ra. Zdawała się być cudownie spokojną, niewzruszoną. Zebowi przypomniało się porównanie jej zachowania z tym, jakie prezentowała na nocnych występach, gdy łagodziła napięcie melodią przypominającą kołysankę. - Jeszcze tylko niecała mila, jak sądzisz?

- Idź sama - wydusił, zmuszając się do mówienia. - Tylko cię opóźniam.

- Nigdzie się nie spieszę - przerzuciła plecak na drugie ramię i wzięła go za rękę. - Śpiewaj ze mną. *Jestem Człowiekiem z Gwiazd, czuję wibracje przestrzeni...* Właśnie tak, głośniej. Czas szybciej minie. Śpiewajmy razem, wszyscy! Dalej!

I tak poprowadziła ich ze śpiewem na ustach. Zdumiewająca kobieta.

Zeb czuł uścisk jej dłoni. Szedł za nią, jak pies na smyczy. Niepokój zniknął. Śpiew był silny, mocny jak rzeka, a fajerwerki przecinały nocne niebo, na którym nie było widać gwiazd. Tak to szło. Ten nastrój, atmosfera. Nie przyszedł z gwiazd. Pochodził od ludzi wokół Zeba. Roześmiał się, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Czemu tak się martwili tym, co może przyjść z gwiazd?

- Jesteśmy gorsi niż można sobie wyobrazić! - krzyknął. Po kilku minutach inni pochwycili słowa i powtórzyli jak zaśpiew.

Ruch uliczny ruszył w końcu, gdy Zeb i Ra dotarli do Memorial Bridge. Kobieta spojrzała na wielkie, spizowe rumaki lśniące w blasku świtu. Zeb stanął obok. Czuł, że mógłby zasnąć na stojąco, nawet w takim miejscu.

- Podsadź mnie! - poprosiła Ra i posłusznie splótł dłonie, tworząc podpórkę dla jej stopy. Była lekka i dźwignął ją bez trudu. Minutę później martwił się, żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

Ra chwyciła szyję rumaka i wspierała się na jego grzbiet. Chwilę później już stała, balansując nogami i rękami, by utrzymać równowagę. I śpiewała. Do Zeba nie docierały jednak ani słowa, ani melodia, zagłuszone przez przejeżdżające samochody.

Nagle obok niego zatrzymała się półciężarówka. Kobieta wewnątrz opuściła szybę.

- Zeb?

Odwrócił się.

- My się znamy?

Spojrzenie, jakim go obdarzyła, wstrząsnęło Zebem, choć nie wiedział, dlaczego.

- Jestem Annie.

Zaciągnęła hamulec i wysiadła. Ludzie za nią zwolnili i zaczęli trąbić. Kobieta otworzyła drzwi od strony pasażera i wyrzuciła pakunki na zewnątrz.

- Wsiadaj, ale już! - krzyknęła rozkazująco.

- Ra! - zawołał Zeb. - Schodź!

Podtrzymał ją ostrożnie, gdy zsuwała się na ziemię. Ra chwyciła plecak i wskoczyła za Zebem na przednie siedzenie pickupa, a potem zatrzasnęła drzwi.

- Zawsze chciałam to zrobić - wyznała. Potem wychyliła się i przedstawiła:

- Jestem Ra. Sun Ra.

- A ja Annie.

Zeb sięgnął do torby i wyjął papierosy.

- A gdzie twoje maniery? - upomniała go natychmiast Ra.

- Ona mnie zna, wie, jak mam na imię - odpowiedział, zapalając papierosa drżącymi rękami.

- To miło - kobieta posłała mu pytające spojrzenie. - Skąd?

- Nie wiem - mruknął z desperacją w głosie.

Przejechali most. Annie zamknęła okna i wyłączyła nawiew. Skręciła w kierunku Rasalyn i minęła Roosevelt Island. Zwolniła za linią czerwonych świateł.

- Teraz nie patrzcie, moi drodzy - oznajmiła, spoglądając w tył przez lusterko. - Obawiam się jednak, że nasza stolica właśnie przechodzi do historii.

Zeb natychmiast odwrócił głowę. Ujrzał, jak w oddali przez budynki przechodzi fala wstrząsów. Pomnik Waszyngtona zaśnił jasno, a potem równie nagle ściemniał. Mrok ogarniał miasto, napływał z zewnątrz, ogarnął most, wylewał się przez nabrzeże...

- Trzymajcie się - oznajmiła Annie i skręciła na zjazd z głównej drogi. Nie ona jedna, ale była szybsza niż inni kierowcy. Zjechali po rampie, potem Annie poprowadziła wóz skosem przez parking, z niego wjechali w wąską aleję, przecięli trzypasmową jezdnię zatłoczoną samochodami i skręcili w jedną z przecznic.

- Myślę, że jedziemy pod wiatr - stwierdziła Annie ochryple. - Jeśli tylko zdążymy się oddalić...

Skręciła między podmiejskie osiedla, teraz ciemne i opustoszałe. Na ulicach nie było żadnego pojazdu, oprócz jednego vana, do którego ktoś wpychał pakunki.

- Szabrownicy! - roześmiała się.

Ra trzymała się kurczowo uchwyty nad drzwiami i patrzyła tylko na drogę.

- Policja przed nami - mruknęła tylko.

- Widzę - odparła Annie spokojnie. Przyśpieszyła i przejechała barykadę, lekceważąc syreny.

- Jesteś wariatką - stwierdził Zeb. - A właściwie, kim jesteś?

- Twoją siostrzenicą - padła odpowiedź.

- Och... - tylko tyle zdołał wydusić, a potem milczał ponad minutę. Zapalił kolejnego papierosa. - Może był jakiś powód, że zablokowano tę drogę?

- Jasne, że był cholerny powód. To przejazd awaryjny zarezerwowany dla urzędników państwowych, tych pieprzonych dupków. Ale pewnie wszyscy wyjechali już dawno.

- Skąd to wiesz? - zainteresowała się Ra.

- Bo sama jestem pieprzonym urzędnikiem państwowym! - Annie roześmiała się gorzko. - Tylko mnie się wydawało, że mogę się do czegoś przydać, więc zostałam. Nie do końca, rzecz jasna. Nie do końca - jej głos cichł. - Słyszałam, że dzieją się tu dziwne rzeczy. PSSK nie dojeżdża do Atlanty, bo terroryści rozwalili tory. Nasi żołnierze pod dowództwem Federacji Międzynarodowej oblegają Nowy Orlean. Trzeba stąd wiać. Od teraz każdy, kto został w Waszyngtonie, zmieni się w zombie.

- Masz na myśli ten nanoprogram, który zmienia ludzkie umysły, tak?

- Właśnie - powiedziała Annie ze smutkiem. - To właśnie mam na myśli...

*

Około północy Ra zorientowała się, że zabłądzili. Po tym, jak minęli Manassas, skręcili w najwęższą z możliwych dróg i kierowali się według gwiazd, w czym pomagał im Zeb. Jednym z powodów, dla których opierał się kiedyś pomysłowi przeprowadzenia się do mieszkania Ra, była przyjemność, jaką czerpał z nocy spędzanych pod gołym niebem, kiedy leżał na plecach i obserwował gwiazdy, a potem zazwyczaj zasypiał o świcie. Nawet w mieście potrafił znaleźć miejsca, gdzie było dość ciemno, by widzieć nocne niebo. Mógł wtedy patrzeć i odpoczywać od wspomnień. Stare drogi, pozostałości szlaków transportowych, trasy zniszczone jeszcze podczas wojen światowych, szlaki przecinające góry, wyznaczone nie za pomocą kompasu, jak te z czasów Eisenhowera... Przejeżdżali przez pogórze, lawirując jak surfer na fali i zjeżdżali w niewielkie kotliny, rozświetlając je światłami półciężarówki. Zniszczone metalowe drogowskazy obłaziły z farby i nosiły ślady kul, i tylko z najwyższym trudem umieli je dopasować do mapy, którą trzymała Ra.

- Poświęć bliżej - rozkazywała co chwilę Zebowi.

Minęli pograżony w nocnej ciszy szczyt Mount Jackson, dwukrotnie natrafiając na

urwisty klif nad rzeką, zanim Annie przyznała, że zgubili drogę. Zawróciła w końcu i ułożyli się do snu w kabinie pickupa - Annie na zwiniętym swetrze oparta o kierownicę, Ra przytulona do Zeba i trzymająca go za ramię. Zeb nie spał, lecz przyglądał się miasteczku nad rzeką szumiącą w dole urwiska. Minęły ich dwa lub trzy samochody, ale żaden nawet nie zwolnił. O świcie Annie zbudziła się, wyslizgnęła z pojazdu i znikła w krzakach. Wróciła po chwili, zwolniła hamulce i ruszyła gwałtownym zrywem, który zbudził Ra.

- Och! - mruknęła.

Zeb ujrzał niebieskosiną wstęgę rzeki Shenandoah opływającą Dolinę. I wtedy wspomnienia przeszły go i powróciły. Zeb Aberly. Zamieszkały w Dolinie. W sercu gór - jego sercu.

Utracił serce. Stracił je z powodu fal radiowych z kosmosu. Tak właśnie było. Ale wówczas Annie podała zapakowane próżniowo kanapki i otworzyła termos z kawą, i cienka nie pamięci pękła.

Gdy wstawało słońce, Zeb usiadł przy otwartym oknie i cieszył się ciepłym wiatrem targającym mu włosy. Zdawało się, że nawet powietrze jest zielone, jak krzewy i drzewa, które ocierały się o karoserię na tej jednej z mało używanych drózek, które przecinają Blue Ridge prostopadle do międzystanowej I-81, biegnącej przez Dolinę. Od czasu do czasu mogli ją zobaczyć z odległości ponad dziesięciu mil, z pozornie nieruchomymi sznurami aut tłoczących się na szerokich pasmach jezdni. O rękaw Zeba ocierały się niekiedy łodygi jeżyn i pnącza dzikiej róży, gdy Annie podjeżdżała zbyt blisko pobocza i samochód kołysał się na wykrotach. Siostrzenica była skupiona na prowadzeniu, nie zwracała uwagi na otoczenie.

Ra rozłożyła mapę na kolanach i starała się odczytać nazwy małych miejscowości, przez jakie przejeżdżali.

- New Hope. Euphoria za sześć mil.

Były to zazwyczaj niewielkie osady z białym budynkiem kościoła, czasem z większym sklepem, ale zazwyczaj nawet bez tego. Stulecie przeminęło tutaj, nie zostawiwszy żadnych śladów.

- Jak to się stało, że nie ma tu żadnych płotów? - dziwiła się Ra.

- Nie były do niczego przydatne - wyjaśniła Annie.

Zeba ogarnęły wspomnienia minionych lat, wcześniej tak szybko wymazane. Uświadomił sobie, że siedzi we własnej półciężarówce i to go ujęło, bo miał ten samochód tak długo...

- Jedziemy do jakiegoś konkretnego miejsca? - zapytała nagle Ra.

- Do Nowego Orleanu.

- Aha - uśmiechnęła się z głębokim zadowoleniem. - Mogłam się domyślić.

- Dlaczego? - zainteresował się Zeb.

- Naprawdę nie wiesz? - Annie odwróciła się do niego i zmierzyła udreńczonym spojrzeniem przeczącym lekkiemu uśmiechowi błakającemu się w kąciku ust. Przez chwilę Zeb ujrzał Sally, śmiejącą się z młodszego brata. - Myślę, że to będzie miasto dla ciebie, wujku Zeb. Nasz wielki, wspaniały rząd nie ma tam żadnego poparcia. Już nie. Nowy Orlean oderwał się od Unii. Oczywiście, jest w oblężeniu. Ale paru dziwaków zebrało w mieście ludzi z całego świata, aby pracowali nad... Jak się teraz to nazywa?

- *Uzgodnienie danych, dostęp do informacji, by wszystko stało się prostsze* - zacytowała Ra. - Kilka tygodni temu ktoś przyплыł do Waszyngtonu na tratwie. Zastrzelono go, gdy tylko okazało się, że nie ma pozwolenia na pobyt. Ale potem spadł deszcz i rozpuszczona w nim ciecz, która wywołała krótkie informacje we wszystkich mediach dostępnych przez dotyk. Na chodnikach zakwitły kwiaty z imionami ludzi, którzy przybyli do Nowego Orleanu. Ludzi, którzy, jak uważano, nie żyli. Pojawiły się też zdjęcia dziwacznych ulic przeplatane różnymi sloganami.

- *Jeśli marzysz o wolności* - tym razem zacytowała Annie z bladym uśmiechem.

Zeb odchylił się na siedzeniu i zamknął oczy. To mu się podobało, o ile jeszcze przypomni sobie, jak się pływa po rzece na tratwie. Ucieczka do wolności. Parsknął śmiechem.

- W każdym razie - mówiła dalej Annie - myślę, że możemy się tam przydać, pomóc... Albo skorzystać z pomocy. Słyszałam mnóstwo plotek o wywrotowcach z Nowego Orleanu, którzy próbują sabotować wielkie plany rządu, starającego się utrzymać nasz świat nietkniętym i dziewiczym... Ra, czy jesteśmy blisko tej czerwonej kropki na twojej mapie?

- Jeżeli minęliśmy zjazd na Cannę, to mamy jeszcze jakieś dwie mile, jak mi się zdaje.

- Dobrze. Jesteśmy coraz bliżej. Powtórzmy jeszcze raz naszą przykrywkę, moi drodzy. Jesteście z mojego biura. Ścisłe tajne, to wszystko, co macie mówić. Oczywiście, o ile ktoś was zapyta. Zeb, wyjmij ze schowka czterdziestkę czwórkę i załaduj ją, jeśli mogę prosić.

Zeb nacisnął guzik i schowek posłusznie się wysunął. Naprawdę leżała tam 44 i pudełko amunicji. Sumiennie nabił broń.

- Byłem dobrym strzelcem, prawda?

- Znakomitym. Gdy używałeś strzelby - przyznała Annie.

- Dzikie indyki, wiewiórki. Po prostu schowaj broń do kieszeni. Nie wiem, jak w taki upał możesz nosić ten okropny płaszcz. Wolałabym, abyś go zdjął. Ale może nie teraz - dodała pośpiesznie.

- Gdzie jedziemy? - chrząknęła nerwowo Ra.

- Na stację paliwową - na bladej twarzy Annie wyraźnie oznaczały się piegi, a jej włosy w różnych odcieniach niesfornie wiły się wokół czoła.

Wyblakły billboard oferujący szarlotkę i kudzu, przycupnął po prawej stronie drogi.

- To tutaj, jak mi się zdaje. Ha, wszystkie te nocne ćwiczenia pamięci jednak okazały się przydatne. Jestem dumna z naszego rządu, który mi je zafundował!

- Hail, Kolumbia! - zanuciła nieoczekiwanie Ra i Annie parsknęła śmiechem. Zaraz jednak spoważniała.

- Słuchajcie, gdyby cokolwiek - *cokolwiek* - się stało, jedźcie do Nowego Orleanu. Nie oglądajcie się za siebie. Mówię serio. Dobrze?

Ra i Zeb milczeli.

- Rozumiem, że się zgadzacie - powiedziała Annie po chwili.

- To bardzo ważne, naprawdę.

Podjechali do zniszczonego ogrodzenia dla bydła. Annie poprosiła Zeba, żeby wysiadł i otworzył bramę.

- I zostaw otwartą - krzyknęła wychylając się przez okno. Samochód stał na zakurzonej, wąskiej drodze, wokół unosił się zapach wilgotnej ziemi i kapryfolium. - Pamiętajcie, że w pobliżu może nie być dobrych ludzi - dodała pouczającym tonem, gdy Zeb wrócił do samochodu.

- Wszystko jest względne - mruknęła Ra. - Czy to grzmot? Niebo jest czyste...

Zaczęli nasłuchiwać uważnie wśród pisków i trzasków wydawanych przez starą półciężarówkę. Gdy pokonali wzniesienie, niebo znowu rozbrzmiało tenorowym akordem, tym razem nieco innym. Na południu pociemniało, błysnęło. Podmuch wiatru uniósł z ziemi tuman pyłu.

Antyczna półciężarówka Zeba minęła zakręt, dalej droga biegła przez łąki, za którymi ciągnął się betonowy mur, ale żelazna brama była otwarta.

- Hmm... - odezwała się Annie. Gdy podjechali bliżej, na spotkanie wyszedł chudy nastolatek. Miał strzelbę. Zeb sięgnął do kieszeni.

- Zaczekaj - powstrzymała go siostrzenica.

Chłopak podszedł bliżej i krzyknął:

- Nie jesteście z rządu, niee?

- Słyszałam, że macie tu paliwo - odkrzyknęła Annie. - Można trochę odkupić?

Nastolatek opuścił strzelbę.

- A co dacie w zamian?

- Co byś chciał? - zapytała Annie. - Może zegarek? Mamy niezłe zegarki...

Chłopak obszedł ciężarówkę. Przymrużając oczy, popatrzył podejrzliwie na Zeba i Ra.

- Skąd wy?

- Roanoke - szybko odparła Annie.

- A! - mruknął nastolatek. - I co tu robicie?

- Przyjechaliśmy do babki w odwiedzinach. Chcieliśmy ją zabrać z powrotem do Doliny, ale odmówiła. Nieznośna starucha...

- Taaa... Starzy tak mają - zgodził się chłopak. Annie rozpięła pasek i podała mu zegarek. Uśmiechnął się nareszcie.

- Dobra. Wjeżdżajcie.

Nikt nie odezwał się słowem, gdy mijali bramę.

Za murem stały dwa rzędy czarnych samochodów i cysterna. Z ziemi wystawał bunkier z otwartymi, masywnymi drzwiami windy.

- Czy mi się zdaje, czy obok windy są działa? - wyszeptała Ra. Grube krople deszczu zastukały na przedniej szybie.

- Bardzo możliwe - mruknęła Annie, rozglądając się.

- Tam - Zeb wskazał jej dystrybutory.

- Dobra - Annie przemówiła pewniejszym tonem. - Zachowajcie czujność. Chcę napęlić nie tylko bak, ale też kanistry z tyłu.

Z kabiny pickupa wysunęła się szczupła sylwetka w obcisłych jeansach. Kobieta podeszła do pomp i zaczęła tankować. Z cienia bunkra o jakieś kilkaset jardów od nich wynurzył się mężczyzna.

Ruszył w stronę Annie, poły jego rozpiętej koszuli łopotały na wietrze. Gdy skończyła napełnianie baku, zakręciła wlew i szybko wróciła do kabiny. Przekręciła kluczyk w stacyjce równocześnie z hukiem gromu.

- Nie napełnisz kanistrów? - zapytał Zeb.

- Trzymaj się - odparła mu krótko.

Pickup ruszył na najwyższym biegu z piskiem opon. Annie skierowała samochód wprost na nadchodzącą mężczyznę. Ten rzucił się na ziemię, a pickup zawrócił, wzbijając tuman kurzu. Annie przejechała wzdłuż rzędu czarnych samochodów w kierunku bramy. Potężny huk wstrząsnął powietrzem, gdy mijali masywne wrota.

- Pudło! - warknęła Annie, wjeżdżając w wąską, zakurzoną drogę, która w coraz mocniejszym deszczu powoli, lecz nieuchronnie zmieniała się w błotnistą, śliską ścieżkę.

Nastolatek, który ich tu wpuścił, stał pod murem wsparty na strzelbie. Na przegubie miał nowy zegarek, koszula przesiąkła mu wilgocią. Nie usłyszał, jak nadjechali - odgłos silnika wytłumiła burza.

Wykręcili z piskiem opon na główną drogę. Dopiero wtedy Annie się odezwała:

- OK, Ra, sprawdź, gdzie jesteśmy i gdzie jest jakiś zjazd w lewo... - ręce się jej trzęsły. Ra szybko rozłożyła mapę.

- Nie mogę... Dobra, mam. To będzie Droga Stanowa nr 73.

- To tutaj - oznajmiła Annie. - A następny w prawo?

- Droga nr 11.

- Za duża. Skręć... tutaj.

Pickup zjechał w wąski trakt. Był wyboisty, dziurawy i biegł wzdłuż zbocza.

- Oby tylko nikt nie jechał z naprzeciwka... - westchnęła Annie.

- Co się właściwie stało? - spytał w tym momencie Zeb.

- Nie spodobało mi się jego spojrzenie - skrzywiła się siostrzenica. - Najwyraźniej tamci napadli na stację. Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to dziwi. Trafili na żyłę złota. Samochody. I dość paliwa, by objechać świat dookoła. Zapasy i zaopatrzenie - roześmiała się. - Tajemnice nanotechnologii. Gdy tylko się w tym wszystkim połapia, będą tu mieli własny, mały raj. Fabrykę... - zerknęła w lusterko. - Cholera!

*

Zeb ocknął się zlany potem wśród krzaków jeżyn. Czuł ból w całym ciele. Słońce zachodziło. Wstał z głośnym jękiem.

Najgorzej wyglądało prawe ramię. Rękaw płaszcza był spalony i poszarpany, a odsłonięta skóra pokryta bąblami i krwią. Ale Zeb mógł się poruszać, choć huczało mu w głowie. Przecisnął się przez krzaki i stoczył bezładnie w dół zbocza, bo było to łatwiejsze niż wspinaczka na szczyt wzniesienia. Zatrzymał się dopiero, gdy udało mu się chwycić pień drzewa. Rozejrzał się. Pola kukurydzy otaczały rzędy drzew. Dalej wznosił się błękitny łańcuch wzgórz, jak linie lirycznej melodii o rozkołysanym rytmie, powtarzalne, zbiegające się i rozchodzące, wznoszące się i opadające. Melodia czystego nieba, tak błękitnego i spokojnego, bez chmur po minionej burzy.

To był pocisk. Eksplozja poparzyła Zebowi ręce. Jacyś ludzie jechali za nimi i strzelali, potem Annie straciła kontrolę nad kierownicą i pickup wypadł z drogi.

Zeb wyciągnął wtedy siostrzenicę i Ra z płonącej kabiny. Padało. Tyle pamiętał. I nie

umiał sobie przypomnieć nic więcej.

Obrócił się i skierował w stronę gór. Przedzieranie się przez krzewy było trudne. Dłonie mu krwawiły, czuł się nieludzko słaby. Dotarł do niedużego potoku, zanurzył w wodzie twarz i ręce. Poczerniała skóra rozmiękła w bulgoczącym nurcie. Zeb próbował przyjrzeć się własnemu odbiciu, ale nie mógł go dostrzec w rozfalowanej, spienionej i pełnej wirów wodzie, gdzie z wartkim prądem płynęły liście i patyki.

Żadna skała ani kamień nie spowalniały nurtu potoku.

Pomimo przeżytego koszmaru, Zeb czuł, że nareszcie się uwolnił. Nie miało to nic wspólnego z jego sytuacją. Ale wspomnienia powróciły, obudziły go, jak pocałunek dziewicy budzi księcia zaklętego w kamień.

Zeb wstał, zroszony potem i wodą z potoku. Poczł odór starego płaszcza, który nosił tak długo. Zrzucił go, pozostawiając czarny łachman przy czystym nurcie. Po chwili jednak zatrzymał się, zawrócił i dokładnie przeszukał kieszenie. Wyjął broń i gruby, pełen postrzępionych kartek, notes. Trzymając je kurczowo, podjął ponownie żmudną wędrówkę. Teraz było trochę łatwiej, znalazł się w kotlinie pełnej kwitnących dzwonek.

Dotarł w końcu do wąskiej, czarnej drogi ocienionej drzewami. Nawierzchnia krętego szlaku była popękana i wyboista. Z prawej strony Zeb widział zakręt. Po lewej ujrzał ciężarówkę. Kabinę pokrywała sadza. Z sercem walącym jak młot pneumatyczny podszedł bliżej.

Nie znalazł ciał.

Obszedł samochód. Wyglądał na nieuszkodzony. Bagażnik był pusty, cokolwiek Annie w nim wiozła, najprawdopodobniej zostało skradzione.

Przez kilka godzin przeszukiwał drogę i pobocza. Po obu stronach rosły drzewa i krzewy, pomiędzy nimi kwitły lilie. Sprawdziwszy ruiny jakiejś starej farmy, wszedł do wałających się resztek stodoły i porośniętych powojem pozostałości domu.

Potem usiadł w samochodzie, by przeczekać noc. Starł się przemyśleć sytuację, znaleźć rozwiązanie. Annie i Ra - obie zniknęły. Zapewne ktoś je znalazł i zabrał do szpitala - najprawdopodobniej. Albo gdzieś indziej.

Zeb przekręcił klucz w stacyjce i silnik natychmiast zapalił.

Przez dłuższą chwilę rozgrzewał się, aż wreszcie Zeb mógł ruszyć. Przejechał ponad milę, zanim mógł zawrócić. Przez następną godzinę próbował znaleźć miejsce, gdzie tankowali. Bezskutecznie. Prawie się rozplakał, czując tylko znużenie i narastającą frustrację. To przypominało mu jedynie, jak bardzo był chory. Miał siwe włosy. Gdy ostatni raz prowadził pickupa, był stosunkowo młody. Teraz w lusterku widział twarz starego człowieka.

Nawet nie wiedział, jak starego. Nie umiałby nawet powiedzieć, kiedy ostatnio myślał o swoim wieku. Wspominał ostrożne wędrówki przez ulubione ulice Waszyngtonu. Już nigdy tamtędy nie powędruje. Był sam. Sam na świecie.

W końcu się poddał. Musiał wierzyć, że ktokolwiek znalazł Annie i Ra, zaopiekował się nimi. W przeciwnym razie, musiałby uznać, że obie nie żyją.

Było późne popołudnie, gdy skierował się ponownie na południowy wschód i ruszył przez Dolinę. Wskaźnik poinformował, że bak jest w trzech czwartych pełny. Mógł zatem jechać tak długo, aż wyczerpie się paliwo, albo do chwili, gdy znajdzie kolejną stację i zatankuje. Zeb jednak wątpił w tę ostatnią możliwość.

Czuł się kompletnie ogłupiały i beznadziejny, gdy prowadził pickupa, mijając opuszczone gospodarstwa i opustoszałe centra handlowe. Stale walczył z przerażeniem, które powracało, zraszając mu czoło potem i wywołując nerwowe dreszcze. Wieczorem przez otwarte okno do kabiny wtargnął gorący wiatr, niosąc zapowiedź kolejnej burzy. Obserwował inne pojazdy na drodze, czujnie i z lękiem. Jeżeli były napędzane paliwem, ich właściciele mogliby próbować odebrać Zebowi zawartość baku siłą. Próbował przypomnieć sobie, jak doszło do takiej sytuacji i denerwował się, że w pamięci zostały tylko strzępy informacji. Protesty przeciw ograniczeniu produkcji samochodów zasilanych benzyną i ropą. Obietnice, że zostaną rozbudowane drogi pobierające energię słoneczną i przekazujące ją pojazdom tak, że nie byłoby potrzeby używania paliw ciężkich i silników spalinowych. Przrzeczenia rozbudowy podziemnych i naziemnych sieci szybkich kolei, by wyeliminować potrzebę prywatnego, indywidualnego transportu. Oburzenie opinii publicznej, gdy okazało się, że pojazdy zasilane alternatywnymi źródłami energii są niesamowicie drogie, a na rozbudowę sieci kolejowej nie mogą sobie pozwolić ani małe miasteczka, ani nawet przedmieścia, gdyż nie było to opłacalne przedsięwzięcie.

Jednak u większości pojazdów, jakie widział Zeb, było niezależne zasilanie energią słoneczną, a niektóre poruszały się dzięki silnikom parowym, najczęściej domowej roboty, mimo to działającymi całkiem sprawnie.

Rozciągające się po obu stronach drogi zbocza uspokajały Zeba i miał poczucie, że go chronią. Jechał pod ich osłoną cały dzień, otoczony zielenią i błękitem, jakimi lśniły w słońcu porośnięte trawą pagórki na tle jasnego nieba. Dotychczasowe życie w mieście jawiło mu się jak seria pociętych, szybko zmieniających się obrazów - barwnych, hałaśliwych i chaotycznych - na których błąkał się po różnych zakątkach, aż zmienił się w śmiesznego, szalonego idiotę. Pracował, no jasne. Jakaś część duszy Zeba, także szalona, wypełniła tysiące stron lunatycznymi majaczeniami. Spokojne, nieruchome góry pozwoliły mu na chwilę

odnaleźć spokój i spojrzeć na siebie z perspektywy rozsądku. Zeb nie miał pojęcia, jak długo potrwa ten stan, ale to było jak światło w tunelu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zapragnął być zdrowym, normalnym. Rozchorował się od pragnienia, by zrozumieć. Jego umysł roztańczył się i rozpadł od halucynacji, a szaleństwo ogarnęło jego życie.

Burza nadeszła, gdy pickup wjechał między opłotki kolejnej małej osady. Wzdłuż głównej ulicy stały rozpadające się domy i aż prosiły się, by je przynajmniej odmalować. Z chodnika jakiś stary mężczyzna pomachał na widok samochodu. Zeb zdusił pragnienie, by krzyknąć do niego, że nadchodzą obcy z kosmosu, uświadamiając sobie, że to dla niego standardowe zachowanie. Jego umysł ogarnęła ciemność. Jeżeli obcy przybywają, to gdzie są? Jego dotychczasowe życie okazało się tragiczną pomyłką. Tutaj, z dala od zgiełku miasta, wszystko wydawało się o wiele prostsze. Choćby na chwilę. Wiedział, że zapomni tę prostą prawdę. W tym momencie dostrzegł niewielki sklep spożywczy i zaburczało mu w brzuchu. Niestety, nie miał przy sobie ani grosza. W baku kończyło się paliwo, a po prawej stronie właśnie pojawiła się pusta stacja. Zeb skręcił, wyłączył silnik i pickup potoczył się jeszcze kawałek i stanął, skrzypiąc cicho.

Wysiadł i podszedł pod daszek, gdzie stały dystrybutory. Deszcz rozpadał się na dobre, w oddali zabrzmiał huk pioruna. Błyskawice uderzały niedaleko. Na stacji nie było nikogo, ale drzwi, nad którymi wielkie litery głosiły: JIFFY M RT, pozostawiono otwarte. Zeb podszedł tam z nadzieją, że znajdzie papierosy. Wierzył, że jeden, jedyny papieros uratuje mu życie. Jednak metalowe półki były zupełnie puste, pokryte grubą warstwą kurzu. Pozostało mu tylko wrócić do dystrybutorów. Deszcz przemoczył go natychmiast, zanim znalazł się pod osłoną dachu. Wypróbował każdą z pomp, ale jeżeli nawet było w nich choć trochę paliwa, to brak energii uniemożliwił tankowanie.

Zeb opuścił ramiona i odetchnął głęboko czystym, chłodnym powietrzem wczesnego lata. Deszcz powoli ustawał. Za budynkami, nad górami, przejaśniało się wyraźnie, spomiędzy ciężkich, sinoniebieskich burzowych chmur wychylało się słońce. Przy stacji paliw kwitły fioletowo osty.

Zeb odwrócił się i wyjął z samochodu notes. Długopisem na okładce napisał dużymi literami: NOWY ORLEAN. Tam właśnie musi iść. Wiedział to w tej chwili, ale mógł wkrótce zapomnieć. Do Nowego Orleanu będzie się również kierować Annie. O ile ona i Ra mają się dobrze...

Poczuł chłód. Przez chwilę żałował, że wyrzucił płaszcz.

Ale potem zaczął iść i ucieszył się, że jednak nie ma ze sobą tego łachmanu.

Zeb wędrował, aż wieczór przesycił powietrze tysiącem zapachów wywołanych

deszczem. Przypomnił sobie młodość. Miał nadzieję, że złapie okazję, ale uświadomił sobie szybko, że musiałby w tym celu znaleźć się na I-81, bo tutaj przez godzinę nie pojawił się żaden pojazd. Ale przynajmniej kiedy szedł, nie czuł zimna.

Potem zapadła ciemność, głęboki mrok nie rozjaśniony światłami miasta. O zmierzchu znikły niebieskie zarysy gór, a Zebowi wydało się, że widzi ognisko. Przyśpieszył kroku.

Długie cienie kładły się przed małym - jak budowla z klocków - kościołem. Księżyc przebił się przez chmury, ogromny i złoty, a w jego świetle Zeb ujrzał ustawione na dziedzińcu gipsowe figury. Obok parkowała ciężarówka. Zbliżył się nieufnie, ale natychmiast powitano go przyjaźnie i posadzono przy ogniu.

- Zmokłeś - stwierdziła kobieta ubrana w przemoczony garnitur. - Trzeba być wariatem, by chodzić w taki deszcz.

Zeb poczuł zakłopotanie. Rozejrzał się. Większość kobiet i mężczyzn przy ognisku ubrana była w podobne, biznesowe uniformy.

- Skąd jesteście?

- Annandale - odpowiedziała mu kobieta. - Jestem Sylwia. Nasza firma wysłała nas tutaj. Taki rodzaj wycieczki na świeżym powietrzu - zaśmiała się trochę histerycznie. - Nie braliśmy tego poważnie, ale już następnego ranka cieszyliśmy się, że pojechaliśmy. A tutaj postanowiliśmy się zatrzymać na trochę. A ty, jesteś stąd?

- Nie - powiedział Zeb, przyglądając się uważniej całej grupie. Byli młodzi, choć już dorośli. - A gdzie wasze dzieci?

Wszyscy ucichli nagle. W końcu Sylwia stwierdziła:

- To trochę dziwne pytanie...

Zeb próbował wczuć się w sytuację, ale nie potrafił. Czy ich dzieci zostały w szkole? Wyczuwał jakąś tragedię.

- Dlaczego dziwne?

- On jest za stary - wtrącił jeden z mężczyzn.

- No, tak, ale...

- Jestem tylko włóczęgą - przyznał Zeb bez ogródek. - Nie czuję się dobrze. Nie wiem, co się dzieje wokół. Od lat...

- Och... - westchnęła Sylwia. - No, cóż... Spora liczba dorosłych w Waszyngtonie i okolicach jest bezpłodna. Podobnie jak w innych miastach. Jedno z ugrupowań terrorystycznych, głoszące hasła ograniczenia populacji, wpuściło coś do wody - jakiś środek, który powoduje mutacje jaj i spermy. To sprawka Gajan... - głos kobiety był pełen goryczy.

Nagle do rozmowy wtrącił się cichy głos.

- Mogę was uzdrowić.

Tuż przy ognisku stała kobieta w czerni. Miała na sobie czarne jeansy, czarną bluzę z długimi rękawami i czarne buty. Białe włosy otaczały jej twarz, ale na skórze nie było śladu zmarszczek.

- Kim jesteś? - spytał jeden z mężczyzn.

- Jonnie Cash - odpowiedziała i wszyscy parsknęli śmiechem. Kobieta również uśmiechnęła się lekko. - Sprzeciwiam się niesprawiedliwości na świecie. I służę w tym kościele. To Odrodzony Kościół Zielonoświątkowy. Witam was serdecznie. Zostańcie, jak długo chcecie. Możecie do mnie mówić Matko Cash.

- Wyjeżdżamy z samego rana - wtrącił nerwowo ktoś z grupy. - Ale dziękujemy za propozycję.

- To nic - odpowiedziała Matka Cash. - Chciałam was tylko zaprosić do środka i odprawić nabożeństwo.

Wymruczeli coś, ziewając ostentacyjnie, że jest już późno, muszą się położyć i trochę przespać, bo rano trzeba zwinąć namioty i czeka ich jazda przez cały dzień.

Kobieta sprawiała wrażenie urażonej. W tym momencie odezwał się Zeb:

- Będzie mi bardzo miło, jeżeli pozwoli mi Matka wziąć udział we mszy. O ile nie będzie przeszkodą, że będę sam.

Jej twarz pojaśniała.

- Jedna ocalona dusza jest warta tysiąca nabożeństw.

Kiedy szedł za nią do małego, białego kościoła, zatrzymał wzrok na tablicy przy drzwiach. Pamiętał z dawnego życia, że w tym miejscu, praktycznie w każdym kościele, pojawiały się ogłoszenia, zmieniane co tydzień. Tutaj napis głosił:

**OBRZEZAJCIE ZATEM SERCA SWOJE
I NIE BĄDŹCIE DŁUŻEJ GŁUSI NA NAUKI PANA**

Zeb wszedł do środka. W wąskiej nawie stało tuzin dębowych ław, spowitych blaskiem świec zawieszonych na ścianach. Podłoga była porysowana i zapadała się w kilku miejscach. Do stołu z dębowych desek przysunięto krzesło obite tkaniną w kwiaty. Wyżej, z belki tonącego w cieniu spadzistego sklepienia zwieszał się prosty, drewniany krzyż. Zeb niemal spodziewał się zobaczyć na tym domowym ołtarzu szarlotkę, ale był tam tylko razowy chleb i srebrny kielich.

- Zaśpiewajmy „Jezus jest naszym przyjacielem”. Znasz to? - zapytała Matka Cash

ostrożnie. Otworzyła mu śpiewnik i Zeb zmrużył oczy, by móc czytać w migotliwym świetle. Kobieta zaczęła śpiewać, a kiedy jej zawtórował, przypomniał sobie melodię i słowa. Potem kazała mu otworzyć modlitewnik. Książeczka okazała się notesem, do którego wpisano ręcznie modlitwy i ozdobiono rysunkami aniołów i demonów. Demony przstraszyły Zeba. Przeszedł go dreszcz, może z głodu i osłabienia. Miał nadzieję, że nie odpłynie w szaleństwo w trakcie nabożeństwa. Matka Cash przywiązywała chyba dużą wagę do mszy.

Kiedy mówiła, głos jej nie drżał, był mocny i pewny. Pozwoliła Zebowi usiąść, gdy wygłaszała krótkie kazanie na temat potrzeby przygotowania się na nadejście Armagedonu, który jest już blisko, ponieważ świat utracił czystość i niewinność.

- Nie mam prawa, by odpuścić ci grzechy - powiedziała kobieta. - Musisz sam pojednać się z Bogiem. Pomilczmy przez chwilę.

Ku zaskoczeniu Zeba wspomnienia napłynęły z nową siłą. Jak zostawił Sally i jak siostra szukała go bezskutecznie przez tyle lat. Śmierć Craiga. Zniknięcie Annie i Ra, obu kochających go kobiet, które chroniły go i opiekowały się nim, gdy był jak dziecko we mgle, wiodąc życie szalone i nieodpowiedzialne. Zapłakał bezgłośnie. W oddali Matka Cash napełniła czarę winem z zakurzonej butelki, odkorkowawszy ją z trudnością. Potem odłożyła butelkę i podniosła małą fiolkę z kryształowego szkła, stojącą obok czary i chleba. Dodała parę kropel do wina i wymówiła słowa błogosławieństwa. Na koniec podeszła do Zeba i uściśnęła mu mocno dłonie.

- Podejdź, mój synu, przyjmij komunię. Widzę bowiem, że przenika cię Łaska. Bóg odpuścił ci twoje grzechy.

Poprosiła, aby ukląkł przed ołtarzem i Zeb posłusznie opadł na kolana, chwytając się krawędzi stołu. Matka Cash podała mu kawałek chleba. Przeżuł z wdzięcznością, walcząc z ochotą, by zjeść cały bochenek. Potem kobieta podsunęła mu czarę i zaczerpnął łyk słodkiego wina.

Natychmiast zapiekły go usta. Wino uderzyło mu do głowy. Przed oczyma błysnęło mu jasne światło i Zeb stracił przytomność.

*

Obudził się rano, leżąc na podłodze obok ołtarza. Co teraz? - zastanawiał się, gdy otworzył oczy i ujrzał promienie słońca odbijające się od białych ścian. Usiadł, przetarł powieki. Umysł miał jasny, jak nigdy.

Zastanawiało go, co Matka Cash dodała do wina.

Wstał i zajrzał do czary, ale naczynie lśniło czystością. Nie dostrzegł też nigdzie omszałej butelki. Nawet chleb, który, jak miał nadzieję, mógłby zjeść na śniadanie, zniknął.

Nie zostały nawet okruszki.

Znikła również Matka Cash.

*

Później tego ranka Zeb złapał okazję do Roanoke. Jakiś starszy mężczyzna jechał w tamtym kierunku, wioząc na zasilanej energią słoneczną ciężarówce ładunek kukurydzy. Kierowca podzielił się z nim lunchem, który przygotowała jego żona i Zeb dostał ogromną kanapkę z wędliną i Colę.

- Ciężko było dostać Colę - przyznał mężczyzna, pochylając się, by zmienić bieg. - Podobno w Atlancie stało się coś strasznego. Cola jest teraz bardzo rzadkim towarem. Tę wyprodukowano na plantacjach w Chattanooga.

Zeb był bezgranicznie wdzięczny za posiłek i równie zobowiązany za podwiezienie, zwłaszcza, że był przemoczony i nie miał koszuli. Ledwie mógł uwierzyć, że czuje się tak dobrze, tak normalnie. Świat nie kołysał się, nie szalał, nie rozpadał. Nie pojawiała się wrażliwość, że w oddali słyszy muzykę, nie czuł ani strachu, ani potrzeby wygłaszania kazań na temat tajemnic kosmosu. Trzymał się uchwyty nad drzwiami, chłonąc wszechobecność materii. Materia, która zawsze tu była, zawsze pewna, zawsze stabilna. Zalała go fala wdzięczności. Omal nie powiedział na głos: „Materia jest najwspanialszym aspektem życia, nieprawdaż?”. Ale uświadomił sobie w porę, że byłaby to raczej dziwna wypowiedź, która mogłaby sprawić, że kierowca wzięłby go za szaleńca. Zapewne po raz pierwszy w życiu Zeb doświadczał równowagi umysłowej. Gdyby mógł zrozumieć, co zaszło podczas jego narodzin, może byłby w stanie pojąć, skąd u niego ta potrzeba zrozumienia wszystkiego, wywoływana przez jakieś chemiczne anomalie w jego mózgu.

A może był już na to za stary. Może utracił ten rys geniuszu, gdy błąkał się po rynsztokach Waszyngtonu. Może wszystko się rozplątało i wyparowało podczas zimy.

Nieważne. Nareszcie wracał do domu.

Podróżował autostopem i pieszo ponad dwa dni, zanim udało mu się dojechać na farmę.

Prawie nie poznał tego miejsca. Znikły drzewa i żwirowa droga. Widoczne były jeszcze resztki fundamentów starego domu, jednak zmiany wstrząsnęły Zebem. Teren ogrodzono, by mogły się paść na nim owce. Setki owiec, jak skonstatował, spoglądając na wyjedzoną do nagiej ziemi trawę.

I na leżące wokół zwierzęta. Martwe. Wszystkie. W powietrzu unosił się koszmarny odór i chmary much.

Szyld wiszący nieopodal głośił: ANGEL'S REST. NATURALNA, ORGANICZNA WĘLNA.

Przez drogę przebiegły dwa owczarki collie i zbliżyły się do Zeba.

Ukląkł i objął je serdecznie. Sprawiały wrażenie, że cieszą się na jego widok, choć przecież nawet go nie znały. Zwierzęta musiały pochodzić z hodowli, były czystej rasy, o przyjacielskiej naturze i zapewne nie służyły do pilnowania stada, choć na pewno sprawdziłyby się jako psy pasterskie.

Jednak na farmie stało się coś złego. Owczarki miały zmierzwioną sierść, liniały, pozbywając się zimowego futra. Zeb uważnie wyczesał im palcami kołtuny. Ktoś powinien się tym zająć dokładniej. A poza tym psy były wyraźnie wychudzone.

Zeb wstał. Szyld - w gustownych odcieniach zieleni i brązu, ze stylizowanym rysunkiem białej owieczki - wisiał nierówno i nosił ślady odrapań. Pobocze podjazdu porastały dziko krzewy jeżyn, drogę znaczyły głębokie koleiny i wyboje.

Bez drzew otoczenie wydawało się Zebowi zupełnie obce. Nie było nawet anteny radioteleskopu. Gdyby nie psy, pewnie nawet nie przyszłoby mu do głowy, aby wchodzić na farmę. To miejsce go przerażało. Bał się, że szaleństwo opuściło go tylko na jakiś czas i najmniejszy stres może sprawić, że powróci z nową siłą. Zawsze tak się działo. Poczul chorobliwy skurcz w brzuchu.

Ruszył długim podjazdem w kierunku zabudowań. Towarzyszyło mu dziwne odczucie, gdy widział dobrze znane stoki pozbawione drzew, jakby ujrzał ukochaną babcie nago.

Użył kołatki w kształcie owczej głowy, by zapukać do drzwi. Nikt jednak nie podszedł, by otworzyć. Szyba w drzwiach była rozbita, a ze zniszczonej, odrapanej framugi odchodziły płyty farby. Zeb zapukał ponownie, potem sięgnął do klamki.

Owczarki przecisnęły się przed nim, zakreśliły przy jego nogach i wbiegły do środka. Wewnątrz było ciemno, ciężkie story zasłaniały okna.

- Halo?! - zawołał Zeb. - Jest tu ktoś? Usłyszał szmer i odwrócił się szybko.

W półmroku zabrzmiał głośno szczęk przeładowanej strzelby.

- Wynoś się stąd!

- Przepraszam. Szukam Brada - Zebowi załomotało serce.

- To mój dom i to ja jestem Brad, i zaraz odstrzelę ci głowę, jeżeli się nie wyniesiesz.

- Jestem... Brad, jestem twoim wujem. To ja, Zeb. Usłyszał głębokie westchnienie i miał ochotę natychmiast wyjść, ale bał się poruszyć.

- Zeb? - głos brzmiał nieufnie. - Kłamiesz, skurwielu. Zeb od dawna nie żyje.

- Żyję - zaprzeczył Zeb. - Nie umarłem, choć byłem bliski śmierci. Byłem... No, cóż. Byłem włóczęgą, bezdomnym.

- Matka zmarnowała lata - *lata* - żeby cię odnaleźć - głos Brada nabrał histerycznych tonów. - Ciągle gdzieś wyjeżdżała. A potem umarła. To twoja wina!

- Przykro mi. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, Brad - powiedział Zeb i zamilkł. Po dłuższej chwili zmienił temat. - Jak to się stało, że padły wszystkie owce?

- Po prostu chcesz odebrać mi farmę, tak? Po tym, co tutaj zrobiłem? Tyle pracy... Zresztą, bierz ją sobie. I tak jest zrujnowana. Coś spadło z nieba. Owce zdechły. Psy uciekły. Prawie wszystkie - w przytłumionym świetle Zeb zobaczył, że Brad opuszcza lufę strzelby i opada ciężko na pobliskie krzesło.

- Nie chcę farmy - oczy przywykły do półmroku i zaczął dostrzegać, że w pomieszczeniu leżą rozrzucone książki, ubrania i brudne naczynia. Brad - wysoki i chudy - miał zmierzwioną, niepielegnowaną brodę i skołtunione włosy. - Kiedy to się stało?

- Tydzień temu. Może dwa. Nie pamiętam.

Zeb przysiadł z drżeniem na brzegu otomany.

- A jak długo jesteś chory?

- Nie jestem chory.

- Nie kręć - nawet teraz miał ochotę uciec czym prędzej, gdyby tylko Brad nie mógł go złapać, gdyby tylko możliwe było bezpieczne wyjście z tego domu. - Nie jest z tobą całkiem źle, ale...

- To psy mnie tu trzymały - stwierdził Brad nagle. - I owce. Musiałem się nimi zajmować, codziennie, nieważne, co się działo. Zawsze było tyle do zrobienia. Po śmierci mamy ojciec niewiele pomagał. Umarł dwa, trzy lata później. Annie skończyła szkołę i znalazła pracę w Waszyngtonie. Też się nie interesowała farmą. Byłem u lekarza. Powiedział mi wszystko, ale kłamał. Nie wiem, dlaczego chciał mnie oszukać. Jak wszyscy lekarze. Nawet ta z kliniki stanowej. A myślałem, że jest po mojej stronie.

Oczy Zeba zalśniły smutkiem. Ujrzał ruinę człowieka i poczuł nagle napływ tak długo tłumionych emocji - nieudane małżeństwo, utracona praca, zmarnowane w szaleństwie życie.

A teraz ten zagubiony chłopak, siedzący przed nim. Zeb był przerażony, ponieważ widział w Bradzie siebie sprzed lat.

- Są lekarstwa. Powinieneś je zażywać, Brad.

- Po co mi lekarstwa, skoro nic mi nie jest? Ojciec dawał mi to gównem. Wyrzuciłem świństwo w cholerę. - Brad uniósł strzelbę, którą cały czas trzymał opartą na ramieniu i uderzył kilka razy kolbą o podłogę. - Nie mów mi, co mam robić. Najlepiej się stąd wynoś.

Natychmiast. Wiem, po co przyszedłeś. Chcesz zabrać mi farmę. Jest piękna, nieprawdaż? - zaśmiał się i zabrzmiało to upiornie. - Taak. Kiedyś dobrze mi się powodziło. Miałem sporo zamówień, sprzedawałem wysyłkowo. Dawałem pracę wszystkim w okolicy. Ale przez nanotechnologię musiałem ich zwolnić. I potem sam musiałem przewozić wełnę do Roanoke, bo mój dostawca stwierdził, że transport potrwa dłużej, ponieważ benzyna jest limitowana i trzeba przejść na zasilanie słoneczne. Poza tym nikt już nie interesował się przewożeniem towarów, odkąd wszystko można było wyprodukować w tych małych nanourządzeniach. Prawdziwa, żywa owcza wełna! - Brad zarechotał znowu. - Nadal nie było źle, przynajmniej dopóki miałem owce. Ale owce zdechły. Handlowałem na sobotnich jarmarkach. Przerobiłem ciężarówkę na napęd słoneczny. Porządny, nie taki, na którym można jeździć tylko po tych nanodrogach. To właśnie największy problem z tymi nanotechnologiami - nie działają tam, gdzie trzeba - pogrzebał w papierach na stole i wyciągnął stamtąd niedużą paczkę. - Rozdaję też ulotki na tych sobotnich jarmarkach - rzucił paczkę w stronę Zeba. Ulotki rozsypały się po podłodze.

Zeb podniósł jedną i przysunął się bliżej światła padającego zza zasłoniętego okna. „Obcy żyją na Marsie od tysięcy lat” - głosił tytuł. Otworzył, by czytać dalej.

Wewnątrz znajdowała się zabawna, pogmatwana mapa pokazująca kolonie obcych, a także miejsca ich pojawiania się. Potem akapity a zachowaniach obcych, ich fizjologii, ustroju społecznym, rysunki statków kosmicznych... Druk był zbyt drobny, by Zeb mógł odcyfrować i przeczytać całość.

- Ty to... wymyśliłeś? - spytał Brada.

- Nie, do diabła! Nic nie *zmyśliłem!*. - Brad zerwał się z krzesła, krzycząc. - To prawda! Myślałem, że ty zrozumiesz! Przecież sam też mówiłeś o obcych!

- Ja... Ja miałem dowód, że pojawił się sygnał, który nadano celowo, a zatem musiała istnieć jakaś inteligencja, która go stworzyła. To wszystko. Nie doszedłem do żadnych innych wniosków.

- Z dziesięć lat temu kręcili się tu jacyś ludzie. - Brad nadal stał. - Najpierw wzięli mnie za ciebie. Musiałem im udowodnić, że ja to ja. Wielkie nieba. Opowiedzieli mi, co wiedzą o obcych. Pewnie chcieli mnie przestraszyć po tym, jak mnie z tobą pomylili. A jak już się wyjaśniło, próbowali mi grozić. Powiedzieli, że żyjesz i ukrywasz się tutaj, na farmie. A ja pamiętałem tylko obiad w Dniu Dziękczynienia, po którym zniknąłeś. I to, co wtedy mówiłeś. - Brad ciężko dyszał. - To prawda, mówię ci. Zabili moje owce z powodu tej ulotki. I to wszystko przez ciebie! Nie musiałeś się ukrywać! - zaszlochał gniewnie pomiędzy

wykrzykiwanymi zdaniem, a potem nagle podniósł strzelbę. Zanim Zeb zdążył się poruszyć, zarepetował i strzelił. Z szyby w oknie posypał się grad odłamków.

Zeb wyskoczył przez otwarte drzwi. Pobiegł do ciężarówek stojących przed domem. Brad nie przestawał strzelać i wrzeszczeć niezrozumiale.

Pod ostrzałem Zebowi udało się jednak wejść do pojazdu. Trzęsąc się, próbował szybko zrozumieć, jak uruchomić maszynę. Nie znalazł żadnych kluczyków ani stacyjki, ale na panelu zobaczył czerwony przycisk z napisem „ON”. Wdusił go i rozległ się pomruk silnika. Zeb zawrócił i najszybciej jak mógł, skierował na drogę. Usłyszał wizg kuli z tyłu. W lusterku ujrzał, że psy biegną za pojazdem. Miały wywieszzone języki.

Zatrzymał się, otworzył drzwi i pozwolił owczarkom wskoczyć do kabiny. Sprawdził przy okazji, czy Brad nie próbuje go ścigać w drugiej ciężarówce, ale siostrzeńcowi najwyraźniej wystarczyło, że wypłoszył intruza.

Zeb przez chwilę po prostu jechał oszołomiony, mijając znaną niegdyś okolicę. Stary dom Zimmerów, skręcił na drogę prowadzącą do radioteleskopu. Na moment zawahał się, czy tam nie pojechać, ale uznał, że samochód słoneczny nie poradzi sobie na tak stromym podejździe. Poza tym, miejsce i tak było opuszczone i zdewastowane.

Owczarki usiadły obok, czujnie dysząc. Jeden był trykolorowy, drugi - grafitowa suczka z łatkami na uszach. Zeb objął oba, a zwierzęta przytuliły się do niego ufnie. Ciężarówka kołysała się, pokonując wyboje na zniszczonej drodze.

*

Zeb jechał całą dobę, zatrzymując się jedynie, aby napić psy i wypuścić je na krótkie spacerki. Poruszał się drugorzędnymi drogami, które pamiętał z czasów, gdy mieszkał w tych górach. Cieszyło go, że zachował wspomnienia, tak wyraźne i czyste, niczym diamenty lśniące w czarnym popiele. W południowo-zachodniej Wirginii prawie przejechał mężczyznę, który stał na środku drogi z bronią wycelowaną w samochód i uskoczył w ostatniej chwili, gdy zorientował się, że Zeb nie ma zamiaru się zatrzymać. W Tennessee jednak zabrał autostopowiczkę, starszą kobietę idącą pagórkowatym poboczem. Kobieta zaraz po wejściu do samochodu wyciągnęła z plecaka jedzenie i podzieliła się z Zebem.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał ją wtedy.

Wzruszyła tylko ramionami, odłamując kawałek kanapki i podając psom.

- Przed siebie. Nie wiem. Teraz najlepiej jechać na północ. W Atlancie mam siostrę.

- Dlaczego na północ?

- Ponieważ za ten upał odpowiedzialny jest front atmosferyczny z północy. Zimne powietrze napływa z gór i blokuje odpływ gorącego powietrza. A w upale rozwijają się wszystkie plagi.

- Jakie plagi?

Spojrzała na niego, jak na wariata.

- Nie wiesz? Plagi. Takie, co sprawiają, że uwierzysz w każdą bzdurę, jaką ci się wmówi. Podobno wypuszczono je z Pentagonu. Zdaje się, że to wojsko je wyprodukowało. Za nasze podatki. Bóg wie, co teraz zrobią z tym świństwem.

- Przepraszam - westchnął Zeb. - Długi czas byłem odcięty od świata... Byłem włóczęgą, bezdomnym. Zdaje mi się, że wyleczyła mnie dopiero kobieta w kościele koło Lynchburga.

Pamiętał, oczywiście, rozmowę w barze „Gra w klasy” o plotkach na temat plagi i testowaniu jej na niczego nie spodziewających się ludziach. Gdy tylko ktoś zaczynał się zachowywać choć trochę dziwacznie lub zaskakująco, natychmiast żartowano, że jest zarażony plagą.

- Więc? Co właściwie robi plaga?

- Według gazet plaga sprawia, że zaczyna się wierzyć w określone rzeczy - zależnie od tego, jaki to rodzaj plagi.

- Ach, chyba coś sobie przypominam. - Noc w mieszkaniu Annie? Kiedy? I gdzie to właściwie było? Jedyne, co pamiętał, to ta jedna noc. I Annie opowiadająca, skąd się wzięła plaga. - Ale po co w ogóle wyprodukowano plagę?

- Kto wie, dlaczego rząd robi to, czy tamto? - kobieta odpowiedziała pytaniem na pytanie. Z kieszeni wyciągnęła paczkę papierosów. - Zapalisz?

Przypaliła i podała Zebowi papierosa. Potem wyprostowała się i wyciągnęła nogi pod deskę rozdzielczą.

- Gazety podają, że część plag powstała w celach edukacyjnych. Cudownie. Miło, że rząd pamięta o obywatelach.

Kiedy zrobiło się ciemno, Zeb pozwolił autostopowiczce prowadzić. Położył się na pace ciężarówki i używając ramienia jak podglówka, zasnął, pomimo wybojów i podskoków pojazdu. Zbudziło go dopiero potrząśnięcie za ramię.

- Patrz!

Podniósł się niezbyt przytomnie.

- Co?

- To Atlanta. Nie wiem, co robić...

Zeb przeszedł na przód samochodu. Przed nimi ciągnęły się sznury innych pojazdów.

- Jesteśmy na międzystanowej? - upewnił się.

- Taa... - przytaknęła towarzyszka podróży. - Kierowałam się do Chattanooga.

Cóż, nie powiedział jej, że nie wybiera się w tamtym kierunku. W ogóle nie powiedział, dokąd się wybiera.

Widzieli Atlantę jakieś dziesięć mil przed nimi. Zeb spojrział w niebo, świtało, ocenił, że jest może czwarta rano. Ludzie siedzieli na chodnikach i wzgórzach przy drodze, było jasne, że żaden z wehikułów nie ruszył się od dłuższego czasu i najprawdopodobniej nie ma co liczyć, że się ruszy.

- Coś się tam pali - zauważyła kobieta.

- Masz rację - zgodził się Zeb po dłuższej chwili.

Widział miasto otoczone jakby złotym murem. W centrum górowały wysokie budowle. Zeb miał wrażenie, że zna ten widok. Zdał sobie sprawę, że widział go u Annie, w tę jedną, samotną noc.

Strzeliste budowle były niesamowicie piękne, jakby zaprojektowane przez genialnego, lecz szalonego architekta.

Pożar, który trawił wieże, musiał być naprawdę ogromny. Ciemne kształty unosiły się wokół budynków, jak smoki, jak...

- Pszczoły! - krzyknęła autostopowiczka. - Nigdy ich nie widziałam, ale słyszałam o nich dużo. Muszę znaleźć siostrę! - ruszyła biegiem w kierunku miasta, jej masywne buty zastukały na chodniku. Zeb próbował ją chwycić i zatrzymać, ale zdążyła już zniknąć w tłumie.

Za plecami usłyszał wycie syreny. Ludzie zaczęli krzyczeć. Kiedy się obrócił, ujrzał ogromne gaśienice, a potem cały czołg, który mozolnie przesuwiał się po jezdni, miażdżąc blokujące przejazd pojazdy.

- ZEJŚĆ Z DROGI! - rozległ się głos wzmocniony przez megafon. - TO RZĄDOWA TRASA EWAKUACYJNA! ZEJŚĆ Z DROGI! - Jednakże czołg nie zatrzymywał się ani na moment, by dać komukolwiek czas na zabranie samochodu.

Zeb wrócił do ciężarówki i szarpnięciem otworzył drzwi. Psy skwapliwie wybiegły na zewnątrz. Chwycił tylko bagaż kobiety i uciekł na wzgórze. Tam wspiał się na ogrodzenie i zeskoczył po drugiej stronie na trawę. Wtedy właśnie powietrze wypełnił zgrzyt gnieczonego metalu i zapach dymu.

Wraz z psami Zeb zszedł do małego stawu. Zaspokoił pragnienie i ruszyli betonową ścieżką. Jak się okazało, była to kręta droga, biegnąca najpierw równoległe do

międzystanowej, a potem odbijająca wyżej. Obok ciągnęły się duże hale i magazyny. Owczarki collie trzymały się Zeba, dyszały z wywieszonymi językami, ich pazury stuknęły o płyty chodnika. W końcu betonowy szlak skończył się ślepo. Zeb szedł jednak dalej, orientując się według gwiazd. Minał nieduży stos drewnianych pali, zanim trafił na jednokierunkową drogę prowadzącą do centrum handlowego. Wszedł do fast fooda, gdzie paliły się światła. Na stołach znalazł resztki posiłków i rząd zapakowanych hamburgerów podgrzewanych w mikrofalówkach. Nakarmił psy i wypakował plecak autostopowiczki hamburgerami oraz kartonami soku pomarańczowego. Zapadła noc. W mroku Zeb ujrzał jak w niebo wznosił się słup ognia. Ogromna eksplozja w mieście. „Ciekawe, co się stało?” - zastanawiał się przez chwilę. Potem doszedł do wniosku, że w Waszyngtonie musiał prowadzić dość aktywny tryb życia, bo nie czuł zmęczenia wędrówką. Przeciwnie, miał wrażenie, że podróżowanie dodaje mu sił.

Tuż po świcie droga zakręciła w kierunku skupiska dużych domów. Przed oczyma Zeba rozciągnął się sielankowy pejzaż budynków skrytych wśród kwitnących krzewów i drzew. Ku jego zaskoczeniu, osada nie była opuszczona.

Pierwszy z domów miał białe ściany. Wokół unosił się intensywny aromat róż. Mężczyzna w smokingu i kobieta w wieczorowej sukni siedzieli przy metalowym stoliku skąpani promieniami słońca. Zeb spostrzegł, że grają w karty. Ruszył w ich kierunku przez trawnik, ale w tym momencie włączyły się spryskiwacze. Cofnął się nieco. Mężczyzna i kobieta nadal byli zajęci grą w karty - nie zwrócili uwagi, że dosięgły ich krople wody. Zeb uznał, że od tych dwojga raczej nie uzyska żadnych informacji i ruszył dalej.

Dwoje jasnowłosych dzieci, dziewczynka i chłopiec, nadszedło na trójkołowych rowerkach. Zeb miał zamiar z nimi porozmawiać, ale zmuszony był odskoczyć. Dzieci nawet nie zwolniły, nie próbowały go wyminąć.

- Hej?! - krzyknął oburzony. Ale twarze dzieci pozostały bez wyrazu, zdawało się, że nawet go nie usłyszały. Zeb zawrócił, podbiegł do chłopca i zastąpił mu drogę. Oparł ramiona o kierownicę rowerka. Chłopiec po prostu patrzył przed siebie i próbował nacisnąć pedał. Gdy się okazało, że to niemożliwe, po prostu stanął w bezruchu.

- Cześć - powiedział Zeb i lekko potrząsnął ramieniem dziecka. Nie było żadnej odpowiedzi. Przestraszony odsunął się, a wtedy chłopiec ruszył za dziewczynką znikającą w dole ulicy.

Po tym zdarzeniu Zeb zaczął się spieszyć. Pod drzewem na jednym z podwórek znalazł rower. Bez wahania wsiadł i ruszył szybko, a psy pobiegły za nim, falując długą sierścią, jakby płynęły.

Po przejechaniu około dwóch mil trafił w końcu na zjazd i skręcił na pustą teraz główną drogę. Poniżej był parking wypełniony samochodami, a na środku znajdował się niski budynek z oznaczeniem PSSK.

Zeb wszedł do środka, zostawiwszy rower przy drzwiach. Collie towarzyszyły mu niezmordowanie. Zeszli po ruchomych schodach, które nie działały, choć wszędzie paliły się światła. Zeb obejrzał mapę i zorientował się, że jedna z tras biegnących z tej stacji prowadzi do głównego węzła, skąd mógł złapać połączenie z Nowym Orleanem. Wystarczy, że przejedzie dwie stacje.

Podniecony, ale nadal ostrożny, Zeb wyczekiwał na kolejkę. Minęło zaledwie dziesięć minut i światła na peronie stopniowo pojaśniały, w oddali zaś rozległ się charakterystyczny łomot nadjeżdżającego pociągu. Drzwi otworzyły się z cichym sykiem.

W wagonie siedziała tylko jakaś kobieta. Gdy Zeb wszedł, wyciągnęła pistolet i wycelowała w niego.

- Bez obaw, nie chcę pani skrzywdzić - powiedział, odwracając się do pasażerki plecami. Nie miał ochoty na rozmowy, ona najwyraźniej również nie. Owczarki położyły się na podłodze, były zmęczone.

Zeb i psy opuścili kolejkę dwie stacje dalej. Wychodząc, rzucił jeszcze samotnej kobiecie:

- Do widzenia i powodzenia.

Potem przejrzał rozkład jazdy. Pozostało czterdzieści pięć minut do przyjazdu pociągu do Nowego Orleanu. O ile, rzecz jasna, w ogóle przyjedzie jakiś pociąg. Zeb przysiadł na betonowej ławce, zaraz jednak przestraszył się, że zaśnie, zaczął więc spacerować nerwowo wzdłuż peronu. Na stoisku z gazetami znalazł dzienniki sprzed dwóch dni. Nagłówek jednego z nich głosił: **MIESZKAŃCY ATLANTY UCIEKAJĄ PRZED PLAGĄ.**

Wśród ludzi próbujących opuścić Atlantę wybuchła panika. Wyjazd utrudniły fale napływających z Waszyngtonu uciekinierów, którzy od wczoraj podążali na południe. Pogłoski o wypuszczeniu plagi przez Pentagon zachęciły do wzrostu stosowania popularnego nanoprogramu „Przeminęło z wiatrem”, do którego dostęp na próżno starali się zablokować w mieście nanotechnolodzy i inżynierowie. Jeden z urzędników miejskich (imię i nazwisko tylko do wiadomości redakcji) zapewnił, że nie wierzy, aby ten nanoprogram stworzyli i rozprzestrzerali zwolennicy Rewolucji Wyzwoleńczej. Przypomnieć należy, że celem tego ugrupowania jest utworzenie w Atlantycie niepodległego terytorium i całkowite oderwanie go od Stanów Zjednoczonych.

Federacja Międzynarodowa wraz z Gwardią Narodową podjęła próbę powstrzymania Pszczół Atlanty, które mogą rozprzestrzenić *program* na cały kraj. Zapowiedziano użycie wszelkich koniecznych środków.

Akcja nie spotkała się z aprobatą władz miasta. Trzy miesiące wcześniej władze ratyfikowały Akt Secesji, w którym tego rodzaju przedsięwzięcia określono, jako: *„bezprawne i niekonstytucyjne porozumienie zawarte pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i obcymi siłami”*. Burmistrz Jackson wezwała wszystkich mieszkańców do obrony miasta i ochrony Pszczół, uważanych za własność Atlanty. *„Każdy obywatel posiadający receptory powinien się zapoznać z dostępnymi programami obrony cywilnej - oznajmiła burmistrz. - Jeżeli będziemy działać wspólnie, obronimy miasto i uczynimy je ośrodkiem nowoczesnej cywilizacji, w jaki rozwinęła się Atlanta w ciągu minionych pięciu lat, od chwili, gdy przegłosowana została konwersja w Biomiasto i dołączenie do społeczności nowej ery na całym świecie. Jeżeli przegramy, klęskę poniesie nie tylko miasto, będzie to klęska całej cywilizacji”*.

Dla tych, którzy posiadają receptory, dostępny jest link do artykułu pod adresem: [atlantaconstitution.org index.nationalguard.37459](http://atlantaconstitution.org/index.nationalguard.37459).

Obywatelom nie posiadającym receptorów burmistrz miasta, choć niechętnie, doradza ewakuację. *„Pomimo najszczerzych chęci nie możemy przyjąć także uchodźców z Waszyngtonu”* - dodała.

Nadjechał pociąg. Zeb poczuł podmuch powietrza z tunelu i pospieszył do krawędzi peronu.

Pierwszy wagon był pełen ludzi, jednak drzwi się nie otworzyły. Walił w nie pięścią, ale zlekceważono go. Pobiegł zatem do kolejnego wagonu. Tutaj drzwi rozsunęły się. Przytrzymał je, by mogły również wsiąść psy. Wewnątrz siedzieli tylko Murzyni, większość z nich spała.

- Hej - odezwał się jeden z pasażerów. - Czy mi się zdawało, czy otworzyłeś drzwi, Nance?

- Pewnie miałem pomroczość jasną - padła odpowiedź, a potem mężczyzna dodał, mierząc Zeba uważnym spojrzeniem - Będziesz musiał wsiąść na następnej stacji.

- Chętnie zapłacę za przejazd - zaprotestował Zeb, a wtedy czarni mężczyźni roześmiali się, budząc innych. Pasażerowie przeciągali się niespiesznie i wstawali. Zeb

zauważył, że wokół stoją instrumenty muzyczne. Wagon był duży i luksusowo wyposażony.

- Nie chodzi o zapłatę - oznajmił mężczyzna, który pierwszy się odezwał.

- Wydaje się nieszkodliwy - zauważył ktoś. - Jestem za tym, żeby pozwolić mu zostać.

Pozostali pasażerowie pomarudzili chwilę, ale w końcu wyrazili zgodę.

- Macie ochotę coś zjeść? - zapytał Zeb, otwierając plecak. - Mam trochę hamburgerów.

Wywołał kolejny wybuch śmiechu.

Do Zeba podszedł przystojny mężczyzna. Nosił spodnie szyte na miarę, szelki, koszulę zapinaną na staromodne guziki, rozluźniony krawat i dwukolorowe buty. Nad ustami miał cienki wąsik. Zeb przyglądał mu się długą chwilę, zanim stwierdził:

- Ty musisz być Ed Street.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Jesteś pewien? - zapytał łagodnym, melodyjnym tonem.

- Wybacz - odparł natychmiast Zeb. - Jesteś Duke Ellington.

Pasażerowie przyklasnęli wesoło i Duke uścisnął mu dłoń.

- Miło mi pana poznać, panie...?

- Aberly. Zeb Aberly.

- Masz ochotę na jajka po benedyktyńsku? Właśnie podano śniadanie.

Zaprowadził Zeba na tył następnego wagonu, gdzie przy stolikach nakrytych białymi obrusami siedzieli czarnoskórzy mężczyźni i kobiety. Wokół słychać było szmer przyjaznych pogawędek i brzęk srebrnych sztućców na chińskiej porcelanie.

- Kawy? - zapytał Street, gdy tylko usiedli. Zeb postanowił uznać, że jego przewodnik, to jednak Ed Street. Psy położyły się u ich stóp.

Zeb skinął głową, zastanawiając się jednocześnie, kim naprawdę jest ten dziwak przed nim.

- Ten pociąg jedzie do Nowego Orleanu? - upewnił się.

- O ile mi wiadomo, to tak - odparł trzeźwo Street. - Mamy misję do spełnienia.

Wezwał nas ktoś z Nowego Orleanu.

W umyśle Zeba zabrzmiało to jak triumfalne bicie dzwonu.

- Czy ten ktoś ma na imię Marie? - spytał natychmiast.

Ed Street najpierw potrząsnął głową, potem skinął, a w jego lśniących ciepłych oczach pojawiły się iskierki zaciekawiania.

- Mnie także wezwała Marie - wyjaśnił spontanicznie Zeb.

Podczas próby orkiestry Zeb zdrzemnął się w wagonie klubowym. To znaczy, myślał, że to próba, ale po chwili zorientował się, że to coś więcej. Przypominało raczej akt kreacji prowadzony przez Eda Streeta i podjęty przez muzyków. Zeb, siedzący obok saksofonisty, przyglądał się, jak na e-arkuszu pojawiają się nuty, każdy zagrany akord był zapisywany na bieżąco. Zeb szybko zrozumiał, że tylko podstawowy zarys melodii pojawiał się na arkuszach nutowych całej orkiestry i na bieżąco był uzupełniany lub zmieniany. No, ale od zarania dziejów papier znosił wiele i zniesie jeszcze więcej.

To Street decydował, które fragmenty zarejestrować i dopisać, a które odrzucić. Muzycy pracowali bez ustanku przez całe popołudnie. Zaczęli od podstawowego motywu i powoli wypełniali go dźwiękami instrumentów - najpierw elektronicznymi organami, potem pozostałymi, które wchodziły w określonych momentach, dodając tematy melodyczne i akordy. Było tam miejsce na solówki, było też wspólne brzmienie. Z fascynacją przysłuchiwano się, jak muzyka zmienia się i rozwija. Puzon lub klarnet mogły grać przez dziesięć taktów albo i dłużej, aby potem to samo interludium podjęły dwa inne instrumenty. W pewnej chwili ktoś przerwał, śmiejąc się i rzucając:

- No, Duke, potrafisz to zagrać lepiej!

Chwilę potem Zeb zasnął. Śniło mu się, że ogarniał przestrzeń kosmiczną, rozrastał się w niej w rytmie precyzyjnych interwałów. Jego ciało zmieniło się, przekształciło w nieprawdopodobny, geometryczny twór, według zasad geometrii naruszającej obowiązujące prawa naukowe. Zeb wiedział i czuł, że to geometria niemożliwa, ale tam, gdzie się znalazł, ustalone reguły matematyczne nie miały znaczenia. To był właśnie cel. Mógł tam dotrzeć. W postępie geometrycznym...

Nagle obudził go bogaty, wielowarstwowy i głośny wybuch dźwięków, potężny, triumfalny akord.

- To jest to! - krzyknął. - To jest droga!

- Właśnie tak, człowieku - klarnecista siedzący nieopodal i czekający na swoje wejście przytaknął. - Jazz jest drogą!

Orkiestra grała. Ed Street naprawdę *był* Dukiem Ellingtonem - czarownikiem, który w oszczędnych słowach daje wskazówki orkiestrze, dyrygentem mającym kontrolę nad muzyką.

Skąd wiedzieli? - zastanawiał się Zeb. Skąd znali te interwały, te kadencje, które ujrzał tamtej nocy, gdy nadeszła śnieżycą, dwadzieścia lat temu? O wiele dokładniej niż Ra Ellington wpisał je w muzykę, która docierała do samej istoty Zeba, do jego nowego pojmowania wszechświata.

Nieoczekiwanie melodia się urwała. Choć w pociągu panował chłód, muzycy byli

spoceni. Wycierali teraz twarze chusteczkami, sięgali po butelki z zimnym piwem, siadali wygodnie.

- Nance, następnym razem chciałbym, abyś zagrał nieco szybciej. - Jeden Ed Street pozostał nieporuszony i spokojny. - Widzę, że nasz gość się zbudził. Jak ci się podobało?

Zeb, powróciwszy do rzeczywistości, przyznał, że bardzo mu się podobało.

- To dopiero załóżek, ale myślę, że to jest właśnie to, czego chce Marie. Ta melodia jeszcze się zmieni, gdy spędzimy trochę czasu w Nowym Orleanie. Poczujemy puls miasta. Marie chciała, żeby do melodii, do rytmu włączyć pewne dane. Uznałem, że to intrygujące - prawdziwe wyzwanie. Ale nie tylko dlatego. Niektóre motywy melodyczne podsunęte przez Marie sprawiają, że czuję, jak się rozwijam jako kompozytor i twórca. To motywy łączące przeszłość i przyszłość w muzyce. Oboje uważamy, że ten utwór będzie nosił tytuł „Rapsodia z Miasta Półksiężycy”.

Street nie oczekiwał komentarza od Zeba. Odwrócił się tyłem i zajął się notowaniem na panelu czymś, co przypominało pióro. Zmiany, jakie nanosił, pojawiały się na e-arkuszach muzyków. Ktoś jęknął i poprosił o przerwę, na co Street przystał z nieskrywaną niechęcią.

Muzycy rozeszli się na przód i tył wagonu, a Zeb dopiero teraz mógł się przyjrzeć, jak za oknami przesuwały się rozległe pola Alabamy.

*

Pociąg zaczął hamować ze zgrzytem i Zeb się zbudził. Jeszcze sekundę temu zdawało mu się, że dryfuje w kosmosie, a teraz uderzył czołem w poduszkę powietrzną, która wyskoczyła nagle z oparcia siedzenia przed nim. Wszędzie spadały i przewracały się instrumenty.

Jeszcze oszołomiony spojrział przez okno. Na zewnątrz maszerowali żołnierze w niebieskich mundurach. Szereg za szeregiem ustawiali się wzdłuż pociągu, aż wreszcie stanęli i równocześnie obrócili się przodem do wagonów. Jakaś kobieta z krótkimi, kręconymi włosami patrzyła na Zeba nieruchomo, jedyna wśród szeregów ciągnących się, jak daleko wzrokiem sięgnąć.

A potem nagle, zupełnie jakby przez formację przebiegła fala, każdy żołnierz zwrócił się do drugiego i zaczęli prowadzić dziwaczną, dziecinną grę - dłoń klaskająca w dłoń sąsiada, w kolejnych konfiguracjach, jak do jakiegoś tańca. Potem, pod wpływem kolejnego niezrozumiałego impulsu, żołnierze się uspokoili i znieruchomieli.

Wewnątrz pociągu tymczasem wybuchło prawdziwe pandemonium. Ellington, kulturalnym, spokojnym tonem starał się zapanować nad chaosem.

- Proszę siedzieć, proszę siedzieć. Nie uda im się wejść do pociągu.

Mężczyzna siedzący w pobliżu Zeba lamentował i jęczał.

- To już koniec, człowieku! Koniec! Już jesteśmy martwi! - śmiał się histerycznie.

- Czemu? - zapytał Zeb, drapiąc się w głowę.

- Tylko patrz, patrz! To są cholerne zombie!

- Co takiego?

- Zombie. Mają moc, żeby nas rozłożyć na atomy! Cząsteczka po cząsteczce! Patrz!

Och, nie...!

Żołnierze ustawieni w szeregu zbliżyli się do pociągu, wyciągając dłonie, które miejscami lśniły jadowitą zielenią.

- Wyglądają na zdeterminowanych - zgodził się Zeb. - Ale w jaki sposób mogliby...

- Kpisz sobie? - ciemna twarz mężczyzny poszarzała. Zakrztusił się przy kolejnym wybuchu histerycznego chichotu. - Jasna cholera, ostatnie minuty życia spędzam na wyjaśnianiu, w jaki sposób umrę... Zombie... Zdaje się, że mają komputery DNA, wszczepione w dłonie. Na bieżąco przekazują przez nie dane. Mogą dzięki temu wyczuć strukturę molekularną powłoki pociągu i rozbić ją na podstawowe elementy, bo dysponują odpowiednim programem. To będzie jak... wyparowanie.

- Naprawdę? - Zeb pochylił się w przód z ogromnym zainteresowaniem. - Zabawne. A potem, jak rozumiem, w ten sam sposób rozłożą nas na czynniki pierwsze?

- Właśnie tak - mężczyzna przygarbił się i uspokoił. - Może. A może przemienią nas w zombie, na swój obraz i podobieństwo.

W wagonie rozpętało się prawdziwe piekło - pasażerowie usiłovali za pomocą instrumentów rozbić lub otworzyć okna, drzwi, wyjścia awaryjne. Bezskutecznie. Byli w pułapce.

Zeb uchwycił spojrzenie zbliżającej się do pociągu kobiety, uśmiechała się. Nagle wydało mu się, że widzi w jej oczach niemal niedostrzegalne zaskoczenie i wahanie.

A potem błękitne płomienie liznęły ściany wagonu.

Szereg żołnierzy cofnął się. Kobieta uniosła ramię, przesłaniając oczy, a jej włosy zajęły się ogniem. Pozostali upadli i wili się na ziemi. Nie dosięgły ich płomienie, nie płonęli, lecz...

Roztapiali się.

- Nie! - wrzasnął Zeb, przypadając do okna i waląc w nie pięściami.

- O, cholera... - odezwał się tylko mężczyzna obok. Pociąg ruszył powoli, ociężale. Po szybko spłynęła woda i z sykiem zmieniła się w obłoki pary. Powierzchnia musiała być naprawdę gorąca. A może to tylko strach sprawiał, że wyobrażał sobie niestworzone rzeczy.

Panel wskazywał, że temperatura na zewnątrz wynosi 99 stopni Fahrenheita - jak przez cały dzień, a było już po południu i niedługo się ochłodzi. Dzień wcześniej termometr wskazywał sto jeden stopni. Zeb wrócił na miejsce, walcząc z pragnieniem, by wyskoczyć i z wrzaskiem dołączyć do żołnierzy. W końcu, to nie oni byli uwięzieni w tej pędzącej coraz szybciej puszcze wypełnionej muzyką.

- Widziałeś? - spytał sąsiad Zeba z podnieceniem. - Widziałeś ich czoła?

- Mieli błękitne litery - przypomniał sobie natychmiast. - Co one znaczą? FM z gwiazdą?

- Federacja Międzynarodowa - odpowiedział gniewnie mężczyzna. - Gwiazda, to ich symbol. Jak znak towarowy, marka. Armia nowych czasów. Mają prawo tu być, dzięki podpisanym przez Stany traktatom. Tutaj! W Stanach Zjednoczonych! Do diabła, chciałbym wiedzieć, co tu w ogóle robią oddziały FM. Założę się, że ci żołnierze też nie wiedzą, co się dzieje. Jest ich za to coraz więcej, to ich jedyny cel. Każdemu to mówiłem jeszcze przed wyjazdem z Atlanty: będzie więcej takich stref, jak tutaj.

- Stref?

- Tak... Z księżycy spadłeś, czy co? - rozmówca roześmiał się z goryczą. - Na Boga, chciałbym być teraz na Księżycu albo jeszcze dalej. Podobno tutaj pełno jest rewolucjonistów. Rewolucjonistów pacyfistów. Nic do nas nie mają. Na ich szczęście. Tak, strefy. Obszary zakażone plagami, i tyle. Nigdy nie wiadomo, gdzie trafisz. Columbus, Ohio - tam spadła Plaga Jamesa Thurbera, nazwana tak od jednego pisarza-humorysty. Zresztą, co za różnica... - mężczyzna ponownie parsknął histerycznym chichotem, mocniej zapadając w fotel.

Zeb przecisnął się obok niego i ruszył do palarni. Za plecami usłyszał polecenia Ellingtona wydawane muzykom. Było gorąco. Za oknami unosił się dym z niewidocznego pożaru. Samotna, biała chata stała wśród pól. Zeb usiadł w fotelu, zamówił specjalną kompozycję tytoniu, używając menu na blacie stolika. Po trzydziestu sekundach z niewielkiego wgłębienia wytoczył się papieros. Zeb zapalił, naciskając, jak wszyscy, czerwoną, gorącą kropkę, która pojawiła się na stole, a potem znikła szybko. Wciągając w płuca aromatyczny dym, zastanawiał się, co on tu właściwie robi?

PIĄTY RUCH

Efekt Ellingtona

Nowy Orlean, lipiec 2039

Marie wybuchła śmiechem. Histerycznym, dławiącym śmiechem, który zgiął ją w pół i pozbawił oddechu. Stała naprzeciw wyjścia na taras, ocierając łzy. Uświadomiła sobie, że już od dawna nie miała powodów do śmiechu. Poczucie humoru było czymś rzadkim, szczególnie, odkąd Hugo wyjechał. A teraz ten niemal obowiązkowy wybuch wesołości Marie bardziej przypominał akt desperacji.

Pomachała tłumom na dole, wywołując radosne wiwaty.

Zgromadzeni na placu ludzie najwyraźniej zamierzali świętować. Wznosili okrzyki na cześć Marie. Królowa Secesji! Królowa Niepodległego Nowego Orleanu!

Jak cholera! Secesja od Stanów Zjednoczonych była pustym zwycięstwem. Bo niby od czego oderwał się Nowy Orlean? To był po prostu dumny gest, biorąc pod uwagę, co zdarzyło się Atlancie i innym miastom, które nie miały zamiaru ugiąć się przed jakimkolwiek rządem z rozpadającej się stolicy, czy spełniać coraz dziwniejsze zachcianki różnych agencji rządowych. Powtarzające się plotki głosiły, że Waszyngton przestał istnieć, to samo dotyczyło rządu. Kongres się rozpadł, urzędnicy uciekli albo zostali zarażeni i przemienieni przez którąś z plag, podobnie, jak reszta mieszkańców stolicy. Oczywiście, zmierzający w kierunku Południa żołnierze nie byli Amerykanami. I chociaż na początku zmobilizowano oddziały Gwardii Narodowej, jednak teraz, najwyraźniej wcielono ją do sił Federacji Międzynarodowej. Wbrew ustaleniom traktatów, armia USA odmówiła współpracy z Federacją i przez chwilę Marie miała nadzieję, że to właśnie armia przyjdzie na ratunek Nowemu Orleanowi. Jednak później zrozumiała, że podpisany przez władze miasta Akt Secesji może być w tej sytuacji problematyczny. Dlatego do walki z wojskami federacyjnymi powołała siły w mieście, jednak nie były zbyt liczne.

A teraz Nowoorleańczycy wiwatowali na cześć Marie. Nie zasłużyła sobie na ich zaufanie. Nie umiała ich uratować. Ten wielki Karnawał był tylko pustym gestem. Nie wstydziała się, że chciała poprowadzić ludzi do stworzonego przez siebie edenu, jednak teraz wiedziała, że ta wizja wiodła na manowce...

Ponieważ byli w Nowym Orleanie uwięzieni. I nigdy nie dotrą do Miasta Półksiężycy.

Marie opadła na krzesło przy żelaznej, ozdobnej barierce tarasu. Spojrzała na Cabildo i

Presbytere, szacowne budowle sprzed wieków ocieniające z obu stron katedrę St. Luis, a potem popatrzyła na Jackson Square i dalej, na Mississipi. Tam był jej sztab.

Zanim weźmie lekarstwo przepisane jej przez doktor Weinstein, powinna się trochę przespać. Wcześniej dwoiła się i troiła, nerwowo popędzając Harolda, Kalinę, Jasona i legion pozostałych ochotników, by pracowali szybciej, lepiej, wydajniej. Przypominała szkielet, miewała dziwne napady halucynacji, ale nie dbała o to - mogła pracować, no i pracowała naprawdę ciężko.

Opląciło się. Miasto Półksiężycyca było gotowe, bronione przez ochotniczą armię, a misterny plan wprowadzenia do niego obywateli już działał - nowi mieszkańcy przybyli w pierwszych transportach i już się osiedlili w mieście stworzonym przez Marie.

A teraz nadeszła chwila, na którą Marie czekała tak długo: podanie istnienia miasta do wiadomości publicznej, świętowanie jego otwarcia i wielki exodus. Ludzie gromadzili się w Dzielnicy Francuskiej już od tygodnia, przybywali na dwutygodniowy Karnawał, którego kulminacja przypadała dzisiejszego wieczoru, lub na święto Ogou, jednego z bogów voodoo. Od jutra miały kursować promy do Miasta Półksiężycyca. Taka podróż w jedną stronę trwała tydzień. Ludzie przyjadą na święto z daleka. Marie planowała, że każdy dowie się o możliwości zamieszkania w pływającym mieście i każdy będzie mógł sam zdecydować, czy chce tam żyć. Chociaż nadal większość informacji o pływającym mieście trzymano w tajemnicy. Była to trochę tajemnica poliszynela, jednak Marie wołała, aby rząd nie miał zbyt dokładnych danych o Mieście Półksiężycyca - szczególnie o jego lokalizacji.

Ta chwila - święto - było bramą do wszystkiego, o czym Marie marzyła, że spełni się w nadchodzących dekadach: rozwój nanotechnologii oraz zrozumienie, czym jest *El Silencio* we wszystkich aspektach, włącznie z tym dziwnym pokoleniem dzieci urodzonych podczas pierwszej Ciszy. Spodziewała się, że Jason nie będzie jedyny. Był w odpowiednim wieku. Marie nie wspomniała mu, że się domyśla, kim jest. Po co niepokoić dzieciaka? Okazał się zaskakująco pomocny.

Na święto przybył również Zion, Kalina, a także dzieci z dawnego Wolnego Kraju, które pracowały i mieszkały teraz w Mieście Półksiężycyca. Na miejscu zostali jedynie nanotechnolodzy i inżynierowie, którzy mieli dopilnować, żeby wszystko działało bez zarzutu, gdy przybędzie pierwsza fala osiedleńców. Kiedy pojawiły się wzmianki o oblężeniu Atlanty, Marie posłała im rozkaz, aby nie ruszali się na krok z pływającego miasta.

Za późno. Następnego dnia przyplęnęła łódź z Miasta Półksiężycyca, a Mississipi zablokowały okręty wojenne.

Zaraz po świcie, jakieś antyczne kanoe, skradzione chyba z muzeum, zostało

zatonione, gdy próbowało wpłynąć do Algiers, przedmieścia na drugim brzegu rzeki. Obserwacje potwierdziły, że z łodzi rozrzucono jakąś substancję, przypominającą śnieg.

Marie tego najbardziej się obawiała - plaga, jak donosiły jej źródła wywiadowcze, pochodziła z Południa, z jednej ze stref, gdzie prowadzono dzikie eksperymenty z nano. To była jedna z plag, którą dysponowała również Marie, wirus przemieniający ludzi w zombie, udoskonalony, bardziej zdradliwy i o wiele bardziej wyrafinowany w działaniu.

Poprzedniej nocy flotylla prywatnych łodzi, która wypłynęła na jezioro Pontcharian, została zatopiona przez oddziały Federacji Międzynarodowej. Wcześniej wojska federacyjne zmasakrowały ponad pięćdziesięciu mieszkańców Nowego Orleanu, ponieważ naruszyli terytorium zajęte przez armię. Federacja była zdecydowana dać upust agresji i ukarać wszystkich, którzy „dopuszcili się niewłaściwego i nielegalnego stosowania nanotechnologii”. Nielegalnego według traktatów, których Nowy Orlean nie ratyfikował. Pomijając, że poparciem dla tychże porozumień były brutalne akcje podejmowane przez siły federacyjne i mające tak naprawdę na celu zasilenie wielkiej armii kolejnymi zombie.

Marie Laveau zbliżyła się do barierki. W dole ulicy zabrzmiał ryk tłumów. Pomachała im raz jeszcze z wymuszonym uśmiechem. To był tubalny okrzyk aprobaty. Okrzyk aprobaty ludzi nieźle już zaprawionych alkoholem, niemniej jednak - aprobaty, szczerzej i otwartej.

A przecież to dzięki niej, wszyscy ci ludzie na ulicach zostali uwięzieni w Nowym Orleanie, Biomiescie, którego nie mogli w pełni kontrolować. Wokół rdzenia miasta wyrósł mur, ciągnący się od Canal Street do jeziora Pontchartrain na zachodzie i dalej, wzdłuż Esplanady na wschód. Całość zamykała blokada okrętów wojennych na nabrzeżach.

Federacja Międzynarodowa nie musiała nawet toczyć żadnej bitwy przy oblężeniu miasta. Zresztą, Nowy Orlean nie miał możliwości, by przeciwstawić się najeźdźcom. Miasto nie miało żadnych sił militarnych. Wystarczy, że FM wypuści plagę. Gdyby Hugo wrócił z tym, po co został wysłany, sytuacja byłaby zupełnie inna. Miasto mogłoby wyprodukować dowolny rodzaj broni. Marie zdawała sobie sprawę, że niektórzy z jej pracowników na Burboun Street, gdzie mieściła się kwatera główna, formowali oddziały milicji i zbierali broń, ale starała się ich zniechęcić do takich działań, wiedząc, że konfrontacja z armią FM skończy się dla nowoorleańczyków krwawą jatką.

Ulicą przeszła orkiestra. Dzieci krzyczały:

- Zagrajcie jeszcze!

Marie cofnęła się do chłodnego wnętrza. Choć pełne było komputerów DNA najnowszej generacji, atmosfera dzisiejszego dnia sprawiła, że te nowoczesne urządzenia wydały się jej nieważne jak pył. Drewniana podłoga lśniła, przykryta w kilku miejscach

wębianymi dywanami z orientalnym wzorem. Wygodne krzesła i sofy otaczały niskie stoliki, niczym oazy zwrócone w kierunku biurka Marie, którego blat lśnił jasnym blaskiem gotowości do wyświetlenia danych lub przyjęcia komend. Teraz jednak blat był pusty. Marie dała wszystkim wolne. Niech się bawią. Przecież wiadano, że to może być ich ostatni dzień życia, jakie znali. Na pewno ta świadomość napędzała dzisiejsze święto. A może wierzono, że Marie potrafi w jakiś sposób zmienić bieg wydarzeń? Przecież tak właśnie działała. Potrafiła wzbudzić zaufanie i wiarę we własne siły. Na nieszczęście, naprawdę silne zaufanie i wiarę. Jej dążenia zniszczą wszystkich. I nie zostanie nikt, kto mógłby popłynąć do Miasta Półksiężycy.

Holograficzny model Biomiasta unosił się nad jednym ze stolików. Najwyższy z budynków miał stopę wysokości, ale dotykając panelu kontrolnego można było zmienić skalę. Możliwe było nawet holograficzne zwiedzanie miasta od wewnątrz, wchodzenie do pomieszczeń, podróżowanie tunelami lub innymi ciągami komunikacyjnymi - wystarczyło tylko powiększyć model do odpowiednich rozmiarów.

Jednak nie można było tak po prostu czegokolwiek zmieniać - ani na modelu, ani w prawdziwym mieście. Było chronione dokładniej i mocniej niż można sobie wyobrazić.

Bogowie, ależ była głupia!

Co się stanie z mieszkańcami? Przez kilka lat, odkąd ukazało się jej sławetne ogłoszenie, do Marie zgłaszali się ludzie. Ludzie wszelkich specjalności, naukowcy, eksperci w swoich dziedzinach.

Wielu z nich, speców od plag przenoszonych w powietrzu, wyjechało dwa miesiące temu, gdy okazało się, że plaga, która miała spaść na Nowy Orlean, nie działała zbyt agresywnie. Wypuściły ją radykalne ugrupowania bojówkarskie. Plaga miała zmusić ludzi, by gromadzili się w mieście. Bojówki rozpuściły ją po kraju, co prowadziło do wniosku, że mieli zamiar przejąć kontrolę nad Nowym Orleanem. Spóźnili się jednak. Plaga Nowoorleańska, choć zmuszała ofiary, by płynęły na wschód Stanów Zjednoczonych, podejmując podróż na tratwach, jak Huckelberry Finn z powieści Marka Twaina, nie okazała się zbyt silna. Tworzyła wizje w umysłach zainfekowanych i na wielu wizje te sprowadzały śmierć, ale można było przeciwstawić się nanoimperatywom.

Marie też miała wizje wywołane plagą.

Ale poza tym pamiętała o świecie rzeczywistym, gdzie trwało oblężenie, nie piknik, gdzie była wojna, zamiast rozwoju wiedzy i nauki.

Obserwowała złote drzewo albizji kołysane podmuchem bryzy. Gałęzie przypominały macki ośmiornicy poruszające się w jej podwodnym tańcu. Marie dostrzegała w tym ruchu

zapowiedź zagłady. Tęskniła za utraconym kamieniem Erzulie i choć stale odczuwała jego brak, teraz uczucie było mocniejsze, jakby stało się symbolem wszystkich strat, jakich doświadczyła. Marie nie miała serca, teraz nawet sztucznego, noszonego na szyi. Córka jej nienawidziła. Hugo, najlepszy przyjaciel, znikł - Marie wysłała go na śmierć. Pływające miasto nie przemieniło się jeszcze w Nowe Jeruzalem, jakie wyobrażała sobie przez te wszystkie lata. I przy całej posiadanej władzy, nie umiała uwolnić ani Małego, ani Pociętej Twarzy, jak nakazała jej manbo, stara mentorka, służebnica bogini miłości. A Nowy Orlean zostanie zniewolony, być może nawet wrogie siły postanowią go zniszczyć.

Marie spojrzała na swoje odbicie w wąskim lustrze, ukrytym pod mechanizmem obrotowym za jednym ze starych obrazów. Tafelę otaczała lśniąca rama, wewnątrz której widać było postać wychudzonej kobiety, przypominającej w jakiś nieuchwytny sposób starą manbo, która ongiś wręczyła Marie kamień w kształcie serca. Może podobieństwo kryło się w spojrzeniu... pełnym smutku, którego wcześniej tam nie było?

Nagle uświadomiła sobie, że nadzieje Hugo się spełniły. Te nadzieje, które wiązał z Kaliną, gdy powołał do życia klon, mimo sprzeciwu Marie.

Teraz jej zależało. Desperacko.

Lustro, jak pamiętała, pochodziło ze starej sali balowej, z czasów, gdy tańczono tam kadryla, stary francuski taniec dla dwóch lub czterech par, zawsze ustawionych w kwadrat. Biali plantatorzy zabierali na bale swoje konkubiny - kwaternionki lub mające już tylko w ósmej części domieszkę krwi czarnoskórych niewolników. Zależnie od tego, na co pozwalały im żony, biali mężczyźni pokazywali się w towarzystwie kochanek przez jeden sezon, czasami przez całe życie. Bez wątplenia niejedna z przodkiń Marie była konkubiną. A jakiś antenat musiał być plantatorem, który wybrał sobie na kochankę właśnie tamtą kobietę. Marie próbowała sobie wyobrazić, że ma na sobie suknię balową z krynoliną, ale nie umiała. Tamta epoka dominacji i przemocy przeminęła.

Lecz właśnie nadchodziła kolejna.

Na ulicach rozległ się nowy dźwięk. Marie otworzyła okno tak szeroko, jak się dało. Rytm bębnow rozpoczął Święto Rada. Specjalnie na tę okazję kostium od Clarissy Nightwing pysznił się bogactwem kolorów i afrykańskich ornamentów, paciorki przy długiej spódnicy sięgały podłogi. Bębny grały rytm, który Marie miała we krwi, jak powiedziała kiedyś stara manbo.

Cóż robić teraz?

Dziesięć minut później Marie w kolorowej sukni ruszyła do drzwi. I wpadła na Jasona, który właśnie wbiegł na schody.

- Gdzie idziesz?

- Tańczyć.

- Och - spojrzał na nią, jak na wariatkę. - Pomyślałem, czy nie ma jeszcze czegoś do zrobienia...

- Wybij to sobie z głowy.

Jason był dobrym dzieciakiem, bystrym, jak wszyscy, którzy przybyli do Nowego Orleanu, by stworzyć nowe, naukowe społeczeństwo. Większość już dawno odpłynęła do Miasta Półksiężycy, ale Jason wołał zostać.

Marie zatrzymała się. Zawołała za nim, gdy szedł po schodach.

- Może ci pomóc?

Prawdę mówiąc, niewiele wiedziała o rzeczach, jakimi on się zajmował, jej pomoc zatem nie była wiele warta, ale poczucie winy zmusiło ją do wejścia na stopień lub dwa...

Jason odpowiedział z góry.

- Nie, nie trzeba. Baw się dobrze.

Chwilę później Marie była już na ulicy.

*

Jason ucieszył się, że będzie sam w gabinecie - głównym pomieszczeniu, sterowni Biomiasta. W większości Biomiast stosowano teraz systemy dające wszystkim pełen dostęp do informacji. Jednak Marie należała do osób, które zawsze chcą wiedzieć, co się dzieje, zawsze musiała być na bieżąco. Przebywanie w jej towarzystwie było męczące. Zdawała się nigdy nie spać i zawsze miała zdanie na każdy temat.

Jasona zmęczyli ludzie z Projektu Genom, uciekinierzy z Waszyngtonu, którzy w Nowym Orleanie otworzyli sklep. Marie zdręczała go o próbkę krwi, nic więc dziwnego, że Jason był zmęczony jej obecnością. Ale nigdy nie był dość zmęczony na ostrygi. Żałował, że nie kupił sobie porcji. Uwielbiał je.

Uruchomił system i otworzył okna danych, by śledzić postęp infekcji, jaką rozprzestrzeniono rano. Pomyślał przy tym, że może umrzeć. Zastanawiał się, czy można stąd uciec - przecież był sam, mógłby przedrzeć się przez kordon sił federacyjnych... Rozważał tę możliwość, ale w końcu przestał.

Był przekonany, że ma tu jeszcze coś do zrobienia.

*

Tuż po zachodzie słońca do brzegu Missisipi w pobliżu Nowego Orleanu przybiła elegancka żaglówka z silnikiem Diesla. Zacumowała przy opuszczonej plantacji tytoniu i w ciszy z burty spuszczonego pontonu. Trzy sylwetki zeszły z pokładu i powiosłowały pod osłoną

gałęzi mangrowców w górę rzeki. W całkowitej ciszy ponton minął kordon wojennych okrętów widoczny na tle miasta.

*

Kita była o wiele bardziej podniecona niż Hugo, gdy zbliżali się do brzegu.

- Uważaj. To chyba żołnierze.

- To drzewa - odpowiedział Hugo niewzruszenie.

- A ten hałas?

- Karnawał - wraz z Tamchu wiosłował spokojnie, równomiernie.

- A te bębny, które słyhać tak blisko?

Nie widziała twarzy Hugo, ale mogłaby przysiąc, że się uśmiechnął.

- To bębny *voudoun*.

- Znaczą, takie magiczne?

- Nie - prychnął karzeł. - Takie archetypiczne, jak w opisie Junga.

- Masz na myśli, że jest to chwilowa manifestacja ponadczasowych elementów zbiorowej podświadomości?

Hugo zachichotał.

- Właśnie.

- O czym właściwie mówicie? - wtrącił się Tamchu.

- Ciii... Jesteśmy prawie na miejscu.

Znaleźli się na zrujnowanej przystani, która graniczyła z opuszczonymi domami na rogatkach miasta.

- Nie rozumiem, czemu mamy być cicho? - zapytała Kita normalnym głosem. - Nie sądzę, aby ktoś mógł nas usłyszeć, nawet jeśli będziemy krzyczeć. Patrz. Czy jakiś okręt z kordonu choćby się ruszył?

Hugo przestał wiosłować. Nurt cofnął ponton. Gdy dryfowali w dół rzeki, mały mężczyzna wstał i chwycił metalową drabinkę przyczepioną do nabrzeża. Ponton zakręcił się, gdy cuma została przywiązana.

Pierwszy wspiął się na betonową przystań, za nim ruszyła Kita i Tamchu. Oboje mieli na sobie jeansy i koszulki, ale Hugo ubrany był w beżową lnianą marynarkę szytą w Paryżu i bordową koszulę z jedwabnym, prążkowanym krawatem. Kita nigdy jeszcze nie widziała kogoś, kto w takim stroju poruszałby się równie szybko i sprawnie. Może potrafią to tylko ludzie z Zachodu.

- Jak się dostaniemy do miasta? - dla Kity budynki wyglądały, jakby stopione w jeden zwarty mur. Widziała dachy, ale żadnych okien i drzwi na solidnych ścianach.

- Ten mur ma powstrzymać ludzi, żeby nie wydostali się na zewnątrz, ale nie powstrzymuje tych, którzy chcą wejść. - Hugo ruszył tak szybko, że kobieta została w tyle. Brak ulicy lśnił słabo, a wielka wrzawa niosła się w powietrzu od strony miasta. Kita pociła się, choć było już chłodno. Może mgła nadciągająca z nad rzeki trzymała ciepło dnia. Japonka skierowała się w stronę gwaru i świateł, w wilgotnym powietrzu miała wrażenie, że nie tyle idzie, co płynie.

- Kto to? - wyszeptała, gdy z mgły i ciemności weszła w światło ulicznej latarni umundurowana kobieta, oświetlając sobie drogę latarką. Stare, zniszczone budynki z wybitymi oknami potęgowały wrażenie niesamowitości. Hugo zdążył już minąć strażniczkę.

- Dokumenty, proszę! - rozkazujący głos umundurowanej kobiety przebił się ponad gwarem i muzyką. - To miasto znajduje się pod jurysdykcją Federacji Międzynarodowej.

Tamchu stał nieruchomo, aż strażniczka podejdzie bliżej. Dopiero wtedy rzucił w nią czymś, co wyglądało jak iskra. Kobieta upadła bezwładnie.

- Szybko - rzucił do Kity. - Zapewne teraz emituje już sygnał alarmowy i zaraz będą tu jej kumple. Zdaje się, że nie spodziewała się, oporu z naszej strony. Dziwne...

- Jak to zrobiłeś? - wydyszała Kita, gdy biegli, starając się dogonić Hugo.

- Zaskoczyłem ją - stwierdził towarzysz. - Nic jej nie będzie. O, jest Hugo.

Karzeł widoczny w świetle padającym z latarni ulicznych odwrócił się i pomachał im, by się pośpieszyli. Zrównali się z nim, a wtedy poprowadził ich za róg. Uchylił klapę zejścia do kanałów. Chwilę później Kita schodziła po drabince w ciemny tunel. Była szczęśliwa, że w tak krótkim czasie znaleźli się wszyscy po drugiej stronie muru, w wyludnionej części miasta.

- To jeszcze straszniejsze - oznajmiła. Muzyka nadal dobiegała z daleka, ale jej tempo pulsowało niewyraźnie na niektórych elementach ulicy. Kostki bruku błyskały, neon naśladował rytm muzyki, a samotna pijana kobieta zataczała się do taktu - jej ubranie falowało przy każdym, niezbornym ruchu.

- Jest ŚWIĘTO! - wrzasnęła, gdy ją mijali w pośpiechu.

Hugo jednak odkrzyknął:

- Gdzie jest Marie?

- Marie Laveau? A gdzie ma być? Przy kolumnadzie na Jackson Square, gdzie tańczy całe miasto!

Hugo rozłożył ramiona, zanim zaczął biec.

- Jak dobrze znowu być w domu!

W ciągu kwadransa cała trójka przebiegła bezdrzewne aleje przy opuszczonych

domach, wzniesionych tuż przy krawężnikach.

- Wiesz, gdzie jest ta kolumnada? - upewniła się Kita.

Roześmiał się.

- Znam to miasto jak własną kieszeń!

Skręcił w wąską uliczkę. Przed nim kłębił się tańczący tłum. Hugo wcisnął się między ludzi.

*

Nowy Orlean przemieniał się w marzeniach Marie. Ghede kiwał głową z oddali i salutował, unosząc dwa palce do rąk kapelusza, a jego wysoka postać górowała nad tłumem. Uchwyciła spojrzenie ciemnych oczu Erzulie i porwało ją wszechogarniające współczucie. *Kocham cię* - tchnęła bogini miłości w uszy Marie. A potem Erzulie zrzuciła maskę i stała się Kaliną, która zaraz zniknęła w tłumie tańczących ludzi.

Energia zgromadzenia rosła. Marie czuła, jak w tym momencie manifestuje się dziedzictwo miasta, jego historia - w tej godzinie, w tym tańcu, w potężnej sile Karnawału. Czy to plaga spuszczonej przez rząd sprawiła, że przez jej umysł przetoczyła się moc niczym smuga błyskawicy?

Niemożliwe. To uczucie było zbyt prawdziwe, zbyt silne, zbyt żywe.

Może moc Karnawału powstrzyma plagę.

Legba był obecny na Jackson Square, tańcząc dziko wśród kolumn. Wyglądał jak stary, ale silny mężczyzna, a jego laska zakwitała, gdy ofiarnicy składali mu dary w postaci jedzenia i picia. Oczywiście. Był Strażnikiem Rozstajów, a miasto stanęło właśnie na rozstaju dróg. Bębny wybijały święty, niezmienny od wieków rytm. Niezmienny, ocalony rytm, który był zakazany wszędzie tam, gdzie żyli niewolnicy. Z wyjątkiem Nowego Orleanu.

I teraz mieszkańcy miasta będą musieli walczyć. Ale na razie niech tańczą!

Taniec jest jak wzięcie udziału w kosmicznej kontroli nad światem.

Marie słyszała, jak krzyczy wraz z innymi, jej głos tonął w chóralnym śpiewie. Tańczyła od zmięzchu, od zachodu słońca. Tańczyła jak Agwe i nawet teraz wiedziała, że może zabrać ludzi do Nowego Jeruzalem, zabrać ich w świętą podróż przez morze. Wszyscy bogowie z panteonu *voudoun* tańczyli na Jackson Square, na ulicach miasta, na dachach i tarasach budynków.

Przybył nawet ciemnoskóry karzeł - strażnik Gad...

Ale - nie!

- Hugo!

I wtedy Hugo zaczął tańczyć z Marie, machając ramionami, podskakując jak w irlandzkim pląsie.

Chwyił ją za ręce, okręcił, a potem zaczęli wirować jak dzieci w tę szaloną, gorącą noc, drżąc, krzycząc i płacząc.

*

W krótkim czasie wspięli się po schodach do gabinetu, spoceni i roześmiani. Hałas i muzyka przestały być głośne, gdy znaleźli się za murowanymi ścianami budynku, ale muzyka i rytm bębnów nadal brzmiały wyraźnie.

Kita szła obok Tamchu za Marie i Hugo. Ich przybycie wzbudziło podniecone szepty i zdumienie, że tak lekkomyślnie podjęli się podróży do Nowego Orleanu. Tak naprawdę, żadne z trójki przybyszów nie miało pojęcia, jak poważna jest sytuacja w mieście. Nawet Hugo zdawał się całkowicie ogarnięty karnawałowym nastrojem. Marie ucieszyła się na widok Kity, tym bardziej, że od ich poprzedniego spotkania minęło tyle lat, ale koncentrowała się przede wszystkim na Hugo.

Cóż, Kita miała tu *zadanie* do wykonania.

- Cześć. Jestem Jason Peabody.

Odwróciła się i ujrzała młodego mężczyznę, którego jasne, niemal białe włosy lśniły w świetle kryształowych żyrandoli.

- Kita - odpowiedziała krótko, rozglądając się. Pomieszczenie sprawiało wrażenie idealnego środowiska do pracy. Marie nie poskapiła niczego. Kita przyjrzała się wyposażeniu.

- Oh! Czy to ty jesteś numerem trzydzieści osiem? - zapytał Jason.

Zerknęła na niego zaskoczona.

- Skąd wiesz? - trzydzieści osiem było kodem identyfikacyjnym Kity, którego używała przy Apio-Projekcie. Jason uśmiechnął się szeroko, chłopięco.

- Pracuję tu od kilku miesięcy. Marie opowiadała o tobie. Powiedziała, że wysłała Hugo, żeby cię odnalazł, a Hugo zaginął. Opisała mi również twoje projekty badawcze, wydawały mi się bardzo podobne do prac trzydziestki ósemki.

Kita uniosła brwi.

- Nadal nie rozumiem...

- Wybacz. Dostałem dyplom inżyniera dopiero dwa lata temu, a do tego czasu studiowałem i pracowałem. Byłem w Houston i tam trafiłem na utajnioną historię Apio-Projektu i jego etapy wprowadzania. Zrobiłem profile każdego, kto uczestniczył w badaniach nad tym projektem...

- I *zrozumiałeś* całą ideę? - zapytała Kita rozbawiona.

- Tak mi się zdaje - odparł Jason. - Jednak ten przełom, jakiego dokonałeś w kwestii szybkiej przemiany zupełnie mnie zaskoczył. Użycie wybranych ludzkich nerwów węchowych do panowania nad zmianami w nanoskali - to było coś naprawdę odkrywczego.

- Ach - Kita musiała się uśmiechnąć. - Dziękuję. Możesz mi opowiedzieć, co się stało? Ci dwoje są chyba zbyt zajęci - skinęła głową w stronę Marie i Hugo, siedzących naprzeciw siebie w głębokich fotelach i pograżonych w cichej rozmowie.

- Jasne. Dzisiaj Federacja Międzynarodowa wpuściła nano do rzeki. Tylko kilka zarodników dotarło do Nowego Orleanu przez Canal Street, ale zmnożyły się w bardzo krótkim czasie. Myślę, że to rodzaj nano, które osiągają punkt krytyczny namnażania w... - podszedł do biurka Marie i aktywował ekran ścienny - sto czterdzieści dwie minuty. Od tego momentu zaczynają infekować przez receptory i jak przypuszczam, rozpylają się w powietrzu. To mniej więcej wszystko, co wiem.

Kita wsunęła włosy za ucho, wyjęła z kieszeni papierosa i zapaliła. Patrzyła na okno danych, które aktywował Jason. Z papierosem w lewej ręce, prawą wystukała komendy do analizy składu substancji, która zainfekowała miasto i miała wywołać określone mutacje wśród ludności.

To był w istocie ten sam proces, który zmienił w jedną noc Kioto. Terrorysty przeniknęli już do sił Federacji Międzynarodowej na całym świecie.

- Myślę, że powinnam użyć mojego prototypu miasta - wymruczała Kita pod nosem, nie dbając, czy Jason słyszy, czy nie.

- Co takiego?

Powtórzyła to trochę głośniejszym głosem, by przebić się przez szmer gratulacji - najwyraźniej cała populacja Nowego Orleanu przyszła uściskać Hugo.

- Mam prototyp miasta zapisany w moim kodzie genetycznym. Ale wypakowanie danych i przygotowanie ich do użytku zajmie co najmniej dwanaście godzin - wydmuchwała dym i wskazała papierosem na okno Jasona. - Nie mamy tyle czasu.

- Och - powiedział tylko chłopak, nie kryjąc rozczarowania. Jednak jeżeli miał choć odrobinę inteligencji, powinien zacząć się bać. Naprawdę bać.

- Cóż - westchnęła Japonka. - Sądzę, że coś jednak mogę zrobić. Według systemu monitoringu uruchomionego przez Jasona, plaga nano, która w ciągu jednej nocy zmieniła Kioto, rozwijało się w najlepsze w Nowym Orleanie. System wskazywał już ponad tysiąc lokalizacji, gdzie nastąpiło zakażenie. Wysyp zarodników musiał być naprawdę niewielki, choć i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nawet jeden zarodnik-nanobot mógł zacząć przemieniać materię w bardzo krótkim czasie, tworząc inne nanoboty na swój obraz i

podobieństwo. Choć początek był powolny, ich liczba będzie rosła coraz szybciej, podwajając się za każdym razem, aż wreszcie Nowy Orlean zaleje plaga, która przemieni mieszkańców i przekształci wszystko, co warte uwagi tak, by umożliwić siłom Federacji Międzynarodowej wkroczenie do miasta.

- Czy coś jeszcze można zrobić? - zapytał Jason, a głos wyraźnie mu się załamał. Teraz naprawdę wyglądał na zmartwionego i przestraszonego. I tak właśnie być powinno.

- Mogę wypróbować Uniwersalny Asembler.

- Że co? - chłopak cofnął się o krok. - Uniwersalny Asembler nie istnieje. Nikt nie odważyłby się go skonstruować...

Kita poczuła mimowolną sympatię do tego młodego mężczyzny. Spośród wszystkich obecnych tylko on miał wystarczającą wiedzę i kwalifikacje, by zrozumieć, na co się porywała.

- Obawiam się, że jednak istnieje.

Tak daleko, jak sięgała pamięcią, Kita nie przypominała sobie, by kiedykolwiek użyto Uniwersalnego Asemblera. Nie była nawet pewna, jakie miał zabezpieczenia - o ile w ogóle jakieś miał. Ale teraz nadeszła dobra chwila, by to sprawdzić. Wystarczyło tylko podłączyć Asembler do systemu, by rozpuścić niemożliwe do kontrolowania namnażanie lub rozkład cząsteczek.

To może być koniec świata, jaki znali.

Właśnie to było przyczyną lęku, jaki przeżywali wszyscy, którzy zajmowali się nanotechnologią. Gdy tworzony był nanobot do modyfikacji materii, wprowadzano mu zawsze ograniczenia, limity dla procesu reprodukcji. Ale stworzono Uniwersalny Asembler, wbrew międzynarodowym porozumieniom dotyczącym nanotechnologii, i to armia użyła Dento jako zasłony dymnej, trudno zatem liczyć, że wprowadzono jakiegokolwiek zabezpieczenia do wynalazku, mającego być bronią.

Kita podniosła głos.

- Marie, Hugo? Chodźcie tu!

Zerwali się natychmiast i podeszli do niej pośpiesznie.

- Nie ma czasu do stracenia - powiedziała im spokojnym tonem. - Możemy powstrzymać plagę tylko w jeden sposób. I trzeba zacząć natychmiast.

Dziesięć minut później Kita miała już stanowisko pracy z komputerem DNA sterowanym przez receptory i z niezależnym źródłem zasilania. Na wysokości pasa ustawiła sobie panel dotykowy, a na ścianie aktywowała ekran długi na około trzy stopy i szeroki na

dwie.

Uniwersalny Asembler leżał na stole obok kołonoatnika z zapisami, jakie przywiozła z Paryża - miała do nich łatwiejszy dostęp, bo nie wymagały do odczytu specjalnego wyposażenia. Przeglądała teraz zapiski na tyle powoli i uważnie, na ile się odważyła. Wróciła do kilku, dwie kartki zaznaczyła papierowymi zakładkami. Potem raz jeszcze wróciła do początku i pozostawiła notes otwarty na początku jednego z rozdziałów.

Wypróbowała kilka ustawień konfiguracyjnych Nowego Orleanu, pamiętając, że system Biomiasta był pod pewnymi względami niedoskonały, o czym wspomniał jej Hugo. Niewiele czasu zajęło jej zorientowanie się, że miał rację. Ten system był jak fortepian, w którym nie działało kilka klawiszy i dlatego na instrumencie nie można było grać jak należy. Analiza i naprawienie defektów mogłoby zająć zbyt dużo czasu, zwłaszcza że trzeba było ratować jak najszybciej miasto i umysły ludzi, w tym jej własny, nie miała zatem czasu na zabawę w staranne ustawianie parametrów.

Wybrała ustawienia w oparciu o dane z Kioto, teraz będącym miastem Jacka i innych terrorystów, którzy przeniknęli do Federacji Międzynarodowej i wprowadziła konfigurację, którą zastosowała Illian w systemie Paryża.

Uniwersalny Asembler zawierający nanomanipulatory został zaprogramowany na odwracanie zmian, jakie zarejestrowano zarówno w systemie Biomiasta Kioto, jak i Nowego Orleanu. Teoretycznie, jeżeli wszystko pójdzie dobrze, Kita miała skierować nanoboty, aby znalazły Plagę Kioto i zmieniły ją w ten sam sposób, w jaki zrobiła to Illian w Paryżu. Ten etap transformacji Kita przestudiowała ze szczególną uwagą, aż poczuła, że będzie w stanie kontrolować całość i opanować proces.

Zrobiono to już raz. Kita pamiętała, jak to przebiegało - i nie straciła zimnej krwi. Dysponowała wykresami, dokładnie skopiowanymi z danych o przemianie dokonanej w Paryżu przez Illian. Ale czy ma odpowiedni katalizator? Czy czegoś nie pominęła? Zastanawiała się, czy będzie w stanie powtórzyć wszystkie etapy, jakie Illian przeszła podświadomie i instynktownie. I czy zapisane dane były kompletne?

Za plecami Kity i po jej bokach tłoczyli się w zupełnej ciszy ludzie, spoglądając na Japonkę z napięciem. Ktoś zakaszłał. Choć zamknięto okna i drzwi, nadal słyhać było bębny.

- Odsuńcie się - rozkazała Kita. - Muszę mieć więcej wolnej przestrzeni.

Tłum cofnął się z cichym szmerem.

Kita podniosła Uniwersalny Asembler, który Hugo położył wcześniej na blacie.

Kamień filozoficzny.

Kasetka z nierdzewnej stali, która go ukrywała, nie była większa od karty kredytowej, wygładzonej delikatnie na krawędziach, przez co jej powierzchnie sprawiały wrażenie wklęsłych. Na wierzchu widoczne było wygrawerowane logo DENTO, a poniżej symbol czaszki i skrzyżowanych puszczeli oraz napisy w wielu językach: „UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO!”. Kita znalazła również numer międzynarodowego patentu i potrząsnęła głową. Nie było żadnego sposobu, by dostać się do środka, nie niszcząc opakowania i być może zawartości.

Przyjrzała się gniazdku, do którego można było podłączyć komputer. Żeńska końcówka najwyższej milimetrowej średnicy. Na boku komputera DNA, nie zajmującego wiele więcej miejsca niż przeciętnej wielkości książka, znajdowało się kilka portów. Kita przyjrzała się im z bliska, porównując gniazdka.

- Zdaje się, że nic nie pasuje. Macie jakieś przewody, żeby to podłączyć?

Nie było czasu, aby skonfigurować i wyprodukować odpowiedni łącznik w jednym z nanourządzeń. Zgromadzeni ludzie natychmiast się rozproszyli i zaczęli w szaleńczym pośpiechu przeglądać kable i przewody. Delikatne, cieniutkie nanoprzewody pokrywano najczęściej plastikiem, co teraz utrudniało poszukiwania. Kita słyszała tylko trzask otwieranych szuflad i szafek, aż w końcu różne łączki znalazły się na stole.

Komputer samoczynnie podłączy się do systemu Biomiasta. Natychmiast zacznie wysyłać dane, które przetransponuje na czytelne dla receptorów. Kita mogła - tylko teoretycznie - dokonywać zmian na poziomie cząsteczkowym, używając jedynie panelu dotykowego. Panel alfanumeryczny posiadał również nanoprzyciski w standardzie międzynarodowym, które dodali specjaliści od nanotechnologii. Kita będzie mogła z nich korzystać, by szybko i łatwo obsługiwać schematy pojawiające się na ekranie przed nią.

Nie było już sposobu, by odciąć komputer od sieci Biomiasta. Oczywiście, Kita mogła uruchomić kilka skomplikowanych blokad i firewalli, gdyby tylko starczyło jej czasu. Ale skoro Uniwersalny Asembler został zaprogramowany jak broń, to raczej nie było takiej możliwości. Gdy tylko Asembler otrzyma dane z komputera - jakiegokolwiek komputera, nieważne, czy połączonego z siecią Biomiasta, czy też z jednego ze staromodnych komputerów bez dostępu, których produkcja była surowo limitowana - natychmiast rozpocznie proces rozkładu, którego postępowaniem Kita będzie mogła sterować przez panel dotykowy, o ile zdąży, zanim nanoboty rozkładające cząsteczki nie wylądują na jej skórze, a potem na stole, na podłodze...

- Może będzie lepiej, jeśli wyjdziecie - powiedziała, szukając pasującej łączki wśród przewodów na stole. Znalazła. Weszła do gniazdka Uniwersalnego Asemblera z ledwie

słyszalnym kliknięciem. Teraz trzeba było tylko wcisnąć drugi koniec do portu komputera. Kita rozejrzała się wyczekująco.

- Nadal istnieje możliwość ucieczki, o ile będziecie szybcy. Jeżeli zdarzy się najgorsze, fala nano może zostać powstrzymana przez naturalne bariery, choćby przez odległość. Można ją będzie też skierować na bariery, przez jakie nie zdoła się przedrzeć.

Nikt się nie poruszył.

Kita podłączyła asembler do komputera.

Przez ekran przebiegły symbole i napisy ostrzegawcze w różnych językach. Napięta jak akrobata tuż przed wykonaniem salto mortale, Kita dotknęła pewnie panelu dotykowego i wywołała z menu przygotowany wcześniej przez Jasona obraz Nowego Orleanu z ogniskami zakażeń zaznaczonymi przez podświetlone punkty.

Powiększyła obraz manipulatorów cząsteczkowych rozlewających się szybko w kolejnym oknie ekranu, które pokazywały, że replikacja właśnie się zaczęła i postępuje w błyskawicznym tempie. Kita sprężyła się i opanowała. Nie mogła teraz poddać się panice. Usłyszała tylko, jak ludzie, którym puściły nerwy, uciekali z pomieszczenia.

Poziom adrenaliny rósł, gdy kolejny z armii nanobotów zdawał się pączkować, by w końcu wypuścić swoją kopię. Było to odwzorowanie graficzne namnażania nowej formy nanobotów - i zanim Kita straciła rachubę, odczytała z ekranu liczebność niewidzialnej armii: 16... 32... 64... 128...

Nanofala. Z pamięci wypłynęło wspomnienie stacji metra w Kioto.

Zadrzała. Poczowała dłonie Hugo na ramionach.

- Odpręż się, malutka - powiedział łagodnie.

- Nie mogę - jęknęła, ale jej umysł przyjął delikatną sugestię, może dlatego, że poczuła zapach Hugo. Uspokoiła się, skoncentrowała. Uświadomiła sobie, że większość ludzi wyszła, zostawiając otwarte drzwi tak, że kakofonia bębnow i muzyki wypełniła pomieszczenia. Nie przeszkadzało to Kicie. Zdaje się, że nawet pomagało.

Ruchem palca kobieta zatoczyła koło wokół maleńkich nanobotów, które mogły tworzyć lub niszczyć, oddzielając kilka od pozostałych lśniąca linią i wydając polecenie dokonania analizy chemicznej ich składu. Miały wolne wiązania węglowe. Kita wprowadziła cząsteczki tlenu i uwolniła je do ograniczonego linii zbioru.

Aktywność spadła, potem wygasła całkowicie. Maluteńkie ilości dwutlenku węgla zostały złożone. I na tym się skończyło.

- Nie grozi nam wypadek - powiedziała, prawie szlochając z ulgi. - Spanikowałam, przepraszam.

Zaglądając do notesu, wydała polecenia syntezy skomplikowanych metaferomonów, jakie poznała dzięki Illian i posłała je w zakażone strefy miasta. Skoncentrowała się na tych obszarach, gdzie Plaga Kioto podwajała liczebność w ciągu każdych czterdziestu pięciu sekund, a potem otworzyła okno, gdzie miała podgląd sytuacji w czasie rzeczywistym.

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Dźwięki Karnawału stanowiły oprawę do rozgrywającego się przed oczyma Kity dramatu.

Gdy opanowała system komunikacyjny Paryża, metaferomony, intuicyjnie stworzone przez Illian, otoczyły cząsteczki Plagi Kioto i zaczęły je przekształcać na swój obraz i podobieństwo. Kita zachwiała się, czując przypływ ulgi. Oparła się o stół, zauważając, że jest złana potem.

- Czy... Czy wszystko w porządku? - spytał Hugo.

Skinęła głową.

- Na to wygląda. Naprawdę. Ale to jeszcze nie koniec.

- Co jeszcze? - zapytała Marie.

- Ten nowy zestaw metaferomonów jest aktywowany w ludzkim mózgu przez powtarzanie pewnego określonego zestawu dźwięków. Potrzebny jest rytm.

- W czym problem? - zaniepokoiła się Marie. - Jaki to rytm?

Kita przewróciła parę stron w notatniku.

- To jest...

Odległy niski ryk wypełnił pomieszczenie i wszyscy umilkli. Nawet muzyka na zewnątrz ucichła nagle.

- Co to było? - spytała Kita.

- Brzmiało jak tornado - mruknęła Marie.

Wszyscy rzucili się na taras.

*

Każdy w Drodze do Nowego Orleanu był w stanie najwyższego napięcia i oczekiwania. Jak świetlista smuga pociąg minął pierwszy znak graniczny miasta i zwawo popędził dalej. Wszędzie walały się butelki po wódce i rumie. Nowy Orlean był już widoczny w oddali, oświetlony blaskiem zachodzącego słońca. Budynki lśniły srebrzyście na tle oliwkowo-zielonych skwerów, upalne powietrze lata drżało w świetle księżyca w nowiu. Nawet Ellington był zadowolony, że może wstać z fotela i oglądać lśniące wieże bajkowego miasta, rosnące z każdą sekundą, gdy pociąg zbliżał się do stacji.

- Słyszałam, że wokół Dzielnicy Francuskiej jest mur - odezwała się jakaś kobieta spomiędzy rzędów siedzeń.

Tory wiodły teraz między bagnami, gdzie rosły rośliny zupełnie nieznanne Zebowi. Wyglądały jak prehistoryczne palmy wymieszane z dębami pokrytymi mchem. Białe czaple zerwały się do lotu spłoszone przejazdem pociągu. Niebo ciemniało szybko, znikwały ostatnie odcienie oranżu i czerwieni. Zeb wrócił do ustalania reguł pasjansa, który usiłował ułożyć na rozkładanym ekranie.

Nagle sielankowy nastrój zburzył huk eksplozji. Okno obok Zeba pokryło błoto. Przez pociąg przebiegł wstrząs i mężczyzna mocniej zapadł się w fotel.

Siedzący obok Ray Nance poklepał go po plecach.

- Nic nie jest w stanie zniszczyć pociągu. A nawet, jeżeli coś takiego istnieje, to nic na to nie poradzimy.

*

Drzwi z przodu wagonu rozsunęły się, wpuszczając nowych pasażerów. Ludzie przepychali się, a z ich okrzyków Zeb zorientował się, że reszta wagonów jest przepelniona. Jego sąsiad, Nance, wyraźnie stracił pewność siebie. Radioastronom zamknął grę i poszukał na panelu okna, w którym znalazłby informacje o pociągu. Pasażerowie rozchodzili się wśród rzędów siedzeń i zajmowali miejsca.

- A przed nami jeszcze żołnierze - mruknął Nance, przytykając do szyby złożone dłonie, by móc obserwować, co się dzieje na zewnątrz. - Cholera, muszę się napić.

Wyjął z kieszeni srebrzystą piersiówkę i pociągnął spory łyk. Poczęstował Zeba, ale mężczyzna odmówił, potrząsając głową.

- Nie widzę żołnierzy - stwierdziła Ivie Anderson z perfekcyjną dykcją. Była legendarną już wokalistką, którą do zespołu zwerbował Ellington. - Jest za ciemno.

- Na pewno tam są - odpowiedział Nance. - Pamiętasz, co ogłaszano w Atlancie? Nikt nie może się dostać do Nowego Orleanu bez zgody sil Federacji Międzynarodowej.

- Nie należę do Federacji - odcięła się Ivie. - Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. I nie podoba mi się, że jacyś obcy decydują, co nam wolno, a co nie.

- No, ale w Nowym Orleanie są ludzie. Dlatego FM stara się trzymać wszystkich z daleka od miasta. Obawiają się powstania. Poza tym, Nowy Orlean ogłosił niezależność od USA, pamiętasz?

W całym wagonie zapadło pełne napięcia milczenie. Nawet Ellington, zwykle mający coś do powiedzenia uprzejmym, eleganckim tonem, nie próbował się odezwać.

- Co nam mogą zrobić federacyjni? - przerwała ciszę Ivie.

- Och, na przykład wykoleić pociąg, zrzucić bomby, albo coś podobnego - odpowiedział ktoś, kogo Zeb nie widział.

- A co my możemy zrobić? - dopytywała się wokalistka.

- Nic, do diabła - odparł ten sam głos.

- Owszem, możemy coś zrobić - zaprotestowała jakaś kobieta z przodu wagonu. Jej słowa brzmiały pewnie, stanowczo. I jakby znajomo dla Zeba. Wtedy rozległ się sygnał wskazujący, że system komputerowy pociągu został aktywowany i w wagonie ponownie zapadła cisza.

- Co zrobiłaś? - zdobył się ktoś na pytanie, które pewnie wszyscy chcieli zadać.

- Aktywowałam kilka fajnych funkcji pociągu. Proszę mi nie przeszkadzać.

Zeb sięgnął za siedzenie i wyjął klawiaturę. Napisał: „POKAŻ PODGLĄD DZIAŁANIA SYSTEMU OBRONY”. Ukazał się model pociągu widoczny z boku. Poniżej w niewielkim oknie dialogowym pojawił się napis: „*Włączono system absorpcji i zabezpieczenia przeciwpożarowe*”. NAPRAWA USTEREK W TOKU. ZAKOŃCZENIE ZA 10:16 MINUT. BUFET NIECZYNNY DO ZAKOŃCZENIA NAPRAW. W RAZIE NANOATAKU WŁĄCZONE ZOSTANĄ SYSTEMY OBRONNE.

Obraz cofnął się, ukazując pociąg w szerokiej perspektywie, jadący z prędkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę, o czym informował stosowny licznik. Zeb obserwował, jak szybkość wzrasta do dwustu mil na godzinę.

- Czy nie jedziemy za szybko? - rzucił głośno. - Jak się zatrzymamy w Nowym Orleanie?! Zostało nam tylko pięćdziesiąt mil, już powinniśmy hamować!

- Pasy bezpieczeństwa włączą się automatycznie - padła odpowiedź systemu komputerowego pociągu. I rzeczywiście, Zeb został przypięty do fotela. Przez pociąg przebiegł kolejny wstrząs, a z bagien po obu stronach torów wystrzeliły gejzery wody. Na suficie wagonu pojawiła się wyrwa, odłamki spadły między pasażerów. W powietrzu niósł się melodyjny świst. Zeb poczuł się, jak na roller-coasterze. Zerknął na rosnące szybko budynki i widoczny między nimi łuk mostu.

Widok na zewnątrz zlał się w jedną plamę, gdy Zebem nagle targnęło do przodu. Pasy bezpieczeństwa zatrzymały go w fotelu, a poduszka powietrzna otworzyła się, chroniąc mu głowę, a potem opadła, tracąc powietrze. Przez wyrwę w suficie dobiegł pisk i zgrzyt hamowania. Na dłoni dostrzegł krew płynącą z niewielkiego zadraśnięcia.

Na zewnątrz widać było tłumy ludzi, peron, park, pomnik.

Nowy Orlean.

I Annie. Był pewien, że kobieta, która włączyła systemy obronne pociągu, to Annie. Zdawało mu się, że słyszy, jak siostrzenica go woła, ale tłum wysiadających wypchnął Zeba do tylnych drzwi. W wagonie włączyły się spryskiwacze, mocząc pasażerów. Muzycy

przepychali się, próbując chronić instrumenty rozrzucone po kątach i wynieść je z pociągu.

*

Marie obserwowała z tarasu horror, jaki rozegrał się nieopodal, Szybkobieźny pociąg zbliżał się po starych torach, krzesząc iskry i zgrzytając podczas hamowania. Z całą pewnością jechał za szybko, by zatrzymać się w bezpiecznej odległości od tłumnie zgromadzonych w pobliżu stacji ludzi. Opływowy przód lokomotywy z nierdzewnej stali migotał, odbijając światła podjazdu do peronu. Fala ludzi cofnęła się gwałtownie, tworząc chaotyczne pulsujące kłębowisko.

Na szczęście wszyscy zdążyli zejść z torów. Masywny pociąg zatrzymał się dopiero przy sąsiednim peronie, opustoszałym niemal w ostatniej chwili. Wagony nosiły wyraźnie ślady pocisków i były pokryte błotem. Drugi z nich został całkowicie zniszczony.

Wszystko rozegrało się w niesamowitej ciszy.

Marie oczekiwała, że przez drzwi zaczną zaraz wychodzić żołnierze. Zamiast nich z trzeciego wagonu wysiadł konduktor i spuścił na trotuar żelazne schodki.

Po chwili jakiś mężczyzna ubrany w olśniewająco biały smoking i biały kapelusz zszedł na peron, dzierżąc batutę. Uśmiechnął się, pomachał ręką odzianą w białą rękawiczkę i bez wahania ruszył naprzód. Tłum cofnął się, robiąc mu przejście.

Po nim pojawiła się kobieta w białej sukni wieczorowej. Konduktor uprzejmie podał jej ramię i pomógł wysiąść. Pasażerka chwilę stała nieruchomo, potem pomachała zgromadzonym i ruszyła w ślad za mężczyzną w smokingu.

Następnie wysiedli mężczyźni w czarnych smokingach, niosący trąbki, saksofony, klarnety i puzony. W tym czasie pierwszy z wysiadających wdał się w krótką rozmowę i niedługo potem na peronie ustawiono krzesła. Muzycy zajęli miejsca.

- Panie i panowie! - mężczyzna w białym smokingu powiedział czystym, wyraźnym głosem, przyciągając uwagę tłumu. - Jestem Duke Ellington, a to mój zespół muzyczny. Mamy zaszczyt wystąpić przed państwem. Bardzo się cieszymy, że tu jesteśmy. Chcielibyśmy państwu zaprezentować utwór napisany na zamówienie Marie Laveau. Mamy nadzieję, że się jej spodoba. Sądzymy, że spodoba się także państwu. Utwór nosi tytuł: *Rapsodia Miasta Półksiężycy*.

Zabrzmiały pierwsze pojedyncze tony otwierające kompozycję, po pięciu taktach włączyły się puzony i klarnety. Efekt był niesamowity. Światła miasta przygasły, jakby ktoś je wyłączył.

A potem melodia zaczęła się rozwijać jak embrion, powstawać niczym dom. Rytm pulsował w basowym zawodzeniu saksofonów. Kornety wybuchły w synkopowym

kontrapunkcie do saksofonów, potem dźwięki spotkały się i spłotły w porywającym brzmieniu, by po chwili rozproszyć się w osobnych pasażach. Ponad tym wszystkim wzniosł się wokół kobiety - wysoki, przenikliwy.

Po wstępie rapsodia nabrała tempa. Orkiestra zaczęła swingować w mocnym, lecz dziwnym rytmie. Wydawał się nierówny, wynoszący się i opadający na przemian, niemniej wspaniały, by nie rzec, noszący znamiona genialnej aranżacji. Muzyka brzmiała, jakby w orkiestrze grał Charlie Parker, wspaniały saksofonista, albo Dizzy Gillespie, trębacz i wokalista. Szybkie riffy przywołały swobodę jazzu w stylu bebop, lecz przy tym były nowe i dziwne, niczym niektóre melodie Coltraina. Publiczność krzychała w czystym zachwycie, ludzie zaczęli tańczyć. Kita stojąc na tarasie, krzyknęła:

- To jest to! Właśnie to! Skąd znali rytm?! Stojący obok niej Hugo powiedział tylko:

- Doskonale. Absolutnie doskonale. Na koniec odezwał się Jason:

- Słyszałem to wcześniej - a potem po prostu wybiegł na zewnątrz. Chwilę później Kita ujrzała go w tłumie, tańczącego wraz z innymi w rytm jazzowej muzyki.

*

Zeb został porwany przez rozgrywającą się przed nim scenę, której nie zdołałby sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach przez wszystkie minione lata. Było tak gorąco, że obawiał się utraty przytomności. Przez chwilę mógł myśleć tylko o szklance czystej wody z wielką ilością lodu. Przesłonił oczy dłońmi, oślepiiony przez latarnie i roztrzęsiony po eksplozjach. Na peronie chyba coś się działo - zrobiono trochę wolnego miejsca i Ellington poprowadził orkiestrę. Ze wszystkich stron otaczał Zeba hałas pomieszanych głosów pełnych radości lub gniewu, zirytowanych lub przepełnionych ekstazą. Ludzie kołysali się, byli oszołomieni. Mieli na sobie błyszczące, eleganckie stroje, zbyt ciężkie jak na tak upalną pogodę. Tłum otoczył Zeba, pchnął go naprzód.

Zdał sobie sprawę, że śpiewa wraz z innymi, głosy zdawały się wznosić zgodnie z kompozycją utworu, jakby sterowane wewnętrznym przymusem. Zeb ochrypl w ekstazie, ale tańczył z tłumem na ulicach miasta.

Jednak teraz było inaczej niż przez minione lata obłądu. Umysł miał jasny, nieprawdopodobnie jasny. Osiągnął ten stan w ciągu kilku sekund, nagle i gwałtownie - i poczuł się jak w czasach młodości, zanim popadł w szaleństwo wywołane biochemicznym twistem, który jak fatum zawładnął umysłem Zeba. Doświadczył eksplozji wrażeń, raz jeszcze wróciły do niego wspomnienia przeżytych w szaleństwie lat, gdy zdarzenia przypominały potłuczone skorupy, rozbite przez impulsy elektromagnetyczne...

Rogi ogłosiły mu wolność. Orkiestra zagrała podniosły, liryczny akord, który trwał najwyżej sekundę, a potem przemienił się w pasaż rozbrzmiewający w doskonałości nowego wszechświata. Muzyka porwała Zeba niczym fala nieuchronnie zbliżająca się do brzegu.

Zatoczył się, poczuł bowiem, że znowu trafił do raju, a wtedy łzy popłynęły mu po twarzy, objął człowieka obok, a ten odpowiedział na uścisk i zapłakał razem z nim.

- Do diabła, dobrzy są - powiedział obcy mężczyzna i zaraz znikł, porwany przez tłum.

Zeb kołysał się w rytm muzyki, ale po chwili stanął pewnie i pozwolił, by przepłynęły przez niego stracone lata.

*

Pocięta Twarz i Mały, którym Marie rozkazała wyjść i świętować, około trzeciej nad ranem przeszli Bourbon Street. Wcześniej odwiedzili kilka barów, teraz też weszli do kolejnego i zajęli miejsca. Mały wyciągnął ramię i wyprostował dwa palce. Po chwili chwycili dwa zimne *ale*. W ciemnej sali orkiestra nie grała głośno, jednak wchodzący w jej skład gitarzysta, perkusista i basista powtarzali rytm rapsodii Ellingtona, rytm, który za każdym razem wydawał się inny i nowy, ponieważ był tak nieregularny.

- Czujesz to? - odezwał się Mały.

Pocięta Twarz pociągnął łyk piwa.

- Czemu pytasz?

- Bo ja czuję. Nie wiem. Inaczej jest.

- Taa... Też czuję. Jakby nic mnie nie obchodziło, co powie Marie.

- Myślisz, że my w końcu wolni?

- Kto wie? Nikt nie czuł tego przed nami, brachu - mruknął mężczyzna z blizną na twarzy.

- Jah przebaczył nam. Chwała Mu. Stuknęli się kufłami.

Hugo zdjął marynarkę, kamizelkę i sandały. Usiadł na starym, mahoniowym łóżku Marie z porysowanym wezgłowiem, skrzyżował nogi. Pomiedzy nim i Marie stała taca, a na niej butelka schłodzonej wódki, dwa kieliszki, kawior, tosty, gotowane jajka i masło. Obsłużyli się ze śmiechem. Muzyka Ellingtona brzmiała w oddali, wypełniając pokój.

- To raj! - parsknęła Marie.

- To alkohol - zaripostował Hugo. - Alkohol i kawior.

- Na jedno wychodzi - nałożyła więcej kawioru na tost, wycisnęła cytrynę. Gdy zjadła, zapytała:

- Dlaczego nie pisałeś?

- Pisałem. Wiele razy. Ale poczta międzynarodowa nie działa. Wysyłałem ci wiadomości w każdy możliwy sposób. Miałem przerwę tylko w Japonii.

- No, pewnie - westchnęła Marie.

- Serio. Byłem poważnie ranny. Chcesz zobaczyć bliznę?

Zasłoniła oczy i potrząsnęła głową z udanym przerażeniem.

- Nie, dzięki! Ale nanoprogramy uzdrawiające spisały się dobrze, prawda? Założę się, że nie masz *żadnej* blizny.

- Dochodziłem do siebie prawie miesiąc. Byłem nieprzytomny. Ale wyzdrowiałem - roześmiał się. - Coś ci powiem, Marie. Cholernie dziwne rzeczy dzieją się wokół. Myślę, że miałaś rację. Nadchodzi koniec świata.

- Opowiedz mi o Tamchu. Co on nosi na szyi?

- Zdumiewasz mnie. Nie sądziłem, że coś zauważysz w tym zamieszaniu.

- Mam jeszcze niezły wzrok. Hugo, co się stało w Paryżu? Znam tylko plotki. Co wie Kita?

- Uspokój się. Wszystko ci wyjaśnię. Jeżeli będziesz grzeczna. Wyglądasz koszmarnie. Powiesz mi, dlaczego?

- Weinstein przepisała mi jakieś silne środki, żeby utrzymać mnie na chodzie. Myślę, że dokończę kurację w Mieście Półksiężycy.

- To znaczy, że wyzdrowiejesz? - dopytywał się Hugo.

- Na pewno - odparła cicho.

- Nie okłamuj mnie, Marie.

- Nie zamierzam - pociągnęła łyk wódki. - Ten Tamchu, opowiadałeś mi o nim wcześniej. Zastanawiam się, czy może nam pomóc w uwolnieniu się od sił federacyjnych. Może on będzie wiedział, jak to zrobić?

- Jest taka możliwość. Ale Tamchu ma trochę świra na punkcie religii, nawrócił się niedawno, czy coś. Musisz go przekonać, że stoisz po stronie dobra i jasności. Przełknął moją wersję na temat naszych planów, ale kiedy cię spotkał - och! To nie fair, nie rzucaj we mnie widelcem! - Hugo strzepnął z kamizelki smażoną cebulę.

Patrzyli na siebie długą chwilę, a w pokoju rozbrzmiewały dźwięki jazzu skomponowanego przez Claude'a Bollinga.

- Tylko nie płacz - odezwał się w końcu Hugo. - Sprawisz, że też zacznę płakać i to będzie okropne.

- Nie będę patrzeć.

- Całe szczęście.

- To, co się teraz dzieje, Hugo, to wielka improwizacja. Nie mamy nut, żadnej partytury. I trochę już odbiegamy od podstawowej melodii.

- Jestem z tobą, Marie. Możesz na mnie liczyć.

- Zatem zrobmy, co trzeba.

*

Po przyjeździe przez chyba godzinę Zeb doznawał fantasmagorycznych halucynacji, podobnych do najbliższych wyobrażeń, jakie miewał wcześniej. Nie był pewien, jak długo to trwało, nie zwracał uwagi na upływ czasu. Muzyka ogarniała wszystko. W świecie, gdzie trafił Zeb, nie było ludzi, tylko fantastyczne ptaki, bestie i stworzenia, których nie umiał nawet nazwać. Dziwne istoty wiły się w tańcu, jakby nie miały kości, obracając się i wyginając, wyciągając ramiona i nogi, a ich ruchy były tak ekspresyjne, jak u tancerek hula. Mniej więcej co pół godziny przechodził przez tłum uroczysty pochód i jedna z tych parad porwała Zeba. Poprowadzono go do tratwy, gdzie wokół złotego mężczyzny z berłem wirowały planety, a jego ciało oplatał wielki biały wąż. Nie było nic do picia, oprócz piwa, wina i wódki, które płynęły nawet w fontannach, skąd można było zaczerpnąć drinka. Nagle Zeb znalazł się w przejściu ewakuacyjnym jakiegoś budynku i wspinał się na dach. Wokół nie było pusto, ludzie na schodach przeciwpożarowych rozmawiali spokojnie, w małych grupach. Nie przyłączył się do nich, po prostu położył się na plecach i patrzył w gwiazdy, dopóki nie zmorzył go sen. Jakiś czas potem, w zamglonym świetle świtu, ktoś pomógł mu się podnieść i gdzieś go zaprowadził.

Obudził się w małym, ale wysoko sklepionym pokoju o ozdobnych stiukach na ścianach i oknem wychodzącym na dziedziniec z fontanną. Leżał na wąskim, żelaznym łóżku. Obok stała szafka nocna, na niej lampa, karafka czystej wody i szklanka. Z rozdrażnieniem skonstatował, że nadal słyhać gwar karnawału, choć ostry blask z okna wskazywał, że jest już dawno po świecie. Psy leżące przy łóżku zerwały się, gdy się poruszył. Zeb mgliście pamiętał, że wyskoczyły za nim z pociągu i towarzyszyły mu radośnie przez całą noc. Pewnie zjadły za dużo, bo wyglądały na chore.

Z jednej strony Zeb chciał się ukryć, zaszyć, aż minie napór muzyki, tańca i jaskrawych barw. Ale niespodziewanie zapragnął też odważnie wyjść do ludzi i sprawdzić, jak to jest żyć w tej nowej równowadze umysłowej. Wstał, napił się wody i włożył ubranie.

Nagle zabrzmiał kobiecy, beznamiętny głos.

- Nowy Orlean znajduje się teraz w początkowej fazie nanotechnologicznej konwersji. Publiczne komunikaty będą informować na bieżąco o postępie prac i dostępnych opcjach w menu danych.

Zeb rozejrzał się, serce zabiło mu szybko. Głosy. Wcale nie wyzdrowiał! Do oczu napłynęły mu łzy. Zmusił się do uspokojenia, starając się zachować rozsądek. Ten głos brzmiał podobnie jak głos z komputera w pociągu. Wyraźnie, bezbłędnie i anonimowo.

To nie był głos w jego głowie. Wszystko w porządku.

- Skąd dobiega ten głos? - zapytał, wciągając spodnie.

- To funkcja audio systemu, który jest wprowadzany w całym mieście. Pamięć systemu powiększy się po skonfigurowaniu receptorów synaptycznych.

- Co to są receptory synaptyczne? - zadał kolejne pytanie, wkładając koszulę, ale nie zapinając guzików. Nigdzie nie mógł znaleźć butów.

- Określ poziom danych.

- Proszę o podstawowe informacje.

- Receptory synaptyczne znajdują się w każdym pomieszczeniu i na wielu ulicach Nowego Orleanu. Można je zobaczyć jako poziome, jasnobarwne linie. Otoczone są samonaprawiającymi się membranami, odpornymi na warunki zewnętrzne. Wewnątrz membran znajduje się ciekły nośnik zawierający zmodyfikowane bakterie *E. coli*, jedne z pierwszych organizmów, których kod genetyczny został dokładnie zbadany i opisany. DNA bakterii *E. coli* zostało zmodyfikowane i zaprogramowane, aby przyjmowało i przenosiło dane, do których dostęp mają wszyscy użytkownicy posiadający receptory na skórze dłoni. Polecenia i informacje kodowane są przy pomocy metaferomonów. Te z kolei przenikają przez membrany i są przepisywane na DNA *E. coli*. W ten sam sposób przez receptory dotykowe można odbierać lub wprowadzać informacje do systemu.

Zeb wstał, przeszedł przez francuskie drzwi otwarte na wybrukowany dziedziniec i przyjrzał się fontannie. Szare niebo przechodziło w czysty błękit. Po mżawkach, przechodzących od czasu do czasu w nocy, nie pozostał ślad. Na dworze stał stół przykryty białym obrusem ze srebrnym dzbankiem kawy, filiżankami i tacą ciasteczek.

- Mów dalej - poprosił. - Co to są metaferomony?

Głos podążył za nim, gdy wyszedł na zewnątrz. Psy zachrobotyły pazurami po kamiennych kostkach bruku. Zeb nalał sobie kawy. Była mocna i aromatyczna. Do dwóch filiżanek nalał też wody i podsunął je psom.

- Metaferomony zostały wynalezione w japońskiej firmie nanotechnologicznej. Mają szerokie zastosowanie na całym świecie. Kioto, gdzie mieściła się siedziba firmy, zostało zniszczone w wyniku nanoprzeskoku, a...

- Co to jest nanoprzeskoku? - przerwał Zeb, siadając na żelaznym krześle z obiciem w różowo-zielone pasy. Czytał o Kioto w „Washington Post”, ale nie pamiętał kontekstu.

- To najbardziej przerażający z aspektów nanotechnologii. Przemiana materii od pojedynczego, wyspecjalizowanego związku przebiega ze zróżnicowaną prędkością, w zależności od rodzaju cząsteczek biorących udział w procesie, który można przedstawić przy pomocy mapy. - Tuż przed Zebem pojawił się trójwymiarowy schemat przypominający kwiat, którego płatki powoli rosły. - Czy pokazać inne ujęcie?

- Nie, tak jest dobrze - odpowiedział, przegryzając trzecie ciastko. - Czy to jakaś szczególna mapa?

- To schemat obrazujący proces konwersji, jaka w tej chwili ma miejsce w Nowym Orleanie. Znajdujesz się w pobliżu punktu zero, zatem postęp konwersji w twoim otoczeniu wynosi ok. 10%.

- Zdaje się, że wspomniałaś, że to proces, którego należy się bać? - dopił kawę i wstał, by dolać sobie więcej.

- W Nowym Orleanie konwersja jest pod całkowitą kontrolą. W Kioto i w innych miastach konwersja przybrała formę nieoczekiwanego ataku, wypadku, wymknęła się spod kontroli. To właśnie był przeskok.

- A dlaczego tutaj konwersja jest pod całkowitą kontrolą?

- Zawsze zadajesz tyle pytań?

- To już ostatnie. Chciałbym zjeść coś bardziej treściwego. Gdzie jest najbliższa restauracja? - strzepnął cukier puder z palców, wstał i ruszył do zwieńczonej łukiem bramy, przy której w białych donicach rosły czerwone i żółte lilie, przesycając powietrze słodkim, kwiatowym aromatem. Zeb poczuł przyływ dobrego samopoczucia. Był szczęśliwy. Kochał Nowy Orlean. Nawet jeśli działo się tu coś wielkiego i wspaniałego, przebiegało o wiele spokojniej i bardziej przewidywalnie niż to, co roіło mu się w głowie. Gdy otwierał bramę, usłyszał kolejny kobiecy głos, przenoszony najwyraźniej przez ten sam system, który przemawiał wcześniej neutralnym, beznamiętnym tonem. Ale ten nowy głos miał charakter, brzmiał odcieniami uczuć, głęboko i stanowczo. I radośnie.

- Cześć. Jestem Marie Laveau. Wielu z was już mnie zna. Jeśli właśnie przyjechaliście do Nowego Orleanu, pragnę was powitać. Przepraszam za wszelkie niedogodności, jakie musieliście znieść, szczególnie za wojskowe incydenty, które utrudniają nam drogę do wolności. Właśnie odzyskaliśmy całkowitą kontrolę nad funkcjami systemu Biomiasta. Mam zaszczyt powitać was na Wolnym Terytorium Nowego Orleanu. Szczególnie serdecznie witam tych, którzy przybyli wczorajszego wieczoru. Aktualizacje dotyczące konwersji są już dostępne w całym mieście, tak samo, jak informacje na temat implantacji receptorów. A o zmierzchu zacznie się bal na Jackson Square. Zapraszam wszystkich! - głos zamilkł na

chwilę, a kiedy zabrzmiał ponownie, rwał się od emocji, a przynajmniej Zeb miał takie wrażenie. - A przed balem każdy, kto ma ochotę, może świętować z nami na Congo Square. Zapraszam serdecznie.

Przemowę zakończyła dziwnie radosna muzyka, w której mieszały się dźwięki klarnetów, trąbek, pałeczek i krótkie solo na fortepianie, zagrane dynamicznie i wesoło.

- Zagraj, panno Lii! - krzyknął jakiś głos w oddali.

- Co to za melodia? - zapytał Zeb, nadal stojąc pod łukiem otwartej żelaznej bramy kutej w delikatny wzór. Rozciągająca się za nią ulica była wąska, jak uliczki w Europie. Przechodzili nią ludzie o różnych kolorach skóry, każdej płci, ręka w rękę, w dziwacznych nakryciach głowy, stonowanych strojach, albo tylko w szortach i butach sportowych - zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

- To Luis Armstrong i Hot Fives. Nigdy nie grali razem poza studiem. Stworzyli nowoczesne studio nagraniowe i nagrywali tam utwory jazzowe w latach dwudziestych zeszłego wieku. - Ten głos nie należał już do Marie, teraz mówił mężczyzna, jakby Zeb uruchomił pytaniem inną ścieżkę dostępu do danych. Zeb odebrał krótki film pokazujący małe pomieszczenie wypełnione dymem i zapachem piwa, skąd dochodził akompaniament nowych form jazzu, które momentami nawiązywały do bluesa, aby potem brzmieć tylko głębokimi uderzeniami bębnów wybijających porywający, niesamowity rytm. Zeb spojrzał na ulicę, którą oświetlały ukośnie padające promienie słońca. Ruszył w kierunku głównej arterii i stamtąd, orientując się według mapy, wyświetlanej mu przez system Biomiasta, skierował się na Congo Square. Uderzenia bębnów stały się głośniejsze. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że słyszy muzykę graną na żywo. Otaczał go napierający ze wszystkich stron tłum, jakby każdy nowoorleańczyk podążał do centrum miasta. Zeb chwycił kanapkę z kramu, który właśnie mijał. Była z ostrygami. Rzucił kilka psom płaczącym się mu pod nogami i zjadł resztę.

Gdy szedł do centrum, tłumy gromadziły się wokół bębnistów. Muzycy wybijali rytmy dłońmi lub pałeczkami. Wszyscy byli czarni, zroszeni potem i ubrani jedynie w szorty.

Tancerze otoczyli jednego z grających, głowy mieli odchylone lub opuszczone, ręce i ramiona poruszały się ekspresywnie, niektórzy mówili coś cicho, inni śpiewali z zamkniętymi oczyma.

Rytm bębnów nabierał intensywności i tempa. Zeb przedarł się na środek placu, gdzie stała wysoka, rzeźbiona i malowana w jaskrawe wzory drewniana laska, zdająca się wyznaczać biegun, wokół którego wirował ogromny tłum tancerzy.

I wtedy też zaczął tańczyć, ale choć często zdarzało mu się to robić, nigdy jednak w taki sposób - czuł się, jakby wypełniła go inna obecność, przepłynął weń inny byt. Rytm bębnów pogłębiał to wrażenie. I choć wcześniej Zeb otwierał umysł, zazwyczaj prowadziło go to do wewnętrznego rozbicia i chaosu. Ale nie teraz. Stał się częścią wielkiego tłumu, częścią przestrzeni, częścią wszechświata - czystym istnieniem, które tworzy i równocześnie jest stwarzane. Poruszał się, wirując w rytmie bębnów, a ogarniająca go gorączka przekształcała się w energię, która go napędzała.

Był w ekstazie. Poza ciałem. A zaraz potem w ciele, głęboko we własnym ciele. To było fascynujące, hipnotyzujące uczucie i Zeb miał nadzieję, że nigdy nie minie. Zerwał koszulę i rzucił ją w powietrze.

- Na Congo Square tańczyli kiedyś niewolnicy - odezwał się niski, melodyjny głos tuż przy jego prawym uchu. - Uważali, że to miejsce mocy. Jednoczyli się z bogami. Przebywali w magicznej przestrzeni, na skrzyżowaniu czasu i bezczasu. Jak my, Człowieku z Gwiazd.

Odwrocił się. Sun Ra tu była! Ukochana brązowa twarz lśniła od potu, ale kobieta uśmiechała się promiennie jak nigdy wcześniej.

- Ra! - wyszeptał, a głos mu się łamał. A potem wykrzyknął:

- Sun Ra, Królowa Czasu i Przestrzeni.

Pochwyił ją w ramiona i zdał sobie sprawę, że płacze, tym płaczem, który jest dobry, bo łzy płyną z głębi duszy. To był jedyny sposób, by wyrazić głębię uczuć, jakie go przepełniały. Nie mógł przestać.

- Ra, czuję się lepiej, jestem zdrowy!

Ale tak mu się tylko zdawało, bo ostateczne uzdrowienie przyszło dopiero wtedy, gdy Sun Ra objęła go i przytuliła, a wokół nich przetoczył się potężny, mityczny taniec tworzenia.

*

W wieczór poprzedzający wielkie zwycięstwo Tamchu stał w ogrodzie pełnym wspaniałych kwiatów. Upał dnia zelżał w chłodniejszym powietrzu zmierzchu. Mężczyzna kołysał w dłoni plecionkę wykonaną przez Illian. Przykrył klatkę drugą ręką w nadziei, że może poczuje jakiś prąd czy energię, które połączą go z dziewczyną, jakby przez dzieło jej rąk mógł przeniknąć do wnętrza Illian. Miał tyle informacji - i co z tego? Jak miał je przyjąć? Pozwolił plecionce zawisnąć na łańcuszku, a potem zawiesił ją sobie na szyi. Dziwaczna ozdoba, to tylko mu pozostało. Westchnął.

Illian kochała tego Artauda, który obecnie przemienił się w Pszczołę. I przebywała po drugiej stronie świata. Nie potrzebowała już Tamchu.

Ale żyła.

Na tę myśl świat wokół pojaśniał, jakby właśnie ta dobroczynna i potężna myśl ożywiła wszystko wokół Tamchu. Przecież wcześniej stracił nadzieję, że spotka Illian. Oczywiście, nie przypuszczał, że Illian będzie czczona niemal jak bogini, co sprawiało Tybetańczykowi tylko ból.

Spojrzał czujnie w głąb ulicy, trochę obawiając się zabójcy, a trochę mając za nic ewentualne spotkanie. Nadal nie miał pojęcia, po co przyjechał do tego upalnego miasta. Kita i Hugo byli zajęci. Używali nano, które im dał. Karzeł wyjaśnił Tamchu, że za pomocą asemblera udało się przetransformować programy systemu informacyjnego Biomiasta. „To dobrze” - odpowiedział wówczas.

Po drugiej stronie globu Komendantka musztrowała swoje dziewczyny i być może knuła zemstę, planując przyszłość bez miejsca dla ludzkości - lub w ogóle bez istot choć trochę związanych emocjonalnie z ludźmi. Tamchu spotkał Marie, ale trwało to krótko. I nic nie wniosło. Nie dano mu żadnych zadań, nie miał celu ani powodu, by przebywać w Nowym Orleanie. Hugo nakłonił go, by przyjechał, ale po co? Odczuwał już niepokój, miał wrażenie, że się tu dusi. Miasto okazało się mniejsze niż się spodziewał, ponieważ wielka rzeka, która je opływała, wystąpiła z brzegów i zalała drugi brzeg. Wokół centrum postawiono zapory, a ludzie żyjący w zagrożonych powodzią dzielnicach przenieśli się na wyższe piętra zniszczonych kamienic i domów. Mieszkańcy wysokich, ukwieconych szklanych wież, identycznych jak budowle Illian w Paryżu, żyli w dziwnym technologicznym galimatiasie. Francuska Dzielnicą, obszar wokół mniej więcej dwudziestu przecznic, była wszystkim, co zostało z wolnego Nowego Orleanu.

Nie zamierzał zostać tu dłużej. Najchętniej wróciłby do Paryża i zamieszkał w pobliżu Illian, nieważne, jak kruchy będzie kontakt pomiędzy nimi. Albo mógłby spróbować dotrzeć do Tybetu. Cały świat się zmienił, może Tybet również? A jeśli nie, może Tamchu mógłby się tam przydać? Nauczyłby się znowu, jak być buddystą i jak zbawić wszystkie żywe istoty, nawet jeśli sam najbardziej potrzebował zbawienia.

Zaburczało mu w brzuchu. Na szczęście, z tym *mógł* sobie łatwo poradzić.

Skierował się na Jackson Square. Za rogiem znajdowała się duża restauracja ze stolikami na zewnątrz. Przeczytał nazwę na szyldzie i uświadomił sobie natychmiast, że był to lokal, gdzie umówili się z nim Kita, Marie i Hugo. Ale jeszcze nie przyszli. Zapewne pojawią się niedługo.

Zajął stolik przy żelaznym ogrodzeniu, skąd mógł obserwować otoczenie. Hugo mówił, że każdy, kto przechodzi przez Dzielnicę Francuską, musi minąć restaurację. Tamchu uważał, że to przesada. Zamówił kawę i jambalayę bez krewetek. Ale jambalaya zawierała

ryż, co uważał za jej największą zaletę.

Zdjął z szyi łańcuszek i raz jeszcze przyjrzał się plecionce zrobionej przez Illian. Nigdy nie miał dość patrzenia na to dzieło sztuki; oczyma i umysłem śledził metalowe linie drucików, za każdym razem odnajdując nowe sploty. To co wtedy czuł, nie dawało się wyrazić słowami. Kelnerka przyniosła kawę i jedzenie. Tamchu zawiesił plecionkę na szyi, potem napił się i sięgnął po ostro przyprawiony ryż.

Jakiś mężczyzna podszedł do stolika i Tamchu zamarł, gotów wyciągnąć nóż, by bronić swojego żalosego życia. Zaraz jednak się odprężył, śmiejąc się z własnych obaw. Komendantka nie wysłałaby do takiego zadania mężczyzny!

- Przepraszam - powiedział przybysz. - Mam na imię Zeb. Mogę się przysiąść?

Tamchu zmusił się do uprzejmości.

- Oczywiście.

Mężczyzna położył na stole postrzępiony notes i usiadł. Miał szarą brodę i włosy.

- Nie mogłem oderwać oczu od tej ozdoby, którą nosi pan na szyi.

Ozdoba!

- To dzieło sztuki stworzone przez wielką artystkę - zdusił pragnienie, by ukryć plecionkę pod koszulą.

- To... Przypomina mi coś... - wyjaśnił Zeb. - Pozwoli pan, że obejrzę dokładniej?

Tybetańczyk zmierzył go podejrzliwie.

- Po co?

- Skąd pan pochodzi? - zamiast odpowiedzi padło pytanie. Tamchu jednak nie się nie odezwał. Opuścił głowę i zaczął jeść. Może ten obcy facet po prostu sobie pójdzie.

- Pozwoli pan, że wyjaśnię, czym się zajmuję - powiedział w tym momencie Zeb otworzył notes. Obrócił go, żeby Tamchu zobaczył dwie strony wypełnione liczbami i symbolami. - Usiłuję coś obliczyć... To dzieło sztuki przypomina mi te obliczenia.

- Jak to możliwe? - zdziwił się Tamchu, czując z niezrozumiałych powodów zawiść.

Stary mężczyzna spojrział pożądlivie na plecionkę.

- Chodzi o proporcje. Jakby to dzieło sztuki było... strukturą, modelem. A może nawet... instrukcją.

Obserwując Zeba, Tamchu się uspokoił. Oczy starszego człowieka patrzyły ze spokojem, ale także z uwagą. Były przyjazne, uczciwe, otwarte. Pobrużdżona twarz zdradzała, że Zeb wiódł ciężkie życie, ale nawet jeśli wiele przeszedł, potrafił zachować spojrzenie pozbawione nienawiści lub zła... To było dla Tamchu niezwykle, nowe doświadczenie. Ujrzał duszę człowieka, u którego nigdy nie pojawiła się myśl o zemście lub

gniewie. Ujrzał to w oczach Zeba. A Zeb pozwolił mu patrzeć przez długą chwilę. I to również było niezwykle. Czasami kontakt wzrokowy budził opór, czasami stanowił pokaz siły. Ale teraz był to akt zaufania i szacunku.

Tamchu zdjął z szyi plecionkę Illian i wręczył obcemu.

A Zeb przyglądał się przez chwilę uważnie. Potem zamknął oczy i tylko wodził palcami po liniach, obracając dzieło Illian w dłoniach. W końcu jednak spojrzął i uśmiechnął się. Wydawał się wyjątkowo zadowolony i chyba trochę wzruszony.

- To jest... mapa galaktyki - powiedział wolno.

- Co masz na myśli? - Tamchu porzucił dystans.

- Galaktyka to...

- Wiem, co to jest galaktyka. To... skupisko gwiazd.

- Tym właśnie jest to dzieło sztuki, jak mi się zdaje - uśmiech Zeba był łagodny, choć niezupełnie wyrażający aprobatę. - Są tu odległości i proporcje. Lecz nie do końca zgodne z obecnym układem gwiazd. Ten jest bardziej skurczony. I trochę skrzywiony.

- To znaczy? - Tamchu nie wiedział, co myśleć. Czyżby Illian studiowała położenie gwiazd w galaktyce i stworzyła jej mapę? Cóż, nie byłoby to specjalnie zaskakujące, nie tak, jak inne rzeczy, które jej dotyczyły.

- Przypuszczam, że to mapa sprzed paru lat świetlnych - a może tylko sprzed paru minut świetlnych. Sprzed bardzo dawna. Mogę to obliczyć, ale to trochę potrwa. A jeszcze ta plecionka ma parę interesujących dodatków... - dłonie starszego mężczyzny zdrząły lekko. Do oczu napłynęły mu łzy.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Tamchu, żałując, że był nieuprzejmy wobec tak niezwykłego człowieka.

Zeb nagle zaczął się śmiać, był to przerażający śmiech, wysoki i dziki. Potem w milczeniu potrząsnął kilka razy głową, bez przerwy, jakby nie mógł przestać, ale ruch zmienił się nieoczekiwanie w potakujące kiwnięcie.

- Och, tak, tak! Czuję się doskonale! Doskonale! Nie widać? Już od dawna tak właśnie się czuję! Od bardzo dawna. To przyszło etapami. Intrygujące. Jakbym nadal dojrzewał. To jakby przechodzić jeszcze raz okres dojrzewania. Wydaje się, że jesteś już dorosły, ale wtedy pojawiają się kolejne okresy, etapy, o których wcześniej nie wiedziałeś. Być może ludzkość ma przed sobą wiele takich etapów i nowych możliwości... - wytarł twarz chusteczką. Kelnerka przyniosła szklankę mrożonej herbaty i spojrzała na Zeba z wyraźnym niepokojem.

- Dlaczego więc płakałeś? - zainteresował się Tamchu, gdy kelnerka odeszła.

- Mam wiele powodów do smutku - odpowiedział Zeb. Wycisnął cytrynę do herbaty i

pociągnął długi łyk napoju. - Ale mam też wiele powodów do radości. Czasami płaczę, bo jestem szczęśliwy. Czasem czuję zarówno wielki smutek, jak i wielką radość. Ale przeżyłem też takie chwile, gdy wszystko wydawało mi się absolutnie doskonałe. I to jest jedna z takich chwil - westchnął i uśmiechnął się zaraz, a Tamchu wyprostował się na krześle.

- Rozumiem - ten starszy mężczyzna przypominał Tybetańczykowi buddyjską mniszkę. Miał w oczach coś, co sprawiało, że świat stawał się jaśniejszy i piękniejszy, a każdy fragment otoczenia rozpalał wewnętrzny płomień. Obecność Zeba była dobra.

Tamchu pomógł temu starszemu mężczyźnie w jego długiej podróży i to wystarczyło. Nie potrzebował żadnych innych celów. Zeb obdarzył go doskonałością. I doskonałość ta przeniknęła do serca Tamchu.

*

Jason siedział w restauracji, pijąc zimne *ale* i jedząc ostrygi. Zapach smażonego oleju i rozlanego piwa mieszały się w powietrzu. Zespół na rogu ulicy wygrywał porywający rytm, spazmatyczny i zarazem wyzwalaający, a melodia docierała do wnętrza sali przez otwarte drzwi. Jason nie pamiętał, aby kiedykolwiek czuł się jak teraz. To było niczym narastająca, sterowana euforia. I coś więcej. Do głowy przychodziły mu myśli, jakich nawet nie umiałby wyrazić.

Niezależnie jednak od odczuwanej euforii Jason miał także szarpiące poczucie samotności, którego nie rozumiał.

Odsunął koszyk wypełniony skorupami muszli. Zdaje się, że miał jeszcze sporo czasu. Marie poprosiła go o spotkanie właśnie tutaj. Nie tylko jego, zresztą. Marie dała do zrozumienia, że chce oznajmić coś ważnego. Podczas obiadu. Ale Jason zgłodniał wcześniej.

Uwagę młodego inżyniera przyciągnęło coś, co działo się kilka stolików dalej. Dwóch mężczyzn oglądało dziwną plecionkę leżącą na blacie.

Jason też się jej przyglądał. W jaki sposób ta przestrzenna, ażurowa bryłka odbijała niczym echo rytm muzyki wypełniającej miasto? A jednak! I nie tylko. Tę rzecz musiał stworzyć ktoś, kto rozumiał...

Ktoś, kto równie długo czuł ten sam rytm, co Jason. Może z Abbie wszystko było dobrze.

Odsunął krzesło i wstał. Powoli podszedł bliżej do stolika, myśląc, że może się myli, że to zbyt daleko, by zobaczyć cokolwiek, że to umysł płata mu figle.

Ale nie.

- Mogę się przysiąc?

Mężczyzna wyglądający na Azjatę uniósł brwi, ale ten drugi, Amerykanin, powiedział:

- Pewnie. Przysuń sobie krzesło. Jestem Zeb, a to Tamchu. Tamchu skinął głową, a Zeb wyciągnął dłoń i wymienili uścisk.

Azjata sięgnął po plecionkę.

- Nie, czekaj - powstrzymał go Jason. Ten młody mężczyzna wydawał się znajomy. Jason przypomniał sobie, że widział go z Kitą i Hugo zeszłej nocy. - Pozwolisz, że popatrzę?

- Proszę bardzo - mruknął Tamchu.

- Co o tym myślisz? - zainteresował się Zeb, gdy Jason uważnie oglądał plecionkę srebrzystych drucików.

- Nie wiem... Czemu cię to interesuje? - zapytał.

- Bo wydaje mi się, że to rękodzieło może pokazywać współrzędne.

- Współrzędne? - Jason nie wierzył własnym uszom.

- Tak. Współrzędne źródła Sygnału.

- Co to znaczy: Sygnał?

Zeb zdawał się nie słyszeć sarkastycznego tonu w pytaniu Jasona. Mówił dalej przyjaznym głosem pełnym entuzjazmu:

- Pierwszy impuls oczyścił drogę dla przychodzących później sygnałów. Wiele z nich było poza zasięgiem odbioru przez radio lub telewizję. Te sygnały nadal przychodzą od czasu do czasu, pojawiając się w różnych wariantach. Popatrz - wyciągnął notes leżący na krześle obok i przekartkował. Otworzył na jednej ze stron. Młody inżynier zauważył przy tym, że inne karty pokrywały rzędy równań spisane drobnym, starannym charakterem pisma. Zeb podsunął notes Jasonowi. - Tutaj. Spójrz na ten kształt - wskazał na węzeł w plecionce. - A teraz popatrz na to. To jedna z prawidłowości, którą zauważyłem w pierwszym przekazie.

Jason przyjrzał się równaniom i poczuł, jak umysł zaczyna mu pracować na wyższych obrotach.

- Mogę to przejrzeć?

- Nie ma tu wszystkiego.

Jason wyczuwał rytm brzmiały na ulicy, odbijający się w myślach zapisanych w notesie tego mężczyzny o wyglądzie ascety. Czytał zapiski na kolejnych stronach. Była na nich zapisana prawda; ta prawda, od której uciekał całe życie. Prawda, której nie chciał znać. Prawda, która nie miała znaczenia. Cóż za znaczenie może mieć życie na Ziemi, piękno bycia człowiekiem, podjęcie próby zrozumienia wszystkiego, co możliwie do zrozumienia? Tworzenie nowych rzeczy. Pomaganie ludziom. Stworzenie czegoś namacalnego, zamiast oddawanie się niebezpiecznym wizjom i marzeniom. Potrafił zaledwie powierzchownie pojąć to, co odkrył Zeb i ujął w równaniach błyskotliwych niczym fajerwerki, Jasona ledwie

musnęła czysta prawda o międzygwiazdnej inteligencji i miejscu, skąd mogły pochodzić jej przekazy.

Po dziesięciu minutach powolnego przekładania stron, Jason powiedział:

- Zrozumienie tego zajęłoby mi lata... - próbował nie czuć gniewu. Nie powinno się odczuwać gniewu w obliczu czystej prawdy.

- Zapisanie tego zajęło mi lata.

- Ale skąd miałeś dane?

Zeb zerknął na Jasona uważnie.

- Nie jesteś z rządu, prawda?

- Boże, nie! - musiał się roześmiać. - Ty też nie jesteś, prawda? Starszy mężczyzna potrząsnął głową.

- Wiele z tych danych było tajnych i ja... Cóż, ktoś mi je dał. Nie wiem, co się z nim stało potem.

- Wiesz chyba, że Marie Laveau, szefowa tego całego zamieszania, planuje w przyszłości wyprawę w kosmos?

- Nie wiedziałem. Przyjechałem wczoraj w nocy.

- Myślę, że to ją zainteresuje. Marie zbudowała miasto na Morzu Karaibskim, gdzie chce rozwinąć znowu program kosmiczny. Chce stworzyć miasto nauki, gdzie nic nie ograniczy postępu i wiedzy.

- Słyszałem o tym - przyznał Zeb. - Czy ona tu przyjdzie? Miałem tu na kogoś czekać. Może mógłbym spotkać panią Laveau? - zamknął notes i oddał plecionkę. - Dziękuję - dodał jeszcze.

Tamchu założył łańcuszek.

- Skąd masz tę plecionkę? - zapytał Jason.

- Zrobiła ją przyjaciółka.

Jason nadal przyglądał się dziełu Illian, choć wiedział, że niepokoi tym Tamchu. Ktokolwiek wykonał tę ozdobę, był taki sam, jak on i Abbie. Ta część Jasona, której próbował się wyprzeć, okazała się niezwykle ważna.

Zapłonęły światła i otwarto żelazne wrota Jackson Square. Na scenie pod pomnikiem Jacksona na koniu zabrzmiały pierwsze uderzenia jazzu. Jason zauważył Marie przechodzącą przez ulicę w kierunku restauracji i pomachał do niej. Zauważyła go od razu i uniosła ramię. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna w wymiętej koszuli bez krawata i luźnej, czarnej marynarce.

Wkrótce oboje weszli do restauracji i zbliżyli się do stolika. Jasona intrygowało, kogo Marie przyprowadziła tym razem. W ciągu minionych miesięcy poznał większość jej

najbliższych współpracowników. Ten mężczyzna musiał się zjawić niedawno. Był nieogolony, a na ubraniu widniały smugi brudu.

Gdy nieznajomy podszedł bliżej, poblądł. Patrzył na... Zeba, tak miał na imię starszy człowiek. Nieznajomy patrzył na Zeba, jakby ujrzał ducha.

Zeb natomiast wcale go nie zauważał. Zajęty był równaniami w notesie.

Jason obserwował wszystko zaintrygowany. Marie, która dopiero teraz zauważyła, że jej towarzysz się zatrzymał, odwróciła się pytając:

- Craig? Wszystko w porządku?

Zeb poderwał głowę. Popatrzył na mężczyznę obok Marie. Nagle wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Marie popatrzyła na każdego z nich.

- Znacie się?

Craig podszedł do stolika.

- Zeb, to naprawdę ty?

- Craig? Ale myślałem, że...

- Żyję, przyjacielu - odezwał się przybyły łagodnie. Wyraz jego wychudzonej twarzy powiedział Jasonowi, że Craig niemal żałował, że przeżył.

Marie podeszła i stanęła pomiędzy przyjaciółmi.

- Przedstawisz pana? - zwróciła się do Craiga.

- To jest doktor Zeb Aberly. Radioastronom...

- Ach! - przerwała mu z namysłem. - Pamiętam. Opowiadałeś mi o nim. Kilka lat temu wysłałam nawet Hugo, żeby go odnalazł.

Uśmiechnęła się - znacznie mniej drapieżnie niż zwykle, jak uznał Jason. Wydawała się wyjątkowo odprężona, gdy zwróciła się do Zeba.

- Jestem Marie Laveau - wyciągnęła rękę. - Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Craig właśnie przyjechał. Ale był tu już wcześniej. Dużo mi wtedy o tobie opowiedział.

Starszy mężczyzna z wyraźnym zakłopotaniem potrząsnął dłonią Marie.

- Przepraszam, ale nie do końca rozumiem... Craig obszedł stół i podniósł krzesło Zeba.

- Usiądź.

Zeb posłusznie zajął miejsce i spojrzał na przyjaciela z rezerwą.

- Nie masz czyszczących nano w koszuli - uśmiechnął się słabo, tylko na ułamek sekundy. Craig sięgnął po notes Zeba. Opadł na krzesło obok i przejrzał kilka stron. Drugą dłonią przeczesał włosy i westchnął:

- Niesamowite.

Jego twarz wydawała się trochę chłopcęca, ale Jason miał pewność, że Craig jest rówieśnikiem Zeba, choć ten wyglądał dużo starzej.

Tak cicho, że Jason ledwie mógł usłyszeć w szumie wypełniającym restaurację, Craig zwrócił się do przyjaciela:

- Chcesz zobaczyć resztę danych?

Zeb uniósł wzrok. Ku zaskoczeniu Jasona w oczach starego mężczyzny zabłyśły łzy.

- Resztę miała Ellie. O czym, do diabła, mówisz, Craig?

Craig uciekł spojrzeniem w bok.

- Czy z tego powodu zginęła? - węzły na szyi Zeba napięły się wyraźnie. - *Odpowiedz, do cholery!*

Craig milczał.

Jason nie miał pojęcia, kim jest Ellie, ale najwyraźniej w sercu radioastronoma coś pękło. Jego twarz stała się bez wyrazu, oklapła.

W końcu Craig się odezwał.

- Tak mi przykro, Zeb... Przepraszam... Za wszystko. Zrobiłem, co mogłem. Musiałem się ukryć. Myślałem, że wiesz, dlaczego. Pamiętasz to spotkanie w autobusie? Ludzie z mojej siatki zostali rozbici... z powodu obcych... - Jason poczuł, że płoną mu policzki. Spojrzał na Zeba, potem na Craiga.

- Co...? - zaczął, ale natychmiast ugryzł się w język. Nie zwrócili na niego uwagi.

Craig mówił dalej:

- Najwyraźniej ich obsesja wywołana została prototypami nano, z których później powstały te używane w Wojnie Informacyjnej. Jakiś łachmyta robiący badania dla rządu uznał, że nie traktujemy dość poważnie kwestii obcych i zakazał wielu ludzi czymś, co nosiło kryptonim „X”. To się stało podczas przyjęcia noworocznego. Potem ta zaprogramowana zgraja wmieszała się w środowisko agentów wywiadu na całym świecie i w niedługim czasie wieść o tym, że obce dane są śmiertelnie niebezpieczne obiegła glob.

Zeb potrząsnął głową.

- A zatem obca inteligencja to bujda.

A zatem obca inteligencja to bujda. Jason patrzył na dwóch mężczyzn i chciał im wierzyć. Wszystko - plecionka wraz z tym, co zawierała, długa ucieczka przed pogonią podjęta przez jego rodziców, teorie spiskowe Abbie, które mówiły, że wielu ludzi takich, jak ona i Jason, stało się ofiarami rządu - było tylko oszustwem. Silne poczucie ulgi i rozczarowania ogarnęło młodym inżynierem. Jego świat nagle okazał się normalny.

- Nie - zaprzeczył Craig z emfazą. - To nie absurd. Nie całkiem. Ale według rządu - wszystkich rządów - tym właśnie miał być.

I wtedy serce Jasona zaczęło trzepotać tak szybko jak serce kolibra.

Marie była równie zaintrygowana rozmową jak młody inżynier. Spojrzała teraz w jego kierunku, jakby oczekiwała, że się odezwie.

Nagle pojawili się Kita i Hugo. Chcieli się przywitać, ale Marie uciszyła ich krótkim gestem. Usiedli więc w milczeniu, a Hugo pochylił się i wyszeptał coś do ucha Kity.

Marie chrząknęła.

- Zeb, Craig mówił mi, że pracujesz nad Teorią Wszystkiego. Nad jednolitą teorią pola. Pewnie masz jakiś pomysł, czym może być Cisza i co znaczą odbierane przez nas przekazy?

Jason nie mógł się powstrzymać dłużej. Kim byli ci ludzie, którzy wiedzieli tak dużo o wszystkim, co miało wpływ na jego młodość i rodzinę?

- I co z... z obcą inteligencją? - wtrącił niecierpliwie.

Craig wydawał się zaskoczony. Spojrzał na przyjaciela, ale twarz Zeba pozostała nieprzenikniona i beznamiętna.

- Mam tylko domysły na temat tego, co się stało. Przypuszczano, że na całym świecie powstały zarodki - zapewne nie więcej niż kilka tysięcy - których DNA zmutowało pod wpływem pierwszego odebranego Sygnału, który został nadany po pierwszej Ciszy. Jediną prawidłowością, jaką udało się stwierdzić, to że matki dzieci były nosicielkami jakiegoś wirusa. Wirus ten atakował wyłącznie płód, umożliwiając mutację DNA u dziecka. Matki nadal są nosicielkami wirusa. Jedyne symptomy zakażenia, jakie wystąpił u niektórych z nich, to lekkie przeziębienie. Wirus nie jest zaraźliwy.

Jason poczuł wzrok Marie. Wiedziała.

Wiedziała wszystko, od początku. Od chwili, gdy Jason pojawił się w Nowym Orleanie.

- Ale dlaczego? - zapytała Marie. - Czy ten wirus był naturalny?

- Mógł zostać przysłany na Ziemię - odparł Craig. - Ale tak naprawdę nie wiemy.

- Jakie byty skutki mutacji u dzieci? - wtrąciła Kita, jej ciemne oczy spoglądały z uwagą, a głos brzmiał rozkazującym tonem nieznoszącym sprzeciwu. Rzuciła zapalniczkę, którą właśnie odpaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko dymem.

Pod stołem Jason ścisnął splecione dłonie, aby powstrzymać się przed chęcią doskoczenia i uderzenia Craiga. I zaciskał zęby - mocno - by nie wykrzyknąć wściekłości i smutku, jakie czuł na wspomnienie, co zrobiono jego rodzinie.

Craig zerknął na Kitę.

- To... To utajniono praktycznie już na początku. Dziwne, ale naprawdę nie wiadomo, jakie znaczenie mogły mieć mutacje. Jedyne skutki to znacznie wyższe u zmutowanych dzieci stężenie magnetytu w magnetoreceptorach. To takie komórki zmysłowe, które przepłatają się z komórkami odbierającymi feromony i zapachy. Komórki te są bardzo wrażliwe na zjawiska elektromagnetyczne. Kiedy dzieci ze zmutowanym DNA były małe, musiały bardzo chorować podczas okresów nadawania.

- To tak jak Illian! - wykrzyknął Tamchu.

Zerwał się, jego miedziana twarz pobladła. Dalej jednak mówił niskim, podnieconym tonem, w którym brzmiały nuty wzruszenia.

- Ona... Ona była chora zawsze wtedy, gdy działało radio. Ona to zrobiła - podniósł w górę plecionkę. - Ale o czym ty mówisz? - zwrócił się z pretensją do Craiga. - Chcesz mi wmówić, że Illian przybyła z kosmosu?

Kita wyprostowała się, zakładając lśniące, długie włosy za ucho. Jej spojrzenie, surowe jak u nauczycielki, przesunęło się po wszystkich zgromadzonych przy stole.

- Nigdy o tym nie słyszałam. To znaczy, słyszałam o anomaliach DNA, ale...

Zeb przerwał jej, a jego głos ochrypli i niski, przykuł uwagę wszystkich. Wydawało się, że dopiero teraz zainteresowała go prowadzona rozmowa.

- To zrobiła Illian? Muszę wiedzieć. Znaczący, ona *musi* wiedzieć. Zrobiła mapę. Ale jak? I po co?

- Może - Kita zapaliła kolejnego papierosa, choć przed chwilą skończyła poprzedniego. Ręce drżały jej trochę, gdy sięgnęła do paczki. - Może... było coś w nadanym przekazie, co sprawiło, że jej mózg pracował w określony sposób. Jak trening. Nawet nie wiecie, ile pracy wymagało u mnie wyszkolenie podobnego podejścia. Zatem, jak powiedział Craig, te dzieci są bardzo wrażliwe na pole elektromagnetyczne, co jest możliwe... Wiecie, że już dawno udowodniono, iż kręgowce, jak ryby, żółwie, walenie i myszy, a także owady, tworzą w mózgu mapę magnetyczną, która pomaga im w orientacji podczas długich wędrówek. Tak więc - kontynuowała - to możliwe... Illian naprawdę może wyczuwać zjawiska magnetyczne o wiele lepiej niż zwykli ludzie, ponieważ posiada zmutowany kod genetyczny. Mam podstawy przypuszczać, że Illian celowo ujęła to, co zna z własnego doświadczenia, w formę mapy kosmosu. Illian to artystka. Pracowałam z nią i rozmawiałam, gdy byłam w Paryżu. Ale nic, moim zdaniem, nie wskazuje, że Illian działała świadomie.

Marie siedziała nieco z tyłu, z założonymi rękami i spojrzeniem pełnym satysfakcji. Zebrała tych ludzi w jednym miejscu umyślnie. Tylko pojawienie się Zeba było szczęśliwym

zbiegiem okoliczności. Wisienka na torcie. Jego obecność nie była konieczna. Ale ten facet, Craig, Kita i na dodatek Zeb... Marie, z natury wtykająca nos we wszystko i lubiąca wszystko wiedzieć, ułożyła te ludzkie puzzle. I teraz tylko czekała, co z tego, u licha, wyniknie...

Wtedy Jason nie wytrzymał.

- Illian nie mogła *działać świadomie!*

Wykrzyknął wbrew sobie, wbrew latom spędzonym na ukrywaniu się, wbrew temu, czego go uczono - by siedzieć cicho, trzymać wszystko w tajemnicy. Zerwał się, rozlewając drinki, gdy chwycił krawędzie stołu dłońmi tak mocno, że niemal porysował blat.

Wszyscy teraz patrzyli na młodego mężczyznę. Dla Jasona czas się zatrzymał. Trio jazzowe skończyło grać i jego miejsce zajął zespół reggae, którego utwór zawtórował rozmowom w restauracji. Jason poczuł zapach magnolii i przez chwilę zastanawiał się nieprzytomnie, czy już zakwitły kwiaty, czy to po prostu perfumy...

- To znaczy...

- Jason chce powiedzieć, że on też nie działa świadomie, jeżeli chodzi o zjawiska elektromagnetyczne - powiedziała Marie, a jej twarz jaśniała w wyrazie, którego młody inżynier nie potrafił rozpoznać.

- Właśnie - potwierdził, wycierając czoło serwetką wziętą ze stołu. - *I jestem jednym z tych pieprzonych mutantów*, które tropili goście tacy, jak ty! - teraz krzyczał już wprost do Craiga. - Zabijeś mi ojca! Doprowadziłeś moją matkę do szaleństwa! Nienawidzę tego gówna!

Craig wstał, a jego pobrużdżona twarz zdradzała przygnębienie. Wyciągnął rękę do Jasona.

- To *nie ja*. Naprawdę. Próbowałem... Jason zignorował gest.

- Nie obchodzi mnie to! - przepchnął się między ciasno ustawionymi krzesłami w kierunku ulicy. Nie zatrzymał się.

- Dokąd? - Marie wstała czujnie.

- Przed siebie.

Kobieta obeszła stół i ujęła go za ramiona, lekko, ale stanowczo. Jason nigdy nie był tak blisko niej. Jej twarz i oczy były dziwnie hipnotyczne i pełne siły, której nie sposób się oprzeć. Teraz rozumiał, dlaczego tak łatwo umiała sobie owinać każdego wokół palca.

- Jason, *proszę*, nie odchodź. Jeżeli zostaniesz, pomożesz nam zrozumieć, co się stało. Nie widzisz? Tym właśnie ma się stać Miasto Półksiężycy, na tym ma się oprzeć. Na nauce. Na zrozumieniu. Na próbie przełamania trudności i barier. Dlatego potrzebni są ludzie podobni do ciebie. A przede wszystkim, potrzebny jesteś ty, Jason. Liczę na ciebie. Proszę.

Jason wysunął się z jej uścisku. Przesunął spojrzeniem po dziwnej zbieraninie ludzi przy stole. Tamchu, który znał kogoś podobnego do Jasona i Abbie, zdawał się pochodzić z zupełnie innego środowiska niż pozostali. Kita, która niemal samodzielnie wymyśliła i stworzyła straszne i cudowne Biomiasta, stające się schronieniem przed rodzącą się na świecie falą barbarzyństwa i ignorancji. Craig, ktoś, z kim Jason nawet nie chciał rozmawiać. Zeb, geniusz i dziwak, badający źródło cudownej muzyki sygnału, którą Jason słyszał przez całe życie. Hugo, o którym Marie mówiła, że jest jej Billy'm Strayhornem, najbliższym współpracownikiem i wspólnikiem. I wreszcie Marie, która poruszyła niebo i Ziemię, by zbudować bezpieczną twierdzę, nazwaną Miastem Półksiężyca.

Powinien pozwolić, by Marie to załatwiła. W pewien sposób już to zrobiła. Każdy, kto znalazł się przy tym stole, wiedział teraz dużo więcej niż przed dziesięcioma minutami.

Również Jason.

- Naprawdę... Nie mam więcej nic do powiedzenia - gardło miał wyschnięte od krzyku. Napił się wody z czyjejś szklanki i gestem wskazał na plecionkę Tamchu. - Nie znam niczego podobnego. Jestem zwykłym człowiekiem. To, co się liczy... To sprawić, by *ten* świat stał się lepszy. Nie kierować się ku światłu, jak to zrobiła moja matka. - Wytarł oczy nagle pełne łez i mówił dalej silniejszym głosem: - Nie latać w kosmos, jak planuje kobieta, którą kocham... Tutaj każdy może uzyskać pomoc. Ale w pozostałych częściach świata jest inaczej. Chcę pomagać *reszcie* świata. W Mieście Półksiężyca są setki inżynierów lepszych ode mnie - rzucił pod adresem Marie.

- Ale...

Nigdy jeszcze nie widział, by ta kobieta była zdesperowana, nawet gdy miasto zostało zaatakowane.

Na jedną chwilę się zawahał. Potrząsnął głową.

- Nie byłbym tam użyteczny, Marie. Nie chcę być badany. Nie chcę być pomocą naukową. Nie chcę poznać, co we mnie siedzi, cokolwiek to jest. Byłem prześladowany całe życie i teraz chcę się od tego uwolnić. Chcę się rozwijać. Chcę stać się częścią świata, od którego zawsze byłem odseparowany. Nie chcę żyć na wyspie. *Zawsze żyłem* na wyspie. Rozumiecie?

- Ja rozumiem - odezwał się Tamchu.

Jason był całkowicie zaskoczony. Znieruchomiał na chwilę, zastanawiając się, co powinien zrobić. A potem odpiął kieszeń przy koszuli i wyjął laserową kulkę. Pochylił się obok Kity i Hugo, i podał ją Zebowi.

- Co to? - zapytał radioastronom.

- Tu są nagrane informacje z Centrum Kosmicznego w Houston. Myślę, że ci się przydadzą.

- Na pewno - Zeb zerknął przelotnie na nośnik. - Ale...

- Miło mi było was poznać - powiedział Jason i wyszedł z restauracji.

Usłyszał jeszcze, że Marie woła za nim, ale się nie odwrócił. Dwie kobiety, które chciały wejść, niemal go przewróciły. Jedna z nich zwróciła się do towarzyszki:

- Annie, patrz! To Zeb, tak, jak się umówiliśmy. Na pewno się ucieszy, gdy cię zobaczy!

Zapadał zmrok. Jason minął cztery przecznice, próbując się odciąć od muzyki, rytmu, euforii ogarniającej jego ciało i sprawiającej, że uwierzy, iż najważniejszą sprawą na świecie jest opuścić Ziemię i spędzić resztę życia na usiłowaniu zrozumienia, dokąd lecieć i jak.

Minął wieżę otaczającą Francuską Dzielnicę przy Canal Street. Zapory przeciwpowodziowe wzniesiono ponad rok temu, dzięki czemu ulice były suche, ale Jason wiedział, że wystarczy mocniejsza ulewa, by poziom rzeki się podniósł i woda przelała przez zabezpieczenia. Drapacze chmur stanowiły wyższą barykadę. Były to budynki z Kwiatami. To tutaj gromadzone były informacje, które ciągami receptorów synaptycznych biegly przez miasto. Kwiaty rosły na wielu budynkach.

Wjechał windą na szóste piętro. Otworzył drzwi laboratorium Projektu „Genom” i wszedł.

Jak się spodziewał, pracowało tu kilku laborantów. Prawie każdy w Nowym Orleanie był dyspozycyjny przez całą dobę. Ci tutaj zapewne ignorowali kryzys, żołnierzy i Karnawał. Traktowali poważnie tylko własną pracę.

Młody mężczyzna przy biurku zapytał:

- W czym mogę pomóc?

- Chcę, żeby do badań został włączony mój kod genetyczny.

Mężczyzna rozpromienił się.

- Wspaniale! Przygotuję zaraz formularz - przez minutę pochylał się nad konsolą, aż w końcu unosząc głowę, poprosił Jasona, by usiadł - Proszę. Imię, nazwisko, data urodzenia, i tak dalej. A teraz wystarczy tylko przyłożyć tu palec.

Jason przycisnął palec we wskazane miejsce i poczuł lekkie ukłucie antyseptycznej igły. W rubryce „imię i nazwisko” wpisał: JASON PEABODY, potem wypełnił pozostałe pola.

Gdy skończył i wstał, nad konsolą rozbłysło światło. Mężczyzna obsługujący panel pochylał się szybko. Spojrzał na Jasona.

- Może pan tu poczekać? To bardzo ważne - i pognał gdzieś w pośpiechu.

Jason wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zjechał na dół i wyszedł drzwiami ewakuacyjnymi po zachodniej stronie budynku.

Przechodził przez ulicę, gdy rozległ się alarm i drzwi za jego plecami automatycznie się zablokowały. Znowu był ścigany.

Pustą ulicę oświetlał Księżyc. Jason przemierzył kilka przecznic, obserwując migające światła alarmowe i żołnierzy, a potem skierował się na północ. Przeszedł przez most. Woda prawie go zalała. Nadal kierował się na północ, aż minął zalane tereny, szukając przejścia na drugą stronę rozlewiska. To było przyjemne, znacznie przyjemniejsze niż za dnia. Niektóre dzielnice uniknęły zalania. Po przejściu mili lub dwóch Jason znalazł się na niewielkim pagórku, skąd widać było rząd opuszczonych domów. Ten widok budził dziwną nostalgię, przypominał czasy, gdy Jason wędrował po kraju.

Przy jednym z ganków stał rower.

- Jest tu ktoś? - krzyknął, zaglądając do środka. Oczywiście, nie było odpowiedzi, mieszkańcy dawno odeszli.

Wskoczył na rower i z zadowoleniem spoglądał na wskaźnik akumulatora, który się rozświecił, gdy zaczął pedałowac.

Odjazd

Tamchu był szczęśliwy, że wrócił do pracy.

Ciemność bezksiężycowej nocy wypełniał łoskot rzeki. Głośny szum tłumiał plusk wioseł. Młody mężczyzna cieszył się z doświadczenia, które pozwoliło mu podpłynąć niezauważenie do okrętu wojennego. Poradził sobie z dwoma wartownikami, próbującymi go powstrzymać i podkraść się do szybu wentylacyjnego. Tam rozpylił mieszankę metaferomonów przygotowaną przez Kitę. W ciągu kwadransa specyfik powinien przedostać się do wszystkich pomieszczeń, gdzie spali żołnierze. Potem Tamchu zaplanował dostać się do sterówki, gdzie, zgodnie z planem, rozpyli metaferomony wśród wachtowych. Ludzie z załogi okrętu pochodzili z różnych ras, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Leżeli lub siedzieli w dość swobodnych pozach. Wkrótce obudzą się szczęśliwi, że mogą służyć Marie Laveau. Gestem dał znak partnerom, że mogą zacząć instalować program instruktażowy. Grupa zajęła się montowaniem wirtualnego panelu w końcu pomieszczenia. Tamchu pozostał na warcie, licząc sekundy. Aktywował mikrofon podłączony do audiosystemu okrętu, dokładnie o czasie, i zaczął mówić.

- Witam. Jestem waszym nowym kapitanem. Będziecie mnie słuchać. Jeżeli ktokolwiek spróbuje mnie zdradzić lub okaże nieposłuszeństwo, zabijcie go. Będziecie zadowoleni, służąc pod moimi rozkazami. Zbiórka na pokładzie.

Marie powiedziała, że chce, aby Tamchu pojechał do Singapuru. To mu pasowało. Był nawet podekscytowany podróżą, a ona miała wobec niego jakieś plany. Chodziło o zastosowanie nanotechnologii w lotach kosmicznych oraz ustabilizowaniu łączności radiowej. Niemal oszalała z wdzięczności za dane, jakie przywiózł od Illian. Marie wyobrażała sobie galaktykę w perspektywie *voudoun*, gdzie każdy żyłby w miejscu, które nazywała rozstajem. Był to jakiś rodzaj skrzyżowania, o ile dobrze zrozumiał. Tamchu widział wszechświat przez pryzmat buddyzmu. Być może jego wizja wcale nie różniła się tak bardzo od wyobrażeń Marie. Jednak ona była żywa. Wiedział, bo przejawy życia płonęły dla niego jasnym światłem. Choć nie zdawała sobie sprawy, miała jednak na twarzy wypisaną historię straszliwych przeżyć i porażek. Cóż, porażki są rzeczą ludzką. Im większe plany, tym łatwiejsza porażka. A plany Marie były planami życia, nie śmierci. Dlatego Tamchu cieszył się, że Hugo go odnalazł i namówił na przyjazd do Nowego Orleanu.

Zerknął przez okno na gromadzących się na pokładzie żołnierzy. Sięgnął do kieszeni po listę komend, których musi nauczyć wojsko, a potem uruchomił mikrofon.

*

Trzydzieści sześć godzin później Marie obserwowała, jak USS *Columbia* odpływa z Nowego Orleanu, unosząc na pokładzie komplet pasażerów do Miasta Półksiężycy. Dowcipnisie nawet teraz rozbijali jeszcze o relingi butelki po szampanie. Zresztą, butelki leżały wszędzie na pokładzie okrętu - jednostki bardzo starej i prymitywnej. Marie nie spodziewała się takiego okrętu w epoce nowoczesnych technologii i na dodatek należącego do armii. Oznaczało to, że FM i Gwardia Narodowa starają się pozorować siłę, której nie miały, nie dysponując nowoczesnymi rozwiązaniami technicznymi. Zapewne większość została utracona podczas ataku na Waszyngton.

Nadal jednak miasto było zagrożone i Marie nie powinna o tym zapominać.

W przeciągu dwóch tygodni okręt wojenny zrobił cztery kursy do Miasta Półksiężycy. Krażownik *Szczęściarz* przygotowywał się do piątej i ostatniej podróży w ten jasny, słoneczny ranek, który w sercu Marie budził strach.

Wraz z Hugo zjadła śniadanie na tarasie.

- Hugo, pamiętasz ten ranek, gdy uderzył huragan Aleksandra?

Przyjaciel odłożył bułkę z makiem.

- Och...

- Nie mówię, że to oznacza nadejście huraganu w ciągu trzydziestu paru godzin, ale barometr spada...

- Słyszałem, że na północy uruchomiono coś w rodzaju sieci informacyjno-handlowej. Zamierzają to nazwać Siecią Rolną. Może powinniśmy coś podobnego wprowadzić na Morzu Karaibskim. Choćby po to, by wymieniać informacje na temat pogody. - Hugo milczał przez parę minut, zanim odezwał się ponownie: - Marie, płyn ze mną. Proszę... - skończył bułkę i wytarł dłonie w serwetkę. Dopił resztkę kawy. - Nie ma powodu, żebyś tu tkwiła. Nawet przez parę dni...

- Myślałam o tym - poczuła ukłucie bólu na myśl o porzuceniu swojego gabinetu i centrum dowodzenia. Te przestronne pomieszczenia i otaczający je taras były tak wygodne. Mogła trzymać rękę na pulsie. Na dachu rosły orchidee. A przynajmniej Kwiaty wyglądające jak orchidee. Powietrze było zawsze nieprawdopodobnie orzeźwiająca i czyste.

- Co to za dźwięk? - wstała i podeszła do balustrady. - Tam! Do przystani zbliżała się zniszczona tratwa, najwyżej dwudziestostopowa. Na środku pokładu wznosił się spiczasty, poplamiony błotem namiot, który wyglądał, jak zrobiony z białej niegdyś tkaniny. Wokół

stało może z pół tuzina ludzi, przestępując z podnieceniem z nogi na nogę i krzycząc coś niezrozumiale.

- Kolejne ofiary Plagi Nowoorleańskiej. Świetnie. Zabierzesz ich do Miasta Półksiężycy. Mam nadzieję, że plan pomocy zakażonym będzie działał równie sprawnie, gdy stąd odpłyniemy.

Odpowiedź Hugo była do przewidzenia.

- Marie, nie jesteś odpowiedzialna za tych ludzi - powtarzał to kilka razy dziennie.

- Gówny prawda - odparła stanowczo.

- Nie stworzyłaś Plagi Nowoorleańskiej.

- Wywołałam ją, mniej lub bardziej...

Hugo stanął przy balustradzie obok Marie i wskazał na rzekę.

- *Columbia* wyszła z portu. Dokładnie o czasie. Ale niebo zrobiło się prawie zielone.

Przyjrzyj się. Tam, na horyzoncie.

- Wydaje ci się.

- Wcale nie. Ilu ludzi odpłynęło?

- Och, niewielu - w śmiechu zabrzmiało wyraźne napięcie i znużenie. - Ledwie udało się zebrać komplet pasażerów. Popatrz, ratują załogę tratwy. Dobrze.

- Szkoda, że nie da się ich wyleczyć - zauważył Hugo.

- Cóż - westchnęła Marie. - Znajdziemy lekarstwo. Niedługo. A do tego czasu mogą sobie wyobrazać, że są na tratwie z Huckiem Finnem i płyną do serca Ameryki.

- I jak Finn nie wiedzą, co ich tam czeka.

Marie nigdy nie widziała Hugo tak wściekłego. Zawsze nad sobą panował. Ale teraz krzyczał przez megafon z mostka *Szczęściarza*:

- Wchodź na pokład, Marie! Natychmiast!

Wiatr był silniejszy. Bez wątplenia, coraz silniejszy. W ciągu ośmiu godzin niebo zakryły chmury i teraz ciężkie krople deszczu uderzały o przystań. Cienka suknia Marie łopotąła na wietrze.

- Pocięta Twarz, Mały i ja przyplniemy jachtem! - odkrzyknęła, choć wiedziała, że Hugo nie może jej usłyszeć. Znał plan. Po prostu się na niego nie zgadzał. - Sztorm minie za dzień lub dwa!

Wiatr porwał słomkowy kapeluszek Marie i potoczył go wzdłuż pomostu, a potem rzucił do rzeki.

Hugo odpływał. Kita już wcześniej zamieszkała w Mieście Półksiężycy. Była w ciąży. Choć paliła niezbyt długo, zdążyła się uzależnić, ale gdy tylko się dowiedziała o dziecku,

natychmiast rzuciła papierosy. Marie była równie podekscytowana nowiną jak Hugo. Zaczęła nawet przezywać przyjaciela tatuśkiem. Strasznie to irytowało niskiego mężczyznę. Na pokładzie *Szczęściarza* był również Craig, Zeb, nieoceniona nanospecjalistka Annie, Sun Ra...

Wszyscy - pomyślała Marie trochę smutno - oprócz Jasona.

Kita zabrała ze sobą Uniwersalny Asembler. Miała nadzieję na stworzenie w mieście warunków, gdzie można bezpiecznie badać możliwości tego zdumiewającego wynalazku. Jak powiedziała, była zaskoczona, że wszystko poszło dobrze, gdy użyła go po raz pierwszy. Nadal uważała, że mieli wtedy więcej szczęścia niż rozumu.

Marie pomachała po raz ostatni okrętowi, który ociężale oddalał się od przystani. Nieważne, jak niebezpieczna była ta burza, okręt może płynąć, dopóki woda jest dość głęboka. Nawet osiągnie niezłą prędkość. Marie była przekonana, że statek dopłynie do miasta, zanim sztorm przybierze na sile.

Odwróciła się i zeszła z nabrzeża, nie mogąc dłużej słuchać wezwań Hugo. Ruszyła przez opustoszały Jackson Square. Ptaki uciekając przed pogodą, latały bezładnie. Sykomory straciły suche liście i poruszały nagimi gałęziami, palmy uginały się pod naporem wiatru. Z restauracji, skąd dobiegała głośna muzyka reggae, wynurzył się Pocięta Twarz.

- Cześć, Robert.

Uśmiechnął się szeroko i zasalutował.

- Diabelnie dobra robota, Marie. Odplyniem, gdy burza minie?

- Żałuję, że nie popłynąłeś na okręcie.

- Wiesz, nie tak postanowiłem. No, to tera siadaj i wyluzuj.

- Ta dzielnica jest bardzo nisko położona.

- Zara pójdzim do Wieży Magnolii, nie?

- Taak. I jeżeli się tam nie zjawisz w ciągu dwóch godzin, to przyjdę i osobiście nafaszeruję cię jakimś nanonarkotykiem, żebyś znowu był posłuszny.

Nad ich głowami przeleciała Pszczoła. Marie Pszczoły kojarzyły się nieodmiennie z latającą w powietrzu kobietą z „Czarnoksiężnika z Oz”. To takie absurdalne. Ale to wszystko stało się prawdziwe - teraz.

Miała jeszcze czas, by zajrzeć do mieszkania. Delektowała się każdym krokiem. Chodziła tą ulicą do szkoły, gdy była dzieckiem. Wychodziła na lody z matką lub Babką - trzy pokolenia kobiet na wieczornym spacerze, gdy gorące słońce majestatycznie znikowało w wodach Missisipi. Choć w Mieście Półksiężycy odtworzono każdy detal tego zakątka, to jednak miejsce to nie spoczywało na świętej ziemi. Dla Marie miało to znaczenie. Ale inni dostrzegą tylko akt nieprawdopodobnej kreacji. To ją nie obchodziło.

Na Cmentarzu St. Luis spoczywała prawdziwa Marie Laveau, jej imienniczka. Marie uśmiechnęła się. Bez wątpienia jej życie było burzliwe i niespokojne, jak to zwykle ma miejsce u tych, którzy żyją na krawędzi. Kultura afrykańska, jej tożsamość, zanikała w pamięci pokoleń, ale Marie walczyła, aby zachować to dziedzictwo przodków, przywrócić mu szacunek i majestat. Luis Armstrong został przyłapany z bronią w fatalną sylwestrową noc i skazany na poprawczak, gdzie surowy nauczyciel karał go, by nauczyć, jaka jest różnica między profesjonalistami i amatorami. W poprawczaku Luis Armstrong również po raz pierwszy dostawał regularne posiłki i codziennie mógł się najeść. W tym mieście niezliczone rodziny krawców i projektantów pracowały nad strojami i przebraniami karnawałowymi. Niewolnicze statki z Afryki przybijały do tutejszego nabrzeża, a powiązani łańcuchami ludzie, którzy przeżyli rejs, byli sprzedawani jak bydło. To również było dziedzictwo Nowego Orleanu. Wszystko jedno, niech utonie nawet z całym Południem. Ale jednak to bolało i Marie miała przeczucie, że coś należy ocalić. Tę siłę, którą miała we krwi i którą czuła w kamieniach pod stopami.

Jej córka, Kalina Marie Laveau, mieszkała w Mieście Półksiężycy i po okresie nastoletnich buntów była gotowa przejąć stery, jeśli zajdzie potrzeba. Marie pokładała ogromną wiarę w siłę płynącego miasta, siłę ludzkiej wiedzy. Ale nawet jeżeli nie wszystko się uda tak, jak założyła, może być spokojna. Zrobiła wszystko, co mogła.

Marie podeszła do bramy domu, w którym się urodziła, otworzyła bramę i weszła do środka.

Te grube ściany zniosły wiele huraganów i burz. Przesunęła dłonią po chłodnym tynku. Zdawało się, że wyczuwa pod palcami wygrawerowane serce. Uśmiechnęła się. Zapewne jako dziecko rysowała po murze, a to jakaś pozostałość z tamtych czasów, za które nieźle się jej oberwało od Babki.

Nie poszła do pokoju, gdzie stały antyki, większość z nich była odtworzona w płynącym mieście. Teraz każdy, kto chciał, mógł mieć prawdziwe krzesła Królowej Anny, z autentycznymi obiciami z dawnych czasów. W czym problem? Pewnie w przeniesieniu znaczeń z rzadkości na dostępną powszechnie formę. Niesamowite, jak nanotechnologia zmieniła oblicze świata. A przecież to dopiero początek.

Marie wspięła się na najwyższe piętro. Jej biuro, jej twierdza. Nie była tu od dawna. Otworzyła okna, by wpuścić świeże powietrze. Wiatr zatrzaskał je ponownie.

Usiadła na krześle, na tym samym, na którym siedziała, gdy wszystko się zaczęło. Kiedy przeminął stary świat i nadszedł nowy.

Nie włączyła holograficznego filmu z Malutką Marie, nawet gdyby to było możliwe. Nie skopiowała żadnego zdjęcia córki dla Miasta Półksiężycy. Miała je wyryte w pamięci i była jedyną osobą, której na nich zależało. Malutka Marie będzie wiecznie tańczyć w jej sercu. Wesoła i krnąbrna. To wszystko, co po niej pozostało.

- Obu nam przerwano w tym samym momencie - westchnęła Marie cicho - i od tej chwili śmierć powiodła nas różnymi drogami do doskonałości, do ukończenia dzieła.

Siedziała tak, długo rozmyślając.

Okiennica trzasnęła, przywracając ją do rzeczywistości.

Wyszła na balkon. Wiatr nie tańczył już wśród gałęzi drzew, lecz utrzymywał je niemal poziomo nad ulicą. Marie oceniła, że podmuchy mają prędkość około czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu mil na godzinę.

Spojrzała na ulicę, gdzie niegdyś Mały i Pocięta Twarz zonglowali bronią, z której ją zabili. Czy nadal była w tym samym wszechświecie, co wtedy? Czy może to wszystko było jakimś pośmiertnym snem?

Zacisnęła dłonie na balustradzie i już wiedziała, że to rzeczywistość.

I wtedy wstrząsnął nią wybuch.

Głęboki, niski i głośny dźwięk. Efekt naprawdę dużego wybuchu.

Dynamit.

Jak przy wybuchach w kamieniołomach.

Marie usłyszała kolejne eksplozje. Siły Federacji musiały sforsować zapory.

W niedługim czasie rzeka zaleje miasto.

Pocięta Twarz i Mały przebywali w niżej położonej części Nowego Orleanu. Byli w najniższej części miasta, ale zapewne w najwyższym stopniu upojeni piwem.

Są za daleko, by zdążyć uciec przed falą powodzi. Przesłała wiadomość przez system Biomiasta, który nadal jarzył się światłem gotowości do działania. Przekazała, aby znaleźli bezpieczne miejsce. A potem usiadła za biurkiem i wywołała model Nowego Orleanu. Pojawił się holograficzny obraz.

Marie nosiła go w sercu.

Włożyła wirtualne rękawiczki, choć ręce jej drżały. „Spokojnie, Marie - upomniała się. - Teraz musisz być spokojna, naprawdę spokojna”.

Uniosła budynek na rogu i przeniosła, go kładąc na innym miejscu. To jedyne, co mogła zrobić w tej chwili. Niezbyt wyszukany sposób. Ale to oznaczało, że materia zostanie przeniesiona. Będzie rosła z każdą możliwą prędkością. Deszcz będzie chłodził budynek podczas tego procesu. Ta przeklęta powódź również. Marie dotknęła komendy

„UTRWALAJ" na panelu dotykowym. „CZY NA PEWNO CHCESZ TO ZROBIĆ?" - zapytał system - „PRZEDSTAWIAM MOŻLIWOŚCI... "

- Wykonaj! - krzyknęła. Mały i Pocięta Twarz mogli wejść na jakiś dach albo...

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoju wbiegli Pocięta Twarz i Mały.

- Jesteś wariatka.

- Przerwano zapory - odpowiedziała. - Zaraz nas zaleje...

- Nie - stwierdził Mały. - Mamy plan. Ruszaj się.

Porwał z szafy żakiet i rzucił Marie. Włożyła go pośpieszenie i ruszyła za mężczyznami na dach. Stała tam wąska łódź motorowa, jakby właśnie przyплыnęła. Oczywiście, została zbudowana przez nanoboty. Ale kto wydał polecenie, by ją zbudować?

- Skąd się to wzięło? - zapytała.

Mały roześmiał się.

- A co myślałaś, że tylko ty wiesz, jak używać miasta? Kazałem zrobić łódź parę godzin temu. Z baru. Tak sobie pomyślelim, że pewnie zabawisz dłużej w domu. Zbyt długo. Jakbyś nie wiedziała, że ci przekleci żołnierze przerwą zapórę. No, wsiadaj! - wrzucił do łodzi płócienną torbę, którą miał na ramieniu.

- Nie skończona. Ciągle się trzyma dachu - Pocięta Twarz zajrzał pod spód łodzi, a potem wyjął nóż i zaczął odcinać membrany, przez które płynęła materia i nanoboty.

Marie rozglądała się wstrząśnięta.

- Nadchodzi! - krzyknęła, ale nie usłyszała własnego głosu w ryku wiatru.

Pod szarym niebem przerażająca sina fala rozbiła się najwyżej pół mili od domu. Woda rozpetła się jak kłębowisko węży, ospale rozlewając się między budynkami nad rzeką i ruszyła dalej, przykrywając ulice błotem. Zimne krople deszczu uderzyły Marie w twarz i przemoczyły sukienkę.

Mały chwycił ją za ramię i pomógł wsiąść do łodzi. Usiadła, spojrzała na dno, ale nie dostrzegła żadnej dziury. Może ta łódź popłynie. Uśmiechnęła się do drobnego mężczyzny, który zajął miejsce przed nią i chwyciła w obie ręce wiosło. Pocięta Twarz zajął miejsce obok Marie i podniósł drugie.

- Gotowi? - zapytała. Ku własnemu zaskoczeniu czuła się cudownie.

Brazowa breja szybko wypełniała ulice. Poziom wody rósł, aż sięgnął dachu, a wtedy wysoka fala uniosła łódź. Przez krótką chwilę Marie bała się, że prąd porwie ich i zniesie na ulice, gdzie poziom wody był niższy. Przestraszyła się, że spadną jak z wodospadu, ale Mały w porę chwycił linę przywiązaną do czegoś, czego nie mogła dostrzec. Mężczyzna przywiązał koniec sznura do jednego z siedzeń. Przez dziesięć minut woda podnosiła się, aż wreszcie,

gdy przeszła pierwsza fala powodzi, poziom ustabilizował się. Woda zalała całkowicie dom Marie. Nagle lina pękła. Łódź szaleńczo zatańczyła w wirach nad Bourbon Street i niemal zderzyła się z najwyższym piętnem starego Baru Wuja Roba.

- Co teraz?! - zawołała Marie, usiłując przekrzyczeć ryk wiatru.

- Wiosłujęm jak diabli! - odkrzyknął jej do ucha Pocięta Twarz.

Skierowali się z trudem w kierunku najbliższej z wież, która kołysała się na falach. Pszczoły chaotycznie przecinały powietrze, bioinformacyjny pyłek wysypywał się z receptorowych kabli. Wielka szklana tafla przepłynęła obok łodzi i znikła pod powierzchnią, zanurzając się z głośnym cmoknięciem.

- To nie był dobry pomysł! - krzyknęła Marie. Pocięta Twarz pokiwał twierdząco i zmienili kurs.

Wiatr i prąd zniosły małą łódź w kierunku wieży katedry St. Luis przy Jackson Square. Marie wiosłowała z całych sił i wkrótce tam dobili. Wyciągnęła ramiona i wdrapała się pierwsza, za nią gramolili się dwaj mężczyźni. Po minucie byli w środku. Mały rozwinął cumę i przywiązał do jednej z kolumn okna, przez które dostali się do wieży. Potem przyciągnął łódź bliżej i wyjął płócienną torbę.

Na szczycie wieży zabrzmiał dzwon. Trójka rozbitków wspięła się wyżej, niecałe trzydzieści stóp nad lustrem wody i rozejrzała się.

Marie czuła silny napór wiatru. Zapewne będzie jeszcze gorzej. Jeśli będą mieli szczęście, to solidna wieża katedry się nie zawali i ocala życie. Poniżej można było dostrzec tylko dachy niektórych starych domów. Prawdopodobnie nikt już w nich nie zamieszka.

Ale dobrze służyły mieszkańcom przez minione wieki.

Kobieta wsłuchiwała się w bicie dzwonów, wyobrażając sobie, że ich miarowe, regularne tony przechodzą w jedne pasaży *Rapsodii Miasta Półksiężycy*.

Rapsodia składała się z wielu różnych części, połączonych w spójną całość. Tym właśnie był Nowy Orlean.

I tym będzie znowu. Połączeniem tego, co najlepsze w tym odmienionym, nowym świecie.

Przed oczyma duszy ujrzała swoje miasto, daleko na morzu, azyl i miejsce, gdzie zbiegały się wszystkie drogi. Miejsce nadziei. Trampolina w przyszłość. Brama w kosmos.

- To mój loa - powiedziała, nie krzyząc, tylko do siebie. - Nie utraciłam serca. Moje serce było zawsze tutaj. I zawsze je miałam. - Popatrzyła w dal, gdzie padał ulewny deszcz, a fale pieniały się, rozbijając o dachy.

- Do kogo mówiłaś - krzyknął Mały.

- Do mojej manbo - odkrzyknęła. Uśmiechnęli się do siebie.

- Spragnieni? - Pocięta Twarz wyciągnął butelkę szampana z torby i odkorkował.

Szampan przechodził z rąk do rąk.

A po chwili wszyscy troje zaczęli tańczyć do muzyki wiatru.

Ostatnia nuta:

Była noc, gdy przed dziobem *Szczęściarza* pojawiło się Miasto Półksiężycy.

Zeb stał na pokładzie, zaciskając dłonie na relingu. Ra stała obok.

Miasto wyrastało z ciemnych fal morza oświetlone liniami świateł.

Zeb spojrział w gwiazdy. Zalało go uczucie głębokiego zachwyty.

W nieboskłonie kryło się wiele tajemnic. Zawsze tam będą. Nieważne, co jeszcze odkryje w nowym życiu, wiele rzeczy pozostanie niewyjaśnionych. Co za szczęście.